

Linda Holeman

Szafranowa Brama

Tłumaczyła Anna Dobrzańska-Gadowska

Świat Książki

Skan i korekta Roman Walisiak

Tytuł oryginału THE SAFFRON GATE

Redaktor prowadzący Ewa Niepokólczycka

Redakcja techniczna Małgorzata Juźwik

Wszystkie postaci w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych czy zmarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Copyright © 2009 by Linda Holeman

Copyright © for the Polish translation by Anna Dobrzańska-Gadowska 2011

Świat Książki Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o. ul. Rosoła 10,02-786 Warszawa

Skład i łamanie Akces, Warszawa

Druk i oprawa Abedik S.A.

ISBN 978-83-247-1899-3

Nr 7728

Opis z okładki.

Niezwykła powieść, magiczna, w stylu Ptaków ciernistych krzewów.

Wzruszająca historia kobiety, która szuka spełnienia.

Opowieść o namiętności i determinacji, miłości, stracie i odzyskaniu szczęścia.

Jood Book Guid.

„Marrakesz, panno O'Shea? To nie jest wyprawa dla słabych, a już na pewno nie dla samotnej kobiety...”.

Kiedy tragiczny wypadek niszczy spokojne życie Sidonie O'Shea, wsparcia udziela jej lekarz Etienne Duverger.

Wkrótce zakochują się w sobie, tak przynajmniej wierzy Sidonie, dla której jest to pierwsza miłość w jej samotnym życiu. Nagle Etienne znika bez słowa.

W opuszczonym przez niego mieszkaniu Sidonie znajduje list z Marrakeszu w Maroku. Zdesperowana, postanawia wyruszyć na poszukiwanie ukochanego.

Rozpoczyna niebezpieczną dla samotnej kobiety podróż.

W Marrakeszu lat trzydziestych XX wieku odkrywa prawdę o mężczyźnie, którego pokochała, a co ważniejsze -

o sobie samej...

*

LINDA HOLEMAN, autorka bestsellerowych powieści: Ptaszyna, Księżycowa klatka i W dalekim kraju.

* * *

Mojej siostrze Shannon, dzięki której w moim życiu gości radość.

Noc ukazuje nam gwiazdy podobnie jak smutek ukazuje nam prawdy naszego życia.

Philip James Bailey.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Cieśnina Gibraltarska, kwiecień 1930.

Dopadł nas lewanter.

Usłyszałam to słowo z ust jednego z Hiszpanów, którzy stali przygarbieni na pokładzie, wskazując palcem zachód i kręcąc głowami. Viento de Levante, powiedział inny, a potem splunął i rzucił jakiś zwrot z taką złością, z jaką wypowiada się tylko przekleństwa. Na koniec pocałował krzyżyk, który wisiał na jego piersi.

Hiszpanie przesunęli się pod ścianę promu i przykucnęli, opierając się plecami o drewniany panel i osłaniając dłońmi małe, ręcznie zwijane papierosy. Powietrze zyskało nagle prawie wyczuwalną fakturę, upodobniając się do wilgotnej, gęstej mgły i właśnie to, w połączeniu z widokiem Hiszpana, który ucałował krucyfik, wydało mi się zapowiedzią kłopotów.

- Przepraszam... - odezwałam się do mężczyzny w średnim wieku, który stał obok mnie przy burcie.

Wcześniej słyszałam, jak rozmawiał z jednym z tragarzy i zorientowałam się, że pochodzi z Ameryki, podobnie jak ja. Sprawiał wrażenie człowieka żyjącego zbyt intensywnie, miał pulchne, mocno zarumienione policzki i opuchnięte powieki. Byliśmy jedynymi Amerykanami na pokładzie tego niewielkiego promu.

9

- Co oni mówią? - spytałam. - Levante? Co to takiego?

- Lewanter - odparł, zapinając płaszcz. - Od levante, po hiszpańsku „wschód”. Lewanter to bardzo silny wiatr od wschodu...

Znałam takie pojęcia jak „sirocco” czy „mistral”, nazwy wichrów, które nawiedzają region Morza Śródziemnego, nigdy jednak nie słyszałam o lewanterze.

- Do diabła! - mruknął mężczyzna. - Och, bardzo panią przepraszam! - zreflektował się natychmiast. - Denerwuję się, bo te wichry potrafią naprawdę długo się utrzymywać... Jeżeli nie uda nam się uciec, całkiem niewykluczone, że będziemy musieli zawrócić!

Mimo wiatru wyraźnie czułam zapach jego wody kolońskiej, o zbyt mocnej kwiatowej nucie.

-Mamy uciekać? - zdziwiłam się. - Czy ten wiatr nie przeleci po prostu nad nami?

- Trudno powiedzieć, bo właśnie tu, po zachodniej stronie Zatoki lewanter osiąga maksymalną siłę. - Kapelusze mojego rozmówcy nagle uniósł się wysoko, jak poderwany niewidzialną ręką, i chociaż mężczyzna usiłował go złapać, tylko zawirował przed nami i pofrunął wyżej. - Do diabła! - zaklął znowu, podnosząc wzrok na nisko wiszące, ciężkie chmury. - Proszę mi wybaczyć, pani...

- O'Shea - powiedziałałam. - Panna O'Shea...

Moja pelerynka wyduła się i załopotała, zupełnie jakbym była tańczącym derwiszem. Jedną ręką przycisnęłam ją do piersi, a drugą szybko przytrzymałam kapelusz. Przypięłam go do włosów paroma szpilkami, lecz mimo to czułam, że wiatr lada chwila zerwie mi go z głowy.

- Czy statek... Czy statek może się wywrócić? - Bałam się wypowiedzieć na głos słowo „zatonąć”.

-Jeszcze raz przepraszam za moje zachowanie, panno O'Shea!

10

Czy może się wywrócić? - Spojrzał przez moje ramię w kierunku rufy. - Nieczęsto się zdarza, aby jakiś statek zatonął w Cieśninie, nie przy tych solidnych silnikach, w które dziś wyposażone są promy...

Kiwnęłam głową, chociaż jego słowa nie uspokoiły mnie tak, jak miałam nadzieję. W ostatnich tygodniach płynęłam z Nowego Jorku do Marsylii, a stamtąd na południowy cypel Hiszpanii i przez cały ten czas nie doświadczyłam niczego gorszego niż dzień czy dwa marnej pogody na Atlantyku. Nie przyszło mi do głowy, że ten wąski pasek morza może okazać się najgorszy.

- Tutejszy klimat jest całkowicie nieprzewidywalny - ciągnął mężczyzna. - Czasami doprowadza mnie to do furii... Lewanter zwykle dmie trzy dni i jeżeli kapitan nie zdecyduje się płynąć dalej, będziemy musieli zawrócić do jednego z tych koszmarnych małych portów w Hiszpanii i czekać tam przynajmniej do soboty.

Do soboty... Była środa. I tak spędziłam już za dużo czasu w Marsylii... Każdy mijający dzień potęgował panikę, która narastała we mnie od mojego ostatniego spotkania z Etienne.

Kiedy wicher sieknął mi w oczy garścią słonej piany, potarłam oczy osłoniętymi rękawiczką palcami, częściowo po to, aby poprawić ostrość widzenia, a częściowo po to, by przegnać obraz mojego narzeczonego. Gdzież on teraz był...

- Proszę lepiej wejść do środka - poradził mężczyzna. -Przemoknie pani w mgnieniu oka, a chyba nie chce pani rozchorować się po przybiciu do Tangeru, prawda? - Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. - Afryka Północna to taka część świata, gdzie ani na chwilę nie wolno tracić przytomności umysłu...

Jego słowa raczej mnie nie pocieszyły. Natychmiast pomyślałam o tym, jak zaledwie dziesięć dni temu leżałam w wąskim łóżku

11

w Marsylii, rozgorączkowana i tak bardzo słaba. I zupełnie sama.

Mężczyzna nadal przyglądał mi się spod oka.

- Podróżuje pani w jakimś większym towarzystwie, panno O'Shea?

- Nie! - odkrzyknęłam, ponieważ wiatr zaczął gwizdać i jęczeć jak szalony. - Nie, jestem sama!

Sama... Czy zabrzmiało to głośniejsz, niż zamierzałam?

- Zna pan Tanger?

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak śmieszni musimy wydawać się Hiszpanom, kiedy tak ze wszystkich sił staramy się przekrzyknąć wicher.

Tamci schronili się pod wąskim zadaszeniem nad ścianą, wreszcie zapalili papierosy i teraz zaciągali się intensywnie, obserwując niebo spomiędzy zmrużonych powiek. Było oczywiste, że lewanter to dla nich nie nowina.

- Tak! - odwrzasnął Amerykanin. - Tak, byłem tam kilka razy! Chodźmy lepiej do środka, naprawdę!

Dotknął moich pleców, popychając mnie lekko w kierunku drzwi, które zatrzęsęły się za nami z hukiem, kiedy tylko znaleźliśmy się w wąskim korytarzu, prowadzącym do głównego salonu. Przystanąłam na moment i zdałam sobie sprawę, jak wielką ulgę przyniosła mi ucieczka przed wiatrem. Odgarnęłam do tyłu przyklejone do policzków włosy i poprawiłam pelerynę.

- Mógłby pan polecić mi jakiś pensjonat w Tangerze? Tylko na noc czy dwie... Muszę dostać się do Marrakeszu... Czytałam rozmaite opisy podróży z Tangeru do Marrakeszu, ale zawarte w nich informacje są raczej niejasne.

Nie spuszczał wzroku z mojej twarzy.

- Najlepszym miejscem będzie hotel Continental w Tangerze - powiedział powoli. - Jest szalenie popularny, zawsze

12

zatrzymuje się tam sporo przyzwoitych Amerykanów, Brytyjczyków i zamożnych Europejczyków. Znajduje się na terenie starego miasta, ale jest bezpieczny...

- Bezpieczny? - powtórzyłam.

- Sądzę, że poczuje się pani w Tangerze odrobinę niepewnie... Wszystkie te wąskie, kręte uliczki, no i ludzie... - przerwał na chwilę. - Jednak w Continentalu panuje bardzo tradycyjna, kolonialna atmosfera. Tak, szczerze polecam ten hotel! Och, i na dodatek w ogóle nie spotyka się tam Francuzów! - dorzucił, jakby nagle przypomniał sobie ten istotny jego zdaniem szczegół. - Francuzi zdecydowanie preferują Cap de Cherbourg albo Mille disles, naturalnie jeżeli nie mają w Tangerze rodziny.

Nie odpowiedziałam, lecz on mówił dalej.

- Wieczorem główna sala w Continentalu najczęściej pulsuje życiem, ludzie wpadają wypić koktajl i wspólnie pośpiewać. Oczywiście nie wszystkim odpowiada taki styl, ja raczej się tam nie zatrzymuję, czuję jednak, że pani się to spodoba.

Skinęłam głową.

- Wspomniała pani, że wybiera się do Marrakeszu, czy tak? Przez cały kraj?

Znowu potwierdziłam bez słowa. Uniósł brwi.

- Ale chyba nie sama? W Tangerze czekają na panią przyjaciele, prawda?

- Mam nadzieję, że uda mi się dotrzeć do Marrakeszu pociągiem - odparłam, ignorując jego pytanie. - Kursuje chyba jakiś pociąg do Marrakeszu? - zapytałam, zaniepokojona wyrazem jego twarzy, który nagle się zmienił. - Czytałam,

że...

- Rozumiem, że nie zna pani Afryki Północnej, panno O'Shea.

Nie znałam Afryki Północnej.

13

Absolutnie jasne było także i to, że w ogóle nie znałam Etienne.

- Nie jest to podróż dla ludzi o słabych nerwach - podjął Amerykanin. - A już z całą pewnością nie zachęcałbym do takiego przedsięwzięcia samotnej kobiety... Kobiety z Ameryki czy Europy w Afryce Północnej... - wymownie zawiesił głos. - Nie, zdecydowanie odradzam! Marrakesz leży daleko od Tangeru, a w tym przeklętym kraju nigdy nie wiadomo, czego można się spodziewać! Pod każdym względem...

Przełknęłam ślinę. Nagle zrobiło mi się za gorąco, przyćmione światło w korytarzu rozbłysło oślepiającą bielą, a grzmot wichury i łomot silników oddaliły się.

Nie mogłam zemdleć. Nie tutaj.

- Widzę, że nie czuje się pani zbyt dobrze. - Głos mężczyzny docierał do mnie jak przez grubą warstwę waty. - Proszę usiąść...

Poczułam jego dłoń pod łokciem; ostrożnie mną kierował, moje stopy przesuwają się powoli, jakby wbrew mojej woli. Z moją nogą przemieszczanie się po pokładzie przedstawiało spore problemy nawet na spokojnym morzu, natomiast teraz okazało się jeszcze trudniejsze. Jedną ręką musiałam trzymać się ściany i w pewnej chwili mocno wsparłam się na ramieniu mężczyzny, aby się nie potknąć. Chwilę później poczułam, jak naciska na moje barki, prawie zmuszając mnie, bym usiadła. Nachyliłam się, skrzyżowałam ręce na brzuchu i parę razy głęboko odetchnęłam, czując, jak krew rytmicznie pulsuje mi w skroniach. Kiedy w końcu wyprostowałam się i otworzyłam oczy, zorientowałam się, że jesteśmy w wąskim, zadymionym salonie, pod ścianami stały rzędy przymocowanych do podłogi metalowych krzeseł. Ta niewielka sala była w połowie wypełniona pasażerami pochodzącymi, sądząc po ich rysach oraz ubiorze, z Hiszpanii lub Afryki, a także innymi, których nie

14

byłam w stanie zidentyfikować wyłącznie na podstawie wyglądu. Mój znajomy usiadł obok mnie.

- Dziękuję - odezwałam się. - Już mi lepiej...

- Nie tylko pani źle się poczuła w tych warunkach - zauważył.

Dopiero po jego słowach dotarły do mnie stłumione jęki i płacz dzieci. Niewątpliwie mnóstwo pasażerów doświadczało przykrych skutków gwałtownego kotysania promu.

- Pytała pani o pociąg - podjął Amerykanin. - Tak, do Marrakeszu rzeczywiście można dojechać pociągiem, ponieważ kilka lat temu położono tory, lecz jest to raczej mało pewny środek transportu, a poza tym nie odchodzi z Tangeru. Musiałaby pani najpierw dostać się do Fezu lub Rabatu, bo pociąg

wyrusza właśnie z tych miast. Na pani miejscu nie wybierałbym się do Fezu, ponieważ znajduje się zanadto w głębi lądu i raczej nie po drodze. Lepszy będzie Rabat, ale i tak musi pani wynająć samochód z kierowcą. Skoro zależy pani, żeby opuścić Tanger i zwiedzić Maroko, to może po prostu zatrzyma się pani w Rabacie...

- Nie, muszę dotrzeć do Marrakeszu, to absolutnie konieczne - powiedziałam, próbując zwilżyć językiem wargi.

Nagle zrobiło mi się sucho w ustach i poczułam straszne pragnienie.

- Szczerze mówiąc, nie liczyłbym na pociąg z Rabatu do Marrakeszu, panno O'Shea... Tory kolejowe zawsze się tu przesuwają, bo przecież kładzie się na piasku, albo też blokują je wielbłądy lub jacyś piekielni nomadzi. Najlepiej byłoby wynająć auto, słowo daję. Z drugiej strony, te cholerne szlaki, które tu uchodzą za drogi... Cóż, Francuzi są z nich bardzo dumni, ale miejscami trakty biegną przez pustynię, są tak nierówne, że kości grzechoczą człowiekowi jak groch i tak dalej...

15

Wyprostowałam się, usiłując zapamiętać wszystkie te informacje, jedna w drugą negatywne.

- Bez wątpienia trudności spotkają panią nawet na głównych drogach. Nie obędzie się bez przedzierania się węższymi szlakami, zwykłymi ścieżkami w piachu, takimi dla wielbłądów i osłów. W pobliżu Tangeru są inne większe miasta, proszę mnie posłuchać i jeszcze się zastanowić. Powinna pani trzymać się blisko morza, ze względu na wiatry przynoszące przyjemny chłód. W Maroku niedługo będzie pełnia lata i zaczną się straszliwe upały. Jeżeli koniecznie chce pani wyjechać z Tangeru, proszę zatrzymać się w Rabacie, naprawdę, lub pojechać do Casablanki, gdyż to jest o wiele bardziej cywilizowane miejsce niż...

- Bardzo panu dziękuję za informacje - przerwałam mu. Usiłował mi pomóc, nie był jednak w stanie pojąć, że naprawdę musiałam dotrzeć do Marrakeszu.

- Nie ma za co! Ale Marrakesz, panno O'Shea... Na pewno ma pani tam rodzinę albo przynajmniej przyjaciół. Nikt nie jeździ do Marrakeszu, jeżeli nie musi... Poza tym mieszkają tam sami Francuzi! Ma pani tam kogoś?

- Tak- odparłam, starając się nadać głosowi ton pewności, chociaż nie wiedziałam, czy mówię prawdę.

Miałam świadomość, że odpowiedź na to pytanie poznam dopiero po przybyciu do Marrakeszu. Nagle straciłam ochotę na słuchanie dalszych opowieści o podróżach w głąb Afryki i odpowiadanie na pytania. Ta rozmowa budziła we mnie lęk i mnóstwo wątpliwości, bynajmniej nie przekonanie, że uda mi się przebyć kawał Afryki Północnej.

- Proszę, niechże pan nie czuje się zobligowany, aby tu ze mną siedzieć - odezwałam się spokojnie, siląc się na uprzejmy uśmiech. - Czuję się już dobrze, naprawdę! Jeszcze raz za wszystko dziękuję.

16

- No, dobrze... - Mężczyzna wstał.

Czy tylko mi się wydawało, czy na jego twarzy rzeczywiście pojawił się wyraz ulgi? Na pewno zrobiłam na nim wrażenie bardzo samotnej, zupełnie nieświadomej, co czeka mnie w tym kraju i na dodatek zdesperowanej. Czy naprawdę wyglądałam na zdesperowaną?

Po jego odejściu zauważyłam siedzącą naprzeciwko hiszpańską rodzinę z trojgiem małych dzieci o wielkich, ciemnych oczach i poważnych owalnych buziach. Przyglądały mi się uważnie. Najmniejsza dziewczynka uniosła malutką lalkę, jakby chciała mi ją pokazać.

W jednej chwili ogarnęła mnie fala trudnego do określenia bólu, najpewniej spowodowanego dręczącym mnie pragnieniem i niepokojem, jak sobie to wytłumaczyłam.

Lewanter jeszcze się nasilił. Fale rzucały statkiem tak mocno, że nie potrafiłam się zorientować, czy zawróciliśmy, którą to możliwość sugerował Amerykanin, czy płyniemy dalej. Prom przedzierał się przez wzburzone morze, wznosiliśmy się i opadaliśmy z rytmiczną regularnością, która z każdą chwilą przyprawiała mnie o coraz większe mdłości. Inni pasażerowie czuli się podobnie - niektórzy wybiegali na pokład, gdzie niewątpliwie przechylali się przez burtę, by wymiotować. Mała Hiszpanka zupełnie bez ostrzeżenia pochyliła się nad podłogą i wyrzuciła treść żołądka na podłogę. Matka otarła jej usta dłonią i wzięła ją na kolana, delikatnie gładząc po głowie. Panujący w pomieszczeniu odór stał się jeszcze cięższy, upał też narastał. Osuszyłam twarz rękawem, dziękując w myśli losowi, że od rana nic nie jadłam. Gdybym tylko zabrała z sobą butelkę wody, tak jak pozostali... Wszyscy siedzieli teraz nieruchomo, szarpani, a chwilami kołysani przez fale razem ze statkiem. Wcześniej ludzie rozmawiali

17

zżywieniem, przekrzykiwali się i śmiali, lecz teraz w sali panowała cisza. Nawet najmniejsze dzieci milczały, w ramionach matki pojękiwała tylko dziewczynka, która przed chwilą wymiotowała.

Nagle przez głowę znowu przemknęła mi myśl, że przecież prom może wyrzucić się do góry dnem i zatonać. Pierwszy raz dotarło do mnie, w jak trudnej sytuacji sama się postawiłam, zupełnie nie dbając o własne bezpieczeństwo.

Wyjątkowo mocne szarpnięcie rzuciło mnie na sąsiednie puste krzesło. Uderzyłam łokciem w twarde siedzenie, wykręciłam biodro i mimo woli krzyknęłam, podobnie jak pozostali. Jednak nawet teraz nikt nic nie powiedział - wszyscy po prostu poprawili się na swoich miejscach i milczeli dalej. Poderwałam dłoń do ust, raz po raz przełykając ślinę, aby opanować mdłości. Zamknęłam oczy i próbowałam oddychać spokojnie i głęboko. Ze wszystkich sił starałam się nie słuchać wycia tłukącego się o okna wichru i nie wdychać smrodu unoszącego się nad kałużą wymiocin na podłodze.

Po pewnym czasie, tak powoli, że początkowo nawet nie zwróciłam na to uwagi, kołysanie złągodniało. Wyprostowałam się i podniosłam głowę, świadoma, że za oknem nie widać już skłębionych grzbietów fal. Podłoga pod stopami znowu stała się twarda i stabilna, a żołądek wreszcie wrócił na swoje miejsce. Odetchnęłam z ulgą w tej samej chwili, gdy jeden z tkwiących na pokładzie Hiszpanów otworzył drzwi i wsadził głowę do środka.

- Tanger! - krzyknął. - Ya llegamos!

Przez salę przemknął cichy pomruk. Hiszpan chciał nam pewnie przekazać, że dostrzegł miasto albo że już się do niego zbliżamy. Tak czy inaczej, najwyraźniej udało nam się uciec przed lewanterem,

zostawić w tyle szarpiący wodami cieśniny wiatr. Przymknęłam powieki, a kiedy znowu je podniosłam,

18

kilkoro dzieci tłoczyło się już przy oknie. Pomruk w różnych językach przybrał na sile i przerodził się w gwar euforii. Ludzie podnosili się z miejsc, przeciągali się i rozprostowywali nogi, rozmawiali, wołali dzieci i zbierali bagaże. Hiszpańska rodzina z trojgiem dzieci wyszła na pokład; matka niosła na rękach dziewczynkę, która wciąż przyciskała do piersi laleczkę. Wstałam, ale zaraz zakręciło mi się w głowie i znowu poczułam mdłości. Być może był to długotrwały efekt kołysania na morzu albo rezultat pragnienia i całodziennego postu, niewykluczone też, że jeszcze nie doszłam do siebie po chorobie. Usiadłam.

- Panno O'Shea, jaka szkoda, że nie wyszła pani na pokład! Świetnie widać miasto, które w słońcu... - Amerykanin przerwał. - Och, widzę, że nadal nie najlepiej się pani czuje!

Wiedziałam, że twarz mam bladą i wilgotną od potu.

- Czy mogę pani jakoś pomóc? Potrząsnęłam głową.

- Nie, nie, dziękuję! - Propozycja pomocy była kusząca, ale moja słabość wprawiała mnie w zażenowanie. - Odpocznę tylko chwilę i wszystko będzie w porządku! Serdecznie dziękuję, był pan dla mnie bardzo dobry, ale proszę sobie nie zawracać głowy, naprawdę...

- Dobrze - rzekł. - Niech pani uważa na złodziejasków, na nabrzeżu kręcą się ich całe tłumy! Proszę wziąć un petit taxi albo bryczkę, jeżeli nie będzie taksówki. I zapłacić połowę żądanej sumy, tylko połowę! Zaraz zaczną pani opowiadać, że mają dziesięcioro głodnych dzieci i chorą matkę, ale proszę się nie dać!

Przytaknęłam bezgłośnie. W tej chwili zależało mi wyłącznie na tym, żeby wreszcie sobie poszedł, bo wtedy mogłabym znowu zamknąć oczy i zapanować nad zawrotami głowy.

19

- Do widzenia, panno O'Shea! Życzę szczęścia! Będzie pani potrzebne, jeżeli rzeczywiście sama wyruszy pani w drogę do Marrakeszu.

Jego powolne, ciężkie kroki ucichły wreszcie w oddali. Po paru minutach, słysząc tylko przytłumione okrzyki, dobiegające gdzieś z zewnątrz, podniosłam się niepewnie i wyszłam na pokład, prosto w ciepłe promienie słońca. Zawroty głowy ustały w jednej sekundzie - odetchnęłam świeżym powietrzem o czystym zapachu morza i czegoś jeszcze, być może cytrusów. Jeszcze raz odetchnęłam głęboko. Z każdym oddechem czułam się silniejsza i z zaciekawieniem ogarnęłam wzrokiem perspektywę Tangeru.

Widok był naprawdę wspaniały i miał w sobie coś z amfiteatru. Białe domy wznosiły się na brzegu wśród morza palm. Górowały nad nimi minarety, smukłe wieże lśniły w słońcu. Miasto miało w sobie obce piękno, tak różne od gwarnych i zatłoczonych doków Nowego Jorku czy Marsylii. Stałam nieruchomo, wpatrzona w łagodnie kołyszące się pióropusze palm, aż wreszcie oderwałam od nich wzrok i poszukałam ludzi. Na portowym nabrzeżu dostrzegłam tylko mężczyzn - gdzie były kobiety? - i

przez parę sekund miałam dziwne wrażenie, że widzę samych mnichów. Jak to możliwe, pomyślałam. Czy Tanger nie jest muzułmańskim miastem? Zaraz jednak zrozumiałam swoją pomyłkę - mężczyźni mieli na sobie długie szaty z czymś w rodzaju kapturów, to wszystko. Jak one się nazywały? Wyleciało mi to z głowy, nie ulegało jednak wątpliwości, że kaptury osłaniają ich przed gorącym słońcem, a może taki panował tu zwyczaj.

Z niezrozumiałego powodu tak prosta rzecz jak widok tych zakapturzonych postaci pozbawionych twarzy wzbudziła we mnie uczucie lęku.

Byłam tu obca i nikt na mnie nie czekał.

20

Zeszłam po trapie, trzymając się mocno grubej, włochatej liny z boku.

Nigdzie nie było żadnych strażników czy celników. Tanger był wolnym portem, otwartą strefą zwaną międzynarodowym protektorem i nie obowiązywały tu żadne restrykcje ograniczające prawa wejścia do miasta lub jego opuszczenia.

Kiedy stanęłam na ziemi, zobaczyłam swój bagaż, mokry po długim pobycie na pokładzie promu, z rozmazanymi kredowymi oznaczeniami. Dwie ciężkie walizy leżały na brzegu, jako jedyne, ponieważ zesłam na ląd ostatnia. Podeszłam do nich, zastanawiając się, jakim cudem zdołam je dźwignąć, i wtedy podbiegł do mnie niski ciemnoskóry mężczyzna w brudnym białym turbanie, do złudzenia przypominającym trochę stłamszone ptasie gniazdo. Prowadził szarego osła o zmierzwionej sierści, zaprzęgniętego do wozu. Powiedział Coś do mnie, lecz gdy wymownie potrząsnęłam głową, zapytał po francusku, dokąd chcę jechać.

- Hotel Continental, s'il vous plait - odparłam, ponieważ nie znałam żadnej innej nazwy.

Mężczyzna kiwnął głową i wyciągnął rękę, podając cenę przejazdu we francuskich sou. Natychmiast przypomniałam sobie ostrzeżenie mojego tęgiego Amerykanina, który twierdził, że Afryka Północna to miejsce, gdzie trzeba mieć głowę na karku. A jeśli ten człowiek, bez chwili namysłu gotowy przyjąć moje polecenie, przynajmniej pozornie, nie zamierza zawieźć mnie do hotelu? Jeśli wywiezie mnie nie wiadomo gdzie i ucieknie z moimi pieniędzmi oraz walizkami?

A jeżeli spotka mnie coś jeszcze gorszego?

Znowu uderzyła mnie niewyobrażalna śmiałość, a może bezmyślność tego, na co się ważyłam, przyjeżdżając tu całkiem sama, nie mając nikogo, kogo w razie potrzeby mogłabym wezwać na pomoc.

21

Spojrzałam na tego mężczyznę, a potem na kłębiące się wokół mnie tłumy innych mężczyzn. Niektórzy przypatrywali mi się otwarcie, inni pośpiesznie przechodzili obok ze spuszczonej głowami. Jaki miałam wybór?

Oblizałam wargi i wymieniłam połowę sumy, której żądał. Otwartą dłonią uderzył się w pierś, gwałtownie potrząsnął głową, wyrzucił z siebie parę słów w nieznanym mi języku i zaproponował inną kwotę, tym razem po francusku, w połowie między jego pierwszą ofertą a moją. Nie patrzył mi w oczy

i nie wiedziałam, czy zachowuje się tak dlatego, że jest nieśmiały, czy podstępny. Znowu pomyślałam o ryzyku, jakim było zaufanie mu, i znowu zaczęłam spierać się w myśli sama ze sobą. Kręciło mi się w głowie od upału i dobrze zdawałam sobie sprawę, że nie przeniosę swojego bagażu sama. Sięgnęłam do torby po monety. Gdy położyłam je na jego dłoni, ze zdziwieniem zauważyłam, że pod paznokciami mam cienką warstwę brudu.

Wszystko wskazywało na to, że ten ciemny kontynent stał się częścią mnie od pierwszego kroku, jaki postawiłam na jego ziemi.

Mężczyzna ze zdumiewającą łatwością przeniósł walizki na platformę wozu. Wskazał mi miejsce obok siebie, więc wspięłam się na kozioł i usiadłam. Kiedy lekko trzepnął lejcami o grzbiet ośa i wóz powoli potoczył się naprzód, wzięłam kolejny głęboki oddech.

- Hotel Continental - rzekł woźnica, jakby zależało mu na potwierdzeniu, że tam właśnie się udajemy.

- Oui, merci. - Zerknęłam na jego profil i zaraz przeniosłam wzrok na drogę przed nami.

Oto byłam w Afryce Północnej... Miałam jeszcze wiele kilometrów do przebycia, ale przynajmniej dotarłam tutaj, do mety ostatniego etapu długiej podróży.

22

Przypłynęłam do Tangeru. Architektura, twarze ludzi, ich język i stroje, roślinność, zapachy i wreszcie samo powietrze, wszystko to było najzupełniej obce. Nie było tu nic, co przypominałoby moją ojczyznę - mój spokojny dom w Albany, w stanie Nowy Jork.

Obejrzałam się w kierunku promu i uświadomiłam sobie, że w Ameryce też nikt na mnie nie czeka. Nikt i nic.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Urodziłam się pierwszego dnia nowego wieku, 1 stycznia 1900 roku, i matka nadała mi imię Sidonie, po swojej babce z Quebecu. Ojciec pragnął nazwać mnie Siobhan, na pamiątkę swojej matki, dawno temu pogrzebanej w irlandzkiej ziemi, ale zgodził się spełnić życzenie mamy. Moich rodziców łączyła wspólna religia, lecz poza tym stanowili mało dobraną parę, on - chudy i wysoki Irlandczyk, ona - drobniutka Kanadyjka francuskiego pochodzenia. Byłam późnym dzieckiem. Rodzice przez osiemnaście lat byli bezdzietni i kiedy przyszłam na świat, mama miała trzydzieści osiem lat, a tata czterdzieści. Nie spodziewali się już, że spotka ich taka łaska od Boga. Od najwcześniejszych lat słyszałam, jak mama codziennie dziękowała za mnie w modlitwie, nazywając mnie cudem. Gdy byłyśmy same, rozmawiałyśmy po francusku, kiedy do pokoju wchodził ojciec, przechodziłyśmy na angielski. Bardzo lubiłam postugiwać się francuskim; ale jako dziecko nie potrafiłam opisać różnicy między językiem matki i angielskim, i kiedy, na przykład, chciałam powiedzieć, że coś się kręci, dodawałam po angielsku: jak kręczone włosy, wspominała później mama.

Jako dziecko naprawdę uważałam, że jestem cudem, a rodzice utwierdzali mnie w przekonaniu, że zawsze postępuję

dobrze i że wszystko, czego zapagnę, może się pewnego dnia spełnić. Dawali mi niewiele, jeśli chodzi o sprawy materialne, ale zawsze czułam się gorąco kochana. I absolutnie wyjątkowa.

Przez całą nietypowo ciepłą wiosnę 1916 roku - bezpośrednio po moich szesnastych urodzinach - wyobrażałam sobie, że jestem zakochana w Luke'u McCallisterze, chłopcu, który pracował w sklepie spożywczym przy Larkspur Street. Wszystkie dziewczęta z mojej klasy w szkole Miłosiernego Jezusa i Maryi rozmawiały głównie o nim, odkąd kilka miesięcy wcześniej zamieszkał w naszej okolicy.

Spiraliśmy się między sobą, do której z nas pierwszej się odezwie, którą zaprosi na spacer albo na lody.

- To będę ja! - oznajmiłam Margaret i Alice Ann, moim najlepszym przyjaciółkom.

Wyobrażałam sobie tę scenę właściwie bez przerwy i nie miałam cienia wątpliwości, że Lukę wkrótce mnie zauważą.

- Zmuszę go, żeby zwrócił na mnie uwagę! - dodałam. - Zobaczycie!

- To, że zawsze masz najwięcej partnerów do tańca jeszcze nie znaczy, że możesz zwrócić na siebie uwagę każdego chłopca, tylko dlatego, że tego chcesz, Sidonie! - Margaret buntowniczo uniosła podbródek.

Uśmiechnęłam się do niej.

-Może i nie, ale... - Odgarnęłam włosy do tyłu, odbiegłam kilka kroków i odwróciłam się twarzą do nich, opierając dłonie na biodrach. - Zobaczymy! Pamiętacie Rodneya? Nie wierzyłyście, kiedy powiedziałam, że zaprosi mnie na karuzelę na festynie w zeszłym roku, a zrobił to, prawda? Nie wybrał żadnej innej dziewczyny, tylko mnie, i na dodatek poszliśmy na karuzelę dwa razy!

Alice Ann wzruszyła ramionami.

-Wyłącznie dlatego, że twoja i jego matka od dawna się przyjaźnią! Założę się, że Lukę zaprosi Margaret, szczególnie jeśli ona włoży tę swoją różową sukienkę! Ślicznie ci w różu, Margaret!

- Nie, zaprosi ciebie, Alice Ann! - zrewanżowała się Margaret, wyraźnie zadowolona z komplementu.

- Myślcie sobie, co chcecie! - Roześmiałam się. - Myślcie sobie, co chcecie, ale on będzie mój!

- Och, Sidonie, zawsze gadasz, co ci ślina na język przyniesie! - prychnęła Alice Ann.

Dogoniły mnie i wzięłyśmy się pod ręce, zgodnym krokiem maszerując wąską uliczką. Przyjaźniłyśmy się od pierwszej klasy. Margaret i Alice Ann zawsze liczyły, że czymś je zaskoczę i rozbawię.

Bez trudu udawało mi się znaleźć wymówkę, aby przejść się wzdłuż Larkspur Street w oczekiwaniu, aż Lukę spojrzy w moim kierunku, gdy z manifestacyjną łatwością przerzucał wielkie i ciężkie worki z ziarnem. W myślach ćwiczyłam, co mu powiem - że musi być bardzo silny, skoro w jego rękach te

worki wydają się lekkie jak piórka. Zerkałam na niego spod oka, wyobrażając sobie, jak przesuwam dłońmi po jego lśniących muskułach, jak czuję je na swoim ciele.

Z wykładów sióstr w szkole Miłosiernego Jezusa i Maryi wiedziałam, że pragnienia cielesne są grzechem i trzeba z nimi walczyć, byłam jednak równie bezsilna wobec tych myśli, jak wobec faktu, że po wiosnie przychodzi lato.

Pewnej parnej niedzieli na początku czerwca, w kościele pod wezwaniem Najłaskawszej Panny Maryi, tak żarliwie modliłam się do Najświętszej Pani, aby Lukę zakochał się we mnie,

26

że w pewnym momencie doznałam dziwnego uczucia oddzielenia od ciała. Tego ranka, gdy się obudziłam, kark miałam zupełnie sztywny, a głowa bolała mnie tak mocno, że dostałam mdłości. Prosiłam mamę, by pozwoliła mi zostać w domu, ale odmówiła.

Dość często zdarzało się, że próbowałam wymigać się od pójścia do kościoła.

Kiedy tej niedzieli szłyśmy na mszę, mama kilka razy upominała mnie, abym prosto się trzymała, lecz ja cały czas miałam wrażenie, że poruszam się w wodzie, pod prąd, który usiłuje porwać mnie ze sobą. Wewnątrz kościoła światło przedostające się przez witraże tworzyło zachwycająco piękne kręgi, kiedy tylko przesuwiałam wzrok w kierunku okien.

Moje ciało, zawsze tak lekkie i sprawne, teraz wydawało mi się ciężkie i niezgrabne. Uklękałam obok mamy i złożyłam dłonie, i właśnie wtedy wszystko zupełnie mi się pomieszało. Paciorki różańca, z cichutkim stukotem przesuwające się w opuchniętych palcach mamy, przeistoczyły się w maleńkie zwierzątka, aromat kadzidła dławił mnie i powodował mdłości, a śpiewna modlitwa ojca Cecila brzmiała jak zaklęcia w jakimś obcym języku. Nie mogłam pochylić głowy, ponieważ bardzo bolał mnie kark, wpatrywałam się więc w figury świętych, ustawione w płytkich niszach w ścianach. Ich marmurowa skóra jaśniała jak perły albo alabaster, a kiedy zatrzymałam wzrok na Najświętszej Pani, na jej policzkach dostrzegłam łzy, lśniące jak szkło. Wargi Dziewicy Maryi drgnęły, wychyliłam się więc do przodu, opierając podbródek na splecionych dłoniach i czując, jak kolana tężeją mi na kamiennej posadzce.

Tak, Mateńko, tak - błagałam. - Powiedz mi, co mam zrobić, jak sprawić, żeby Lukę mnie pokochał! Co mam zrobić, żeby mnie zapragnął... Proszę cię, powiedz mi!

27

Musiałam zamknąć oczy, oślepiona ostrym światłem, lecz po wewnętrznej stronie powiek ujrzałam, jak Maryja wyciąga do mnie ramiona. I nagle, bez najmniejszego wysiłku, uniosłam się wysoko i popłynęłam ku Niej... Leciłam nad nawą, konfesjonałami, rzędami ławek, ministrantami i świecami. Ojciec Cecil stał przy pulpicie, z niewielkim garbem pod ornatem, a zgromadzeni wierni modlili się z pochylonymi głowami. Widziałam też swoje ciało, dziwacznie przechylone na bok. Kościół rozjaśniony był białym, migotliwym światłem. Wiedziałam, że Najświętsza Pani usłyszała moją modlitwę i uznała, że zasługuję na jej łaskę. I że odpowie na moje błagania.

Pozwoliła mi ujrzeć twarz Luke'a i nagle odkryłam, że nie unoszę się już wysoko nad ołtarzem, lecz spadam, bez cienia lęku, ponieważ moje ciało jest tak wolne i lekkie jak płatki dzikiej róży, niesione

podmuchał wieczornego wiatru. Opadałam powoli, niczym diament w wodzie albo gwiazda, sunąca po ciemnym, bezchmurnym niebie. Opadałam w kierunku Luke'a, który wyciągał ramiona, aby mnie złapać. Jego piękne wargi rozciągnęły się w łagodnym uśmiechu.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi i musnęłam jego wargi ustami, a wtedy kolory, blask i upał złąły się w jedno, i ogarnęło mnie uniesienie, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałam.

Obudziłam się w swojej małej sypialni. Światło nadal było zbyt jaskrawe - oczy bolały mnie, kiedy zamrużałam, usiłując skupić spojrzenie w jednym punkcie.

Przy oknie stała kobieta w białej sukni i nuciła moją ulubioną kołysankę. Nie słyszałam jej od wielu lat... Dodo, l'enfant, do... Śpij, dziecko, śpij.

Pomyślałam, że to może jeszcze jedna wizja Dziewicy Maryi, która tym razem śpiewa francuską piosenkę, jak moja matka, gdy byłam mała, ale gdy kobieta odwróciła się od okna

28

i pochyliła nade mną, z tępyim zdziwieniem zobaczyłam, że to tylko mama. Z jej twarzą stało się coś dziwnego - wyglądała jakoś inaczej, o wiele starszej. Przez chwilę wydawało mi się, że musiałam przespać wiele miesięcy albo nawet lat.

- Ah, mapetite Sido... - powiedziała.

Jej głos był równie obcy jak jej twarz, niski, zachrypnięty i zdławiony, jakby mówiła przez grubą warstwę flaneli. Spróbowałam otworzyć usta, ale wargi miałam zupełnie sklejone. Mama delikatnie przemyła je wilgotnym ręcznikiem i przytknęła do nich słomkę.

- Napij się, skarbie...

Pociągnęłam mały łyk. Płyn był tak przyjemnie chłodny i w jakiś sposób aromatyczny, że dopiero po chwili zorientowałam się, że piję wodę.

Wysiętek, jakiego wymagało przełykanie, okazał się tak wielki, że bezradnie zamknęłam oczy. Najwyraźniej znowu zasnęłam, bo gdy uniosłam powieki, światło w pokoju miało inną barwę, było mniej rażące i widziałam już znacznie lepiej. Mama nadal - a może znowu - stała nade mną, lecz tym razem, co wydało mi się dziwne, przez otwarte okno zaglądał do środka mój ojciec.

- Tato? - wyszeptałam. - Dlaczego jesteś tam na zewnątrz? Jego twarz zapadła się w sobie, broda mocno mu zadrżała

i nagle dotarło do mnie, że ojciec płacze. Przyłożył dłoń do czoła w geście, który wyglądał jak przyznanie się do porażki.

- Co się stało? - zapytałam, przenosząc wzrok z ojca na mamę i znowu wracając spojrzeniem do niej.

- To paraliż dziecięcy, kochanie - odparł. Usiłowałam zrozumieć jego słowa. Nie byłam przecież

dzieckiem! Rozumiałam jednak, czym jest paraliż i chociaż to określenie przyprawiło mnie o dreszcz absolutnego przerażenia, byłam tak słaba, że mogłam tylko znowu zamknąć oczy.

Tamtego lata, w samym środku 1916 roku, epidemia polio poraziła cały stan Nowy Jork. Lekarze umieli zdiagnozować chorobę, nie potrafili jednak ani jej zapobiegać, ani leczyć. Zapadały na nią głównie dzieci poniżej dziesiątego roku życia, ale czasami także starsze, jak ja. Nikt nie wiedział, gdzie i w jakich okolicznościach doszło do wybuchu epidemii, chociaż wielu uważało, że przywieźli ją imigranci.

Epidemia zebrała obfite żniwo, dużo dzieci umarło. Rodzice powiedzieli mi, że należę do nielicznej grupy tych, którzy przeżyli. To kolejny cud - szepnęła mi do ucha matka pierwszego dnia, kiedy w pełni zrozumiałam, co mnie spotkało. -Kolejny cud, podobnie jak twoje narodziny, Sidonie... Musimy dziękować za to Bogu.

Wszyscy wiedzieli, że paraliż dziecięcy to choroba zakaźna, zostałam więc objęta kwarantanną. Mama pielęgnowała mnie, ponieważ była ze mną, gdy zachorowałam, ale ojciec przez wiele tygodni nie wchodził do domu. Potrzebował pracy, a był szoferem w domu jednej z bogatych rodzin w naszym okręgu.

Margaret, Alice Ann i inne moje przyjaciółki ze szkoły przynosiły mi drobne prezenty - książkę, długi cukierek w paski, wstążkę do włosów - i zostawiały je na ganku, u stóp domu, na którego drzwiach władze przyklepiły obwieszczenie o kwarantannie. Przez pierwsze tygodnie mama powtarzała, że wkrótce poczuję się lepiej, że szybko odzyskam władzę w nogach. To tylko kwestia czasu, zapewniała. Gorliwie wykonywała wszystkie zalecenia wydane przez okręgową pielęgniarkę i potwierdzone przez lekarza, który do mnie przyjeżdżał. Codziennie obmywała moje nogi wywarem z migdałów, ciągle przygotowywała okłady z rumianku, gorczyca, kory wiązu i paskudnie cuchnących olejków i przykładła mi gorące plastry. Masowała moje uda i łydki. Kiedy poczułam się na tyle silna, aby na parę chwil usiąść, ściągnęła moje dziwnie ciężkie

30

nogi na podłogę i objęła mnie ramieniem w pasie, pomagając mi wstać, ale ja nie potrafiłam się podnieść, miałam wrażenie, że nogi nie należą do mnie. Nie chciały mnie podtrzymać, rozplakałam się więc ze złości i poczucia bezradności.

- Kiedy będą silniejsze? - dopytywałam się uparcie, przekonana, że pewnego ranka po prostu obudzę się, odrzucę przykrycie i szybkim, sprężystym krokiem podejść do drzwi, jak zwykle.

- Już niedługo, Sido, już niedługo - mruzczała mama. - Pamiętasz, jak biegałaś po podwórku, gdy byłaś mała, i udawałaś, że jesteś księżniczką, jak w bajkach? Jak okręcałaś się dookoła, aż sukienka wirowała wokół ciebie niczym płatki pięknego kwiatu? Znowu będziesz tak tańczyła, Sidonie! Znowu będziesz jak księżniczka, jak piękny kwiat... Mój własny najpiękniejszy kwiatusek, mój cud od Boga.

To, że mówiła to wszystko z oczami pełnymi łez tylko utwierdzało mnie w przekonaniu, że rzeczywiście tak będzie.

W ciągu pierwszych miesięcy często płakałam - ze zniecierpliwienia, rozczarowania, żalu nad sobą. Rodzice byli pełni współczucia i zrozumienia, i robili, co mogli, słowem i czynem, aby poprawić moje samopoczucie. Minęło dużo czasu, zanim pojęłam, ile kosztowało ich, by zachować pogodną twarz i

pozytywne podejście do sytuacji, kiedy w gruncie rzeczy musieli być równie przygnębieni i zrozpaczeni jak ja.

Wreszcie zmęczyło mnie, że oczy ciągle palą mnie od łez, a głowa boli ze zdenerwowania, i któregoś dnia najzwyczajniej w świecie przestałam płakać.

Gdy kwarantanna minęła i poczułam się lepiej, przyjaciółki mogły mnie odwiedzić. Był to początek nowego roku szkolnego; w czasie tych pierwszych wizyt nie mogłam otrząsnąć się z wrażenia, że moje życie jest jak dziwny, niepokojący mroczny sen, z którego w żaden sposób nie mogę się obudzić.

31

Słuchałam opowiadanych przez nie historii, kiwając głową i wyobrażając sobie, że jestem z nimi w szkole.

W każdy piątek mama chodziła po zeszyty z zadawanymi lekcjami do szkoły i oddawała je w następny piątek. Korzystając z podręczników, byłam w stanie przerabiać zadania i testy.

Za którymś razem, poza nowymi lekcjami, wręczyła mi zaklejoną kopertę od jednej z siostr, które mnie uczyły. Kiedy ją otworzyłam, na koc wypadł list oraz mała karteczka z modlitwą i świętym obrazkiem.

Charakter pisma siostry był trudny do odczytania, litery drobne i wąskie, zupełnie jakby z bolesnym wysiłkiem wyciskała je z czubka umoczonej w atramencie stalówki.

Moja droga Sidonie,

Nie wolno Ci popaść w rozpacz. Taka jest wola Boga, to on zesłał Ci to doświadczenie. To tylko próba dla ciała; Bóg uznał, że jest Ci potrzebna i dlatego Cię wybrał. Wielu innych chorych zmarło, ale Ty nie. To dowód, że Bóg ocalił Cię z jakiegoś powodu i złożył na Twoje barki ten ciężar, który będziesz dźwigać przez resztę życia. W ten sposób Bóg okazuje, że jesteś w Jego oczach wyjątkowa.

Zostałaś kaleką, więc teraz Bóg będzie niósł Cię w ramionach, a Ty poznasz Go tak głęboko, jak nigdy nie poznają go ci, których ciała są zdrowe.

Musisz się modlić, wtedy Bóg na pewno Ci odpowie. Ja także będę modlić się za Ciebie, Sidonie.

Siostra Marie Gregory.

Ręce mi drżały, kiedy wkładałam list i karteczkę z modlitwą z powrotem do koperty.

- Co się stało, Sidonie? - spytała mama. - Strasznie zbladłaś!

32

Potrząsnęłam głową, starannie wsuwając kopertę między kartki podręcznika. Zostałaś kaleką, napisała siostra. Przez resztę życia...

Chociaż siostra Marie Gregory napisała także, że jestem wyjątkowa w oczach Boga, nagle uświadomiłam sobie, iż wcale nie oznacza to, że znowu będę chodzić. Wiedziałam jednak również, że

polio nie było próbą, zesłaną mi przez Boga, jak twierdziła siostra Marie Gregory. Tylko ja wiedziałam, dlaczego zapadłam na tę chorobę - była to kara za moje grzeszne myśli.

Odkąd Lukę McCallister pojawił się przy Larkspur Street, przestałam modlić się o wybaczenie moich występków. Przestałam wysyłać kojące myśli ku tym z naszej parafialnej wspólnoty, którzy byli chorzy lub umierający. Nie modliłam się o rychłe zakończenie wojny, która szalała w Europie. Nie modliłam się za głodujące ciemnoskóre dzieci z odległych krajów. Nie modliłam się, aby moją mamę przestały dręczyć dotkliwie artretyczne bóle ani by ojciec mógł spokojnie spać, nienękany koszmarami o statku trumnie, którym przyłynął do Ameryki.

Zamiast tego modliłam się, aby pewien chłopiec wziął mnie w ramiona i przywarł ustami do moich warg. Modliłam się, abym mogła poznać tajemnicę ciała mężczyzny, zjednoczonego z moim. Badałam własne ciało, płonące niezrozumiałym pożądaniem, i wyobrażałam sobie, że moje dłonie są dłońmi Lukę'a McCallistera. Popełniłam jeden z siedmiu grzechów głównych, pozwoliłam żądzy zamieszkać w swoim sercu, i właśnie za to zostałam ukarana.

Tydzień po liście siostry Marie Gregory znowu odwiedził mnie lekarz ze stanowej służby zdrowia. Tym razem byłam czujna, inaczej niż podczas pierwszej wizyty, i z jego twarzy wyczytałam, że w zbyt krótkim czasie widział aż zbyt wiele

33

ofiar polio. Otwarcie zmęczony i zrezygnowany, obejrzał moje nogi, sprawdził refleks i reakcje mięśni, polecił mi wykonać kilka prostych ćwiczeń i wreszcie zgodził się z tym, co napisała siostra Marie Gregory. W obecności moich rodziców, którzy stali przy łóżku z poszarzałymi od smutku twarzami, powiedział mi, że nigdy nie będę chodzić i że najlepsze, na co mogę liczyć, to życie w fotelu na kółkach. Oświadczył, że powinnam się cieszyć, choroba poraziła tylko dolne kończyny, ponieważ mój stan jest znacznie lepszy niż wielu dzieci, które, co prawda, przeżyły, ale są kompletnie sparaliżowane.

Po wizycie lekarza wróciłam do swoich modlitw, lecz teraz nie miały one już nic wspólnego z Lukiem McCallisterem.

Ojczy Niebieski, Najtąskawsza Matko - powtarzałam raz po raz, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. - Jeżeli pozwolicie mi chodzić, będę miała same czyste myśli. Nigdy więcej nie ulegnę cielesnym pragnieniom.

W czasie tego pierwszego długiego roku musiałam leżeć w łóżku albo siedzieć, podparta poduszkami. Plecy bardzo mnie bolały, jeśli siedziałam wyprostowana dłużej niż kilka minut. Margaret i Alice Ann nadal przychodziły, ale nasze stosunki nie były już takie jak dawniej. Zaczęłam rozumieć, że one - te dziewczęta, z którymi kiedyś śmiałam się do rozpuku, z którymi dzieliłam się sekretami i marzeniami - w ciągu kilku niedługich miesięcy wyrosły i stały się bardziej barwne, natomiast ja skurczyłam się i zszarzałam. Słuchałam ich, lecz teraz, zamiast bawić mnie i podtrzymywać na duchu, opowiadane przez nie historie uświadamiały mi tylko, co straciłam. Szybko stało się dla mnie jasne, że one także tak to odbierają, ponieważ w ich rozmowach zaczęły pojawiać się chwile wahania. Czasami przerywały historyjki o tym, co powiedział czy zrobił ktoś ze szkoły, albo opowieści o planowanych tańcach

34

czy zalotach jakiegoś chłopca do jednej z naszych koleżanek, zupełnie jakby nagle docierało do nich, że tylko przypominają mi o życiu, które nie było już moje. I nigdy więcej nie miało być moje. Milkły wtedy na chwilę i zerknęły na siebie z czymś, co wydawało mi się desperacją, zniecierpliwieniem lub nieskrywanym znudzeniem. Po pewnym czasie zaczęłam obawiać się pukania do drzwi, nie chciałam patrzeć, jak mama zbyt szybko zrywa się na nogi i rzuca mi pełen nadziei uśmiech, śpiesząc do drzwi. Krępowoło mnie, że tak bardzo się stara, przynosząc do mojej sypialni najpierw krzesła z kuchni dla dziewcząt, a zaraz potem tacę z lemoniadą w szklankach i talerz z ciasteczkami lub pokrojonym ciastem. Pierwszy raz w życiu wstydziłam się jej wyraźnie obcego akcentu i odrobinę zbyt donośnego głosu, kiedy zachęcała je, by czuły się jak u siebie, zostały trochę dłużej i znowu mnie odwiedziły. Mówiła do nich więcej niż ja, boja miałam im naprawdę niewiele do powiedzenia. Moje nowe życie zamknięte było w ścianach jednego pokoju.

Stopniowo odwiedziny stały się rzadsze. Wiedziałam, że mamę to smuci, odetchnęłam jednak z ulgą, kiedy po miesiącu bez wizyt koleżanek zrozumiałam, że już nie muszę się denerwować kolejnym pełnym napięcia popołudniem.

Po odebraniu pracy domowej dla mnie ze szkoły, mama w każdy piątek szła do odległej o osiem przecznic biblioteki przy Weatherstone Street i wypożyczała cztery książki, bo taki był limit. Nie obchodziło mnie, co przyniesie - czytałam wszystko. Ojciec dał mi pudło z farbami akwarelowymi, pędzle, blok kremowego papieru oraz album z fotografiami różnych kwiatów, typowych dla stanu Nowy Jork, i zaproponował, żebym próbowała je malować. Powiedział mi, że jako dziecko zdradzałam spore zdolności plastyczne, a jeden z moich

35

nauczycieli uznał, że mam niezwykle oko do barw, kształtów i perspektywy. Zaskoczyło mnie to, ponieważ wcześniej nigdy mi o tym nie wspominali. Zawsze lubiłam rysować i malować na przypadających raz w tygodniu zajęciach plastycznych, nie miałam jednak dość cierpliwości, aby długo siedzieć nad szkicem czy obrazkiem i wolałam spędzać czas na dworze.

Rodzice przynieśli mi też kociaka o rdzawej jak miedź sierści. Nadałam kotce imię Cinnabar, bo jej futerko kojarzyło mi się nie tylko z miedzią, ale i z cynamonem. Dość szybko zorientowałam się, że jest kompletnie głucha, ponieważ nie reagowała na żadne dźwięki, ani ciche, ani głośne. Nie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia, może tylko jeszcze mocniej ją pokochałam. Odgłos jej rytmicznego mruczenia i ciepła sierść pod palcami działały na mnie kojąco, kiedy czytałam albo po prostu leżałam ze wzrokiem utkwionym w małym oknie naprzeciwko łóżka, próbując przypomnieć sobie, co czułam, kiedy chodziłam czy biegałam.

W ciągu tego pierwszego roku rodzice kupili mi gramofon oraz fonograficzne cylindry z nagranyymi suitami Peer Gynt Griega. Tata codziennie rano nastawiał jeden z cylindrów, szykując się do pracy, budziły mnie więc tony Tańca Anitry, W grocie Króla Gór lub Pieśni Solweigi.

Któregoś dnia mama poleciła ojcu, by przeniósł do kuchni stary szezlong z ganku, żebyśmy mogły spędzać czas razem, kiedy ona pracowała przy maszynie do szycia, stojącej na kuchennym stole. Od tego czasu rano przed wyjściem tata przenosił mnie na szezlong, a mama ustawiała obok mały stolik, a na nim gramofon i cylindry z muzyką Griega, książki oraz farby i papier, i przywoływała Cinnabar.

Potem przysuwawa sobie krzesło do stołu, przy którym przyszywała kieszenie i rękawy do ubrań, i podszywała listwy męskich marynarek na zlecenie pewnej niewielkiej firmy odzieżowej. Ja czytałam,

36

malowałam i bawiłam się z Cinnabar. Po paru tygodniach pozwoliła mi fastrygować, a jeśli coś jej nie wyszło, rozpruwałam złe szwy. Dzięki temu mama mogła wykończyć więcej marynarek niż wcześniej.

Jeżeli nie słuchałam muzyki z gramofonu, mama śpiewała pracując, głównie piosenki francuskie, których nauczyła się jako dziecko w Quebecu. Czasami prosiła mnie, żebym jej poczytała. Dopiero po pewnym czasie, kiedy czytanie na głos przerodziło się w codzienną rutynę, uprzytomniłam sobie, że przynosiła teraz z biblioteki książki, które czytałaby sama, gdyby miała na to czas. Niektóre z nich były po francusku. Musiałam czytać naprawdę głośno, by nie zagłuszał mnie rytmiczny stukot maszyny. Żeby lektura była bardziej wciągająca, zaczęłam udawać głosy bohaterów. Czasami, gdy przeczytałam wyjątkowo poruszający, ekscytujący czy zabawny fragment, ręce mamy nieruchomiały i spoglądała na mnie, z głową leciutko przechyloną na bok, z zaskoczeniem, niepokojem lub uśmiechem, w zależności od treści książki.

- Masz taki piękny głos, kochanie - powiedziała kiedyś. - Tak pełen wyrazu i melodyjny. Mogłabyś być...

Przerwała.

- Kim mogłabym być? - spytałam, ostrożnie odkładając książkę.

- Nic, nic... Czytaj dalej, proszę...

Ale ja nie mogłam dalej czytać. Jej słowa, to niedokończone, zawieszony w próżni „mogłabyś być” uderzyło mnie ogromem treści, który wstrząsnął mną do głębi.

„Mogłabyś być”. Co chciała powiedzieć? Czy przypomniała sobie, że kiedy byłam małą dziewczynką, może dziesięcioletnią, oświadczyłam, że zostanę sławną aktorką, a oni będą przyjeżdżać do Nowego Jorku, żeby oglądać mnie na scenach Broadwayu? Wróciłam myślami do planów, które snułam razem

37

z Margaret i Alice Ann, jak to kiedyś wyjedziemy do Nowego Jorku, znajdziemy sobie wspólne mieszkanko na pięttrze i pracę w sklepie Saks przy Fifth Avenue, gdzie będziemy sprzedawać rękawiczki z przepięknej skóry i niebiańskie perfumy wspaniale ubranym damom, od niechcenia przechadzającym się między stoiskami. Margaret regularnie jeździła do Nowego Jorku ze swoją matką i to właśnie ona opowiadała mi o sklepach i wystawianych na Broadwayu sztukach.

Oczywiście teraz żadne z tych marzeń nie miało najmniejszych szans na spełnienie. Nie dla dziewczyny, która nie mogła podnieść się z łóżka, nawet gdyby ta dziewczyna stała się kobietą poruszającą się w fotelu na kółkach... Nie mogłabym zamieszkać w mieszkanku na pięttrze, prawda? Nie mogłabym stanąć za ladą w stoisku z rękawiczkami czy perfumami.

Kim mogłam teraz być? Czym? Nagle w moich uszach zabrzmiał cichy, zimny głos, w jakiś sposób podobny do czarnych, napisanych wąskimi literami słów siostry Marie Gregory, która nazwała mnie

kaleką. Nagle pojęłam, że moje życie już zawsze ograniczone będzie do tego szezlongu, tej kuchni, tego domu i podwórka.

Przez cały następny tydzień rano mówiłam mamie, że boli mnie głowa i nie chcę opuszczać sypialni. Kazałam jej zasłaniać okno, powtarzając, że światło podrażnia mi oczy i że muzyka z gramofonu nasila ból głowy. Siadała obok mnie i kładła mi na czole chłodną dłoń o powykręcanych artretyzmem palcach.

- Mam wezwać lekarza? Co się dzieje, Sidonie? Czy znowu bolą cię plecy?

Odwracałam się, uciekałam przed jej dotykiem. Co się działo? Nic takiego, zobaczyłam tylko, jak drzwi do przyszłości zatrząskują się przede mną raz na zawsze, nieodwracalnie. Tylko tyle.

38

Obarczyłam ją winą za to, że tymi dwoma prostymi słowami w całej pełni uświadomiła mi, co się stało. Zimny, obojętny głos w mojej głowie mówił mi teraz, że właściwie nic nie ma sensu: przestałam malować, uparcie utrzymując, że już mnie to nie interesuje, przestałam pomagać matce, tłumacząc, że wypruwanie ściągów jest zbyt trudne dla moich oczu, które chyba uległy osłabieniu przez polio, przestałam czytać na głos, tłumacząc, że boli mnie gardło. I konsekwentnie uciekałam wzrokiem przed jej spojrzeniem, zamysłonym i bystrym.

To nie była jej wina - doskonale to rozumiałam i nie chciałam, aby znała prawdę. Nie chciałam zranić jej jeszcze głębiej, dając do zrozumienia, że to ona nieświadomie kazała mi spojrzeć w zwierciadło mojego życia. Bez wątplenia w pewnym momencie sama bym w nie spojrzała, może tydzień później, może miesiąc później...

Ale jednak nie zrobiłam tego z własnej woli. To mama zmusiła mnie do tego i za to byłam na nią zła.

Kiedy mama dwa razy dziennie odkrywała moje bezwładne nogi i masowała je, stosując się do wskazówek pielęgniarki, patrzyłam w sufit. Pochylała się i ugniatała, pochylała się i ugniatała. Wiedziałam, że to również nie ma sensu, rozumiałam jednak, jak bardzo potrzebna jest jej wiara, że zapobiega zanikowi mięśni w moich udach i łydkach, i że dzięki temu przekonaniu jej powykręcane artretyzmem dłonie, które z pewnością bolały jeszcze bardziej z powodu dodatkowego obciążenia, w jakiś sposób znajdują nowe pokłady siły.

Gdy teraz mówiłam, że potrzebuję metalowego basenu, który stał pod łóżkiem - z jej pomocą, gdy za wszelką cenę starałam się unieść nogi, rozpaczliwie ciężkie i bezwładne, jakoś dawałyśmy sobie radę - nie patrzyłam na nią. Wydawało mi się, że na jej twarzy widzę litość oraz fałszywą pogodę ducha, maskę, dzięki której tak skutecznie udawała, że

39

wynoszenie i wylewanie ohydnej zawartości basenu wcale jej nie przeszkadza. Oczyma wyobraźni widziałam, jak robi to do końca swojego życia.

Po jakimś czasie wróciłam na szezlong w kuchni, ponieważ w moim pokoju chciało mi się krzyknąć z nudy i frustracji. Powiedziałam, że znowu czuję się dobrze i podjęłam dawne zajęcia; znowu pomagałam mamie i czytałam jej, bo było to lepsze od leżenia w samotności przez całe dni.

Nie wiem, czy moi rodzice mieli świadomość, że coś się zmieniło, że coś we mnie pękło. Zachowywali się tak jak zawsze.

Kiedy ojciec późnym popołudniem wracał z pracy, oboje z mamą siadali do kolacji przy kuchennym stole, z którego wcześniej zdejmowali maszynę do szycia oraz stopy marynarek, rękawów i kieszeni. Ja jadłam z tacą na kolanach. Jednak teraz, zamiast podsuwać Cinnabar smakowite kąski albo brać udział w rozmowie, obserwowałam ich w milczeniu. Patrzyłam na siwiejącą głowę taty, pochyloną nad talerzem, i na ślad na jego karku, gdzie sztywny kołnierzyk uniformu szofera odcisnął się ciemnoczerwonym paskiem. Reszta skóry na szyi taty wydawała się dziwnie delikatna w zestawieniu z tym ciemniejszym miejscem.

Mama trochę niezgrabnie trzymała nóż i widelec, ponieważ palce i knykcie miała obrzmiałe i sztywne. Podobnie jak wcześniej, rodzice rozmawiali o drobnych wydarzeniach, najświeższych plotkach i cenie wieprzowiny albo herbaty. Mówili też o wciąż toczącej się w Europie strasznej wojnie i swoich obawach, że nasi chłopcy będą musieli wkrótce włączyć się do walki, ale gdy próbowali wciągnąć mnie do rozmowy, pytali, co czytam lub gawędzili o pogodzie czy o moich przyjaciółkach, które gdzieś spotkali, odpowiadałam tylko monosylabami.

Zachowywali się tak, jakby świat był takim samym miejscem jak wcześniej. Zanim zachorowałam na polio.

40

Nie widzicie, co się stało, miałam ochotę krzyknąć. Jak możecie udawać, że nic się nie zmieniło?! Jak możecie siedzieć tak spokojnie, rozmawiając i jedząc, zupełnie jakby był to normalny dzień?

Wiedziałam, że moje życie już nigdy nie będzie takie samo. Że nigdy więcej nie pobiegnę naszą spokojną ulicą, czując, jak wiatr rozwiewa mi włosy, że nigdy nie usiądę na mojej starej huśtawce na podwórku i nie uniosę się wysoko, rytmicznie pracując nogami i czując przyjemne uderzenia powietrza oraz ten cudowny zawrót głowy, gdy zamknę oczy. Nigdy nie okręcę się przed lustrem w pięknych pantofelkach na wysokim obcasie, nigdy nie przejdę się zatłoczoną ulicą razem z przyjaciółkami, oglądając wystawy i planując przyszłość, nigdy nie zatańczę, otoczona ramionami przystojnego chłopca.

Nie miałam najmniejszych szans na normalne życie, a moi rodzice udawali, że w ogóle o tym nie myślą. Udawali, że nie widzą, jak siedzę w kącie kuchni niczym podparta poduszką lalka, i właśnie za to byłam na nich wściekła.

Wiedziałam, że mnie kochają i robią wszystko co w ich mocy, aby uprzyjemnić mi życie, ale przecież nie miałam nikogo innego, na kogo mogłabym się gniewać. Nie mogłam gniewać się na Boga, ponieważ Go potrzebowałam. I dlatego w milczeniu podsycalam swoją złość na rodziców za każdym razem, gdy wybuchali śmiechem czy spoglądali na mnie z czułością, za każdym razem, gdy mama pokazywała mi jakiś wykrój i pytała, czy chciałabym, aby uszyła mi nową sukienkę, gdy tata podnosił jeden z moich obrazków do światła, potrząsał głową i mówił, że nie ma pojęcia, skąd u mnie ten talent.

Teraz nawet malowanie nie sprawiało mi żadnej przyjemności. Nauczyłam się kochać dotyk pędzla, widok kolorów, zlewających się w wielobarwne plamy na grubym papierze, świadomość, że umiem stworzyć światło i cień, subtelnie

41

zmieniając nacisk dłoni. Uwielbiałam uczucie satysfakcji, które odczuwałam, gdy jakiś obraz przepływał z mojego umysłu do ręki i pojawiał się na pustej kartce.

Jedyną drobną radość czerpałam teraz z głaskania Cinnabar, szeptania do niej i tulenia jej do piersi, jakby była maleńkim dzieckiem, a ja jej matką. Tu dawało o sobie znać jeszcze jedno z niekończącej się listy „mogłabyś być” - zdawałam sobie sprawę, że nigdy nie wezmę w ramiona własnego dziecka.

Pod koniec tego pierwszego roku stałam się nową Sidonie, która raz na zawsze pożegnała się ze wszystkimi nadziejami i marzeniami. Widziałam je jako jasne, pulsujące światła, nad którymi zamyka się wieko drewnianej szkatuły, grube, twarde i niewyobrażalnie ciężkie, po prostu nie do uniesienia.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Minął drugi rok i powoli zaczęły pojawiać się pewne zmiany. Wreszcie byłam w stanie usiąść bez niczyjej pomocy i o własnych siłach przenieść się z łóżka na inwalidzki fotel. Po wielu próbach i upadkach nauczyłam się podciągać na rękach i unosić ciało, podpierając jego ciężar bezwładnymi nogami, co dało mi pewną swobodę. Nie musiałam już czekać, aż mama przyjdzie i pomoże mi skorzystać z basenu albo się umyć; mogłam sama pojechać fotelem do łazienki czy kuchni. Mogłam jadać przy stole, razem z rodzicami. Jeżeli tata lub mama przepchnęli fotel przez wysoki próg, w ładne dni mogłam siedzieć na ganku.

Dzięki temu mój nastrój uległ znacznej poprawie. Siedząc na ganku, pewnego ciepłego wieczoru, roześmiałam się na widok Cinnabar, która skoczyła w górę jak na sprężynie, przestraszywszy się dużego konika polnego. Rodzice natychmiast wyszli do mnie, a ja opowiedziałam im o Cinnabar i koniku.

Ojciec stanął za moimi plecami, położył dłoń na moim ramieniu i lekko je ścisnął.

- Usłyszeliśmy twój śmiech pierwszy raz od... - przerwał, odwrócił się gwałtownie i wszedł do domu.

W tym momencie w pełni dotarło do mnie, jak bardzo rodzice czekali na tę najprostszą i najbardziej ludzką reakcję

43

z mojej strony - śmiech. Pojęłam, że naprawdę z wielkim bólem czekali, aż się uśmiechnę, porozmawiam z nimi o zwyczajnych rzeczach, namaluję coś z radością i pasją. Pragnęli, żebym była szczęśliwa.

Miałam świadomość tego, ile dla mnie zrobili. Skończyłam już siedemnaście lat. Nawet jeśli nigdy nie zdołam zaakceptować tego, co zgotował mi los, dla ich dobra mogłam udawać, że mimo wszystko znajduję radość w życiu. Przynajmniej tyle byłam im winna.

Następnego dnia poprosiłam mamę, by nauczyła mnie obsługiwać się maszyną do szycia. Powiedziałam, że mogłabym pomagać jej, kiedy będzie zmęczona. Wargi jej zadrżały i pośpiesznie zasłoniła je dłonią o okropnie powykęcanych palcach. Nagle spostrzegłam, że włosy ma zupełnie siwe... Kiedy to się stało?

Znowu zaczęłam malować i przeglądać książki i albumy o roślinach, które mama przynosiła mi z biblioteki.

I w ciągu kilku miesięcy nauczyłam się czegoś niezwykle ważnego - że w pewnej trudnej do określenia chwili zachowanie, które z początku było wymuszone, może przerodzić się w najzupełniej naturalne.

Teraz coraz częściej śpiewałam razem z mamą, kiedy siedziałyśmy razem przy kuchennym stole. Szyłam sama, ponieważ jej dłonie były już zbyt obolałe, dochód z krawieckich zleceń pozwalał nam na pewną swobodę finansową. Mama zawsze siedziała obok mnie, patrząc, jak lewą ręką przesuwam materiał pod igłą, a prawą obracam kołem, i czasami to ona czytała mi na głos.

Rozmawialiśmy o wojnie w Europie, na którą już wysłano naszych chłopców i mama opowiadała mi o moich znajomych ze szkoły, którzy dawno się ode mnie odsunęli.

44

Pod koniec drugiego roku dowiedziałam, że lekarz i siostra Marie Gregory nie mieli racji. Możliwe, że zadecydowało o tym połączenie kilku powodów - zbyt szybko postawiona przez zmęczonego lekarza diagnoza, siła i odporność mojego organizmu, masaże i ćwiczenia mięśni, z poświęceniem wykonywane przez mamę, moja determinacja, aby wstać ze zniechęconego fotela, a może, może także żarliwa modlitwa.

Założono mi ciężkie metalowe szyny, obejmujące nogi od kostki aż po udo. Wrzynały mi się w ciało, ale utrzymywały nogi w pionie i nie pozwalały im się załamywać. Dzięki nim i kulom mogłam dźwignąć się z fotela. Z początku tylko ciągnęłam nogi za sobą, wsparta na stwardniałych, mocno umięśnionych ramionach, z coraz grubszą warstwą odcisków od kul pod pachami, lecz po pewnym czasie zaczęłam wyrzucać przed siebie nogi od bioder i przesuwając stopy po podłodze. Prawą nogę miałam teraz krótszą, zamówiliśmy więc solidne trzewiki, prawy miał grubszą podeszwę. Oczywiście była to parodia chodzenia, ale znowu stałam i potrafiłam przemieszczać się z miejsca na miejsce, chociaż robiłam to bardzo powoli.

Stałam, chodziłam... Moje modlitwy zostały wysłuchane, jednak tamten chłodny głos w mojej głowie wcale nie umilkł. Fizycznie byłam teraz bardziej podobna do dawnej Sidonie, lecz jej natura uległa bezpowrotnej przemianie.

Życie zmieniło się również pod innymi względami. Nie chciałam wychodzić poza nasze podwórko. Nie wróciłam do starych przyjaciół, bo teraz, gdy zbliżałam się do swoich dziewiętnastych urodzin, wszystkie moje koleżanki skończyły już szkołę. Chociaż ani Margaret, ani Alice Ann nie wyjechały do Nowego Jorku, jak kiedyś planowałyśmy, pierwsza podobno poszła na kursy nauczycielskie, a druga

sprzedawała kapelusze w eleganckim sklepie. Inne dziewczęta uczyły się pisać na maszynie albo szkoliły się na pielęgniarki, kilka wyszło już za

45

mąż. Wielka Wojna dobiegła końca i wielu młodych mężczyzn wróciło już do Albany. Niektórzy na zawsze pozostali na polach bitewnych za oceanem.

Malowanie sprawiało mi teraz wielką przyjemność i codziennie z zapałem przenosiłam na papier wizerunki roślin. Nie skończyłam ostatniej klasy, chociaż nauczyciele proponowali, że przyniosą testy, abym w ich obecności mogła napisać je w domu. Po prostu straciłam zainteresowanie szkolnymi zadaniami, poza tym przestałam widzieć jakikolwiek sens w kończeniu szkoły. Nie miałam przecież szans na podjęcie życia w normalnym świecie albo nawet wyjście na główne ulice Albany.

Mój ojciec był wstrząśnięty, gdy powiedziałam mu, że nie zależy mi na dyplomie ukończenia szkoły średniej.

- Nie przyjechałem do tego kraju, o mały włos nie pożegnawszy się z życiem na pokładzie cuchnącego, zainfekowanego cholera statku po to, aby moje własne dziecko odmawiało zdobycia wykształcenia, które podaje mu się dosłownie na półmisku! Co ja bym dał, żeby mieć twoje możliwości! Naprawdę nie chcesz zdobyć wykształcenia, nauczyć się jakiegoś zawodu? Mogłabyś nauczyć się pisać na maszynie i pracować w biurze, albo zostać telefonistką! Mogłabyś szyć ubrania w fabryce, bo przecież już teraz świetnie radzisz sobie z maszyną do szycia! Jest wiele zawodów, które nie wymagają długiego chodzenia czy stania... Matka byłaby z ciebie taka dumna. Byłabyś z niej dumna, prawda?

Spojrzałam na mamę. Nie odpowiedziała, rzuciła mi tylko krótki, zachęcający uśmiech, splatając pokrzywione palce.

- Sidonie mogłaby zdobyć każdy zawód - powiedziała. Mocno zacisnęłam wargi. Co za głupstwa! Nie byłam już

dzieckiem, a na dodatek byłam kaleką... Czyżby uważała, że wciąż jej wierzę? Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale ojciec znowu się odezwał.

46

- Tak, mogłabyś pracować w dowolnym zawodzie, naturalnie do czasu, gdy wyjdiesz za mąż.

Zmarszczyłam brwi. Małżeństwo? Kto ożeniłby się ze mną, z moimi ciężkimi czarnymi trzewikami, jednym z grubszą podeszwą, i tym głośnym szuraniem nogami po podłodze?

- Nie! Nie chcę szyć w fabryce, pracować jako sekretarka ani telefonistka!

-Więc co chciałabyś robić? Nie masz jakichś marzeń? Wszyscy młodzi ludzie powinni mieć marzenia! „Krasnoludki, zamczyska, powodzenie i śmiech, kołysanki, marzenia i miłość aż po grób” - zacytował słowa piosenki.

Znał mnóstwo banalnych powiedzonek o życiu, był prawdziwą kopalnią bezsensownych irlandzkich przysłów.

W milczeniu podniosłam Cinnabar z podłogi i ukryłam twarz w gęstym miedzianym futerku na jej karku.

Co było moim marzeniem?

- Teraz nie masz już żadnej wymówki, Sidonie! . Uniostałam głowę i spjrzałam na niego.

- Możesz się poruszać, chociaż oczywiście nie tak sprawnie, jak dawniej! Nie ma powodu, abyś bez przerwy siedziała w domu! Wiem, że Alice Ann wydaje dziś wieczorem przyjęcie, kiedy wracałam, widziałem tłum młodych ludzi na jej ganku, roześmianych i rozgadanych. Nie jest jeszcze za późno, kochanie, może miałabyś ochotę się tam wybrać? Odprowadziłbym cię, co ty na to? To niedobrze, że cały czas siedzisz w domu, tylko z książkami i farbami...

Oczywiście nie byłam zaproszona do Alice Ann, nie rozmawiałam z nią od czasu tamtych mało przyjemnych wizyt dwa lata wcześniej, jednak nawet gdybym otrzymała zaproszenie, czułabym się zbyt skrępowana tym żalnym wyrzucaniem nóg do przodu przy każdym kroku. Metalowe szyny obwieszczały moje pojawienie się głośnym szczękaniem, kule

47

czasami zaczepiały o meble albo ślizgały się na nieprzykrytej dywanem podłodze. Poza tym byłam teraz dziwnie niepewna i oderwana od rzeczywistości; nie umiałam już rozmawiać z ludźmi. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić siebie na przyjęciu. Chwilami miałam wrażenie, że jestem starsza od własnych rodziców. Jakim cudem mogłabym znowu rozbudzić w sobie zaciekawienie plotkami i głupimi żartami?

- Nie chcę nigdzie iść, tato! - odparłam, odwracając się.

- Powinnaś przestać uważać się nad sobą, dziewczyno - powiedział. - Znam dużo ludzi, których życie jest gorsze od twojego. Naprawdę gorsze. Dostałaś nową szansę, nie zmarnuj

Jej!

- Wiem - odparłam.

Byłam pewna, że zaraz usłyszę kazanie na temat głodu w Irlandii, zwłokach leżących całymi stosami, o gotowaniu starych szmat, ostatnich ubrań, byle tylko było coś do przeżuwania.

- Wiem - powtórzyłam.

Wciąż trzymając Cinnabar, wyszłam na podwórko za domem i usiadłam na starej huśtawce. Odpychałam się od ziemi silniejszą nogą i przypominałam sobie cudowne wrażenie, z jakim dawniej unosiłam się wysoko w powietrze. Teraz po prostu lekko kołysałam się w tę i z powrotem.

Odchyliłam głowę do tyłu i popatrzyłam na zapalające się na niebie wieczorne gwiazdy. Jesienna noc była chłodna, a gwiazdy podobne do śladów wyciętych w ciemnej tkaninie czubkiem noża, twardym i ostrym.

Była to pierwsza z tego rodzaju rozmów, jakie na przestrzeni następnych lat odbyłam z ojcem.

- Powinnaś wyjść do świata, Sidonie - powtarzał mi często. - Przebywanie tylko ze starymi rodzicami to nie jest życie dla młodej dziewczyny!

48

- Lubię być w domu, tato - odpowiadałam, naprawdę szczerze.

Po pewnym czasie zaczęłam chodzić, nie powłóczęc nogami, chociaż nadal poruszałam się powoli i niezgrabnie, o kulach, lekko pochylona do przodu w talii, z metalowymi szynami aż do ud. Wreszcie wymieniałam zniechęcone kule na laski, a po dwóch latach, kiedy nogi stały się silniejsze, pozbyłam się długich szyn i zamiast nich dostałam krótkie, prawie niewystające ze skórzanych trzewików. Lewą nogę miałam dość mocną, ale wciąż utykałam na prawą.

Wiedziałam, że wcześniej użalałam się nad sobą i pogrążałam w zgorzknieniu, tak jak powiedział ojciec, lecz te uczucia przycichły i minęły, teraz zaakceptowałam swoje ograniczone, spokojne życie. W pełni mi odpowiadało - wszyscy w sąsiedztwie dobrze mnie znali i nie musiałam nikomu niczego tłumaczyć. Byłam Sidonie O'Shea, która cudem wyszła z polio, pomagała matce zajmować się domem przy Juniper Road i hodowała rośliny tak piękne, że przechodnie przystawali, aby popatrzeć na nie z najprawdziwszym zachwytem.

Kochałam nasz mały domek, który dzierżawiliśmy od najbliższych sąsiadów, państwa Barlow. Ten dom miał w moich oczach cechy ludzkie - zaciek po ulewie na suficie mojego pokoju wyglądał jak twarz starej kobiety, śmiejącej się z otwartymi ustami, ciche postukiwanie gałęzi topoli w okno saloniku brzmiało jak taneczne kroki stóp w pantofelkach o miękkich podeszwach na porządnie wyczyszczonej piaskiem podłodze, a piwnica, gdzie składowaliśmy na zimę ziemniaki, cebulę oraz inne warzywa, przyjemnie pachniała zapasami i wapnem.

W miarę jak moją matkę coraz bardziej obezwładniał artretyzm, zaczęłam przejmować jej obowiązki. Gotowałam i piekłam, prałam, prasowałam i sprzątałam. Doszywanie rękawów i kieszeni do ubrań skończyło się wraz z wybudowaniem

49

nowej szwalni na obrzeżach Albany i chociaż wiedziałam, że będziemy dysponować mniejszym dochodem, w głębi duszy odetchnęłam z ulgą, ponieważ ta praca potwornie mnie nudziła. Cieszyłam się jednak, że mamy naszą starą maszynę do szycia, ponieważ zaczęłam sama szyc sobie sukienki. Od czasu do czasu musiałam prosić tatę, żeby pożyczył furgonetkę pana Barlowa i zawiózł mnie po materiały i wykroje, ale przynajmniej nie chodziłam do lokalnych sklepów z ubraniami, gdzie mogłam się natknąć na młode kobiety, które dawniej dobrze znałam.

Jesienią oczyszczałam ogród z martwych, szerniałych od mrozu liści i pędów, okrywałam słomą korzenie bardziej delikatnych roślin i sadziłam cebulki nowych, już z myślą o następnej wiosnie. Zimą przeglądałam książki o ogrodnictwie i malowałam swoje wizje projektów ogrodu, a kiedy tylko stopniały ostatnie śnieżne zasy, chodziłam po ścieżkach, które tata na moją prośbę wyłożył kamieniami, i napawałam się widokiem pierwszych krokusów i przebiśniegów, hiacyntów, tulipanów i żonkili, i przemawiałam do nieśmiałych, różowych pędów peonii, zachęcając je do wychynięcia na coraz cieplejsze powietrze.

Latem namawiałam ojca, aby furgonetką pana Barlowa zawiózł mnie na bagniska w pobliskim Pine Bush, gdzie rysowałam faunę i florę, aby po powrocie do domu na podstawie szkiców malować akwarele.

I, niezależnie od pory roku, trwałam przy złożonej Bogu obietnicy. W odmawianych bez końca modlitwach w najtrudniejszym okresie mojego życia przyrzekłam, że jeżeli znowu będę mogła chodzić, nie pozwolę sobie na żadne nieczyste myśli. Minęło już parę lat, byłam świadoma, że wyzdrowienie w dużej mierze zawdzięczam odporności własnego organizmu oraz sile woli, ale jakaś część mojego umysłu pozostała

50

na tyle przesądna, by wierzyć, że zapewne musiałabym w jakiś sposób zapłacić za złamanie słowa.

Udało mi się uciszyć pragnienia ciała, chociaż nie przyszło mi to łatwo. Chciałam się dowiedzieć, na czym polega miłość mężczyzny, poznać gorące uczucia i namiętny dotyk. To jasne, że jeśli nadal będę prowadziła takie życie jak dotąd, nigdy nikogo nie poznam, nie bardzo jednak wiedziałam, jak to zmienić. Jedno było zupełnie jasne - żaden mężczyzna nie zamierzał zapukać do drzwi naszego domu przy Juniper Road, szukając Sidonie O'Shea.

Mama zachorowała niedługo po moich dwudziestych trzecich urodzinach. Najpierw zapadła na zapalenie oskrzeli, potem na zapalenie płuc, które przygasało, lecz po pewnym czasie znowu atakowało. Pielęgnowałam ją tak, jak kiedyś ona mnie - karmiłam ją, czesałam jej włosy, delikatnie masowałam dłonie i stopy, aby złagodzić bóle artretyczne, pomagałam z basenem, robiłam rozgrzewające okłady na piersi. Czasami, kiedy nie męczyły jej duszności, wciąż próbowała śpiewać swoje francuskie piosenki zachrypniętym, cichym głosem, a ojciec i ja spoglądaliśmy na siebie z niepokojem.

Tata znowu przestawił stary szezlong z ganku do kuchni, lecz teraz to mama spędzała na nim dni, podparta poduszkami. Przyglądała się, jak przygotowuję posiłki i ze szczególną przyjemnością obserwowała, jak przykładam wykroje do materiałów, wycinam fragmenty ubrań, fastryguję je i zszywam.

Po kolejnym, wyjątkowo ciężkim nawrocie choroby lekarz powiedział nam, że śmierć mamy to tylko kwestia czasu, ponieważ jej biedne płuca są na wykończeniu.

Oboje siedzieliśmy przy niej tamtej nocy, po wyjściu lekarza. Tata mówił do niej i chociaż nie była w stanie odpowiedzieć, wyraz jej oczu świadczył, że wszystko rozumie. Jej pierś

51

unosila się i opadała z rozpaczliwym, grzechotliwym rżeniem, przypominającym ostry szelest gnieczonego papieru. Ojciec chwilami nucił, nachylając się do jej ucha. A ja... Co robiłam? Nerwowo spacerowałam po ich sypialni, chodziłam i chodziłam, czując jak moje własne płuca wypełniają się płynem, w którym powoli tonę, tak samo jak mama. Z trudem przełykałam ślinę, bo ściśnięte gardło paliło żywym ogniem. Bolały mnie usta i oczy.

Wtedy zrozumiałam, że chce mi się płakać. Nie uroniłam ani jednej łzy od ośmiu lat, od chwili, gdy jako szesnastolatka często płakałam, wstrząśnięta świadomością, że nie będę mogła chodzić.

Oduczyłam się płakać, lecz ucisk i pieczenie, które teraz czułam w oczach, gardle i klatce piersiowej, był tak wielki, że wydawało mi się, że zaraz pęknie mi głowa albo serce.

Podeszłam do łóżka i usiadłam na jego brzegu, sięgając po zniekształconą przez artretyzm rękę mamy. Pamiętałam, jak jej dłonie zapewniały mi opiekę i kojący ból. Otworzyłam usta, próbując pozbyć się ściskającego mi gardło bólu, lecz on tylko się nasilił.

Tata lekko dotknął mojego ramienia. Spojrzałam na niego i zobaczyłam łzy, spływające po jego policzkach.

-Tato... - wyszeptalam zdławionym głosem, szukając u niego pomocy.

Moja matka umierała, a jednak to ja prosiłam o pomoc... Przysunął swoje krzesło bliżej i objął mnie ramieniem.

- Płacz, Sidonie... „Musi spaść deszcz łez, aby nadszedł czas zbioru zrozumienia”. - Jego wargi wykrzywił smutny spazm, w niczym niepodobny do uśmiechu.

Jeszcze jedno z jego irlandzkich przysłów, lecz tym razem jakże potrzebne...

- Tato - jęknęłam nieoczekiwanie. - Tato...

52

- Powiedz jej... -Wskazał głową mamę. - Powiedz jej!

I wtedy zrozumiałam, co muszę zrobić. Położyłam się obok mamy, z głową na jej ramieniu. Leżałam tak bardzo długo. Jej oddech był spazmatyczny i płytki, mój szybki, przerywany.

Zadałam sobie wtedy kilka pytań. Dlaczego nigdy nie powiedziałam mamie, że ją kocham? Dlaczego nigdy nie dałam jej do zrozumienia, że doceniam to, co dla mnie robiła, nie tylko gdy byłam dzieckiem albo kiedy leżałam w łóżku, niezdolna zadbać o siebie, ale także później, kiedy wróciłam do zdrowia na tyle, na ile było to możliwe, lecz nadal byłam od niej całkowicie zależna? Dlaczego nigdy nie powiedziałam jej, że wiem, jaki wpływ ma na nią moja choroba i wynikający z niej później stosunek do świata? Czy po prostu zakładałam, że mama i tak wszystko rozumie?

Byłam jej cudem. Wiązała ze mną nadzieje i marzenia, liczyła, że pójdę w świat, wykorzystam swoje szansę i nauczę się wielu nowych rzeczy. Że znajdę satysfakcję w pracy, pomaganiu innym, nawiązywaniu i pielęgnowaniu przyjaźni. Że wyjdę za mąż i urodzę dzieci. Tymczasem ja uczyniłam z tego, co mnie spotkało, broń przeciwko samej sobie. Byłam jej cudem, ale stałam się zamknięta w sobie i milcząca.

Nie wykorzystałam żadnych szans.

Kiedy zaczęłam szeptem mówić jej o wszystkim, co chciałam i musiałam powiedzieć, mięśnie mojego gardła wreszcie się rozluźniły i z moich oczu popłynęły łzy. Płakałam i szeptałam do niej, dopóki nie umarła, tuż po północy.

Później płakałam dalej i nie mogłam przestać.

I ojciec, i ja opłakiwaliśmy mamę każde na swój sposób. Ja często wybuchalam nieopanowanym szlochem, który usiłowałam stłumić w swoim pokoju. Cinnabar obserwowała mnie spokojnie ze swego miejsca w nogach łóżka. Tata przeżywał

53

żałobę w milczeniu - często siadał na schodach prowadzących na podwórko na tyłach domu i wpatrywał się w ogrodzenie.

- Wiesz, chciała projektować sukienki - odezwał się kiedyś, gdy usiadłam obok niego, zupełnie jakbym przerwała mu w środku myśli. - Ale zamiast tego wyszła za mnie i zostawiła swój dom i wszystko, co dobrze znała...

Podniósł ze schodka jakąś drzazgę i zaczął przyglądać się jej z taką uwagą i skupieniem, jakby kryła w sobie odpowiedzi na najważniejsze pytania. Nie miałam pojęcia, że mama miała takie marzenia.

-Jesteś do niej bardzo podobna, Sidonie. Tak samo wrażliwa, inteligentna i pełna determinacji.

Do płaczu pobudzało mnie dosłownie wszystko. Płakałam, poruszona pięknym lśnieniem słonecznych promieni na głuchych uszach Cinnabar. Płakałam, widząc jakąś młodą parę, idącą ulicą z dziecięcym wózkiem. Płakałam, kiedy znalazłam maleńki szkielecik niewyklutego ptaszka w popękanej skorupce pod lipą. Płakałam, kiedy zabrakło nam mąki.

Płakałam dzień w dzień przez trzy miesiące, a potem co drugi dzień, przez następne dwa. Płakałam każdego tygodnia przez kolejne dwa miesiące, a gdy w końcu przestałam płakać, zorientowałam się, że od śmierci mamy minął już prawie rok.

Mój ojciec był łagodnym człowiekiem o pięknym, śpiewnym irlandzkim głosie, ale po śmierci mamy odzywał się coraz rzadziej. Było nam dobrze razem; z czasem wpadliśmy w pewną rutynę, która odpowiadała nam obojgu, i poruszaliśmy się po domu niczym dwa pasemka dymu, płynące w powietrzu równolegle do siebie, nigdy się nie stykając, lecz czerpiąc pociechę i zadowolenie ze swej harmonijnej obecności. Wieczorem czytaliśmy po kolacji, nie tylko książki, ale i codzienne gazety. Ja nadal wybierałam powieści, tata biografie i opracowania

54

historyczne. Czasami rozmawialiśmy o naszych lekturach, komentowaliśmy jakieś wiadomości albo czytaliśmy na głos szczególnie interesujące fragmenty książek.

Poza sobą nie mieliśmy już nic.

Odejście mamy wpłynęło jednak nie tylko na stan emocjonalny ojca - po pewnym czasie zauważyłam, że jakby zmalął fizycznie, poruszał się niepewnie. Szybko stało się jasne, że wzrok pogarsza mu się zbyt gwałtownie, aby nadal mógł pracować jako szofer, chociaż cały czas nosił okulary. Być może zaczął zawodzić go także refleks. Pierwszy wypadek był bardzo drobny, tata tylko otarł się o słup latarni, kiedy próbował zaparkować drogie, lśniące auto swego pracodawcy, lecz parę dni później stuknął przodem wozu w drzwi garażu.

Wtedy pracodawca powiedział mi, że nie może dłużej go zatrudniać. Ojciec doskonale to rozumiał. Na co komu kierowca, który nie umie bezpiecznie prowadzić? Jednak pan Harding, bardzo przyzwoity człowiek, szczerze żałował, że musi tatę zwolnić i wypłacił mu zaskakująco dużą odprawę. Żyliśmy więc oszczędnie, ale jakoś dawaliśmy sobie radę.

Tata uwielbiał prowadzić i miał fordę model T z 1910 roku. Twierdził, że prawdziwą oznaką życia na odpowiednim poziomie w Ameryce jest fakt posiadania kawałka ziemi oraz auta, lecz chociaż oboje moi rodzice ciężko pracowali i nie wydawali pieniędzy na głupstwa, nigdy nie zdołali kupić domu ani działki, i tata często powtarzał, jak dobrymi ludźmi są Mikę i Nora - państwo Barlow - że pozwalają nam dzierżawić domek za tak niewielką kwotę. Ojciec kupił fordę model T na aukcji - auto nie działało jak należy, a pieniędzy na naprawę silnika zawsze brakowało. Tata długo podtrzymywał w sobie marzenie, że pewnego dnia wyjedzie własnym autem na drogę, lecz nie udało mu się go zrealizować, a kiedy wzrok zaczął mu się poważnie pogarszać, całkiem porzucił te zamiary.

55

Mimo to nadal trzymał fordę w szopie za domem i w każdą sobotę przy ładnej pogodzie szliśmy tam z wiadrami wody z mydłem, szmatami i kawałkami zamszu, i starannie czyściliśmy całą maskę aż po cienkie opony. W niektóre wieczory tata siadywał za kierownicą z fajką w ustach; ja też miałam zwyczaj czytać w fordzie w ciągu letnich miesięcy, bo gładka drewniana kierownica i ciepłe skórzane siedzenia miały w sobie coś dziwnie kojącego.

Któregoś dnia tata poszedł do fryzjera i przyniósł stary egzemplarz czasopisma „Epoka Silników”. Zaczął wtedy mówić o swojej miłości do samochodów, a ja, widząc go naprawdę pełnego entuzjazmu, pierwszy raz od dawna, kupiłam mu najnowszy numer „Epoki Silników”, kiedy następnym razem robiłam zakupy w mieście. Usiedliśmy obok siebie na kanapie i przejrzelśmy cały magazyn, od deski do deski. Z nieodgadnionego powodu, ja również z wielką przyjemnością patrzyłam na fotografie przepięknych, zgrabnych nowych aut, jakie teraz zjeżdżały z linii produkcyjnych.

Jakiś czas potem tata kupił na podwórkowej wyprzedazy ozdobną figurkę z maski boyce motometer i wypolerował ją na wysoki połysk. Parę tygodni później wrócił do domu z zakrętką do chłodnicy boyce motometer, którą znalazł w sklepie z używanymi rzeczami. Tak narodziło się nasze hobby - w sobotnie ranki razem wyruszaliśmy do Albany, zaglądaliśmy do sklepów ze starociami i rozpytywaliśmy o elementy aut w garażach. Zaczęliśmy razem czytać czasopisma poświęcone autom, szukając ogłoszeń o wyprzedazach, na których można by kupić błyszczące ornamenty z masek boyce, a czasami nawet pisaliśmy do posiadaczy takich detali, załączając drobną sumę na zakup i przesyłkę. Nasza kolekcja rosła. Raz w miesiącu wyjmowałam zgromadzone ozdoby z oszklonej sosnowej szafy w saloniku, układałam je na kuchennym stole i polerowałam.

56

Tata siadał wtedy naprzeciwko mnie, przyglądając się, jak to robię i od czasu do czasu brał do ręki jakiś drobiazg, żeby obejrzeć go z bliska.

Razem jeździliśmy na aukcje samochodowe, wyłącznie po to, aby poczuć wibrujące tam napięcie i podniecenie, i naturalnie popatrzeć na piękne wozy. Coraz częściej też śmialiśmy się razem.

Lata mijały. Pory roku przychodziły i odchodziły, a ja i tata starzeliśmy się powoli. W naszym życiu niewiele się zmieniło aż do pewnego dnia pod koniec marca w 1929 roku, kiedy wiejący od wschodu wiatr przyniósł zamarzający deszcz i wszystko, co znałam i kochałam, zniknęło na zawsze.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Kiedy czekałam przy ladzie recepcji hotelu Continental na klucz do pokoju, zorientowałam się, że Amerykanin z promu opisał go nadzwyczaj trafnie - goście byli tu bardzo elegancko i raczej oficjalnie ubrani, a sam hotel stanowił całkiem udane i atrakcyjne połączenie wpływów europejskich i arabskich. Podeszłam do umieszczonej na ścianie metalowej tablicy z informacją, że jednym z pierwszych gości Continentalu był syn królowej Wiktorii, książę Alfred; gdy podniosłam rękę i dotknęłam brzegu tablicy, znowu dostrzegłam linijkę brudu pod paznokciami.

Do pokoju zaprowadził mnie młody chłopak w fezie z brązowego materiału, wyraźnie wyblakłego na krawędziach, i z odrobinę postrzępionym chwaścikiem. Kiedy postawił walizki na podłodze, skinął głową i uśmiechnął się szeroko.

- Omar! - powiedział, kładąc dłoń na swojej piersi. - Omar...

Wcisnęłam mu do ręki parę centymów.

- Dziękuję, Omar! Czy o tej porze mogę dostać coś do jedzenia?

Uważnie wpatrywał się w moje wargi, jak zwykle czynią to ludzie, którzy słabo znają język rozmówcy, i wciąż kiwał głową.

58

- Manger - powtórzyłam, dotykając ust.

- Ah, oui! Na dole, madame, na dole! - cofnął się ku drzwiom, nadal kiwając głową i uśmiechając się. Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy. - Ale proszę, madame, niech pani nie wychodzi na dach... - powiedział powoli, mocno kalecząc francuski. - Na dachu niedobrze!

- Oui, Omar. Nie wyjdę na dach...

Po jego wyjściu podeszłam do wąskich okien, wychodzących na port i rozciągającą się dalej cieśninę, zasilaną wodami Atlantyku i Morza Śródziemnego. Cieśnina miała najwyżej piętnaście kilometrów szerokości, a jednak dzieliła dwa kontynenty, ocean i morze. To przez nią Tanger tkwił gdzieś pośrodku i nie należał ani do europejskiej Hiszpanii, ani do afrykańskiego Maroka.

Zadrżałam, ogarnięta chłodnym powiewem melancholii, chociaż wpadające przez okno powietrze było balsamicznie łagodne i pachnące morzem. Zaskoczyło mnie to poczucie wyobcowania - nie znosiłam tłumu i unikałam sytuacji, w których musiałabym prowadzić nic nieznaczące rozmowy, a jednak teraz nie chciałam siedzieć sama w pokoju. Poza tym byłam świadoma, że powinnam jak najszybciej porozmawiać z kimś o wynajęciu auta z kierowcą, który zawiózłby mnie do Marrakeszu.

Schodząc do holu, pomyślałam o sali, którą minęłam po wejściu do hotelu. Na chwilę zawahałam się w drzwiach, czując dawny dyskomfort na myśl o spotkaniu z obcymi ludźmi; rozejrzałam się po trochu mrocznym wnętrzu. Przy stolikach siedzieli goście hotelowi, niektórzy pochłonięci rozmową, inni śmiejący się głośno z wymienianych dowcipów lub zajęci zamawianiem drinków przy kontuarze baru. Wzięłam głęboki oddech i weszłam do środka.

Wcześniej nigdy nie byłam w tego rodzaju lokalu. Ledwo usiadłam

59

przy małym okrągłym stoliku, a już mężczyzna w krótkiej białej marynarce skłonił się przede mną i postawił na blacie tackę z kieliszkiem czerwonego płynu i niewielką karafką z gazowaną wodą. Nawet w tym przytłumionym świetle, wpadającym tu przez częściowo zastonięte okna, od razu zauważyłam trzy pływające w wodzie insekty.

- Non, non, monsieur! - Zdecydowanie potrząsnęłam głową, ponieważ zamierzałam zamówić tylko wodę mineralną.

- Campari, madame - odparł równie zdecydowanym tonem, zupełnie jakbym pytała go, co znajduje się w dużym kieliszku albo zamówiła takiego drinka.

Wskazał miejsce na kawałku papieru, który mi podsunął, a ja, nie chcąc się z nim spierać, podpisałam się. Odszedł. Utkwiłam wzrok w karafce, obserwując trzy robaki, usiłujące jakoś wydostać się z naczynia. Jeden wspiął się do połowy szyjki, rozpaczliwie trzymając się szkła, natomiast pozostałe dwa ni to pływały, ni to chodziły po powierzchni, bardzo powoli, jakby woda była gęsta niczym marmolada. Nie ulegało wątpliwości, że wszystkie niedługo zginą.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Starając się wyglądać tak, jakbym była przyzwyczajona do tego rodzaju sytuacji, wzięłam głęboki oddech, wyprostowałam się i pociągnęłam malutki łyk campari. Napój był gorzkawy i smakował prawie jak lekarstwo. Przyszło mi do głowy, że byłby lepszy z gazowaną wodą, nie miałam jednak pojęcia, co zrobić z nieszczęsnymi robakami.

Na karafkę i stolik padł nagle cień - obok mnie przeszła jakaś kobieta. Poruszała się długim, swobodnym krokiem, miała płaskie skórzane pantofle i bluzkę o kroju męskiej koszuli, wetkniętej pod pasek prostej spódnicy. Obcięte na krótkiego pazia włosy kręciły się na karku. Spojrzała na mnie i odwróciła wzrok. Podeszła do pobliskiego stolika i dołączyła do czworga

60

innych gości, kobiety i trzech mężczyzn. Wszyscy powitali ją okrzykami radości.

Zrobiła na mnie wrażenie osoby, która wie, jak zająć się wynajęciem auta.

Dotknęłam opuszkami palców warg, które piekły od campari. Podniosłam się i ruszyłam w kierunku tamtej grupki, świadoma, że odwrócili się, żeby na mnie popatrzeć. Potknęłam się na grubym dywanie, pokrywającym całą podłogę w wysokim barze, oświetlonym wpadającymi przez łukowate okna długimi promieniami światła. Kiedy przystanęłam obok kobiety, która przed chwilą usiadła, cała piątka umilkła.

- Przepraszam bardzo... - odezwałam się.

- Tak? - W sposobie bycia kobiety o dość ostrych rysach było coś lekko nieprzyjaznego.

Otwarcie zlustrowała wzrokiem moją twarz i włosy, zatrzymując oczy na bliźnie na moim policzku. Z trudem powstrzymałam się, aby nie zasłonić policzka dłonią.

-Ja... Dopiero przyjechałam, zaledwie parę godzin temu i koniecznie muszę wynająć samochód... Pomyślałam, że może pani mogłaby mi pomóc...

Wyraz jej twarzy nagle się zmienił.

- Witam! - Podana mi rękę takim ruchem, jakbyśmy byli mężczyznami.

Podalam jej dłoń i poczułam mocny, twardy uścisk. Zabolały mnie knykcie, gdy potrząsnęła moją ręką, ale na szczęście zaraz ją puściła.

-Jestem Elizabeth Pandy - przedstawiła się. - Z Newport w Maine... A pani?

- Sidonie O'Shea.

- O'Shea... Hmmmmm... Z tych bostońskich O'Shea? Znam starego Robbiego i jego córkę Piper...

- Nie, nie! - Potrząsnęłam głową. - Pochodzę z Albany...

61

Zająknęłam się na ostatnim słowie, onieśmielona ich spojrzeniami. Czoło miałam wilgotne od potu.

Elizabeth Pandy się uśmiechnęła. Miała krótką górną wargę, która odsłaniała sporą część dziąseł.

- A, Nowy Jork! Nie pomyślałabym... - przerwała na moment. - W pierwszej chwili wzięłam panią za Francuzkę! Wygląda pani...

Znowu przerwała.

Wiedziałam, dlaczego odniosła takie wrażenie, ale jej ton natychmiast uświadomił mi, że lepiej będzie nie wspominać o korzeniach mojej matki.

- Proszę do nas dołączyć! Może czegoś się pani napije?

- Och, mam już drinka, dziękuję! Cam... campari... - obejrzałam się w kierunku swojego stolika i znowu dotknęłam nadal piekących warg. - Chociaż wcale go nie zamawiałam...

Kobieta kiwnęła głową.

- Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego ci cholerni chłopczy wyobrażają sobie, że każdy cudzoziemiec musi pić campari! Bardzo proszę, zaraz zamówimy dla pani coś porządnego!

Krótkim uniesieniem podbródka poleciała jednemu z mężczyzn, aby przysunął mi krzesło od sąsiedniego stolika. Elizabeth Pandy niewątpliwie przywykła do rozkazywania innym.

- Ale ja... - Zerknęłam w stronę drzwi.

Jak tu wyjść i nie urazić moich nowych znajomych? Czułam się okropnie skrępowana w towarzystwie tych pewnych siebie ludzi, boleśnie świadoma, jak różne wiedliśmy życie. Nie pasowałam do nich.

-Ja tylko... Chciałabym wynająć samochód, jak najszybciej... Z kierowcą, oczywiście! Pomyślałam, że może pani wie, co powinnam zrobić... Muszę dostać się do Marrakeszu i słyszałam, że... Że najlepiej będzie najpierw pojechać do Rabatu.

Elizabeth Pandy zbyła moją przemowę machnięciem ręki.

62

- Do Marrakeszu? Wolne żarty! Przecież tam nie ma nic do oglądania! No, proszę się czegoś napić! Marcus, zamów czystą whisky dla panny O'Shea! Cudownie, że tu nie musimy przejmować się całą tą nudną prohibicją, prawda?

Nie miałam wyjścia. Musiałam usiąść, bo inne zachowanie byłoby zdecydowanie niegrzeczne wobec panny, a może pani Pandy.

- Skręciła pani kostkę na tych okropnych schodach? Zauważyłam, że mocno pani kuleje...

- Nie - odparłam. - To nie to, ja... Przerwałam, niepewna, co powiedzieć.

- Nieważne! Proszę siadać i nie forsować nogi! O, jest już whisky dla pani!

Elizabeth Pandy przedstawiła mnie swoim przyjaciołom, zapamiętałam jednak imię tylko jednego mężczyzny, Marcusa. Włosy miał przylizane do tyłu i błyszczące od brylantyny, w najzupełniej nienaturalnym ciemnorudym odcieniu. Wszyscy, łącznie z Elizabeth, byli w jakimś stopniu podpici, a z ich bardzo swobodnego zachowania wobec siebie nawzajem jasno wynikało, że nie jest to odosobniona okazja.

Jeden z mężczyzn zapytał, który pokój dostałam, a kobieta, ubrana w krótką plisowaną spódnicę i rozpinany sweter w pasy, z fryzurą taką samą jak Elizabeth, natychmiast mu przerwała, ostrym głosem domagając się informacji, jak długo zamierzam zostać w Continentalu. Nie zdążyłam odpowiedzieć, ponieważ zaczęli rozmawiać o czymś innym. Kelner postawił przede mną szklaneczkę, której zawartość wydała mi się przyjemniejsza w smaku niż campari, więc co jakiś czas pociągałam mały łyk.

Rozmowa i śmiech stawały się coraz głośniejsze, w mojej zmęczonej głowie brzmiały jak jednostajny gwar, przerywany

63

prawie zwierzęcymi rykami. Skronie pulsowały mi bólem i wreszcie, gdy dopiłam whisky, wstałam z krzesła.

Alkohol uderzył mi do głowy; piłam bardzo rzadko i teraz przez chwilę poczułam się znowu jak na morzu. Na moment straciłam równowagę. Elizabeth chwyciła mnie za rękę.

- Niech pani jeszcze nie odchodzi, nie zdążyliśmy się niczego o pani dowiedzieć! Zawsze miło jest spotkać kogoś nowego z kraju!

Jej usta otworzyły się w bezgłośnym śmiechu, który skojarzył mi się z pełnym podekscytowania ziewaniem jakiegoś potężnego afrykańskiego zwierzęcia. Opadłam na krzesło, częściowo dlatego, że Elizabeth mocno pociągnęła mnie za przegub dłoni, częściowo ze strachu, że zaraz się przewrócę.

- No więc? - zagadnęła rozkazująco. - Co sprowadza panią do Tangeru? Nikt nie przyjeżdża tu bez jakiejś historii!

Znowu te otwarte usta... Niteczka śliny, łącząca górny i dolny kiel z prawej strony... Inni także się śmiali, za głośno, za głośno...

- Bez historii? - powtórzyłam.

Spojrzenia ich wszystkich nagle skupiły się na mnie. Ogarnęło mnie paniczne przerażenie.

-Tak, tak! - odezwał się zachęcająco Marcus. - Jaka jest pani historia, pani O'Malley?

- Nazywam się O'Shea - sprostowałam automatycznie. -Panno O'Shea...

Trudno powiedzieć, czy w ogóle mnie usłyszał.

- Więc co sprowadza panią do Tangeru? - Uniósł brwi. Popatrzyłam na niego, potem na Elizabeth. Pozostałe twarze były tylko niewyraźnymi jasnymi owalami lub trójkątami.

-Jadę do Marrakeszu...

- Mówiłam już pani, moja droga, że to idiotyczny pomysł! Nie ma po co tam jechać, lepiej zostać tutaj! Tanger jest jak

64

skundlony pies, choć trudno nazwać to miasto nieciekawym! A jeżeli już koniecznie musi pani gdzieś jechać, to proszę wybrać się do Casablanki... Przecież Marrakesz jest na końcu świata i wcale nie jest interesujący, na pewno! Chociaż zaraz... Który to malarz tam pracował, chyba Matisse... Cóż, są takie artystyczne typy, które znajdują inspirację z dala od cywilizacji, ale Tanger naprawdę ma znacznie więcej do zaoferowania, jeśli chodzi o rozrywkę! Są tu najrozmaitsze i odpowiadające wszystkim...

- I na dodatek nikt tu niczego nie kontroluje, wszystko wolno... - przerwał jej czyjś cichy głos.

Inni natychmiast przytaknęli, zgodnie i głośno.

- Nie, ja muszę dotrzeć do Marrakeszu... Jestem... - Umilkłam.

Marcus strzelił palcami, a gdy parę sekund później podszedł do nas chłopak z tacą szepnął mu coś do ucha.

- Szukam kogoś - podjęłam, najzupełniej niepotrzebnie. -W Marrakeszu...

- Ach, rozumiem! - Brwi Elizabeth powędrowały w górę.- Zniknął i zostawił panią, tak? Może to szpieg, co? Tutaj dosłownie roi się od szpiegów, wie pani? Od szpiegów i hochsztaplerów! Wszyscy szukają kogoś lub czegoś...

Podniosłam się tak gwałtownie, że krzesło, które odepchnęłam, uderzyło w biodro przechodzącego kelnera. Wydał krótki, stłumiony okrzyk, ale się nie zatrzymał.

- Nie, nie, on nie jest szpiegiem! Ani...

- Hochsztaplerem, kochanie... Wie pani, takim drobnym oszustem, naciągaczem, który bez przerwy komuś coś proponuje. Tu ludzie ciągle próbują nam coś sprzedać! Musimy dawać zdecydowany odpór.

- Tak, rozumiem - powiedziałam. - Dziękuję za drinka. Wysłałam z baru, czując ich oczy na swoich plecach. Przyglądali się,

65

jak utykam, na pewno bardziej niż zwykle, bo wciąż kręciło mi się w głowie od wypitego na pusty żołądek alkoholu.

Wyciągnęłam się na łóżku w zacienionym, chłodnym pokoju, z głową pulsującą bólem, zdenerwowana, że Elizabeth Pandy i jej przyjaciele niewątpliwie uznali mnie za idiotkę. Nie umiałam zachowywać się tak swobodnie jak oni, nie potrafiłam prowadzić rozmowy o wszystkim i o niczym.

Przypominałam sobie, jak jeszcze niedawno stałam na pokładzie statku płynącego z Nowego Jorku do Marsylii i nagle znowu ogarnęło mnie uczucie dręczącego niepokoju.

Z wielkim wysiłkiem panowałam nad lękiem, czekając aż statek odbije od brzegu. Patrzyłam na kłębiące się na nabrzeżu tłumy, na ludzi, którzy machali do odpływających i posyłali im serdeczne uśmiechy oraz życzenia szczęśliwej podróży. Zauważyłam kilka mniej wesołych osób - kobietę z chusteczką przytkniętą do ust, młodego mężczyznę i dziewczynę, wspierających się nawzajem i patrzących na statek spod ściągniętych brwi, kilkoro płaczących dzieci. Jednak ogólnie panowała atmosfera radosnego oczekiwania na początek wakacji i ekscytujące przygody.

Tymczasem ja, stojąc na tym osłoniętym pokładzie i śledząc wzrokiem powoli oddalające się twarze odprowadzających, czułam przerażenie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że udam się w podróż statkiem. Nigdy nie opuszczałam stanu Nowy Jork. Miałam trzydzieści lat, ale denerwowałam się jak dziecko pierwszego dnia szkoły.

Przerażenie przybrało na sile. Dystans między burtą statku i nabrzeżem kojarzył mi się z przepaścią. Teraz, właśnie w tej chwili traciłam wszystko, co znałam, wiedziałam jednak, że muszę wyruszyć w tę podróż.

66

Nadal widziałam uniesione w geście pożegnania ręce i otwarte usta, lecz dźwięk przycichł. Moje serce przestało tak rozpaczliwie galopować, zwolniło. Uświadomiłam sobie, że ktoś stoi obok mnie. Była to starsza kobieta, której dłonie w pożółkłych, pocerowanych, dzierganych rękawiczkach mocno ścisnęły krawędź burty.

- Pierwszy raz płynie pani statkiem? - zapytała po angielsku, z obcym akcentem.

Najwyraźniej to, co czułam, miałam wypisane na twarzy.

- Oui - odparłam, rozpoznając jej akcent. - La premierę fois...

Uśmiechnęła się, odstaniając duże, źle dopasowane sztuczne zęby.

- Ach, mówi pani po francusku, chociaż to oczywiście nie całkiem mój francuski! Jestem z Paryża... Wybiera się pani z Marsylii do Paryża?

Potrząsnęłam głową, ale nie powiedziałam, jaki jest cel mojej podróży. Zauważyłam, że patrzy na moje ręce, oparte na burcie.

- Ma pani rodzinę we Francji? Znowu potrząsnęłam głową.

- Więc płynie pani do kochanka, tak? - zapytała z domyślnym uśmiechem.

Zamrugałam i rozchyliłam wargi, ale nie wiedziałam, co powiedzieć.

Kiwnęła głową, wyraźnie zadowolona z siebie.

- Widzę, że mam rację! Tak, płynie pani do ukochanego! Chwilę przyglądałam się jej w milczeniu.

- Tak - odezwałam się w końcu, zaskakując samą siebie. - Tak, zamierzam... Zamierzam kogoś odszukać.

Nie odrywała wzroku od mojej twarzy. Widziałam, że jej spojrzenie zatrzymało się na moim policzku, a potem podążyło w dół.

67

Tego ranka, drżącymi rękami rozczesując włosy przed lustrem, zauważyłam, że jestem blada i mizerna.

- Ah, la grande passion! Oczywiście, moja droga, kobieta musi iść za głosem, którego nie potrafi stłumić! Sama przeżyłam kilka wielkich namiętności.

Teraz jej uśmiech był niezaprzeczalnie porozumiewawczy i nieco łobuzerski. Lekko przekrzywiła głowę na bok, wydeła wargi. Mimo pudru, który podkreślał głębokie zmarszczki wokół oczu i ust, bez trudu zorientowałam się, że jako młoda osoba musiała być dość atrakcyjna dla mężczyzn. I niewątpliwie budziła w nich namiętne uczucia...

Na pewno widziała, że ja nie jestem taką kobietą.

Uśmiechnęłam się uprzejmie, przeprosiłam i poszłam do swojej kajuty, nie czekając, aż Ameryka, moja ojczyzna, powoli zniknie w oddali. Większą część tego tygodnia spędziłam w samotności. Nie czułam się na tyle dobrze, aby normalnie jeść czy nawet spacerować po pokładzie, nie miałam też ochoty na rozmowy. Bałam się, że jeśli znowu wpadnę na tamtą starszą kobietę, spróbuje wycisnąć ze mnie odpowiedzi. A przecież ja nie miałam żadnych odpowiedzi, wyłącznie pytania...

Kelner przynosił mi do kajuty tace z prostymi posiłkami i czas spędzałam głównie na czytaniu i śnie. Jedno i drugie szło mi raczej marnie - byłam zbyt zdenerwowana, aby porządnie zasnąć czy skoncentrować się na lekturze.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy przybiliśmy do brzegu w Marsylii. Dałam sobie słowo, że kiedy już przepłynę Atlantycką, przestanę myśleć o powrocie. Fakt, że dotarłam aż tak daleko, świadczył o mojej determinacji, powtarzałam sobie. Nie chciałam używać innego słowa - desperacja.

Jednak teraz, w Tangerze, nie chciałam myśleć ani o Marsylii,

68

ani o sprawach, które wydarzyły się wcześniej. Nie chciałam i nie mogłam.

Podniosłam się szybko i na moment przycisnęłam palce do skroni. Wypiłam szklanekę wody z butelki stojącej na toalecie, a później, wbrew ostrzeżeniu Omara, wyszłam na korytarz i poszukałam schodów prowadzących na dach. Chciałam popatrzeć na Tanger z góry, bo jadąc wąskimi uliczkami z portu, słaba i zdezorientowana, miałam wrażenie, że widzę przed sobą ciemny tunel, pewnie tak samo jak zaprzężony do wózka osioł, niezdolny spojrzeć ani w prawo, ani w lewo.

Schody znalazłam na końcu korytarza, za zamkniętymi na skobel drzwiami. Były strome, bez poręczy. Takie schody zwykle były dla mnie poważną przeszkodą, ale ruszyłam w górę, wdzięczna losowi, że są tak wąskie, iż mogę trzymać się ścian. Czułam napływający skądś ostry zapach ścieków, kiedy jednak dotarłam na górę i wyszłam prosto w oślepiający blask, ciemność i ohydny odór zniknęły, wyparte zapachem morza.

Zadyszałam się w trakcie wspinaczki i musiałam się pochylić, opierając dłonie na kolanach. Gdy w końcu podniosłam głowę i wyprostowałam się, roztaczający się z dachu widok najdosłowniej zaparł mi dech w piersiach. Z jednej strony połyskiwało rozkołysane morze, z drugiej piętrzyły się góry, wyniosłe góry Rif, które zachodzące słońce barwiło krwawą czerwienią.

Stałam tam sama, wdychałam pachnący wiatr i patrzyłam na otaczający mnie Tanger i jego domy, oślepiająco białe w słońcu późnego popołudnia. Palmy i nieznane mi drzewa o pierzastych, szerokich liściach pyszniły się różnymi odcieniami zieleni. W tym świetle cały widok miał w sobie przejrzystość, która kojarzyła mi się z najwspanialszymi obrazami, malowanymi nie błękitem, czerwienią, żółcią i zielenią, lecz lazurem, szkarłatem, odcieniem bursztynowym i szafranowym, oliwkowym i cytrynowym.

69

Noga mnie bolała, rozejrzałam się więc za jakimś miejscem do siedzenia, ale na dachu nie było niczego takiego. Teraz rozumiałam, dlaczego chłopiec ostrzegał mnie z takim naciskiem - naprawdę łatwo byłoby stąd spaść. Może ktoś inny, ktoś w rodzaju przyjaciół Elizabeth Pandy, przyszedł tu kiedyś po zbyt wielu drinkach i runął w dół, prosto w ramiona śmierci?

Zamknęłam oczy i znowu je otworzyłam, pozwalając, by ogarnęło mnie uczucie zachwytu. Pomyślałam o Pine Bush, bagniskach rozciągających się kilka kilometrów od mojego domu, o pobliskim jeziorze i krajobrazach naszej okolicy. Spędziłam tyle czasu w tych miejscach, wędrując wśród nich i szkicując okazy fauny i flory. Przypomniałam sobie swoje akwarele, przytłumione zielenie paproci i mchów, delikatną lawendową barwę dzwonek, nieśmiały róż pantofelków, skromny błękit niezapominajek. Tymczasem tutaj... Wiedziałam, że moje pudełko z farbami, leżące na półce w sypialni małego domku po drugiej stronie oceanu, nigdy nie wyczarowałoby takich kolorów.

Kiedy ból w nodze zelżał, powoli zbliżyłam się do krawędzi dachu i ostrożnie spojrzałam w dół, w ciemny labirynt ulic, zapewne medyny, najstarszej dzielnicy miasta. Przelewały się tam tłumy ogarnięte gorączkowym poszukiwaniem rozrywki, słyszałam nawoływania i okrzyki, porykiwanie osłów, ujadanie psów i co jakiś czas ryk wielbłąda.

I wtedy nagle rozległ się dźwięk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałam - wysoki, donośny, daleko niosący się głos, którego źródło znajdowało się gdzieś za mną. Odwróciłam się i ujrzałam iglicę minaretu, i natychmiast odgadłam, że to muezin zwołuje wiernych muzułmanów na modlitwę. Po paru sekundach do tego pierwszego głosu dołączył drugi, potem trzeci i czwarty, aż wreszcie cały Tanger rozbrzmiewał wołaniem

70

ze wszystkich minaretów. Stałam na dachu, otoczona falami dźwięku, rytmicznym wyśpiewywaniem „Allah Akbar” i patrzyłam na splamioną ostrą czerwienią górski łańcuch.

Czy Etienne też teraz to słyszał? Czy także patrzył na niebo, na góry, na morze? Czy w tej samotnej godzinie myślał o mnie, tak jak ja o nim?

Musiałam znowu zamknąć oczy.

Gdy echo wołania muezinów przebrzmiało i dookoła nagle zapanowała cisza, uniosłam powieki, przepełniona uczuciem, że obca modlitwa w jakiś sposób dotknęła mojego serca. Pośpiesznie wykonałam znak krzyża, ulegając staremu przyzwyczajeniu.

Parę chwil później zesłam powoli po wąskich, śmierzących schodach. Byłam potwornie głodna. Wróciłam do holu, tylko na moment przystając w drzwiach baru. Sądząc po wybuchach śmiechu i głośno rzucanych zdaniach, Elizabeth i jej przyjaciele nadal tam byli. Po wspaniałym widoku, który dopiero co chłonęłam, wewnątrz baru wydało mi się ciemne, mętne i pozbawione barw. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że tamte intensywne kolory znalazły drogę do mojego wnętrza, podobnie jak modlitwa, wydawało mi się nawet, że Elizabeth, Marcus i pozostali zaraz przestaną pić i plotkować, i popatrzą ze zdumieniem i zachwytem na mnie, muśniętą lśniącą warstwą zieleni, błękitu, czerwieni i żółci. Spędziłam na dachu niewiele czasu, ale czułam, że stałam się częścią mozaiki, jaką był Tanger, fragmentem tamtych dźwięków i odpryskiem cudownych barw.

A jednak nikt nie odwrócił głowy w moją stronę, nikt nie zauważył, co się ze mną stało...

Na ogromnym, pustym tarasie, ocienionym łagodnie chwiejącymi się palmami i zastawionym drewnianymi meblami, zamówiłam dzbanek miętowej herbaty i pastilla, danie,

71

które, jak pracowicie wyjaśnił mi kelner, składało się z pieczonego mięsa jakiegoś ptaka, chyba gołębia albo kuropatwy, zmieszanego z ryżem i ubitymi na pianę jajkami, owiniętego cieniutkim ciastem.

Oparłam głowę o krzesło i zasłuchałam się w odległy, przyciszony gwar nieznanymi mi języków, gruchanie synogarlic, szmer palmowych liści, poruszanych ciepłą wieczorną bryzą. Tanger wzbudził we mnie prawdziwy zachwyt, wiedziałam jednak, i z lektury, i z ostrzeżeń gadatliwej Elizabeth Pandy,

że jest także niebezpiecznym, wolnym portem, niepodporządkowanym władzom administracyjnym żadnego państwa. Byłam znużona, ledwo żywa ze zmęczenia, nawet dość przyjemnego. Nie mogłam jednak i nie chciałam odpoczywać w Tangerze. Wyprostowałam się, strząsając z siebie niepostrzeżenie narastające rozleniwienie. Postanowiłam, że następnego dnia od rana zajmę się szukaniem szofera, który zawiózłby mnie do Rabatu, zgodnie z radą Amerykanina z promu.

Kelner postawił przede mną tacę i uniósł mały mosiężny czajniczek. Z dzióbka popłynął bursztynowy strumień do niewielkiej malowanej szklanki w srebrzystym koszyczku. Sądziłam, że rozleje herbatę, ale on napełnił szklaneczkę pianistym płynem i nie uronił nawet kropelki, trzykrotnie przechylając czajniczek do tyłu. W końcu ujął szklanekę w obie dłonie i podał mi ją z lekkim ukłonem.

- Tres chaud, madame - oświadczył. - Bardzo gorąca, proszę zaczekać, aż trochę wystygnie...

Kiwnęłam głową, chwyciłam srebrne ucho koszyczka i podniosłam szklanekę do nosa. Zapach mięty był oszałamiający. Pociągnęłam maleńki łyceczek - herbata była bardzo słodka i niepodobna do żadnej, jaką piłam, ale wyśmienita.

Znowu pomyślałam o swoim domu, skulonym gdzieś daleko, na obrzeżach Albany, o ogrodzie i panującej w nim o tej

72

porze dnia ciszy. Gdybym nie zmusiła się do jego opuszczenia, nadal całymi dniami nie widywałabym nikogo i z nikim nie rozmawiała... Pomyślałam o długich, ciemnych zimowych nocach.

Wszystko to wydawało mi się teraz tak strasznie odległe i rzeczywiście było dalekie, oczywiście pod względem fizycznym. Nie chodziło tu jednak wyłącznie o dystans, ale o to, co stało się ze mną od tamtych dni, tamtych ciągnących się bez końca, spokojnych dni, którymi chciałam odmierzyć całe swoje życie. W Albany sądziłam, że moje życie złożone jest z małych kawałków, tworzących większą, lecz mimo wszystko mało skomplikowaną układankę...

I byłam pewna, że doskonale wiem, gdzie wpasować każdy z tych kawałków...

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Dwa lata wcześniej, w 1928 roku, ojciec otrzymał list od adwokata.

- Przeczytaj mi go, skarbie! - powiedział, nie ukrywając zaniepokojenia. - Nie mam pojęcia, kiedy popełniłem jakieś wykroczenie.

- Nie ma tu nic o żadnym wykroczeniu, tato. - Otworzyłam list i szybko przebiegłam wzrokiem jego treść.

- Więc o co chodzi? Spojrzałam na niego.

- Umarł pan Harding...

- Ach, tak... - Ojciec oparł łokcie na blacie stołu. - Biedny staruszek! Wiedziałem, że od jakiegoś czasu chorował.

Pan Harding był ostatnim pracodawcą taty, tym, który okazał mu tyle zrozumienia i serca, kiedy musiał zwolnić go po czternastu latach.

- Ale dlaczego prawnik zawiadamia mnie o jego śmierci? - spytał ojciec.

Oblizawałam wargi, starając się nie śpieszyć. Było mi przykro z powodu śmierci pana Hardinga, rzecz jasna, ale ostatecznie staruszek miał już dziewięćdziesiąt dwa lata.

- Pamiętasz jego samochód, prawda? - zaczęłam.

- Który? - dopytywał się tata. - Bo miał ich całą flotę.

74

- Ten, który najbardziej lubiłeś prowadzić, tato! Zawsze mi o nim opowiadałeś...

Uniósł głowę i uśmiechnął się lekko.

- Ach tak, chodzi ci o ten piękny model Silver Ghost? Prawdziwe dzieło sztuki! Kiedy człowiek nim jechał, miał wrażenie, że płynie na chmurce!

Doskonale znałam to auto z licznych opisów - rolls royce z 1921 roku, z kierownicą z prawej strony, w brytyjskim stylu, ze skórzanym składanym dachem, ogromnymi przednimi reflektorami i przypominającymi tuby zderzakami.

- Długa, smukła maska z czerwonymi wykończeniami - ciągnął ojciec, uśmiechając się mimo woli.

Sięgnął po fajkę i postukał ją w popielniczkę; ze środka wypadła grudka niedopalonego tytoniu.

- Rzeczywiście bardzo lubiłem jeździć tą wielką bestią...

- Tato? - Podniosłam się z krzesła, nie mogąc dłużej powstrzymać uśmiechu. - Pan Harding zapisał ci to auto w testamencie! Silver Ghost jest twój!

Ojciec długo milczał. Czekałam na jakąś reakcję - okrzyk, wybuch śmiechu, cokolwiek - ale on nawet się nie poruszył.

- Nie jesteś zadowolony? Przed chwilą sam powiedziałeś... Kiwnął głową.

- Wiem, dziecko! Wiem, co powiedziałem.

- Więc dlaczego... Znowu mi przerwał.

- Bo jest już za późno, skarbie... Czas, kiedy mogłem jeździć tym samochodem, dawno minął! Przecież wiesz, że teraz już nie mogę ufać swoim oczom.

- Nadal mógłbyś jeździć nim za dnia, dopóki jest jasno! Popatrzył na mnie ze smutkiem.

- Nie. Nie, skarbie! Zdaję sobie sprawę, że nie widzę dobrze, nawet w okularach.

75

Usiadłam i pogładziłam palcami wytłoczony na papierze znak firmowy.

- Ale auto jest twoje! - powiedziałam.

- Co miałbym z nim zrobić? Wyprostowałam się.

- Ja mogłabym nim jeździć! Możesz mnie nauczyć i będę wozila cię, dokąd zechcesz! - Mówiłam szybko, podekscytowana tą wizją. - Pomyśl tylko, tato! Moglibyśmy wszędzie razem jeździć!

Milczał.

- Tato, mogłabym jeździć tym samochodem! - powtórzyłam.

- Nie, Sidonie... - Powoli napełnił fajkę.

- Dlaczego nie? - Patrzyłam, jak ubija tytoń kciukiem. - Przecież mogę nauczyć się prowadzić! To chyba nie jest specjalnie trudne.

- Prowadzenie wymaga koordynacji ruchów rąk i nóg - powiedział. - Rąk i nóg, skarbie. Trzeba posługiwać się pedałami, pedałem gazu i hamulcem, no i zmieniać biegi. Wymaga to sprawnych kolan, bo trzeba je zginać... Nie wydaje mi się, żeby... - Spojrzał na moją pogrubianą podeszwę.

Zacisnęłam usta.

- Nauczę się - oznajmiłam twardo. - Chcę nauczyć się jeździć! Chcę mieć ten samochód!

Na twarzy ojca pojawiło się zaskoczenie.

- No, chyba już dawno nie słyszałem u ciebie tak zdecydowanego tonu - rzekł.

Wiedziałam, że mówię za głośno, ale sama myśl o prowadzeniu auta wprawiła mnie w stan podniecenia. Uświadomiłam sobie, że naprawdę od dawna nie musiałam stawiać czoła żadnemu wyzwaniu. Ile lat minęło od chwili, gdy ostatni raz

76

nauczyłam się czegoś nowego? Gdy byłam dumna z jakiegoś osiągnięcia?

Lekko spuściłam głowę i zniżyłam głos.

- Chodzi mi głównie o to, że przecież... Przecież dostałeś to auto w podarunku, tato! Jeśli ty go nie chcesz, ja go wezmę!

Potrząsnął głową.

- Mówiłem już, że nie mogłabyś...

- Mogłabym! Nauczę się, zobaczysz!

Nagle pomyślałam o mamie i o tym, że do ostatniej chwili nie powiedziałam jej, jak bardzo jestem jej wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiła.

-Tato?

Znowu zajął się fajką, ale przerwał i popatrzył na mnie.

- Nie mógłbyś pozwolić mi na to? Żebym wozila cię wszędzie, gdzie zechcesz? Żebym cieszyła się, widząc cię w tym pięknym aucie? Prawie całe życie wozileś innych ludzi, teraz ja mogłabym cię wozić! Pozwól mi, tato! Proszę cię, pozwól, żebym coś dla ciebie zrobiła!

Nie odpowiedział, ale wyraz jego twarzy zmienił się, złagodniał i zrozumiałam, że Silver Ghost jest już mój.

Kiedy kierowca przyprowadził samochód na nasze podwórko, tata nauczył mnie prowadzić. Byłam z siebie dumna, widząc jego zdumienie, że tak szybko i łatwo opanowałam tę sztukę. Miał rację, że będę miała pewne trudności z synchronizacją ruchów, ponieważ moja prawa noga nie była zbyt silna, a kolano nie zginało się całkiem swobodnie i chociaż jakoś dawałam sobie radę, on nadal trochę się niepokoił.

Od razu odkryłam, że prowadzenie rolls royce'a to zajęcie, które po prostu uwielbiam, i od pierwszej chwili cieszyłam się całkowitą kontrolą nad wozem, a było to uczucie, jakiego nigdy

77

wcześniej nie doświadczyłam. Siadając za kierownicą, zapomniałam o mojej krótszej nodze i o tym, że kuleję. Gdy pędziłam drogą z opuszczonym dachem, a wiatr rozwiewał mi włosy, znowu odczuwałam wielką przyjemność, związaną z pędem. Możliwe, że jazda autem trochę przypominała mi bieganie.

Tamtego pierwszego lata często siadałam za kierownicą i zapuszczałam się nie tylko daleko w głąb naszego stanu, ale także do centrum miasta, gdzie nikt mnie nie znał. Silver Ghost przyciągał wiele spojrzeń, a ja uśmiechałam się z radosną dumą, skinieniem głowy pozdrawiając tych, których oczy zatrzymywały się na smukłej sylwetce wozu i na mnie samej. Byłam dumna nie tylko dlatego, że byłam właścicielką rolls royce'a, ale także dlatego, że tak dobrze prowadziłam; nagle nie czułam się już tylko zwyczajną Sidonie O'Shea, kulejącą na prawą nogę kobietą, która mieszkała z ojcem na obrzeżach miasta.

W środku tego upalnego, dusznego lata z przyjemnością jeździłam wiejskimi drogami, machając dzieciom idącym z boku drogi. Czasami zostawiałam auto przy drodze i wędrowałam przez zagajniki i zarośla, szukając stawów i jeziorzek, którymi usiana była nasza okolica. Siadywałam na brzegu i szkicowałam trzciny oraz dzikie kwiaty. Obserwowałam bobry zajęte budowaniem tam, chowające się wśród roślinności wiewiórki i króliki, i doglądające piskląt ptaki. Żaby kumkały głośno, a insekty bzyczały wokół mojej głowy. Odkrywałam nową florę, rośliny, których nazw nie znałam, i rysowałam je szybkimi, zdecydowanymi pociągnięciami ołówka, żeby później odnaleźć je na stronach rosnącego stosu książek przyrodniczych w moim pokoju. Kiedy wracałam do wozu, bluzkę lub sukienkę miałam przesiąknięte potem, spódnicę oblepioną rzepami, a włosy wilgotne i potargane.

78

Nie mogłam doczekać się powrotu do domu, tak bardzo pragnęłam namalować to, co wcześniej naszkicowałam. Tego lata moje obrazy stały się inne - coś związanego z prowadzeniem auta

rozluźniło mi barki, ramiona, przeguby dłoni i palce, dzięki czemu pewniej i z większą przyjemnością posługiwałam się pędzlem. Kolory, które wybierałam, też były głębsze i bardziej nasycone.

Kiedyś, skończywszy obraz przedstawiający ptaka w gnieździe zbudowanym z błota i mchu, cofnęłam się o parę kroków i bacznie przyjrzałam się swemu dziełu. To, co zobaczyłam, ucieszyło mnie tak bardzo, że chwyciłam Cinnabar w ramiona i dość lekkim jak na mnie krokiem obeszłam z nią całą pokój. Chyba tańczyłam...

Wiem, że byłam wtedy szczęśliwa.

Gdy spadły pierwsze duże śniegi, wyprowadzanie auta z naszego podwórka stało się zbyt trudne i musiałam zrezygnować z jazdy przez długie, nudne zimowe miesiące. Przez całą zimę tęskniłam za niskim, gardłowym warkotem silnika, delikatnym drżeniem kierownicy pod palcami i poczuciem świeżo odnalezionej wolności, które dawał mi Silver Ghost. Nocami często śniłam, że znowu pędzę samochodem prosto przed siebie.

Pod koniec zimy ojciec powiedział mi, że chce wybrać się do sąsiedniego okręgu na aukcję samochodów. Oświadczył, że pojedzie z Mikiem Barlow.

- Nie, ja cię zawiozę! - Szybko podniosłam się z krzesła, czując, jak znowu ogarnia mnie znajome podniecenie. - Śnieg już trochę stopniał, wyglądałam dziś rano na podwórko i myślę, że bez większego trudu wyprowadzę samochód. W zeszłym tygodniu zdjęłam z niego płachtę i włączyłam na trochę silnik, żeby się rozgrzał. Możemy jechać, tato!

79

- Nie ma potrzeby, Sidonie... Mikę obiecał zawieźć mnie swoją furgonetką, a po wczorajszym deszczu drogi są oblodzone, bo w nocy był jeszcze mróz. Z twoją nogą...

- Przestań martwić się moją nogą! Mam ochotę pojechać z tobą, zwłaszcza że od paru miesięcy nie byliśmy na żadnej aukcji...

Nie wspominałam, że po prostu marzę o tym, aby wyrwać się na drogę. Później, kiedy dokładniej przemyślałam całą tę sytuację, zrozumiałam, że pragnienie ujęcia w dłoń kierownicy podobne było do gorącego pożądania.

Włożyłam palto, zerknęłam w lustro nad szafką w przedpokoju i pośpiesznie przygładziłam włosy.

- Zawiozę cię i już! Trochę się rozerwiemy, tato!

Sama czułam, że coś uległo zmianie - miałam w sobie zupełnie nową pewność siebie.

Ojciec pokręcił głową, zacisnął wargi, ale bez słowa włożył palto i śniegowce. Nie chciałam, żeby się denerwował, więc objęłam go z uśmiechem i uściskałam.

- Nie zapomnij o szaliku! - powiedziałam.

- „Żaden szalik nie jest tak ciepły jak ramiona córki” - odpowiedział cytatem z irlandzkiej piosenki.

Teraz on także uśmiechnął się do mnie i skinął głową.

Musieliśmy we dwoje odgarnąć ostatnie pagórki mokrego śniegu z podjazdu i kiedy skończyliśmy, mocno się spociłam i zdjęłam palto, rzucając je na miejsce między przednimi siedzeniami.

- Zaziebisz się, skarbie!

- Tato! - Z uśmiechem potrząsnęłam głową. - Wsiadaj do środka i nie martw się! Na pewno się nie zaziebię!

Nic nie było w stanie przyćmić mojego radosnego oczekiwania.

80

Gdy wyjechaliśmy na drogę, poczułam się wspaniale, szybko uprzytomniłam sobie jednak, że rzeczywiście wcześniej nigdy nie prowadziłam na powierzchni bardziej wymagającej niż droga zmoczona letnim deszczem. Zgodnie z przewidywaniami ojca, drogi były śliskie i kiedy zbyt gwałtownie przyśpieszałam, wąskie opony ześlizgiwały się na jedną stronę, co sprawiało, że natychmiast ostro skręcałam kierownicę, chcąc wyrównać tor jazdy. Tata nic nie mówił, słyszałam tylko, jak mocniej zaciska zęby na niezapalanej fajce.

Pot ostygł na mojej skórze, zrobiło mi się chłodno i mięśnie ramion zeszywniały nieprzyjemnie. Gdy zmieniałam biegi, jeden zacinął się lekko i przy każdej takiej okazji kątem oka widziałam, jak ojciec szybko zwraca ku mnie głowę, wołałam jednak ignorować jego reakcję. Było dopiero parę minut po dwunastej w południe, lecz kiedy wyjechaliśmy z miasta, niebo poszarzało jak o zmierzchu.

Na pustej zwirowanej drodze łatwiej było mi utrzymać równe tempo jazdy. Po obu stronach rozciągały się mokre pola. Przestałam się denerwować, kilkakrotnie poruszyłam barkami i rozluźniłam dłonie na drewnianej kierownicy.

- Włącz światła, skarbie! - Ojciec sięgnął po moje palto. - Zjedź na bok, ubierz się i włącz światła.

Potrząsnęłam głową, nie chcąc się dekoncentrować.

- Nie jest ciemno, tato! - odparłam z pewnym rozdrażnieniem. - To tylko twoje oczy, wydaje ci się, że nie ma dość dobrej widoczności!

Później wiele razy wyrzucałam sobie, że ostatnie słowa, jakie do niego skierowałam, zabarwione były niepotrzebną irytacją.

- Ale podnosi się mgła...

- Na drodze nie ma nikogo poza nami. - Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że przyciska do piersi moje palto.

81

Nagle wyraz jego twarzy się zmienił - wydawało mi się, że wpadł w złość i potrząsnęłam głową.

- Doskonale poradzę sobie z... - zaczęłam.

- Sidonie! - krzyknął głośno.

Pośpiesznie przeniosłam wzrok na drogę. Po drugiej stronie jak duch pojawiła się częściowo przesłonięta obłokiem mgły ciężarówka. Gwałtownie wciągnęłam powietrze i szarpnęłam kierownicą w prawo. Kiedy później, w następnych dniach, tygodniach i miesiącach wracałam do tych ułamków sekund i swojej reakcji, za każdym razem coraz dotkliwiej zdawałam sobie sprawę, że zrobiłam to niepotrzebnie, ponieważ ciężarówka była po swojej stronie drogi i w gruncie rzeczy nie stanowiła dla nas żadnego zagrożenia. Problem polegał na tym, że nie dostrzegłam jej wcześniej, ponieważ patrzyłam na ojca i chwilę za późno odwróciłam od niego wzrok.

Wszystko rozmasało mi się przed oczami, auto zakręciło się w szalonym tempie, a ja bezskutecznie walczyłam o odzyskanie kontroli nad kierownicą.

- Nie hamuj! - krzyknął ojciec. - Zwolnij! Zwolnij! Próbowałam zmienić bieg, ale moja stopa w ciężkim bucie

o grubej podeszwie ześliznęła się z pedału. Kierownica wirowała mi pod palcami. Poczułam jeszcze, że odrywamy się od ziemi i lecimy w powietrzu, a potem zapadła ciemność.

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim otworzyłam oczy. To, co widziałam przez przednią szybę, wyglądało dziwnie. Gorączkowo mrugałam oczami, starając się rozpoznać, co właściwie mam przed sobą. W końcu zrozumiałam, że auto leży na boku, a ja z policzkiem przyciśniętym do bocznej szyby.

- Tato? - wyszeptałam, ostrożnie poruszając głową. Dobiegł mnie dziwny zgrzyt i poczułam tępy ból w policzku; podniosłam rękę i dotknęłam czegoś nieznanego, czegoś,

82

co tkwiło w mojej twarzy. Wyciągnęłam to, czując co najwyżej lekkie ukłucie i otępiąłym wzrokiem spojrzałam na długą szklaną drzazgę, całkowicie pokrytą krwią.

- Tato... - powtórzyłam.

Wypuściłam szkło z palców i rozejrzałam się dookoła. Nie było go na fotelu pasażera. W pierwszej chwili pomyślałam, że może poszedł po pomoc, zaraz jednak z przerażeniem zobaczyłam, że przednia szyba po jego stronie jest kompletnie roztrzaskana, a ostre krawędzie szkła pobrudzone krwią. Głowa bolała mnie z jednej strony, ale było to tylko tępe, przyćmione pulsowanie. Aby wydostać się na zewnątrz, musiałam przerzucić nogi nad drążkiem zmiany biegów, przejść przez miejsce pasażera i otworzyć drzwi, które teraz znalazły się w linii równoległej do nieba. Kiedy wreszcie udało mi się wypchnąć je do góry, podciągnęłam się na ramionach i wypadłam na mokrą ziemię. Silver Ghost leżał częściowo na drodze, a częściowo w płytkim, szerokim rowie.

Usiadłam, próbując dostrzec coś we mgle.

- Tato! - zawołałam zdławionym, zachrypniętym głosem. Dźwignęłam się na nogi i powoli, potykając się, wyszłam

na środek pola. Parę metrów przede mną dostrzegłam nieruchome, nieduże ciemne zwierzę; gdy podeszłam bliżej, okazało się, że to moje palto.

- Tato! - krzyknęłam, obracając się wokół własnej osi. -Gdzie jesteś?!

Wtedy zobaczyłam spoczywający na ziemi podłużny kształt kilka metrów od auta i od razu dotarło do mnie, że jest to mój ojciec. Dopadłam do niego i uklęknęłam, powtarzając jakieś bezsensowne zaklęcia czy prośby i drżącą ręką głaszcząc jego zakrwawioną twarz. Leżał na boku, z jednym ramieniem wyrzuconym daleko nad głowę. Na czole miał szeroką ranę, z której obficie wypływała krew, lecz poza tym wyglądał tak

83

spokojnie, jakby spał. Za kołnierz palta wpadła mu kępka mokrej zimowej trawy. Wyciągnęłam ją i przytknęłam ucho do jego piersi. Była ciepła, czułam, jak powoli wznosi się i opada pod moim policzkiem.

Dopiero wtedy, gdy uświadomiłam sobie, że ojciec żyje, rozplakałam się żałośnie.

-Wszystko będzie dobrze, tato... Wszystko będzie dobrze... - powtarzałam raz po raz, oddychając zimnym, wilgotnym powietrzem.

Coś mnie obudziło i szybko podniosłam głowę z nadzieją, że może ojciec odzyskał przytomność, ale on nadal leżał nieruchomo na szpitalnym łóżku. Chwilę później zorientowałam się, że ze snu wyrwało mnie bolesne pulsowanie policzka. Uniósłam rękę i poczułam pod palcami gazowy opatrunek. Obmacywałam go przez parę sekund, ze słabym zaciekawieniem starając się ocenić jego wielkość, a potem znowu sięgnęłam po dłoń ojca, którą trzymałam, odkąd pozwolili mi wejść do jego pokoju. Skórę miał cienką jak bibułka, żyły ciemnoniebieskie i wąziutkie, tworzyły siatkę pod wątrobianymi plamami. Kiedy tata tak bardzo się postarzał?

Na parę sekund wstrzymał oddech; mocniej zacisnęłam palce na jego dłoni i utkwiałam wzrok w białej jak papier twarzy. Jego rysy stężyły w gwałtownym spazmie, zaraz jednak się rozluźniły i rytm oddechu wrócił do normy. Wyprostowałam się z ulgą.

Zaschło mi w ustach, wzięłam więc metalowy dzbanek z wodą z małego stolika przy łóżku. W lśniącej, zaokrąglonej powierzchni zobaczyłam swoje zniekształcone odbicie - zwisające po obu stronach twarzy długie, splątane kosmyki włosów, grube brwi nad dziwacznie rozciągniętymi oczami, biały bandaż na policzku, rozchylone wargi.

84

Odstawiłam dzbanek na miejsce. -Tato... - odezwałam się cicho. -Tato, proszę cię... O co chciałam go poprosić? Żeby się obudził? Nie umierał? Wybacz mi? Przytuliłam jego dłoń do zdrowego policzka.

- Powinna pani odpoczywać w czasie, gdy śpi - usłyszałam obcy głos.

Spojrzałam przez ramię. W otwartych drzwiach stał lekarz ze słuchawkami na szyi. Ostrożnie położyłam rękę taty na materacu i wstałam.

- Może mi pan powiedzieć, jak on się czuje? - zapytałam. - Czy... Czy nic mu nie będzie?

Mężczyzna popatrzył na ojca i po chwili przeniósł wzrok na mnie.

- Odnioś poważne obrażenia wewnętrzne - odparł.

W jego głosie było coś znajomego, czy też może raczej pocieszającego, chociaż naprawdę nie wiedziałam, skąd bierze się to wrażenie.

- Ale z powodu jego wieku... To pani ojciec, prawda? Musi się pani przygotować...

Usiadłam.

- Przygotować się?

- Nie chciałyby pani pojechać do domu, przynajmniej na krótko? Mężczyzna i kobieta, którzy przywieźli tu panią i pani ojca... Czy to wasi znajomi? Może zatelefonuje pani do nich, żeby po panią przyjechali?

Potrząsnęłam głową. Jak przez mgłę pamiętałam zatrzymujący się na drodze samochód, mężczyznę układającego ojca na tylnym siedzeniu, kobietę przyciskającą chusteczkę do mojego policzka, okrywającą mnie paltem.

- Zostanę z nim - odparłam. Lekarz chwilę milczał.

- Czy ktoś telefonował do pani matki? - spytał. - Albo

85

może brata czy siostry... Proszę podać numer pielęgniarce, ona zadzwoni, gdzie trzeba. Ma pani rodzinę, kogoś...

- Mam tylko ojca - przerwałam mu zachrypniętym głosem. - Tylko ojca.

- Lekarstwo trochę pomogło? Spojrzałam na ojca.

- Nie wiem - powiedziałam.

- Nie. - Pokręcił głową. - Pytam o panią. Czy policzek nadal bardzo boli?

Podniosłam rękę i dotknęłam opatrunku, podobnie jak chwilę wcześniej.

- Nie... Ja... Nie mogę sobie przypomnieć...

- To dość głęboka rana, panno O'Shea. Tkwiło w niej dużo drobnych kawałków szkła... Usunąłem je i założyłem szwy.

Nagle usłyszałam jego akcent i uświadomiłam sobie, skąd wzięło się wrażenie, że skądś go znam - mówił po angielsku podobnie jak moja matka. Pamięć opieszale podsunęła mi wspomnienie: drażniący zapach środka dezynfekcyjnego, twarz tego mężczyzny tuż przed moimi oczami, lekkie szarpnięcia w policzku, zimnym i znieczulonym.

- Nie - powtórzyłam. - Już nie boli.

Dlaczego mówił o mojej zupełnie nieistotnej ranie? Przecież powinien zajmować się ojcem!

- Nie można nic zrobić? - spytałam. - Nie da się przeprowadzić jakiejś operacji czy zabiegu? Nie można mu jakoś pomóc?

Pokręcił głową. Na jego twarzy malował się wyraz... Tak, chyba smutku...

- Przykro mi - rzekł.

Nie miałam żadnej wątpliwości, że mówi szczerze.

- Teraz możemy tylko czekać. - Spojrzał na okrągły zegarek,

86

który wyjął z kieszeni kamizelki. - Muszę iść, ale za parę godzin wrócę.

Zdawałam sobie sprawę, że takie sytuacje to dla niego chleb powszedni, wydawał się jednak naprawdę poruszony, a jego głos... Znowu pomyślałam o mamie i poczułam się bardziej osamotniona niż kiedykolwiek przedtem. Chciałam, żeby ten mężczyzna został ze mną przy łóżku ojca; w tej chwili pocieszeniem była dla mnie nawet obecność kogoś całkiem obcego.

- Panno O'Shea, byłoby lepiej, gdyby trochę się pani przespała. Siedzi pani przy nim już od wielu godzin, a lek przeciwbólowy, który pani podaliśmy, daje uczucie zmęczenia.

Przypomniałam sobie lekarza, który zajmował się mną, kiedy zachorowałam na polio, i tego, który przyjeżdżał do mamy w ostatnich dniach jej życia. Obaj byli już chyba tuż przed emeryturą; wydawali się starzy, znużeni, pewnie także dlatego, że przez całe życie przekazywali ludziom smutne wiadomości.

- To była moja wina - powiedziałam, nie wiedząc, dlaczego czułam potrzebę zwierzenia się temu lekarzowi.

Jego wysokie czoło świadczyło o inteligencji, policzki miał rumiane, ogorzałe, pewnie od wiatru. Nie pracował chyba jeszcze zbyt długo, bo wyglądał na niewiele starszego ode mnie.

- Mówił mi, żebym nie siadała za kierownicą...

Nie odpowiedział, ale patrzył na mnie uważnie, jakby czekał. Znowu podniosłam dłoń taty i tym razem przycisnęłam ją sobie do czoła.

- Nazywam się Duverger - odezwał się lekarz. - Gdyby chciała pani porozmawiać o ojcu albo o swojej twarzy, wystarczy poprosić pielęgniarkę, żeby mnie poszukała... Doktor Duverger - powtórzył, nie odrywając ode mnie baczego spojrzenia.

87

Nagle ogarnęła mnie fala tak wielkiego przygnębienia i zmęczenia, że tylko kiwnęłam głową i odwróciłam się do ojca.

Ojciec umarł tuż przed wschodem słońca. Nie odzyskał przytomności i nie wybaczył mi. Byłam przy nim, siedziałam koło łóżka, ale w chwili jego śmierci spałam.

To pielęgniarka, która zajrzała do pokoju, zorientowała się, że tata już nie oddycha i obudziła mnie, kładąc rękę na moim ramieniu.

- Tak mi przykro - powiedziała. - Nic już nie można zrobić.

Oderwałam wzrok od taty i popatrzyłam na nią. Miałam wrażenie, że mówi w jakimś obcym języku.

- Odszedł, kochanie... Proszę pójść ze mną, zaraz przyniosę pani filiżankę herbaty.

Nie byłam w stanie pojąć, dlaczego stało się to w taki sposób, tak cicho i niepostrzeżenie. Czy tacie nie należało się coś więcej? Od życia i ode mnie?

- Proszę pójść ze mną - powtórzyła.

Posłuchałam jej. W progu przystanąłam i spojrzałam na ciało ojca.

Pamiętam, że potem siedziałam jakiś czas w małym pokoju, z filiżanką herbaty w obu dłoniach, i że ten młody lekarz -jak on się nazywał? - mówił coś do mnie. Nie mogłam zrozumieć, o co mu chodzi. Wysłałam na korytarz, ale poszedł za mną i wcisnął mi coś do ręki. Był to mały słoiczek. Potem narzucił mi palto na ramiona. Poczułam zapach mojego ojca, aromat tytoniu, i nagle zakręciło mi się w głowie. Lekarz przytrzymał mnie za rękę.

- Musi pani smarować policzek tą maścią - powiedział. -Tą maścią, o, tą, ma pani słoiczek w ręku. Proszę używać jej

88

codziennie i zmieniać opatrunek. I przyjechać do mnie za tydzień. Jak wróci pani do domu?

Powoli przeniosłam spojrzenie z palców lekarza, zaciśniętych na przegubie mojej ręki na jego twarz.

- Kto odwiezie panią do domu, panno O'Shea? - zapytał. -Czy jest ktoś, kto mógłby zabrać panią ze szpitala i posiedzieć z panią w domu, żeby nie była pani teraz sama?

Nie potrafiłam jasno myśleć.

- Do domu? Nie... Nie wiem... Auto... Moje auto... Czy... Gdzie ono jest? - spytałam, jakbym uważała, że powinien wiedzieć, co się dzieje z rolls royce'm.

- Nie wiem, gdzie jest pani auto, ale wydaje mi się, że nie powinna pani prowadzić w tym stanie... Znajdziemy kogoś... Jest bardzo wcześnie... Gdzie pani mieszka?

- Przy Juniper Road.

- Postaram się znaleźć kogoś, kto panią odwiezie. Będzie pani musiała chwilę zaczekać, dobrze?

Stałam i wpatrywałam się w niego, usiłując zrozumieć jego słowa. Naprawdę był miły i pełen współczucia.

- Nie - odparłam, wreszcie odrobinę przytomniej. - Mój sąsiad, pan Barlow... Mikę Barlow... Przyjedzie po mnie i zabierze mnie do domu.

- Ma telefon?

Kiwnęłam głową. W tej chwili chciałam tylko zostawić szpital daleko za sobą, szpital i pozbawione życia ciało mojego ojca.

- Tak - odparłam.

Nagle zrobiło mi się okropnie zimno. Zadygotałam.

- Ale... Ale nie mogę sobie przypomnieć jego numeru. Nie pamiętam! - Zasłoniłam usta dłonią. - Znam jego numer - powiedziałam przez drżące palce. - Znam go, ale nie mogę...

Lekarz skinął głową i położył rękę na moim ramieniu.

89

- Jest pani w szoku, panno O'Shea. Proszę usiąść! Mikę Barlow, przy Juniper Road, tak? Zaraz znajdę numer.

Usiadłam na krześle, które mi wskazał. Zęby szczękały mi jak w gorączce. Lekarz podszedł do stojącego niedaleko biurka i powiedział coś do siedzącej przy nim kobiety. Spojrzała na mnie i kiwnęła głową, a wtedy on znowu odwrócił się do

mnie.

- Proszę włożyć palto - powiedział głośno. - Będzie pani trochę cieplej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Jechaliśmy do domu w rozrzedzonym świetle wczesnego poranka. Wypogodziło się i wschodzące słońce świeciło nieśmiało, jakby niepewne własnej mocy. Pan Barlow uchylił boczną szybę i do środka wpadało cudowne pachnące obietnicą wiosny powietrze. Nagle policzek zabolął mnie tak mocno, że wstrzymałam oddech i zamknęłam oczy.

- Dobrze się czujesz, Sidonie? - zapytał pan Barlow. Uniosłam powieki i popatrzyłam na jego nieogoloną twarz.

Niespodziewanie przypominałam sobie, że w dzieciństwie jego rude brwi zawsze kojarzyły mi się z gąsienicami; teraz były poprzerastane siwymi włoskami, chociaż nadal wydawały się gęste i szorstkie.

- Dobrze się czujesz? - powtórzył.

Przytaknęłam ruchem głowy i utkwiłam wzrok w przedniej szybie. I wtedy zobaczyłam moje auto, pięknego rolls royce'a, bezradnie leżącego na boku i emanującego przytłaczającym smutkiem. Leżał jak wielkie białe zwierzę, powalone na mokrą ziemię, raz na zawsze pokonane. Słońce zalśniło w jego bocznym lusterku i oślepiło mnie na moment. Zasłoniłam oczy dłońmi.

- Twój tata był dobrym człowiekiem - odezwał się pan Barlow.

A ja go zabiłam, pomyślałam. Tak, zabiłam go.

91

To pan Barlow zawiózł mnie do szpitala trzy tygodnie później. Zapukał do frontowych drzwi i stanął w progu, gniotąc czapkę w dłoniach.

- Nora mówi, że był do ciebie telefon. Masz przyjechać do szpitala, podobno opuściłaś wizytę.

- Wizytę? - zapytałam, przyciskając Cinnabar do piersi. - Jaką wizytę?

Pan Barlow odchrząknął.

- Pewnie w sprawie twojej twarzy, Sidonie. - Wymownie dotknął własnego policzka.

Państwo Barlow byli dla mnie bardzo dobrzy. Pomogli mi załatwić pogrzeb, a pani Barlow codziennie przynosiła mi coś do jedzenia. Czasami brałam coś do ust, czasami nie, zdarzało się też, że nie mogłam sobie przypomnieć, czy jadłam, czy nie.

Mikę Barlow zawiózł mnie do kancelarii prawnej w Albany i siedział przy mnie, kiedy adwokat tłumaczył mi nieskomplikowaną treść testamentu ojca. Tacie udało się odłożyć niewielką sumę, którą po nim odziedziczyłam. Kiedy wychodziliśmy, spojrzałam na pana Barlow.

- Czy to wystarczy na wynajęcie domu? - spytałam, niezdolna zrozumieć, co oznacza ta kwota.

- Nie przejmuj się tym - odparł. - Wystarczy ci na utrzymanie na jakiś czas... Ale... - przerwał. - Nie musisz płacić mi za dom, naprawdę.

Kiwnęłam głową.

- Będziesz musiała założyć własne konto bankowe - dodał.

Znowu przytaknęłam bezmyślnie. W tamtych dniach wszystko wydawało mi się bezsensowne.

Co jakiś czas próbowałam czytać, ale nie mogłam się skoncentrować; próbowałam malować, lecz kolory były płaskie, a każde pociągnięcie pędzlem wymagało ogromnego wysiłku.

92

Nastawiałam wodę na herbatę, a później zupełnie o tym zapomniałam i w końcu przenikliwy gwizd przywoływał mnie do rzeczywistości. Sięgałam po pióro, żeby zrobić listę zakupów i kompletnie nie mogłam sobie przypomnieć, co powinnam czy chciałam kupić. Któregoś dnia dziwiłam się nawet, dlaczego Cinnabar chodziła za mną przez godzinę po całym domu, aż wreszcie zobaczyłam, że jej miseczki na wodę i jedzenie są puste.

Bez ojca dom był przerażająco cichy.

Kiedy umarła mama, pogrzeżyłam się w żałobie. Była to bierna żałoba, która przybrała formę rozmyślenia o niej i optakiwania jej odejścia. Gdy ona umarła, miałam jeszcze tatę. Jego śmierć przeżywałam zupełnie inaczej - pogrzeżyłam się nie w żałobie, ale w rozpacz. Miałam aż za dużo energii, lecz nie miałam co z nią zrobić. Czułam potrzebę ruchu, ciągle szukałam nowych zajęć, ale nie potrafiłam się na nich skupić.

Brakowało mi naszych cotygodniowych poszukiwań ornamentów do masek samochodowych i kratek chłodnic. Brakowało mi jego pogwizdywania przy goleniu. Brakowało mi prasowania jego koszul i

pełnego zadowolenia uśmiechu, z jakim wsuwał ramiona w pachnące świeżością i lekko wykrochmalone rękawy.

Poszłam do szopy i pracowicie zeszkrobałam warstwę zimowego kurzu ze starego modelu T. Wyjęłam wszystkie samochodowe ozdoby i detale z sosnowej szafy i czyściłam je przez parę dni, raz po raz. Wyjęłam wyprane, wyprasowane koszule taty, uprałam je znowu i rozwiesiłam, a kiedy wyschły, zdjęłam je ze sznura i wyprasowałam, wdychając zapach bijącej z żelazka pary.

Jednak najbardziej brakowało mi rozmów z ojcem. Ciągle o nim myślałam i dlatego w ciągu tych pierwszych tygodni

93

często spontanicznie otwierałam usta, żeby do niego zawołać albo powiedzieć mu o czymś zupełnie nieważnym, na przykład o myszy, która w nocy wygryzła dziurę w tynku. I dopiero po paru sekundach uprzytamniałam sobie, że go już nie ma, że odszedł na zawsze i że nigdy więcej nie porozmawiamy ani o myszach, które gryzą ściany, ani o światowych kryzysach.

Mimo to nie mogłam płakać. Bezustannie dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Nie byłam w stanie zapomnieć, co zrobiłam. Gdybym płakała, płakałabym nad sobą, po to, aby znaleźć ukojenie i pociechę we łzach. A byłam przekonana, że nie zasługuję na pociechę.

Pewnej ciemnej nocy, siedząc na schodach przed domem i wpatrując się w gwiazdne konstelacje, przeżyłam dziwny moment objawienia.

Nad słabo widocznymi koronami drzew po drugiej stronie ulicy rozwijała się bezchmurna wstęga nocy, a na niej wążutki księżyc w nowiu i rozsypana garść gwiazd. Odszukałam Oriona i Kasjopeję, Gwiazdę Północną, Wielką Niedźwiedzicę. Zawsze tam były, każdej pogodnej nocy, moje stare i wierne przyjaciółki. W czasie choroby i rekonwalescencji, podczas tamtego roku najpierw nadziei, później gorzkiego rozczarowania i wreszcie rezygnacji często przyglądałam się konstelacjom, ucząc się ich kształtu i układu z ilustracji w książkach. Wtedy nie mogłam patrzeć na nie tak jak teraz, wtedy były dla mnie tylko rysunkami na papierze.

Teraz przez głowę przemknęła mi myśl, że w gruncie rzeczy większą część życia czerpałam doświadczenia z książek i że może sama jestem tylko czymś w rodzaju papierowej postaci, wyciętą z papieru płaską sylwetką.

Zawsze mi się wydawało, że znam kształt swojego życia. Sądziłam, że wiem wszystko, co chcę wiedzieć i co jest mi

94

potrzebne, a jednak teraz w solidnej zastanie zrozumienia nieoczekiwanie pojawiła się dziura.

Czy wcześniej planowałam, co zrobię, kiedy zostanę sama? Śmierć mojego ojca nadeszła za wcześnie, ale przecież była nieunikniona. Jaką przyszłość przewidywałam dla siebie, czy w ogóle myślałam o tym, jak będzie wyglądało moje życie po jego odejściu, gdy już nie będę musiała się nim opiekować?

Czy miałam świadomość, że moje spokojne, bezpieczne życie jest jak nić, która przytwierdza mnie do ziemi? Że nadal będę wykonywała codzienne czynności, że będę zajmowała się domem i ogrodem,

malowała rośliny, czytała w nocy, słuchając wycia północnego wiatru, że będę wędrowała latem po polach i lasach, i że wszystko to będzie równie przewidywalne i pewne jak wschody i zachody słońca? Że ta nić pozostanie mocna i niezwykle trwałą?

Teraz wiedziałam, że nić jednak pękła i nagle ogarnęło mnie uczucie wielkiej pustki. Siedząc pod zimnymi gwiazdami zrozumiałam, że to śmierć pozwoliła mi zobaczyć własne życie, czy też raczej jego brak. Wreszcie dotarło do mnie, co usiłował powiedzieć mi ojciec, już wiele lat temu. Pojęłam, że moje życie jest tak maleńkie, nieznaczące i drobne jak jedna z miliardów gwiazd, tworzących mglistą wstążkę Drogi Mlecznej. Może zresztą przesadą było widzieć je nawet jako najdrobniejszą z gwiazd, może właściwiej byłoby myśleć o nim jak o jednej z drobin kosmicznego pyłu, zaśmiecających kosmiczną przestrzeń.

Znowu przypominałam sobie, jak gorąco ojciec życzył sobie, abym wyszła za mąż i założyła rodzinę.

Chociaż już dawno temu zrezygnował z pomysłu, abym zdobyła konkretny zawód, jakiś czas po śmierci mamy zaczął mi powtarzać, co było dość męczące, że więź łącząca mężczyznę i kobietę nie ma odpowiednika ani w przyjaźni, ani

95

w związkach rodzinnych. I że siłę tej więzi można w pełni zrozumieć dopiero wtedy, gdy zerwie ją śmierć.

- Chcę, żebyś poznała taki związek - mawiał, aż nazbyt wiele razy.

Zawsze ogarniała mnie wtedy mieszanka gniewu i skrępowania - gniew na niego, bo czegoś ode mnie chciał, i skrępowanie, że nie potrafię powiedzieć mu wprost, że przecież żaden mężczyzna mnie nie zechce, o czym on powinien doskonale wiedzieć.

Kiedy siedziałam tak na schodkach, wspominając słowa ojca, światła w domu moich sąsiadów zgasły i nagle przypominałam sobie, jak pan Barlow powiedział mi, że bym nie martwiła się o czynsz, gdy wychodziliśmy z kancelarii adwokackiej. Wróciłam do domu i wyjęłam kopertę, którą tamtego dnia schowałam w szufladzie kredensu, spojrzałam na odziedziczoną po tacie kwotę i uświadomiłam sobie, jak bardzo jest skromna. Pomyślałam o cotygodniowych wydatkach na zakupy, o węglu na zimę i materiałach do malowania. Nawet hojność państwa Barlow nie mogła rozwiązać moich problemów. Co zrobię, kiedy wydam wszystkie pieniądze?

Wreszcie dotarło do mnie, że chociaż tata pragnął, abym znalazła szczęście, niepokoił się także, co będzie ze mną po jego śmierci. Martwił się, jak będę żyła, chciał mieć pewność, że ktoś się mną zaopiekuje, ponieważ sama nigdy nie nauczyłam się dbać o siebie.

Ogarnęła mnie panika. Skuliłam się na łóżku, nadal w płaszczu, tuląc do piersi Cinnabar. Nawet gdy się zniecierpliwiła, bo zrobiło jej się za gorąco i zaczęła się wyrwać, nadal nie chciałam wypuścić jej z objęć, zupełnie jakby była liną ratunkową, rzuconą pasażerowi idącej na dno łodzi.

Cztery dni później pan Barlow zapukał do moich drzwi, aby zawieźć mnie do szpitala.

96

Teraz wciąż stał w progu, z czapką w dłoniach.

- Sidonie? - odezwał się. Podskoczyłam, nagle wyrwana z zamyślenia.

- Och, tak, przepraszam... - wyjąkałam. - Kiedy mam jechać do szpitala?

Rozłożył ręce.

- Nora nie wie, kto powiedział jej tylko, że nie przyjechałaś na umówioną wizytę. Mogę zawieźć cię dzisiaj.

Postawiłam na podłodze Cinnabar, która miała już trzynaście lat i była mocno nieruchawa, i zdjęłam palto z wieszaka za drzwiami. Kiedy wyszliśmy na zalane wiosennym słońcem podwórko, wsunęłam ręce do kieszeni i poczułam, że w lewej coś mam. Był to mały słoiczek i złożony kawałek papieru. Od dnia wypadku miałam na sobie palto wiele razy - na pogrzebie, w kościele, w kancelarii adwokackiej i na zakupach - a jednak jakoś nigdy nie znalazłam tych rzeczy. Może dotykałam ich, ale nie miałam ochoty wyjąć, a może nie wkładałam rąk do kieszeni?

W słoiczku znajdowała się maść, którą w dniu śmierci taty dał mi ten lekarz, natomiast na kartce widniały wskazówki, jak często ją stosować oraz uwaga, że w razie potrzeby można zamówić świeżą porcję. Niżej ktoś zapisał datę mojej wizyty u lekarza - dwa tygodnie temu. U góry przystawiono pieczętkę: DrE. Duverger, specjalista chorób wewnętrznych.

Jechaliśmy w milczeniu, a kiedy wysiadłam, pan Barlow dotknął mojego ramienia.

- Zaczekam na ciebie - powiedział.

Kiwnęłam głową i weszłam po schodach. W progu przystanęłam, myśląc o tamtej nocy, kiedy umarł ojciec, i ranku po jego śmierci, gdy w słabym świetle wczesnego poranka wsiadałam do furgonetki Mike'a Barlowa. Nie byłam w stanie wejść przez te drzwi do środka - odwróciłam się i ruszyłam

97

w dół, ale pan Barlow parkował już auto. Przez szybę wyraźnie widziałam tył jego głowy.

Nie mogłam pozwolić, aby zobaczył mnie w takim stanie, nie mogłam wrócić do niego i poprosić, aby odwiózł mnie do domu, nie mogłam się przyznać, że boję się przekroczyć próg szpitala.

Wzięłam głęboki oddech, znowu się odwróciłam i weszłam do holu. Zaburczało mi w brzuchu i rozejrzałam się w poszukiwaniu toalety, ale nigdzie jej nie dostrzegłam. Podałam swoje nazwisko w rejestracji i pielęgniarka zaprowadziła mnie do małego gabinetu. Parę chwil później do pokoju wszedł lekarz. Doktor Duverger... Pamiętałam jego ogorzałe policzki, bardzo ciemne włosy i oczy, podobne do moich...

- Dzień dobry, panno O'Shea - powiedział z leciutkim uśmiechem, przyglądając mi się uważnie.

Zaraz potem uśmiech zniknął i między brwiami doktora zarysowała się głęboka zmarszczka.

- Zatelefonowałem do pani znajomego, tego, który wtedy zabrał panią do domu, ponieważ, przeglądając karty pacjentów, zobaczyłem, że nie przyjechała pani na zdjęcie szwów.

Stał nade mną i patrzył na mój policzek. Wciąż starałam się stłumić dość ostry ból brzucha.

-Trzeba było przyjechać na tamtą wizytę - dodał. - Nie widziała pani, co się dzieje?

- Co się dzieje? - powtórzyłam słabo. - Co ma pan na myśli?

- Szwy zarosły, a rana stała się... - powiedział cicho coś po francusku, za cicho, abym mogła go zrozumieć. - Rana pokryła się ziarniną...

Lekko wzruszyłam ramionami.

- Ziarniną? Co to takiego?

-Tkanka narosła za szybko, niech pani spojrzysz. - Wyjął

98

z szuflady biurka lusterko i podsunął mi, żebym mogła zobaczyć swój policzek.

Przesunął palcami po czerwonej bliznie.

- To wybrzuszenie to tkanka, która tworzy bliznę. Narosła za szybko... Wcześniej można było ją powstrzymać! Nie miała pani uczucia ciągnięcia ani swędzenia?

Potrząsnęłam głową.

- To bez znaczenia - powiedziałam.

Popatrzył na mnie i coś w jego spojrzeniu sprawiło, że nagle ogarnął mnie wstyd. Przyłożyłam dłoń do policzka; był gorący.

- Mój ojciec... - zaczęłam. - Pogrzeb i wszystko to razem... Zapomniałam. Sama nie wiem, dlaczego.

Nie chciałam się przyznać, że w tygodniach po śmierci taty stan mojego umysłu pozostawiał wiele do życzenia.

Twarz doktora Duvergera złagodniała; usiadł na krześle naprzeciwko mnie.

- Rozumiem, przeżywała pani ciężkie chwile. Ja też straciłem oboje rodziców.

Te słowa z ust człowieka, którego prawie nie znałam, sprawiły, że oczy zapiekły mnie od łez. Nie płakałam na pogrzebie ani później, kiedy sąsiedzi i znajomi ojca przyszli mnie pocieszać.

Przez ostatnie trzy tygodnie starałam się jakoś trzymać. Zaciskałam zęby, myjąc nasz model T i polerując figurki z masek samochodowych, prasując koszule ojca, wachając jego mydło do golenia, wkładając sobie jego fajkę do ust i smakując lekko gorzkawy tytoń, przytulając policzek do jego poduszki i patrząc na leżący na niej srebrny włos. Trzymałam się, powtarzając sobie, że nie mam prawa płakać, bo jestem winna.

Dlaczego więc teraz, najzupełniej nieoczekiwanie, zapragnęłam oprzeć głowę na piersi tego człowieka i rozplakać się?

99

I poczuć wokół siebie jego ramiona? Przełknęłam ślinę, zamrugałam i z wielką ulgą odkryłam, że oczy pozostały suche.

- Dobrze się pani czuje? - zagadnął. - Widzę, że... Nie powinienem był mówić pani o tym akurat teraz. Ale za długo czekała pani z tą raną. Proszę pozwolić, że przyjrzę się z bliska.

Uniosłam podbródek. Nachylił się nade mną, palcami delikatnie przesuwając po policzku. Poczułam zapach środka dezynfekcyjnego i chyba leciuteńki aromat tytoniu. Znowu pomyślałam o ojcu. Palce lekarza były silne, ale łagodne.

- Jest pan Francuzem - powiedziałam i natychmiast poczułam się jak idiotka.

Nie miałam pojęcia, dlaczego wyrwałam się z czymś tak oczywistym. Doktor Duverger wyprostował się, włożył okulary i zajął do mojej karty.

- Oui - odparł, czytając.

- Moja matka była Francuzką. Nie z Francji, z Kanady... -Je sais... - wymamrotał.

- Wie pan? - spytałam ze zdumieniem.

Położył kartę na biurku i zdjął okulary. Znowu uśmiechnął się lekko, trochę niepewnie.

- Nie o pani matce - wyjaśnił. - Słyszałem jednak, jak modliła się pani po francusku i jak pani śpiewała. Słyszałem francuską piosenkę.

- Śpiewałam? - zdziwiłam się znowu.

- Dodo, l'enfant, tak... Tamtej nocy, kiedy... kiedy umarł pani ojciec. Przechodziłem korytarzem i usłyszałem, jak śpiewała pani tę... Jak nazywa się w angielskim piosenka, którą wieczorem śpiewa się dzieciom?
- Kołysanka.

- Tak... Moja matka też śpiewała mi tę kołysankę. To stara piosenka. - Uśmiechnął się ciepło i szczerze. W następnej chwili jego uśmiech zbladł.

100

- Panno O'Shea, zależy pani, żeby pani twarz wyglądała lepiej?

Wziął ręczne lustro i podał mi, drugi raz podczas naszej rozmowy. Ujęłam je i popatrzyłam na siebie. Blizna była czerwona i bardzo wyraźna, wystająca i obrzmiała; przecinała cały policzek, od skroni po szczękę. Zaskoczyła mnie jej brzydota. Jak to możliwe, że wcześniej nie zauważyłam, jak bardzo mnie szpeci? Przecież na pewno patrzyłam na swoje odbicie, kiedy ostrożnie myłam twarz, omijając bolesną linię, albo kiedy szczotkowałam włosy i jak zwykle zwiјаłam je w węzeł na karku...

Doktor Duverger znowu delikatnie dotknął blizny czubkiem palca wskazującego. Nic nie poczułam.

- Mogę przeprowadzić bardzo niewielki zabieg i zmniejszyć ją... Założę świeże szwy, po których zostanie mniej widoczna blizna, węższa i płytsza. Chce pani, żebym to zrobił?

Milczałam.

- Panno O'Shea?

Przeniosłam wzrok z mojego odbicia na jego twarz.

- Nie jest to droga operacja... Odłożyłam lusterko.

- Bo może to jest powód pani wahania... Popatrzyłam na niego.

- Nie - powiedziałam.

Było oczywiste, że moja reakcja bardzo go zaskoczyła. Spuściłam wzrok i utkwiłam go w leżącej na kolanach torebce. Zaczęłam bawić się paskami.

- Nie rozumiem... - odezwał się doktor Duverger. - W takim razie co panią powstrzymuje? Boi się pani operacji? Niepotrzebnie! To łatwy zabieg, na pewno nie będzie żadnych komplikacji.

Gdy przerwał, podniosłam głowę.

101

- Może wolałaby pani wybrać innego lekarza? -Jego twarz przybrała wyraz chłodnej obojętności.

Nie był w stanie dostrzec ani zrozumieć wielkiego ciężaru winy, jaki dźwigałam. Był on tak ogromny i brzydki, brzydki jak blizna na mojej twarzy...

- Mogę polecić pani któregoś z moich kolegów, chociażby po to, aby zasięgnęła pani innej opinii. To jak najbardziej naturalne, panno O'Shea.

Nagle poczułam, że nie chcę spędzić tu ani chwili dłużej. Typowy dla szpitala zapach środków dezynfekcyjnych, kroki pielęgniarek, chodzących po korytarzach w pantoflach na gumowych podszewkach, co jakiś czas cichy okrzyk zza przymkniętych drzwi, wszystko to było zbyt realne. Zapragnęłam natychmiast wrócić do domu i zamknąć się w moich czterech ścianach.

- Nie boję się - powiedziałam, trochę za głośno i za szybko.

Czy zorientował się, że kłamię? Miałam świadomość, że jest bardzo inteligentny i przenikliwy.

- Po prostu nie wiem, czy jest to warte zachodu, czasu i energii - ciągnęłam. - Dla mnie nie ma to większego znaczenia, a więc tym bardziej dla innych. Zapewniam pana, że nie jestem próżna...

- Nie wydaje się pani, że jest pani tego warta? - lekko unióś brwi.

Czekał na odpowiedź, ale po chwili milczenia wzruszył ramionami.

- Cóż, to pani sprawa, naturalnie. - Wstał zza biurka. -Przykro mi tylko, że tak mało dba pani o siebie. Nie musi pani przecież nosić tego piętna.

Wyszedł, a ja zostałam. Po pewnym czasie wzięłam do ręki lusterko i jeszcze raz uważnie przyjrzałam się swemu odbiciu.

102

W końcu odłożyłam lusterko i wyszłam na zewnątrz, do furgonetki pana Barlowa.

Nie potrafiłam wyjaśnić lekarzowi, że chociaż myśl o zabiegu budziła we mnie lęk - nie przed bólem, ale strasznymi wspomnieniami i uczuciami, które przywoływał szpital - największe znaczenie miało dla mnie to, że blizna była swoistym znakiem. Uświadamiała mi, jaką jestem osobą i co spowodował mój upór. Tak, musiałam nosić to piętno.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

W Tangerze spędziłam tydzień.

Szybko się okazało, że wieści przemieszczają się z dużą prędkością wśród krętych alejek i zatłoczonych targowisk, bo chociaż o moich poszukiwaniach środka transportu wiedziała tylko Elizabeth Pandy i Omar, chłopiec, który pierwszego dnia zaniósł moje bagaże do pokoju, prawie natychmiast przed wejściem do hotelu zaczęły ustawiać się kolejki. Portier zatrzymywał zgłaszających się mężczyzn i nie wpuszczał ich do głównego holu, czekali więc, aż zejdę do nich, zawiadomiona przez kogoś z obsługi.

Większość kandydatów od razu okazała się nieodpowiednia, ponieważ nie mieli samochodu. Zakładali, że mam samochód, wyjaśniałam im jednak cierpliwie, albo po francusku, albo po arabsku, za pośrednictwem Omara, że nie zamierzam szukać auta i go kupować.

Potrzebowałam kierowcy z samochodem, powtarzałam raz po raz.

W tych pierwszych dniach wiele dowiedziałam się o typowej dla mieszkańców Afryki Północnej umiejętności perswazji. Niektórzy mówili, że mają kuzyna z samochodem, inni zapewniali, że znajdą jakieś auto. Jeden oświadczył, że chociaż jeszcze nie umie prowadzić, na pewno szybko opanuje tę sztukę,

104

kiedy już usiądzie za kierownicą. Kilku miało samochód albo przynajmniej mogło go pożyczyć, lecz gdy pokazywali mi swoje auto, zawsze z wielką dumą, uprzejmie i zdecydowanie im dziękowałam, mówiąc, że nic z tego nie będzie.

Niektóre auta były tak przerdzewiałe, że prawie nie miały podłogi, a większości brakowało drzwi albo dachu. Opony wszystkich były niebezpiecznie płaskie. Pewien przedsiębiorczy człowiek zaprzął dwa osły do samochodu, który nie miał silnika.

Dni wczesnego lata były ciepłe i pachniały kwiatem pomarańczy, tymczasem ja wciąż zmagalam się z frustracją i niepokojem. Każdy spędzony w Tangerze dzień był dla mnie dniem straconym; kiedy nie mogłam już wytrzymać w pokoju ani w holu, chodziłam na Le Grand Socco, Wielki Plac. Portier powiedział mi, że za dnia nic mi nie grozi na głównych ulicach, nie powinnam jednak sama zapuszczać się na targowiska i oczywiście opuszczać hotelu po zmroku. Poradził mi także, abym omijała Mały Plac, Le Petit Socco, który, co wywnioskowałam z jego zmarszczonych brwi, pełnego dezaprobaty prychnięcia oraz krótkiej uwagi o przebywających tam „złych” kobietach, był głównym ośrodkiem prostytucji albo przynajmniej różnych niemoralnych przedsięwzięć.

W blasku słońca Le Grand Socco zawsze pełen był ludzi, głównie przybyszów z krajów europejskich, Ameryki i Wielkiej Brytanii. Elegancko ubrani, przesiadywali pod czystymi markizami albo na kawiarnianych tarasach, jedząc lub popijając z małych szklaneczek ciemnozielony absynt i zielone wino. Kobiety paliły papierosy albo cienkie ciemne cygaretki w ozdobnych firkach, a mężczyźni palili cygara lub ssali ust-niki wijących się rurek, połączonych ze stojącymi na podłodze dużymi bulgoczącymi pojemnikami, zwanymi sheesha. Wiele

105

osób paliło też kif o charakterystycznym, słodko ziołowym aromacie - był to narkotyk, który sprawiał, że używający go mieli senny, zrelaksowany wyraz twarzy. Na placzkach sklepy reklamowały towary po angielsku, francusku i hiszpańsku, a zwiedzający chętnie kupowali kosztownie drogie pamiątki. Wszędzie panowała wakacyjna atmosfera; wśród przybywających tu z rozmaitych powodów mężczyzn i kobiet panował nastrój pewnego laissez faire, co będzie, to będzie, poczucie, że wszystkie zachowania i poczynania są do przyjęcia. Widziałam, że niektóre kobiety nosiły, moim zdaniem, zdecydowanie zbyt śmiałe stroje, czasami widywałam też w mrocznych bramach kobiece sylwetki, splecione z męskimi lub kobiecymi. Zawsze odwracałam wzrok, lecz po chwili znowu zerkałam na te pary, szepczące do siebie i tak otwarcie obejmujące się w miejscach publicznych. Nie raz i nie dwa widziałam też pary złożone z młodych mężczyzn, trzymających się za ręce i wymieniających pocałunki na ulicach.

Takie sceny można było zobaczyć wszędzie, mogłam więc tylko wyobrażać sobie, co działo się w hotelowych pokojach czy na zapleczach kafejek. Zastanawiałam się, co mieszkańcy Tangeru myśleli o tych bezwstydnym cudzoziemcach. Było dla mnie jasne, że wolą trzymać się małych, cienistych targowisk, z dala od jasnych i zatłoczonych placów; prawdziwe życie Tangeru toczyło się na tych niewielkich sukach, to one były ośrodkiem życia Arabów. Zafascynowana ich chaotycznym, gorączkowym rytmem, miałam wielką ochotę przyjrzeć im się z bliska, pamiętałam jednak o ostrzeżeniach portiera i, świadoma własnej niepewności w tym tak nowym dla mnie świecie, nie przekraczałam niebezpiecznych granic.

Dużo czasu spędzałam też na dachu hotelu. Słuchając dobiegających z minaretów nawoływań muezinów, patrzyłam na szczyty gór, które w blasku zachodzącego słońca co wieczór

106

przybierały barwę krwi. Gdzieś tam daleko za nimi, w samym sercu obcego mi kraju, leżał Marrakesz.

A w Marrakeszu był Etienne...

Z każdym dniem coraz bardziej niecierpliwiłam się i denerwowałam. Za wszelką cenę musiałam się dostać do Marrakeszu.

Chociaż często widywałam Elizabeth Pandy, Marcusa oraz innych Amerykanów, starałam się ich unikać. Męczyły mnie ich głośne rozmowy, wybuchy śmiechu i stałe picie. Któregoś popołudnia siedziałam w pustym holu, częściowo ukryta za wysokim stolikiem, sącząc wodę mineralną i oglądając dość prymitywną mapę Maroka, którą kupiłam na Le Grand Socco. Dopijałam wodę i złożyłam mapę, lecz zanim zdążyłam się podnieść, usłyszałam głos wchodzącej do hotelu Elizabeth na czele jej paczki.

Przyszli z Rue de la Plage, gdzie Elizabeth i inne kobiety kąpały się w dzikich i zimnych falach Atlantyku.

- Cudownie odświeżające! - oświadczyła głośno Elizabeth.

Chciałam wyjść, bałam się jednak, że mnie zobaczą, a wtedy będę zmuszona zatrzymać się i porozmawiać z nimi. Znowu rozłożyłam mapę i zaczęłam przyglądać się zaznaczonym na niej trasom, z nadzieją, że Amerykanie zadowolą się jednym drinkiem i wyjdą. Usiłowałam nie zwracać uwagi na ich obecność, było mi jednak trudno skupić się na mapie i w końcu zaczęłam przysłuchiwać się głośnej rozmowie. Nagle zeszytniałam, ponieważ usłyszałam, że mówią o mnie.

- Ciekawe, czy już udało jej się znaleźć jakiś środek transportu do Marrakeszu! - rzucił Marcus. - Wygląda na to, że jest bardzo zdeterminowana! Ma przecież jakieś problemy z poruszaniem się...

- Bardzo dziwna osoba - zauważyła Elizabeth. - Nienaturalnie opanowana, prawda? A przecież całkiem atrakcyjna,

107

nawet mimo tej blizny, niemodnych ubrań i tych okropnych butów! Tylko dlaczego zawsze ma taki nieszczęśliwy wyraz twarzy, na miłość boską? Nie lubię wtrącać się w nieswoje sprawy, ale akurat tego chciałabym się dowiedzieć! Dziwna młoda kobieta - powtórzyła. - Naprawdę nie rozumiem, dlaczego tak obstaje przy tej wyprawie do Marrakeszu!

- Och, goni za jakimś mężczyzną, to przecież oczywiste! - odparła inna Amerykanka. - Na dodatek mam wrażenie, że uważa się za niezwykle romantyczną bohaterkę swojej tragicznej historii, wszystko jedno, jaka ona jest.

Zjadliwa nuta w jej głosie sprawiła, że nagle zrobiło mi się gorąco.

Wiedziałam, że w okolicy Albany uważana byłam za niekonwencjonalną młodą kobietę. Wszyscy wiedzieli, że lubię samotność, wędrówki po zagajnikach i wydmach, i że opiekowałam się ojcem zamiast wyjść za mąż. Chociaż trudno było nazwać mnie osobą przeciętną, nie byłam, przynajmniej moim zdaniem, aż tak dziwaczna, aby inni oceniali mnie w tak ostry i negatywny sposób.

Poczułam, że muszę jak najszybciej wrócić do swojego pokoju. Uniosłam się lekko i zobaczyłam, że Elizabeth także wstaje i sięga po torebkę. Pośpiesznie znowu usiadłam, chcąc poczekać, aż wyjdzie. Wiedziałam, że kiedy Elizabeth wyjdzie, inni szybko pójdą w jej ślady, a ja będę mogła niepostrzeżenie uciec.

Jednak w tej chwili Elizabeth obeszła wysoki stół, zobaczyła mnie i przystanęła.

- Witaj, Sidonie! - odezwała się. - Dlaczego siedzisz tutaj sama? Idę do toalety... Właśnie rozmawialiśmy o tobie, co za zbieg okoliczności!

Zaczerwieniłam się gwałtownie.

- Naprawdę? - spytałam, niezdolna spojrzeć jej w oczy.

108

- Przysiądź się do nas, co ty na to? Zaraz wracam!

- Nie... Nie, dziękuję, ale... Muszę wracać do pokoju. Wstałam. Elizabeth wzruszyła ramionami.

-Jak sobie życzysz! A, chwileczkę! Udało ci się znaleźć szofera z autem?

Potrząsnęłam głową.

- Rozmawiałam dziś w kawiarni Red Palm z pewnym Brytyjczykiem, którego dopiero co ktoś przywiózł z Casablanki! Podobno ten szofer jedzie jutro dalej na południe. - Otworzyła torebkę, pogrzebała w niej chwilę, wyjęła nieco pogniecioną kartkę i podała mi ją. - Tu zapisał mi, jak nazywa się ten Arab! Poproś jednego z boyów z naszego hotelu, żeby go znalazł - podobno zatrzymał się gdzieś w medynie. Jeśli zdołasz go odszukać, wynajmij go na całą podróż do Marrakeszu, bo podobno w Rabacie można czekać na pociąg niemal bez końca. Ci Afrykańczycy nie mają zielonego pojęcia o punktualności, słowo daję!

Nie wiedziałam, jak zareagować. Mimo całej swojej szorstkości i braku wrażliwości, Elizabeth Pandy właśnie dała mi to, czego najbardziej potrzebowałam. Wzięłam kartkę i rozłożyłam ją. JSAustafa. Wysoki. Czerwona kamizelka, żółty citroen", nabazgrał ktoś na niej.

- Dziękuję, Elizabeth - powiedziałam niepewnie.

- Musimy trzymać się razem, prawda? - Uśmiechnęła się lekko, unosząc rękę w jakimś salucie.

Kiwnęłam głową i uśmiechnęłam się w odpowiedzi. Potem wyszłam z holu, zatrzymując się w korytarzu, aby zamienić parę słów z Omarem. Wreszcie coś się działo...

Mustafa zjawił się następnego dnia rano, kiedy siedziałam na werandzie. Odetchnęłam z ulgą, gdy się okazało, że trochę zna francuski. Był wysoki, zgodnie z opisem, a na brudnej, dawno

109

temu białej, postrzępionej u dołu szacie nosił równie brudną czerwoną kamizelkę. Spod białej dzellaby wystawały spiczaste czubki plecionych sandałów. Obok niego stał bardzo niski mężczyzna w dzellaby z opuszczonym kapturem i w małym okrągłym białym kapelusiku na czubku głowy. Ten niski patrzył na mnie tylko jednym brązowym okiem - drugi oczodół był pusty i lekko opuchnięty.

Mustafa wskazał dwóch innych mężczyzn, stojących u stóp schodów; obaj mieli naciągnięte na głowy dzellaby, nie widziałam więc ich twarzy. Mustafa powiedział coś do Omara, który przez chwilę zastanawiał się nad czymś ze zmarszczonymi brwiami.

- Ach, tak! - zawołał w końcu. - Mustafa przyprowadził dwóch przyjaciół, którzy mogą zaświadczyć o jego czystości!

- O jego czystości?

-Tak. Mustafa jest czystym człowiekiem.

Najwyraźniej Omar próbował mi powiedzieć, że Mustafa przyprowadził ze sobą żywe referencje. Zerknęłam na mężczyzn w kapturach, ale obaj odwrócili się do mnie plecami.

- Nie chcę rozmawiać z kobietą - oświadczył Omar i szedł po schodach na dół.

Zamienił parę słów z przybyłymi, a Mustafa poklepał po ramieniu niższego mężczyznę, wzbijając w górę obłoczek kurzu z džellaby.

- Mon cousin, madame! - wyjaśnił. - Aziz. Wszędzie jeździ ze mną...

Skinęłam im głowę. Nie widziałam większego sensu w tłumaczeniu Mustafie, że powinien zwracać się do mnie mademoiselle, nie madame, ponieważ wszyscy Arabowie zwracali się do cudzoziemek w ten sposób.

Nie chciałam rozbudzać w sobie nadziei, widziałam już zbyt wielu tubylców takich jak Mustafa i Aziz, ci zostali jednak

110

w pewien sposób poleceni przez Brytyjczyka, o którym mówiła Elizabeth. Uśmiechnęłam się do Mustafy, lecz jego wyraz twarzy się nie zmienił.

- Mogę zobaczyć samochód, Mustafa? - zapytałam, trochę wbrew zdrowemu rozsądkowi licząc, że będzie inny niż te, które widziałam do tej pory.

- O, tak, madame, to bardzo dobre auto! Bardzo dobre! - Jego pierś wyraźnie wyduła się pod czerwoną kamizelką. - Ja bardzo dobry kierowca! Bardzo dobry, może pani zapytać! Każdy powie, że Mustafa bardzo dobrze prowadzi! A auto bardzo dobre!

- Na pewno bardzo dobre! - przytaknęłam pośpiesznie, posługując się ulubionym zwrotem Mustafy. - Ale najpierw muszę je zobaczyć, bardzo proszę...

- Ile madame płaci?

- Muszę jechać aż do Marrakeszu, nie do Casablanki i najpierw naprawdę chcę obejrzeć auto. - Uśmiechałam się łagodnie, już po tym pierwszym tygodniu spędzonym w Afryce Północnej świadoma, że Mustafie z trudem przyjdzie wykonywanie poleceń wydawanych przez kobietę. - Mogę je obejrzeć?

Machnął ręką, wskazując stojący w dole ulicy żółty citroen. Samochód był potwornie zakurzony, o kołach oblepionych błotem. Nawet z tak niewielkiej odległości sprawiał wrażenie, jakby przez dłuższy czas tkwił zanurzony w wodzie - blacha była zardzewiała i powgniatana, płócienny fartuch ze składanym dachem miejscami podarty. Mimo tych wszystkich uszkodzeń w porównaniu z innymi, które widziałam, i tak wyglądał całkiem przyzwoicie. Podeszłam do auta za Mustafą i zajrzałam do środka. Na podłodze i siedzeniach leżało mnóstwo gnijących resztek jedzenia, siedzenie dla pasażera przykryte było starą, czerwono czarną džellabą. Kiedy wsunęłam głowę

111

przez okno, natychmiast poczułam paskudny odór. W citroenie były trzy miejsca; trzecie umieszczono z tyłu, na środku auta. Przypomniałam sobie, że widziałam ten typ wozu w jednym z czasopism ojca. Zaraz, zaraz, jak ono się nazywało, auto z tym dziwnym trzecim miejscem, przez które drugi z pasażerów musiał trzymać nogi między dwoma przednimi fotelami.

Na podłodze obok trzeciego fotela piętrzył się wzgórek kozich skór, jeszcze nieoczyszczonych, bo od spodu tu i ówdzie sterczały kawałki wyschniętego mięsa, a z wierzchu roiły się muchy.

Trefle! Tak, ten model citroena nazywał się trefle, „liść koniczyny”, przypomniałam sobie nagle.

Był do przyjęcia. Tym autem można odbyć podróż. Nie chciałam wydać im się zbyt podekscytowana.

Aziz stanął za moimi plecami.

- I co pani o tym myśli, madame? - odezwał się, pierwszy raz od początku rozmowy. - Odpowiada pani to auto?

Miał zaskakująco głęboki głos jak na takiego niskiego mężczyznę i mówił po francusku lepiej niż Mustafa.

- Muszę zabrać ze sobą dwie duże walizki. - Znowu zerknęłam na skóry. - Zmieścą się?

- Postaramy się, żeby się zmieściły - odparł Aziz i powiedział coś po arabsku do Mustafy.

- Bardzo dobry samochód, oui, madame? - upewnił się Mustafa.

- Tak, bardzo dobry! Chciałabym z wami pojechać. Zawieziecie mnie do samego Marrakeszu?

- Inshallah! - odrzekł.

Jeśli Bóg pozwoli" ... Znałam już ten zwrot i zauważyłam, że mieszkańcy Afryki Północnej posługiwali się nim w każdej sytuacji, niezależnie od tego, czy chodziło o pogodę, o jedzenie,

112

czy o zdrowie. Jeśli Bóg pozwoli, pomyślałam. Skinęłam głową i po chwili zaczęliśmy targować się o cenę.

Wyruszyliśmy następnego dnia rano, Aziz skulony z tyłu, obłożony z obu stron moimi walizkami. Nie wiem, dlaczego Mustafa nie chciał wsadzić ich do bagażnika - kiedy na migi zaproponowałam mu takie rozwiązanie, po prostu potrząsnął głową i wrzucił je na tylne siedzenie. Chociaż auto nadal było brudne, to gnijące resztki jedzenia wyrzucili, a kozie skóry starannie przywiązali do dachu długimi pasami płótna.

Tuż przed odjazdem Mustafa i Aziz obeszli citroena dookoła, ze czią dotykając blachy i mamrocząc coś pod nosem.

- To auto ma już baraka - oświadczył Aziz. - Jeździliśmy nim wiele razy, i to daleko! Nie ma problemu, ma dużo baraka!

- Baraka?- powtórzyłam. - Co to znaczy?

- Błogosławieństwo - wyjaśnił Mustafa. - To dobre auto, bardzo dobre!

Pomyślałam sobie, że to chyba cały zasób jego francuskiego słownictwa.

- A ja jestem bardzo dobrym kierowcą! - dodał.

- O tak, madame! - pokiwał głową Aziz. - Bardzo dobrym, najlepszym! To bardzo trudna rzecz, kierowanie autem! Bardzo trudna dla mężczyzny, a dla kobiety w ogóle niemożliwa.

Wyprostował się, lecz nadal był niższy ode mnie.

Spojrzałam na kierownicę, doskonale wiedząc, jak bym się czuła, gdybym mogła dotknąć gładkiej kierownicy.

Gwałtownie zacisnęłam pięści i schowałam je w fałdach spódnicy. Uroczyście przysięgam, że nigdy więcej nie położę rąk na kierownicy samochodu.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Gdy opuszczałam Tanger razem z Mustafą i Azizem, wschodzące słońce malowało białe budynki na rozmaite odcienie różu i czerwieni. Powoli wypuściłam z płuc powietrze. Byłam w drodze do Marrakeszu, przebyłam kawał świata...

Jesteś już niedaleko, powiedziałam sobie, patrząc w podrapaną i usianą plamami przednią szybę. To spore osiągnięcie... Pozwoliłam, aby na moment ogarnęło mnie uczucie ulgi, ale zaraz zadałam sobie pytanie, czy aby na pewno zdaję sobie sprawę, co robię, wyruszając w podróż autem przez obcy kraj z dwoma mężczyznami, o których wiedziałam tylko, że mają samochód i potrafią go prowadzić. Zaufałam - więcej, powierzyłam własne życie! - nieznanym, wyłącznie na podstawie informacji, którą nabazgrał na kartce jeszcze jeden nieznan mi człowiek.

Nikt nie zdołałby mnie zidentyfikować, nikt poza Omarem i chociaż Elizabeth i jej przyjaciele wiedzieli, że jadę do Marrakeszu, nie widziałam ich, kiedy znoszono na dół moje bagaże i gdy regulowałam rachunek w recepcji, nie powiedziałam im więc, że właśnie wyjeżdżam.

A jednak, pewnie wbrew zdrowemu rozsądkowi, miałam głębokie przekonanie, że wszystko będzie w porządku. Że nie stanie mi się nic złego i dowiem się tego, czego chciałam się

114

dowiedzieć. Może była to kwestia wiary, nowej, niespodziewanej wiary w swoje możliwości. Czy nie przepłynęłam przez Atlantyk, nie poradziłam sobie jakoś w Marsylii, nie przetrzymałam podmuchów lewantera w Cieśninie Gibraltarskiej i nie wynajęłam tych ludzi, aby dowieźli mnie do celu podróży? I to wszystko zrobiłam ja, która nigdy nie opuszczałam Albany i w ogóle nie wyobrażałam sobie życia poza domem.

Mustafa i Aziz rozmawiali między sobą po arabsku, a ja szczerze żałowałam, że nie rozumiem, co mówią. Obaj mieli na sobie te same rzeczy, co poprzedniego dnia, tylko Aziz przykrył ogoloną głowę czerwonym filcowym fezem zamiast białą czapką. Aziz zdjął sandały i oparł bosc stopy między mną i Mustafą. Zerknęłam na jego palce i pomyślałam o stopach Etienne'a, długich i wąskich, o zdumiewająco miękkiej skórze.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z miasta wyboistą asfaltową drogą, zbudowaną przez Francuzów, ostro rysującą się na tle nieba góry mieliśmy po lewej stronie, a po prawej połyskujący błękit Atlantyku. Ciągący od oceanu wiatr był świeży i przyjemny, niebo zasnuwane leciutką poranną mgiełką. Nad falami unosiły się mewy, zajęte wyławianiem pożywienia na śniadanie.

Wąska droga była pusta i tylko co jakiś czas mijaliśmy inne samochody, tak blisko, że kuliłam się w sobie, czekając, kiedy zaczepimy o siebie bokami. Częściej niż auta napotykalismy karawany dromaderów, niewielkich jednogarbnych wielbłądów, które prowadzili Arabowie okryci dżellabami od stóp do głów. Zwierzęta objuczone były towarami, a na niektórych siedziały kobiety, które poznać można było właściwie tylko po rysującej się pod długimi okryciami budowie ciała, bo spod ciemnej chusty na głowie przez wąskie otwory wyzierały na świat jedynie oczy. Często spomiędzy fałd wyglądało dziecko. Chociaż jechaliśmy powoli, miałam ochotę zatrzymać się i popatrzeć na te karawany, wiedziałam jednak, że jest to

115

wykluczone, bo zostałyby poczytane za wielką niegrzeczność z mojej strony.

Podobnie jak w Tangerze, nie spodziewałam się, że tak poruszają mnie te nowe wrażenia. Możliwe, że wyjeżdżając z Albany, nie myślałam o tym, co zobaczę i jaki wywrze to na mnie wpływ, bo przecież myślałam wyłącznie o Etienne...

Droga wiła się i co jakiś czas na długie kilometry traciliśmy z oczu ocean, a potem nagle, nad wierzchołkiem wydmy znowu rozpościerał się przed nami. Ten region Maroka okazał się prawdziwym morskim rajem, z długimi łąkami piaszczystych plaż, usianymi kępami drzewek oliwnych lub płaskimi uprawnymi poletkami. Mijaliśmy malutkie wioski, wszystkie otoczone murem, z minaretem wznoszącym się wysoko ku niebu.

Kiedy wreszcie przystanęliśmy kilka godzin po wyjeździe z Tangeru i wysiedliśmy z auta, poczułam, że powietrze zupełnie się zmieniło. Wydawało się gęste jak tłuste mleko, a przedostające się przez nie promienie słońca przypominały mi mgłę w Albany w środku zimy, tyle że tu mgła była gorąca. Przeciągnęłam się, stojąc obok samochodu, podczas gdy mężczyźni ruszyli w kierunku palmowego gaju przy drodze, z którego dobiegał metaliczny szelest sztywnych liści, poruszanych morską bryzą. Patrzyłam za nimi z zaciekawieniem, ale gdy odwrócili się plecami do auta, pośpiesznie spuściłam oczy, uświadomiwszy sobie, co robią. Sama też od godziny odczuwałam spory dyskomfort, byłam jednak zbyt skrępowana, aby wspomnieć o tym dwóm obcym mężczyznom.

Gdy wrócili do samochodu, Aziz wskazał mi palmowy zagajnik. -

Allez, madame, allez! - zawołał zachęcająco.

Posłuchałam jego rady i szybko ukryłam się za dużą kępą drzew z nadzieją, że zdołam załatwić swoją potrzebę przy zachowaniu odrobiny godności.

116

Wracając, czułam się bardzo nieswojo i zastanawiałam się, jak spojrzę mężczyznom w oczy, ale Mustafa i Aziz stali swobodnie oparci o auto i rozmawiali z założonymi na piersiach rękami, co jakiś

czas żywo gestykulując. Zrozumiałam wtedy, że to moje amerykańskie poczucie wstydu nie jest problemem, bo tamci dwaj zachowywali się najzupełniej naturalnie.

Zanim wsiadłam do samochodu, zauważyłam rysującą się na tle gór linię ruchomego fryzu, ciemną w odróżnieniu od jaśniejszej roślinności. Była to kolejna karawana, ta złożona głównie z osłów i koni z pękatymi bagażami na grzbietach, z drobnymi sylwetkami biegnących obok zwierząt dzieci.

Skąd i dokąd podróżowali ci ludzie? Próbowałam wyobrazić sobie życie w bezustannym ruchu, ciągle gdzie indziej. Moje własne, jeszcze do niedawna upływało w kompletnym bezruchu.

Kiedy znowu się zatrzymaliśmy, tym razem na obrzeżach większej miejscowości, którą Aziz rozpoznał jako Larache, otworzyłam drzwi, lecz Aziz zdecydowanie potrząsnął głową.

- Nie, pani nie! - powiedział. - Dla pani źle... Zakreślił dłonią koło przed swoją twarzą i zrozumiałam, że nie powinnam wchodzić do osady z odsłoniętą twarzą.

- Pani zostanie w aucie - dodał. - I pilnuje, żeby dzieci nie zabrały skór! - Palcem wskazał dach Citroëna. - Mustafa i ja pójdziemy po jedzenie i niedługo wrócimy.

Musiałam zadowolić się zaglądaniem przez otwartą bramę w murze wokół miasteczka. Wszystkie budynki pomalowane były na intensywny błękit i miały czerwone spadziste dachy, co nadawało całości uroczy wygląd hiszpańskiej osady w górach. Do palików po zewnętrznej stronie murów poprzywiązywane były w cieniu osiołki. Gdy Mustafa i Aziz odeszli,

117

w otwartej bramie zaczęli powoli gromadzić się mali chłopcy, najwyżej ośmio lub dziewięcioletni. Ostrożnie zbliżali się do Citroëna. Ubrani byli w podarte szmaty, głowy mieli ogolone, a stopy bose. W końcu zebrali się wokół samochodu, stykając się barkami i przyglądając mi się uważnie, w całkowitym milczeniu. Przypomniałam sobie małych chłopców, którzy otaczali naszego Rolls Royce'a na ulicach Albany i podziwiali go z wielkim zaciekawieniem. Może mali chłopcy wszędzie są tacy sami, pomyślałam, tak samo ciekawi rzeczy, których wcześniej nie widzieli, tak samo żądni przygód i gotowi popisywać się przed sobą nawzajem aktami odwagi?

Bardzo możliwe, że byłam pierwszą białą kobietą, jaką te dzieci widziały.

Uśmiechnęłam się, lecz ich twarze nie straciły poważnego wyrazu. Wreszcie pewien starszy chłopiec postąpił krok do przodu, nieoczekiwanie wetknął rękę do samochodu i dotknął mojego ramienia wskazującym palcem. Zanim zdążyłam zareagować, odskoczył do tyłu jak oparzony, nadal z wyciągniętym przed siebie palcem, uśmiechając się z dumą do pozostałych, którzy patrzyli na niego z mieszkanką podziwu i zaskoczenia. Czyżbym wyglądała aż tak dziwnie? Wystawiłam jedną rękę przez okno, dłonią do góry i uśmiechnęłam się, próbując ich ośmielić i pokazać, że nie muszą się mnie obawiać, ale nagle rozległ się donośny okrzyk i chłopcy rozbiegli się, wzbijając chmury kurzu.

Mustafa i Aziz wracali do samochodu.

- Chłopcy niegrzeczni? - zapytał Aziz, patrząc na pędzącą do bramy wrzeszczącą gromadkę.

Potrząsnęłam głową.

- Nie, nie byli niegrzeczni, to po prostu mali chłopcy - odparłam. - Po prostu mali chłopcy - powtórzyłam.

Nagle pożałowałam, że nie mogę zobaczyć ich sióstr i matek.

118

Ich ojców... Chciałam zobaczyć ich domy, ulice osady za murami.

Wzięłam z rąk Aziza gruby krążek aromatycznego chleba i foremkę z wywoskowanego papieru, wypełnioną miękkim białym serem, słodkie figi i nerkowce w rożku. Nie byłam głodna, ale zjadłam wszystko, zbierając językiem malutkie drobiny sera i fig z palców; orzechy położyłam sobie na kolanach i skubałam je od niechcenia w czasie jazdy.

Musiałam zachować siły i przytomność umysłu. Chciałam być gotowa na przyjazd do Marrakeszu, bo przecież tam miałam szansę odszukać Etienne'a.

Jechaliśmy drogą, czasami oddalaliśmy się od wybrzeża na tyle, że traciłam ocean z oczu i przestawałam czuć zapach morskiej soli. Tu i ówdzie rosły kępy wysokich drzew, których nie rozpoznawałam, w końcu zapytałam Mustafę, jak się nazywają, a on w odpowiedzi wskazał leżące na mojej spódnicy nerkowce.

Plecy bolały mnie od długiego siedzenia i podskakiwania na wyboistej drodze. Staralam się nie myśleć o wieczorze. Gdzie się zatrzymamy? Gdzie położę się spać? Byłam cała zakurzona - czy będę mogła się wykapać? Skoro nie mogłam wejść do Larache z powodu niezakrytej twarzy, to jak zostanę przyjęta w innych miejscowościach? Znowu przypominałam sobie wielkie oczy chłopców, którzy przyglądali mi się przez otwarte okno samochodu, i nagle serce ścisnęło mi się boleśnie, porażone uczuciem osamotnienia. Świadomością, że jestem tu zupełnie obca...

W Tangerze było inaczej - duże miasto chętnie przyjmowało cudzoziemców, Hiszpanów, Francuzów, Niemców, Amerykanów, Brytyjczyków oraz wielu innych, których języka i ubioru nie potrafiłam sklasyfikować. Pomyślałam o Elizabeth Pandy,

119

która nazwała Tanger skundlonym miastem, przepelnionym rozmaitymi mieszkankami ras.

Wyjechałam już jednak z Tangeru i szybko odkryłam, że w głębi Maroka nie mogę być po prostu jedną z wielu kobiet z zachodniego świata; tu byłam czymś w rodzaju anomalii, osobą obcą, taką, która łatwo może kogoś obrazić albo zbulwersować swoim zachowaniem.

Z jakim traktowaniem spotkam się w Marrakeszu? Moje w pośpiechu ułożone plany podróży okazały się bardzo ograniczone i skupione na konkretnym celu - odnalezieniu Etienne'a.

Dużo bym dała, żeby mieć go teraz przy sobie. Chciałam poczuć się bezpieczna, związana z kimś, a nie tak całkowicie osamotniona. Pragnęłam znowu poczuć się tak, jak jeszcze niedawno w ramionach Etienne'a.

Gdy zmieniałam pozycję, odwracając się w drugą stronę i rozprostowując szyję, powietrze zapachniało jakoś inaczej i ten zapach wydał mi się dziwnie znajomy. Ukształtowanie terenu uległo zmianie, góry

znikły. Mijaliśmy teraz gęsty las, w którym pnie drzew okorowane były do wysokości chyba mniej więcej dwóch metrów - dolna część była brązowa i gładka, górna biaława i gruzelkowata.

- Co to za drzewa? - Ruchem głowy wskazałam Azizowi, o co mi chodzi.

- Korkowce - odparł.

Dopiero wtedy skojarzyłam ten specyficzny aromat. Wjechaliśmy na wzgórze, z którego roztaczał się widok na żółtą równinę i miasto, a dalej na zamgloną błękitną linię Atlantyku.

- Dojechaliśmy do miasta Sale i rzeki Boug Regreg. - Aziz wychylił się do przodu, żeby lepiej widzieć i oparł przedramiona na oparciach foteli. - Na drugim brzegu jest Rabat! Sale i Rabat są jak... - Dotknął ramienia Mustafy. -Jak kuzyni! Albo bracia...

120

Kiedy zjechaliśmy niżej, rozpoznałam figowe i oliwne gaje. Sale, białe jak Tanger, otoczone było murem, rozpostarte na tarasach i pełne pnących się w górę minaretów. Dalej na południe widać było inne miasto, też zamknięte w murach i o podobnej sylwetce, wyraźnie rysującej się na tle wieczornego nieba, chociaż jego zabudowania miały płowy kolor. Był to Rabat.

- Zawieziemy panią do domu - rzekł Aziz. - Tam pani zje i przenocuje.

Do domu? Czy miał na myśli hotel?

-Jak daleko jest z Sale do Marrakeszu? - spytałam.

-Jutro panią zabierzemy, miniemy Casablankę i zatrzymamy się na noc w Settat. Następnego dnia dotrzemy do Marrakeszu. Inshallah!

- Zabierzecie mnie? Jak to? Będziecie nocować gdzie indziej?

Ogarnęło mnie uczucie dojmującej samotności i lęku, że jedyne dwie osoby, które tu znałam, zostawią mnie w jakimś obcym miejscu...

Aziz kiwnął głową.

- Tak, gdzie indziej, madame.

Przez masywną, łukowatą bramę wjechaliśmy do miasta i minęliśmy obsadzony drzewami plac targowy, na którym zobaczyłam niewyczesaną białą wełnę, rozwieszoną na starych wagach. Na następnym targu na stoiskach piętrzyły się stosy melonów, fig i oliwek, czerwonej i zielonej papryki oraz czerwonej cebuli, a z niektórych straganów unosił się aromat duszonego lub smażonego mięsa. Kobiety w długich szatach i zastonach na twarzach wyklócały się ze sprzedawcami, skarżąc się krzykliwie na nieuczciwe ceny, w każdym razie tak mi się wydawało. Niewątpliwie była to część gry, stanowiącej ważny aspekt kultury marokańskiej, ponieważ kobiety dokonywały zakupów, natomiast sprzedawcy, chociaż potrząsali

121

głową w parodii gniewu i rozczarowania, wręczali im nabyte towary. Patrząc w głąb wąskich alejek, dostrzegłam malutkie nisze, w których siedzący w kucki młodzi chłopcy tkali piękne maty lub kosze, a brzuchaci kupcy gawędzili z ożywieniem. Towary kołysały się nad ich głowami, zawieszane na grubych hakach.

Wychyliłam się przez okno, aby lepiej przyjrzeć się jednemu z kupców, który nagle obejrzał się i popatrzył na mnie z wyrazem wrogości. Zmarszczył brwi i soczyście splunął w stronę samochodu. Natychmiast cofnęłam głowę i odsunęłam się w głąb wozu, znowu pełna niepokoju. Sale było dużym miastem, nie zauważyłam tu jednak żadnych cudzoziemców, ani mężczyzn, ani kobiet. Nie widziałam też żadnego budynku, który przypominałby hotel.

Kiedy tak zastanawiałam się, co ze mną będzie, Mustafa zatrzymał się przed popękaną, zamkniętą drewnianą bramą i Aziz wysiadł, gestem polecając mi, bym poszła za jego przykładem. Wziął obie moje walizki i jedną postawił na ziemi, żeby drugą ręką kilka razy uderzyć w grubą drewnianą deskę. Może i był to hotel, ale z pewnością nie robił takiego wrażenia.

Przez małe zakratowane okienko dobiegł mnie przyciszony kobiecy głos. Aziz powiedział coś po arabsku, kobieta odpowiedziała i brama się otworzyła. W progu stała postać cała w czerni, z odsłoniętymi tylko oczami, które utkwione były w ziemi przy naszych stopach.

- Niech pani wejdzie - rzekł Aziz.

Uśledzałam go. Wszedł za mną na wykładany płytami dziedziniec, niosąc bagaż. W przeciwieństwie do zniszczonej, niepomalowanej bramy, dziedziniec był piękny, pełen kwietników i drzewek pomarańczowych.

- Ta kobieta to Lalla Huma - oświadczył Aziz, stawiając

122

walizki. - Da pani coś do jedzenia i miejsce do spania. Proszę zapłacić jej tylko jednego franka!

Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

- O której godzinie po mnie przyjedziecie? - zawołałam

za nim.

Nie wiedziałam, czego mam się spodziewać, opanował mnie jednak gwałtowny lęk na myśl, że zostanę tu sama, tylko z tą milczącą kobietą.

- Z rana, madame! - odparł.

Znowu powiedział coś do kobiety, która chwyciła obie walizki - była niższa ode mnie, ale podniosła je bez najmniejszego trudu - i zaczęła wspinać się z nimi na schody przylegające do jednej w wewnętrznych ścian budynku.

Brama zamknęła się z trzaskiem i zostałam sama na dziedzińcu. Po chwili poszłam za kobietą, która zaprowadziła mnie do malutkiego pokoju na piętrze, z oknem wychodzącym na ulicę, lecz przesłoniętym bogato zdobioną drewnianą kratą. Wewnątrz był tylko twardy siennik, leżący na

podłozie, z równiutko złożonym grubo tkanym kocem. W nogach siennika stała przykryta drewnianą pokrywką misa, która najpewniej pełniła rolę nocnika. Na parapecie okna w małym wazoniku tkwiła świeczka, obok której ktoś położył pudełko zapalek.

Nie zdążyłam jeszcze zastanowić się, co robić i jak porozumieć się z Lallą Humą, gdy kobieta wyszła na moment i wróciła z dużą ceramiczną miską z gorącą wodą i z długim płóciennym ręcznikiem. Kiedy znowu zniknęła, zdjęłam buty i pończochy, i zaczęłam rozpinać sukienkę, by się umyć, zaraz jednak przerwałam i podeszłam do drzwi. Niestety, nie miały zamka.

Pośpiesznie się umyłam i znowu ubrałam, ponieważ nie miałam pojęcia, co będzie dalej. Parę chwil później Lalla Huma weszła z tacą, na której znajdował się duży gliniany

123

talerz z kawałkami trudnego do zidentyfikowania mięsa i pokrojoną w długie cząstki marchewką oraz dzbankiem z miętową herbatą. Dzbanek wykonany był ze starannie wygładzonej kości.

Kobieta zabrała misę z wodą, wilgotny ręcznik i wyszła. Nie widziałam jej twarzy, ani razu nie podniosła też wzroku, aby na mnie spojrzeć.

Nasyciłam głód i pragnienie, włożyłam nocną koszulę, wyciągnęłam się na wąskim sienniku i przykryłam grubym kocem. Na ulicy za oknem panowała cisza, lecz gdy zapadła ciemność, wyraźnie usłyszałam wołanie z minaretów - Allah Akbar. Odkąd przybyłam do Afryki Północnej, zdążyłam już przywyknąć do tych nawoływań, które rozlegały się pięć razy dziennie.

Głos muezina, tak dobrze mi już znany, sprawił tylko, że poczułam się jeszcze bardziej samotna.

- Etienne - szepnęłam prosto w ciemność.

O świcie obudziło mnie pierwsze wezwanie do modlitwy. Wstałam i wyjrzałam przez drewnianą kratę. Pod bramą, na pustej ulicy, stał zakurzony citroen, a przed nim, z czołami przytkniętymi do ziemi, klęczeli Mustafa i Aziz. Ubrałam się szybko i, nie czekając na miętową herbatę, wybiegłam na zewnątrz. Lalla Huma wysunęła się zza jakichś drzwi, usłyszawszy moje kroki na schodach. Na ulicy ze zdziwieniem spostrzegłam, że Mustafa i Aziz wrócili do samochodu i mocno śpią, donośnie chrapiąc. Przez głowę przemknęła mi myśl, że może pomyliłam się i to wcale nie oni modlili się obok auta. Mustafa leżał na plecach, z głową pod kierownicą i stopami wystawionymi przez okno, przykryty dzellabą w czerwono czarne pasy, natomiast Aziz zwinął się w kłębek na tylnym siedzeniu, podciągając kolana do klatki piersiowej. Na podłozie

124

walało się kilka płóciennych worków i toreb, być może zawierających jedzenie na resztę podróży. Kiedy poprzedniego wieczoru zostawili mnie u Lalli Humy, nie zastanowiłam się nawet, gdzie spędzą noc, lecz teraz zrozumiałam, że najprawdopodobniej spali w samochodzie.

Zastukałam w dach citroena, z którego zniknęły kozie skóry, i ujrzałam, jak Mustafa gwałtownie poderwał głowę, waląc nią w kierownicę.

- Non, non, madame! - skrzywił się i zaczął rozcierać uderzone miejsce.

- Jeszcze za wcześnie - wymamrotał Aziz.

Obaj ułożyli się tak jak poprzednio, a ja wróciłam do domu na herbatę, do której Lalla Huma podała mi znajome krążki chleba bez zakwasu i miseczkę gęstego figowego dżemu.

Zaczekałam do siódmej, kiedy ulice zaroily się już od mężczyzn z taczkami, wózkami zaprzężonymi w osły oraz wielbłądami i chłopców poganiających patykami uparte kozy, i znowu zeszałam do auta. Nie mieściło mi się w głowie, jakim cudem Aziz i Mustafa mogą spać w tym piekielnym hałasie. Kiedy wreszcie udało mi się ich obudzić, usiedli, wyraźnie niezadowoleni. Mustafa poszedł po moje walizki i ponownie upchnął je z tyłu, po obu stronach Aziza, który, chociaż wyprostowany, nadal miał zamknięte oczy. Zauważyłam, że przez noc jego policzki dosłownie poczerniały od zarostu i pomyślałam, że zanim dotrzemy do Marrakeszu, wyhoduje sobie prawdziwą brodę.

Gdy odjeżdżaliśmy, zapytałam Aziza, czy całą noc spali w samochodzie.

- Prawie całą, madame - odparł. - Najpierw sprzedaliśmy skóry, wzięliśmy benzynę, zjedliśmy i odwiedziliśmy przyjaciół. To była dobra noc... Lalla Huma usłużyła pani, jak należy? Miała pani dobrą noc?

125

- Tak! - Uśmiechnęłam się w odpowiedzi. - Tak, dziękuję.

Jakoś udało mi się zmyć z siebie większą część warstwy brudu i kurzu, zjadłam solidny posiłek i wyspałam się. Czułam się samotna, ale przecież tak czułam się od ostatniej nocy, którą spędziłam z Etienne'a.

- Gdzie mieszka twoja rodzina, Aziz? - zagadnęłam.

- W Settat - rzekł. - Tak samo jak rodzina Mustafy.

Nie wiedziałam, jak dużą miejscowością jest Settat i nie miałam pojęcia, czy następną noc spędzę u kogoś takiego jak Lalla Huma, czy może u krewnych Aziza lub Mustafy.

- Dzisiaj zobaczę moje żony i dzieci! Nie widziałem ich miesiąc... Jeżdżę w wiele miejsc z Mustafą...

Czy powiedział „moje żony” czy „moją żonę”? Liczba mnoga czy pojedyncza? Etienne powiedział mi, że muzułmanie mogą mieć do czterech żon...

- Ile masz dzieci? - spytałam. Uśmiechnął się z dumą.

- Sześcioro! Czworo z pierwszą żoną, dwoje z drugą, ale druga jest jeszcze młoda... Będziemy mieli więcej, Inshallah!

- A Mustafa? - Spojrzałam na kierowcę. - Mustafa? Ty też masz dwie żony?

Zrozumiał i potrząsnął głową. Kąciki jego ust wygięły się ku dołowi, uniósł do góry wskazujący palec.

- Mustafa ma pecha... Nie ma pieniędzy na drugą żonę, ale może niedługo los mu ją da!

Aziz zagadał po arabsku do Mustafy, który uśmiechnął się krzywo.

A pani mąż? - odezwał się Aziz. - Dlaczego pozwala żonie samej jechać do Marrakeszu?

- Nie mam męża - odparłam. Ściągnął brwi i pokręcił głową.

126

- Quoi?- zdumiał się, rozciągając to słowo i nie kryjąc niedowierzania. - Co takiego? - powtórzył. - Jak to, dlaczego nie ma męża?

Wzięłam głęboki oddech.

- Może... Może też mam pecha, jak Mustafa... Tego pytania nikt mi wcześniej nie zadał wprost. Aziz ze smutkiem kiwnął głową.

- To niedobrze! Będę się za panią modlił, madame, żeby dostała pani męża! Chce pani, żebyśmy zawieźli panią do świątyni? Po drodze do Marrakeszu mijamy parę świątyni...

- Nie, ale bardzo dziękuję, Aziz. - Odwróciłam głowę i utkwiałam wzrok w bocznej szybie.

Aziz zrozumiał ten gest i wyprostował się, nie zadając mi już żadnych pytań.

Od Sale jechaliśmy drogą w dół aż do ujścia rzeki, gdzie zobaczyłam zacumowany parowiec, albo coś w tym rodzaju.

- Musimy dostać się na drugą stronę Boug Regreg - wyjaśnił mi Aziz.

Kiedy powoli przesuwaliliśmy się w tłoku w kierunku promu, przyglądałam się tłumom, które także zamierzały przepłynąć na drugi brzeg, do Rabatu. Jak zwykle były tu wielbłądy, owce i kozy, a także mnóstwo kobiet w długich luźnych szatach, z niemowlętami wyglądającymi na świat spomiędzy ciemnych fałd z przodu albo z tyłu i małymi dziećmi uczepionymi matczynych spódnic. Potężnie zbudowany mężczyzna, wspaniale odziany w bordowy i niebieski jedwab, siedział na osiołku o wiele dla niego za małym, a wysoki człowiek o czarnej lśniącej skórze, w prostej białej szacie, trzymał zwierzę za uzdę.

Gdy pokład promu wypakowany był już tak ciasno, że nie dałoby się wetknąć nawet szpilki, powoli ruszyliśmy na drugą

127

stronę rzeki. Krótka podróż była wyjątkowo hałaśliwa, rozbrzmiewająca porykiwaniem zwierząt, płaczem i krzykiem dzieci, wysokimi głosami kobiet i niskim pomrukiwaniem mężczyzn. Nasz samochód był jedynym na promie i wszyscy przyglądali mi się otwarcie, całkiem jak w Larache. Jakaś kobieta schyliła się, żeby zajrzeć przez okno i syknęła coś przez zasłaniającą jej usta tkaninę, nieprzyjaźnie mrużąc ciemne oczy.

Cofnęłam się szybko, jak najdalej od otwartego okna.

- Co ona powiedziała? - spytałam Aziza.

- Że jest pani zła, bo pokazuje twarz wszystkim mężczyznom - odparł.

Po tym incydencie siedziałam z wzrokiem utkwionym w przedniej szybie, nie rozglądając się na boki, i odetchnęłam z ulgą, kiedy przybiliśmy do brzegu i ruszyliśmy drogą w kierunku Casablanki.

Góry Rif zniknęły, zanim dotarliśmy do Sale, ale daleko na wschodzie dostrzegłam zarys innego łańcucha.

- Góry Atlas - poinformował mnie Aziz. - Nie ten duży Atlas, tylko mniejszy! Duży będzie później, niedaleko Marrakeszu! Wysoki Atlas.

Droga biegła dalej wzdłuż wybrzeża Atlantyku. Patrzyłam na tańczące na powierzchni wody słoneczne błyski i na unoszące się nad falami mewy. Przy drodze było teraz więcej oliwnych i pomarańczowych gajów, a powietrze pachniało świeżo i czysto. Otaczająca nas równina sprawiała wrażenie żywej.

- Wjedziemy do Casablanki? - zapytałam. Aziz potrząsnął głową.

- Nie, Casa za duża, za dużo ludzi, trudno przejechać - odparł. - Droga omija miasto!

Minęliśmy Casablanke, jadąc samym brzegiem morza.

128

Miasto rzeczywiście było wielkie, białe i piękne, pełne wież, minaretów, otoczone blankami murów. Zostawiliśmy je za sobą i powoli zaczęliśmy oddalać się od Atlantyku, podążając w głąb lądu, w kierunku celu mojej wyprawy, do Marrakeszu. Mniej więcej godzinę za Casablanke zatrzymaliśmy się pod murami malutkiej miejsciny.

- Zjemy coś - oświadczył Aziz i gestem zachęcił mnie, żebym wysiadła z Citroena.

Dopiero wtedy zobaczyłam małą chatynkę, pokrytą przerdzewiałym blaszanym dachem. Dwóch mężczyzn stało nad grillem. Gdy podeszłam bliżej, ujrzałam jajka, smażące się w tłuszczu na poczerniałej patelni. Niebezpiecznie nisko nad rozżarzonymi węglami polatywały chmury niebieskich much. Parę metrów dalej odpoczywał oparty na pokrytych odciskami kolanach stary wielbłąd, który patrzył na nas wyniośle, co jakiś czas wydając pomruki i spluwając w naszym kierunku. Bijący od niego smród całkowicie tłumiał zapach smażonych jaj.

Stałam obok Mustafy i Aziza z cynowym talerzem w ręku, wkładając sobie do ust ociekające tłuszczem jajka twardymi kawałkami podpłomyków. Mustafa poszedł na chwilę do auta i przyniósł torbę słodkich fig oraz drugą, pełną suszonych oliwek. Mężczyźni przy grillu zrobili nam miętową herbatę, którą wypiałam z pociętego cynowego kubka. Kiedy wróciliśmy do Citroena, Mustafa i Aziz z wielkim zadowoleniem poklepywali się po brzuchu i głośno bekali. Ja długo nie mogłam pozbyć się nieprzyjemnego posmaku tłuszczu, chociaż zagryzałam go oliwkami i figami.

- Jeszcze trzy godziny, może cztery i będziemy w Settat - powiedział Aziz z uśmiechem.

Nie ulegało wątpliwości, że bardzo mu zależało, aby jak najprędzej zobaczyć się z najbliższymi.

Kilka kilometrów za wioską, w której zjedliśmy lunch,

129

asfaltowa droga nagle się skończyła, zablokowana pniami wyrwanych z korzeniami, gnijących kaktusów i zardzewiałymi beczkami. Za przeszkodami droga się zapadała, aż po horyzont usiana nierównymi dziurami, jakby ktoś nawierzchnię powygrzał.

- Aaaaach... - jęknął Aziz. - Niedobrze! Droga zepsuta. Powiedział coś po arabsku do Mustafy, który ostro zakręcił

kierownicą i zjechał na utwardzone ślady obok asfaltowej drogi. Jechaliśmy teraz po piaszczystej glebie, porośniętej pustynną roślinnością. Nie czuliśmy już świeżej bryzy znad oceanu, tylko wiatr gorący jak z rozpalonego pieca, który pokrywał nas cienką warstwą kurzu. Mustafa wskazał wąskie koleiny, prowadzące prosto w puste przestrzenie nieba i ziemi.

- Piste, madame - oznajmił. Odwróciłam się do niego.

- Pardonnez moi? Słucham?

- Piste, piste! Nie droga, zwyczajny trakt. Bezradnie potrząsnęłam głową i spojrzałam na Aziza.

- Teraz będzie piste - powiedział. - Jedziemy po śladach karawan! Dróg tu nie ma, więc jedziemy piste przez bied. Może później droga wróci, a może nie, nie wiadomo!

- Bied? - powtórzyłam.

- Bied - potwierdził. - Step afrykański, madame! Żadnego miasta, żadnych większych miejscowości, tylko pustynia! Duża!

Skinęłam głową i w duchu podziękowałam losowi, że Aziz zna francuski przynajmniej na tyle, aby opisać cechy krajobrazu i wytłumaczyć mi, najprostszymi zwrotami, gdzie się znajdujemy i co czeka nas dalej.

Jechaliśmy więc dalej piste. Tu i ówdzie widziałam ustawione w kręgu gliniane chaty z trzcinowymi dachami; obok nich zawsze znajdowała się studnia i coś w rodzaju corralu, teren

130

otoczony kaktusami albo ogrodzeniem z kolczastych roślin, a w środku setki rozpaczliwie beczących kóz. W rzucanym przez kozy cieniu siedziały grupki spowitych w dżellaby ludzi, chyba wyłącznie mężczyzn, ponieważ w pobliżu nie było żadnych dzieci. Taka osada nazywa się nourwał, powiedział mi Aziz. Nieco dalej minęliśmy kilkadziesiąt namiotów z ciemnego włosia, pewnie z wielbłądziej lub koziej sierści, ustawione na skalistym zboczu. Aziz wyjaśnił mi, że jest to douar. Kiedy różne formy osad kilka razy pojawiały się na naszej drodze, Aziz cierpliwie wymieniał ich nazwy. Te złożone z lepianek, ze studniami i starymi drzewami, były stałe, natomiast namioty, obok których dzieci strzegły niewielkich stad wielbłądów i kóz, należały do nomadów.

Na początku podróży po piste wydawało mi się, że jedziemy przez zupełnie płaską okolicę, okazało się jednak, że nie miałam racji. Co jakiś czas nagle zjeżdżaliśmy w dół, aby prawie natychmiast zacząć piąć się pod górę. Mocno chwytałam się deski rozdzielczej, świadoma, że czoło i kołnierzyk sukienki mam mokre od potu i oblepione ziarenkami piasku. Kręciło mi się w głowie i mdliło mnie od tej szaleńczej jazdy, zupełnie jakbym znowu znalazła się na morzu. Może ta ziemia dawno temu zalana była wodą? Może naprawdę jechaliśmy po pradawnym dnie oceanu?

Zamknęłam oczy i skrzywiłam się lekko, ponieważ zbierało mi się na wymioty. W gardle czułam posmak tłuszczu, na którym smażone były jaja. Wreszcie podniosłam powieki, odwróciłam się do Mustafy, puściłam deskę, wyprostowałam się i odchrząknęłam. Nie chciałam, żeby uznali mnie za słabą. Już i tak litowali się nade mną, bo nie miałam męża.

- Czy uda nam się niedługo wrócić na normalną drogę? - spytałam. - I dotrzeć przed nocą do Settat?

Mustafa nie odpowiedział.

131

- Jesteśmy za daleko od drogi - rzekł Aziz. - Lepiej zostać na pistel i dzisiaj będziemy spać na bied...

- Tutaj? - Rozejrzałam się po otaczającym nas pustkowiu.

- Będziemy spać na bied - powtórzył.

Utkwiłam wzrok w przedniej szybie i siłą powstrzymałam mdłości. Pomyślałam o tym, jak rozczarowani muszą być Aziz i Mustafa, tak blisko domu po miesiącu nieobecności, a jednak tak daleko.

Myślałam także o długiej nocy, którą miałam spędzić w samochodzie z dwoma mężczyznami, w sercu pustyni.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Bied przechodził w wielką pustkę, lecz mimo to zaczęłam odnajdywać piękno w blasku powoli zachodzącego słońca na spalonej ziemi, skałach i strzelających tu i ówdzie w niebo wysokich palmach. W końcu zapomniałam o żołądkowych dolegliwościach i kazałam sobie przestać niepokoić się zbliżającą się nocą, ponieważ i tak nic nie mogłam w tej sprawie zrobić.

Skoncentrowałam się na obserwacji tego, co wcześniej wydawało mi się nagą ziemią, i uświadomiłam sobie, że dopiero teraz widzę różne rzeczy tam, gdzie wcześniej niczego nie dostrzegałam.

Kilka razy mijały nas samochody w równie marnym stanie, jak nasz; musieliśmy wtedy zjeżdżać na bok, bo inaczej nie udałoby się przejechać. Za kierownicą tamtych samochodów siedzieli Arabowie - Mustafa i Aziz machali do nich i wołali coś głośno, a tamci odpowiadali w ten sam sposób. Nie miałam pojęcia, czy się znali, czy też w Maroku wszyscy zachowywali się tak na piste.

Wpatrywałam się w widoczne w dali białe wzniesienie, które, jak dowiedziałam się z wcześniejszych wyjaśnień Aziza, było grobowcem świętego męża, gdzie wędrowcy zatrzymywali się na modlitwę i gdzie Aziz oferował się zawieźć mnie, abym mogła pomodlić się o męża. Znajdujące się tu i ówdzie

133

grobowce świętych urozmaicały monotonne płaszczyzny czerwonej ziemi i skalistego gruntu, otaczające nas ze wszystkich stron.

Kiedy nagle zjechaliśmy niżej i straciłam z oczu biały wzgórek, samochód podskoczył na jakiejś dziurze i skręcił w lewo. Mustafa wrzasnął i zakręcił kierownicą, ale samochód zjechał z piste i wylądował w głębokim, pełnym piasku rowie.

Silnik zawył rozpaczliwie, gdy Mustafa próbował wydobyć się z piachu. Chwilę później obaj mężczyźni wysiedli i wdali się w głośną dyskusję po arabsku, obchodząc samochód dookoła. Mustafa gestem polecił mi wysiąść, a sam wrócił za kierownicę. Stałam z boku, patrząc jak wciska gaz, podczas gdy Aziz z całej siły pcha wóz z tyłu. Aziz krzyknął coś do Mustafy, który natychmiast wyłączył silnik. Wyciągnęli moje walizki i powtórzyli całą operację od nowa. Opony wirowały w piasku, zanurzając się w nim coraz głębiej. Podeszłam do Aziza, oparłam obie ręce na bagażniku Citroëna i zaczęłam pchać, co parę chwil wypluwając piasek, który dostawał się także do moich oczu i uszu. Język miałam oblepiony drobnymi ziarenkami. Zamknęłam oczy i odwróciłam głowę w bok. Samochód nawet nie drgnął. Mustafa zostawił włączony silnik, podbiegł do nas i wziął się pod boki, oceniając sytuację. Sięgnął do środka wozu, wyciągnął miejscami zbutwiałą dzellabę i przedał ją na pół, podłożył po kawałku pod przednie koła i powiedział coś do Aziza. Po chwili obaj zamienili się miejscami.

Nadal nic. Nie pomógł też dodatkowy opór, jaki dawała podsunięta pod opony dość gruba tkanina. Aziz wyłączył silnik i wysiadł.

- Musimy mocniej pchać - oświadczył.

Oblizyłam wargi.

-Ja siędę za kierownicą, a wy będziecie pchać - powiedziałam.

134

Patrzyli na mnie w milczeniu.

- Zgadza się? - spytałam.

Mustafa potrząsnął głową i ze złością rzucił jakąś uwagę. -Mój kuzyn boi się kobiety za kierownicą - wyjaśnił Aziz. - Kobieta za kierownicą może zabrać baraka...

- Umiem prowadzić. W Ameryce jeździłam samochodem.

Aziz chyba powtórzył moje słowa Mustafie, bo ten gwałtownym ruchem podniósł ręce do góry i odszedł na bok, mamrocząc coś pod nosem. Przez parę chwil chodził w kółko po piasku, zataczając coraz ciaśniejsze kręgi, aż w końcu zawrócił do nas i utkwiał wzrok w mojej twarzy.

- Dobrze, niech wsiada! - rzucił. -Już!

Usiadłam za kierownicą, położyłam na niej dłonie i przekręciłam kluczyk w stacyjce, powoli wciskając pedał gazu. Na moment zamknęłam oczy, zaskoczona nieoczekiwanym uczuciem przyjemności. Pomyślałam o samochodzie ojca. Mimo tragicznych skutków wypadku, sam wóz ucierpiał bardzo mało. Kiedy wstawiono szyby, wyklepiano i pomalowano wgniecenia, poprosiłam pana Barlowa, aby go sprzedał. Nie chciałam na niego patrzeć.

Dostałam zaskakująco dużą sumę. Gdy pan Barlow wręczył mi grubą kopertę wypełnioną banknotami, zdecydowanie pokręciłam głową.

- Nie chcę tych pieniędzy - powiedziałam, patrząc na kopertę takim wzrokiem, jakby kryła w sobie zjadliwie trującą substancję. Byłam zresztą szczerze przekonana, że rzeczywiście tak jest, że te pieniądze naprawdę są jak trucizna. - Proszę je zatrzymać, na poczet czynszu...

Pan Barlow popatrzył na mnie ze zdumieniem.

- Daj spokój, Sidonie, nie myślisz rozsądnie! Musisz zacząć myśleć o przyszłości!

I zostawił kopertę na kuchennym stole. Przez następne

135

dwa dni obchodziłam ją dookoła, zupełnie jakby była żywym stworzeniem, które może skoczyć i ugryźć, gdybym zanadto się zbliżyła, w końcu jednak wzięłam ją i schowałam w głębi kredensu, czując ulgę, że nie muszę na nią patrzeć i myśleć o tym, czego jest symbolem.

Dopiero po wielkim krachu banków, kilka miesięcy później, w październiku tego roku, przypomniałam sobie o pieniądzach, bezpiecznie ukrytych za pudłem na kapelusze. I to właśnie dzięki tej kwocie, po dodaniu do tego, co zostało na moim rachunku bankowym, mogłam pozwolić sobie na tę podróż.

- Dalej, madame! - krzyknął Aziz.

Wrzuciłam pierwszy bieg i samochód zakołysał się przede mną do wtóru rytmicznego porykiwania silnika. Po paru sekundach przednie opony złapały twarde gruntu, tylko odrobinę, ale jednak przesunęły się do przodu. Nacisnęłam mocniej, słysząc sapanie i jęki Mustafy i Aziza, którzy pchali wóz z całej siły. Nagle przednie koła przesunęły się jeszcze trochę i samochód skoczył naprzód. Wcisnęłam pedał gazu prawie do podłogi, szybko wrzuciłam drugi bieg i wyjechałam na solidne podłoże piste. Zamierzałam zahamować, lecz nie zrobiłam tego. Pojechałam dalej, sama nie wiem, dlaczego. Coś potężniejszego od mojej siły woli sprawiło, że nie oderwałam dłoni od kierownicy i nie zdjęłam stopy z gazu. Jechałam przed siebie. Za sobą słyszałam przerażone okrzyki dwóch mężczyzn. Nie spojrzałam w popękane lustro wsteczne, wiedziałam jednak, że Mustafa i Aziz pędzą za mną, wymachując rękami, z otwartymi ze zdziwienia ustami. Jechałam dalej, ogarnięta dziwnym uczuciem oderwania od ciała, a przecież świadoma, że kieruję hałaśliwym, rozklekotanym wozem, który w niczym nie przypominał cicho pomrukującego, luksusowego Silver Ghosta, lecz mimo wszystko sprowadzał wspomnienie wolności,

136

lekkości i nadziei. Wrzuciłam trzeci bieg, nie zamierzając rezygnować z tej prawie zapomnianej radości. Samochód współpracował ze mną, poddawał się mojej woli i wydawało mi się, że mogłabym tak jechać bez końca. Po pewnym czasie zerknęłam w lustro, ujrzałam w nim jednak tylko odbicie swojej twarzy, radośnie uśmiechniętej. Nie pamiętałam już, kiedy ostatni raz podświadomie się uśmiechałam.

Ale twarz, pokryta smugami brudu i obramowana wzburzonymi włosami, sprowadziła mnie na ziemię. Natychmiast zahamowałam, na następnym szerszym fragmencie piste ostrożnie zawróciłam i powoli pojechałam na spotkanie Mustafy i Aziza, a kiedy zrównałam się z nimi, wysiadłam. Policzki mieli czarne od kurzu i potu, jedna powieka Aziza drgała nerwowo.

- Zabrała pani takie dobre auto! - krzyknął Mustafa, przyglądając mi się podejrzliwie. - I pojechała gdzieś jak szalona! Oszalała pani? Jest pani złodziejką?

Otarłam wargi wierzchem dłoni, czując ostre ziarenka piasku na cienkiej skórze. Mustafa był wściekły.

- Przepraszam - powiedziałam. - Przepraszam was obu... - powtórzyłam, świadoma, że zawiodłam ich zaufanie. - Nie chciałam ukraść samochodu, ja tylko... Po prostu miałam ochotę się przejechać.

- Ale dlaczego? - spytał Aziz, znacznie spokojniejszym tonem niż Mustafa. - Dlaczego pojechała pani przed siebie?

- Nie wiem - odparłam. - Lubię prowadzić, to wszystko. Tak, lubię prowadzić. - Zatrzymałam wzrok na twarzy Aziza. - Naprawdę bardzo przepraszam. Postąpiłam niewłaściwie, wiem, ale... Ale nie mogłam oprzeć się pokusie.

Mustafa powiedział coś do Aziza, ten skinął głową, odwrócił się do mnie i szeroko rozłożył dłonie.

137

- Teraz mamy problem, madame - oświadczył. - Mój kuzyn mówi, że może nie jest pani szaloną złodziejką, tylko kimś o wiele gorszym. Może jest pani djinniyya...

- Djinniyya?

- Złym duchem. Złym duchem w ciele kobiety... Czasami djinniyya udaje, że jest piękną kobietą, oszukuje mężczyzn. Mustafa mówi, że oszukała go pani i ukradła samochód.

Spojrzałam na Mustafę.

- Jeszcze raz przepraszam - powiedziałam. - Nie jestem djinniyya, nie chcę twojego samochodu. Chcę tylko dostać się do Marrakeszu. Przepraszam, że tak się zachowałam - powtórzyłam, niepewna, ile zrozumiał.

Pośpiesznie spuściłam wzrok, świadoma, że widok wpatrującej się w niego kobiety z odsłoniętą twarzą rozgniewa go jeszcze bardziej. Dopiero teraz dotarło do mnie, że naprawdę postąpiłam jak idiotka - może zawstydytałam ich albo w jakiś sposób ubliżyłam ich poczuciu godności.

Mustafa mruknął coś do Aziza.

- Mustafa nie ma już chęci jechać z panią do Marrakeszu - oznajmił Aziz.

Oblizałam wargi.

- Ale... Ale przecież jesteśmy tutaj, na drodze! Co ja teraz zrobię? Proszę cię, Mustafa...

Popatrzył na mnie z taką złością, że przestraszyłam się jeszcze bardziej. Byłam teraz zupełnie bezbronna, zdana na łaskę rozwścieczonego Mustafy. Widziałam, że łatwiej będzie mi porozumieć się z Azizem i postanowiłam podjąć jeszcze jedną próbę. - Aziz? Rozumiesz chyba, że nie zamierzałam go obrazić, prawda? Powiedz mu coś, wytłumacz, że nie może mnie tu zostawić! Ty nie zostawiłbyś mnie samej, prawda? - Instynktownie wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć jego ramienia, zaraz

jednak zrozumiałam, że byłby to błąd, być może nawet obelga, i szybko cofnęłam dłoń.

Mustafa i Aziz mamrotali chwilę między sobą, w końcu Mustafa, z gniewnym mruknięciem, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę samochodu. Aziz nie spojrzął na mnie i bez słowa poszedł za kuzynem. Pośpieszyłam za nimi i kiedy Aziz otworzył drzwi i wgramolił się na tylne siedzenie, wepchnęłam się do środka i z ulgą usadowiłam się na swoim miejscu. Nie miałam pojęcia, co będzie dalej, ale przynajmniej byłam w samochodzie. Oczyma wyobraźni widziałam już, jak odjeżdżają beze mnie, zostawiając moje walizki z boku piste, tam, gdzie wyładowali je wcześniej.

Siedzieliśmy w milczeniu, długo, bardzo długo. Wiedziałam, że najlepiej będzie, jeżeli w ogóle nie będę się odzywała, ale ta cisza dziwnie mnie rozstroiła. Muchy brzęczały wokół mnie i siadały na mojej wilgotnej skórze. Zdawałam sobie sprawę, że Aziz i Mustafa poczuliby się jeszcze bardziej urażeni, gdybym zaproponowała im większą sumę - nie chodziło o pieniądze, ale o ich honor. Kobieta, na domiar złego cudzoziemka, zachowała się niewłaściwie i dotknęła ich do żywego.

Patrzyłam przed siebie, porażona powagą sytuacji. Nie wiedziałam, gdzie jesteśmy. Okolica była pozbawiona jakichkolwiek charakterystycznych punktów, widok czerwonej skalistej gleby był ponury i przygnębiający. Jak długo będziemy tak siedzieć, myślałam. Żaden z mężczyzn nie sprawiał wrażenia gwałtownego, czułam jednak, że mogą wyrzucić mnie z samochodu, zabrać wszystkie moje pieniądze, zostawić mnie tutaj samą na piste i odjechać. Co mogło ich powstrzymać? Tylko ich zasady moralne, a przecież nie miałam pojęcia, jakimi się kierowali. Nic nie wiedziałam o sposobie rozumowania Arabów?

Z każdą chwilą byłam coraz bardziej przerażona. Powoli

wyjęłam z torebki szkicownik i ołówek, i zrobiłam kilka linii na papierze, z myślą, że może naszkicuję drzewa lub kaktusy, które widziałam wcześniej, głównie po to, żeby trochę się uspokoić, ale zamiast roślin na niewielkim arkuszu zaczęły pojawiać się ludzkie postaci. Mężczyzna, a obok niego drugi... Nigdy dotąd nie rysowałam ludzi, lecz nagle odkryłam, że przychodzi mi to bez trudu. Naszkicowałam Mustafę, w kamizeli na dzellabie, i Aziza w fezie na bakier. Czułam, że udało mi się uchwycić ich charakter i łatwe do dostrzeżenia cechy. Podniosłam wzrok znad rysunku, spojrzałam na brudną, usianą odchodami much i ich rozmazanymi ciałami przednią szybę oraz bied, wydarłam kartkę ze szkicownika i podsunęłam ją Mustafie. Spojrzął na nią, uważnie przyjrzał się dwóm postaciom i wyjął arkusik z mojej ręki. Popatrzył znowu i podał szkic Azizowi. Obaj milczeli jeszcze parę minut, aż w końcu Aziz powiedział coś cicho po arabsku i oddał rysunek Mustafie, który w odpowiedzi rzucił kilka gardłowych słów.

- Kuzyn mówi, że może rzeczywiście nie jest pani djinniyya, ale nie wolno już pani siadać za kierownicą.

- Nie, nie, oczywiście! - zerknęłam na Mustafę.- Shukran... Dziękuję, Mustafa.

Z szacunkiem pochyliłam głowę, pragnąc dać mu do zrozumienia, że w pełni doceniam jego decyzję. Nie spojrzął na mnie, ale złożył szkic i wetknął go za pazuchę. Przekręcił kluczyk w stacyjce i powoli

zawrócił na miejsce, gdzie na poboczu piste stały moje walizki, wysiadł i wrzucił je do środka, z rozmachem, tak, że obie uderzyły w bok Aziza. Aziz mruknął coś pod nosem. Mustafa usiadł za kierownicą, odwrócił się i zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem.

-Jedziemy do Marrakeszu - rzekł głęboko urażonym tonem.

- Inshallah! - westchnęłam.

140

Zanim zrobiło się ciemno, Mustafa zatrzymał się w zagajniku palmowym niedaleko drogi. Wysiadłam, starając się rozprostować nogi i plecy, a obaj mężczyźni wyciągnęli z bagażnika parę starych chodników i skonstruowali z nich coś w rodzaju namiotu, rozkładając je na ziemi i rozwieszając na niższych palmach.

- Pani śpi - odezwał się Aziz.

Uśmiechnęłam się z ulgą, wdzięczna, że nie muszę spać w samochodzie. Usiadłam na tkaninie i patrzyłam, jak Mustafa wyjmuje latarnię i metalowe pudełko, z którego Aziz wysypał spore czarne grudki. Węgiel. Mustafa wydobyl z bagażnika puszkę z dzióbkiem i przelał część zawartości do mocno sfatygowanego imbryka.

Teraz wiedziałam już, dlaczego nie włożyli moich walizek do bagażnika - były tam rzeczy, bez których nie mogli obyć się w podróży. Kiedy słońce szybko zniknęło za odległymi górami, Aziz i Mustafa zapalili lampę naftową i przyrządzili miętową herbatę. Otoczeni kręgiem światła, pracowicie przeżuwaliliśmy pasemka słonego suszonego mięsa, jedliśmy chleb, oliwki oraz figi i popijaliśmy słodki, gorący napój.

Mężczyźni zostali przy tłących się węglach, a ja wróciłam do namiotu. Usiadłam u wejścia, zasłuchana w cichy szmer ich głosów. Niebo nad piste w niczym nie przypominało tego, na które patrzyłam w domu, na statku, czy nawet w Marsylii i Tangerze. Wyciągnęłam się na plecach, wpatrzona w rozpostartą nade mną usianą gwiazdami kopułę. Myślałam o czasach, kiedy patrzyłam w niebo ze schodków ganku, uświadamiając sobie, że moje życie jest tylko drobiną pyłu na Drodze Mlecznej. Lecz tutaj... Tu widok wspaniałego nieboskłonu budził we mnie inne uczucia. Gwiazdy wydawały się tak bliskie w cichej nocy, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że słyszę je, słyszę stłumiony, kojący szum, podobny do dźwięku w przytkniętej do ucha muszli.

141

Sądzimy wtedy że z głębi konchy dobiega nas szum oceanu, ale tu, na pustyni, byłam pewna, że słyszę niebo. Naliczyłam trzy spadające gwiazdy i czułam dziwne przyciąganie, zupełnie jakby rozgwieżdżone niebo wpychało mnie do brzucha ziemi.

Nagle nocną ciszę zakłócił łagodny, rytmiczny tupot. Nadstawiłam uszu, starając się zrozumieć, co to takiego.

- Co to za dźwięk? - zawołałam w końcu.

- To tylko dziki wielbłąd, madame - usłyszałam głos Aziza. - Chodzi, chodzi, przygląda się i obwąchuje nas.

Uśmiechnęłam się na myśl o samotnym stworzeniu, drepzczącym dookoła naszego samochodu z zaciekawieniem i pewnie zdziwieniem, o zwierzęciu z pozornie niezgrabnymi nogami, tak pewnie stąpającymi po piasku. Potem przykryłam się skrajem chodnika i patrzyłam na gwiazdy, dopóki powieki nie opadły mi ze zmęczenia.

Następnego ranka, po herbacie i chlebie, ruszyliśmy dalej.

- Przed końcem tego dnia będziemy w Marrakeszu, madame - poinformował mnie Aziz.

Przełknęłam ślinę. Przed końcem tego dnia będziemy w Marrakeszu. Wieczorem powinnam być w Marrakeszu. Przebyłam tak daleką drogę, aby odnaleźć Etienne'a. Dlaczego nie byłam podekscytowana, dlaczego nie czułam ulgi? Zamiast radości ogarnął mnie dziwny niepokój, zupełnie nie wiadomo, z jakiego powodu.

Ten ostatni dzień podróży ciągnął się bez końca. Zatrzymaliśmy się tylko raz, w jakiejś wiosce, gdzie zjedliśmy harirę, gęstą zupę z soczewicy.

Kiedy późnym popołudniem słońce przestało intensywnie grzać, dostrzegłam daleko przed nami jakiś kształt, migoczący w falach gorącego powietrza niczym miraż. Początkowo zdołałam się tylko zorientować, że to człowiek, ale gdy podjechaliśmy bliżej,

142

zwróciłam uwagę na błękitną szatę. Tkanina powiewała jak sygnalizacyjna flaga, informująca o czymś ważnym, chociaż niemożliwym do określenia. Kiedy zbliżyliśmy się jeszcze bardziej, przekonałam się, że jest to mężczyzna. Chociaż jechaliśmy wprost na niego, nie usunął się na bok piste, żeby nas przepuścić. Szedł dalej środkiem traktu, wymuszając na Mustafie zatrzymanie samochodu. Aziz mruknął coś do kuzyna.

Mężczyzna, wysoki i nieruchomy, stał przed nami. Od szyi po kostki spowijała go długa niebieska szata, na głowie miał szafirowy turban, którego skraj zakrywał mu nos i usta, a na nogach skórzane klapki.

Mustafa wysiadł i odezwał się do nieznanego. Po krótkiej rozmowie wrócił do samochodu i najwyraźniej powtórzył słowa mężczyzny Azizowi, który sięgnął do leżącej u jego stóp torby i wyjął z niej bochenek chleba. Mustafa podał chleb mężczyźnie, a on położył coś na jego dłoni.

Kiedy Mustafa wrócił, mężczyzna w niebieskiej szacie przeszedł na moją stronę samochodu i popatrzył na mnie. Widziałam tylko jego oczy i smukły grzbiet nosa, ale po plecach przebiegł mi lekki dreszcz. Ciemne oczy Araba były wyraziste, o dziwnie wyzywającym spojrzeniu, łagodne i jednocześnie groźne. Przystanął na moment i powiedział coś, nie odrywając ode mnie wzroku. Przyszło mi do głowy, że może mówi do mnie, nie miałam jednak pojęcia, dlaczego uważa, że go zrozumie. Jego głos był cichy, przytłumiony przez zasłaniający usta materiał. W końcu musiałam spuścić oczy, niezdolna wytrzymać siły jego spojrzenia. Gdy odezwał się znowu, odpowiedział mu Aziz. Podniosłam wzrok. Wpatrywał się we mnie długo, w końcu odwrócił się i ruszył dalej ciągnącą się za nami drogą, wyprostowany i dostoyny, prawie wyniosły.

Mustafa rzucił coś na ziemię pod moje nogi. Była to przepięknie zdobiona

gliniana płytka z abstrakcyjnym geometrycznym wzorem w rozmaitych odcieniach zieleni i błękitu. Pomyślałam, że wiele bym dała, aby się dowiedzieć, co mężczyzna powiedział na mój temat Azizowi.

- Pani weźmie ten zellij - rzekł Aziz, pochylając się. - To zapłata za chleb. UHomme Bleu zawsze daje coś w zamian za towar.

- Niebieski Człowiek? - spytałam. - Nazywacie go tak z powodu szaty?

Uważnie przyjrzałam się płytce. Zellij, powiedział Aziz.

- Piękna - wymamrotałam, podnosząc ją z ziemi.

Była ciepła - mężczyzna musiał trzymać ją tuż przy ciele. Przesunęłam palcami po gładkiej powierzchni i ostrych krawędziach.

- Niebieski Człowiek to takie plemię, to z powodu jego... Jego... - Aziz podciągnął swój rękaw, potarł przedramię. - Z powodu tego...

- Z powodu skóry - odgądam. Aziz kiwnął głową.

- Przez całe życie noszą szaty i turbany ufarbowane na niebiesko rośliną indygo - wyjaśnił. - Po wielu latach mają indygo w skórze. Et voila! Sami robią się niebiescy...

Wychyliłam się przez okno, patrząc za krocącym drogą Niebieskim Człowiekiem.

- To Arabowie? - zapytałam.

- Non, Berberowie, ale inni. Tuaregowie. Nomadzi, z Sahary. Mówią jak my, lecz mają też własny język. Prowadzą karawany z wielbłądami, przewożą różne towary, sól, złoto, niewolników. Przez pustynię zawsze chodzą pieszo. Chodzą daleko, przez całe Maroko, przez Afrykę. Daleko. Aż do Timbaktu...

- Muzułmanie?

Aziz wzruszył ramionami.

- Niektórzy tak, ale większość nie dba o islam. Kobiety odsłaniają twarze, mężczyźni zasłaniają. To trochę jakby... -Chwilę szukał odpowiedniego określenia. - Trochę jak muzułmanie na odwrót... Niebieski Człowiek i jego kobiety robią, co chcą. To ludzie pustyni. Nie mają króla, może czasami wyznają Boga, a czasami nie. Ludzie pustyni - powtórzył.

Żałowałam, że nie widziałam wędrowca bez zasłaniającego twarz turbanu. Chętnie bym go namalowała, pomyślałam, zaciskając palce wokół płytki i próbując wyobrazić sobie jego rysy. Niebieski Człowiek...

Myślałam o nim dalej, kiedy godzinę później Mustafa zdjął jedną rękę z kierownicy i pokazał coś przed nami.

- Madame, Marrakesz! - oznajmił.

Wychyliłam się do przodu, usiłując dostrzec coś przez pokrytą grubą warstwą brudu przednią szybę. W końcu wystawiłam głowę przez boczne okno. Gorący wiatr potargał mi włosy i rozrzucił je wokół twarzy. Daleko przed nami wznosił się różowo czerwony mur. Serce zabiło mi mocniej, zatłukło się w klatce żeber. Wyprostowałam się i przycisnęłam dłonie do piersi, usiłując uspokoić oddech.

Dotarłam do celu. Byłam w Marrakeszu, mieście, gdzie miałam nadzieję znaleźć odpowiedzi, których szukałam. Tam, gdzie spodziewałam się odszukać Etienne'a.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Dwa miesiące po tym, jak doktor Duverger powiedział mi o bliźnie, a ja odparłam, że nie jestem zainteresowana operacją, wydawało mi się, że zauważyłam go na ulicy, kiedy robiłam zakupy. Gwałtownie wstrzymałam oddech, ponieważ uświadomiłam sobie, że nie chcę, aby mnie zobaczył. Kiedy jednak mężczyzna utkwiał wzrok w sklepowej wystawie i ujrzałam jego profil, całkowicie zaskoczyła mnie własna reakcja. Ogarnęło mnie rozczarowanie, ponieważ nie był to doktor Duverger.

Nie chciałam, żeby mnie zobaczył, ponieważ doskonale wiedziałam, jak wyglądam, lecz jednocześnie w jakiś dziwnie przewrotny sposób pragnęłam go spotkać. W ostatnich miesiącach nie raz wracałam myślami do doktora Duvergera i dotyku jego dłoni na mojej twarzy.

Zdawałam sobie sprawę, że blizna robi fatalne wrażenie, o wiele gorsze niż kaleka noga. Zwracała uwagę - ludzie patrzyli na nią i pośpiesznie odwracali wzrok, zażenowani własną ciekawością albo pełni obrzydzenia. Zależało mi, by uniknąć ludzkich spojrzeń, a teraz skupiałam je na sobie. Jak powiedziałam doktorowi Duvergerowi, zostało mi niewiele próżności, jednak pewnego ranka uświadomiłam sobie, że staram się nie patrzeć w lustro. Czy naprawdę chciałam przejść przez życie z taką twarzą? Tak, blizna była strasznym

146

przypomnieniem tego, co zrobiłam ojcu, lecz teraz zaczęłam wątpić w sens tego rzucającego się w oczy oszpececia, wszak prawdziwe wyrzuty sumienia tkwiły w moim sercu. Dźwigałam je w sobie niczym ciężki gliniany dzban z wodą i czułam, że muszę nieść to naczynie do końca moich dni. Był to mój ciężar, tylko mój, i nie musiałam dzielić się nim ze wszystkimi, którzy na mnie patrzyli.

Tamtego wieczoru długo badałam wzrokiem swoje odbicie w lustrze. Próbowalam wyobrazić sobie, jak zareaguje moje ciało, kiedy przekroczy próg szpitala; natychmiast zaschło mi w ustach, ale zaraz znowu pomyślałam o palcach doktora Duvergera, delikatnie dotykających martwej tkanki, o trosce, malującej się w jego oczach i pełnym zrozumienia głosie, gdy powiedział mi, że on także stracił rodziców.

Myślałam o jego ogorzałych policzkach i gładkim czole.

Następnego dnia zatelefonowałam do szpitala od państwa Barlow i umówiłam się na wizytę. Tydzień później stanęłam przed doktorem Duvergerem ubrana w najlepszą sukienkę, z miękkiego zielonego

jedwabiu, z szerokim paskiem, starannie uczesana. Przed wyjściem z domu powiedziałam sobie, że zachowuję się idiotycznie - doktora Duvergera interesowała tylko moja blizna, nic więcej. Byłam jego pacjentką, jedną z wielu, i nie miałam cienia wątpliwości, że odnosi się do mnie tak jak do innych. Jednak niezależnie od tego, co sobie mówiłam, gdy ucisnął mi rękę na powitanie, palce miałam wilgotne ze zdenerwowania, a wargi lekko mi drżały. Miałam nadzieję, że doktor Duverger nie zauważy tych dziwnych objawów.

- Więc jednak zmieniła pani zdanie? - pytał, odwzajemniając mój uśmiech i wskazując mi krzesło.

- Tak - odparłam. - Chyba potrzebowałam trochę czasu, żeby to sobie przemyśleć.

Nie odpowiedział.

147

- Mam nadzieję, że... Mam nadzieję, że nie jest za późno? Nie zwlekałam zbyt długo?

Potrząsnął głową.

- Nie, ale obawiam się, że teraz operacja będzie trochę bardziej skomplikowana... I musi pani pamiętać, że blizna zostanie, tylko oczywiście będzie mniejsza, mniej widoczna i znacznie jaśniejsza, prawie koloru skóry...

Zaczął mówić o zabiegu, ale przerwałam mu.

- Nie chcę o tym słuchać. - Uśmiechnęłam się przeproszająco. - Chciałabym tylko, aby zrobił pan wszystko, co możliwe, żeby ją zmniejszyć...

Doktor Duverger wyznaczył termin operacji i pewnego upalnego dnia pod koniec czerwca poddałam się zabiegowi. Wszystkie szczegóły skutecznie zatarły się w mojej pamięci dzięki eterowi, którym zostałam uśpiona.

Ocknęłam się z grubym opatrunkiem na policzku. Doktor Duverger poinformował mnie, że za dziesięć dni muszę przyjechać na zdjęcie szwów.

- Tym razem na pewno wrócę - powiedziałam niewyraźnie, bo język wciąż miałam trochę zesztywniały po znieczuleniu.

Doktor uśmiechnął się, próbowałam odpowiedzieć tym samym, ale znieczulenie powoli mijało i cięcie na policzku pulsowało bólem.

Po dziesięciu dniach zjawiłam się w szpitalu, znowu w najlepszej sukience i znowu potwornie zdenerwowana, że zachowuję się jak głupia dziewczynka. Pan Barlow uparł się, aby mnie zawieźć.

- Proszę wracać do domu - powiedziałam mu, kiedy wysiadłam pod szpitalem. - Chętnie wrócę pieszo, dzień jest taki piękny.

148

- Na pewno? - zapytał. - To spory kawałek.

- Na pewno - odparłam i pomachałam mu na pożegnanie. Czekaając na doktora Duvergera, wyjęłam ołówki i mały

szkicownik, które zawsze nosiłam w torebce, i zajęłam się pracą nad rysunkiem przedstawiającym motyla Kamer Blue. Te małe motyle żyły w Pine Bush, były gatunkiem zagrożonym i trudno było je spotkać, lecz ostatniego lata wypatrzyłam jednego z nich, przepiękny okaz o mniej więcej dwuipółcentymetrowej rozpiętości skrzydełek. Był to samiec, ponieważ wierzch jego skrzydeł miał najczystszy lazurowy odcień; samiczki były ciemniejsze, szarawo błękitne. Żywiły się wyłącznie pyłkiem dzikiego chmielu, również błękitnego, o kwiatach podobnych do groszku. Chciałam namalować motyla siedzącego na płatku kwiatu, w różnych, chociaż równie rzucających się w oczy odcieniach błękitu, ciągle miałam jednak jakieś wątpliwości co do swojego szkicu. Kiedy doktor Duverger wszedł do poczekalni, odłożyłam szkicownik i ołówki na stojące obok krzesło.

- No, dobrze, panno O'Shea - powiedział. - Wreszcie zobaczymy, jaki rezultat dała operacja!

Skinęłam głową i nerwowo oblizałam Wargi.

- Proszę się nie niepokoić - uśmiechnął się. - Myślę, że będzie pani zadowolona.

Delikatnie zdjął opatrunek z gazy i nachylił się, żeby usunąć szwy. Nie wiedziałam, w którą stronę patrzeć, gdy jego twarz znajdowała się tak blisko mojej. Włożył okulary i widziałam swoje odbicie w błyszczących szklach. W pewnej chwili oderwał wzrok od policzka i spojrzał mi w oczy; natychmiast spuściłam powieki, skrępowana na samą myśl, że mógłby pomyśleć, iż mu się przyglądam. Tyle że... Gdzie właściwie miałam patrzeć, kiedy byliśmy tak blisko siebie? Tym razem nie wyczułam środka dezynfekcyjnego ani tytoniu,

149

jedynie leciutki zapach starannie wyprasowanej koszuli i wykrochmalonego kołnierzyka.

Nagle przyszło mi do głowy, że doktor Duverger może być żonaty.

Wyjmowaniu szwów towarzyszyły ciche odgłosy przecinania nici i trochę bolesne szarpnięcia, które chwilami wywoływały u mnie instynktowne skrzywienie warg. Doktor Duverger za każdym razem mamrotał ciche pardon, chyba zupełnie automatycznie. Kiedy wyjął ostatni szew, odsunął się i popatrzył uważnie, ostrożnie przekręcając mój podbródek w jedną i drugą stronę. Palce miał suche i ciepłe.

- Oui. - Kiwnął głową, nieświadomie przechodząc na francuski. - Cest bien...

- Wszystko w porządku? - spytałam.

- Tak - odparł i znowu kiwnął głową, tym razem patrząc mi prosto w oczy. - Odnieśliśmy sukces, panno O'Shea! Prawdziwy sukces... Rana będzie się goić i w ciągu roku mocno zblednie. Poza tym może pani maskować ją... - zawahał się. - Maskować ją pudrem albo innymi kosmetykami, których kobiety używają do twarzy... Proszę spojrzeć!

Podał mi ręczne lusterko.

- Bardzo dziękuję... - Chwilę badałam wzrokiem swoje odbicie i oddałam mu lusterko. - Dziękuję za tę operację... I za to, że... Że podsunął mi pan ten pomysł... Miał pan rację...

- Cieszę się, że wyraziła pani zgodę. - Podniósł się z krzesła.

Poszłam za jego przykładem i stanęliśmy naprzeciwko siebie. Popatrzył na mnie, nie tylko na mój policzek, ale jakoś dokładniej, głębiej. Trwało to tylko chwilę, lecz nagle mój żołądek skurczył się gwałtownie, nie był to jednak bolesny spazm, jakiego doznałam, kiedy znowu przekroczyłam próg szpitala. To było coś innego.

150

- No, tak... - odezwałam się, czując potrzebę wypełnienia jednocześnie niewygodnej i podniecającej ciszy.

- Tres bien - powiedział w tym samym momencie. Oboje uśmiechnęliśmy się lekko.

- No, dobrze - rzekł. - Życzę pani miłego dnia, mademoiselle... Proszę dzwonić, gdyby miała pani jakieś pytania, sądzę jednak, że teraz wszystko będzie już w porządku. Gdyby jednak pojawiły się jakieś wątpliwości... Albo ból... Zatelefonuje pani, oui?

- Oui - przytaknęłam.

Opuściłam szpital i ruszyłam do domu w ciepłym słońcu późnego poranka, zastanawiając się nad tym, jakie wrażenie zrobiła na mnie bliskość doktora Duvergera. Starłam się zrozumieć, co czułam, stojąc tuż obok niego w hałaśliwym szpitalu. Takie uczucia nie nawiedzały mnie od czasu... Przystanąłam. Czy w ogóle kiedykolwiek czułam coś podobnego? Wróciłam myślami do okresu dorastania i fantazji, jakie snułam na temat Luke'a McCallistera. Byłam wtedy młodą i głupiutką dziewczyną, nie kobietą, która prowadziła rozsądne, spokojne życie i nie pozwalała sobie na kaprysy, marzenia i sny na jawie.

Wszystko to działo się w mojej głowie - doktor Duverger wcale nie wpatrywał się we mnie odrobinę za długo, nie był też tak samo zmieszany jak ja.

Wszystko to działo się w mojej głowie...

Następnego dnia wieczorem otworzyłam frontowe drzwi, żeby wypuścić Cinnabar na dwór i spostrzegłam powoli podjeżdżający pod mój dom samochód. Auto zatrzymało się i wysiadł z niego doktor Duverger.

Było to tak niespodziewane, że nie miałam nawet czasu uświadomić sobie, co czuję. Dopiero kiedy ruszył w stronę schodów, dostrzegłam, że niesie mój szkicownik.

- Zostawiła to pani w poczekalni - powiedział, wchodząc

151

na ganek. - Sprawdziłem pani adres w szpitalnej karcie i gdy zorientowałem się, że mam odwiedzić pacjenta, który mieszka niedaleko, pomyślałem, że zwrócę pani szkicownik.

- Bardzo dziękuję! - Wyciągnęłam rękę. - Tak, tak, szukałam go dziś rano i nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie go zostawiłam. Pracowałam nad jednym szkicem, ale nie byłam z niego całkiem

zadowolona i... - mówiłam za szybko, chyba trochę beztładnie. - Dziękuję - powtórzyłam. - To więcej niż uprzejmie z pana strony, że zadał pan sobie tyle fatygi, aby mi go zwrócić...

- Przyglądałem się pani szkicom - rzekł, nagle spuszczać wzrok na Cinnabar, która ocierała się o jego nogi, i po chwili znowu przenosząc spojrzenie na mnie. - Są dobre, te pani szkice...

- Dziękuję - odparłam, skrzepowana i zadowolona na myśl, że oglądał moje prace.

- Lubi pani... - Zawiesił głos i oblizał wargi. - Mój angielski... - podjął po chwili. - Często brakuje mi słów... Lubi pani rysować, prawda? Widać, że... Widać, że ma pani talent.

- Dziękuję. - Zrobiło mi się głupio, że ciągle mu dziękuję i zaczęłam gorączkowo zastanawiać się, co jeszcze mu powiedzieć.

Czułabym się swobodniej, gdyby mówił o mojej twarzy, lecz on w ogóle nie poruszył tego tematu i zdenerwowałam się jeszcze bardziej, raz za razem gładząc palcami grzbiet szkicownika.

- Ma pan może ochotę napić się kawy? - zagadnęłam, kiedy milczenie stało się dla mnie zupełnie nie do zniesienia.

Ledwo usłyszałam własne słowa, a już zapragnęłam je cofnąć. Co ja wyprawiałam? Teraz sytuacja stanie się naprawdę krępująca, bo będzie musiał wymyślić jakiś powód, żeby mi odmówić... Albo... Albo żeby przyjąć zaproszenie.

- Tak, chętnie wypiję filiżankę le cafe - odparł. - Merci!

152

Teraz nie miałam już wyjścia - musiałam odsunąć się na bok i wpuścić go do środka.

Po odjeździe doktora Duvergera długo siedziałam na ganku, wpatrując się w ulicę. Miałam dwadzieścia dziewięć lat, lecz dopiero tego dnia pierwszy raz przebywałam sama w domu z mężczyzną, który nie był ani moim ojcem, ani sąsiadem. Kiedy doktor Duverger wszedł za mną przez salon do kuchni, serce biło mi jak szalone, w gardle miałam szorstką watę, ale gdy usiadł przy stole, a ja zajęłam się przygotowaniem kawy, zauważyłam, że zachowuje się odrobinę inaczej niż zwykle. Po paru chwilach uświadomiłam sobie, że podczas gdy w szpitalu, gdzie czułam się zupełnie swobodnie, zawsze był spokojny i całkowicie opanowany, na moim ganku i w kuchni sprawiał wrażenie nieco skrzepowanego - znajomość angielskiego chwilami go zawodziła, a jego twarz była bardziej wyrazista. Jako lekarz, wyposażony w notatki i stetoskop, w pełni kontrolował sytuację, ale z dala od szpitala wydawał się równie onieśmiałony jak ja, gdy zmuszona byłam opuścić swoje bezpieczne schronienie przy Juniper Road. Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, w jednej chwili ogarnęło mnie nieznane mi dotąd uczucie pewności siebie, słabe, lecz jednak podbudowujące.

Powiedziałam sobie, że mam przed sobą lekarza, ale także mężczyznę.

Próbował dowiedzieć się czegoś więcej o moich szkicach, gorączkowo szukając odpowiednich słów, poprosiłam go więc, aby mówił po francusku, jeśli woli.

- Pana francuski brzmi inaczej niż ten, którym porozumiewałam się z matką - powiedziałam. - Poza tym od jej śmierci sześć lat temu w ogóle nie posługiwałam się tym językiem, będę więc odpowiadała po angielsku, ale bardzo chętnie go posłucham.

153

Z uśmiechem skinął głową i pociągnął łyk kawy.

- Dziękuję - odezwał się po francusku. - Codziennie używam angielskiego i najczęściej nie sprawia mi to większych trudności, lecz czasami... W pewnych okolicznościach trochę mnie zawodzi.

Nawet to skromne wyznanie dodało mi pewności. Czyżby denerwował się w mojej obecności tak jak ja przy nim? A jeżeli tak, to dlaczego?

Chwilę rozmawialiśmy o moich szkicach. Zapytałam go, z jakiego regionu Francji pochodzi, a on odparł, że studiował medycynę w Paryżu i od ponad pięciu lat mieszka w Ameryce. Po pół godzinie i dwóch filiżankach czarnej kawy podniósł się z krzesła.

- Dziękuję za kawę.

Odprowadziłam go do drzwi. Otworzył je i przystanął w progu, patrząc na mnie. Nagle zaczęłam mieć trudności z oddychaniem.

- Cieszę się, że zdecydowała się pani na operację - rzekł w końcu. - Teraz znowu będzie pani piękna.

Zanim zdążyłam zareagować, schodził już po schodkach, prosto w zapadający zmrok. Otworzył drzwi auta i się obejrzał.

- Może jeszcze kiedyś napijemy się kawy! - zawołał.

Z jego tonu trudno było odgadnąć, czy jest to pytanie, czy stwierdzenie, więc tylko skinęłam głową, co nie było zbyt błyskotliwą odpowiedzią. Później wyrzucałam sobie, że nie uśmiechnęłam się promiennie i nie okazałam zadowolenia, udając, że przywykłam do picia kawy w towarzystwie francuskich lekarzy.

Obserwowałam tylne światła jego wozu, dopóki nie znikły za rogiem Juniper Road, a potem usiadłam na najwyższym schodku, wśród gęstniejącej ciemności.

154

Piękna, powiedział. Teraz znowu będzie pani piękna... Daremnie usiłowałam przywołać z pamięci wyraz jego twarzy w chwili, kiedy to mówił, a może pamiętałam, ale nie byłam w stanie zinterpretować.

Powtarzałam sobie, że powiedział to jako lekarz, nie jako mężczyzna, jako lekarz, najzwyczajniej w świecie zadowolony, że udało mu się pomóc pacjentce. Przecież ja nigdy nie byłam piękna.

Wróciłam do domu i zapaliłam światło nad lustrem w łazience. Długo wpatrywałam się w swoje odbicie, przesuwając opuszkami palców po gładszej i cieńszej linii nowej blizny.

Czy jego ostatnie słowa były tylko nonszalancką, pozbawioną znaczenia uwagą, czy może należało rozumieć je dosłownie?

Gdy zgasiałam lampkę, w lustrze pozostał tylko niewyraźny owal.

Nie miałam pojęcia, jak odczytywać słowa i zachowanie mężczyzny.

Następne cztery dni przeżyłam w stanie niepokoju. Nie chciałam wybierać się na zakupy, pełna obaw, że doktor Duverger przyjedzie i nie zastanie mnie w domu. Codziennie wkładałam jedną z dwóch ładnych sukien, tę z ciemnozielonego jedwabiu albo śliwkową, która podkreślała moją talię, i co jakiś czas sprawdzałam, czy trzymające włosy szpilki nadal są na miejscu. Przykryłam stół w jadalni porządną serwetą. Upiekłam piernik. I bardzo często podchodziłam do frontowych drzwi, przekonana, że słyszę trzask zamykanego samochodu lub kroki na prowadzącej do domu ścieżce.

Piątego dnia miałam już dosyć własnej głupoty. Powiedziałam sobie, że doktor Duverger na pewno nie mówi poważnie, pokroiłam wysychające ciasto na drobne kawałki i wyrzuciłam

155

je ptakom. Zdjęłam serwetę, a raczej zerwałam ją ze stołu, chyba trochę gwałtowniej, niż należało, szybko złożyłam w kostkę i odłożyłam na miejsce, do szafki z bielizną stołową i pościelową.

Potem włożyłam spodnie na szelkach, te z ubłoconymi kolanami, i podwinęłam rękawy starej koszuli ojca. Zaplotłam luźny warkocz, wyszłam do ogrodu i oddałam się wrywaniu chwastów. Tego upalnego lata wszystkie rośliny rosły jak szalone, a ponieważ przez ostatnich kilka tygodni zaniedbałam ogródek, miałam teraz mnóstwo pracy. Wrywałam, przycinałam i wyrzucałam, atakując szorstkie łodygi i wijące się po ziemi powoje. Słońce przyjemnie grzało nagą skórę moich przedramion, gdy z satysfakcją grzebałam w ziemi, patrząc, jak zieleń ustępuje przed metalową gracą. Byłam zła na doktora Duvergera, bo zachował się tak, jakby naprawdę myślał o następnej wizycie, ale także na siebie, za to, że zmarnowałam cztery dni na sny na jawie.

Potrząsnęłam głową, by przegonić te myśli, i wyobraziłam sobie delikatne skrzydełka błękitnego motyla. Może któregoś dnia mogłabym poprosić pana Barlowa, żeby zawiózł mnie do Pine Bush? I koniecznie musiałam kupić farbę w ciemnym odcieniu ochry...

Oparłam się na gracy. Nagle dotarło do mnie, że w ciągu ostatnich dni prawie wcale nie myślałam o śmierci ojca. Przytłaczający smutek trochę ustąpił, a raczej może dopiero zaczął ustępować.

Wróciłam do pielenia.

- Pukałem do drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Podskoczyłam i odwróciłam się gwałtownie. Doktor Duverger stał obok pierwszej grządki. Odezwał się po francusku.

- Przepraszam, że panią przestraszyłem. Naprawdę pukałem, lecz po chwili... Po chwili usłyszałem pogwizdywanie.

156

- Pogwizdywanie? - Chciałam odpowiedzieć mu po francusku, ale nie zrobiłam tego.

Byłam pewna, że mój francuski całkiem zardzewiał, poza tym bardzo różnił się od języka, którego on używał. Był mniej wyrafinowany, prostacki i szorstki.

- Chyba gwizdała pani Griega. Pieśń Sohejgi, prawda? W ogóle nie zdawałam sobie sprawy, że gwizdzę. Nie

gwizdałam od śmierci taty.

- Panno O'Shea? Widzę, że panią zdenerwowałam.

- Nie, nie! To tylko... - Opuściłam rękawy koszuli, starając się nie rozcierać smug brudu na jednym przedramieniu i dłoni. - To tylko dlatego, że nie spodziewałam się pana.

Dopiero co byłam na niego zła, tymczasem teraz, gdy się pojawił, czułam radość. Radość i podniecenie.

- Wiem, że powinienem był panią uprzedzić. Miałem w tym tygodniu kilka dodatkowych dyżurów, lecz dziś nieoczekiwanie dostałem trochę wolnego czasu. Telefonowałem do pani sąsiadów, chciałem poprosić panią do telefonu, ale nikt nie podnosił słuchawki, więc postanowiłem zaryzykować.

Przełknęłam ślinę, myśląc o moich potarganych włosach i bezkształtnych spodniach. Potarłam czoło wierzchem dłoni. Spociłam się w tym upale. Doktor Duverger wyglądał bardzo elegancko w świeżutkiej białej koszuli i marynarce z jasnego płótna.

- Bardzo się cieszę, oczywiście - powiedziałam. - Muszę jednak umyć ręce i się przebrać ...

Wskazał dwa stare krzesła, stojące w cieniu pod drzewem.

- Nie trzeba, możemy usiąść tutaj - rzekł. - Proszę nie robić sobie kłopotu! Wygląda pani bardzo... - Lekko przekrzywił głowę. - Bardzo swobodnie, właśnie tak... I czarująco, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Wcześniej widziałem panią w trochę mniej przyjemnych okolicznościach. Och, przepraszam,

157

może zabrzmiało to zbyt bezpośrednio... Robi pani wrażenie zaskoczonej.

Uśmiechnęłam się lekko, nadal świadoma napięcia mięśni policzka. Starłam się zachowywać w taki sposób, jakby mężczyźni często zaglądali do mojego ogrodu i nazywali mnie czarującą, jakby uśmiech znowu był dla mnie czymś najzupełniej naturalnym.

- Zaskoczył mnie pan trochę, jak już mówiłam... Nie spodziewałam się.

Przerwałam, świadoma, że się powtarzam.

- Usiądźmy. - Znowu wykonał ruch w stronę krzesel. - Mam niewiele czasu, ale pogoda jest taka cudowna, a ja tak się cieszę, że udało mi się wyrwać ze szpitala, nawet tylko na tę godzinę.

Przysiadłam na brzegu krzesła, naprzeciwko doktora.

- Nie będzie pani przeszkadzało, jeżeli zdejmę marynarkę? - zapytał.

- Nie - odparłam, siadając wygodniej. - A popołudnie rzeczywiście jest wspaniałe.

Cinnabar dała spokój łapaniu insektów w trawie i nieco ociężałe wskoczyła mi na kolana.

- Jak wabi się pani kot? - zagadnął, przerzucając marynarkę przez oparcie krzesła.

Dopiero kiedy ją zdjął, zauważyłam, jakie szerokie ma ramiona.

- Cinnabar - odparłam. - Jest głucha - dodałam niepotrzebnie.

- Ładne imię. - Uśmiechnął się. Skinęłam głową i pośpiesznie ukryłam twarz w sierści

Cinnabar. Nie chciałam, żeby zorientował się, jak działa na mnie jego uśmiech.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Świat stał się innym miejscem, a ja stałam się inną osobą. W ciągu miesiąca zakochałam się w Etiennie.

Przyjeżdżał do mnie dwa razy w tygodniu. Dzień i pora wizyt uzależnione były od jego zmian w szpitalu, ale jeśli nie miał żadnych nagłych wypadków, zjawiał się zgodnie z zapowiedzią.

Przez pierwsze dwa tygodnie siadywaliśmy na podwórku za domem, na ganku, w salonie albo w kuchni i rozmawialiśmy. W ciągu następnych dwóch dwa razy pojechaliśmy na kolację do Albany i raz do teatru.

Etienne zawsze wychodził przed dziesiątą i dopiero w czasie piątej wizyty przy pożegnaniu podniósł moją rękę i przycisnął do niej wargi. Pod koniec tego pierwszego miesiąca otoczył mnie ramionami, kiedy staliśmy na ganku, i pocałował

mnie.

Z wyrazu jego twarzy i bliskości odgadłam, co się stanie, i zadrżałam z podniecenia i niepokoju. Był to mój pierwszy pocałunek i świadomość tego faktu bardzo mnie krępowała. Nie chciałam, żeby Etienne o tym wiedział, byłam jednak tak oszołomiona dotykiem jego warg i ciała, że dygotałam jak osika.

Później przytulił mnie i długo trzymał w ramionach.

- Wszystko w porządku, Sidonie - powiedział.

159

Oparłam głowę na jego piersi i słuchałam powolnego, regularnego bicia serca, uśmiechając się lekko na myśl, że moje własne łopotało jak płatki na wietrze.

- Wszystko w porządku - powtórzył, obejmując mnie ciaśniej.

Zrozumiałam, że musi podejrzewać, że nie mam pojęcia o sprawach damsko męskich, lecz ten pocałunek rozbudził moje ciało, przez wszystkie te lata pogrążone w głębokim śnie. Zahibernowałam je najpierw naiwnymi modlitwami o powrót do zdrowia, a później instynktownym przyjęciem do wiadomości, że łatwiej jest żyć w celibacie, jeżeli nie kwestionuje się tego stanu rzeczy.

Tamtego wieczoru po wyjściu Etienne długo siedziałam w ciemności na brzegu łóżka, wciąż wracając myślami do naszego pocałunku. Pragnęłam zatrzymać to uczucie cudownego zdumienia, nie potrafiłam jednak pozbyć się nieokreślonego niepokoju.

Doktor Duverger był przystojny. Inteligentny i dowcipny, miał ciepłe poczucie humoru. Miał ciekawy zawód i dużo wiedział o świecie.

Nie rozumiałam, dlaczego chce spędzać ze mną czas. Ze mną, kobietą o niesfornych włosach, ciemnych oczach i oliwkowej skórze. Ze mną, kobietą z jednym butem na pogrubianej podeszwie, o jednej nodze krótszej i z widoczną, choć teraz niewątpliwie mniej rzucającą się w oczy blizną na policzku. Ze mną, prowadzącą nudne, zwyczajne życie, pozbawioną doświadczenia w tak wielu dziedzinach.

Naturalnie wiedziałam sporo o świecie, z gazet i książek, i z radia, które włączałam codziennie rano, aby wysłuchać wiadomości. Jednak jeśli chodzi o prawdziwe życie... Cóż, próbowałam ukryć, jak niewielka jest moja wiedza o wszystkim, co wykracza poza granice Juniper Road i Albany, dbając, aby

160

Etienne zawsze mówił o sobie. Zmuszałam go, aby opowiadał o swoim życiu i bez końca zadawałam mu pytania.

Etienne miał niezwykle interesującą, egzotyczną przeszłość. Chociaż przyszedł na świat w Paryżu i tam ukończył studia medyczne, większą część młodości spędził z rodziną w Maroku, w Marrakeszu. Kiedy mi o tym powiedział, bezskutecznie usiłowałam wyobrazić sobie stronę z atlasu. Wstydziałam się, że nie do końca wiem, gdzie ten kraj się znajduje. Nazwa „Maroko” kojarzyła mi się tylko z piękną skórzaną oprawą drogiej książki, a jeśli chodzi o Marrakesz, to nie miałam nawet pojęcia, jak pisze się to słowo.

-Jak to? - zapytałam. - Dlaczego twoi rodzice mieszkali w Maroku?

Rozmawialiśmy teraz po francusku, na jego prośbę. Mój kanadyjski francuski był prowincjonalny i prostacki, zawierał też mnóstwo kolokwializmów, co uświadomiłam sobie dopiero teraz. Właśnie dlatego od początku starałam się naśladować paryski francuski, którym mówił Etienne. Od razu zauważył, że to robię, i z uśmiechem powiedział mi, że bardzo go to wzruszyło.

- Francuzi opanowali Maroko na początku tego wieku i wielu się tam osiedliło. Mój ojciec także był lekarzem i pracował w Maroku jeszcze przed zajęciem tego kraju, pomagał zakładać tam szpitale. Od niego wiem, że medycyna w Afryce Północnej oparta była na szamańskich sztuczkach i stanowiła antytezę rzetelnej nauki... - Uśmiechnął się lekko. - Mimo to Marokańczycy jakoś radzili sobie przed przybyciem Francuzów.

Odpowiedziałam mu uśmiechem i podniosłam dłoń, aby zastonić policzek. Nabrałam tego przyzwyczajenia przed operacją i teraz Etienne od czasu do czasu przypominał mi, że nadal wykonuję ten gest.

- Nie powinnaś zakrywać policzka, Sidonie - powiedział. -

161

Proszę cię. Ciągłe ci powtarzam, że nie ma takiej potrzeby! Jesteś piękna.

Zawiesił głos i delikatnie oderwał moją rękę od policzka.

- Masz chmurną, melancholijną urodę - dodał. - A ta blizna nadaje ci odrobinę niebezpieczny wygląd, zupełnie jakby twoje życie było pełne intryg i tajemnic.

Jakby moje życie było pełne intryg i tajemnic... Moje życie nie miało w sobie nawet cienia sekretu. Żadnego niebezpieczeństwa, żadnego ryzyka, żadnych konsekwencji, którym trzeba byłoby stawić czoła. Poznałam głęboki smutek i rozpacz, nie dane mi jednak było zaznać wielkiej radości.

Roześmiałam się.

- Etienne, to tylko twoje wyobrażenia, nie moje życie! Proszę, opowiedz mi jeszcze o Maroku!

Skinął głową, nie odrywając swojej dłoni od mojej.

-Jesteś dobrym słuchaczem, wiesz? Patrzyć na mnie, twoja twarz zamiera w zasluchaniu. Wydaje mi się... Tak, wydaje mi się, że przywykłaś do wsłuchiwania się w otaczającą cię ciszę.

Przytaknęłam.

- Właśnie dlatego tak lubię jeździć na bagna, mówiłam ci o nich, nazywają się Pine Bush. Z tego samego powodu uwielbiam pracować w ogrodzie, malować, albo siedzieć na ganku późną nocą, kiedy ulica już śpi. Cisza pozwala mi spokojnie myśleć.

Uśmiechnął się.

- W Marrakeszu nie ma ciszy...

-Jak to?

-To miasto pulsuje kolorami, dźwiękami i ruchem jak ludzkie ciało krwią. Bezustanny pomruk i szum koi moje nerwy, cisza jest nie dla mnie. Ten ciągły gwar to coś jakby wibracje, które wyczuwasz pod stopami. A słońce...

162

Spojrzał w stronę okna. Siedzieliśmy w salonie. Popijał bourbona, którego butelkę przywiózł ze sobą, ja lemoniadę.

- Słońce jest znacznie bardziej intensywne - ciągnął. - Nawet powietrze jest inne. Moja pierwsza zima w Ameryce... -Wstrząsnął się dramatycznie. - Oczywiście spędziłem wiele zim w Paryżu, lecz tutaj

powietrze staje się tak rzadkie, że aż trudno oddychać. Śnieg pachnie jak metal, w gardle czujesz posmak krwi. Tymczasem niebo w Maroku, słońce...

Jego twarz ożywiła się, policzki zalał lekki rumieniec.

- Kiedy byłeś tam ostatni raz?

Ożywienie znikło w jednej sekundzie. Nie odpowiedział na moje pytanie, wrócił do wcześniejszego wątku naszej rozmowy.

- Po ustanowieniu Protektoratu mój ojciec dostał stałą posadę w Marrakeszu i naturalnie przeprowadziliśmy się tam wszyscy, całą rodziną. Byłem wtedy małym chłopcem. Ojciec leczył tylko Francuzów, Marokańczycy trzymali się własnych metod leczenia, szczególnie kobiety w haremie.

- Czy naprawdę w haremach żyją setki pięknych kobiet? -zapytałam, starając się nie okazywać, jak wielkie wrażenie robił na mnie fakt, że wiódł tak niezwykle życie i chciał ze mną o tym rozmawiać.

Uniósł brwi i znowu się uśmiechnął. Gdy mówił o Maroku, jego twarz i głos dawały zwykle wyraz głębokim, gorącym uczuciom, wiedziałam więc, że szczerze kocha kraj, który był mu domem przez sporą część dzieciństwa i młodości.

-Większość zachodnich wyobrażeń o haremie opartych jest na przesadnie romantycznych powieściach i obrazach, ale w Maroku harem to po prostu ta część domu, gdzie mieszkają kobiety. Samo słowo pochodzi od arabskiego „haram”, czyli „wstydlivy” albo nawet „grzeszny”, lecz obecnie jedyne znaczenie tego wyrazu to „zakazany”. Mężczyznom, oczywiście

163

poza mężami, synami, braćmi i ojcami, nie wolno tam wchodzić.

- Kobiety nie widują więc innych mężczyzn poza tymi, z którymi łączą ich bliskie więzy krwi lub małżeństwo?

Etienne przytaknął.

- Żonom mężczyzn z klasy wyższej nie wolno nawet wychodzić z domu, wyjątkiem są tylko pewne tradycyjne obrzędy. To dla nich trudne życie; w zależności od pozycji społecznej, mężczyzna może mieć do czterech żon, taki jest muzułmański zwyczaj.

Zauważył malujące się na mojej twarzy zdumienie i pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Mój ojciec mówił, że te surowe nakazy obyczajowe zmuszają kobiety do ucieczki w posługiwanie się magią. Próbują w ten sposób kontrolować zachowanie i postępowanie swoich mężczyzn, no i osiągnąć wyższy status w haremie.

- Uciekają się do magii? Czyli co robią? Utkwił wzrok w szklaneczce z bourbonem.

- Moim zdaniem, to zwyczajne bzdury. - Kiedy znowu spojrzał na mnie, zobaczyłam, że jego twarz straciła pełen entuzjazmu wyraz. - Wierzą w praktyki okultystyczne i starają się albo zwiększyć swoją władzę nad innymi, albo odegnąć uroki, które ktoś może na nie rzucić. - W głosie Etienne nie było teraz żadnych emocji. - Przyrządzają napoje, eliksiry, które według nich mają sprowadzić określone

zdarzenia. Pozytywne bądź negatywne: narodziny dziecka, chorobę, miłość, nawet śmierć. Albo chronić je przed złowrogimi duchami, czającymi się wszędzie dokoła. Ich życiem w dużej mierze rządzi niewiedza i przesąd - dorzucił twardo. - Te wierzenia są niebezpieczne wyłącznie dla nich samych, chociaż...

Przerwał.

164

- Oczywiście - powiedziałam po chwili milczenia, w czasie której Etienne dopił alkohol.

To „oczywiście” było pozbawione jakiegokolwiek znaczenia; nie miałam pojęcia, o czym mówił, ponieważ cała moja wiedza na temat Maroka sprowadzała się do informacji z atlasu geograficznego oraz książki historycznej o dokonanym w 1912 roku podboju tego kraju przez Francuzów. Chociaż bardzo często opowieści Etienne tchnęły szczerą radością, zdarzało się również, że w tonie jego głosu słyszałam wyraźne wahanie, jakby przeglądał wspomnienia i wybierał tylko te, którymi miał chęć się podzielić. Jakby kryło się wśród nich coś, czego świadomie unikał.

- Tak więc mężczyźni trzymają kobiety w odosobnieniu - podjął, dolewając sobie bourbona. - Co nie przeszkadza im brać sobie konkubiny, chikha, naturalnie jeżeli ich na nie stać. - Teraz w jego głosie zabrzmiał cień zniecierpliwienia. - Ten kraj to żywy paradoks, emanuje aurą głębokiego uduchowienia, i całkowicie sprzecznej z nim zmysłowości...

- Zamierzasz tam wrócić? Czy twoja rodzina nadal tam mieszka?

- Nie... Nie - odparł.

Nie potrafiłam odgadnąć, czy odpowiada na jedno czy oba moje pytania.

- Nie ma tam już nic, do czego chciałbym wracać. Teraz jest to dla mnie tylko miejsce smutku - są tam pochowani moi rodzice i brat Guillaume. Wszyscy troje umarli w ciągu trzech lat. Najpierw jedno, potem drugie i trzecie.

Długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Nie miałeś więcej rodzeństwa poza Guillaume'em? - odezwałam się wreszcie.

- Guillaume był trzy lata młodszy ode mnie. Nie byliśmy

165

do siebie podobni, on był... - Przerwał na moment. - Utonął w Essourii, na marokańskim wybrzeżu. To był dla nas straszny czas, moja matka błyskawicznie się postarzała.

Pamięć podsunęła mi obraz twarzy mojej matki, gdy pochylała się nade mną, chorą na polio, twarzy ojca, stojącego przy oknie, i bijącego od niego poczucia całkowitej bezradności.

- Ojciec długo był ciężko chory - mówił dalej. - Cóż, śmierć dziecka zawsze zmienia rodziców, niezależnie od jego wieku, prawda? Zmienia ich ten całkowicie nienaturalny porządek rzeczy.

Znowu umilkł. Wiedziałam, że jeszcze nie skończył i cierpliwie czekałam.

- Przez wiele lat dręczył mnie okropny żal. Wyrzucałem sobie, że nie spędziłem z nim dość dużo czasu, z Guillaume'em. Byłem dla niego wzorem, tymczasem ja...

Przerwał, a kiedy odezwał się znowu, zrozumiałam, że chce jak najszybciej skończyć tę rozmowę.

- Rok po śmierci Guillaume'a umarła moja matka, a rok po niej ojciec. Nie, w Marrakeszu nie czeka na mnie już nic i nikt, tylko smutne wspomnienia! Nic nie skłoni mnie, abym tam wrócił!

Czułam, że lepiej będzie nie zadawać więcej pytań. Głos Etienne był niski i mroczny, twarz mu pociemniała. Mimo tego zawsze z zafascynowaniem słuchałam opowieści o świecie, którego zupełnie nie znałam, i każda wizyta Etienne budziła we mnie ciekawość.

Kiedy Etienne zapytał mnie o wiszące na ścianach mojego domu obrazki, przedstawiające rośliny i ptaki - to była następna wizyta po tym, gdy pocałował mnie po raz pierwszy - odrobinę nerwowo przyznałam, że tak, wyszły spod mojej ręki.

166

- Obejrzałem twoje rysunki w szkicowniku i naturalnie zastanawiałem się, czy te też są twoje. Są bardzo dobre!

- To tylko hobby - odparłam.

- Mogłabyś pokazać mi więcej swoich rysunków?

Podniosłam się z krzesła. Etienne poszedł za mną do mojego studio, kiedyś sypialni rodziców. Świadomość obecności ich podwójnego łóżka, stojącego pod przeciwległą ścianą, sprawiała, że nie czułam się całkiem swobodnie.

Na stole leżały niedokończone rysunki. Dzień wcześniej wreszcie zabrałam się do malowania błękitnego motyla, którego wizerunek przypięty był do sztalug pod oknem. Etienne podszedł bliżej i pochylił się, chcąc obejrzeć go z bliska.

- Nie malujesz nic innego poza przyrodą? - zapytał.

- Maluję to, co widzę wokół siebie, w lasach, na bagniskach i nad sadzawkami.

- Są bardzo ładne - powiedział i lekko pogładził moje czoło palcem wskazującym i środkowym.

Poczułam wielką ochotę, aby oprzeć głowę o jego dłoń, chciałam, aby nadal mnie dotykał.

- Myślę, że kryje się tu znacznie, znacznie więcej - ciągnął, trochę mocniej naciskając moje czoło. - Rozumiesz, co mam na myśli, prawda? Widzisz też inne rzeczy, tu, w środku...

Przymknęłam powieki. Miałam nadzieję, że zostawi palce tam, gdzie były.

- Tak - odpowiedziałam. - Ale... Ale zawsze malowałam rośliny i ptaki...

Ujęłam jego rękę i powoli pociągnęłam ją w dół, na mój naznaczony blizną policzek. Nie byłam w stanie otworzyć oczu, całkowicie zaskoczona własną śmiałością.

- Dlaczego nie malujesz rzeczy, które widzisz w głowie? - spytał cicho.

Nie umiałam odpowiedzieć. Trwaliśmy tak kilka minut,

167

moja dłoń przykrywała jego dłoń, która lekko dotykała mojego policzka. Potem Etienne objął mnie drugą ręką i przytulił do siebie.

- Czy to wystarczy? - szepnął mi do ucha. - Czy kobiecie takiej jak ty, kobiecie o dzikim, wolnym sercu, wystarczy życie w odosobnieniu i malowanie tylko tego, co ma przed oczami?

Tak mnie widział? Jako kobietę o dzikim, nieokiełznanym sercu?

Możliwe, że właśnie w tym momencie zakochałam się w nim bez pamięci.

Pragnęłam, żeby znowu mnie pocałował, ale nie zrobił tego. Wciąż obejmując mnie jednym ramieniem, sięgnął po wizerunek dzięcioła na pniu czarnego dębu.

- Moją dziedziną jest nauka - rzekł głośno. - Na sztuce znam się o tyle, o ile, zawsze jednak ceniłem piękno. - Odsunął się, podszedł do okna i podniósł obrazek do światła. - Ponieważ w centrum piękna kryje się tajemnica.

- Tajemnica? - powtórzyłam, z sercem szybko bijącym po kontakcie naszych ciał. - Czy jako lekarz wierzysz w tajemnicę, nie w fakty?

Odłożył obrazek i odwrócił się twarzą do mnie.

- Bez tajemnicy nie byłoby poszukiwania ani odkrywania faktów - oświadczył.

Długą chwilę patrzyliśmy sobie prosto w oczy.

- Ty jesteś tajemnicą, Sidonie - powiedział. Słyszałam swój oddech, zbyt głośny, zbyt szybki. Otoczył mnie ramionami, a ja uniosłam twarz, więc bez trudu zorientował się, jak bardzo pragnę jego pocałunków. Pocałował mnie, Tym razem nie ogarnęło mnie drżenie - moje ciało nagle stało się dziwnie ociężałe, a jednocześnie tak lekkie i płynne, że kolana ugięły się pod mną.

Nie przestając mnie całować, lekko popchnął mnie do

168

tytu, aż poczułam krawędź łóżka rodziców i usiadłam na nim. Usiadł obok mnie, ale gdy próbował delikatnie mnie położyć, oderwałam się od niego, wyprostowałam i poprawiłam włosy. Miałam aż zbyt wielką świadomość wszystkiego: słodkiego aromatu bourbona w jego oddechu, twardości jego piersi tuż przy mojej, reakcji mojego ciała. Zdawałam też sobie sprawę, że siedzimy na łóżku moich rodziców, łóżku, które dzielili odkąd pamiętałam, łóżku, na którym umarła moja matka. Wstałam.

- Przepraszam. - Etienne także wstał i obciągnął kamizelkę. - Zachowałem się niewłaściwie, Sidonie, przepraszam. Trudno mi jednak być z tobą i nie...

Przerwał i spojrzał na mnie. Zrobiło mi się jeszcze bardziej gorąco.

- Zaparzę kawę. - Odwróciłam się od niego, ponieważ nie miałam pojęcia, co powiedzieć czy zrobić.

Jednak dłonie drżały mi tak mocno, że filiżanki i spodeczki grzechotały, kiedy wyjmowałam je z kredensu.

- Zdenerwowałam cię - rzekł, wyjmując mi z rąk naczynia i stawiając je na stole. - Może lepiej będzie, jeśli sobie pójdę.

Potrząsnęłam głową, muskając palcami brzeg filiżanki.

- Nie, nie, nie odchodź! Wcale mnie nie zdenerwowałeś, nie o to chodzi...

Nie byłam w stanie zmusić się, żeby na niego popatrzeć, lecz on ujął moją twarz między dłonie i zajrzał mi w oczy.

- Nie zrobimy nic, czego byś nie chciała - powiedział. - Naprawdę zachowałam się niewłaściwie i jeszcze raz przepraszam.

Uwolnił mnie i odwrócił się, a ja musiałam zmobilizować wszystkie pokłady siły woli, aby nie podbiec do niego, nie przylgnąć czołem do jego czoła i nie powiedzieć mu, aby nie wypuszczał mnie z ramion.

169

Czy nie miałam żadnych zasad? Wręcz przeciwnie. Wiedziałam, że jako panna w żadnym razie nie powinnam zapraszać Etienne'a do łóżka. A jednak... Miałam dwadzieścia dziewięć lat. Etienne był pierwszym mężczyzną, który zwrócił na mnie uwagę i sprawił, że poczułam się piękna i pożądana. I do niczego mnie nie zmuszał. To ja jasno okazałam, czego pragnę i to ja, kiedy Etienne przyjechał następnym razem, pociągnęłam go ku sobie przez próg, tuląc się do niego, całując go, zsuwając marynarkę z jego ramion i popychając go w stronę mojej sypialni. Zatrzymał mnie w korytarzu.

- Sidonie, nie oczekuję... Przytknęłam dwa palce do jego warg.

- Wiem! - szepnęłam. - To ja tego chcę!

Położyłam jego dłonie na swoich piersiach, a po chwili przesunęłam je ku zapięciu sukni.

Naturalnie dobrze wiedział, że to mój pierwszy raz, ale powiedziałam mu o tym sama. Powiedziałam mu także, że nie wiem, co powinnam robić i że chcę, aby mną pokierował. Jego ciało było twarde i szczupłe, a skóra, w kontakcie z moją, rozpalona i gładka.

Nie czułam lęku ani niepokoju, tylko podniecające oczekiwanie. Patrzyłam w jego twarz, gdy obejmował mnie ciasno, dotykając moich ust wargami.

- Jesteś pewna? - zamruczał.

Skinęłam głową. Kochał mnie. Nie umiałby mnie skrzywdzić. Czułam się bezpieczna i kochana, bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

- Powiedz mi, co robić... - wyszeptaliśmy, opierając dłonie na jego biodrach.

I pokazał mi.

Później, kiedy leżałam z głową opartą na jego piersi, rozplakałam się, a on w pierwszej chwili źle mnie zrozumiał.

- Przepraszam, bardzo cię przepraszam, Sidonie! - powiedział, głaszcząc moje obnażone ramię. - Sprawilem ci ból, nie powinienem był...

- Nie - przerwałam mu. - Nie sprawiłeś mi bólu! Nie wiem, dlaczego płaczę, ale na pewno nie z żalu. Nie z poczucia winy... To raczej... - Zawahałam się. - To chyba radość... Jestem szczęśliwa, Etienne! Uszczęśliwiłeś mnie. Nie wiem, czym zasłużyłam na tyle szczęścia... Na ciebie...

Chwilę milczał.

- Jesteś śliczna - odezwał się, wtulając usta w moje włosy. - Jesteś taka silna, tak pewna siebie, zdolna żyć tak, jak żyjesz... Pełna ciekawości i poczucia, że wiesz, co chcesz robić. Ale masz też w sobie dziwną kruchość. Bardzo bym chciał, żebyś spojrzała na siebie moimi oczami. Czasami... Czasami tu me brises le coeur...

Łamiesz mi serce.

Gdy wyszedł, popatrzyłam na siebie w lustrze.

Czy jakakolwiek inna kobieta była kiedyś tak szczęśliwa jak ja? Tak bardzo zakochana jak ja w tej chwili? Czy był na świecie jakiś inny mężczyzna tak kochający, myślący i szczery jak Etienne Duverger?

Etienne i ja szybko przywykliśmy do pewnych rzeczy. W następnych miesiącach, jesienią i jeszcze w grudniu, spędzaliśmy jego wolne wieczory - czasami raz w tygodniu, czasami dwa - w moim domu albo w Albany, gdzie zjadaliśmy kolację w restauracji, chodziliśmy na koncerty, do teatru, albo po prostu spacerowaliśmy ulicami, oglądając wystawy. Etienne zostawał u mnie na noc, chociaż czasami musiał wyjeżdżać wcześniej, przed wschodem słońca, żeby w mieszkaniu, które

wynajmował, przebrać się do pracy. Mieszkał w pensjonacie, dość ponurym budynku niedaleko szpitala, gdzie i tak, jak mi powiedział, spędzał bardzo mało czasu.

Kiedy budziłam się sama, w te ranki po wspólnych nocach, dłuższą chwilę nie wychodziłam z łóżka, gładząc Cinnabar i czując apetyt na życie, którego wcześniej właściwie nie znałam. Nie mogłam się zmusić do codziennych czynności i byłam głodna tak, jak nigdy dotąd. Robiłam sobie duże śniadanie, jajka na bekonie i grzanki, i wypijałam trzy filiżanki kawy. Nastawiałam płyty ojca i nuciłam, zmywając naczynia. Muzyka zyskała teraz dla mnie nowe znaczenie, podobnie jak książki, które czytałam, blask słońca, wpadającego przez okno i szept wiatru w gałęziach drzew. Wszystko, co słyszałam, czytałam czy widziałam, nawet rysowanie i malowanie, było w jakiś sposób związane z tą nową, nieoczekiwaną radością.

Oczywiście życie, które rozpoczęłam razem z Etienne, nie było życiem konwencjonalnym, ale przecież nigdy nie byłam kobietą konwencjonalną, prawda? Wiedziałam, że moje postępowanie, zgodnie z zasadami i moją religią, było grzeszne, a jednak wyrzuty sumienia w ogóle mnie nie dręczyły. Czułam,

że wszystko jest w porządku i chociaż żadne z nas nie mówiło o miłości i przyszłości, zdawałam sobie sprawę, że Etienne kocha mnie tak samo jak ja jego. Każda kobieta wyczuwa takie rzeczy.

Nie miałam także najmniejszych wątpliwości, że Etienne zaproponuje mi małżeństwo, że weźmiemy ślub i grzech zostanie przekreślony. Jak młoda dziewczyna wypisywałam swoje imię i nazwisko na kartce papieru, którą później wrzucałam do kominka: Sidonie Duverger, żona doktora Etienne'a Duvergera. Co za cudowna melodia...

Nasze rozmowy stały się jeszcze ciekawsze. Nigdy dotąd nie prowadziłam intelektualnych dyskusji; chociaż rozmawiałam

172

z ojcem o tym, co działo się na świecie, nie mieliśmy w zwyczaju o nich dyskutować. Czy tak po prostu zgadzaliśmy się we wszystkim? Nie mogłam sobie przypomnieć. Może chodziło zresztą raczej o to, że mój związek z Etienne'em pełen był namiętności i pasji, które znajdowały wyraz w naszych rozmowach, tak samo jak w naszym dotyku i pieszczotach.

Odnajdowałam cudowne wyzwanie w naszych debatach. Etienne przedstawiał trudne, wymagające argumenty, wysłuchiwał jednak moich opinii z otwartością i chęcią zaakceptowania mojego zdania. Jego oczekiwania wobec mnie wskazywały na jego przekonanie o mojej wysokiej inteligencji, co bardzo mi pochlebiało.

W pewne grudniowe popołudnie siedzieliśmy obok siebie na kanapie. Cinnabar wskoczyła mi na kolana. Głaskałam ją, przesuwając w zamyśleniu dłońmi po miękkim grzbiecie.

- Urodziła się głucha? - zapytał Etienne. Kiwnęłam głową.

- Tak sądzę. Jest u nas od małego i wiem, że od początku nie słyszała...

- Mam nadzieję, że nie pozwoliłaś jej się okocić! Spojrzałam na niego.

- Nigdy nie była kotna... Dlaczego mówisz, że masz nadzieję, że na to nie pozwoliłam?

- Ponieważ nie powinna urodzić kociąt, rzecz jasna! Patrzyłam na Etienne z narastającym zdumieniem.

- Z powodu głuchoty! Byłoby źle, gdyby przekazała tę skazę młodym. - Pociągnął łyk bourbona.

W czasie spędzanych ze mną wieczorów zawsze sączył bourbona, który nie wywierał żadnego widocznego wpływu na jego zachowanie.

-Taka cecha to aberracja, prawda? - dodał. - A problem z każdym odchyleniem od normy polega na tym, że jeżeli

173

przekazuje się je następnemu pokoleniu, wyraźnie osłabia się gatunek.

Ludzka genetyka szczerze go fascynowała, zawsze się ożywiał, gdy poruszał ten temat. W jego ujęciu nauka o genach stawała się nieodparcie intrygująca.

- Pamiętasz, co mówiłem ci o prawie dziedziczności Mendla? Że każdy żywy organizm składa się w połowie z genów ojca, a w połowie z genów matki?

- Tak - odparłam.

- To proste. - Tylko zdrowi i pozbawieni wad powinni wydawać na świat potomstwo. Pomyśl o tym, Sidonie! Pomyśl o świecie bez słabych, bez chorych, niesprawnych na ciele lub umyśle!

Wstrzymałam oddech. Czyżby nie zdawał sobie sprawy, że jestem szczególnie wrażliwa na tym punkcie? Że to ja jestem jedną z tych niesprawnych, o których mówił? Pośpiesznie odwróciłam wzrok.

- Nie wydaje ci się, że w wadzie czy skazie może być coś atrakcyjnego? - zagadnęłam.

Zbyt dobrze mnie znał. Lekko dotknął mojego podbródka, skłaniając, żebym znowu na niego spojrzała. Uśmiechał się.

- Ty zapadłaś na ciężką chorobę - rzekł. - To nie jest sprawa genetyczna! Poza tym wyszłaś z polio silniejsza, nie słabsza... I dobrze wiesz, że w moich oczach jesteś piękna pod każdym względem...

Dzięki jego słowom zawsze czułam się kochana i upragniona. Oparłam głowę na jego ramieniu.

- Natomiast twoja kocica jest upośledzona od urodzenia - podjął. - Zgodnie z zasadą inteligentnego dopasowania łączy się najlepsze egzemplarze gatunku, aby ich potomstwo było najsilniejsze i najmądrzejsze, tworząc w ten sposób lepszy gatunek.

174

Dlatego to dobrze, że Cinnabar zejdzie z tego świata, nie przekazując swojej wady następnemu pokoleniu. Nie podobało mi się, że mówi tak o Cinnabar.

- Ale czytałam gdzieś, w jednej z książek, które mi pożyczyłeś, nie przypominam sobie tylko, w której... - zająknęłam się. - Czytałam tam coś o prawie przetrwania... Że najbardziej zdolne do przetrwania są nie najsilniejsze zwierzęta, ani nie najbardziej inteligentne, lecz te, które najłatwiej przystosowują się do nowych warunków. Nie zgadzasz się z tym?

- Nie - odrzekł, łagodnym ruchem odgarniając mi włosy z policzka i całując moją bliznę. - Nie mówmy jednak o tym teraz, dobrze?

Miałam ochotę spierać się z nim dalej, ale jeszcze mocniej pragnęłam, żeby dalej mnie całował.

- Dobrze - odszepnęłam, ponieważ moje ciało pragnęło go do bólu, przez cały czas.

Wiedziałam, że miną cztery albo może więcej dni, zanim znowu się zobaczymy.

- Dobrze - powtórzyłam szeptem.

Odwróciłam się twarzą do niego, tak, że moje usta zetknęły się z jego wargami i jednym ruchem zepchnęłam Cinnabar z kolan.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

- Madame? Oto Marrakesz, zgodnie z pani życzeniem. - W głosie Aziza brzmiała nuta zdumienia, - Nie jest pani zadowolona, że dotarliśmy do Marrakeszu?

Nie mogłam się zdobyć, żeby coś powiedzieć albo spojrzeć na niego. Patrzyłam przed siebie, bo właśnie zbliżaliśmy się do granic miasta. Droga wysadzana była rzędami wyniosłych palm, po obu stronach wykwiwały palmowe gaje. Mustafa prowadził w wielkim skupieniu, chociaż, podobnie jak większość mijających nas kierowców, stale naciskał klakson, najczęściej bez żadnego powodu i robił to z wyraźnym oburzeniem.

- Dokąd jedziemy? - zwróciłam się do niego. - Mustafa? Gdzie chcecie mnie zawieźć?

Nie dałam mu żadnych wyraźnych wskazówek, a jednak jechał tak, jakby doskonale znał cel podróży. Dało mi to poczucie pewnego bezpieczeństwa, bo nie miałam pojęcia, gdzie mogłabym się zatrzymać w Marrakeszu. Ponieważ Mustafa i Aziz zajmowali się wszystkimi sprawami związanymi z podróżą, mogłam tylko mieć nadzieję, że zrobią to i tutaj.

- Aziz? - odezwałam się, gdy Mustafa mnie zignorował. - Dokąd jedziemy?

- Do francuskiej dzielnicy, madame, La Ville Nouvelle. To nowa część miasta, w której są hotele dla cudzoziemców.

176

Zachodzące słońce pogłębiało czerwień długich parapetów na murach miasta. Nie miałam w głowie żadnego gotowego obrazu Marrakeszu, wiedziałam tylko, że wiele budynków wzniesiono z ciemnoczerwonej gliny, której tu nie brakowało, że istnieje nowsza dzielnica, założona przez Francuzów, gdzie mieszkał Etienne, i stare miasto. W La Ville Nouvelle mówiono po francusku, natomiast językiem starej części Marrakeszu był arabski, rzecz jasna.

Wszędzie rosło mnóstwo drzew - oliwnych, cytrynowych, granatu, migdałowych i pomarańczowych. Mimo zdenerwowania szybko dostrzegłam piękną, zieloną twarz La Ville Nouvelle z jej szerokimi bulwarami oraz małymi taksówkami, przemykającymi między wozami zaprzężonymi w osiołki i otwartymi powozami ciągniętymi przez białe konie. Nad murami ogrodów pieniły się jaskrawe kwiaty fuksji. Etienne opowiadał mi, że przed wiekami skonstruowano tu podziemną sieć przejść i cystern, ponieważ miasto od początku miało być ważną bazą, z której można było roztoczyć kontrolę nad całym regionem i szlakami handlowymi, łączącymi je z północnym Marokiem i Hiszpanią.

Patrzyłam na drzewa i kwiaty, pełna obaw, że wśród ludzkich twarzy nagle zobaczę Etienne'a. Zdawałam sobie sprawę, że moje lęki są nierozsądne i najwycyzajniej śmieszne, lecz mimo tego serce galopowało mi jak szalone.

Mustafa zatrzymał auto przed imponującym, eleganckim hotelem, otoczonym wysokimi, kołyszącymi się na wietrze palmami. „Hotel de la Palmeraie”, przeczytałam nierzucającą się w oczy nazwę, wykutą dyskretnie w kamieniu nad głównym wejściem. Zewnętrzny wystrój budynku utrzymany był w pięknym marokańskim stylu, przypominał jednak trochę hotel Continental w Tangerze i przywoływał skojarzenia z Europą. Ciemnoskóry mężczyzna w starannie wyprasowanej

czerwonej marynarce ze złocistym szamerunkiem i w czerwonym fezie ze złocistym chwaścikiem stał sztywno wyprostowany przy drzwiach.

Mustafa wyskoczył z samochodu i otworzył drzwi od mojej strony, zginając się w pas w ukłonie i zamaszystym gestem wskazując budynek, zupełnie jakby nagle przypomniał sobie o dobrych manierach.

- Hotel de la Palmeraie, madame! - oznajmił.

Kiedy wysiadłam, Aziz wyciągnął moje walizki i postawił je na ziemi. Portier w obszywanej złotem czerwieni pośpieszył ku nam i chwycił bagaż, kłaniając mi się nisko.

- Bienvenue, madame! - odezwał się. - Witamy w hotelu de la Palmeraie!

Z tymi słowami wniósł walizki po schodach i zniknął w środku budynku.

Otworzyłam torbę i wyjęłam uzgodnioną kwotę oraz napiwek. Dałam pieniądze Mustafie do ręki, a potem wręczyłam trochę franków Azizowi, który stał obok otwartych drzwi auta.

- Dziękuję, Aziz - powiedziałam. - W pełni doceniam twoją pomoc.

Pochylił głowę.

- De rien, madame, proszę bardzo, to nic takiego. Do widzenia, madame.

Gdy odwrócił się, aby zająć miejsce pasażera obok Mustafy, który lekko naciskał pedał gazu, wydobywając rytmiczne dźwięki z silnika, uświadomiłam sobie, że oto znowu zostaję sama w zupełnie obcym mieście.

Podobnie czułam się po przyjeździe do Marsylii, a potem do Tangeru, tyle że w tamtych miastach wiedziałam, że zatrzymam się na krótko, tylko żeby zorganizować sobie dalszą podróż. Teraz dotarłam do celu, byłam w Marrakeszu...

- Przenocujecie w Marrakeszu? - zapytałam.

Nie miałam pojęcia, dlaczego miałyby to mi robić jakąś różnicę. Ja zamierzałam spędzić noc tutaj, w tym wspaniałym hotelu we francuskiej dzielnicy, natomiast oni niewątpliwie zatrzymaliby się gdzie indziej, być może na terenie starego miasta.

- Nie, madame, jedziemy dalej. Może rano będziemy już w domu, w Settat. Myślę, że droga nie będzie trudna.

- Będziecie jechać całą noc?

- Tak, madame. - Aziz wszedł do auta i zamknął drzwi. - Do widzenia, madame!

Cofnęłam się.

- Do widzenia, Aziz, do widzenia, Mustafa! Dziękuję wam i życzę bezpiecznej podróży do domu...

- Inshallah! - wymamrotali obaj.

Odwrociłam się od samochodu, strzepując spódnicę, aby pozbyć się najgorszej warstwy brudu i usiłując wepchnąć rozwiane wiatrem włosy pod tkwiące w nich spinki. Kiedy podniosłam wzrok, chcąc pomachać odjeżdżającym, auto było już na końcu podjazdu. Uniosłam rękę, ale w tym samym momencie samochód skręcił w ruchliwą aleję i zaraz straciłam go z oczu.

Hotelowy concierge - niski mężczyzna ze złotym przednim zębem - przyglądał mi się uważnie, gdy zbliżałam się do lady recepcji. Jego wzrok powoli przesunął się z moich włosów na sukienkę i buty.

- Witamy panią - odezwał się, chociaż jego głos nie brzmiał szczególnie zachęcająco. - Pragnie pani zatrzymać się u nas?

- Tak, proszę...

Odwrocił książkę meldunkową i popchnął ją przez szeroki, lśniący blat w moją stronę.

179

- Naturalnie, madame, naturalnie! Proszę łaskawie złożyć tu podpis. - Szerokim gestem wręczył mi pióro.

Obserwując, jak wpisuję się do książki, lekko unióś brwi.

- Ach, mademoiselle - poprawił się. - Panna Osh... Przepraszam bardzo! Jak brzmi pani nazwisko? Przyjechała pani pociągiem?

- Nie. Przyjechałam samochodem z Tangeru, z kierowcą. Skinął głową i jego brwi powędrowały jeszcze wyżej.

- To trudna podróż, z całą pewnością - rzekł, podnosząc wzrok na moje włosy.

Nagle uświadomiłam sobie, jaka jestem brudna. Przez ostatnie dwa dni nie zmieniałam ubrania, spałam pod gołym niebem w bled i nie miałam się gdzie umyć. Teraz w pełni zdałam sobie sprawę, co musiał zrobić wiatr z moimi włosami.

- Tak.

- Jak długo zostanie pani u nas, mademoiselle? Spojrzałam na swój podpis i na wydrukowaną stronę dostrzegłam podaną cenę jednej doby w hotelu, która zdecydowanie przekraczała moje możliwości. Nie miałam jednak pojęcia, gdzie mogłabym się zatrzymać...

- Nie... Nie wiem - odparłam.

Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Jak pani sobie życzy, mademoiselle, jak pani sobie życzy! Chętnie będziemy gościć panią w hotelu de la Palmeraie jak długo pani zechce! Jestem monsieur Henri, do usług... Proszę zgłaszać mi wszelkie

swoje życzenia. Naszym celem jest spełnianie wszystkich pragnień naszych gości. Czy pozwoli pani, że zarezerwuję jej stolik na kolację? Podajemy ten posiłek do dziewiętej wieczorem.

Czy miałam ochotę na kolację? Czy byłam głodna? A może zamierzałam wybiec na ulicę i zacząć na ślepo szukać innego locum? Nie wiedziałam, co czuję. Otworzyłam usta,

180

żeby znowu powiedzieć, że nie wiem, lecz nagle dotarło do mnie, że przecież muszę jeść i spać, aby podtrzymać siły.

- Tak, dziękuję - odparłam. - Chętnie zjem kolację.

- O siódmej? Ósmej? O której zechce pani usiąść do stołu? Czekaj, z piórem uniesionym nad inną książką.

-Ja... O siódmej - zdecydowałam się. Zapisał, kiwając głową.

- Teraz pewnie chce pani udać się do swego pokoju, aby trochę odpocząć i odświeżyć się po męczącej podróży...

-Tak.

Podniósł rękę i kilka razy głośno strzelił palcami. Do recepcji natychmiast podbiegł chudy chłopak w takim samym uniformie jak portier przy drzwiach i chwycił moje walizki. Ruszyłam za nim po grubym, miękkim dywanie, którym wyłożony był hol. Czułam się dziwnie i nieswojo, chyba najbardziej niepewnie od chwili, kiedy zaledwie miesiąc temu opuściłam Albany.

Mój pokój był duży, z drewnianymi panelami na ścianach i olejnymi obrazami przedstawiającymi góry i marokańskie widoki w pozłacanych ramach. Biała narzuta na łóżku usiana była płatkami róż. Podniosłam jeden, czując w palcach jego satynową mięsistość, i przytknęłam go do nosa.

Łóżko zasypane różanymi płatkami. Coś takiego nigdy nie przyszłoby mi do głowy. Weszłam do łazienki i ujrzałam wypełnioną płatkami róży dużą srebrną misę na brzegu wanny. Puchate białe ręczniki poskładane były w kształty kwiatów i ptaków, na krześle leżał szlafrok z białego jedwabiu, na podłodze stały pantofle bez pięt z mięciutkiej białej skórki.

Wiedziałam, że będę musiała szybko znaleźć tańszy hotel, nie potrafiłam jednak martwić się tym w tej chwili. Postanowiłam spędzić tu noc, a rano, kiedy będę bardziej przytomna,

181

rozejrzeć się za innym miejscem. Napuściłam wody do wanny, wlałam trochę słodko pachnącego olejku z jednego z pojemników na szklanej półce nad umywalką, a potem sypnęłam garść różanych płatków na parującą powierzchnię. Ściany dookoła wanny wyłożone były lustrami.

Weszłam do ciepłej wody i oparłam się wygodnie. Moje dłonie i przeguby były znacznie ciemniejsze niż reszta ciała; odwróciłam głowę i przyjrzałam się sobie w lustrze. Twarz i szyję też miałam ciemne, wyraźnie opalone. Trzy dni podróży na słońcu i wietrze sprawiły, że moja cera zyskała zupełnie mi nieznaną odcień.

Znowu odchyliłam się do tyłu i objęłam spojrzeniem całe ciało. Kości bioder i miednicy sterczały, kolana wydawały się bardziej kościste niż kiedykolwiek.

Mój brzuch rysował się równą płaszczyzną pod ciepłą, pachnącą wodą.

Umyłam włosy i upięłam je, jeszcze wilgotne. Później włożyłam najlepszą sukienkę, tę ciemnozieloną w drobniutkie białe gałazki, w której dawno temu wybrałam się do gabinetu Etienne'a. Siegała mi do połowy łydki i miała bufiaste rękawy. Strzepnęłam kilka razy spódnicą, żeby choć trochę rozprostować zagniecenia i wyjęłam z walizki drugą parę butów. Były brzydkie, czarne, z pogrubioną prawą podeszwą, ale przynajmniej wolne od trudnej do usunięcia warstwy czerwonego pyłu.

Zeszłam do słabo oświetlonego holu, na środku łagodnie mamrotała duża fontanna. Tu także na powierzchni wody unosiły się płatki róż, a ściany pokrywały panele z drewna w rozmaitych odcieniach, od najjaśniejszego beżu po najciemniejszy mahoń, ułożonymi w przyjemny dla oka wzór. Drewno lśniło łagodnie w blasku świateł.

182

- Madame?

U mego boku jak spod ziemi wyrósł wysoki, szczupły chłopiec z pierwszym cieniem zarostu pod nosem, w czerwonym uniformie ze złotym szamerunkiem i białych bawełnianych rękawiczkach.

- Szuka pani jadalni?

- Tak - odparłam.

Wyciągnął ramię, a ja oparłam dłoń po wewnętrznej stronie jego łokcia. Ruszył szybkim krokiem, naturalnym dla wysokiego, długonogiego młodzieńca, lecz gdy wyczuł moje lekkie wahanie, przystanął i spojrzał na moje buty. Potem pochylił głowę, jakby w geście przeprosin lub zrozumienia, i znacznie zwolnił, tak że mogłam dotrzymać mu kroku.

W progu jadalni znowu przystanął i zniżonym głosem powiedział coś do szefa sali, również atrakcyjnego młodego człowieka. Włosy tego drugiego przyлизane były brylantyną; miał na sobie długi bordowy frak i białe rękawiczki.

- Pani nazwisko, madame? - spytał.

Kiedy odpowiedziałam, skinął głową chłopcu, na którego ramieniu wciąż opierałam rękę.

Rozejrzałam się po wielkiej sali jadalnej i od razu zrozumiałam, że jestem za mało elegancka. Wszyscy mężczyźni byli w ciemnych garniturach lub smokingach, większość kobiet w długich wieczorowych sukniach z satyny i złotej siatki, z włosami albo krótkimi i kręconymi, albo wymyślnie upiętymi, w przepięknych naszyjnikach i bransoletach.

Stałam w progu w mojej pogniecionej jedwabnej sukience, z wilgotnymi włosami wymykającymi się spod spinek i opadającymi na kołnierzyk wokół uszu. Czułam się potwornie niezgrabna i nieszykowna, i oczywiście świadoma, że wyglądam fatalnie. Mimo to prowadzący mnie młody człowiek rzucił mi zachwycający uśmiech spod kiełkujących wąsików.

- Proszę tędy, madame.

Jego uśmiech natchnął mnie wystarczającą pewnością siebie, żebym uniosła głowę i przeszła u jego boku przez salę. Patrzyłam prosto przed siebie, na ciemniejące niebo za otwartymi wysokimi oknami. Na szczęście chłopiec nie zostawił mnie wśród innych gości, ale podszedł ze mną do małego stolika z pojedynczym nakryciem, pod wychodzącym na ogród oknem. Podsunął mi krzesło, a ja z wdzięcznością opadłam na szerokie, obite bordowym aksamitem siedzenie. W jadalni rozbrzmiewał szmer rozmów i przyciszony śmiech, brzęk srebrnych sztućców o porcelanę i delikatne dźwięki harfy. Choć tu atmosfera była formalna i bardzo sztywna, gdzieś z daleka dobiegał stłumiony huk i rytmiczne bicie w bębny.

Napiłam się odrobinę wody mineralnej, której kelner natychmiast mi nalał do szklanki, z niezwykle obszernego menu wybrałam proste ratatouille i utkwiałam wzrok w oknie.

W zapadającym zmroku widziałam ciągnące się daleko szeregi drzew i wysokich, kwitnących krzewów z wijącymi się między nimi alejkami. W oddali ogród kończył się wysokim murem, porośniętym bugenwillą, a za nim rozpościerał się widok utrwalony na jednym z olejnych obrazów w moim pokoju - zwieńczone czapami śniegu szczyty Wysokiego Atlasu. Przesycone zapachem kwiatów powietrze przenikał wieczorny śpiew ptaków.

Miałam przed oczami tyle piękna, że na moment zupełnie zapomniałam, po co przyjechałam do Marrakeszu.

- Życzymy smacznego, madame - przywołał mnie do rzeczywistości cichy głos kelnera.

Postawił przede mną półmisek z malutkimi placuszkami. Wsunęłam jeden z nich do ust i poczułam smak zbliżony do castilla, której próbowałam w Tangerze. Do placków podano nieznanne mi warzywa. Dobiegający z zewnątrz hałas - rytmiczny,

przypominający bicie serca - przybrał szybsze tempo. Potoczyłam wzrokiem po sali, lecz nikt poza mną nie zwracał na to uwagi.

- Przepraszam - odezwałam się do siedzącej przy sąsiednim stoliku pary. - Co to za dźwięk?

Mężczyzna odłożył nóż i widelec.

- To z głównego placu w medynie, starym mieście Marrakeszu - odpowiedziała z brytyjskim akcentem. - Dżemma el Fna. Ciekawe miejsce... Rozumiem, że dopiero pani przyjechała?

-Tak.

- Z całą pewnością musi pani zwiedzić medynę w czasie swojej wizyty, doświadczyć tej szczególnej atmosfery. Ta część Marrakeszu, w której jesteśmy - La Ville Nouvelle - bardzo różni się od starego miasta. Jest całkowicie nowa, zbudowana już po przejściu kontroli przez Francuzów, ale Dżemma el Fna to... - Spojrzał na moje pojedyncze nakrycie, przeniósł wzrok na moją twarz. - Cóż, to największy suk w całym Maroku, założony wiele wieków temu. Nie radziłbym jednak zapuszczać się na teren

starego miasta bez eskorty... Proszę pozwolić, że przedstawimy się pani. - Wstał i złożył mi lekki, dystyngowany ukłon. - Jestem Clive Russell, a to moja żona.

Wyciągnął rękę w stronę wysokiej, smukłej kobiety o alabastrowej cerze. Na jej długiej i pięknej szyi wyraźnie odcinał się wąski sznur oprawionych w złoto rubinów.

Przedstawiłam się i pani Russel uprzejmie skinęła głową.

- Mój mąż ma rację, medyna robi wstrząsające wrażenie, a ten plac... Och, dzieją się tam najdziwniejsze rzeczy, takie, jakich nigdzie indziej nie widziałam! Węży i ich zaklinacze, agresywne małpy, połykacze ognia i szkła, obrzydliwi żebracy, którzy dostownie czepiają się ubrania zwiedzających. A na dodatek ci mężczyźni, przyglądający się kobietom takim wzrokiem,

185

że można dostać dreszczy! Byłam tam jeden raz i to w zupełności mi wystarczy, chociaż naturalnie towarzyszył mi pan Russel.

- Plac nazywa się Dżemma el Fna, czyli Zgromadzenie Zmarłych albo Tych, Którzy Odeszli, czy coś równie okropnego - podjął pan Russel, siadając. - Dawniej wystawiali tam na widok publiczny odcięte głowy przestępców, co służyło innym za ostrzeżenie, ale Francuzi położyli kres tym manifestacjom.

- Na szczęście! - wtrąciła pani Russel.

-Jak długo przebywają już państwo w Marrakeszu? - spytałam.

- Kilka tygodni - odparł pan Russel. - To dobra pora roku, bo teraz nie ma tu wielkich upałów. W przyszłym tygodniu wyjeżdżamy. Wybieramy się do Essourii, gdzie od morza zawsze wieje przyjemny wiatr. Była już pani tam?

Potrząsnęłam głową. Nazwa, którą wymienił, nieprzyjemnie mnie zaskoczyła - właśnie tam, w Essourii, utonął w falach Atlantyku Guillaume, brat Etienne'a.

- To urocza nadmorska miejscowość - dodała pani Russel. - Absolutnie czarująca! Słynie z rzeźb w drewnie tui oraz mebli. Zapach wykonanych z tui sprzętów potrafi wypełnić cały dom, naprawdę! Mam nadzieję, że uda mi się znaleźć jakiś zgrabny mały stolik do domu... Jak podobają się pani wnętrza naszego hotelu? Ja czuję się tutaj jak w pałacu jakiegoś paszy.

- Czy przypadkiem w czasie swojego pobytu nie spotkali tu państwo doktora Duvergera? - zagadnęłam, nie odpowiadając na pytanie pani Russel.

Było dla mnie jasne, że w hotelu mieszkało mnóstwo bogatych cudzoziemców, więc może Etienne także się tu zatrzymał, może nawet nadal tu mieszkał. Serce mocniej mi zabiło i szybko ogarnęłam wzrokiem salę.

186

- Jak nazywał się ten lekarz, którego poznaliśmy w pociągu? - zapytała pani Russel męża.

Pan Russel pokręcił głową.

- Doktor Willows. Przykro mi, nie znamy doktora Duvergera! Jeżeli sądzi pani, że może tu mieszkać, trzeba zapytać w recepcji.

- Dziękuję - odparłam. - Na pewno to zrobię!

W ogóle nie przyszło mi do głowy, że mogłabym spytać pompatycznego monsieur Henriego, czy w hotelu ostatnio zatrzymywał się doktor Duverger. Jak mogłam o tym nie pomyśleć! Najwyraźniej zaraz po przyjeździe byłam w stanie szoku, może zresztą nadal nie otrząsnęłam się z niego...

- Ten ogród... - wykonałam ruch w kierunku okna.

- Dawno temu był tu park czy coś w tym rodzaju - odezwała się pani Russel, nie dając mi szansy dokończyć. - W całym Marrakeszu są takie piękne ogrody, za murami medyny. Podobno zgodnie z tutejszą tradycją panujący sułtan dawał każdemu ze swoich synów w prezencie ślubnym dom z ogrodem poza medyną i dużo francuskich hoteli zbudowano właśnie na terenie tych królewskich ogrodów. Ten zajmuje ogromny obszar, dobre kilka akrów. Koniecznie powinna pani pójść tam na spacer, trochę późniejszym wieczorem, kiedy kwiaty mocniej pachną, a temperatura spada. Ogród jest otoczony murem, więc to całkiem bezpieczne...

Kiwnęłam głową.

- Dziękuję za radę.

- A na deser szczerze polecam napoleonkę - powiedział pan Russel, lekko odwracając się na krześle i dając mi do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. - Jest świetna, hotel ma doskonałego francuskiego cukiernika... Nam zawsze bardzo smakuje, prawda, kochanie?

187

Dokończyłam kolację, która wyraźnie ciążyła mi na żołądku, chociaż była lekka i przez duże oszklone drzwi wyszłam do ogrodu. Wielu gości tańczyło teraz w jednej z sal balowych, które mijalam w drodze do jadalni, i puste ogrodowe ścieżki oświetlały płonące pochodnie. Wśród różanych krzewów, obsypanych intensywnie czerwonymi kwiatami, rosły drzewka pomarańczowe i cytrynowe. Płatki róż, których używano do dekoracji hotelowych pokoi, niewątpliwie pochodziły właśnie z tego ogrodu. Wśród liści palm, którymi obramowane były ścieżki, gnieździły się słowiki i synogarlice, wszędzie krzewiły się kępy słodko pachnącej mimozy oraz innych roślin, zaskakująco podobnych do tych rosnących w moim własnym ogródku - geranium, szaławii, bratków, lewkonii, dalii i innych.

Nagle wspomnienia domu i całego wcześniejszego życia wydały mi się strasznie odległe, zupełnie jakby tamta kobieta, tak szczelnie odgradzona od wszystkiego poza Juniper Road, nie miała ze mną praktycznie nic wspólnego.

Pod tutejszym, nowym dla mnie niebem przestałam być tamtą Sidonie O'Shea. Odkąd wyjechałam z Albany, rzeczy, które widziałam, słyszałam, czułam, smakowałam, których dotykałam zaskakiwały mnie i wprawiały w oszołomienie. Niektóre były piękne, inne przerażające, jeszcze inne niepokojące, poruszające lub przeciwnie, sprowadzające głęboki spokój. Chwilami wydawało mi się, że wszystkie

nowe widoki i sceny są jak fotografie w książce czy albumie, obrazy zatrzymane w moim umyśle. Mogłam oglądać je w taki sposób, jakbym powoli przewracała kartki.

Szybko i czujnie odsunęłam na bok obrazy pokoju hotelowego w Marsylii. Było jeszcze za wcześnie, aby na nie patrzeć, o wiele za wcześnie.

Cały ogrom wyzwania, z którym chciałam się zmierzyć, przebywając tak wielką odległość, leżał jeszcze przede mną.

188

Sama myśl o tym, że być może będę musiała stawić mu czoło już jutro, zdenerwowała mnie tak bardzo, że musiałam usiąść na jednej z ławek.

Po chwili podniosłam wzrok na nocne niebo, słuchając cichego szelestu poruszanych lekkim wiatrem palm i dalekich, choć natrętnych odgłosów z targowego placu. Zgromadzenie Zmarłych... Nagle zdrząłam, jakby ktoś przyłożył mi do pleców lodowatą dłoń.

Zaraz potem pośpiesznie ruszyłam ścieżką do hotelu, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w cichym, bezpiecznym pokoju.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Dopiero na początku lutego, jedenaście miesięcy po śmierci ojca, uświadomiłam sobie, co się stało. Etienne i ja byliśmy wtedy kochankami już od pięciu miesięcy.

Zaczekałam jeszcze jeden tydzień, żeby mieć całkowitą pewność, zanim podzielę się z nim tą wiadomością. Nie wiedziałam, jak zareaguje, bo zawsze mówił, że nie powinnam niepokoić się ewentualnymi konsekwencjami naszych zbliżeń. Rozumiałam, o co mu chodzi - był lekarzem i niewątpliwie potrafił zapobiegać niechcianej ciąży. A jednak, mimo jego zapewnień, środki ostrożności zawiodły.

Byłam podekscytowana i zdenerwowana i wciąż czekałam na odpowiednią chwilę, aby powiedzieć mu o swoim stanie. Leżeliśmy w moim łóżku, zwróceni twarzami do siebie, jeszcze rozgrzani, chociaż nasz oddech odzyskał już normalne tempo. Uznałam, że to doskonały moment, czas szczerości i czułości.

- Etienne, mam ci coś do powiedzenia - szepnęłam, z uśmiechem przesuając dłońią po jego nagiej piersi.

Wychylił się ku mnie i pocałował mnie w czoło.

- Co takiego, Sido? - wymamrotał sennie.

Nerwowo oblizałam wargi i może właśnie ta chwila wahania skłoniła go, by oprzeć głowę na zgiętej w łokciu ręce i uważnie zbadać wzrokiem moją twarz.

- Co masz mi do powiedzenia? - zapytał. - Wyglądasz na bardzo zadowoloną, ale i onieśmiałą.

Kiwnęłam głową i ujęłam jego dłoń.

-Wiem, że nie spodziewasz się tego, ale... - Prawie nie mogłam dokończyć, ogarnięta radością i zdumieniem. - Chodzi o dziecko, kochany... Spodziewam się dziecka.

Ze wstrzymanym oddechem czekałam na jego reakcję, która okazała się zupełnie inna, niż przypuszczałam. Jego twarz, oświetlona bladymi promieniami księżycowego światła, straciła wszelki wyraz, skóra przybrała barwę i wygląd wyblakłej skamieliny. Wyrwał dłoń z mojego uścisku i usiadł, patrząc na mnie z lekko rozchylonymi wargami.

- Etienne? - Usiadłam, żeby lepiej go widzieć. - Jesteś pewna? - spytał.

Cinnabar, wciąż zdumiewająco sprężysta i sprawna, jak na swój wiek, wskoczyła na łóżko tuż obok niego. Etienne zepchnął ją na podłogę szorstkim, gwałtownym gestem, zupełnie dla niego nietypowym. Usłyszałam stłumione sierścią uderzenie ciała o pokrytą dywanem podłogę i pomyślałam, że kotka zaraz z oburzeniem poruszy ogonem i schowa się pod łóżkiem.

Skinęłam głową.

- Ale przecież... Przecież używam... Jak to... Używam la capote, gumy, prezerwatywy... Zawsze jej używam.

Nadal był przerażająco blady i z całkowicie niezrozumiałego dla mnie powodu nagle przeszedł na angielski. Nie mogłam otrząsnąć się z oszołomienia.

- Etienne? - wykrztusiłam w końcu, czując, jak narasta we mnie jakieś okropne, trudne do określenia uczucie. - Etienne? Nie jesteś... Nie uważasz, że...

Przerwałam, nie mając pojęcia, co powiedzieć dalej. Patrzył w rozciągającą się za oknem ciemność, ponad moją głową, jakby nie był w stanie spojrzeć mi w oczy.

- Byłaś u lekarza?

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się plecami do mnie i sięgnął po buteleczkę z pigułkami, stojącą na nocnej szafce. Mówił, że cierpi na bóle głowy, miewał także trudności z zasypianiem. Nie znosiłam, gdy brał tabletki nasenne, a nie wziął ich tylko w dwie pierwsze noce, które ze mną spędził - chociaż żadne z nas nie zapadło wtedy w głęboki sen, stało się tak pewnie dlatego, że nie byliśmy przyzwyczajeni do spania razem. Byłam tak wyczulona na dotyk Etienne'a i tak przepętniona radosnym zdziwieniem, że mam go tuż obok siebie, że najdosłowniej nie mogłam nacieszyć się kontaktem z jego ciałem, gdy przewracał się na drugi bok i zmieniał pozycję w moim wąskim łóżku. Później zawsze już brał pigułki i spał ciężkim, pustym snem, w ogóle się nie poruszając; czasami drgał mu tylko mięsień szczęki i panującą w pokoju ciszę zakłócało lekkie zgrzytanie jego trzonowych zębów. Taki nienaturalny, wywołany lekami sen Etienne budził we mnie uczucie osamotnienia i nie zmieniał tego nawet fakt, że przecież leżałam u jego boku.

Otworzył buteleczkę i wysypał trzy pigułki na dłoń. Lekarstwo przeciw bólowi głowy - nie zażywałby przecież nasennego teraz, nie po tym, co mu przed chwilą powiedziałam. Wrzucił tabletki do ust i popił resztką bourbona ze szklaneczki.

Nie wiedziałam, co było gorsze: patrzeć, jak zażywa lekarstwo i pije, czy czuć na sobie jego spojrzenie.

- Pytam, czy byłeś u lekarza! - powtórzył, odwracając się twarzą do mnie. Wpatrywał się w okno nad moją głową i mówił w tym obco brzmiącym angielskim.

- Nie, ale wiem, że mam rację - odparłam. - Znam swoje ciało i nie mylę się co do objawów.

Gdy w końcu spojrzał na mnie, żołądek skurczył mi się ze zdenerwowania.

192

- Nie - rzekł głucho. - C'est impossible! Może jest jakieś inne wyjaśnienie. W czwartek mam późny... Jak to się nazywa... Późny dyżur. Rano zawiozę cię do kliniki, którą znam, w sąsiednim... W sąsiednim okręgu. Tam ktoś cię zbada.

Jego język potykał się na prawie każdym słowie, zupełnie jakby zapomniał poprawnego, dość formalnego angielskiego, którym posługiwał się w szpitalu i w rozmowach ze mną, dopóki nie przeszliśmy na francuski.

- Tam, nie w moim szpitalu - dodał.

Ten dziwny sposób mówienia, w połączeniu z pustym, obojętnym wzrokiem sprawiły, że nagle zrobiło mi się niedobrze. Nie tak to sobie wyobrażałam, kiedy w ciągu ostatnich dwóch tygodni planowałam, w jaki sposób przekażę mu tę niezwykłą nowinę.

Etienne był mężczyzną - jedynym mężczyzną - któremu się oddałam. Połączyłam swoje życie z jego życiem. Zanim pojawił się na mojej drodze, zakładałam i przyjmowałam z góry, że dożyję końca moich dni w samotności. Naturalnie obietnica, że będę żyła w czystości, złożona we wczesnej młodości Bogu i Dziewicy Maryi, była młodzieńczym, naiwnym gestem, zrodzonym z ostatecznej desperacji. Miałam bardzo niewiele okazji, aby spotkać mężczyznę, na którego mogłabym spojrzeć z pewnym zainteresowaniem i nigdy wcześniej nie czułam, abym wydała się komuś pociągająca.

Aż do chwili, gdy spotkałam Etienne'a...

To on wzbogacił moje życie o wymiar, którego istnienia nawet nie podejrzewałam. Dopiero teraz zrozumiałam, że tamto wcześniejsze życie było szarym zmrokiem, pustym i pozbawionym barw.

A kiedy uświadomiłam sobie, że będziemy mieli dziecko... Musieliśmy się pobrać, nie było innego wyboru ani innej możliwości. Etienne był solidnym, uczciwym człowiekiem

193

z dobrej rodziny, więc ani przez chwilę nie wątpiłam, że niezwłocznie poprosi o moją rękę i weźmiemy ślub. Przez ostatnie tygodnie zaplanowałam sobie wszystko ze szczegółami, w radosnym uniesieniu, nad którym po prostu nie umiałam zapanować - kupimy nowe, większe łóżko i przeniesiemy się do większej sypialni, mój pokój przeznaczymy dla dziecka, farby i sztalugi ustawię w

rogu kuchni. Ale teraz... Z trudem przetknęłam ślinę i zdałam sobie sprawę, że chociaż dobiega już północ, zaraz zacznę wymiotować, podobnie jak zazwyczaj rano. Wybiegłam z pokoju i wyrzuciłam całą treść żołądka do umywalki, targana gwałtownymi spazmami.

Potem trzęsącymi się rękami umyłam twarz, wypłukałam usta i wróciłam do sypialni. Etienne, już ubrany, siedział na krawędzi łóżka i wiązał buty. Popatrzył na mnie z tak trudnym do odczytania wyrazem twarzy, że w jednej chwili ogarnęło mnie uczucie bardzo zbliżone do strachu.

Poderwałam dłoń do ust.

Etienne wstał.

- Przepraszam cię, Sidonie - powiedział po francusku. - To po prostu... Po prostu jestem w szoku. Muszę się spokojnie zastanowić. Nie czuj się urażona.

„Nie czuj się urażona?”. Jak mogłam nie poczuć się urażona, więcej, głęboko zraniona jego reakcją?!

- Nie zostaniesz ze mną na noc? - odezwałam się niepewnie. - Proszę...

Rozpaczliwie pragnęłam poczuć ciepły uścisk jego ramion. Zadrzałam, trochę z zimna, bo miałam na sobie tylko lekką nocną koszulę, ale głównie z niepokoju. Etienne nie objął mnie, nawet do mnie nie podszedł. Stałam w progu, a on obok łóżka. Dzieliło nas zaledwie parę metrów, miałam jednak wrażenie, że jest to co najmniej kilometr.

194

- Przyjadę w czwartek rano, o dziewiątej, i zabiorę cię do kliniki. Na badanie...

- Ale przecież... Przecież ty jesteś lekarzem!

- To co innego - powiedział. - Lekarz nie leczy swoich... Nie powinien leczyć ani diagnozować osób, które są mu bliskie.

Podszedł bliżej. Nie mógł tak po prostu wyjść z pokoju, bo przecież stałam w progu. Nie odsunęłam się, żeby zrobić mu miejsce.

- Etienne... - Położyłam dłonie na jego ramionach.

Ze wszystkich sił starałam się nie wbijać palców w rękawy jego marynarki. Tak bardzo chciałam objąć go, zatrzymać przy sobie.

Wreszcie przyciągnął mnie do siebie, przytulił moją głowę do swojej piersi. Słyszałam bicie jego serca; łomotało zbyt szybko, jak gdyby biegł, zbyt szybko, zbyt szybko, . Po paru sekundach odsunął się delikatnie, pogładził moje włosy i odszedł.

Pozostała część tej długiej nocy i cała środa ciągnęły się w nieskończoność, przepełnione lękiem i niepewnością. Nie pozwalałam sobie myśleć, że być może myliłam się co do uczuć, jakie żywił do mnie Etienne. Nie mogłam sobie na to pozwolić. Nie mogłam się aż tak pomylić.

Drogę do kliniki, gdzie potwierdzono, że jestem w ciąży, odbyliśmy w prawie kompletnym milczeniu. Już sama ta podróż była wystarczająco okropna, więc kiedy znaleźliśmy się na obrzeżach Albany, nie wytrzymałam.

- I co, Etienne?

Chwilę czekałam, pragnąc, by powiedział cokolwiek, co mogłoby mnie pocieszyć.

- Wiem, że było to zaskoczenie, dla nas obojga, ale może powinniśmy potraktować tę nowinę jako zrzędzenie losu.

195

Z wzrokiem utkwionym w przedniej szybie auta zacisnął palce na kierownicy tak mocno, że zbieła mu knykcie.

- Chcesz powiedzieć, że wierzysz w coś takiego jak przeznaczenie, Sidonie?

- Nie jestem pewna, ale... Ale chociaż zupełnie nas to zaskoczyło... takie rzeczy po prostu się zdarzają, naprawdę! Zdarzają się...

Zabrakło mi słów. Oczywiście, wiedziałam, jakiej reakcji oczekiwałam i co chciałam usłyszeć. Chciałam, żeby uśmiechnął się do mnie, żeby powiedział, że to dziecko będzie naszą wspólną radością. Żeby powiedział, teraz, natychmiast: „Wyjdź za mnie, Sidonie! Weźmiemy ślub i razem pójdziemy dalej przez życie, razem z naszym dzieckiem! Z naszymi dziećmi...”. W ostatnich tygodniach, kiedy wiedziałam już ponad wszelką wątpliwość, że noszę pod sercem dziecko, przed oczami przemykały mi sceny, których wcześniej nigdy nie widziałam jako części mojego życia. Etienne i ja, bawiący się z dzieckiem na porośniętym miękką trawą zboczach w letni dzień. Wigilia Bożego Narodzenia, z pięknie udekorowaną choinką i opakowanymi w kolorowy papier prezentami, malowanymi lalkami albo konikami na biegunach, ślicznymi sukieneczkami albo małutkimi kamizelkami i spodenkami. Niepewne pierwsze kroki, urodzinowe przyjęcia, pierwszy dzień w szkole...

Stworzyłam portret samej siebie jako kobiety w tradycyjnej roli, z mężem i dziećmi. Ja, żona doktora, matka jego dzieci. Ta wizja przesłoniła mi cały świat i wydawała się tak bliska, w zasięgu ręki.

Teraz, w panującym w samochodzie milczeniu, z uczuciem bliskim desperacji uświadomiłam sobie, że pragnęłam tego daru od losu bardziej niż czegokolwiek innego. Nagle pomyślałam o błękitnym motylu, którego skrzydła drżały, gdy lekko przysiadł na kwiecie dzikiego łubinu.

196

Etienne zjechał na bok drogi, zgasił silnik i utkwiał wzrok w przedniej szybie. Płatki śniegu opadały powoli i łagodnie, krawędzie szosy przed nami i ciemne, nagie gałęzie drzew pokrywały się bielą i traciły ostrość.

- Przykro mi, Sidonie - odezwał się trudnym do odczytania tonem. - Wiem, że nie zachowuję się tak, jak miałaś nadzieję.

Przez boczne okno przyglądałam się, jak spod śniegu wyzierają źdźbła zeszłorocznej trawy, kruche i poóółkłe. Czułam się zupełnie zagubiona. Czy Etienne nie chciał mieć rodziny? „Nie chcesz dziecka?“, chciałam zapytać. „Nie chcesz mieć ze mną dziecka? Nie chcesz ożenić się ze mną? Zostać moim mężem i ojcem naszego małaństwa?“. W moim sercu szalała burza uczuć - oszołomienie, smutek, rozczarowanie i gniew, tak, także gniew, wszystkie one połączyły się w migoczącą falę mrocznych barw.

Popatrzyłam na niego.

- Więc co zrobimy? - powiedziałam wolno, wyraźnie, cichym, opanowanym głosem. - Wiem, że tego nie planowaliśmy, ale... Ale ja chcę urodzić to dziecko. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek dotąd.

I szybko zacisnęłam wargi, ponieważ chciałam powiedzieć: „Ciebie także pragnę całym sercem! I chcę, żebyś ty pragnął mnie tak samo mocno!“.

Nie chciałam żebrać. Nie mogłam sobie na to pozwolić.

Spojrzał na mnie w końcu, pierwszy raz od wyjścia z kliniki, i nagle, z jakiegoś powodu, poczułam litość. Teraz już wiedziałam, jak musiał wyglądać jako mały chłopiec, niepewny i przestraszony.

Przez głowę przemknęła mi myśl, że może tak właśnie wyglądał, kiedy dowiedział się o tragicznej śmierci brata. I z powodu tego wyrazu na jego twarzy byłam w stanie otrząsnąć się

197

z przygnębienia i przemówić do niego spokojniej i rozsądniej, niż mogłabym to zrobić jeszcze parę sekund wcześniej.

- Nie jesteś mi nic winien, Etienne - odezwałam się. - Nie uwiodłeś mnie. Wiedziałam, co robię... - Serce biło mi jak szalone. - Jesteś wolny i jeżeli chcesz, możesz odejść.

Były to odważne, nieprawdziwe słowa. Nie te o uwiedzeniu - ta część była zgodna z prawdą. Blefem było otwarte wyznanie, że nie musi ze mną być, że może mnie zostawić. Że nie musi się ze mną żenić.

To był karkołomny blef, bo nie miałam pojęcia, co zrobiłabym, gdyby Etienne powiedział: „Tak, masz rację, Sidonie, rzeczywiście powinniśmy się rozstać... Z pewnością tak będzie najlepiej!“.

Co bym wtedy zrobiła? Nie wiedziałam kompletnie nic o dzieciach, nigdy nie trzymałam nawet żadnego na rękach. A co z moim topniejącym kontem bankowym? Jak utrzymałabym dziecko? Ujrzałam siebie, pochyloną nad maszyną do szycia, jak moja matka. Uświadomiłam sobie, że sama nie potrafiłabym zapewnić dziecku najbardziej potrzebnych rzeczy. W tej przeciągającej się, zimnej ciszy próbowałam wyobrazić sobie swoje życie w domu przy Juniper Street razem z nieślubnym dzieckiem. I zobaczyłam siebie, starzejącą się samotnicę, ciemną plamę na nieposzlakowanej opinii lokalnej społeczności, matkę dziecka bez ojca... Czy mogłabym spokojnie patrzeć, jak to dziecko spotyka się z pogardą i niechęcią, wyłącznie z powodu moich grzechów?

- Naprawdę masz o mnie taką marną opinię, Sidonie? - odezwał się w końcu.

Sięgnął po moją dłoń i podniósł ją z miejsca, gdzie leżała między nami na siedzeniu auta. Jego zimne palce zamknęły się luźno wokół moich.

Spojrzałam na jego rękę, trzymającą moją w tak nienaturalny, sztywny sposób.

- Weźmiemy ślub, oczywiście - powiedział zachrypniętym głosem, jakby nie mógł wydobyć słów z zaciśniętego gardła.

Nagle jego twarz złagodniała i drugą dłonią delikatnie i ostrożnie ujął mój podbródek.

- Oczywiście, ma chere Sido... - dodał.

Z trudem stłumiłam szloch, do oczu napłynęły mi gorące łzy, łzy ulgi. Etienne przyciągnął mnie do siebie.

Rozpłakałam się z twarzą wtuloną w klapę jego płaszcza.

Jednak mnie kocha, myślałam. Ożeni się ze mną! Nie były to takie oświadczyzny, o jakich marzyłam, ale wyglądało na to, że wszystko będzie w porządku.

Odprowadził mnie do drzwi i obiecał, że wpadnie za trzy dni, w swój następny wolny od dyżuru dzień, abyśmy mogli omówić nasze plany. Ślub mieliśmy wziąć za kilka tygodni w miejskim ratuszu, ponieważ czekanie na ślubne zapowiedzi w kościele - oboje byliśmy katolikami - trwałoby zbyt długo.

Uśmiechnął się; był to ostrożny, słaby uśmiech, ale wszystkie moje obawy rozwiały się w jednej chwili.

- Chcesz mieć pierścionek zaręczynowy, Sidonie? - zapytał. - Mam sprawić ci niespodziankę i sam go wybrać?

To był on, dawny Etienne, mój Etienne! Przeżył szok i musiał mieć trochę czasu, aby się z niego otrząsnąć, to wszystko.

- Nie - uśmiechnęłam się w odpowiedzi. - Chcę mieć tylko ślubną obrączkę.

Przyłożył rękę do mojego brzucha, osłoniętego grubym paltem.

- Będiesz mu śpiewała „Dodo, enfant, doe. Widzę cię jako matkę... Słyszę, jak śpiewasz kołysankę naszemu dziecku.

Objęłam go i przylgnęłam głową do jego piersi. Moje oczy znowu napełniły się łzami. „Nasze dziecko”, powiedział. Nasze dziecko...

Etienne nie przyjechał. Spodziewałam się, że będzie u mnie zaraz po śniadaniu. Czekałam do wczesnego popołudnia, potem poszłam do pani Barlow i zapytałam, czy nie dzwonił doktor Duverger.

Nie dzwonił. Powiedziałam sobie, że pewnie musiał nagle pojechać do szpitala. Oczywiście, bo cóż innego mogłoby mu przeszkodzić? Czekałam cały wieczór, z każdą godziną przygniatał mnie coraz większy ciężar. W końcu się rozebrałam i położyłam, nie mogłam jednak zasnąć. A jeżeli Etienne miał w drodze wypadek? Przypomniałam sobie, jak kierownica z ogromną siłą uderzyła mnie w dłoń, jak

nagle uniosłam się w powietrze. Znowu widziałam mojego ojca, leżącego na zmrożonym polu, a po chwili jego ciało zamieniło się w ciało Etienne'a.

Czy ktoś ze szpitala przyjechałby mnie powiadomić, gdyby był ranny? Albo chory? Czy wspominał o mnie komuś w szpitalu?

Przewracałam się z boku na bok, to spocona, to zziębnięta. Cinnabar nie chciała leżeć na łóżku, więc wstałam i zaczęłam chodzić po domu. Kilka razy zwymiotowałam, nie wiem, czy z powodu ciąży, czy ze zdenerwowania.

Ranek wstał mroczny i śnieżny. O ósmej znowu byłam u państwa Barlow.

- Przykro mi, Sidonie, ale linia jest zerwana - powiedziała pani Barlow. - Telefon przestał działać już wieczorem, z powodu śniegu...

Z ulgą kiwnęłam głową. Oto i całe wyjaśnienie! Etienne

200

przez cały wieczór próbował dodzwonić się do mnie z wiadomością, dlaczego nie mógł przyjechać, aby zabrać mnie do Albany w sprawie związanych ze ślubem formalności, ale nie udało mu się.

- Może napiłabyś się kawy?-zaproponowała pani Barlow.- Mizernie wyglądasz, kochanie! Dobrze się czujesz?

Natychmiast ogarnęły mnie mdłości.

- Dziękuję, ale chyba lepiej wrócę do domu... Ja... Czekam na wiadomość od doktora Duvergera... Zawoła mnie pani, gdyby zadzwonił?

Usiadłam przy oknie w salonie. Nie mogłam czytać ani malować. Obserwowałam ulicę, na wypadek, gdyby Etienne przyjechał. Śnieg przestał padać i wyszło słońce. Zaśnieżoną ulicą przejechało kilka samochodów; za każdym razem wybiegałam na ganek, na lodowaty wiatr, głęboko przekonana, że to Etienne. I za każdym razem przypominałam sobie, że przecież tego dnia Etienne ma dyżur w szpitalu. Wolne miał poprzedniego dnia, więc raczej nie uda mu się wyrwać.

Wreszcie, tuż po drugiej, do drzwi zapukał pan Barlow i powiedział mi, że telefon znowu działa.

- A... A czy ktoś do mnie dzwonił?

Potrząsnęłam głową. Poszłam za nim przez podwórko takjak stałam, bez płaszcza i kapelusza. Pani Barlow stała przy stole, z rękami białymi od mąki. Przedramieniem odsunęła sobie z czoła opadające pasmo gęstych siwych włosów.

- Pan Barlow mówi, że telefon już działa - powiedziałam. Przytaknęła.

- Nie wiemy, kiedy naprawili linię, Mike podniósł słuchawkę parę minut temu i usłyszał normalny sygnał - odparła, ruchem głowy wskazując męża, który właśnie zdejmował buty.

Nie wiedzieli, kiedy telefon zaczął działać? Czy nie zdawali sobie sprawy, jakie miało to dla mnie znaczenie? Próbowałam

ukryć gniew. Rozumiałam, że to nie ich wina, ale byłam kompletnie rozstrojona.

- Czy mogę... Czy mogę skorzystać z telefonu?

- Oczywiście! - uśmiechnęła się pani Barlow. Powietrze w kuchni było ciepłe i pachnące. Za kafłową kuchnią stała duża misa przykryta ścierką, na desce do ciasta spoczywała kula ciasta.

- Robię drożdżowe z rodzynekami - powiedziała pani Barlow, zabierając się do ugniatania ciasta. - Kilka blach już upiekłam, weź sobie jedną, skarbie.

- Dziękuję. - Zdjęłam słuchawkę z haczyka i wyjęłam z kieszeni spódnicy kartkę z numerem szpitala.

Kiedy odezwała się centrala, poprosiłam o połączenie z doktorem Duvergerem. W słuchawce na moment zapadła cisza.

- Doktora Duvergera nie ma już w szpitalu - odparła kobieta. - Mogę połączyć panią z innym lekarzem?

- Nie ma go już w szpitalu? - powtórzyłam tępo. - Jak to?

Odwróciłam się plecami do pani Barlow. Z tyłu dobiegało mnie głucho dudnienie, gdy uderzała ciastem o stolnicę. W uszach mi szumiało i z trudem przełykałam ślinę. Odchrząknęłam.

- Kierujemy jego pacjentów do doktora Hilroya albo doktora Lane'a, proszę pani. Życzy sobie pani, abym umówiła ją na wizytę u jednego z nich?

Stałam nieruchomo, z ciężką czarną słuchawką przyciśniętą do ucha, z wargami dotykającymi zimnego ebonitu.

- Proszę pani?

Odwiesiłam słuchawkę, ale nie odwróciłam się. Uderzenia kulą ciasta o drewno to cichy, to zupełnie mnie ogłuszały.

- Sidonie? Nie zapomnij wziąć foremki... Wyszedłam z kuchni, cicho zamykając za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Miałam już na sobie płaszcz i buty, kiedy kilka minut później w tylnych drzwiach stanęła pani Barlow z owiniętym w czystą ściereczkę ciastem, które wydzielalo przyjemny drożdżowo owocowy aromat.

- Chciałam ci je przynieść, dopóki jest jeszcze ciepłe... Och, wychodzisz gdzieś?

Skinęłam głową.

- Wszystko w porządku, Sidonie?

- Tak - odparłam. - Nie, właściwie to nie... Etienne, to znaczy doktor Duverger, miał przyjechać tu wczoraj, ale...

- Cóż, lekarze są zawsze zajęci - odparła. - Na pewno jest jakiś powód...

- Ale ja... Ja martwię się, że coś mu się stało!

- I po co wymyślasz takie rzeczy? Dlatego, że nie przyjechał wtedy, kiedy obiecał? To nie powód do zmartwienia, kochanie! Daj mu dzień albo dwa...

Nie chciałam mówić pani Barlow, co przed chwilą usłyszałam od szpitalnej telefonistki. Stałam przed nią ze wzrokiem wbitym w ciasto, które nadal trzymała w wyciągniętych rękach.

Po paru sekundach postawiła foremkę na stole i lekko poklepała mnie po ręce.

203

- Daj mu trochę czasu, Sidonie! Na pewno przyjedzie, kiedy tylko będzie mógł! - Już w progu odwróciła się do mnie i z uśmiechem pokręciła głową. - Boże kochany, z każdym dniem stajesz się coraz bardziej podobna do matki.

Wstydziłam się prosić pana Barlow, żeby zawiózł mnie do szpitala, ponieważ wiedziałam, że zdaniem jego żony moje obawy o Etienne są zupełnie irracjonalne. Cóż, pani Barlow nie знаła całej mojej historii. Nie miałam wątpliwości, że Etienne spotkało coś złego. Nie obiecywałby mi przecież, że przyjedzie, tylko po to, aby później się nie pojawić. Szczególnie w takiej sytuacji, kiedy chodziło o sprawę tak ważną, jak załatwienie formalności związanych ze ślubem.

Poszłam do szpitala pieszo. Zajęło mi to półtorej godziny. Po obfitych opadach śniegu pogoda zrobiła się dziwnie łagodna jak na połowę lutego i zanim dotarłam na miejsce, trochę się spociłam.

W rejestracji znowu zapytałam o doktora Duvergera. W jakiś sposób miałam nadzieję, że moja fizyczna obecność w szpitalu spowoduje jego pojawienie się, a kiedy otrzymałam tę samą odpowiedź, że Etienne już tu nie pracuje, poprosiłam o rozmowę z którymś z jego kolegów. Bezskutecznie usiłowałam przypomnieć sobie nazwiska dwóch lekarzy, z którymi współpracował.

- Z doktorem Hilroyem albo Laneem - podsunęła rejestratorka.

- Tak... Czy mogłabym porozmawiać z jednym z nich? Kobieta przerzuciła kilka leżących przed nią kartek.

- Mam umówić panią na wizytę? Najbliższy wolny termin mam za tydzień, mogłabym umówić panią na przyszły poniedziałek.

- Nie, nie chcę umawiać się na wizytę - powiedziałam. -

204

Mam tylko krótkie pytanie do lekarza, na dodatek niezwiązane z medycyną!

Podniosła wzrok i spojrzała na mnie spod lekko ściągniętych brwi.

- Mam tylko krótkie pytanie - powtórzyłam, zirytowana, że muszę się tłumaczyć.

- W takim razie proszę usiąść. Doktor Hilroy zaraz kończy dyżur, poproszę go do pani.

Usiadłam, zdjęłam palto i otarłam czoło rękawiczką. Czułam się naprawdę fatalnie, spocona, zmęczona, chora. Wydawało mi się, że czekam już bardzo długo, kiedy w końcu w drzwiach stanął wysoki, siwowłosy mężczyzna.

- Jestem doktor Hilroy. - Podeszedł do mnie, zamieniwszy najpierw parę słów z rejestratorką. - W czym mogę pani pomóc?

Podniosłam się i wyjaśniłam, że spodziewałam się wiadomości od doktora Duvergera.

- Rozumiem, że jest pani jego pacjentką - rzekł. - Proszę się nie martwić, pani kartę przejmę ja albo doktor Lane.

Potrząsnęłam głową i odchrząknęłam.

- Prawdę mówiąc... Dawniej byłam pacjentką doktora Duvergera, ale teraz jesteśmy zaprzyjaźnieni... Blisko zaprzyjaźnieni - podkreśliłam. - Niepokoję się, co się z nim dzieje... Miał się ze mną skontaktować, jak już mówiłam, obawiam się, że przydarzyło mu się jakieś nieszczęście... - Miałam nadzieję, że nie sprawiam wrażenia aż tak poruszonej i zagubionej, jak się czułam. - Bardzo się martwię, to chyba dość naturalne...

Doktor Hilroy zmarszczył brwi.

-Jestem pewny, że doktor Duverger ma się jak najlepiej!

- Nie sądzi pan, że mogło go spotkać coś złego? Czy ktoś dowiadywał się, co się z nim dzieje?

205

- No, tego nie wiem, nie ma jednak powodu, aby podejrzewać... Proszę posłuchać, doktor Duverger faktycznie wyjechał miesiąc wcześniej, niż zamierzał, ale wszystko odbyło się zgodnie z naszymi zasadami pracy i...

- Miesiąc wcześniej? - przerwałam mu. - Co ma pan na myśli?

Przez twarz doktora Hilroya przemknął taki wyraz, jakby uświadomił sobie, że powiedział trochę za dużo. Potrząsnął głową.

- Czy doktor Duverger... - zaczęłam niepewnie. - Kiedy spodziewa się pan jego powrotu?

- Może zechce pani usiąść, pani?...

- Nie, dziękuję... Ale... Ale takie spontaniczne postępowanie wydaje mi się zupełnie nie w stylu Etienne'a, to znaczy doktora Duvergera, chyba się pan ze mną zgodzi. Wyjechał tak nagle? Na pewno coś się za tym kryje.

Doktor Hilroy spojrział na mnie spod oka, wyraźnie skrzępowany. Powiedziałam sobie, że czasami nawet w normalnych okolicznościach działam na ludzi w taki sposób.

- Jak już wspomniałem, skrócił swój roczny kontrakt tylko o miesiąc - powiedział. - Pracował tu jedynie na umowę zawartą na czas ograniczony.

Zamrugałam.

- Więc miał wyjechać w przyszłym miesiącu? Dokąd?

- Nie wiem, jakie miał plany, naprawdę. Szczerze mówiąc, nikt z nas nie poznał dobrze doktora Duvergera. Wcześniej nigdy nie mówił o swojej rodzinie, mogę tylko zakładać, że wszyscy mieszkają we Francji.

Skinęłam głową, starając się przyjąć do wiadomości i zrozumieć słowa doktora Hilroya. Rodzina Etienne'a? Przecież oni wszyscy nie żyli...

- Wyjechał do Francji?

206

Teraz doktor Hilroy skrzywił się lekko, wyraźnie zniecierpliwiony, i zerknął na zegarek.

- Naprawdę nie potrafię pani pomóc! Doktor Duverger powiedział nam tylko, że z powodów rodzinnych nie może dłużej zostać w Albany i musi wracać do domu...

Musi wracać do domu... Z powodów rodzinnych... Wydawało mi się, że powtórzyłam to tylko w myślach, ale musiałam zrobić to na głos, ponieważ lekarz popatrzył na mnie uważnie.

- Tak - powiedział. - Życzę pani miłego dnia.

- A więc... Więc nie zna pan żadnego sposobu, aby się z nim skontaktować? Przecież na pewno... Może zostawił adres? - Nie dbałam już, czy weźmie mnie za osobę zdesperowaną, czy nie, jego zdanie nie miało dla mnie najmniejszego znaczenia.

Doktor Hilroy nagle spuścił wzrok, a ja mimo woli podążyłam za jego spojrzeniem. Zobaczyłam swoje dłonie, mocno zaciśnięte na jego rękach. Puściłam go i cofnęłam się o krok. Mój rozmówca leciutko zakołysał się na palcach.

- Niestety nie - odrzekł.

Chyba wydałam jakiś dźwięk, może cichy okrzyk, a może gwałtownie wciągnęłam powietrze, sama nie wiem. Kiedy spojrzałam w oczy doktora Hilroya, ujrzałam swoje miniaturowe odbicie.

Miałam na sobie pierwszą z brzegu sukienkę, na jaką trafiła w szafie moja ręka, a moje włosy... Czy ja w ogóle się czesałam? Pamiętałam tylko, że poprzedniego wieczoru moja twarz w lustrze była bezbarwna i zapadnięta, teraz wyglądałam jak wariatka.

- Przykro mi - powiedział doktor Hilroy.

- Czy jest jeszcze coś, cokolwiek, co mógłby mi pan powiedzieć? - Usłyszałam błagalną nutę w moim głosie. - Zna pan może jego tutejszy adres? Wynajmował mieszkanie w jakimś pensjonacie w pobliżu szpitala, wiem tylko tyle.

Wiem tylko tyle. Moje własne słowa podkreślały, jak niewiele wiedziałam.

Doktor Hilroy zmarszczył brwi.

- Nie mam chyba prawa udzielać pani takich informacji.

- Nazywam się O'Shea. - Wyprostowałam się z dużym wysiłkiem.

Uświadomiłam sobie, że nie mogę zachowywać się w tak dziwaczny sposób - było oczywiste, że poważnie zaniepokoiłam doktora Hilroya. Wzięłam głęboki oddech.

- Panna Sidonie O'Shea - uzupełniłam znacznie spokojniejszym tonem. - Może pan zajrzeć do szpitalnej kartoteki. W zeszłym roku byłam pacjentką doktora Duvergera. Naprawdę nie rozumiem, co złego może się stać, jeżeli da mi pan jego tutejszy adres. Skoro doktor Duverger naprawdę wyjechał z Albany, to przecież nie ma już żadnego znaczenia, prawda?

Przyglądał mi się dłuższą chwilę.

- Proszę... - powiedziałam prawie szeptem.

Bez słowa potrząsnął głową, odwrócił się i podszedł do rejestracji. Przyciszonym głosem powiedział coś do siedzącej tam kobiety i spojrzał w moim kierunku. Potem ruchem ręki kazał mi podejść do lady. Po chwili rejestratorka wręczyła mi kawałek papieru z wypisanym adresem.

Pokoje, które wynajmował Etienne, znajdowały się w budynku dziesięć przecznic dalej. Powtarzałam sobie, że Etienne nadal tam jest, że wcale nie wyjechał z Albany. Nie zostawiłby mnie przecież samej, zwłaszcza teraz. Obiecał, że się pobierzemy. „Nasze dziecko” - powiedział.

Nie mógłby wyjechać do Francji ot, tak sobie, bez rozmowy ze mną, nie mówiąc mi, co się stało, o jakich powodach rodzinnych mówił w szpitalu. Nie mógłby nie powiedzieć mi, kiedy do mnie wróci.

Dom był wysoki i wąski, z dobrze utrzymanej czerwonej cegły, świeżo otynkowany na kremowo wokół okien i drzwi. W jednym z okien na parterze widniała kartka z napisem: „Umeblowane pokoje do wynajęcia”. Pośpiesznie powiedziałam sobie, że w tej kamienicy na pewno jest wiele pokoi i że ogłoszenie nie musi odnosić się do mieszkania Etienne'a.

Zapukałam do drzwi, które po chwili otworzyła starsza kobieta w starannie wyprasowanej brązowej sukni z kołnierzykiem z białej koronki.

- Przepraszam, ale pokoje nie zostały jeszcze porządnie wysprzątane - oświadczyła z miejsca. - Gdyby zechciała pani zajść do mnie za parę dni, pokażę...

- Nie - przerwałam jej i wzięłam głęboki oddech. - Widzi pani, jestem dobrą znajomą doktora Duvergera.

- Pan doktor już tu nie mieszka. - Chciała zamknąć drzwi, ale oparłam na nich rękę i powstrzymałam ją.

- Wiem - odparłam.

W ułamku sekundy ogarnęła mnie jeszcze większa panika niż w szpitalu.

- Wiem - powtórzyłam. - Ale... - Zajrzałam jej w twarz. -Ale doktor prosił mnie, żebym wpadła tu i sprawdziła, czy nie zostawił w mieszkaniu czarnej skórzanej teczki.

Nie miałam pojęcia, skąd wzięło się to zdanie, ale za wszelką cenę chciałam - więcej, musiałam - dostać się do mieszkania Etienne'a. Pragnęłam na własne oczy zobaczyć, że rzeczywiście go tu nie ma.

- Skórzanej teczki?

- Tak, czarnej, z mosiężnym zamkiem... Bardzo ją lubił, dlatego zależało mu, żebym sprawdziła. - Mocniej pchnęłam drzwi i weszłam do holu, gdzie w powietrzu unosił się zapach gotowanej wołowiny.

Etienne rzeczywiście miał taką teczkę, widziałam ją na tylnym siedzeniu

209

jego samochodu, kiedy zawiózł mnie do tamtej kliniki. Przynajmniej to było prawdą.

- Cóż, wcale mnie nie dziwi, że doktor czegoś zapomniał! - powiedziała kobieta. - Wyjeżdżał w takim pośpiechu.

- Proszę wskazać mi jego mieszkanie - poprosiłam, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. - Zajmę pani tylko krótką chwilę.

Odwróciła się, wysunęła szufladę kredensu i podała mi klucz.

- Pierwsze piętro, pierwsze drzwi po lewej - rzuciła. - Są tam dwa pokoje.

- Dziękuję. - Ruszyłam w stronę schodów. - Och, jeszcze jedno! - przystanąłam. - Czy doktor Duverger zostawił może adres, pod który należy kierować jego pocztę?

Staralam się mówić jak najspokojniej, lecz w uszach brzmiało mi mocne i szybkie bicie mojego oszalałego serca.

- Nie, zresztą i tak przez cały swój pobyt tutaj dostał najwyżej dwa listy. Oba z zagranicy.

Skinęłam głową i postawiłam stopę na pierwszym schodku.

- Jeden z nich przyszedł tuż przed jego wyjazdem - ciągnęła kobieta.

Spojrzałam na nią przez ramię.

- Też miał takie zagraniczne znaczki - dodała.

Powoli weszłam na górę. Musiałam przystanąć i ciężko oparłam się o pierwsze drzwi, starając się spokojnie oddychać. W końcu wyprostowałam się, włożyłam klucz do zamka i otworzyłam je.

Roleta w pierwszym pokoju była zaciągnięta, powietrze duszne, pachnące kurzem. Stała tu kanapa, mały stolik z dwoma krzesłami i solidne biurko z fotelem o odchylanym do tyłu oparciu. Na blacie biurka leżał stos kartek. Zamknęłam drzwi,

210

podeszłam do okna i podciągnęłam roletę. Pokój zalało blade światło, w którego bezbarwnych smugach tańczyły drobinki kurzu. Z trudem udało mi się uchylić lufcik i wpuścić do środka trochę świeżego powietrza. Lekki powiew wiatru poruszył papiery na biurku.

Przez otwarte drzwi widziałam stojące w sąsiednim pokoju gładko zaścielone łóżko, przykryte grubo tkaną narzutą.

Usiadłam na fotelu przy biurku i drżącymi palcami zaczęłam przerzucać kartki, były to jednak tylko medyczne opisy i komentarze na temat chorób gardła. Otworzyłam szufladę po prawej stronie - nie było w niej nic poza okularami. Wzięłam je do ręki i przesunęłam palcem po wąskiej oprawce. Wyobraziłam sobie siedzącego na moim miejscu Etienne'a, jednym palcem postukującego w zamyśleniu w grzbiet okularów i pogrążonego w lekturze.

- Etienne! - wyszeptalam. - Gdzie jesteś? Co się z tobą dzieje?

Położyłam okulary na biurku i powoli sprawdziłam pozostałe szuflady. Nie było w nich nic poza zwykłymi drobiazgami, kilkoma spinaczami, do połowy pustą buteleczką z atramentem, ołówkami z pogryzionymi końcami.

Zajrzałam pod biurko. Stał tam kosz na śmieci, w którym znalazłam kawałek pogniecionego papieru i małą buteleczkę po pigułkach. Rozprostowałam papier, ale było to tylko opakowanie po miętówkach. Buteleczka opatrzona była karteczką z długą i niemożliwą do wymówienia nazwą leku: „oxazolidinedione”, oraz nazwiskiem Etienne'a. Rozpoznawałam buteleczki, które zawierały jego tabletki przeciw bólowi głowy, prosty środek przeciwbólowy, jak mówił, a także te z pigułkami na sen. Był jeszcze jeden lek, który czasami przyjmował rano, kiedy jechał ode mnie do szpitala. „Pomagają mi zachować przytomność umysłu przez cały długi dzień”, mawiał

211

niedbale. Jednak takiej buteleczki jak ta nigdy wcześniej nie widziałam.

Włożyłam okulary i buteleczkę do torebki. Musiałam mieć przy sobie coś, co do niego należało, po prostu musiałam. Odchyliłam się do tyłu i zamknęłam oczy, czując, jak ogarnia mnie fala nagłego znużenia i rozpacz.

Chciałam wracać do domu, wiedziałam jednak, że najpierw muszę pójść do drugiego pokoju. Kiedy stanęłam w drzwiach, poczułam uderzenie prądu chłodnego powietrza, które wdzierało się do środka przez leciutko uchylony lufcik. Tutaj było tylko łóżko, komoda i szafa. Zajrzałam do wszystkich szuflad. Były zupełnie puste, podobnie jak szafa. Gdy odwróciłam się już, aby wyjść, kątem oka zauważyłam leżącą na dnie szafy książkę. Był to album z reprodukcjami sławnych amerykańskich akwarelistów, który podarowała mu na Boże Narodzenie. Wiele razy mówił, że brakuje mu wiedzy o drugiej stronie życia, o sztuce, i że bardzo chciałby ją poznać.

Z jakiegoś powodu widok tej pozostawionej, porzuconej książki napełnił mnie przytłaczającym smutkiem i zalem. Osunęłam się na kolana, wzięłam ją w dłonie i lekko pogładziłam obwolutę. U góry pomiędzy kartek wysuwał się kawałek papieru, który z początku wzięłam za zakładkę. Otworzyłam album w założonym miejscu i ujrzałam kartkę, bardzo cienką i pokrytą pismem.

Wciąż na kolanach, zsunęłam książkę na podłogę i rozłożyłam kartkę. Była pognieciona, jakby ktoś zmiął ją w dłoni i potem rozprostował. Drobne, pisane wążutką stalówką słowa po francusku, delikatny charakter pisma, który wskazywał na kobiecą rękę.

Natychmiast spojrzałam na podpis - było to imię, imię kobiety.

212

Trzymałam list w obu dłoniach. Krew pulsowała mi w uszach, podobnie jak wcześniej na schodach, słyszałam swój płytki, przyspieszony oddech. Czułam wilgoć materiału sukienki pod pachami i na plecach, mimo panującego w pokoju chłodu wełna kleiła mi się do skóry.

3 listopada 1929 roku, Marrakesz.

Najdroższy Etienne,

Znowu do ciebie piszę. Chociaż nie odpowiedziałeś na żaden z moich wcześniejszych listów, jeszcze raz, jeszcze żarliwiej, błagam cię, abyś nas nie zostawiał. Nigdy nie porzuciłam nadziei, że po tak długim okresie - minęło już ponad siedem lat od twojego wyjazdu z domu - znajdziesz w swoim sercu, w swoim tak dobrym, czułym i kochającym sercu, dość siły, aby mi wybaczyć.

Nigdy się nie poddam, mój kochany bracie. Proszę cię, Etienne, wróć do domu, do mnie i do Marrakeszu.

Manon.

Cienki niczym łuska cebuli papier w moim ręku dygotał jak na wietrze.

Manon.

Wróć do domu, napisała. Do Marrakeszu.

Znowu spojrzałam na list. „Mój kochany bracie” - tak go nazwała.

"Minęło już ponad siedem lat". Manon była jego siostrą, ale gdy pytałam go o rodzinę, powiedział, że miał tylko brata, Guillaume'a, czyż nie? Nie mam nikogo, powiedział. W Marrakeszu nie ma nikogo i nic, do czego chciałbym wracać.

Za dużo tajemnic. Za dużo spraw, których nie rozumiałam. Czy miał na myśli właśnie ten list, gdy w szpitalu mówił

213

o powrocie do domu z powodów rodzinnych? Czy zostawił mnie bez jednego słowa, czy porzucił mnie jak tę nieszczęsną książkę, z powodu swojej siostry?

- Znalazła pani tę teczkę? - usłyszałam nagle. Odwróciłam głowę i dostrzegłam parę solidnych sznurowanych butów. Podniosłam wzrok.

Kobieta w brązowej sukni patrzyła na mnie uważnie. Wciąż trzymając list, z trudem dźwignęłam się na nogi.

- Nie - odparłam i bez dalszych wyjaśnień przeszłam obok niej.

Ciężko utykając, powoli zesłam na dół.

- Jak się pani nazywa, bo chyba nie dosłyszałam? - zawołała za mną.

Nie odpowiedziałam. Wyszłam na ulicę, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Jeszcze dziś nie rozumiem panicznej desperacji, która wtedy gnała mnie do domu. Czułam tylko, że za wszelką cenę muszę schronić się wśród moich własnych ścian, wyjąc z kieszeni palta list i czytać go raz po raz, wciąż od nowa, aż w końcu zrozumie sens tego wszystkiego.

List był jedynym ogniwem, które łączyło mnie z Etienne'em.

Etienne... Z każdą chwilą narastała we mnie pewność, że w ogóle go nie znałam.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Nigdy nie jesteśmy w stanie przewidzieć, jak zareagujemy na stratę kogoś bliskiego.

Kiedy umarła matka, opłakiwałam ją z cichym, głębokim smutkiem, nieustępliwym, lecz zrozumiałym. Tęskniłam za jej obecnością, wiedziałam jednak, że muszę żyć dalej, zajmować się domem i opiekować ojcem. Jej śmierć była nieunikniona, a instynkt podpowiadał mi, że smutek z czasem osłabnie, wyblaknie, rozwieje się.

Po śmierci ojca czułam coś zupełnie innego - smagana burzą wyrzutów sumienia i gorzkiej rozpacz, bez końca wracałam do chwili, kiedy uparłam się, aby usiąść za kierownicą, kiedy na zbyt długą chwilę odwróciłam wzrok od drogi, kiedy trochę zbyt ostro skręciłam. Byłam pogrążona w dojmującym żalu, udręczona myślami, że nie zdążyłam poprosić go o wybaczenie ani nawet pożegnać się z nim, a potem przyszła bolesna samotność, owoc jego tragicznej, nieoczekiwanej nieobecności.

Natomiast teraz... Kiedy późnym popołudniem wracałam na Juniper Road, owładnęło mną uczucie surowe i potężne. Nadchodziło falami, przygniatając mnie ciężarem, którego nie mogłam znieść. Nie mogłam utrzymać się na nogach i musiałam wziąć taksówkę. W domu wyciągnęłam się na łóżku i tępo wpatrywałam w wydłużające się cienie.

215

Wiedziałam, że Etienne mnie kochał. Chciał być ze mną i z naszym dzieckiem. Zaczęłam przywoływać z pamięci nasze wspólne chwile, próbując przypomnieć sobie coś, cokolwiek, co może umknęło mojej uwadze. Wspominałam, jak na mnie patrzył, jak do mnie mówił, jak śmiał się z jakiejś mojej uwagi.

Jak mnie dotykał. Odtwarzałam z pamięci nasze ostatnie spotkanie i rozmowę, gest, jakim położył rękę na moim brzuchu, i jego głos, gdy mówił, jak będę śpiewała naszemu dziecku.

Nie! Gwałtownie usiadłam na łóżku w stopniowo gęstniejącej ciemności. Etienne nigdy nie potraktowałby mnie w tak podły sposób, nie zostawiłby mnie na łasce losu! Coś musiało mu się przydarzyć, coś całkowicie poza jego kontrolą. Miało to jakiś związek z tajemnicą, którą ukrywał, może więcej niż jedną.

Nie zrobił nic, co byłoby nie do wybaczenia. Szczerze mówiąc, nie było takiej rzeczy, której nie potrafiłabym mu wybaczyć. I za wszelką cenę musiałam mu o tym powiedzieć.

Następnego dnia rano wstałam zesztywniała i zziębnięta, z ciężką głową, zupełnie jakbym nie mogła do końca otrząsnąć się z nocnego koszmaru.

Byłam niespokojna i nerwowo rozedrgana, jak po śmierci ojca. Cały dzień chodziłam z kąta w kąt, opętana dziwną, niezdrową energią, przekonana, że muszę coś zrobić, lecz niezdolna określić, jaką ścieżkę powinnam wybrać.

Powietrze w moim wilgotnym, wychłodzonym studiu pachniało pustką. W ostatnim miesiącu w ogóle nie malowałam, zbyt pochłonięta nowym życiem i rozmyślaniami o przyszłości u boku Etienne'a.

Na wpół wyczułam, na wpół usłyszałam jakiś ruch za plecami - Cinnabar przyszła pocierać się o moje nogi, a potem

216

wskoczyła na stół, na którym trzymałam farby, pędzle i ołówki. Wspięła się na tylne łapy, oparła przednie o moją pierś i popatrzyła na mnie okrągłymi topazowymi oczami. Nagle dostrzegłam, jak bardzo się zestarzała - jej wąsy posiwiały, boki zapadły się, drobny kręgosłup przeistoczył się w wyboistą linię kręgow. Sierść straciła głęboką, rdzawy połysk i przybrała ciemnobrązowy odcień.

Ostatnie obrazy, które namalowałam, przypięte były do ścian. Ostrożne i eleganckie, wykonane precyzyjną, spokojną ręką, jak kiedyś zauważył Etienne. Każde pociągnięcie pędzla było przemyślane i pewne.

Nagle zirytował mnie ich widok, straciłam cierpliwość do samej siebie, ogarnął mnie gniew na tę kobietę, która pozwalała, aby życie po prostu przynosiło jej niespodzianki. Która uważała, że taki niewielki kawałek ziemi, mniej niż punkcik na powierzchni ziemi, wystarczy jej już zawsze.

Cinnabar zapadała w drzemkę, z na wpół przymkniętymi oczami i brodą wspartą na łapkach.

Kim ja właściwie jestem, pomyślałam, patrząc na starą kotkę. Nie posiadałam ani formalnego wykształcenia, ani światowego obycia. Etienne nazywał mnie piękną, ale ja nie miałam żadnych złudzeń co do swojego wyglądu. Twarz i ciało miałam bardzo szczupłe, wręcz chude, oczy duże, szeroko otwarte i pełne zaciekawienia pod łukami szerokich brwi. Włosy mi się kręciły i trudno było je porządnie upiąć; nie pasowały do gładkich, szykownych fryzur, jakie widywałam u innych kobiet, a ja uparcie nie chciałam obciąć ich do linii brody, zgodnie z najnowszą modą.

Miałam trzydzieści lat i nie byłam już młoda, a w niektórych społecznościach pewnie uchodziłabym nawet za starą. Moi znajomi z Albany najprawdopodobniej uważali mnie za starą pannę.

Zostawiłam swoje obrazki i poszłam do łazienki, chcąc przyrzeć się sobie w usianym czarnymi kropkami lustrze nad umywalką. Moja oliwkowa cera miała teraz szarawy odcień, a wargi były fioletowo brązowe, podobnie jak głębokie cienie pod oczami. Na skroniach widać było kilka pasemek jaśniejszych włosów. Nie były szpakowate ani siwe, nic aż tak dramatycznego, można było jednak odnieść wrażenie, że bogaty kruczoczarny połysk w jakiś sposób przybladł i stracił intensywność. Może było tak i wcześniej, a ja po prostu tego nie zauważyłam, nie wiem... Co do oczu, to wydały mi się zupełnie puste. Ich barwa także wyblakła. Etienne nazwał je kiedyś tajemniczymi. „Masz tajemnicze oczy, Sidonie” - powiedział. „Tajemnicze i nieodgadnione jak mgła, jak i ty...”.

Czyżby te i inne słowa, którymi wyrażał zafascynowanie moją osobą, istniały tylko w mojej wyobraźni?

- I co teraz? - zapytałam głośno.

Usłyszałam jakiś szmer i odwróciłam się. Cinnabar przyszła tu za mną i przystanęła w progu. Patrzyła na mnie tak, jakby chciała powiedzieć: „Nie możesz spokojnie posiedzieć, żebym mogła się zdrzemnąć?”.

Podeszłam do okna w salonie. Za szybą rozciągała się ciemność, o framugę uporczywie stukała gałązka topoli. Tego wieczoru to stukanie w niczym nie przypominało rytmu tańca, jak kiedyś uważałam, było raczej niczym tykanie zegara, postukiwanie kościstego palca w czyjeś ramię. Miałam dosyć swojej przejrzystości i przewidywalności, miałam ochotę zniszczyć swój wewnętrzny kompas.

Znowu ujrzałam swoje odbicie, tym razem w szybie, mgliste i rozmazane, jakbym była duchem.

Wzięłam torebkę, którą poprzedniego dnia zostawiłam na kanapie, i zaniósłam ją do kuchni. Wyjęłam z niej wszystko, co zabrałam z mieszkania Etienne'a: jego okulary, buteleczkę

po lekarstwie i list. Położyłam te rzeczy na stole przed sobą i usiadłam, nie odrywając od nich wzroku. List przeczytałam jeszcze trzy razy i nie widziałam powodu, aby czytać go znowu, ponieważ nauczyłam się już treści na pamięć.

Popatrzyłam na buteleczkę z brązowego szkła, wstałam i podeszłam do półki z książkami. Zdjęłam z niej gruby medyczny magazyn, tkwiący obok słownika i atlasu, rozłożyłam na kuchennym stole i zajrzałam do indeksu. Nazwę „oxazolidinedione” znalazłam prawie natychmiast.

Był to środek stosowany w schorzeniach neurologicznych, przepisywany w celu zapobiegania atakom epilepsji, czyli padaczki, oraz patologicznemu drżeniu mięśni.

Ale przecież Etienne nie był epileptykiem! Przy mnie nigdy nie miał ataku, nie zdradzał żadnych objawów padaczki! Czasami był trochę niezgrabny, potykał się o meble albo o podwinięty róg dywanu... Przypomniałam sobie, jak kiedyś kroił kurczaka, którego przygotowałam na kolację, i jak nóż nagle skoczył mu w jedną stronę; Etienne upuścił go i popatrzył na niego tak, jakby nie miał pojęcia, co to za przedmiot, a potem odwrócił się plecami do mnie, podszedł do zlewu i zaczął myć ręce, bardzo starannie i długo. Wtedy nie przywiązywałam do tego najmniejszej wagi, lecz teraz

uświadomiłam sobie, że takie pozornie nieistotne drobiazgi zawsze go denerwowały. Reagował na nie nietypową dla siebie złością, mamrotał coś pod nosem i szorstko zbywał moje troskliwe pytania.

Nie miałam pojęcia, co o tym myśleć. Gdyby Etienne był chory, na pewno bym o tym wiedziała, prawda? Wzięłam do ręki okulary i kilka razy przeciągnęłam kciukiem po oprawce. Potem odłożyłam je i znowu sięgnęłam po list.

Ta kobieta, Manon, musiała mieć jakiś związek z tajemnicą, którą Etienne tak starannie przede mną ukrywał. Wyjechał z jej powodu. Cóż, najwyraźniej nie wierzył, że wysłuchałabym

219

i zrozumiała wszystko, cokolwiek by mi powiedział... Przecież musiał wiedzieć, że kochałam go dość mocno, aby nie dbać o to, co skrywała jego przeszłość. Że nasza wspólna przyszłość mogła uwolnić go od wszystkich prześladowających go koszmarów.

Tylko jak miałam go odszukać? Dysponowałam zaledwie dwiema wskazówkami - imieniem jego siostry, kobiety, o której nigdy nawet nie wspomniał w rozmowie ze mną, oraz nazwą miasta, w którym mieszkała. Miasta, w którym dorastał Etienne. Postanowiłam tam pojechać, odnaleźć go w Marrakeszu i powiedzieć mu, jak bardzo go kocham.

Czy była to spontaniczna i głupia decyzja? Tak. Czy kiedyś ulegałam już tego rodzaju impulsowi? Tak, w chwili, gdy wpuściłam Etienne'a do mojego domu i łóżka. Do mojego życia.

Wcześniej byłam kobietą, która słuchała szeptu rozsądku i zwykle działała rozważnie. Teraz przeszłość wydawała mi się dziwnie odległa, jakbym była postacią z jakiejś książki, którą dawno odłożyłam na półkę, niedoczytaną do końca, ponieważ znudziła mnie i treść, i bohaterka.

Jednak teraz może powinnam raczej skupić się na tej nowej Sidonie, kobiecie, która słuchała tylko serca i działała pod jego wpływem. Pomyślałam o swoim sercu, takim, jakie było wcześniej - o przypominającym wątrobę mięśniu, bijącym powoli i regularnie. Kiedy na drodze mojego życia stanął Etienne, natychmiast przemieniło się w naczynie pełne szkarłatnych kwiatów, pulsujące gorącym rytmem.

Obawiałam się, że jeśli nie zrozumie, co stało się z Etienne'em, moje serce znowu skurczy się do dawnych rozmiarów i będzie równie spokojne i niewymagające jak przedmioty, które utrwalłam na swoich akwarelach.

Najważniejsze było jednak to, że teraz musiałam brać pod uwagę jeszcze jedno bijące serce, maleńkie i bezbronne.

220

- Wyjeżdżam za granicę, pani Barlow - oznajmiłam, stojąc przy stole w jej kuchni. - Zamierzam...

Przerwałam. Nie chciałam powiedzieć, że zamierzam wyruszyć na poszukiwanie doktora Duvergera, ponieważ zbyt trudno byłoby wyjaśnić jej moje głębokie przekonanie, że Etienne pragnął być ze mną. To ja miałam go skłonić, aby uwierzył, że wszystko jest w porządku, taka była moja rola. Wiedziałam, że nadal będę go kochała, niezależnie od wszystkiego.

- Wyjeżdżam za granicę - powtórzyłam.

- Za granicę? - pani Barlow uniosła brwi. - Niby jak zamierzasz to zrobić?

Przełknęłam ślinę. Minął już cały tydzień, odkąd podjęłam decyzję, i nie spędziłam tego czasu beczynnym. Planowałam i działałam. Załatwiłam już formalności związane z paszportem, zaniósłam pieniądze ze sprzedaży samochodu do banku i wymieniłam większość tej sumy na franki. Wypłaciłam też z konta prawie wszystko poza kilkoma dolarami i w biurze podróży przy Drake Street kupiłam bilet na statek, który za dwa tygodnie wypływał z Nowego Jorku do Marsylii. Wybrałam ten rejs, ponieważ wtedy powinnam mieć już paszport. Kupiłam dwie walizki.

- Wszystko już załatwiłam - powiedziałam.

- A kiedy wrócisz?

- Jeszcze nie wiem - odparłam. - Będę bardzo wdzięczna, jeżeli pod moją nieobecność zajrzycie od czasu do czasu do domu, no i zajmiecie się Cinnabar... Czy moglibyście wziąć ją do siebie?

Wargi pani Barlow zacisnęły się, tworząc wąziutką linię.

- Posłuchaj, Sidonie, nie jesteś przecież jedną z tych kobiet, które ni stąd, ni zowąd wydają wszystkie oszczędności na jakieś tam wakacje! Może się mylę, ale mam dziwne wrażenie,

221

że cały ten plan ma coś wspólnego z tym twoim zaginionym doktorem!

Nie odpowiedziałam. Uważnie wpatrywałam się w wiszący za głową pani Barlow obraz, który rok wcześniej podarowałam jej oraz jej mężowi. Przedstawiał trzy bekasy.

- Bo jeśli chcesz spróbować przekonać go, żeby wrócił... Cóż, nie da się zmusić mężczyzny, by zrobił to, na co nie ma najmniejszej ochoty, moja droga! Jeżeli nie chce być tu z tobą, to twoja wyprawa na drugi koniec świata niczego nie zmienia, możesz być tego pewna!

Z trudem poznawałam jej głos; miał w sobie nutę dezaprobaty i brzmiał głośniejsz niż zazwyczaj.

- Nie łatwiej po prostu machnąć na niego ręką i spokojnie żyć dalej? - ciągnęła. - Nie odwiedzisz mężczyzny od raz podjętej decyzji, wierz mi, bo wiem coś o tym!

- Ale ja wiem, że coś mu się stało. Muszę mu powiedzieć... Muszę... - przerwałam, niepewna, jak jej to wytłumaczyć. - Po prostu muszę z nim porozmawiać, pani Barlow.

- A co mu się stało? Przygłodziłam włosy.

- Został nagle wezwany - oświadczyłam. - Chodzi o jego rodzinę.

-Więc dlaczego... Dlaczego nie porozmawiałaś z nim, kiedy jeszcze tu był? Dlaczego nie możesz do niego zatelefonować? Na pewno mają tam telefon, wszystko jedno, dokąd wyjechał! Nie rozumiem cię, Sidonie!

Nie rozumiała, oczywiście... Nie potrafiłam wyobrazić sobie, aby pani Barlow kiedykolwiek czuła do swego męża to, co ja do Etienne. Może zresztą kiedyś nosiła w sercu tego rodzaju uczucia, ale po tylu latach niewątpliwie kompletnie o tym zapomniała.

222

- Proszę nie wymagać ode mnie wyjaśnień - powiedziałam cicho. - Muszę jechać, i tyle...

- Więc jedziesz do Francji, tak?

Kiwnęłam głową. Właściwie nie było to kłamstwo, bo przecież najpierw płynęłam do Marsylii. Przede wszystkim kierowała mną jednak ogromna niechęć do dalszej rozmowy na ten temat. Gdybym zwierzyła się jej, że wybieram się do Maroka, zasypałaby mnie gradem pytań i w końcu musiałabym opowiedzieć o liście od kobiety imieniem Manon.

Nagle wargi i podbródek zdrząły mi gwałtownie. Poderwałam rękę do ust i odwróciłam się.

- Poza tym musisz teraz brać pod uwagę swój stan. Spojrzałam na nią.

Skinęła głową i utkwiała wzrok w moim brzuchu. Powoli opuściłam rękę.

- Skąd pani wie?

Lekko przekrzywiła głowę na bok.

- Kobieta zawsze dostrzeże objawy, naturalnie jeśli wie, czego szuka! Wydaje mi się, że niedługo zaczniesz być widać, co się z tobą dzieje, więc jak zamierzasz podróżować po świecie, całkiem sama, bez obrączki na palcu, za to z wystającym brzuchem, co? Chcesz, żeby wszyscy dookoła dowiedzieli się, co z ciebie za kobieta?

Nigdy nie mówiła do mnie w taki sposób. Odchrząknęłam. -Jest mi obojętne, co ludzie o mnie pomyślą - powiedziałam. - Wie pani, że tak jest, bo nigdy o to nie dbałam. Spuściła wzrok, ale tylko odrobinę.

- Może byłoby lepiej, gdyby nie było ci to obojętne, Sidonie! Może wtedy nie znalazłabyś się w takiej sytuacji. Gdyby twoja matka wiedziała, że sprowadziłaś mężczyznę do domu i zachowywałaś się jak...

223

- Mieszanie mnie z błotem nic nie da, proszę pani! - oświadczyłam, równie twardo i dobitnie jak ona. - Moja matka od dawna nie żyje, zresztą to i tak nie pani sprawa!

Cofnęła się gwałtownie, jakbym uderzyła ją w twarz, i natychmiast zrozumiałam, że bardzo ją zraniłam. Byłam na nią wściekła, bo powiedziała mi prawdę.

- Przepraszam, pani Barlow! - zawołałam pośpiesznie. -Zawsze była pani taka dobra dla nas... Dla mnie...

Nie chciałam myśleć teraz o tym, że od wielu miesięcy nie płaciłam czynszu za dom, ponieważ po śmierci ojca pan Barlow nie chciał dłużej przyjmować pieniędzy. Nie wiedziałam, czy pani Barlow wie o tym, czy może nie.

-Widzi pani, ja... Ja go kocham! I on też mnie kocha, jestem pewna jego uczucia!

Pani Barlow objęła mnie i przytuliła.

- Oni zawsze okazują uczucie, kiedy czegoś chcą, Sidonie -westchnęła. - Mało wiesz o świecie, dziewczyno, a jeszcze mniej o mężczyznach. Od początku czułam, że będą z tego kłopoty, słowo daję! Przeczuwałam to, moja droga, ale wtedy byłaś jeszcze w żałobie po swoim tacie i pomyślałam sobie, że nie powinnam ci przeszkadzać... Daj spokój, Noro, powiedziałam sobie, pozwól dziewczynie choć trochę nacieszyć się życiem.

Cofnęła się i ze smutkiem pokręciła głową.

- Nie ma jednak przyjemności bez bólu, Sidonie! Nie ma przyjemności bez bólu - powtórzyła. - To równie pewne i łatwe do przewidzenia jak pierwszy mróz, który jesienią warzy ostatnie kwiaty.

W przeddzień wyjazdu poszłam do szopy. Stary model T wciąż tam stał, przykryty grubą gumowaną płachtą. Ściągnęłam ją i oparłam dłonie na masce auta, nie wsiadłam jednak

224

do środka. Myślałam o ojcu, który siadał za kierownicą i palił fajkę, o matce, siedzącej przy maszynie do szycia, stojącej na kuchennym stole. I o tym, w jaki sposób Etienne powiedział: „Nasze dziecko”.

Przykryłam samochód.

Poszłam nad staw, żeby spojrzeć na niego ostatni raz. Był pierwszy tydzień marca, ciepły, łagodny dzień - wszędzie słychać było plusk spadających kropel. Łód na środku stawu topniał już powoli, a przy brzegu pojawiła się woda. Lekki wiatr gnał drobniutkie fale, których jęzory delikatnie lizały wciąż jeszcze twardą ziemię. Światło późnego popołudnia iskrzyło się na powierzchni wody, powietrze przesycone było zapachem wiosny, świeżym, obiecującym nowy początek.

Położyłam ręce na brzuchu, tam, gdzie wyczuwałam już lekkie wzniesienie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Musiałam zatrzymać się na noc w Marsylii, ponieważ statek do Tangeru odpływał dopiero późnym popołudniem następnego dnia. Trwająca tydzień podróż z Nowego Jorku dziwnie mnie zmęczyła, chociaż właściwie nie robiłam nic poza wychodzeniem na pokład dwa razy dziennie i leżeniem na wąskim łóżku w kajucie. Kiedy szofer ładował moje walizki do taksówki, bez szczególnego zainteresowania rozejrzałam się po porcie, a kilkanaście minut później byłam już w poleconym mi na statku hotelu. Kiedy konsjerżka zapytała mnie o nazwisko, zawahałam się na moment.

- Madame Duverger - odparłam.

Nie zamierzałam tego powiedzieć, zwłaszcza że przecież nie miałam powodu kłamać.

- Na ile dni?

-Tylko na jeden... Jutro po południu odpływam do Tangeru.

Nie miałam pojęcia, dlaczego tłumaczę się tej ponurej, surowej kobiecie. Z naszywki na jej bluzce zorientowałam się, że nazywa się madame Buisson. Wpisała mnie do książki meldunkowej i wyciągnęła rękę.

- Mam zapłacić z góry? Pokręciła głową.

226

- Pani paszport, madame! Zatrzymamy go do pani wyjazdu. Głośno przełknęłam ślinę.

- Chyba nie ma takiej potrzeby - wyjąkałam.

- Owszem, jest - odparła, nie opuszczając wyciągniętej ku mnie dłoni. - Pani paszport...

Sięgnęłam do torebki i podałam jej małą książeczkę w twardej czerwonej okładce. Otworzyła ją i spojrzała na moje zdjęcie. Wyraz jej twarzy uległ wyraźnej zmianie, kiedy przebiegła wzrokiem stronę, na której wypisano moje imię, nazwisko, datę i miejsce urodzenia oraz stan cywilny - Sidonie O'Shea, 1 stycznia 1900 roku, Albany, Nowy Jork, panna.

Nawet jeżeli madame Buisson nie znała angielskiego, niewątpliwie bez najmniejszego trudu zorientowała się, że podałam jej inne nazwisko niż to wpisane do paszportu. No i nie byłam madame.

Nie skomentowała tego ani jednym słowem, ale odwróciła się i z moim paszportem w ręce weszła do małego pokoiku za biurkiem. Gdy wróciła, wręczyła mi duży metalowy klucz na skórzanym pasku.

- Pokój 267, madame.

Byłam jej szczerze wdzięczna, że w tym ostatnim słowie nie zabrzmiała nawet najlżejsza nuta sarkazmu.

- Chłopiec niedługo przyniesie pani walizki - dorzuciła.

- Merci... - odparłam.

Wzięłam głęboki oddech i powoli zaczęłam wchodzić po drewnianych schodach na pierwsze piętro.

Pokój był mały, ale czysty, z luksusowym dodatkiem w postaci własnej łazienki. Usiadłam na brzegu łóżka, czekając na bagaż, żeby się przebrać i położyć.

Nie miałam ochoty zwiedzać Marsylii. Portowe doki były brudne, pełne pleśniejących skrzyń, pudeł i odpadków, i wszędzie

227

kręcili się ciemnoskórzy mężczyźni, obserwujący schodzących ze statków pasażerów z trudnym do rozszyfrowania wyrazem twarzy. W drodze do hotelu widziałam stanowczo zbyt wiele wychudzonych dzieci i rozsypujących się ruin wysokich budynków.

Rodzina mojej matki przybyła do Ameryki z Francji; w moich żyłach płynęła francuska krew, ojciec mojego dziecka także pochodził z tego kraju. Nasze dziecko miało być w trzech czwartych Francuzem lub Francuzką.

Kiedy tylko chłopiec hotelowy postawił walizki koło garderoby, wyjęłam nocną koszulę i rozebrałam się. Była dopiero siódma wieczorem, ale męczył mnie dziwny, uporczywy ból w dolnej części pleców. Bardzo żałowałam, że nie mogę rozgrzać ich butelką z ciepłą wodą. Z westchnieniem ulgi padłam na wąskie, twarde łóżko i mimo bólu prawie natychmiast zasnęłam.

Moje ciało obudziło mnie w środku nocy. Ból nasilił się, jego główne ognisko znajdowało się teraz w brzuchu. Zwinęłam się w kłębek, modląc się, aby jak najszybciej ustąpił. Przyszło mi do głowy, że dobrze zrobiłaby mi ciepła kąpiel i powoli odrzuciłam przykrycie. Wstałam i nagle poczułam, jak po udach spływa mi gęsta, gorąca ciecz. Z przerażeniem spojrzałam w dół, na gromadzącą się u moich stóp ciemną kałużę. Obiema rękami trzymając się za brzuch, z wysiłkiem dotarłam do łazienki i zapaliłam światło. Intensywny szkarłat krwi sprawił, że zrobiło mi się słabo, nie na jej widok, lecz gdy uświadomiłam sobie, co to oznacza.

- Nie! - krzyknęłam głośno i usłyszałam, jak mój protest odbija się echem od ścian.

Nie byłam w stanie wyjść z pokoju i poszukać konsjerżki, ponieważ ostre skurcze i krwotok odebrały mi siły. Kogo miałam zawołać?

228

- Etienne! - wykrztusiłam, bo nie znałam żadnego innego imienia. - Etienne... - powtórzyłam ciszej.

Odpowiedziała mi tylko cisza, wisząca w przesyconej odorem gorącej krwi klatce ścian i sufitu. Nic nie mogłam zrobić, w żaden sposób nie potrafiłam zatrzymać życia, które właśnie ze mnie wyciekało.

Później położyłam się na ręczniku na twardych płytkach podłogi w łazience, z kolanami podciągniętymi aż pod klatkę piersiową. Płakałam tak długo i gwałtownie, że rozboleła mnie głowa. Bardzo chciało mi się pić, nie miałam jednak nawet tyle siły, aby się dźwignąć i napić wody z kranu nad umywalką.

Leżałam tak do rana, aż blade światło wpadło do środka przez okno w pokoju i dostało się do łazienki przez otwarte drzwi. Przyglądałam się, jak przesuwano się po łóżku i ścianie. W pewnej chwili usłyszałam lekkie pukanie do drzwi, ale się nie odezwałam. Nie mogłam wstać i nie mogłam zamknąć oczu. Miałam wrażenie, że moje ciało stało się odmawiającą współpracy skorupą, lecz mój umysł przypominał sztywno zaciśniętą pięść, pulsującą jednym krótkim, do głębi raniącym zdaniem: „Twoje dziecko nie żyje, twoje dziecko nie żyje!”.

Zza uchylonego okna dobiegały teraz pokrzykiwania, głosy dzieci, nieustępliwe ujadanie psa.

Ktoś znowu zapukał do drzwi, tym razem mocniej.

- Madame! - wołała jakaś dziewczyna. - Madame, chcę posprzątać pokój!

Szarpnięta klamka zagrzechotała. Wzięłam głęboki oddech, drząc jak osika, i z trudem podniosłam ręce do twarzy. Policzki miałam mokre. Dobijanie się do drzwi ustało.

Każdy ruch sprawiał mi ból, zupełnie jakbym padła ofiarą grypy. Powoli usiadłam i popatrzyłam na zakrwawione ręczniki na podłodze dookoła mnie.

229

- Etienne... - wyszeptałam zesztywniałymi wargami. Co miałam teraz zrobić? Co robić?

Podciągnęłam się, mocno zaciskając dłonie na brzegu umywalki, wstałam, napuściłam wody do wanny i umyłam się. Włożyłam świeżą nocną koszulę, a czarną od krwi włożyłam do kosza na śmieci. Byłam zbyt słaba, aby choćby tylko spróbować splukać krew i tkankę z ręczników, zostawiłam je więc w zabarwionej na ciemny róż kałuży w wannie i wczołgałam się do łóżka. Leżałam nieruchomo, wreszcie niezdolna płakać.

Ciągle dotykałam brzucha; trudno było mi pojąć, że mała istota, którą powołałam do życia razem z Etienneem, odeszła na zawsze.

Pewnie byłam w szoku. Nie potrafiłam myśleć o niczym poza śmiercią dziecka. Pamiętam, że w pewnym momencie złożyłam ręce i zaczęłam się modlić za jego duszę.

Nie wiem, ile czasu minęło, ale gdy w korytarzu znowu rozległo się pobrzękiwanie metalowego wiadra, a potem stukanie do drzwi, zdobyłam się na wielki wysiłek.

- Niech pani poprosi madame Buisson, żeby do mnie przyszła! - zawołałam. - Jestem chora!

Kiedy konsjerżka otworzyła drzwi zapasowym kluczem i stanęła w progu, powiedziałam, że rozchorowałam się w nocy i chciałam wezwać lekarza. Wcześniej z trudem usiadłam na łóżku, byle jak składając koce w nogach.

Kiwnęła głową z twarzą równie pozbawioną wyrazu jak poprzedniego dnia, ale gdy jej wzrok zatrzymał się na otwartych drzwiach do łazienki, na chwilę wstrzymała oddech. Podążyłam za jej spojrzeniem i zobaczyłam jeden z zakrwawionych ręczników, który zostawiłam na podłodze. Madame Buisson weszła do pokoju, zajrzała do łazienki i po paru sekundach zamknęła drzwi zdecydowanym ruchem, prawie nimi trzaskając.

230

Popatrzyła na mnie, ledwo dostrzegalnie pokręciła głową i wyszła.

Musiałam zasnąć, bo wydawało mi się, że od jej wyjścia do chwili, kiedy znowu ujrzałam ją przed sobą, tym razem z mężczyzną w średnim wieku, z wąsami i zbyt mocno wypomadowanymi włosami, minęło zaledwie parę sekund. Mężczyzna trzymał w ręku czarną torbę, skórę na dłoniach miał wysuszoną i spękaną.

- Mademoiselle O'Shea! - obwieściła madame Buisson. - Amerykanka, dopiero co przyjechała - dodała, lekko pociągając nosem, jakby wyczuła jakiś nieprzyjemny zapach.

Lekarz skinął mi głową. A więc konsjerżka zapamiętała wpisane do mojego paszportu nazwisko i teraz z naciskiem mówiła o mnie per „mademoiselle"... Cofnęła się parę kroków, przystanęła jednak przy drzwiach, z rękami splecionymi na wysokości talii.

Lekarz zapytał ją (nie wiem, dlaczego nie zwrócił się do mnie), z jakiego powodu został wezwany. Madame Buisson mocno przyciszonym głosem wyjaśniła, że w nocy miałam krwotok. Zwrot „pertes de sang”, „upływ krwi”, wypowiedziała prawie szeptem, tak jakby było to bardzo wstydliwe wyznanie, a potem znacząco uniosła brwi.

- Ah... - doktor spojrzał na mnie uważnie. - Une fausse couche?

- Bez wątpienia - odparła z dziwnie gorzką satysfakcją. - Wszystko wskazuje na poronienie, panie doktorze!

- Jest sama? - Lekarz odwrócił się do niej, lecz ton jego głosu wskazywał, że zna odpowiedź.

Zapytał konsjerżkę, co robię w Marsylii, a ona poinformowała go, że zamierzam płynąć do Tangeru.

- C'est impossible! - Potrząsnęła głową i spojrzał mi prosto w oczy. - To niemożliwe, panienko! - powtórzył okropnym

231

angielskim, głośno i powoli, zupełnie jakby uważał mnie za głuchą albo ograniczoną umysłowo. - Nie wolno pani teraz podróżować!

Wreszcie zrozumiałam, dlaczego do tej pory ignorował mnie i zasięgał informacji o moim stanie u madame Buisson -ponieważ powiedziała, że jestem Amerykanką, nie przypuszczał, abym mówiła po francusku, a ona mu o tym nie wspomniała. Teraz znowu odwrócił się do niej i przeszedł na francuski.

- Ona nie może podróżować sama, nie świeżo po poronieniu - oświadczył.

- Na dodatek to kaleka - zauważyła konsjerżka, spoglądając na mnie ponad jego ramieniem.

Byłam zbyt osłabiona i przepełniona rozpaczą, aby przejmować się jej gruboskórnością. Lekarz pokiwał głową.

- Tym bardziej nie powinna wyruszać teraz w tak niebezpieczną podróż - rzekł. - Zresztą najprawdopodobniej minie sporo czasu, zanim w pełni odzyska siły. Niechże pani poradzi jej, aby jak najszybciej wracała do Ameryki!

- Monsieur le docteur... - odezwałam się po francusku. - Rozumiem, co pan mówi, proszę porozumiewać się bezpośrednio ze mną.

Jego policzki zaczerwieniły się, szybko odzyskał jednak równowagę, odchrząknął i wygładził już i tak idealnie gładkie kłapy marynarki.

- Przepraszam. - Spojrzał na madame Buisson. - Nie wiedziałem, że włada pani francuskim...

Odgarnęłam do tyłu splątane włosy.

- Muszę jechać dalej, do Afryki Północnej! Muszę jak najszybciej dostać się do Tangeru... Jak pan uważa, kiedy mogłabym bezpiecznie wyruszyć w drogę?

- Oh, mademoiselle! - westchnął. - Naprawdę stanowczo

odradzam pani dalszą podróż, oczywiście w tej chwili! Ma pani jakichś znajomych w Marsylii, albo gdziekolwiek we Francji, u których mogłaby się pani zatrzymać na krótki czas, dopóki całkiem nie wróci pani do sił? Potrząsnęłam głową.

- Nie, muszę jechać...

Starłam się nadać głosowi pewniejsze brzmienie, ale nie udało mi się. Nie zdołałam zapanować nad gwałtownym drżeniem warg.

- Skoro tak się pani upiera, mogę tylko doradzić, aby znalazła sobie pani kogoś do towarzystwa, kogoś, kto zaopiekowałby się panią także tam na miejscu, w Tangerze. Będzie pani potrzebowała kogoś takiego, z całym szacunkiem... Przystosowanie się do nowych warunków i otoczenia będzie wymagało nie lada odporności i wysiłku od osoby tak dobrze wychowanej i delikatnej jak pani, proszę nie mieć mi za złe tej uwagi... W dodatku właśnie przeżyła pani taką stratę.

Oczy mnie zapiekły, ale szybko zamrugałam, opędzając łzy.

- Nie ma jednak powodu, dlaczego nie miałabym szybko odzyskać siły, prawda?

- Mademoiselle, mówiłem już, że musi pani odpocząć, pozwolić organizmowi trochę się wzmocnić. Który to był miesiąc ciąży?

- Trzeci.

Przyglądził wąsy kciukiem i palcem wskazującym, otworzył czarną torbę, zajrzał do środka, wyjął małą zieloną buteleczkę i postawił ją na krześle przy łóżku.

- Czy krwawienie ustało?

- Prawie...

- A poronienie było kompletne? Nie zrozumiałam, co miał na myśli.

- Nie... Nie wiem...

- Wydaje się pani, że pani ciało pozbyło się wszystkiego? Z trudem przetknęłam ślinę.

- Tak sędzę...

- Nie chce pani udać się do szpitala? Niedaleko stąd jest klinika, w której leczy się wielu cudzoziemców, mógłbym zorganizować przejazd.

- To chyba nie będzie konieczne.

- W porządku, jednak gdyby wystąpiły jakiekolwiek niepokojące objawy, musi pani jak najszybciej udać się do szpitala, dobrze? Proszę leżeć w łóżku i przez parę dni naprawdę odpoczywać, rozumie mnie pani? Zostawiam pani środek, który pomaga w takich sytuacjach. - Wskazał zieloną buteleczkę. - Proszę przyjmować dwie łyżki leku rano, w południe i wieczorem przez następne dwa dni. Powinna

pani odczuwać coś w rodzaju skurczów, jeśli poronienie nie było kompletne, lek pomoże usunąć wszelkie resztki tkanki z macicy.

Jego ostatnie słowa sprawiły, że w pełni dotarł do mnie ogrom tego, co mnie spotkało. Ogarnął mnie ból tak wielki, że musiałam zasłonić oczy dłońią. Przeszył mnie gwałtowny dreszcz, zęby lekko mi zaszczękały. Wiedziałam, że muszę zadać pytanie, które w tej chwili wydawało mi się najważniejsze, chociaż nie miałam pojęcia, jak poradzę sobie z otrzymaną odpowiedzią. Opuściłam rękę i spojrzałam lekarzowi prosto w twarz.

- Czy to mogła być moja wina? - zapytałam. - Czy to przez podróż, ten tygodniowy rejs statkiem z Ameryki? Albo może... Cóż, ostatnio miałam wiele zmartwień. - Powoli wypuściłam powietrze z płuc.

- Może nie dość dobrze się odżywiałam, nie spałam też tak spokojnie jak zazwyczaj. Czy straciłam to dziecko z własnej winy?

- Mademoiselle... - doktor zbliżył się do łóżka, w jego głosie zabrzmiała znacznie łagodniejsza nuta. - Czasami natura

234

sama podejmuje takie decyzje i nie sposób powiedzieć, co było powodem poronienia. - Lekko poklepał moją dłoń. - Nie wolno pani obarczać się winą za to, co się stało! Proszę dużo odpoczywać, dobrze? Madame Buisson, niech pokojówka przyniesie pani jeszcze jeden koc i coś do jedzenia, najlepiej lekką zupę! Musi pani odbudować siły, moja droga... I niech pani pamięta, w razie ostrzejszego bólu albo innych niepokojących objawów powinna pani natychmiast udać się do szpitala, rozumie mnie pani? Proszę mi obiecać, że posłucha pani mojej rady. Jego nieoczekiwana dobroć okazała się czymś, czego w tym momencie nie byłam w stanie znieść. Zasłoniłam twarz obiema dłońmi i rozplakałam się, kotłując się do przodu i do tyłu, podczas gdy lekarz i konsjerżka bez słowa wyszli z pokoju.

Przez następne kilka godzin bezskutecznie starałam się zasnąć. Parująca zupa w miseczce, którą postawiła na komodzie krępa, rudowłosa dziewczyna, szybko wystygła. Pokojówka obrzuciła mnie szybkim, ukradkowym spojrzeniem i cicho zamknęła za sobą drzwi. Przykryłam się dodatkowym kocem i położyłam się na plecach, ze wzrokiem utkwionym w sufit.

Znowu położyłam rozpostarte dłonie na brzuchu i popatrzyłam na wiotką białą zasłonkę, leniwie tańczącą w popołudniowym wietrzyku.

Myślałam o tym, jakie mogłoby być to dziecko i wyobraziłam je sobie, z lśniącymi ciemnymi włosami, gęstymi i prostymi, takimi jak włosy Etienne. Z takim samym wysokim, inteligentnym czołem i lekko zmarszczonymi brwiami. Z pełnymi wargami mojej mamy. Gdyby była to dziewczynka, nadałabym jej imię Camille albo Emmanuelle, chłopca nazwałabym Jean Luc. Pomagałabym małym paluszkom chwycić pędzel, kupiłabym kociaka, którego moje dziecko obdarzyłoby miłością... Przed snem razem szeptałibyśmy modlitwę po francusku.

235

Obserwowałam zasłonkę, zahipnotyzowana jej wznoszeniem się i opadaniem. Powiedziałam sobie, że może doktor miał rację, może rzeczywiście powinnam wrócić na Juniper Road, do domu, gdzie

byłabym bezpieczna. Czy miałam zostać tam do końca życia, na zawsze? Wyobraziłam sobie siebie, stojącą przy sztalugach z pobielającymi włosami, przygarbioną, z dłońmi usianymi starczymi plamami, z palcami chudymi jak patyki albo obrzmiałymi od zatrzymywanej przez niesprawny organizm wody. Sama, wiecznie sama...

Widziałam tylko tyle - dziecko, którego już nie było, i ponurą barwę moich dni bez Etienne'a. Bez dziecka...

Otarłam oczy rękawem nocnej koszuli, wstałam i powoli podeszłam do okna. Odsunęłam zasłonkę i spojrzałam na dachy Marsylii. Wciąż dobiegały mnie pokrzykiwania bawiących się dzieci, gdzieś niedaleko nadal ujadał pies. Wyruszyłam w tę podróż, żeby odszukać Etienne, a teraz, mimo że nasze dziecko już nie żyło, potrzebowałam go bardziej niż kiedykolwiek.

Popatrzyłam na dachy i suszące się niżej ubrania, rozwieszane na sznurach między wysokimi, wąskimi kamienicami. Byłam w pełni świadoma, że nawet jeżeli zdecyduję się na dalszą podróż do Marrakeszu, nie ma żadnej gwarancji, że odnajdę jego czy choćby tylko jego siostrę.

A jednak nie mogłam teraz zrezygnować. Gdy na zewnątrz i w pokoju zaczął powoli zapadać zmierzch, uświadomiłam sobie, że nie mogę wrócić do poprzedniego życia, dopóki nie dokończę tego, co zaczęłam, niezależnie od ostatecznego rezultatu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

Po pierwszej nocy w Marrakeszu, przespanej niespokojnie mimo szerokiego, miękkiego łóżka, pachnącego płatkami róż, ubrałam się szybko i z roztargnieniem i od razu zeszłam do głównego holu.

W recepcji zapytałam monsieur Henriego, czy doktor Etienne Duverger jest, albo był gościem hotelu de la Palmeraie. Czułam ból, gdy nerwowo ścisnęłam własne palce, a gdy monsieur Henri potrząsnął głową, opuściłam ręce i rozplotłam dłonie.

- Na pewno? - spytałam.

Monsieur Henri patrzył na mnie o sekundę za długo.

- Zapewniam panią, mademoiselle, że nigdy tu nie mieszkał! Pracuję w tym hotelu od dnia jego otwarcia ponad pięć lat temu i mam doskonałą pamięć!

Spojrzałam na książkę meldunkową.

- Może w ostatnim okresie? - zagadnęłam niepewnie. - Mógłby pan sprawdzić, z łaski swojej? Może ktoś inny był w recepcji, kiedy przyjechał albo...

Monsieur Henri zamknął dużą książkę powolnym, zdecydowanym ruchem, na tyle zdecydowanym, że poczułam na twarzy lekkie uderzenie ciepłego powietrza.

- To najzupełniej zbędne - odparł. - Naprawdę znam naszą klientelę, jak już pani mówiłem, mademoiselle O'Shea! Niektórzy goście

mieszkają tu od paru lat, ponieważ wolą swobodę i komfort hotelu od skomplikowanych zabiegów, związanych z wynajmowaniem domu w dzielnicy francuskiej ... Milczałam.

- Biurokratyczne procedury zakupu ziemi czy domu w Maroku są przestarzałe i śmieszne - dodał, mierząc mnie uważnym spojrzeniem. - Mam nadzieję, że zyskała pani pewność, mademoiselle, iż doktor Etienne Duverger nigdy nie był u nas gościem!

- Dziękuję - odparłam cicho i odwróciłam się już żeby odejść, lecz nagle przystanęłam. - A Manon Duverger? Wiem, że mieszka w Marrakeszu, na pewno tutaj, w La Ville Nouvelle... Znają pan może?

Znowu potrząsnął głową.

- Nie znam nikogo o tym nazwisku, ale...

-Tak? - Zawróciłam do lady, pewnie trochę zbyt pośpiesznie.

- Proszę zapytać w Urzędzie Statystycznym na rue Arles, mają tam listę wszystkich właścicieli domów w Marrakeszu. - Wyjął spod lady małą złożoną mapę.

Nie miałam pojęcia, dlaczego nagle stał się bardziej pomocny.

- Oto mapa dzielnicy francuskiej. Z nią łatwiej będzie pani znaleźć drogę.

- Dziękuję, monsieur Henri! Naprawdę jestem wdzięczna za pomoc...

Skinął głową lekko i wyniośle i zajął się napełnianiem wiecznego pióra atramentem.

Wychodząc, zauważyłam serię akwrel, wiszących na jednej ścianie holu. Spieszyło mi się, ale jednak im się przyjrzałam. Ich autorami było kilku francuskich malarzy o zupełnie nieznanym mi nazwiskach, lecz niektóre obrazki w całkiem

udany sposób oddawały niezwykłą barwę światła w scenach z codziennego życia w Maroku. Kilka przedstawiało sylwetki Berberów w ich zbudowanych z gliny wioskach i wędrownych namiotach.

Natychmiast przypomniał mi się Błękitny Człowiek na piste.

Szłam ulicą tak szybko, że rozboleła mnie noga i musiałam zwolnić, cały czas miałam jednak uczucie, że pośpiech jest absolutnie konieczny i trudno mi było zwolnić krok.

W głowie kłębił mi się natłok myśli, lecz mimo to widziałam wszystko, co działo się dookoła. Wszystkie sklepy i ulice miały nazwy francuskie, tylko pod niektórymi umieszczono mniejsze arabskie znaki. Większość nie Arabów na ulicach stanowili mieszkający i pracujący w La Ville Nouvelle Francuzi. Mężczyźni w garniturach i kapeluszach ściskali pod pachami teczki i zmierali gdzieś zdecydowanym krokiem, natomiast Francuzki najczęściej przechadzały się parami, niektóre z torbami na zakupy, ubrane w ładne letnie sukienki, pantofelki na obcasach, kapelusze i rękawiczki. Dopiero po długiej chwili zwróciłam uwagę, że kiedy czasem jakiś Marokańczyk mijał Francuzów, przystawał na moment i salutował.

Kilka razy Arabowie zaglądali mi w twarz z wyraźną niepewnością i szybko mnie mijali. Na ulicach dzielnicy francuskiej nie było Arabek, nie spotkałam też zresztą ani jednej od początku mojego pobytu w Marrakeszu.

Z łatwością znalazłam rue Arles i czekałam chwilę, podczas gdy urzędnik szukał nazwiska Duverger.

- Tak - powiedział, a ja natychmiast nachyliłam się ku niemu. - Duvergerowie mieli dom przy rue des Chevaux, ale... -zawahał się i zmrużył powieki, przesuając palcem wzdłuż wydrukowanej linii. - Ale sprzedali go parę lat temu - dokończył.

239

- Teraz posiadłość należy do rodziny nazwiskiem Mauchamp. - Podniósł wzrok. - To wszystko, co tu mam... Nie ma tu żadnego aktualnego zapisu, który wskazywałby, że ktoś o nazwisku Duverger jest właścicielem domu w tej dzielnicy.

Podziękowałam mu i wyszłam na ulicę. Co miałam teraz zrobić? Niemożliwe, żebym tak szybko znalazła się w ślepej uliczce. Ktoś musiał znać Etienne'a Duvergera! Mieszkał przecież tutaj, jego rodzice umarli w Marrakeszu i zostali tu pochowani, podobnie jak jego młodszy brat Guillaume. No i ktoś na pewno znał Manon Duverger.

Wędrując krętymi uliczkami, uważnie studiowałam mapkę, którą dał mi monsieur Henri. W miarę jak coraz bardziej zagłębiałam się w dzielnicę francuską, z różnych punktów oglądałam czerwone wały, otaczające medynę. Były to potężne, solidne mury, bez żadnych otworów czy przerw, poza dziwnymi okrągłymi okienkami poniżej górnej krawędzi, i chociaż słyszałam dobiegające z drugiej strony okrzyki i nawoływania, nie potrafiłam odgadnąć, którędy wchodzi się na teren starego miasta.

Ponad wszystkimi budowlami górował olbrzymi czerwony meczet, złożony z czterech czworokątnych części. Podążałam ku niemu jak przyciągana magnesem, przekonana, że tak wielki budynek musi odgrywać ważną rolę w tym dość nisko zabudowanym, płaskim mieście, ale zanim do niego dotarłam, natknęłam się na szeroko otwarte bramy z wysokimi portalami. Portale zdobiły arabskie napisy.

Zorientowałam się, że jest to główne wejście na stare miasto, do medyny Marrakeszu.

Przystanęłam pod bramą i zajrzałam do środka. Wszędzie kręcili się mężczyźni i chłopcy, niektórzy prowadzili osły i nieduże konie, zaprzężone do wozów i wózków załadowanych wszelkiego rodzaju towarami. Twarze tych ludzi od razu zafascynowały mnie swoją różnorodnością. Wymieszanie ras

240

było tu jeszcze wyraźniejsze niż w Tangerze, Sale czy osadach, które mijaliśmy w bied. W Marrakeszu nie brakowało ludzi o skórze tak jasnej, że bez trudu mogliby uchodzić za Europejczyków czy Żydów, o pociągłych, wąskich twarzach i jasnobrązowych lub rudych brodach, z głowami przykrytymi turbanami. Byli tu także Berberowie z pustyni, o wyrazistych, rzeźbionych rysach, wysokich kościach policzkowych i skórze pociemniałej od słońca, a także mężczyźni o prawie hebanowej skórze i czarnych, mocno poskręcanych włosach, pewnie niewolnicy albo potomkowie niewolników.

Przypomniałam sobie swoją reakcję, gdy Etienne powiedział mi o niewolnikach w Maroku.

- Zaraz po założeniu protektoratu francuski rząd zabronił kupowania nowych niewolników, ale Marokańczycy nadal korzystają z pracy niewolniczej - mówił. - Wielu z tych nieszczęśników to potomkowie mieszkańców Afryki z terenów wokół Sahary, których od wieków sprowadzano do Maroka szlakami karawan. W Marrakeszu jest ich wielka liczba.

Wspomnienie tamtej rozmowy uświadomiło mi, że nie ma sensu szukać Etienne'a w medynie, ponieważ mieszkali tam wyłącznie rdzenni Marokańczycy.

- Madame! - usłyszałam nagle głośny okrzyk. Odwróciłam się w kierunku głosu i ujrzałam kilka konnych

dorożek, stojących wzdłuż alei wiodącej do medyny. Widziałam dorożki wszędzie w dzielnicy francuskiej - marokański woźnica poganiał konie, a w bryczce siedzieli Francuzi. Teraz jeden z woźniców biegł w moją stronę.

- Madame, un tour de caleche! Proszę przejechać się dorożką, pokażę pani Marrakesz, zawiozę wszędzie, gdzie pani zechce! - Wyciągnął rękę, obdarzając mnie szerokim i trochę nienaturalnym uśmiechem.

Potrząsnęłam głową i zrobiłam krok do tyłu.

241

Bez żadnego ostrzeżenia marokański chłopak, może piętnastoletni, wpadł na mnie i barkiem mocno uderzył mnie w ramię. Upuściłam torebkę, a woźnica dorożki krzyknął na chłopca. Kiedy podniosłam torbę i wyprostowałam się, pochwyciłam spojrzenie młodego Marokańczyka, tak pełne nienawiści, że w jednej chwili ogarnęło mnie przerażenie. Chłopak nie odezwał się, ale powoli poruszył wargami i splunął w moim kierunku, tak samo jak mężczyzna z targu w Sale. Ślina wylądowała na czubku mojego pantofla.

Przypomniałam sobie kobietę w szczelnie zasłaniającej ją szacie, która syknęła na mnie przez otwarte okno auta, gdy razem z Mustafą i Azizem przeprowałam się na drugi brzeg rzeki.

Woźnica rzucił się na chłopca i otwartą dłonią trzepnął go w ucho, a potem uklonił mi się, znowu zapraszając do dorożki. Chociaż uderzenie było chyba dość mocne, chłopak nawet się nie zachwiał. Stałam teraz między nimi dwoma, młodszym, patrzącym na mnie z zaskakującą niechęcią, i starszym, na którego twarzy malował się wyraz ostrożnego wyczekiwania.

Tamta kobieta z promu okazała mi głęboką wzdargę, ponieważ uważała mnie za rozwiązłą i niemoralną, zaczęłam się jednak zastanawiać, czy, podobnie jak ten chłopiec, nienawidziła mnie także dlatego, że widziała we mnie Francuzkę, przedstawicielkę narodu, który najechał jej kraj i podporządkował sobie jego mieszkańców.

Znowu potrząsnęłam głową i otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęłam. Potem odeszłam, tak szybko, jak tylko mogłam.

Przez całe trzy dni przeszukiwałam La Ville Nouvelle, lecz za każdym razem, gdy wymieniałam nazwisko Duverger, napotykałam obojętne spojrzenia. Obeszłam wszystkie szerokie

242

bulwary, przyglądając się willom stojącym wśród palm i drzew pomarańczowych, i codziennie poddawałam się po wielogodzinnych wyprawach, czując ból w zmęczonej nodze i biodrze. Zaglądałam do wszystkich kafejek, pytałam o Etienne'a w Polyclinique du Sud, niewielkim francuskim szpitalu i spędziłam mnóstwo czasu na głównym placu, siedząc na ławce i przyglądając się mijającym mnie Europejczykom.

Widziałam kilku mężczyzn, z tyłu dosyć podobnych do Etienne'a - szerokich w ramionach, z ciemnymi włosami opadającymi na kołnierz, zdążających gdzieś zdecydowanym, świadczącym o pewności siebie krokiem. Za każdym razem na moment robiło mi się słabo; zrywałam się z ławki i biegłam za takim mężczyzną, tylko po to, aby po paru krokach zdać sobie sprawę, że to nie Etienne. Raz byłam tak pewna swego, że dotknęłam rękawa nieznajomego, który odwrócił się i obrzucił mnie zaniepokojonym wzrokiem.

- Tak, madame? W czym mogę pani pomóc?

Moje rozczarowanie było tak wielkie, że w odpowiedzi tylko potrząsnęłam głową.

Nadzieję na odnalezienie Etienne'a i towarzyszące jej uczucie oczekiwania zastąpił teraz tępy ból zniechęcenia, cały czas powtarzałam sobie jednak, że mój ukochany na pewno jest tutaj, w Marrakeszu. Tamten list... Tyle razy wyjmowałam złożoną kartkę z torebki i czytałam słowa Manon, że papier zaczął przedzierać się na krawędziach.

Nikt nie umiał mi też pomóc w odszukaniu Manon Duverger. Nie wiedziałam, jak wygląda siostra Etienne'a i miałam świadomość, że mogła wyjść za mąż i zmienić nazwisko.

Pobyt w luksusowym hotelu de la Palmeraie w przerażającym tempie wyczerpywał moje zapasy finansowe, zdawałam więc sobie sprawę, że muszę jak najszybciej znaleźć tańsze miejsce pobytu. Mimo to, pod koniec każdego z tych pierwszych

243

trzech dni, kiedy wracałam do hotelu spocona i ledwo żywa ze zmęczenia, nie miałam dość energii, aby zabrać się do poszukiwań.

Czwarty dzień był taki sam jak pierwszy, drugi i trzeci. W południe, wyliczywszy różnicę czasu między Marokiem i Albanią, poszłam na pocztę i zamówiłam rozmowę telefoniczną ze Stanami. Po półgodzinnym oczekiwaniu zostałam wezwana do kabiny i po podniesieniu słuchawki usłyszałam głos pana Barlowa.

- Panie Barlow! - odezwałam się głośno, usiłując przekrzyczeć donośne trzaski na linii. - Panie Barlow, to ja, Sidonie!

- Sidonie! - odparł. - Skąd telefonujesz?

- Jestem w Maroku.

W słuchawce zapanowała cisza.

- Gdzie to jest?

- W Afryce Północnej... Znowu cisza.

- Dobrze się czujesz? - zapytał po chwili.

- Tak, całkiem dobrze. Chciałam zapytać... Chciałam zapytać, czy może przyszły do mnie jakieś listy.

- Listy? Zaczekaj, zaraz zawołam Norę... Chwileczkę, dobrze?

Usłyszałam, jak pan Barlow woła żonę, a potem cichy szmer rozmowy. Nerwowo postukałam paznokciami o półkę, na której stał aparat telefoniczny. Szybciej, szybciej, pani Barlow, pomyślałam, przestraszona, że połączenie lada chwila zostanie przerwane.

- Sidonie? To ty? Dlaczego jesteś w Afryce? Mówiłaś, że płyniesz do Francji. Kiedy wracasz do domu?

- Jak się pani czuje, Noro? - spytałam, nie odpowiadając na żadne z jej pytań.

244

- Dobrze... Ostatnio dużo padało i trochę...

- Czy po moim wyjeździe przyszły do mnie jakieś listy? - przerwałam jej.

- Listy?

Z wysiłkiem zapanowałam nad narastającą irytacją.

-Tak, listy! Może od doktora Duvergera, albo jakieś inne z zagranicznymi znaczkami? Czy coś w ogóle do mnie przyszło?

- Nie, ale... Czy to znaczy, że go nie znalazłaś? W takim razie dlaczego nie wracasz do domu? A tamto... A ta druga sprawa, wiesz, o co mi chodzi? Jak wszystko się układa?

Długą chwilę milczałam. Statyczne trzaski na linii brzmiały coraz głośniejsze.

- Jesteś tam, Sidonie? - Głos pani Barlow był przytłumiony i daleki.

-Tak, jestem... Czy z Cinnabar wszystko w porządku? -Teraz prawie krzyczałam.

- No, Cinnabar jest... - zaczęła pani Barlow.

W tym momencie połączenie zostało przerwane.

- Pani Barlow? - krzyknęłam do słuchawki. Odpowiedziała mi cisza, przerywana szybkimi, rytmicznymi kliknięciami.

Podeszłam do kontuaru w głównej sali, zapłaciłam za rozmowę i, zmęczona i zdenerwowana, wróciłam do hotelu. Usiadłam w fotelu w holu, nie wiedząc, co dalej robić.

Po chwili tuż przede mną przystanął pan Russell.

- Nie widzieliśmy pani w ostatnich dniach, panno O'Shea -odezwał się. - Nawet w jadalni.

Uśmiechnęłam się słabo.

-Tak, byłam trochę zajęta... Dlatego jadłam posiłki albo w swoim pokoju, albo... - Umilkłam, uświadomiwszy sobie, że ostatnio w ogóle bardzo mało jadłam.

245

- Pani Russell i ja wyjeżdżamy jutro do Essourii, ale dziś po południu chcielibyśmy jeszcze wybrać się do Ogrodów Majorelle - powiedział. - To park w trochę dalszej, północno zachodniej części miasta... Zna go pani?

Potrząsnęłam głową.

- Widzi pani te obrazki? - spytał, wskazując akwarele na ścianie. - Są na sprzedaż - dużo osób, które się tu zatrzymuje, chętnie zabiera ze sobą do domu sceny z Maroka. Unepassion Marocaine, tak nazywają swoje upodobanie do tego kraju. Te akwarelki cieszą się dużą popularnością, chociaż są dość drogie. Niektóre z nich namalował Jacques Majorelle.

Nie odpowiedziałam. Nie byłam zainteresowana dyskusją na temat malarstwa, ale pan Russell uwielbiał gadać.

- Majorelle to niezły artysta, a te orientalne obrazki naprawdę dobrze mu wychodzą. I, jak już mówiłem, wielu turystów kupuje tego rodzaju rzeczy. Ale chodziło mi o coś innego - otóż parę lat temu Majorelle wpadł na pomysł urządzenia publicznego parku w Marrakeszu. Kupił kilka akrów na obrzeżach miasta, porośniętych palmami daktylowymi i obsadził cały teren kaktusami, bananowcami, drzewami iglastymi, palmami bambusowymi i innymi roślinami. Podobno sprowadził tu kilkadziesiąt gatunków palm. W niektórych częściach parku prace ogrodnicze jeszcze trwają, bo Majorelle stara się ściągnąć wszystkie możliwe drzewa, krzewy i rośliny, jakie są w stanie rosnąć w tym klimacie...

W nagłej ciszy uświadomiłam sobie, że jeśli nie chcę być nieuprzejma, muszę odpowiedzieć panu Russellowi, który stał przede mną i wyraźnie czekał na jakąś reakcję z mojej strony.

- Więc pan Majorelle już nie para się malarstwem?

Pan Russell machnął ręką, jakby to pytanie nie zasługiwało na szczególną uwagę.

- Mówiono mi, że jest to jego uboczne zajęcie, zresztą poza

246

Marrakeszem jego obrazy raczej nie są znane. Tak czy inaczej, może miałaby pani ochotę zwiedzić ten park razem z nami, panno O'Shea? Myślę, że będzie to przyjemne popołudnie.

- Och, nie, nie powinnam... - zaczęłam i nagle przerwałam.

Myśl o spędzeniu paru godzin w pięknym parku, z dala od ruchliwych, pulsujących upałem ulic, wydała mi się niezwykle kusząca. Wiedziałam też, że nie mam dość siły, aby tego dnia kontynuować poszukiwania. Może dobrze mi zrobi, jeśli na to jedno popołudnie skupię uwagę na czymś innym niż pogoń za Etienne'em?

- Dziękuję - powiedziałam. - Bardzo dziękuję za propozycję, naprawdę chętnie z państwem pojedę!

Pojechaliśmy do ogrodów wynajętą przez pana Russella caleche. Ledwo usadowiliśmy się na obitych skórą siedzeniach, a już pan Russell zapalił cygaro i wrócił do swojego wykładu na temat Jacques'a Majorelle'a, zupełnie jakby nasza wcześniejsza rozmowa trwała w najlepsze. Jego żona odzywała się raczej rzadko.

- Podobno Majorelle ma ogromne studio na terenie parku, a także wielką ptaszarnię! Postanowił, że jego ogrody będą oazą spokoju i piękna w samym sercu hałaśliwego, ruchliwego miasta.

Zaciągnął się cygarem i po chwili aromatyczny dym uniósł się nad jego głową. Kiedy znowu zaczął mówić, udało mi się wyłączyć i tylko co jakiś czas z uprzejmym uśmiechem kiwałam głową. Gdy skręciliśmy na północny zachód, woźnica caleche kilka razy strzelił z bata, kreśląc arabeski nad grzbietami dwóch koni, ale ani razu ich nie dotykając.

Zapatrzyłam się na kolumnkę dymu z cygara pana Russella i przecinającą ją na tle błękitnego nieba linię bata.

247

Najpiękniejsza w Le Jardin Majorelle była gra cieni i przefiltrowanego przez liście drzew słońca, a także kolory wielu łuków i ogromnych glinianych donic z roślinami, pomalowanych na chyba wszystkie odcienie zieleni, żółci i błękitu. Jeden z odcieni błękitu był niezwykle intensywny i bezskutecznie próbowałam znaleźć dla niego najbardziej odpowiednią nazwę - może kobalt, lazur albo lapis lazuli, może pruski błękit, ale nic nie wydawało mi się trafione. Ten niebieski miał naprawdę niepowtarzalny odcień.

Wszystkie barwy w parku miały typowe dla Marrakeszu energetyzujące nasycenie.

Niemal zaraz po wejściu do ogrodów pan Russell przedstawił mnie mężczyźnie w białej panamie - był to monsieur Majorelle, który niezwykle uprzejmie przywitał nas w swoim parku.

- Z radością pokażę realizację mojej wizji gościom - powiedział po francusku.

Pan Russell znał trochę ten język i tłumaczył żonie słowa gospodarza. Monsieur Majorelle poprowadził nas w głąb parku cienistą ścieżką, wysypaną czerwoną gliną i w kilku miejscach krzyżującą się z innymi drózkami. Słońce przedostawało się między liśćmi wysokich, poruszanych wiatrem drzew, malując jasne plamy na naszych twarzach. Na trawnikach pracowało wielu młodych Marokańczyków w białych strojach, którzy kopali ziemię i sadzili rośliny.

-Ten park to mistyczna siła, szczególny projekt, który stworzyłem tutaj... - Pan Majorelle postukał się palcem w skroń. - Obraz, który maluję roślinnymi kształtami i formami... Rośliny to moja wielka miłość!

Było dla mnie oczywiste, że układ barw w parku ma przywołać na myśl obraz. W płytkim stawie pływały złote rybki i karpie, które na tle niebieskozielonych płytek, użytych do

248

wyłożenia dna, także przybierały morski kolor. Bez trudu rozpoznałam linie wodne i kwiaty lotosu, lecz innych widocznych na powierzchni wodnych roślin nie umiałam zidentyfikować.

- Co to takiego, panie Majorelle? - zagadnęłam, wskazując wysokie trzciny o dużych, frędzlistych głowach.

- Papiirus - odparł. - Chcę sprowadzić tu jak najwięcej roślin ze wszystkich kontynentów... Proszę przejść się po parku, serdecznie zachęcam.

Pożegnaliśmy miłego gospodarza. Pan Russell chciał zrobić fotografie aparatem firmy Brownie, który nosił zawieszony na szyi.

- Pójdę trochę dalej - powiedziałam do niego i pani Russell. - Bardzo chciałabym obejrzeć tutejsze rośliny.

Ustaliliśmy, że za godzinę spotkamy się przy wejściu do parku. Ruszyłam przed siebie, co jakiś czas dotykając pleniących się po obu stronach ścieżki żółtych kwiatów bugenwilli. Minęłam grupę mężczyzn w bieli, których łopaty głucho uderzały o czerwoną ziemię, tworząc ciekawe tło dla wysokich, melodyjnych ptasich nawoływań.

Chociaż ogrody były przepiękne, ich widok nie rozwiął mojego przygnębienia. Poza arabskimi robotnikami w parku było niewiele osób, zauważyłam jednak kruchą starszą panią, siedzącą na ławce pod bananowcem, na kolanach trzymała maleńkiego pieska o złocistej sierści. Psina miała zawiązaną na szyi sztywną różową kokardę, a jego pani głaśkała ją powykręcany przez artretyzm palcami, z których każdy ozdobiony był pierścionkiem z innym kamieniem. Natychmiast pomyślałam o Cinnabar i kojącym dotyku jej sierści.

Stojąca w cieniu ławeczka zachęcała do odpoczynku.

- Bonjour, madame - odezwałam się. - Ma pani ślicznego pieska! Mogę pogłaskać?

- Bonjour - odparła drżącym od starości głosem i spojrzała

249

na mnie spod posiwiałych brwi. - Czy my się znamy? Moje oczy... Cóż, nie widzę już tak dobrze jak dawniej.

- Nie, madame, nie znamy się. Jestem mademoiselle O'Shea - przedstawiłam się, siadając obok niej.

- Madame Odette. - Uśmiechnęła się leciutko. - A to jest Loulou...

Suczka popatrzyła na nią, wysuwając czubek różowego języczka i dysząc w upale.

- Podoba się pani ten park? - zapytałam. Uśmiech staruszki stał się prawie wesoły.

- O, tak, moja droga, przyjeżdżam tu codziennie! Syn przywozi mnie zaraz po południowym posiłku i zabiera do domu o piątej... Jest już piąta?

- Tak, dochodzi piąta, madame. Mieszka pani niedaleko? Wyciągnęłam rękę, żeby pogłaskać Loulou, ale kąciki

wargi uniosły się ostrzegawczo, więc szybko cofnęłam dłoń.

- Tak. Mieszkam w Marrakeszu od wielu lat, teraz z synem i synową. Mój mąż służył w Legii Cudzoziemskiej. Umarł dawno temu...

Przerwała i długą chwilę siedziała w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Loulou ziewnęła szeroko i poprawiła się na kolanach swojej pani.

Madame Odette znowu spojrzała na mnie.

- Moja synowa to mało sympatyczna osoba, codziennie wymyśla jakieś trudności... Męczę się, kiedy słucham, jak mówi mojemu synowi, co powinien zrobić i jak ciągle na coś narzeka. Dlatego przyjeżdżam tutaj i cieszę się panującym w parku spokojem. - Przeniosła wzrok na kępę bambusów. - Syn mnie tu przywozi - powtórzyła. - Nikt mi tu nie przeszkadza i nie muszę słuchać głosu synowej. Loulou i ja spędzamy wiele godzin wśród drzew i kwiatów.

250

Skinęłam głowę i schyliłam się, aby podnieść z ziemi kwiat bugenwilli. Zajrzałam w jego ciemnoczerwony środek.

- A pani, mademoiselle? Też mieszka pani w Marrakeszu?

- Nie - odparłam.

- Przyjechała pani z wizytą do rodziny?

Podniosłam miękki jak welwet kwiat i musnęłam nim podbródek.

- Przyjechałam odszukać kogoś, ale... - Znowu wyciągnęłam rękę do Loulou, która tym razem pozwoliła mi pogłaskać się po ucho i grzbiecie. - Ale okazuje się, że jest to bardzo skomplikowane, niestety - dokończyłam.

- Mieszkam w Marrakeszu od lat... Afrykańskie gorące powietrze dobrze robi moim kościom, chociaż chłód bijący od synowej szkodzi mojemu sercu. Tak czy inaczej, znam dużo francuskich rodzin. Mój mąż służył w Legii Cudzoziemskiej. Był taki przystojny w mundurze.

Chwilę obserwowała moje palce, przesuwające się po grzbiecie pieska.

- Jaki mamy dziś dzień? - spytała, podnosząc na mnie wzrok.

- Wtorek.

- Znosi się na deszcz? - Jej oczy były mlecznoniebieskie, zaciągnięte kataraktami.

Potrząsnęłam głowę.

- Nie wydaje mi się, madame. Jest lato. Latem w Marrakeszu raczej nie pada, prawda?

- Mieszkam tu od lat - powtórzyła. - Jestem stara i ciągle o czymś zapominam.

Ostrożnie poklepałam Loulou po łebku i wstałam.

- Syn na pewno niedługo po panią przyjdzie, madame Odette.

- Która jest godzina?

251

- Dochodzi piąta.

- Przychodzi o piątej. Czekał na mnie pod tym bananowcem, maman, mówi zawsze, więc czekam tu na niego.

- I bardzo dobrze. Do widzenia pani, do widzenia, Loulou! Ostatni raz dotknęłam jedwabistego psiego ucha. Suczka

lekko rzuciła głową, rozdrażniona, jakby chciała odpędzić muchę.

- Kogo pani szuka, mademoiselle? - Madame Odette spojrzała na mnie uważnie.

Jej twarz pokryta była plamami cienia.

- Duvergerów, madame - odparłam, nie spodziewając się logicznej odpowiedzi.

- Marcela i Adelaide?

Otworzyłam usta ze zdumienia i znowu usiadłam obok niej.

- Tak, tak, madame! Szukam rodziny Marcela Duverger! Znała ich pani? - Wciąż nie śmiałam wiązać większych nadziei z jej reakcją.

- Znałam Marcela i Adelaide, o, tak... Ich syn... Pamiętam, że doszło tam do jakiejś tragedii. Pamiętam przeszłość, mademoiselle! Pamiętam minione dni, gorzej jest z teraźniejszością. Mieli syna, tak. I zdarzyła się tragedia. Ja też mam syna.

- Ten syn Duvergerów miał na imię Guillaume... Utonął... Przyglądała mi się, z głową leciutko przechyloną na bok,

najzupełniej przytomnie, chociaż pobiełałe od katarakt źrenice sprawiały okropne wrażenie.

- Był tam i starszy syn - powiedziała.

- Etienne! - zawołałam. - Znała go pani?

- Przypominam go sobie. Był bardzo bystrym młodzieńcem. Wyjechał do Paryża.

- Tak, tak, rzeczywiście, madame! Czy... Czy może widziała go pani ostatnio?

252

Pogłaskała Loulou po piersi.

- Nie. Ale ja prawie w ogóle nie wychodzę z domu, bywam tylko tutaj. Syn nie pozwala mi teraz wychodzić samej. Jestem stara i ciągle o czymś zapominam. Duvergerowie umarli, już dawno temu, najpierw Adelaide, po niej biedny Marcel. Nie ma już Duvergerów w La Ville Nouvelle... Był lekarzem...

- Tak! Tak, Etienne jest lekarzem! - kiwnęłam głową, usiłując jakoś ją zachęcić.

- Nie, Marcel... Marcel był lekarzem, jednym z wielu, którzy pracowali dla służb wywiadowczych. Kiedy zajęliśmy Maroko, francuscy lekarze okazali się niezwykle skutecznymi agentami, pomagali w imperialnej penetracji tego kraju. - Madame Odette zniżyła głos do szeptu, jakby uszy wroga kryły się wśród otaczających nas drzew i krzaków. - Mąż często opowiadał mi o akcjach szpiegowskich. O, tak, ci lekarze nie zawsze zajmowali się wyłącznie medycyną.

Wyprostowałam się. Tak mocno nachyliłam się nad madame Odette, że czułam i odór jej sztucznych zębów, i pudrowy zapach bzu, bijący może od jej sukni, a może od Loulou. Ogarnęła mnie potężna fala rozczarowania i na moment zamknęłam oczy. Zupełnie nie obchodziło mnie, co ojciec Etienne'a robił, a czego nie robił przed wielu laty.

- Ta osoba, której pani szuka... - zaczęła staruszka. Otworzyłam oczy.

- To mężczyzna czy kobieta?

- Mężczyzna. Szukam Etienne'a Duvergera.

- Czy on chce, żeby go pani znalazła? Dłuższą chwilę przetrawiałam jej pytanie.

- Czy chce? - powtórzyłam. Uśmiechnęła się dziwnie.

- Czasami... Cóż, czasami nie można kogoś znaleźć dlatego,

253

że się ukrywa... Znam od męża wiele historii o ludziach, którzy nie życzyli sobie, aby ich znalezione!

Miałam świadomość, że wcześniej zdecydowanie odrzucałam taką możliwość, chociaż od mojego przyjazdu do Marrakeszu ta myśl co jakiś czas uparcie wypęzła z najmroczniejszego zakątka mojego umysłu - że Etienne przebywa w tym mieście i że widział mnie, ale nie podszedł do mnie, ponieważ, jak ujęła to madame Odette, nie chce, abym go znalazła.

- A co z córką Duvergerów? - spytałam, usiłując jak najszybciej pozbyć się tej okropnej i dziwacznej myśli. - Czy ona również wyjechała?

Madame Odette zmarszczyła brwi.

- Córka?

- Manon - odparłam. - Manon Duverger... Starsza pani potrząsnęła głową.

- Nie przypominam sobie, aby mieli córkę.

- Możliwe, że wyszła za mąż i zmieniła nazwisko - podsunęłam.

- Ma na imię Marie?

- Manon.

- Znam Manon Albemarle - powiedziała. Otworzyłam usta i znowu nachyliłam się w jej stronę.

- Ta Manon jest jeszcze młoda, ma z pięćdziesiąt pięć lat, nie więcej... Jest w wieku mojego syna.

Opuściłam ramiona.

- To nie ona! Manon Duverger jest o wiele młodsza. Byłam przekonana, że mieszka tutaj, w La Ville Nouvelle!

- Mnóstwo rzeczy wylatuje mi teraz z głowy - wyznała madame Odette. - Mnóstwo rzeczy...

Mała suczka znowu ziewnęła szeroko, tym razem zamykając pyszczek z głośnym szczęknięciem drobniutkich ząbków. -Ma chérie... - Staruszka pogłaskała Loulou z trochę

254

większą energią. - Jakoś zupełnie nie pamiętam tej Manon. Sądzi pani, że ona mieszka tutaj, w Marrakeszu?

- Mieszkała tu jeszcze parę miesięcy temu - pomyślałam o złożonym liście, który ciągle nosiłam w torebce.

- I na pewno w La Ville Nouvelle?

-Tak mi się wydawało! Przecież to Francuzka!

- W Marrakeszu mieszka wiele rodzajów Francuzek, mademoiselle...

Nie zrozumiałam. Wyraz oczu madame Odette stał się nagle trudny do rozszyfrowania.

-Może... Może się zarabiła! Może przeprowadziła się do medyny i mieszka wśród Arabów. - Starsza pani zbliżyła twarz do mojej. -Wie pani, takie rzeczy się zdarzają... Niejedna Francuzka całkiem straciła głowę dla mężczyzny...

- Uważa pani, że ona może mieszkać w medynie? Nie wydaje mi się.

Przerwałam. Nie wiedziałam nic o Manon.

- Powinna pani popytać w medynie, wśród Marokańczyków! Po tej stronie murów osiedlają się tylko emigranci, rdzenni Marokańczycy nie mieszkają w La Ville Nouvelle. Biedni czy bogaci, wszyscy oni mieszkają na terenie starego miasta, nawet piękne domy i haremy sułtanów oraz arabskich arystokratów, te ich riady z cudownymi ogrodami znajdują się po tamtej stronie murów.

W murach medyny... Pomyślałam o Dżemma el Fna.

- Medyna jest duża - powiedziałam. - Jak mam zacząć tam szukać?

-Tak, medyna jest ogromna. Musi pani przejść przez suki aż do małych uliczek, które biegną we wszystkich kierunkach. To dziwne uliczki, raczej coś w rodzaju alejek, wąskich i ciemnych. Domy nie mają okien w zewnętrznych ścianach, bo tubylcy uważają, że nie powinny rzucać się w oczy.

Mężczyźni

255

trzymają tu swoje skarby w ukryciu, podobnie jak kobiety. -Madame Odette wzięła głęboki oddech. - Proszę zawsze szukać wzrokiem minaretu La Koutoubia, przy najwyższym meczecie, tuż przy bramie medyny... „Koutoubia” znaczy „księgarz”, bo dawniej sprzedawcy książek handlowali u stóp tego meczetu.

Umilkła i skupiła się na głaskaniu Loulou. Siedziała przygarbiona, z zamkniętymi oczami, jakby wyjaśnienie mi tego wszystkiego kompletnie wyczerpało jej siły. Wiedziałam, że mówiła o imponującym czerwonym meczecie, na który już wcześniej zwróciłam uwagę.

- Kiedy traci się z oczu La Koutoubia, łatwo można się zgubić - podjęła po chwili. - Gdy ktoś zanurzy się w uliczkach medyny, prawie na pewno nie trafi do wyjścia... Sama kiedyś się tam zgubiłam. - Podniosła powieki. - Jaki mamy dziś dzień?

Położyłam rękę na ramieniu starszej pani.

- Wtorek, madame Odette.

- Od wielu lat nie byłam w medynie! Mój syn nie chce, żebym sama wychodziła z domu. Jestem stara...

- Dziękuję pani! - Powoli podniosłam się z ławki. - Bardzo dziękuję za pomoc, madame!

Spojrzała w niebo.

- Och, teraz nie powinna pani wybierać się do medyny, jest już za późno - powiedziała. - Lepiej nie chodzić tam po zmierzchu, proszę mi wierzyć...

- Dobrze, pójdę tam jutro, za dnia! - Uśmiechnęłam się do niej. - Jeszcze raz dziękuję.

- Mam syna, wie pani, mademoiselle? - oznajmiła madame Odette. - Przychodzi po mnie o piątej. A pani, ma pani syna? - zawołała za mną.

To ostatnie pytanie wbiło się we mnie niczym ostry hak.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY.

Następnego dnia rano znowu, już po raz drugi, stanęłam pod wysokimi bramami medyny. Powtarzałam sobie, że stare miasto wcale nie wygląda niebezpiecznie. Obejrzałam się przez ramię na ulicę dzielnicy francuskiej, mocno ścisnęłam torebkę w rękę i przekroczyłam bramę. Miałam nadzieję,

że sprawiam wrażenie osoby, która wie, dokąd idzie i czego szuka, nie takiej, która tylko udaje, że się nie boi.

Wreszcie zobaczyłam Marokanki, chociaż - jak wszędzie - tu także widać było tylko ich oczy ponad zasłoną. Ich ciała całkowicie okrywały białe tkaniny (wiedziałam, że noszą nazwę haik), udrapowane na głowach i opadające aż do ziemi. Miały też na sobie luźną dzienną szatę, zwaną kaftanem. W oknach wystawowych niektórych sklepów w La Ville Nouvelle widywałam kaftany z pasiastego jedwabiu, ciasno ściągnięte w talii szerokimi pasami - niektóre Francuzki kupowały je dla kaprysu, a może dla wygody, ponieważ były przewiewne i doskonale nadawały się do noszenia w domu.

Większość Marokanek w medynie nosiła duże torby z grubo tkanych materiałów na ramieniu, wiele dźwigało na plecach zawiązane w szalach niemowlęta, podczas gdy małe dzieci trzymały się ich szat, szybko drepcząc, aby dotrzymać matkom kroku. Dopiero po chwili zwróciłam uwagę, że

257

każdej kobiecie towarzyszy mężczyzna albo wyrostek, idący przed nią lub za nią. Ani razu nie widziałam kobiety samej, bez męskiej eskorty.

Bardzo szybko dotarło do mnie, że mężczyźni patrzą w moją stronę z zainteresowaniem, a kobiety omijają mnie szerokim łukiem.

Doskonale pamiętałam ostrzeżenia pana Russella, ale przecież nie miałam nikogo, z kim mogłabym tu przyjść. Nawet gdyby państwo Russell wczesnym rankiem nie wyjechali do Essourii, w żadnym razie nie poprosiłabym ich, żeby mi towarzyszyli. Musiałabym im wyjaśnić, dlaczego szukam w medynie kobiety, która nazywa się Manon Duverger, a nie miałam najmniejszej ochoty rozmawiać z nikim o swojej sytuacji.

Patrząc prosto przed siebie, zaczęłam przeciskać się wśród tłumów w wąskiej uliczce. Nie wiedziałam, dokąd idę, ale powiedziałam sobie, że głębiej zastanowię się dopiero nad swoim następnym ruchem.

Ta pierwsza ulica była kompletnie zaciéniona zniszczonymi słomianymi matami albo markizami z materiałów tak wyblakłych, że wydawały się prawie zupełnie bezbarwne. Pod matami stały stoliki z wszelkimi możliwymi towarami, także takimi, których przeznaczenia nawet nie byłam w stanie sobie wyobrazić; tu i ówdzie między stolikami leżały na ziemi postrzępione kawałki dywanów, a na nich również rzeczy do sprzedania.

Były tu kaftany i dzellaby we wszystkich kolorach i z rozmaitych tkanin, a z haczyków na straganach zwisały setki babouches, skórzanych kłapek, farbowanych na rozmaite odcienie żółtego, pomarańczowego i czerwonego. Obok stały imbryczki i czajniki z wielbłądziej kości oraz flaszeczki z perfumami pachnącymi jaśminem, piżmem i drzewem sandałowym, dalej leżały czerwone fezy.

258

Mijałam tace z ciasteczkami i innymi słodyczami, soczystymi daktylami i figami oraz klatki z żywymi kurczętami i gołębiami. Chmury bzyzących much obsiadały dosłownie wszystko.

Nagle wyszłam na duży, otwarty plac, wzdłuż jego brzegów stały stragany i kioski. Był naprawdę ogromny, na pewno zajmował powierzchnię odpowiadającą co najmniej trzem przecznicom.

Wszędzie kłębiły się tłumy, a pośrodku placu kupcy rozstawiali swoje stoiska. Wiedziałam, że dotarłam do Dżemma el Fna. Mężczyźni rozwijali dywany i chodniki, zdejmowali zakryte kosze z zaprzężonych w osły wózków, inni układali piramidy pomarańczy na drewnianych tacach albo przekładali z garnków do plecionych koszyków parujące wzgórki ślimaków.

Nie śmiałam przejść przez środek placu, gdyż i tak czułam, że zanadto zwracam na siebie uwagę, postanowiłam więc obejść go dookoła. Musiałam wyminąć człowieka pochylonego nad opartą na kolanach tabliczką i piszącego coś na wąskim kawałku papieru, podczas gdy wyraźnie zrozpaczony młody mężczyzna, który przykucnął przed nim na ziemi, tłumaczył mu coś cicho. Obok piszącego leżał na ziemi niewielki płócienny kwadrat, a na nim kilka monet. Młodzieniec otarł twarz rękawem džellaby, a gdy ten starszy podał mu zapisany kawałek papieru, rzucił monetę na płótno. Skryba, pomyślałam. Pisał list, który podyktował mu młodszy mężczyzna.

Tłum gęstniał teraz nawet na krawędziach placu. Przechodnie popychali mnie i tręcali, najczęściej pewnie przypadkowo, ponieważ akurat znalazłam się między nimi, ale kilka razy chyba jednak rozmyślnie. Nie chciałam słuchać wewnętrznego głosu, który mówił mi, że powinnam jak najszybciej odejść, bo nie jestem tu mile widziana.

Jednak nie miałam wyboru, wyczerpałam już wszystkie

259

inne możliwości. Postanowiłam zostać w medynie i w jakiś sposób dowiedzieć się, czy Manon rzeczywiście tu mieszka. Nie miałam innego planu ani pomysłu, musiałam po prostu rozpytywać o Duvergerów.

Nagle dobiegł mnie zdecydowany, donośny głos. Spojrzałam nad głowami otaczających mnie Marokańczyków i zobaczyłam stojącego na skrzyni człowieka wyraźnie przejętego, energicznie wymachującego rękami. Ubrany był we wspaniałą szatę z brązowo niebieskiego welwetu, zupełnie inną od zwyczajnych džellab kręcących się po placu mężczyzn. Wokół niego przysiadło na ziemi kilkunastu ludzi, niektórzy wpatrywali się w niego z otwartymi ustami. Inni stali, lecz wszyscy sprawiali wrażenie całkowicie pochłoniętych i zasłuchanych. Mężczyzna na skrzyni mówił i mówił, czasami coś wykrzykiwał, żywo gestykulował, potrząsał albo kiwał głową. W końcu uświadomiłam sobie, że opowiada jakąś historię. Przed nim leżał kawałek ciemnego płótna, a na nim lśniły monety, tak jak przed pisarzem. Miałam więc okazję zobaczyć zawodowego bazarza.

Nieco dalej natknęłam się na siedzącego na ziemi człowieka, przed którym leżała szmatka wypełniona wyrwanymi zębami różnej wielkości. Niektóre były spróchniałe i poczerniałe, inne zdrowe, z długimi, ostro zakończonymi korzeniami. Gdy zauważył, że przyglądam się jego kolekcji, uniósł w górę zardzewiałe obcęgi i znacząco postukał nimi we własne przednie zęby, otwierając i zamykając metalowy instrument. Pośpiesznie odwróciłam się i odeszłam. Miałam już dosyć scen z Dżemma el Fna.

Ruszyłam jedną z alejek odchodzących od placu, który stanowił środek koła, uliczki były szprychami. Znalazłam się teraz wśród suków i rozglądałam się nerwowo, usiłując wypatrzeć jakieś charakterystyczne punkty, żeby później móc

260

wrócić na główny plac. Wszędzie widziałam stragany i malutkie sklepiki, a przed każdym stał sprzedawca albo właściciel. Minęło trochę czasu, zanim się zorientowałam, że sukiby były podzielone na rzemiosła - w jednej alejce sprzedawali swoje produkty tkacze, w następnej złotnicy, a trochę dalej kowale. Zauważyłam też sprzedawców dywanów i perfum. W innej alejce zobaczyłam stożki usypane z przypraw we wszystkich odcieniach czerwieni, żółci, brązu i zieleni, których aromaty łączyły się w najbardziej niesamowitą mieszankę. Handlarze chodzili między stoiskami, wołając coś do siebie, a czasami do mnie.

- Venez ici, madame! - zachęcali. - Proszę tutaj!

Wymyśliłam, że będę zatrzymywała kobiety i pytała, czy nie znają Manon Duverger, lecz zaraz po przekroczeniu bramy wiodącej na stare miasto zrozumiałam, że mój plan skazany jest na porażkę. Marokanki mijaly mnie szybkim krokiem, niektóre zagadywały spod zasłon do swoich towarzyszek, lecz ich ciemne oczy patrzyły niechętnie i oskarżycielsko, dając mi do zrozumienia, że jestem wśród nich obca.

Przystanęłam i rozejrzałam się. Nie byłam pewna, czy na ostatnim rogu skręciłam w lewo, czy w prawo... Podniosłam wzrok, szukając wieży La Koutoubia, ale przez dziury w trzciniowych markizach widziałam tylko pasy błękitnego nieba.

Rozejrzałam się jeszcze raz dookoła, niepewna, czy potrafię wrócić na plac. Nagle zaczęło mi się wydawać, że oczy wszystkich mężczyzn utkwiłone są we mnie, a kobiety przepychają się, jakby ostrzegawczo trącając mnie w ramię albo w biodro.

Zbliżyłam się do straganów, uciekając ze środka zatłoczonych, wąskich uliczek. Co jakiś czas zza stoiska wyskakiwał właściciel i odzywał się do mnie po arabsku lub francusku, próbując sprzedać mi szal, zdobione ręczne lustro, torbę suszonych różanych pączków albo mięty na herbatę. Każdego pytałam

261

o Duvergerów. Niektórzy wzruszali ramionami, może dlatego, że nie znali Duvergerów, nie mówili po francusku albo nie chcieli odpowiadać, skoro ja nic od nich nie kupowałam, inni kręcili głowami, lecz zdecydowana większość ignorowała moje pytania, zainteresowana wyłącznie tym, aby sprzedać jakiś towar.

Byłam spocona i spragniona, kręciło mi się w głowie ze zmęczenia. Popęłniłam błąd, przychodząc tutaj i na ślepo szukając kobiety, której w ogóle nie znałam. Myśl o powrocie do cichego i czystego pokoju w hotelu była teraz jak najcudowniejsze marzenie; czułam, że odetchnę dopiero w chwili, gdy znowu przekroczyć bramę i znajdę się w dzielnicy francuskiej.

Nie potrafiłam pozbyć się wrażenia, że wszyscy przyglądają mi się podejrzliwie. Przystanęłam i obróciłam się wokół własnej osi, starając się zorientować, gdzie jestem.

Nagle ktoś szarpnął mnie za spódnicę. Krzyknęłam cicho - troje małych dzieci, najwyżej cztero czy pięcioletnich, stało koło mnie, pchając sobie brudne palce do ust.

- Manger, madame! - wołały. - Jeść! Manger, madame! Otworzyłam portmonetkę, żeby dać im parę monet

i wtedy najmniejsze z dzieci podskoczyło wysoko, jakby zamierzało mi ją wyrwać. Odruchowo przycisnęłam portmonetkę do piersi.

- Bonbon, madame, bonbon! - Malec rozpląkał się żałośnie. - Cukierka, chcę cukierka, proszę pani!

- Zaczekajcie, zaczekajcie! - powiedziałam. - Nie mam cukierków.

Rzuciłam kilka sou na ziemię, ponieważ dzieci wciąż szarpały mnie za spódnicę i podskakiwały w miejscu, a kiedy schyliły się, żeby pozbierać pieniądze, wyrwałam się i pobiegłam przed siebie. Szybko spostrzegłam, że biegnie za mną jeszcze więcej dzieciaków, które próbują złapać mnie za sukienkę.

262

Starłam się je zignorować, bo w portmonetce miałam już tylko dwa sou - wolałam nie brać ze sobą więcej.

- Non, non! - krzyknęłam, usiłując się uwolnić. Dotarłam do końca alejki i nagle odkryłam, że wróciłam

na Dżemmal el Fna, lecz dzieciaki nie ustępowały. Bezradnie odpychałam ich dłonie i wtedy poczułam, jak coś przeleciało w powietrzu tuż obok mojego ucha i spoczęło na moim ramieniu. Zaskoczona i przestraszona, odwróciłam głowę i spojrzałam prosto w malutki, nadąsany pyszczek. Krzyknęłam, a małe stworzenie wrzasnęło w odpowiedzi, tak głośno, że na moment ogłuchłam. To małpka, powiedziałam sobie, tylko małpka.

Dzieci nadal piszczały rozpaczliwie i napierały na mnie ze wszystkich stron. Małpa ciągnęła mnie za włosy. Nie mogłam złapać tchu ani wydobyć głosu z krtani.

Ktoś krzyknął coś po arabsku i dzieci rozbiegły się w jednej chwili. Stałam tam, trzęsąc się jak w febrze, z twarzą mokrą od potu, z małpką na ramieniu.

- Ach, madame, ma pani wielkie szczęście! - odezwał się mężczyzna, który przegonił dzieci.

Trzymał w ręku długi łańcuch, którego drugi koniec przymocowany był do skórzanej obroży na szyi małpki.

- Jestem Mohammed, a moja małpka, Hasi, wybrała panią! - oświadczył. - Wystarczy, że da mi pani jedno sou, tylko jedno sou, madame, aby pani szczęście uległo potrojeniu! Ach, to błogosławiony dzień, szczególnie dla pani! Hasi wybrał panią, ponieważ wie, że ma pani dobre serce! Hasi naprawdę to wie, proszę mi wierzyć, bo zbliża się tylko do dobrych ludzi!

Nie miałam ani odrobiny wątpliwości, że Hasi skoczy na ramię każdego, kogo wskaże mu Mohammed. Teraz małpka zgrabnie ześliznęła się po mojej ręce, cały czas patrząc mi w oczy. Dostrzegłam, że obroża wrzyna się w cieką szyjkę, że

263

już wytarła tam sierść i podrażniła skórę. Hasi obnażył ostre ząbki w grymasie mającym naśladować uśmiech i wyciągnął małą łapkę, dłonią do góry.

- Madame, musi pani zapragnąć tego szczęścia! - Oczy Mohammeda były małe i oleiste. - Tylko głupiec mógłby odrzucić taką szansę! Przekonaj tę dobrą panią, Hasi, że nie wolno jej zaprzepaścić tak wspaniałej możliwości!

Z gardła Hasiego wydobył się smętny, bulgoczący dźwięk, a jego palce, nie większe niż zapałki, lekko szarpnęły mój rękaw.

Sięgnęłam do torebki, położyłam monetę na tej drobniutkiej, prawie ludzkiej dłoni i natychmiast zostałam nagrodzona przenikliwym, ogłuszającym piskiem. Hasi znowu wdrapał mi się na ramię, tym razem tylko po to, aby odbić się i jednym długim skokiem wylądować na piersi Mohammeda. Przy okazji zadrapał mnie w szyję. Wszystko to razem było starannie wyuczone i przećwiczone - Hasi wsunął monetę do kieszeni kamizelki Mohammeda, a potem przycisnął ząbki do ucha swego pana, znowu rozpaczliwie się wykrzywił i coś zabulgotał. Mohammed z powagą skinął głową.

- Madame, Hasi poinformował mnie właśnie, że w pani życiu zajdzie zmiana, bardzo istotna zmiana! Dokona się to tutaj, w Maroku!

Wiedziałam, że to bzdury, a jednak nie potrafiłam się powstrzymać. Szyja wciąż piekła mnie od zadrapania pazurkiem małpy.

- Jaka zmiana?

Mohammed potarł kciuk o wskazujący palec.

- Hasi musi dostać jeszcze jedno sou, żeby sprecyzować swoją wiedzę - oznajmił.

Wygrzebałam z portmonetki ostatnią monetę i włożyłam ją w małe czarne paluszki. Sou natychmiast zniknęło w kieszeni

264

kamizelki Mohammeda i cała procedura z udawanym gadaniem do ucha została powtórzona.

-Ach, tak... Nigdy dotąd nie słyszałem takiej historii od Hasiego, madame! To naprawdę ciekawe! Przyjechała pani do Marrakeszu, aby coś odszukać! Wcześniej coś pani straciła, coś niezwykle ważnego, mam rację? Pani twarz mówi mi wyraźnie, że wie pani, co Hasi ma na myśli!

Po chwili milczenia potrząsnęłam głową, pewna, że Mohammed opowiada tę historyjkę każdemu cudzoziemcowi. Nie chciałam, aby dowiedział się, że w moim przypadku trafił w sedno.

- Yraiment? Mam rację, madame? Nie zaprzecza pani, prawda? Bo Hasi powiedział mi jeszcze, że jest pani smutna, ale to szybko się zmieni! Bardzo szybko! Pod Krzyżem Południa zrozumie pani, że to, czego pani szuka, może przybrać inną postać... I możliwe, że z początku trudno będzie pani to rozpoznać!

- Pod Krzyżem Południa? Mohammed zerknął w niebo.

- To konstelacja gwiazd, madame, widoczna tutaj, w Afryce! Krzyż Południa! Trzeba szukać jej na nocnym niebie! Tak więc pod Krzyżem Południa znajdzie pani to, czego szuka, ale proszę pamiętać, bardzo proszę pamiętać, że istnieją Inni, istnieją dżiny! Dżiny ukrywają się w ludzkim ciele, więc proszę bardzo uważać, proszę zachować ostrożność i dokonać mądrego wyboru!

Hasi wrzasnął, podskakując na ramieniu Mohammeda. Zamknęłam oczy, lecz pod powiekami natychmiast pojawiły się obrazy, które wołałabym wyrzucić z pamięci - niewesoły grymas Hasiiego, jego rozarty pyszczek i drobne ostre ząbki, potem otwarte usta żebrzących dzieci, wyrwane zęby na kawałku płótna i uśmiechniętego „dentystę” z obcęgami.

265

Otworzyłam oczy i zobaczyłam rząd obdartych ze skóry głów. Przemknęła mi straszna myśl, że to może głowy, o których mówił pan Russel. Żołądek skurczył mi się boleśnie i przeżegnałam się instynktownie. W następnej chwili dotarło do mnie, że nie są to głowy ludzkie, lecz kozie, zsiniałe i oblepione bzyzącymi muchami, o gałkach ocznych wciąż nienaruszonych i obrzydliwie wytrzeszczonych, ustawione na niskim stoliku. Jakiś człowiek w podartej dzellabie wykonał zapraszający gest, zachęcająco kiwając głową.

Odeszłam na drżących nogach. Wiedziałam, że nie mogę zemdleć w takim miejscu, nie mogę upaść na brudną ziemię. Co by się ze mną stało, gdybym straciła przytomność?

- Proszę wracać, madame! - wołał za mną Mohammed. - Za jeszcze jedno sou Hasi powie pani znacznie więcej, coś naprawdę niezwykle ważnego, coś, co pozwoli pani znaleźć ochronę przed Innymi! Tylko za jedno sou, madame!

Szłam dalej, potykając się co jakiś czas. Dotknęłam piekącego zadrapania na szyi i spojrzałam na smużkę krwi na opuszkach palców. Chwilę później ujrzałam wysoki minaret meczetu La Koutoubia i już nie oderwałam od niego oczu, świadoma, że dzięki temu trafię do bramy i wydostanę się z medyny. Szłam tak szybko, jak mogłam, przyciskając torebkę do piersi. Włosy rozsypały mi się na ramiona, uwalniając się spod spinek, sukienkę na plecach miałam mokrą od potu, z gorąca i nagłego, trudnego do wyjaśnienia lęku. Siłą woli zmuszałam do ruchu niechętne nogi; gdyby to było możliwe, na pewno pobiegłabym do bramy, za którą znajdowała się bezpieczna dzielnica francuska.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.

Przez cały wieczór powtarzałam sobie, że wrócę do medyny i nie przestraszę się nieprzyjaznych spojrzeń, gwałtownych gestów i szokujących widoków oraz dźwięków. Jestem silna, wmawiałam sobie.

Nie miałam przecież wyboru...

Następnego dnia rano znowu wyruszyłam z hotelu. Spojrzałam na meczet La Koutoubia, wzięłam głęboki oddech i po raz drugi przeszłam pod portalem wielkiej bramy.

Tym razem nie zatrzymały mnie ani żebrzące dzieci, ani dzwonki nosiciele wody w wysokich czapkach, z mosiężnymi kubkami i pełnymi bukłakami. Minęłam wyrwizęba i przepchnęłam się przez tłum młodych mężczyzn, zebranych wokół zaklinacza węzów z fletem i koszami pełnymi wijących się gadów, a chwilę później wyrwałam ramię spod czyichś palców i nawet nie obejrzałam się, aby sprawdzić, kto mnie dotknął.

Pośpiesznie przeszłam przez plac i zagłębiłam się w plątaninę suków, wędrując od straganu do straganu i wszędzie wypytyując o Duvergerów. W końcu jakiś człowiek rozplótł założone na piersi ramiona i wziął do ręki parę jaskrawo pomarańczowych babouches, mierząc mnie uważnym spojrzeniem.

267

- Będą na panią pasować, madame - odezwał się po francusku. - To dobre pantofle! Mam najlepsze babouches w całym Marrakeszu! Znam francuski, hiszpański i angielski, dużo podróżowałem... Skąd pani jest? Z Anglii?

- Z Ameryki. Skinął głową.

- Ach, Ameryka! Miałem kiedyś piękną narzeczoną z Ameryki! Została moją trzecią żoną, ale później wróciła do swojego kraju.

Nie wiedziałam, czy mogę mu wierzyć. Białka oczu miał pożółkłe i roztaczał wokół siebie intensywny zapach czosnku.

- Doskonale, doskonale! - odparłam. - Ale ja szukam Duvergerów! Wie pan coś o nich?

- Znałem monsieur le docteur - rzekł.

- Naprawdę? Znał go pan? Doktora Etienne'a Duvergera? - Starłam się nadać głosowi spokojne brzmienie, ponieważ instynkt podpowiadał mi, że ten człowiek nie powinien się dowiedzieć, jakie to dla mnie ważne.

- A co z tymi babouches, madame? Kupi je pani? Wzięłam pomarańczowe pantofle z jego ręki.

- Tak, tak, kupię je! Proszę mi jednak powiedzieć, co pan wie o doktorze Duvergerze!

Wzruszył ramionami.

- Najpierw musimy omówić cenę, którą pani proponuje! Napijemy się herbaty i porozmawiamy. - Machnął ręką.

Potrząsnęłam głową, ale nagle obok nas pojawił się mniej więcej dziesięcioletni chłopiec. Mężczyzna powiedział do niego coś po arabsku i chłopak pobiegł w stronę rogu ulicy.

- Przyniesie herbatę - oświadczył sprzedawca. - Proszę siadać, madame, proszę siadać! - Przeniósł stos farbowanych na ostre kolory babouches z niskiej ławy na ziemię. - Tutaj! Proszę usiąść, napijemy się herbaty i porozmawiamy o cenie!

268

Chciałam tylko usłyszeć odpowiedzi na moje pytania, lecz zdałam sobie sprawę, że najpierw muszę zagrać w tę grę. Usiadłam. Sklep miał najwyżej trzy metry kwadratowe powierzchni, a zapach farbowanej skóry był bardzo mocny.

- Niech mi pan powie, co panu wiadomo o doktorze Duvergerze!

- Znałem monsieur le docteur - powtórzył. - Przychodził tutaj kupować kifi, różne rzeczy ze skóry. Przychodził do mnie, bo znam francuski. To było wcześniej, oczywiście... Później... -Wyrzucił ręce w górę. - Później nikt już go nie widywał!

- Co to znaczy, później?

- Kiedy zachorował. Wtedy nie wychodził już z domu.

- Kiedy zachorował? Na co?

-To naprawdę wszystko, co wiem, madame! Pytała pani, czy znam Duvergerów, powiedziałem, że tak, że znałem starego Duvergera, który miał tę chorobę...

Zalała mnie fala wielkiego rozczarowania, kwaśnego jak odór czosnku, bijący z ust mężczyzny.

- Starego? - spytałam. - Nie syna? Nie Etienne'a?

- Sprzedawałem mu kif, kiedy jeszcze mógł przychodzić na suk. Piliśmy herbatę. Teraz napiję się herbaty z panią, mój siostrzeniec zaraz ją przyniesie... Może kupi pani dwie pary babouches, jedną dla siebie, a drugą dla męża? A może trzy pary? Za trzy pary zaproponuję pani naprawdę dobrą cenę! Mam najlepsze babouches w całym Marrakeszu, no i najlepsze ceny! Mam też kuzyna, który sprzedaje kaftany, najlepsze kaftany w Marrakeszu! Chce pani kupić kaftan? Z jedwabiu? Z welwetu? Jaki pani chce? Kiedy wypijemy herbatę, zawołam kuzyna i on pokaże pani piękny kaftan! Może pani od niego kupić, on ma najlepsze! I niech pani nie słucha innych, bo ich kaftany nie są tak piękne jak te mojego kuzyna!

W sklepiku nie było ani odrobiny powietrza. Mokre od

269

potu włosy przykleiły mi się do czoła, od odoru farb i czosnku zbierało mi się na mdłości.

Pantofle, które trzymałam w ręku, uszyte były z miękkiej, delikatnej skóry.

- A jego córka? - zagadnęłam. - Może wie pan coś o córce starego doktora?

- O córce? Jakiej córce?

- Manon. Sprzedawca wyjął wargi.

- O kim pani mówi? Co za Manon?

- Manon Duverger. Zresztą może teraz nosi inne nazwisko, może wyszła za męża. Tak czy inaczej, chodzi mi o córkę starego doktora Duvergera, Manon. Wydaje mi się, że nadal mieszka tutaj, w Marrakeszu, może nawet w medynie...

- Manon? - powtórzył, jakby chciał się upewnić. - Pyta pani o córkę Marcela Duvergera? O tę Manon?

- Tak, tak! - Kiwnęłam głową.

Znowu ogarnęła mnie nadzieja, że wreszcie czegoś się dowiem, ale właściciel sklepu nagle skrzywił się lekko, chyba z niezadowoleniem. Utkwił wzrok gdzieś nad moją głową, a potem wyciągnął rękę i poprawił babouches na półce.

- Tak, pytam o córkę Marcela Duvergera - ponagliłam go. - O Manon Duverger...

- Myli się pani, madame. Ta Manon nie nosi nazwiska Duverger... To Manon Maliki!

- Tak nazywa się po mężu?

Teraz na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz obrzydzenia.

- Ha! - prychnął.

Zignorowałam jego krytyczny ton. Staralam się mówić zupełnie spokojnym, neutralnym tonem.

- Czy... Czy to na pewno córka pana Duvergera? Ściągnął turban na jedną stronę i otarł wygoloną głowę.

270

- Na pewno.

- Czy w takim razie mógłby mi pan powiedzieć, gdzie ona mieszka? - Zwilżyłam wargi.

Byłam już tak blisko...

Sprzedawca obrzucił mnie zagadkowym spojrzeniem.

- W Szaria Zitun.

- Jak tam trafić? Czy to niedaleko stąd? Proszę, monsieur...

- Za alejką farbiarzy! Cest tout! - Klasnął w dłonie, jakby chciał strzepnąć z nich brud. - Nic więcej nie mogę pani powiedzieć, już i tak poświęciłem pani za dużo czasu!

Nagle jego wcześniejsze przyjazne nastawienie zniknęło bez śladu. Od chwili, gdy wyjaśniłam mu, że szukam Manon Duverger, jego podejście do mnie zupełnie się zmieniło.

- Przepraszam za kłopot, monsieur - odezwałam się. - Ja... Ile chce pan za te pantofle? - Uniosłam pomarańczowe babouches. - Zapłacę, ile pan zechce... Bardzo mi pan pomógł, naprawdę! I... I wezmę jeszcze drugą parę, jak pan proponował...

Jednak on dość szorstkim ruchem wyjął pantofle z moich rąk.

- Nie musi pani nic ode mnie kupować - rzekł. - To nie byłby dobry handel, teraz nie ma już baraka! Zamiast tego udzielę pani dobrej rady, za darmo - proszę nie szukać Manon Maliki. Nic dobrego z tego nie wyniknie! Życzę dobrego dnia, madame!

Odwrócił się i odłożył babouches na inną półkę. Było jasne, że nie ma ochoty dłużej ze mną rozmawiać.

- Mer ci, monsieur... - powiedziałam do jego pleców i wyszłam.

W alejce minęłam chłopca, siostrzeńca sprzedawcy, który wniósł cynową tacę z dwoma szklankami parującej herbaty. Przystanął i popatrzył na mnie ze zdziwieniem, ale ja po prostu poszłam dalej.

271

Teraz każdego, kto na mnie spojrzał, pytałam o wskazówki, jak dotrzeć do alejki farbiarzy albo do Szaria Zitun. Co jakiś czas ktoś wskazywał palcem punkt przede mną albo za mną. Nie miałam pojęcia, czy tubylcy rozumieją moje pytania, a jeśli tak, to czy rzeczywiście pokazują mi drogę.

Uliczki wiły się niczym strumienie; chwilami potykałam się, wpadając we wgłębienie w ich środkowej części. Nagle zorientowałam się, że przede mną nie ma już straganów, że suki się skończyły. Po obu stronach miałam pozbawione okien ściany domów, jak opisała to madame Odette. Mury i bramy, a za zamkniętymi bramami Marokańscy... Z wąziutkich przecznic wybiegały grupy małych dzieci i osaczały mnie jak na Dżemma el Fna, szarpiąc za spódnicę i szybko gadając po arabsku. Podobnie jak tamte dzieciaki, po francusku mówiły jedynie: „Bonjour, madame, bonjour” i „bonbon”, lecz ja tylko kręciłam głową. Kiedy powtarzałam nazwę „Szaria Zitun”, wybuchały głośnym chichotem i wyprzedzały mnie albo biegly tuż obok.

Wszędzie kręciły się wygłodzone koty - siedziały na murach, wysuwały się z cieni i znikwały wśród nich, z żałośnie sterczącymi żebrami, poszarpanymi w walce uszami i zmierzwioną, brudną sierścią. Niektóre wrywały sobie coś do jedzenia, plując i sycząc, aż wreszcie zwycięzca włókł zdobycz do jakiegoś ciemnego kąta.

Im głębiej zanurzałam się w alejkę, tym ciszej robiło się dookoła. Gwar suków już dawno umilkł za moimi plecami. Byłam całkiem sama, teraz nie widziałam już ani dzieci, ani nawet kotów. Nic. Chłód i spokój tego miejsca był prawdziwą ulgą po bezustannym hałasie i feerii barw. Przystanąłam, oparłam się o ścianę i otarłam rękawem czoło i górną wargę. Przed sobą widziałam brukowaną alejkę, zacienioną i mroczną, tylko z murami i bramami. Nie byłam w stanie określić,

272

gdzie kończy się jeden dom i zaczyna sąsiedni, rozróżniałam je tylko na podstawie bram. Przejście było tak wąskie, że gdybym napotkała zaprzęzonego do wózka osła, musiałabym przywrzeć plecami do ściany, żeby go przepuścić.

Zdawałam sobie sprawę, że powinnam wrócić tą samą drogą (jeśli uda mi się ją rozpoznać) na targowiska, a może nawet na zatłoczony główny plac i jeszcze raz spróbować dowiedzieć się o drogę do Szaria Zitun.

Powinnam wrócić do ludzi; w tłumie nie czułam się szczególnie bezpiecznie, lecz tu, w kompletnej pustce, zaczęło mnie ogarniać uczucie paniki. Byłam bezradna, zagubiona w labiryncie uliczek medyny. Pomyślałam o słowach madame Odette, że na starym mieście łatwo się zgubić, a bardzo trudno znaleźć drogę do wyjścia. Medyna jest nie tylko labiryntem złożonym z krętych ulic, ale także siecią arterii kończących się ślepyimi zaułkami.

Jedna z bram przede mną otworzyła się i wyszedł z niej mężczyzna. Na mój widok przystanął i po paru sekundach ruszył ku mnie z takim wyrazem twarzy, jakbym była niebezpiecznym stworzeniem, którego zachowania nie da się przewidzieć.

Instynktownie spuściłam głowę i Marokańczyk minął mnie bez słowa.

Dotarłam do końca alejki, rozglądając się na prawo i lewo. Z jakiejś bocznej uliczki wyłoniły się trzy kobiety, same, bez żadnego mężczyzny.

- Mesdames? - zawołałam.

Zauważyłam, że dłonie przytrzymujące fałdy białych haik na wysokości ust były czarne, co znaczyło, że kobiety mogły być niewolnicami - stąd brak męskiej asysty.

- Mesdames! - powtórzyłam, lecz one przeszły obok tak, jakbym była niewidzialna.

273

Straciłam poczucie czasu. Co jakiś czas spotykałam kogoś i natychmiast pytałam o Szaria Zitun. Niektórzy przechodnie odwracali głowy w drugą stronę, nie chcąc rozmawiać z cudzoziemką bez zasłony na twarzy, inni patrzyli na mnie, ale nie reagowali. Miałam wrażenie, że minęło już wiele godzin, odkąd zaczęłam chodzić gorącymi tunelami uliczek. Noga mnie rozboleła i co kilka minut opierałam się o ścianę, żeby trochę odpocząć.

Uświadomiłam sobie, że pasmo nieba nad moją głową zwęża się, ponieważ zwęża się także uliczka. Staralam się zapanować nad przerażeniem, które teraz dosłownie czało się, aby mnie dopaść. Słyszałam cichy plusk fontann na dziedzińcach za wysokimi murami i powolne człapanie podków o bruk, dobiegające echem z niedalekiej alejki. Przeszłam nad wzgórkami końskiego i oślego nawozu, nad kozimi bobkami i strumykiem ścieków. Pod ścianą na stosie gnijących warzyw leżało kocie truchło z rozrzuconymi nogami, jakby ktoś rzucił je bezceremonialnie. Tu, gdzie długie palce słońca nie sięgały dna wąskich przejść, było stosunkowo chłodno i teraz doskonale rozumiałam architekturę medyny.

Skręciłam w następną ulicę i nagle z niewielkiej odległości dobiegł mnie monotony, mechaniczny szum. Podążyłam w kierunku tego dźwięku i znalazłam się w alejce z malutkimi niszami w ścianach. We wszystkich nad starymi maszynami do szycia siedzieli starzy mężczyźni, którzy jedną ręką przesuwali materiał pod igłą, a drugą poruszali kołem. Natychmiast pomyślałam o mojej mamie. Byłam w alejce krawców.

Trochę dalej stolarze obrabiali drewno. Nie byli tak starzy jak krawcy i posługiwali się mnóstwem narzędzi; niektórzy pracowali również bosymi stopami. Unoszący się tu zapach był przyjemny i czysty.

Zaraz potem trafiłam na mały plac, nad którym na mocowanych

274

między dachami sznurach wisały ogromne zwoje wełny, tworzące wielobarwny sufit. Trafiłam więc do alejki farbiarzy. Wełniana przędza była szkarłatna, pomarańczowa, złocista, ciemnozielona jak głębiny oceanu i jasna jak wiosenne liście, fioletowa i niebieska. Chwilę stałam nieruchomo, podziwiając zróżnicowane odcienie. Zauważyłam, że wszyscy farbiarze byli młodymi chłopcami, niektórzy mieli chyba nie więcej niż dwanaście, trzynaście lat. Oni także siedzieli w malutkich niszach,

na wspartych na palach platformach i mieszały farbę w ogromnych garnkach, zanurzając w niej szorstką, szarobiałą wełnę. Ich trzymające wielkie drewniane warząchwie dłonie aż po przeguby poplamione były błotnistym, niemożliwym do określenia kolorem. Spoglądali na mnie, gdy ich mijałam, lecz nawet na chwilę nie przerwali bezustannego mieszania. Z potężnych garnków unosiła się para i trudno było mi nawet wyobrazić sobie, jak wysoka temperatura panuje wokół nich.

Sprzedawca skórzanych pantofli powiedział, że Szaria Zitun znajduje się zaraz za alejką farbiarzy. Przystanęłam pod murem na końcu uliczki - mogłam tylko skręcić w prawo lub w lewo. Na ścianie umieszczono niewielki znak, niestety arabski. Zdecydowałam się skręcić w lewo. Prawie natychmiast natknęłam się na troje dzieciaków.

- Madame! Madame! - zaczęły krzyczeć.

Najbliższa brama otworzyła się i wyrzała z niej krępa kobieta, zasłaniająca twarz kawałkiem perkalu. Wrzasnęła na dzieci, które od razu się rozbiegły.

- Pardon, madame... - odezwałam się.

Zmierzyła mnie zdecydowanie nieprzyjaznym spojrzeniem znad brzegu perkalowej chusteczki.

- Je cherche Szaria Zitun - powiedziałam. - Szukam Szaria Zitun...

Wyraz jej oczu trochę się zmienił.

275

- Parlez vous francais, madame? - spytałam. - Szaria Zitun! - powtórzyłam powoli.

Kobieta kiwnęła głową i wskazała palcem ziemię u swoich stóp. Spojrzałam w dół, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

- Szaria Zitun - oświadczyła. - Ah, Tu jest Szaria Zitun? Znowu przytaknęła.

- Szukam madame Maliki! - rzuciłam pośpiesznie. Kobieta cofnęła się o krok.

- Manon Maliki! - zachęcająco pokiwałam głową. Wtedy moja rozmówczyni zrobiła coś bardzo dziwnego -

sięgnęła pod kaftan i wyciągnęła małą skózaną sakiewkę. Wiedziałam, że wewnątrz znajduje się amulet, który ma ją chronić przed dżinami, ponieważ Aziz też nosił coś takiego, nie mogłam tylko zrozumieć, czy chwyciła sakiewkę, aby obronić się przede mną, czy dlatego, że wspomniałam o Manon.

Potem podniosła drugą rękę i wyrzuciła ją w powietrze, wskazując miejsce za moim lewym ramieniem. Odwróciłam się i popatrzyłam na wskazaną przez nią bramę.

- Gest la? - upewniłam się. - Tutaj mieszka?

Kobieta wetknęła amulet pod kaftan, cofnęła się na swój dziedziniec i zatrzasnęła za sobą bramę.

Podeszłam do tej, którą mi pokazała, pomalowanej na intensywny żółty kolor, podobnie jak wiele innych bram. Kolor szafranu. W drewnie osadzona była ciężka mosiężna kołatka w kształcie dłoni - hamsa. To także był znany mi widok - widziałam wiele takich kołatek na innych bramach, ponieważ hamsa zapewniała ochronę przed złymi duchami.

Stałam przed bramą, ciężko łapiąc powietrze. Czyżbym naprawdę znalazła Manon? Podniosłam rękę, żeby chwycić kołatkę, lecz zaraz znowu ją opuściłam.

Co będzie, jeżeli bramę otworzy Etienne? Czy nie na to

276

liczyłam? Przecież odbyłam tę straszliwie trudną podróż, aż tu, do Marrakeszu, właśnie po to, żeby przeżyć tę chwilę. Tak bardzo się bałam, tak bardzo męczyła mnie samotność. Tyle razy zastanawiałam się, czy w ogóle dotrę do Marrakeszu i czy uda mi się odnaleźć Etienne'a.

Chwila, na którą tak czekałam, wreszcie nadeszła.

A ja trzęsłam się ze strachu

Co zrobię, jeśli Etienne popatrzy na mnie, zmarszczy brwi, potrząśnie głową i powie mi, żebym sobie poszła, bo nie mam prawa go nachodzić? Jeśli każe mi się wynosić i oświadczy, że wcale mnie nie chce? Co będzie, jeżeli zacznę go przekonywać, że nie mam mu za złe, że mnie zostawił, że mogę mu wybaczyć to, co przede mną ukrywa, bo przecież nie może być aż tak straszne, a on po prostu zamknie mi bramę przed nosem?

Nie! Etienne nigdy by mi czegoś takiego nie zrobił. Na pewno nie...

A jeżeli bramę otworzy Manon? I jeżeli to, co będzie musiała powiedzieć mi o swoim bracie, okaże się nie do zniesienia?

Nie mogłam złapać tchu. W uszach mi dzwoniło, a szafranowa brama stawała się coraz jaśniejsza, aż w końcu rozbłysła oślepiającym blaskiem. Oparłam na niej jedną rękę, żeby nie stracić równowagi, lecz drżałam tak mocno, że musiałam przywrzeć do drewnianego panelu ramieniem. Zamknęłam oczy. Nie chciałam być w tym miejscu, nie teraz... Potrzebowałam więcej czasu. Pomyślałam, że przyjdę następnego dnia, wypoczęta i spokojna. I tak dużo dokonałam, jak na jeden dzień - znalazłam dom Manon. Byłam jednak zbyt zmęczona, aby stawić jej czoła... Jej albo Etienne'owi...

W końcu otworzyłam oczy. Dzwonienie w uszach ustało. Wyprostowałam się, popatrzyłam na bramę, odwróciłam się plecami do niej i odeszłam.

277

W połowie alejki się zatrzymałam. Wyjechałam z Albany ponad miesiąc temu. Miałam dosyć czasu... Nie byłam tchórzem - dowiodłam sobie tego wiele razy od dnia, gdy zamknęłam drzwi domku przy Juniper Road.

Zawróciłam i znowu stanęłam przed bramą. Instynktownie przytknęłam ucho do żółtej jak szafran deski, ale nic nie usłyszałam.

Wreszcie podniosłam ciężką metalową dłoń i opuściłam ją na drewnianą bramę, raz, drugi i trzeci.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY.

Z drugiej strony bramy nie dobiegał żaden, choćby najcichszy odgłos. Zapukałam znowu, tym razem mocniej, z większym rozmachem uderzając hamsą. W końcu usłyszałam kroki i brama ustąpiła.

W wąskim przejściu stała kobieta, przytrzymująca haik w sposób, do którego już przywykłam. Miała ciemne oczy o migdałowym wykroju i zamrugła gwałtownie, jakby była zaskoczona. W ręce trzymała metalowe wiadro, a w nim owinięty szmatą patyk, z którego kapały na ziemię białe krople. Nie miałam cienia wątpliwości, że jest to służąca.

- Bonjour, madame - odezwałam się z nadzieją, że kobieta mówi po francusku. - Szukam madame Maliki...

Z wiadra unosił się świeży, charakterystyczny zapach wapna.

Kobieta nie odpowiedziała, uznałam więc, że nie rozumiała. Zaczekałam jeszcze chwilę i posłużyłam się arabskim pozdrowieniem - as salam alejkum, pokój niech będzie z tobą - i powoli powtórzyłam imię Manon.

Wciąż przypatrywała mi się uważnie. Jej oczy wydawały się teraz dziwnie puste, pozbawione błysku, który widziałam w nich wcześniej. Dziękowałam Bogu, że nie sięgnęła po amulet, jak moja poprzednia rozmówczyni. Przez głowę przemknęła mi myśl, że może jest upośledzona umysłowo, ale

279

choć nadal milczała, patrzyła na mnie z wyraźną, skupioną uwagą. Poruszyła się i postawiła wiadro na ziemi. Równie dobrze mogłaby być którąkolwiek z zakwefionych kobiet, które minęłam w alejkach Marrakeszu.

- Madame Maliki - powtórzyłam po raz trzeci, usiłując zapanować nad uczuciem zawodu.

- Dlaczego jej pani szuka? - spytała doskonałym francuskim, głosem odrobinę przytłumionym przez haik.

Odruchowo wyprostowałam ramiona.

- Och - wykrztusiłam, zaskoczona zdecydowanym i jednocześnie melodyjnym brzmieniem jej słów.

Jak mogłam podejrzewać, że jest upośledzona? A przecież myślałam tak dosłownie chwilę wcześniej.

-Ja... Chciałam z nią porozmawiać. - Nie miałam ochoty rozwodzić się nad skomplikowaną przyczyną mojej obecności w tej mrocznej alejce.

- Czy coś się stało? - zapytała.

Modulowany ton jej głosu dodał mi odwagi, lecz myśl, że marokańska służąca oczekuje, że wyjaśnię jej swoje osobiste sprawy wprawiała mnie w rozdrażnienie.

- Nie, nic się nie stało - odparłam. - Przepraszam panią, ale odszukanie madame Maliki kosztowało mnie dużo wysiłku. Jeżeli jest w domu, bardzo zależałoby mi, by z nią porozmawiać. Mogłaby pani po nią pójść?

Kobieta wytarła dłoń o przód haik. Palce miała długie, a półksiężycy na owalnych paznokciach zupełnie białe.

- Niech pani wejdzie - powiedziała, szerzej otwierając bramę.

Wzięłam głęboki oddech i weszłam na dziedziniec, z pewnym trudem pokonując przeszkodę w postaci wiadra z wapnem. Rozejrzałam się nerwowo; moje oczy biegały od jednej powierzchni do drugiej, zaglądały w każdy kącik. Czego się

280

spodziewałam? Że zobaczę siedzącego tu gdzieś Etienne'a? Albo może jakiś ślad jego obecności - znaną mi marynarkę, książkę, a na niej pozostawione okulary?

Nie znalazłam takiego śladu. Najwidoczniej trwało tu sprzątanie, bo na wyłożonym płytkami dziedzińcu stały meble - otomany, pufy, taborety oraz długie, wąskie materace obciążone kolorową tkaniną, używane tu i do siedzenia w ciągu dnia, i do spania w nocy. Na środku dziedzińca zobaczyłam fontannę, ale w kamiennym basenie zamiast wody leżały martwe, wyschnięte liście i drobniutkie, sztywne ciało żółtego ptaszka, z czarnymi nóżkami podkulonymi pod korpus. W kilku dużych glinianych donicach rosło wyraźnie zaniedbane geranium. Wąskie, strome schody, również wyłożone kafelkami, prowadziły na piętro, którego zasłonięte okna wychodziły na dziedziniec.

Kobieta ani na chwilę nie oderwała ode mnie wzroku.

- Niech pani zamknie bramę - powiedziała.

Gdy wykonałam jej polecenie, odwróciła się i powoli ruszyła przez podwórzec; jej ciało kotęsało się lekko pod haik. Nie wiedziałam, czy mam pójść za nią, czy zaczekać przy wejściu. Z domu wybiegło małe dziecko, może cztero albo pięcioletnie.

- Maman! - zawołało, ale kobieta nie zareagowała.

Usiadła na jednym z materacy i wtedy w drzwiach stanęła dziewczyna. Miała dziesięć, najwyżej jedenaście lat, skórę koloru kawy z mlekiem i była żałośnie chuda pod prostą muślinową szatą. Jej kolana i łokcie wydawały się zbyt duże w stosunku do nóg i ramion, a szczęka zbyt wąska. Prawe ramię miała posiniaczone, jedno oko przekrwione i zapuchnięte. Na głowie zawiązała chustkę w kwiaty, a jej włosy, tego samego koloru co skóra, opadały na ramiona długimi, mocno skręconymi i splątanymi lokami. Ona także trzymała w ręku

281

owinięty szmatą kij do bielienia wapnem i gapiała się na mnie jak sroka w gnat.

Nie potrafiłam określić płci mniejszego dziecka - gęste czarne włosy, obcięte na linii karku, prawie zupełnie zasłaniały równie czarne oczy. Skóra dziecka była jasna. Nosiło marszczoną szatkę, za długą jak na koszulkę, a za krótką na sukienkę i nieobrubione płócienne spodnie do kolan, z których zwisały długie nitki. Stopy miało białe.

- Kim jest ta pani, mamam? - spytało głośno. - Kto to jest?

Dziecko świetnie mówiło po francusku, tak samo jak matka. Stało przede mną i zadarło do góry głowę, żeby popatrzeć mi w twarz, odsłaniając długą i delikatną szyję.

- Proszę pani! - zawołałam. - Bardzo proszę, niechże pani poprosi madame Maliki, żeby tu przyszła!

Serce biło mi mocno. Zdawałam sobie sprawę, że jeśli Etienne jest w tym domu, może usłyszeć mój głos. Spojrzałam w okna na piętrze, ale okiennice pozostały zamknięte.

- Jak się pani nazywa, madame? - zagadnęło dziecko bez cienia nieśmiałości.

- Mademoiselle O'Shea - odparłam z roztargnieniem, nie odrywając wzroku od kobiety.

Dlaczego nie robiła tego, o co prosiłam?

- Ja jestem Badou!

Podobnie jak wygląd dziecka, także i jego imię nie było zbyt pomocne w określeniu płci - Francuzi nadawali je i chłopcom, i dziewczynkom.

- Bielimy ściany w domu - oznajmiło z dumą. - A ja pomagam! Przenosiłem meble, razem z Falidą!

No, wreszcie okazało się, że to chłopiec! Kobieta powiedziała coś po arabsku i Badou oraz dziewczyna, która odłożyła już kij do bielenia, powoli i z wyraźnym wysiłkiem przesunęli korkowy stołek tak, aby znalazł się naprzeciwko niej. Pomyślałam,

282

że siostra Etienne'a musi mieć dobre serce, skoro pozwoliła służącej zatrzymać dzieci przy sobie. Może zresztą taki panował tu zwyczaj, że matka i dzieci pracowali razem, nie wiedziałam.

- Proszę usiąść. - Kobieta wskazała stołek z korka. Badou wspiął się na jej kolana i oparł się o nią, ale ona

wydawała się tego nie zauważać. Dziewczyna - pewnie Falida - podeszła do drzwi i podniosła kij ze szmatą, lecz nadal przyglądała mi się z zaciekawieniem.

Z każdą chwilą ogarniał mnie coraz większy niepokój i zniecierpliwienie. Już kilka razy prosiłam tę kobietę, żeby poszła po swoją panią, ale jej najwyraźniej wcale się nie spieszyło. Cmoknęłam cicho, dając wyraz narastającej irytacji.

- Madame, bardzo proszę zawiadomić madame Maliki, że na nią czekam - powiedziałam, sztywno siadając na stołku. - Czy ona jest w domu? Albo... Albo może ktoś inny... Czy...

Przerwałam.

Kobieta patrzyła na mnie ostro, dolną część twarzy wciąż zasłaniając haikiem.

- Madame Maliki... - powtórzył cienkim głosem chłopiec. Owijał sobie sznurek wokół palców, tworząc między nimi

rodzaj pletw.

- Badou Maliki... - powiedział ciszej, prawie szeptem, chyba do siebie.

- Dlaczego jej pani szuka? - zapytała znowu kobieta.

- To prywatna sprawa, mogę o niej rozmawiać tylko z madame Maliki - odparłam powoli.

Nagle dotarło do mnie, że jestem bardzo zmęczona i spragniona.

Kobieta opuściła rękę podtrzymującą haik i odsłoniła twarz. Miała prosty nos i pięknie zarysowane wargi, jej oczy były ciemne jak moje, ale skóra była dość jasna. W kącikach

283

oczu powstała sieć zmarszczek, a ich wyraz mówił o ogromnym znużeniu. Była sporo starsza ode mnie. Smutna i delikatna twarz musiała być kiedyś bardzo piękna, zresztą jeszcze teraz, choć naznaczona zmęczeniem, emanowała przykuwającą uwagę zmysłowością. Uświadomiłam sobie, że chociaż na placu widziałam kilka Berbererek bez zasłony, nigdy nie miałam okazji zobaczyć twarzy Marokanki. Kobieta milczała.

- Naprawdę muszę zobaczyć się z madame Maliki - podjęłam. - Kolejny raz proszę, aby zawiadomiła ją pani o moim przybyciu.

Zrobiło się potwornie gorąco. Gdzieś w kącie ostrym głosem odezwała się cykada i ten dźwięk dosłownie wbił mi się w uszy.

- To ja - powiedziała spokojnie kobieta.

Lekko potrząsnęłam głową. Krzyk cykady musiał zagłuszyć część słów kobiety, na pewno źle ją rozumiałam.

- Przepraszam... Przepraszam, ale nie dosłyszałam! Nie powiedziała pani, że to pani jest Manon Maliki, prawda?

Gdy kiwnęła głową, podniosłam się.

- Nie - odparłam. - Och, nie...

Suknię na plecach miałam mokrą od potu.

- Przepraszam, pomyliłam się... Szukam kogoś innego. Westchnęłam ciężko, porażona gorzkim zawodem. Tyle

nadziei, tyle niepokoju i teraz okazuje się, że cała ta wyczerpująca wędrówka po medynie była na nic! Sprzedawca babouches udzielił mi błędnej informacji. Sprawiał wrażenie absolutnie pewnego, że

Manon Maliki to córka Marcela Duvergera, ale przecież ta kobieta nie mogła być siostrą Etienne'a. Miałam przed sobą marokańską służącą. I co teraz? Co jeszcze mogłam zrobić, aby znaleźć Etienne'a?

284

- Szuka pani kogoś innego? - powtórzyła kobieta. - Ale pytała pani o Manon Maliki! To ja...

- Nie. Kobieta, którą staram się odszukać, jest... - przerwałam, świadoma, że muszę starannie i ostrożnie dobierać słowa. - Otrzymałam mylne informacje. - Spojrzałam na szafranową bramę i postąpiłam krok w jej kierunku. - Niepotrzebnie panią niepokoiłam, przepraszam.

- Dlaczego jej pani szuka?

Ręce kobiety, długie i eleganckie, leżały po obu stronach chłopca, zwrócone otwartymi dłońmi ku górze, jakby nie chciały dotknąć ciała dziecka.

- To siostra mojego... Mojego przyjaciela.

- Czyja siostra?

Jej bezpośrednie pytania zdenerwowały mnie jeszcze bardziej. Chciałam wyjść, ale ta kobieta wpuściła mnie na dziedziniec, nie mogłam więc jej zignorować.

- Manon, której szukam, jest córką Marcela Duvergera - wyjaśniłam. - Ktoś na suku powiedział mi, że to Manon Maliki.

Siedziała zupełnie nieruchomo. Dziecko dalej bawiło się sznurkiem, wpatrując się we mnie dużymi ciemnymi oczami. Dziewczyna przykucnęła w progu i obserwowała mnie z otwartymi ustami. Cykada znowu wydała przenikliwy dźwięk.

-Wszystko się zgadza, jestem córką Marcela Duvergera.

-Ale... Ale skoro Manon to pani... Przepraszam, ale... Chodzi o to, że...

Czy ta kobieta przede mną nie jest Marokanką?

- Ta Manon, której szukam, jest siostrą doktora Duvergera - powiedziałam w końcu.

Chwilę milczała.

- Skąd pani zna Etienne'a? - spytała.

285

Sposób, w jaki wypowiedziała jego imię, tak bardzo intymny, sprawił, że gwałtownie wciągnęłam powietrze.

-Jest pani jego siostrą? - wykrztusiłam, ciężko opadając na stołek.

Skinęła głową.

Siedziałam w cieniu, lecz mimo to było mi strasznie gorąco. Cykada raz po raz wydawała te drażniące dźwięki... Spróbowałam otworzyć usta, żeby coś powiedzieć, ale wargi miałam mocno sklezione. Usiłowałam je zwilżyć, miałam jednak sucho w gardle.

- Czy... Czy on tu jest? Z panią? Czy Etienne jest tutaj? Patrzyłam na nią i marzyłam, aby przytaknęła. Podniosła rękę i zupełnie zsunęła haik z głowy. Widziałam

teraz jej włosy, długie i ciężkie, opadające na twarz i ramiona. Były ciemne i wijące się, jak moje, dostrzegłam jednak wśród nich kilka srebrnych nitek. Pod haiki miała na sobie fioletowy kaftan.

- Pochodzi pani z Anglii czy z Ameryki, bo trudno mi zorientować się po akcencie? - zapytała.

Znowu z wysiłkiem oblizałam wargi.

- Z Ameryki...

- Przynieś naszemu gościowi wody, mon cher garcon -zwróciła się do dziecka.

Chłopiec ześliznął się z jej kolan i wbiegł do domu, w drzwiach na moment oparł rękę na ramieniu dziewczyny.

- Falida, pomóż mu! - rzuciła Manon.

Dziewczyna zerwała się na nogi i znikła.

Wpatrywałam się w moje kurczowo zaciśnięte dłonie i słuchałam plusku wody i brzęku naczyń. Po chwili chłopiec wrócił; szedł powoli i ostrożnie, niosąc blaszany kubek. Nie rozlał ani kropli i podał mi go z dumą. Pociągnęłam duży łyk. Woda była chłodna i odświeżająca, z leciutkim posmakiem cytryny.

286

Badou wciąż stał przede mną. Gdy podałam mu opróżniony kubek, wrócił z nim do domu. Patrząc na niego, pomyślałam, że Manon Maliki wydaje się za stara na matkę tak małego dziecka. Badou musiał mieć najwyżej pięć lat. Nagle przez głowę przemknęła mi myśl, jak ja bym wyglądała, gdy moje dziecko miałoby... Szybko odepchnęłam tę myśl.

- Szuka pani Etienne'a od dłuższego czasu? Kivnęłam głową i na sekundę zamknęłam oczy.

- Szukałam go w Marrakeszu - w dzielnicy francuskiej -od wielu dni...

- A wcześniej?

Zmarszczyłam brwi i znowu popatrzyłam na dom. Co ona przede mną ukrywała? Wstałam, niezdolna usiedzieć w miejscu.

- Madame, czy Etienne jest tutaj, w Marrakeszu? Proszę, ja muszę wiedzieć! Naprawdę muszę, madame Maliki! - mówiłam podniesionym, ostrzejszym tonem.

Ta kobieta miała w sobie coś, co budziło we mnie niepokój. Uświadomiłam sobie, że mi się nie podoba, chociaż poznałam ją zaledwie parę chwil wcześniej.

- Powtarzam przecież pani, że przyjechałam z Ameryki, żeby go odnaleźć! Podróżuję i szukam go już od ponad miesiąca!

Nawet nie drgnęła. Falida i Badou wrócili i chłopiec wspiął się na kolana matki. Oparł się o nią, lecz ona nie wykonała żadnego ruchu, nie dotknęła go. Na jego buzi malował się wyraz spokojnej akceptacji. Wyczułam, że bardzo różni się od matki - mimo chwilowego bezruchu, pod jej maską musiał płonąć ogień, byłam tego pewna.

- Dlaczego tak się pani denerwuje? - Leciutko przekrzywiła głowę i rzuciła mi pytające spojrzenie. - Bardzo się pani

287

spociła i nie wygląda najlepiej! Żle się pani czuje, mademoiselle... Mogłaby pani powtórzyć swoje nazwisko?

Jej oczy wreszcie oderwały się od mojej twarzy i powędrowały w dół, ku moim nogom. Wzięłam głęboki oddech.

- O'Shea, Sidonie O'Shea. - Serce skurczyło mi się boleśnie, gdyż w tej chwili zrozumiałam, że Manon nie wie, kim jestem.

Mogło to oznaczać, że albo Etienne jednak nie przyjechał do Marrakeszu, albo że nie wspomniał o mnie swojej siostrze.

- Zależy mi, żeby jak najszybciej znaleźć Etienne'a - powiedziałam. - Stąd niepokój i zdenerwowanie, które pani widzi...

Czy wcześniej zakładałam z góry, że Etienne przyszedł do niej i opowiedział jej o mieszkającej w Ameryce kobiecie, którą... Którą co? Kochał? Z którą spłodził dziecko?

- Nie wie pani, kim jestem.

- Skąd miałabym wiedzieć? Jest pani cudzoziemką, przyjechała pani z Ameryki, zjawia się pani u mnie bez zapowiedzi i mówi o moim bracie...

Przełknęłam ślinę.

-Jestem...

Jakiego słowa miałam właściwie użyć?

- Jestem narzeczoną Etienne'a - powiedziałam wreszcie. - Mamy się pobrać - dodałam, najzupełniej niepotrzebnie.

Wyraz twarzy Manon nagle się zmienił. Nie wyglądała już na zaintrygowaną. W jej oczach błysnął ciemny ogień, dłonie zacisnęły się mocno i rozluźniły. Teraz to ona głęboko wciągnęła powietrze, a gdy wypuściła je z płuc, Badou przekrzywił głowę, żeby na nią spojrzeć.

Powiedziała coś po arabsku do Falidy. Chłopiec podniósł się bez słowa protestu, a dziewczyna wzięła go za rękę. Przeszli przez bramę i zamknęli ją za sobą z cichym trzaśnięciem.

- Więc jest pani kochanką Etienne'a? - zagadnęła Manon całkowicie obojętnym tonem.

-Ja... Powiedziałałam, że jestem jego narzeczoną.

Zacisnęła wargi i przez jej twarz znowu przemknął ten mroczny cień. Nie znałam jej, ale wyglądało to na gniew. Przypomniałam sobie, jak na ułamek sekundy zacisnęła pięści.

- Dlaczego przyszła pani do mnie, Sidonie O'Shea? Wyjęłam z torebki kartkę papieru, teraz już trochę poprzecieraną w miejscach złożenia.

- To pani list do Etienne'a...

Popatrzyła na kartkę i znowu skupiła wzrok na mojej twarzy.

- Napisany kiedy?

- Sześć miesięcy temu.

- Mężczyzna zostawia panią, znajduje pani stary list i wyrusza w taką długą podróż, żeby go odszukać?

Nie powiedziałam, że mnie zostawił, chociaż pewnie jasno wynikało to z mojego zachowania i całej sytuacji. Nagle uświadomiłam sobie, jak śmieszna musiałam się jej wydać, poczułam, że Manon widzi mnie dokładnie tak samo, jak tamci z hotelu w Tangerze. Tragiczna bohaterka własnej opowieści. Ogarnął mnie wstyd - siedziałam przed tą wyniosłą kobietą i zachowywałam się jak... No właśnie, jak? Spojrzałam na cieką kartkę w mojej ręce.

- To o wiele bardziej... O wiele bardziej skomplikowane, nie takie proste...

- Mademoiselle, dla kobiety takie sprawy zwykle są o wiele bardziej skomplikowane!

Siedzieliśmy w milczeniu. Upał zupełnie mnie obezwładnił, wydawało mi się, że słyszę ruch gorącego powietrza, podobny do łopotu skrzydełek maleńkich ptaszków albo może motyli. Po paru chwilach popatrzyłam na Manon.

- Nie ma go tutaj?

Potrząsnęła głową.

- Wie pani, gdzie jest?

Przyglądała mi się tak długo, niemal bez końca, że poczułam, jak kropla potu powoli spływa mi po skroni i wzdłuż linii szczęki na szyję. Minęła cała wieczność, zanim Manon kiwnęła głową.

Z mojej piersi wyrwało się głębokie, drżące westchnienie.

- Jest tutaj, w Marrakeszu?

Znowu długa chwila wyczekiwania i wreszcie lekkie wzruszenie ramion.

-Może...

O co jej chodziło? Dlaczego bawiła się ze mną w tę idiotyczną grę? Wstałam i kilkoma krokami pokonałam dzielącą nas odległość.

- Madame Maliki, nie rozumie pani, jakie to ważne, żebym znalazła Etienne'a? - odezwałam się twardym tonem.

Ona także wstała.

- W tej chwili nie mogę powiedzieć, gdzie on jest...To niemożliwe!

Potrząsnęłam głową.

- Ale przecież... Przed chwilą pani mówiła, że wie, gdzie jest Etienne! - Podniosłam głos. - Dlaczego to niemożliwe? Dlaczego nie może pani po prostu...

- Mówiłam, że może wiem, gdzie jest - przerwała mi. -Poza tym dzisiejszy dzień nie jest dla mnie szczególnie korzystny, los mi dziś nie sprzyja... Nie mogę z panią dłużej rozmawiać...

Wpatrywałam się w nią bez słowa, niepewna, czy dobrze ją zrozumiałam.

- Musi pani już iść - powiedziała.

- Ale... Nie! Nie wyjdę, dopóki nie powie mi pani, co dzieje się z Etienne'em! Odbyłam taką daleką podróż...

290

Zrobiła krok naprzód i znalazła się tuż przede mną. Stałam z rozchylonymi wargami, niezdolna dokończyć zdania. Byłyśmy tego samego wzrostu, a jej twarz była tak blisko, że wyraźnie widziałam, jak jej źrenice rozszerzyły się i zwężyły, przeistaczając się w dwa twarde, ciemne punkciki. Poczulałam lekki zapach jakiejś przyprawy, może kminu, może kolendry, wydobywający się z jej ust.

- Wyjdzie pani! To jest mój dom i musi pani wyjść, skoro ja tak mówię! Nie ma pani prawa tu być!

Trąciła stopą mój but i wtedy instynktownie cofnęłam się, lecz ona chwyciła mnie za ramię. Skóra natychmiast mnie zapiekła, chociaż jej palce zacisnęły się przecież na rękawie sukienki.

Uwolniłam się z jej uścisku. Było dla mnie oczywiste, że chce rzucić mi wyzwanie albo mnie przestraszyć. Widziałam też jasno, że w tej chwili nic mi nie powie.

- Madame Maliki, może jutro będzie lepszy dzień na rozmowę - odezwałam się spokojnie. - Może rano? Proszę powiedzieć, kiedy mam przyjść, zastosuję się do pani życzenia.

Miałam rację. Jej rysy odrobinę złagodniały i byłam przekonana, że stało się to za sprawą błagalnej nuty w moim głosie. Celowo spokorniałam i podporządkowałam się jej, co wyraźnie sprawiło jej satysfakcję.

- Nie wiem, czy jutrzejszy dzień będzie odpowiedni - oświadczyła. - Muszę się zastanowić...

Stałyśmy naprzeciwko siebie. Patrzyła gdzieś ponad moją głowę, jakby wisiał tam niewidzialny kalendarz, a ja ze wszystkich sił starałam się nie krzyknąć, nie krzyknąć i nie podnieść na nią ręki. Ją to najwyraźniej bawiło. W tym momencie wszystko zależało od niej. Wiedziałam o tym i z jej twarzy mogłam wyczytać, że ona również o tym wie. Z jakiegoś nieznanego

291

mi powodu chciała zademonstrować, że ma nade mną władzę, a ja mogłam tylko pogodzić się z tą sytuacją. W końcu spojrzała mi prosto w oczy.

- Dobrze, może pani przyjść o drugiej. Nie wcześniej, rozumie pani? Nie przed drugą!

Powoli skinęłam głową, wyszłam za bramę i ruszyłam przed siebie. Kiedy dotarłam do końca alejki, zatrzymał mnie cichy głosik.

- Mademoiselle...

Zajrzałam w głąb ciemnej niszy w długim murze i zobaczyłam siedzących na ziemi Badou i Falidę. Gdyby chłopiec się nie odezwał, w ogóle bym ich nie zauważyła.

Przystanęłam. Patrzyli na mnie szeroko otwartymi oczami.

-Tak?

Ale Badou chyba jednak nie miał nic do powiedzenia, uniósł tylko w górę pręgowanego kociaka. Kiwnęłam głową, odwróciłam się i zrobiłam kilka kroków, lecz coś kazało mi się obejrzeć.

- Ile masz lat? - spytałam.

- Six ans - odparł.

Sądziłam, że ma pięć lat - był drobny i delikatny.

- A twoja siostra? - Spojrzałam na dziewczynę. - Ile masz lat, Falida?

Nie odpowiedziała.

- Ona nie jest moją siostrą - oznajmił Badou. - Ach, tak...

- To nasza służąca!

Popatrzyłam na jej posiniaczone ramię i zaczerwienione, podbite oko.

-Tutaj zawsze są kocięta - rzekł Badou. - Bo tam mieszkają kocice... - Palcem pokazał mi dziurę w murze, tuż nad ziemią. - Bawimy się z nimi, kiedy wychodzą.

292

Delikatnie pogłaskał grzbiet kotka.

Badou był siostrzeńcem Etienne'a. Czy miał w sobie coś z wuja? Może widziałam podobieństwo w tej długiej szyi i poważnym spojrzeniu, sama nie wiem.

Pomyślałam o swoim dziecku i zaczęłam się zastanawiać, czy byłoby podobne do tego małego chłopca.

- Lubi pani kocięta? - zapytał.

Znowu kiwnęłam głową.

Po chwili wzięłam głęboki oddech i ruszyłam w stronę alejki farbiarzy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY.

Może, powiedziała Manon. Może Etienne jest tutaj, w Marrakeszu.

Przeszłam przez placyk farbiarzy oraz alejki stolarzy i krawców. Dopiero teraz zorientowałam się, że gdy szukałam Szaria Zitun, chodziłam w kółko - rozpoznałam kilka ulicznych rogów, parę odmiennie malowanych bram i beczkowato sklepionych przejść pod murami. W jednym miejscu zauważyłam niebieski odcisk dłoni na ścianie, trochę dalej kanarkowo żółty znak. Wsłuchiwałam się w odgłosy suków, usiłując zapamiętać drogę, żeby następnego dnia bez większych trudności wrócić do Szaria Zitun. W końcu ujrzałam imponującą wieżę La Koutoubia i ruszyłam w jej kierunku przez Dżemma el Fna.

Nie mogłam otrząsnąć się z wrażenia, że śnię. Znalazłam Manon. Nadal nie znałam miejsca pobytu Etienne'a, ale następnego dnia miałam znowu spotkać się z jego siostrą i przyrzekłam sobie, że tym razem nie pozwolę jej w nieskończoność unikać odpowiedzi na moje pytania.

Zostawiłam za sobą medynę i ruszyłam w stronę hotelu, omiatając czujnym wzrokiem każdego napotkanego Europejczyka. Oczywiście robiłam to i wcześniej, pełna nadziei, że zobaczę Etienne'a na ulicy, lecz teraz, po rozmowie z Manon,

294

to uczucie nabrało świeżych barw. Rozglądałam się w poszukiwaniu znajomego kroku, dobrze znanego kształtu ramion. Gdy wreszcie dotarłam do hotelu la Palmeraie, drżałam na całym ciele. Poszłam do swojego pokoju i zamówiłam lekką kolację, ale nie chciało mi się jeść. Położyłam się wcześniej, licząc, że natychmiast zasnę i nie obudzę się aż do rana, nie spałam jednak dobrze, przez całą noc przewracałam się z boku na bok w gorącym i dusznym pokoju.

Ranek ciągnął się bez końca. Za wcześnie wyszłam z hotelu i na Dżemma el Fna byłam już przed dwunastą.

Wolałam znowu obejść plac dookoła, żeby uniknąć przelewających się środkiem tłumów i kiedy byłam mniej więcej w połowie drogi, zwróciłam uwagę na śpiewne, recytujące jakieś zdanie męskie głosy, wznoszące się i opadające, lecz stopniowo przybierające na sile. I nagle zobaczyłam ich przed

sobą - co najmniej dwunastu mężczyzn, siedzących na ubitej ziemi w ostrym słońcu, stykających się ramionami i zgodnie kołyszących się w tył i w przód. Wszyscy byli starzy i obszarpani, w większości bezzębni i ślepi. Niektórzy mieli puste oczodoły, inni uszkodzone gałki oczne, zupełnie nieruchome lub zataczające koła. Śpiewali razem, kilku wybijało rytm laskami o ziemię. Zrozumiałam, że zarabiają na życie śpiewem, tak samo jak skryba, którego widziałam poprzedniego dnia, zarabiał pisaniem listów dla tych, którzy nie umieli pisać, i jak zarabiał bazarz, ubarwiając życie innych własną wiedzą i wyobraźnią.

Kiedy pieśń dobiegła końca, Marokańczyk stojący przed starcami uniósł rękę najbliższego i wcisnął do niej monetę. Ślepiec włożył sobie monetę do ust, ugryzł ją, a potem wyrecytował litanie słów - chyba błogosławieństwo, bo usłyszałam imię Allaha - pod adresem ofiarodawcy. Podał monetę drugiemu starcowi, który także sprawdził jej autentyczność

295

zębami, ten przekazał ją trzeciemu i tak zawędrowała do rąk ostatniego, który, ugryzłszy ją, włożył do zawieszanej na szyi sakiewki.

Starcy odśpiewali następną pieśń, a gdy skończyli, więcej Marokańczyków dało im monety i zostało pobłogosławionych. Twarze starców były pobrużdżone i pokryte bliznami, nawet luźne szaty nie mogły ukryć ich żałośnie chudych ciał. Pomyślałam o pięknym hotelu de la Palmeraie i o tych ślepcach w całej ich nędzy. Jak traktował Marokańczyków Etienne, który spędził tu wiele lat? Ostatecznie był tu obcy i należał do obozu najeźdźców.

Tak samo jak ja... Nagle zawstydzona, wyjęłam z torebki jedno sou i położyłam na dłoni pierwszego starca. Gdy jego palce zacisnęły się na monecie, druga ręka chwyciła moją i dotykiem zbadała dłoń, palce i paznokcie. Staruszek pokiwał głową. Jego własne palce były chude i twarde, paznokcie poźółkłe, długie i nierówne. Puścił moją rękę i wypowiedział po arabsku tę samą formułkę co poprzednio.

Nie odpowiedziałam.

- Merci, madame - rzekł.

- De rien! - odparłam odruchowo. - Nie ma za co...

- Każda Marokanka poczułaby się zbrukana, gdyby nas dotknęła - powiedział zaskakująco poprawnym francuskim. - A jednak pani ręka nie jest ręką Francuzki! To ręka, której nieobca jest praca. Wydaje mi się, że nie jest pani ani Marokanką, ani Francuzką, ale tak czy inaczej błogosławie panią, madame. Nędzarze wchodzą do raju przed bogaczami, więc kiedy dajecie nam jałmużnę, kupujecie od nas malutki kawałek raju.

- Merci - szepnęłam, ponieważ nie miałam pojęcia, jak inaczej mogłabym odpowiedzieć.

Popatrzyłam, jak starzec sprawdza zębami moją monetę i przekazuje ją dalej, a potem odeszłam.

296

Manon powiedziała mi, żebym przyszła nie wcześniej niż o drugiej, ale ja nie mogłam dłużej czekać. Była za dziesięć pierwsza, kiedy uniosłam metalową dłoń i zastukałam do bramy.

Ciężką furtkę otworzyła Falida. Skinęłam głową na powitanie, a ona spuściła wzrok, ulegając wyuczonemu odruchowi. Teraz, gdy wiedziałam już, że nie jest córką Manon, dziwiłam się, że w ogóle mogłam tak pomyśleć, wydawało mi się bowiem oczywiste, że przodkami Falidy byli niewolnicy, o których mówił mi Etienne. Cóż, poprzedniego dnia przepełniała mnie niepewność i rozczarowanie, i wszystko było dla mnie niejasne.

Meble i sprzęty zabrano już z dziedzińca, z boku stał tylko długi szezlong przykryty grubą, barwną narzutą oraz kilka stołków z korka, porządnie ustawionych wokół niskiego okrągłego stołu. Badou chodził po krawędzi pustego basenu fontanny, starając się utrzymać równowagę dzięki szeroko rozpostartym ramionom. Kiedy Falida zatrzasnęła za mną ciężką furtkę, zeskoczył na ziemię i podbiegł do mnie.

- Bonjour, Badou - odezwałam się.

Kiwnął głową z powagą, która w żaden sposób nie pasowała do sześciolatniego dziecka.

- Bonjour, mademoiselle! - Wyciągnął do mnie rączkę. - Venez, proszę pójść ze mną, maman jest w domu.

Spojrzałam na jego drobną łapkę, zaskoczona nieoczekiwanym gestem. Potem wzięłam go za rękę i razem przeszliśmy przez dziedziniec. Palce Badou były małe, lecz mocne, suche i ciepłe.

Zatrzymaliśmy się w progu i pierwszą rzeczą, na jaką zwróciłam uwagę, był mocny, słodkawy zapach dymu. Zamrugałam, starając się odzyskać ostrość widzenia w mroku po jasnym słonecznym blasku na dziedzińcu.

297

- Mademoiselle O'Shea! - W głosie Manon brzmiała ostra nuta niezadowolenia. - Wyraźnie mówiłam, że będę czekała na panią od drugiej! Przyszła pani za wcześnie, nie mogę teraz z panią rozmawiać!

Nie widziałam jej w zaciemnionym pokoju.

- Bardzo panią proszę, madame Maliki... Nie zajmę pani dużo czasu, chcę tylko, żeby pani...

- Badou, otwórz okiennice! - przerwała mi.

Chłopiec wyjął rączkę z mojej dłoni i pobiegł otworzyć jedną z wysokich drewnianych okiennic, osłaniających wychodzące na dziedziniec okno. Wąskie pasemka światła wydobywały z mroku długi pokój z kilkoma szezlongami, obitymi wielbłądzą skórą otomanami i niskim stołem z pięknie rzeźbionego drewna. Na podłodze leżał gruby, mięsisty dywan w rozmaitych odcieniach czerwieni, błękitu i czerni, pod dwoma ścianami stały wysokie lustra. Sufit pokrywały panele z polerowanego drewna. W jednym rogu dostrzegłam kominek, zimny i pusty w letnim upale. Otwarte drzwi prowadziły do sąsiedniego pomieszczenia - widziałam poczerńiałe garnki i rondle, niski piecyk z jedną fajerką oraz zlew z kranem. Powietrze wciąż pachniało świeżym wapnem.

I wtedy je zobaczyłam - obrazy wiszące na jednej ścianie. Było ich chyba z dziesięć albo więcej, wszystkie olejne, nieoprawione, różnej wielkości. Wszystkie w intensywnych, burzliwych kolorach,

malowane z lekceważącym podejściem do detali, jakby ktoś przelewał je wprost z palety na płótno, bez planowania czy choćby chwili zastanowienia. A jednak cechowało je surowe piękno, ten szczególny urok, który potrafi wytworzyć tylko osoba obdarzona naturalnym talentem.

- Nie spodziewałam się po pani takiego braku wychowania i szacunku dla drugiego człowieka - powiedziała Manon i powoli wciągnęła powietrze.

298

Leżała na krytym zielonym aksamitem szezlongu, z długą wijącą się rurką w jednej ręce. Koniec rurki przytwierdzony był do naczynia podobnego do tych, które w Tangerze określano mianem sheesha. Manon wypuściła powoli powietrze z płuc, i z jej ust wypłynęła długa, prosta kolumna dymu.

Badou odwrócił się od okna i usiadł obok niej.

- Przepraszam, madame Maliki - powiedziałam. - Jednak chyba rozumie pani moją niecierpliwość, aby dowiedzieć się czegoś o Etiennie. Na pewno to pani rozumie!

Serce biło mi mocno i głucho. Potarłam dłonią o dłoń, niezdolna zamaskować niepewności. Obiegłam wzrokiem pokój, jak poprzedniego dnia dziedziniec, z nadzieją, że wypatrzę jakiś znak obecności Etienne'a, ale i tu nie było nic, co mogłoby należeć do mężczyzny - żadnych babouches przy drzwiach, żadnej rzuconej na materac dzellaby. Ciekawe, gdzie podziewał się mąż Manon. Bezskutecznie próbowałam wyobrazić sobie mężczyznę, którego poślubiła.

- Nie mogłam doczekać się godziny, którą mi pani wyznaczyła, i... Cóż, jestem tutaj! Proszę mi powiedzieć, gdzie mogę go znaleźć albo... - Przerwałam na moment. - Albo cokolwiek, co mogłoby mi w tym pomóc...

Odłożyła rurkę ze zwężonym ustnikiem. Podeszłam do niej ostrożnie.

Jej twarz, jaśniejsza, niż zapamiętałam, wydawała się dziwnie poszarzała i lśniła od potu. Manon miała na sobie zielono pomarańczowy jedwabny kaftan i jeszcze inny typ wierzchniej marokańskiej szaty, zwany djina. Ta druga szata, jasnozielona, miała po bokach rozcięcia, dzięki którym widać było dolną część kaftana. Ponieważ nie włożyła haik, pod cienkimi szatami wyraźnie rysowała się jej smukła sylwetka. Nigdy dotąd nie widziałam Marokanki bez haik; chociaż podziwiałam kaftany na wystawach sklepów we francuskiej dzielnicy oraz

299

zwisające z haczyków na straganach, nie zdawałam sobie sprawy, jak pięknie podkreślają urodę kobiecej postaci.

Było oczywiste, że Manon nie zamierza się podnieść, usiadłam więc na szezlongu z drugiej strony. Do pokoju weszła Falida, podobna do milczącego cienia, i wsunęła parę twardych, okrągłych poduszek między ścianę a moje plecy, nie przyszłam tu jednak po to, aby odpoczywać. Pochyliłam się, nie odrywając wzroku od Manon. Obrazy nad jej głową - dzikie, pełne pasji wizje - sprawiały, że pokój pulsował, z każdą chwilą coraz jaśniejszy i cieplejszy.

- Proszę wyjść, mademoiselle O'Shea! - rzuciła Manon. -Przynieś mi torebkę, Badou.

Nie zareagowałam. Chłopiec podbiegł do komody pod ścianą i wrócił z bogato zdobioną płócienną torebką. Podał ją matce i usiadł po turecku na podłodze u jej stóp.

Manon patrzyła na mnie, ale ja nadal nie reagowałam. Gdy po chwili nonszalancko wzruszyła ramionami, zrozumiałam, że wygrałam tę bardzo małą bitwę. Wyjęła z torby grzebień, lusterko i kilka flaszeczek. Powoli rozczesała długie, lśniące włosy i zostawiła je rozpuszczone, uróżnowała policzki i wargi. Małym kawałkiem drewna potarła jasnoróżowe dziąsła, które w rezultacie tego zabiegu stały się rdzawoczerwone i podkreśliły biel zębów. Manon znowu sięgnęła do torebki i wyciągnęła coś, co widziałam już w sklepach w La Ville Nouvelle - drewnianą obsadkę ze sztyftem do malowania kresk wokół oczu.

Jeden policzek bolał mnie i piekł od środka, ponieważ ciągle go przygryzałam. Chciałam wrzasnąć na Manon, potrząsnąć nią, zmusić, aby opowiedziała mi o Etiennie, wiedziałam jednak, że przyniosłoby to skutek odwrotny do zamierzonego. Bardzo możliwe, że takie zachowanie z mojej strony stałoby się dla niej dobrą wymówką, by odmówić mi wszelkich wyjaśnień.

300

Wiedziałam już, że powie mi, co zechce i kiedy zechce.

- Moja kredka do oczu jest wyjątkowa - oświadczyła, starannie malując oczy i patrząc w lusterko. - Sama robię czernidło w te noce, kiedy księżyc jest w nowiu. Używam węgla ze spalonych korzeni oleandra, rozgniecionej w moździerz gałki muszkatołowej i aloesu. I jeszcze - to bardzo ważne! - odrobiny wielbłądziej żółci... Jednak nawet najlepsze składniki nie połączą się w harmonijną całość, jeśli nie zrobimy tego w porze nowiu!

Nie zamierzałam dopytywać się, co ma na myśli. Manon, przyglądając się sobie w lusterku, zaczęła śpiewać niskim, pięknym głosem.

- Moje oczy będą jak księżyc na ciemnym niebie... Sprawię, że mężczyźni oszaleją z pożądania, może jeden, może wielu... Wszyscy będą mnie pragnąć...

Chociaż w pokoju było bardzo ciepło, po plecach przebiegł mi dreszcz, zupełnie jakbym nagle znalazła się w przeciagu. Przypomniałam sobie opowieści Etienne'a o Marokankach oraz ich magicznych praktykach i jego lekceważący stosunek do tych zabiegów. Manon patrzyła na mnie uważnie, a ja czułam się coraz bardziej nieswojo. Trudno uwierzyć, ale ten makijaż przemienił ją z ładnej, choć już starzejącej się kobiety, w zmysłową piękność. Teraz była zachwycająca jak lekko przekwitła róża, której uroda wciąż zapiera dech w piersiach. Była egzotyczną istotą, córką tego kraju. Nie miała w sobie nic, co wskazywałoby, że jest siostrą Etienne'a. Jediną oznaką francuskiego pochodzenia była jej perfekcyjna znajomość tego języka.

- Czy jakiś mężczyzna oszalał kiedyś dla pani, mademoiselle O'Shea? - spytała sarkastycznie.

Nie odpowiedziałam. Poprzedniego dnia powiedziałam jej, że jestem narzeczoną Etienne'a. Czy nie była w stanie wyobrazić sobie, że mnie pożądał?

301

- Gdzie jest pani mąż, madame Maliki? - zagadnęłam. -W pracy?

Zadałam to pytanie nie tylko dlatego, że mnie rozgniewała, ale także w odpowiedzi na wyraźny podszept instynktu, że nie spodoba się jej, jeśli choćby tylko spróbuję przejąć inicjatywę.

Miałam rację. Jej twarz znowu się zmieniła, oczy błysnęły gniewnie.

- Gdzie pani mąż? - powtórzyłam.

Teraz to ona mnie zignorowała. Wrzuciła kosmetyki do torebki, uniosła podbródek i spojrzała na Badou.

- I jak? - rzuciła.

- Jesteś bardzo ładna, maman - powiedział. Zabrzmiało to jak wyuczona lekcja. Falida, która nadal stała obok mojego szezlonga, pokornie kiwnęła głową.

- Tres belle, madame... - szepnęła.

Manon spojrzała na mnie z takim samym wyrazem twarzy, jak na dzieci, wiedziałam więc, że czeka na mój komplement. Nie miałam cienia wątpliwości, że Manon Maliki przywykła do słuchania komplementów i bardzo je lubi.

Milczałam.

Ściągnęła tasemki torebki jednym szybkim, gniewnym szarpnięciem i rzuciła ją na poduszkę. Falida odłożyła ją na poprzednie miejsce, a potem usiadła po turecku obok Badou. Manon popatrzyła na nich i znowu przeniosła wzrok na mnie. Pomyślałam, że zachowuje się jak królowa wobec swoich poddanych.

- Nie będę więcej prosić ani żądać, aby opuściła pani mój dom - odezwała się. - Może pani wrócić za godzinę! I proszę się cieszyć, że w ogóle chcę jeszcze z panią rozmawiać, po tym, jak mnie pani rozgniewała!

- Madame Maliki, jaką różnicę robi pani ta godzina? - spytałam bezradnie. - Czy nie może pani...

302

- Manon?

Wszyscy odwróciliśmy się w stronę drzwi. W progu stał mężczyzna, tak wysoki, że jego turban dotykał górnej framugi, ubrany w ciemnoniebieską płócienną dzellabę z żółtym haftem pod szyją. Jeden koniec fioletowego turbanu zasłaniał mu nos i usta. Ponieważ źródło światła miał za plecami, nie widziałam jego oczu. Pod pachą trzymał spory koszyk.

Natychmiast pomyślałam o człowieku, którego w drodze do Marrakeszu spotkaliśmy na piste.
L'Homme Bleu...

Badou podbiegł do niego z szerokim uśmiechem. Najpierw pocałował go w rękę, w arabskim geście szacunku wobec starszego, a potem otoczył ramionkami jego nogę.

- Wujek Aszulay! - zawołał.

Wujek, pomyślałam. Przecież wujem Badou jest Etienne. Dlaczego tego mężczyznę także nazywa wujem? Pewnie jest to brat męża Manon.

Spojrzałam na Manon - uśmiechała się do tego mężczyzny, zalotnie, czarująco. Nagle odgadłam, że nie życzyła sobie mojej obecności, ponieważ czekała na niego.

Czy to był jej mąż? Nie, bo Badou nazwał go „wujkiem”, a ja widziałam, jak na niego patrzyła - na pewno nie jak na męża... Przypomniałam sobie, jak Etienne przyjeżdżał do mojego domku przy Juniper Road. Tak, Manon patrzyła na tego mężczyznę jak na kochanka.

- As salam alejkum, Badou! - Mężczyzna przywitał Badou po arabsku, uśmiechnął się do niego ciepło i przygładził mu włosy.

Postawił koszyk na podłodze i spojrzał na nas.

- To jest mademoiselle O'Shea - powiedziała Manon, już bez uśmiechu. -Już wychodzi.

Nie ruszyłam się ze swego miejsca.

Wysoki mężczyzna popatrzył na mnie i poważnie skinął głową.

303

- Dzień dobry, mademoiselle O'Shea - powiedział zupełnie przyzwoitym francuskim z wyraźnym arabskim akcentem.

- Dzień dobry, monsieur... - zawahałam się.

- Nazywam się Aszulay, mademoiselle - rzekł po prostu.

Zostawił babouches przed drzwiami pokoju, a teraz ściągnął w dół koniec turbanu, odsłaniając twarz. Rozluźnił turban na głowie i zsunął go na szyję. Jego głowa nie była wygolona jak u Arabów, których widziałam na sukach; włosy miał gęste i falujące, intensywnie czarne. Teraz, gdy stanął w świetle wpadającym do pokoju przez okno, zobaczyłam, że jego oczy mają zdumiewająco intensywny odcień błękitu.

Badou wciąż trzymał skraj dzellaby mężczyzny, który szybkim i niewątpliwie wypraktykowanym ruchem podniósł go z ziemi. Chłopiec ze śmiechem zarzucił mu ramiona na szyję.

- Falida, zanieś jedzenie do kuchni i przygotuj posiłek - powiedział Aszulay.

Dziewczyna chwyciła pałąk kosza, wyraźnie ciężkiego, i pociągnęła go do drzwi.

- Zje pani z nami, mademoiselle? - zagadnął Aszulay.

- Nie! - odezwała się Manon. - Ona już wychodzi! Może pani wrócić później, jak ustaliłyśmy! - Podniosła się.

Poszłam za jej przykładem. -Ale madame...

- Porozmawiamy później, o drugiej!

- Proszę, wystarczy, że powie mi pani...

- Nie! - rzuciła głośno, ze złością. - Mówię, że o drugiej, to o drugiej!

Obeszła stolik dookoła i szarpnęła mnie za rękaw.

- Niech pani już idzie, mademoiselle! Proszę stąd wyjść, nie rozumie pani?!

- Manon! - W głosie Aszulaya zabrzmiała zdecydowana nuta.

304

Spojrzałam na niego z nadzieją, że wtrąci się i opowie po mojej stronie, nie umiałam jednak odczytać wyrazu, jaki malował się na jego twarzy. Aszulay nie odezwał się więcej.

Musiałam wyjść, nie miałam wyboru. Gdy szłam przez dziedziniec, usłyszałam głos Aszulaya, cichy, pytający, i odpowiedzi Manon, ostre, kłótlive. Rozmawiali po arabsku, więc nic nie zrozumiałam.

Przez następną godzinę chodziłam pobliskimi uliczkami i liczyłam minuty. Punktualnie o drugiej wróciłam do Szaria Zitun i zapukałam do bramy. Nikt mi nie otworzył. Zaczęłam wołać, najpierw Manon, potem Badou i w końcu nawet Falidę, ale za szafranową bramą panowała niczym niezakłócona cisza.

Co miałam robić? Czekałam pod bramą bardzo długo, oparta o ścianę, zmieniając ciągle pozycję, żeby nie obciążać zbyt krótkiej nogi. Zza bramy nie dobiegał żaden odgłos. Powiedziałam sobie, że zaczekam do ich powrotu, nawet jeżeli zrobi się późno i zapadnie ciemność. Będę czekała, powtarzałam.

Jednak kiedy wpadające do wąskiej uliczki światło przybrało ciemniejszy odcień i powietrze zapachniało przygotowywanym na wieczór jedzeniem, zrozumiałam, że nie wytrzymam dłużej.

Mocno kulejąc, wróciłam do hotelu na kolejną niespokojną noc, kolejną noc, która nawet trochę nie zbliżyła mnie do odnalezienia Etienne'a.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI.

W pierwszej chwili po przebudzeniu chciałam od razu pobiec do Szaria Zitun, byłam jednak rozczarowana poprzednim dniem i bałam się, że kiedy dotrę na miejsce, przywita mnie ta sama cisza. Co zrobię, jeśli Manon gdzieś wyjechała, aby uniknąć rozmowy o Etiennie? Może zmarnowałam szansę, którą dał mi los?

Co ukrywała Manon?

Aby chociaż na parę godzin oderwać się od tych myśli, wybrałam się na spacer po dzielnicy francuskiej. Weszłam do sklepu z produktami dla malarzy, ponieważ miałam nadzieję, że zapach farb czy widok pędzli pomoże mi zapomnieć o rozmowie, na którą wciąż czekałam; myślałam o obrazach

na ścianach hotelowego holu i o szkicu przedstawiającym Mustafę i Aziza, który zrobiłam na pisto. Kiedy wreszcie znalazłam się w Szaria Zitun, było już południe.

Przygotowałam się na ciszę na dziedzińcu za szafranową bramą, lecz gdy podeszłam bliżej, wyraźnie usłyszałam głos Badou. Przyłożyłam dłoń do piersi, odetchnęłam z ulgą i zastukałam, wołając chłopca po imieniu. Natychmiast otworzył furtkę.

- Dzień dobry, mademoiselle O'Shea! - przywitał mnie z uśmiechem, jakby naprawdę ucieszył się na mój widok.

306

Usiłowałam odpowiedzieć mu w ten sam sposób, ale drżące wargi nie chciały mnie słuchać.

Na dziedzińcu był też Aszulay - znowu, a może nadal.

- Mademoiselle O'Shea, wróciła pani! - Uśmiechnął się, trochę jak Badou.

- Tak. Wczoraj nikt mi nie otworzył. Aszulay zmarszczył brwi.

- Gdy wychodziłem przed drugą, Manon powiedziała, że czeka na panią!

- Nie było jej w domu. Czekałam do wieczora.

- Proszę usiąść - rzekł. - Manon odpoczywa, ale niedługo siądziemy do stołu. Mam nadzieję, że będzie nam pani towarzyszyć.

Na moment zamknęłam oczy, nie chcąc dalej bawić się w tę towarzyską szaradę. Co będzie, jeżeli Manon potraktuje mnie tak samo jak dzień wcześniej?

- Przepraszam za wczorajsze zachowanie Manon! Czasami cierpi na ostre bóle głowy.

Natychmiast pomyślałam o migrenach Etienne'a.

- Bardzo ją to męczy i wtedy... Cóż, bywa taka, jaką ją pani widziała. Dzisiaj musi pani z nami zostać! Gościnność to podstawowa cecha Marokańczyków, mademoiselle. Odrzucenie zaproszenia traktują jak obrazę...

Skinęłam głowę i usiadłam na jednym z niskich korkowych stołków. Była to niewygodna dla mnie pozycja ze względu na nogę, wyciągnęłam ją więc przed sobą. Aszulay usadowił się po turecku na niskim szezlongu, w taki sposób, aby okrągły stolik znalazł się między nami. Badou wgramolił mu się na kolana i Aszulay, w przeciwieństwie do Manon, która nigdy nie dotykała synka, otoczył go ramionami.

UHomme Bleu... Znowu pomyślałam o mężczyźnie w niebieskiej szacie na pisto, który wyłonił się znikąd i zapłacił ceramiczną płytką

307

za chleb. Bardzo mnie zaintrygował; długo miałam przed oczami jego wysoką postać, bezpośrednie spojrzenie, niespieszny, pełen godności lekki krok, którym oddalił się zakurzoną drogą, znikając równie tajemniczo, jak się pojawił.

- Poproszę Falidę, żeby przyniosła herbatę - odezwał się Aszulay.

Drgnęłam nerwowo, ponieważ zdałam sobie sprawę, że przyglądam mu się z jawnym zaciekawieniem.

- Zjemy na dziedzińcu, jest chłodniej - dodał. Postawił Badou na ziemi i wstał.

- Badou, idź i powiedz mamie, żeby zeszła na dół i usiadła z nami do stołu! Proszę się rozgościć - rzekł do mnie. - Zaraz wracam.

Badou pomknął schodami na górę i po chwili dobiegł mnie jego przyciszony głos. Tak bardzo chciałam zobaczyć się z Manon i usłyszeć to, co miała mi do powiedzenia, a jednocześnie bałam się tego spotkania. Ta kobieta nosiła w sobie rys okrucieństwa i całkowitego lekceważenia dla innych; dobrze zapamiętałam wyraz satysfakcji, jaki odmalował się na jej twarzy, gdy kazała mi błagać i czekać. Nie próbowała nawet ukryć braku zainteresowania własnym synem, wiedziałam też, jak brutalnie traktowała młodziutką służącą.

Jak to możliwe, że była tak inna od Etienne'a?

Aszulay wrócił razem z Falidą. Niósł tagine, duży okrągły gliniany półmisek z wysoką, stożkową pokrywką, natomiast dziewczyna dźwigała mosiężną tacę, a na niej talerz z podplomykami, imbryczek, trzy malowane szklanki w blaszanych uchwytach i cztery małe porcelanowe miseczki z wodą i plasterkami cytryny.

Falida postawiła tacę na stole i napełniła trzy szklanki herbatą. Podała pierwszą Aszulayowi, a drugą mnie i wycofała się

308

do drzwi. Trzecią szklankę zostawiła na tacy, oczywiście dla Manon.

- Proszę się napić. - Aszulay wykonał zapraszający gest.

Kiwnęłam głową i pociągnęłam ostrożny łyk. Była to herbata miętowa, zdecydowanie za słodka, jak zwykle w Maroku. Było za gorąco na tego rodzaju napój i natychmiast tęsknie pomyślałam o szklance zimnej wody.

Aszulay w milczeniu popijał herbatę, wyraźnie rozluźniony. Ja nie potrafiłam poradzić sobie z ciszą i gorączkowo starałam się wymyślić temat rozmowy. Co można powiedzieć Błękitnemu Człowiekowi? Czułam się bardzo nieswojo i zanim w końcu się odezwałam, musiałam dwa razy odchrząknąć.

- Czym zajmuje się pan w Marrakeszu? - spytałam. Aszulay spokojnie przełknął łyk miętowej herbaty.

- Kopaniem - odparł.

- Kopaniem? - powtórzyłam, niepewna, czy dobrze zrozumiałam słowo, którego użył.

Skinął głową.

- Kopię ziemię i sadzę drzewa i kwiaty. - Znowu pociągnął łyk herbaty.

Patrzyłam na jego wargi, oparte na brzegu szklanki.

- Och, jest pan ogrodnikiem! Pracuje pan dla jakiejś rodziny? - Niewiele mnie obchodziło, co robi, po prostu nie mogłam znieść milczenia.

- Pracowałem w ogrodach wielu dużych rodzin w medynie, a także w ogrodach i parkach La Ville Nouvelle. Teraz też pracuję w dzielnicy francuskiej.

- Mieszkam w hotelu de la Palmeraie w La Ville Nouvelle -wyjaśniłam niepotrzebnie.

Nie miałam najmniejszej ochoty na towarzyskie rozmowy.

- Oczywiście - powiedział Aszulay. - To bardzo... Bardzo luksusowe miejsce.

309

Przytaknęłam.

- Pracuję w ogrodzie monsieur Majorelle'a - podjął. - Ale często w porze obiadu przynoszę coś do jedzenia dla Manon i Badou.

- Byłam raz w Le Jardin Majorelle - zauważyłam. Aszulay odstawił szklankę.

- Tak. Widziałem panią.

- Naprawdę? - Poczułam leciutkie ukłucie zaciekawienia.

- W zeszłym tygodniu. Pracowałem, kiedy pani przechodziła. Widziałem, jak rozmawiała pani z madame Odette. Przychodzi do parku codziennie, to taka smutna staruszka.

Nagle szczerze się zawstydziłam - nie zwróciłam uwagi na pracujących w upalnym słońcu ludzi, pewnie nawet na nich świadomie nie spojrzałam.

-Teraz nie ma tu wielu cudzoziemców, większość przyjeżdża w chłodniejszych miesiącach - powiedział, starając się zapewne wyjaśnić, dlaczego mnie zauważył.

Czy wydałam mu się wyniosła i zarozumiała, kiedy spacerowałam po ścieżkach?

- Park będzie wspaniały, kiedy prace zostaną już ukończone - odezwałam się, chyba zbyt szybko. - Stanie się oazą spokoju, zgodnie z intencjami monsieur Majorelle'a. Zawsze lubiłam ogrody i parki.

Aszulay patrzył na mnie, wciąż rozluźniony, z dłońmi swobodnie opartymi na udach. Miał tak intensywnie niebieskie oczy, że ich błękit zastanawiał, był aż tak głęboki i nasycony. Z jakiegoś powodu bezpośredniość jego spojrzenia, łagodnego i szczerego, wprawiła mnie w jeszcze większe zmieszanie niż wcześniejsza cisza.

- Mam ogród przy domu, w Ameryce - dodałam. - Zawsze staram się dbać, aby panowała tam pewna równowaga,

ale nie planuję układu roślin z linijką w dłoni... Jeśli chodzi o kwiaty, to także...

Przerwałam. Świergotałam jak idiotka, mówiłam rzeczy, które nie miały żadnego znaczenia. Chciałam powiedzieć, że maluję rośliny, ale dlaczego właściwie miałabym odsłaniać się przed tym człowiekiem w większym stopniu niż przed innymi, których spotkałam od dnia wyjazdu z Albany?

- Interesuję się roślinami - dokończyłam. Aszulay skinął głową.

- Musi pani jeszcze raz odwiedzić park Majorelle - rzekł spokojnie i nagle odwrócił się w stronę schodów. - Och, jesteś!

Podniósł się z uśmiechem.

- Dlaczego ona tu jest? - Manon zmarszczyła brwi. Badou wyjrzał zza spódnicy matki. Aszulay podszedł do

schodów, wspiął się na pierwsze stopnie i wyciągnął rękę.

- Chodź! Jesteśmy gościnni, Manon! Kiedy gość puka do naszych drzwi, podejmujemy go herbatą i posiłkiem.

Mówił powoli i cierpliwie, trochę jak do Badou.

- Chodź - powtórzył, biorąc ją za rękę.

Uśmiechnęła się, bardzo słabo, ale jednak. Znowu umalowała twarz i miała na sobie inny strój, przepiękny jedwabny kaftan w subtelnych odcieniach fioletu, a na stopach bordowe satynowe klapki z wyhaftowanymi kremową nicią pnączami winorośli. Gęste włosy imponującą falą opadały jej na ramiona. Kiedy zbliżyła się, poczułam zapach perfum.

Przypominała wspaniały kwiat, który kusi, by przyrzuć mu się, wciągnąć w nozdrza jego aromat i podziwiać piękno.

Siedziałam z dłońmi złączonymi na kolanach, w mojej prostej sukni z niebieskiej organdy i solidnych czarnych butach. Jak zwykle w tym wilgotnym upale, włosy zaczęły wymykać mi się spod spinek i jedno grube pasmo opadło na policzek, chyba zasłaniając bliznę.

- Usiądź tutaj! - Aszulay trzymał Manon za rękę, dopóki nie usiadła na jego miejscu. - Badou, przynieś stołek i usiądź obok mademoiselle O'Shea - dodał, jakby rzeczywiście był panem tego domu.

Widziałam, z jaką kompletną swobodą zachowywał się wobec Manon. Wsunął jej poduszkę pod plecy, żeby mogła się wygodnie oprzeć, na moment oparł dłoń na jej ramieniu, pieszczotliwie potargał włosy Badou i pogłaskał go po policzku.

Aszulay w niczym nie przypominał Marokańczyków, których widziałam w Marrakeszu. Szczerze mówiąc, nigdy nie byłam świadkiem żadnej formy kontaktu między marokańskimi mężczyznami i kobietami. Zdałam sobie sprawę, że ci, których spotykałam na sukach i w alejkach, należeli do niższej

klasy społecznej. Mężczyźni sprzedawali swoje towary, ciągnęli lub pchali wózki, dźwigali ciężkie worki na plecach, wozili turystów taksówkami i dorożkami, popijali herbatę przy małych stolikach w cienistych uliczkach. Niewiele łączyło ich z sułtanami i nobilem tego kraju. A zakwefione kobiety robiące codzienne zakupy na targu były albo żonami tych pracujących mężczyzn i zawsze wychodziły z domu w asyście ojca lub syna, albo służącymi dam z haremów, bogatych Marokanek, które rzadko opuszczały swoje piękne domy i dziedzince.

Nie miałam pojęcia, jakie miejsce zajmują w tym świecie Aszulay i Manon. Aszulay miał pełne życia, otwarte spojrzenie mężczyzny w kwiecie wieku, posiadał też urok, którego źródłem był nie tyle atrakcyjny wygląd, ile charakter. Od pierwszej chwili w jego zachowaniu wobec mnie nie było śladu ciekawości czy dezaprobaty demonstrowanych przez innych Marokańczyków, którzy albo mierzyli mnie dwuznacznymi spojrzeniami, albo całkowicie ignorowali. Aszulay traktował mnie, i Manon także, w sposób typowy dla Europejczyków,

312

posługiwał się obiegowym francuskim i prawie nie popełniał błędów gramatycznych.

Manon patrzyła na niego z ledwo dostrzegalnym zmysłowym uśmieszkiem. Aszulay nie reagował, wiedziałam jednak, że ten mężczyzna jest kochankiem Manon. Nie miałam co do tego cienia wątpliwości.

A więc Manon nie miała już męża. Przypomniałam sobie słowa pieśni, którą śpiewała poprzedniego dnia, malując oczy, pieśni o mężczyznach oszalałych z pożądania.

Przez krótką chwilę ogarnęło mnie coś w rodzaju rozczarowania. Byłam zawiedziona, że mężczyzna taki jak Aszulay pozwolił oczarować się kobiecie takiej jak Manon. Z drugiej strony, powiedziałam sobie, Aszulay jest pod pewnym względem podobny do Manon, ponieważ on także znajduje się w stanie zawieszenia, gdzieś między dwoma światami. Manon wyglądała i zachowywała się jak Marokanka, a przecież w jej żyłach płynęła francuska krew. Aszulay był Błękitnym Człowiekiem z Sahary i pracował jako ogrodnik, a jednak sprawiał wrażenie wykształconego i wrażliwego.

Lekko potrząsnęłam głową, zła na samą siebie, że się nad nimi zastanawiam. Byłam wściekła, że muszę siedzieć tutaj, jeść, pić i zachowywać się jak uprzejmy gość. I czekać, aż Manon raczy podzielić się ze mną wiadomościami o Etiennie, kiedy zechce i jeśli w ogóle zechce.

Chociaż siedzieliśmy w cieniu, było bardzo gorąco i żołądek bolał mnie ze zdenerwowania. Czułam, że nie zdołam nic zjeść, chciałam tylko, żeby Manon wreszcie powiedziała mi, co dzieje się z Etienneem.

Było jednak oczywiste, że teraz będę musiała zaczekać. Manon nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi, naturalnie jeśli nie liczyć rzucanych czasami w moją stronę gniewnych spojrzeń.

313

Aszulay podał jej szklankę z herbatą. Nie wzięła jej i potrząsnęła głową z lekkim westchnieniem.

- Dokucz ci migrena? - zapytał.

Znowu westchnęła, tym razem głośniej. Aszulay przytknął szklankę do jej ust, a ona pociągnęła łyk herbaty, cierpiętniczo przymykając oczy.

Nie wierzyłam jej - byłam przekonana, że udaje chorą i bezbronną, aby skupić na sobie jego uwagę.

Aszulay zdjął pokrywkę z tagine, spojrzał na mnie i wykonał zachęcający gest. Na półmisku piętrzyła się piramida kuskusu, obłożona długimi słupkami marchewki i jakiegoś zielonego warzywa, chyba cukinii. Kasza wymieszana była z jeszcze skwierczącymi kawałkami kurczaka. Mogłam zmusić się do przełknięcia kilku kęsów, bo tak nakazywała uprzejmość, miałam jednak także świadomość, że im szybciej zacznę jeść, tym szybciej posiłek dobiegnie końca. Wtedy Aszulay wróci do pracy, a ja w końcu wydobędę prawdę z Manon.

Tym razem nie zamierzałam pozwolić, aby ignorowała moje pytania. Postanowiłam sobie, że dzisiaj dowiem się, gdzie jest Etienne.

- Proszę... - Aszulay się uśmiechnął. - Proszę zaczynać jako gość honorowy.

Na stole nie było żadnych sztućców ani nawet talerzy.

- Mogę już jeść, wuju Aszulay? - zapytał Badou. - Jestem okropnie głodny!

Aszulay spojrzał na mnie. Byłam pewna, że na mojej twarzy wyraźnie maluje się zmieszanie i niepewność.

- Nie, Badou - odparł. - Wiesz przecież, że zawsze pierwszeństwo ma gość.

-Jedz, Badou, bardzo proszę! - powiedziałam prawie równocześnie.

Aszulay znowu obrzucił mnie uważnym spojrzeniem,

314

a gdy Badou zerknął na niego pytająco, przyzwalająco skinął głową. Chłopiec zgarnął trochę kuskusu palcami prawej dłoni, uformował z kaszy małą kulkę i włożył ją do ust. Aszulay przedarł cienki podplotnyk na pół, złożył go i nabrał nim kuskus jak łyżką.

Zrozumiałam, że zorientował się, iż nie wiem, jak jedzą Marokańczycy, i postanowił ułatwić mi sytuację. Byłam mu wdzięczna, że pomógł mi uniknąć większego zawstydzenia i poszłam za jego przykładem. Chociaż jeszcze chwilę wcześniej byłam pewna, że nic nie zjem, potrawa wydała mi się pyszna i nagle uświadomiłam sobie, że rano nie zjadłam śniadania, a poprzedniego dnia tylko wczesny obiad. Poczułam głód i nabrałam podplotnykiem jeszcze kilka małych porcji. Kiedy Aszulay ujął w palce udko kurczaka, zanurzyłam palce w gorącej kaszy i także wyciągnęłam kawałek mięsa. Natychmiast odkryłam, że sięgnęłam zbyt głęboko i sparzyłam palce. Upuściłam mięso, mocno zażenowana, a po chwili chwyciłam je samymi czubkami palców i przesunęłam na brzeg tagine.

- Marokańczycy nie używają widelców - powiedział Aszulay.

Rzuciłam mu pełne wdzięczności spojrzenie, zaskoczona tym, że jest tak wyrozumiały, i wtedy zobaczyłam, że Manon patrzy na mnie z otwartą wrogością. Nie podobało jej się, że Aszulay poświęcił mi trochę uwagi. Była zazdrosna.

- Manon - Aszulay odwrócił się ku niej. - Jedz, przecież bardzo lubisz les courgettes!

Manon spojrzała na długie kawałki cukinii i słabo pokręciła głową.

- Nie mogę - wyszeptwała, przymykając powieki jak przed chwilą. - Źle się czuję, to nie jest dobry dla mnie dzień.

Westchnęła znowu, przesadnie głośno.

- Obiecujesz, że zjesz później?

315

Jak to możliwe, że nie przejrzał jej gry?!

- Tak, obiecuję - odparła skromnie.

Zachowywała się teraz zupełnie inaczej niż ta śmiała i gwałtowna kobieta, która w ciągu ostatnich dwóch dni pokazała mi, że może robić, na co ma ochotę.

Wzięłam przestudzony kawałek kurczaka i wbiłam zęby w mięso. Skórka była chrupiąca i smakowała rozmarynem i kurkumą. Gdy skończyliśmy jeść, opłukaliśmy palce w chłodnej wodzie z cytryną, a potem Badou wrócił do fontanny i znowu zaczął chodzić po obrzeżeniu basenu, utrzymując równowagę dzięki rozłożonym ramionom.

Aszulay spojrzał na moją szklankę, nadal pełną, i dolał sobie herbaty. Ja też wypiałam wreszcie swoją, bo nie była już gorąca.

- No, tak - odezwała się Manon, w końcu obdarzając mnie spojrzeniem. - I co pani myśli o moim Tuaregu?

Przesunęłam palcem po brzegu szklanki. Aszulay milczał.

- Słyszała pani o Tuaregach? Arabowie nazywają ich „Uwolnionymi przez Boga”, gdyż nikt nie może im niczego narzucić. Nie przestrzegają żadnych praw na tej swojej pustyni! Nie przestrzegasz żadnych zasad, prawda, Aszulay?

Nie odpowiedział. Z jego twarzy nie dało się wyczytać, co myśli.

- Naprawdę nazywa się Berber Amazigh, czyli „Mężczyzna z Niebieskimi Oczami”. Ma niezwykle oczy, nie sądzi pani? - ciągnęła Manon, wciąż przypatrując mi się uważnie.

Co miałam powiedzieć? Przy stole panowała cisza, przerywana tylko bzyczeniem much i cichym oddechem Falidy, która przykucnęła w progu.

-W przeciwieństwie do wielu mężczyzn w Maroku i w innych krajach, Tuaregowie szanują swoje kobiety! Mam rację, Aszulay? Kobiety Tuaregów cieszą się szacunkiem i wolnością.

316

Nie noszą zasłon, a ich mężczyźni nie ukrywają, że są z nich dumni. Ich kobiety nie marnują swojej urody, nie chowają jej pod zasłonami... U Tuaregów majątek i godność dziedziczy się w linii żeńskiej. Może opowiesz naszemu gościowi o waszych kobietach, Aszulay?

Nie rozumiałam, dlaczego nie da mu spokoju, ale on całkowicie ignorował jej zaczepki.

- Manon nie chciała mi powiedzieć, z jakiego powodu przyjechała pani do Marrakeszu - odezwał się po chwili. - Skąd pani zna Manon, mademoiselle?

Zwilżyłam wargi, spojrzałam na Manon i postawiłam opróżnioną szklankę na stole.

- Przyjechałam odnaleźć brata Manon - odparłam. Twarz Aszulaya nagle znieruchomiła.

- Manon? - rzucił.

Coś w tonie jego głosu sprawiło, że serce zabiło mi mocniej ze strachu. Aszulay przeniósł wzrok na mnie.

- Szuka pani... Szuka pani Etienne'a?

Podniosłam się tak szybko, że ręką spódnicy zrzuciłam szklankę na płytki dziedzińca. Roztrzaskała się na drobne kawałki.

- Zna go pan?

Aszulay także wstał. Musiałam zadrzeć głowę, żeby zajrzeć mu w twarz.

- Zna pan Etienne'a? Czy on jest tutaj? Gdzie jest? Proszę, niech mi pan powie, gdzie jest Etienne!

- Mademoiselle O'Shea... - zaczął. - Czy pani... Manon zerwała się z miejsca.

- Zostaw nas, Aszulay! - powiedziała głośno i zdecydowanie, nagle zupełnie niepodobna do słabej, schorowanej kobiety, jaką jeszcze przed chwilą była. - Powinieneś już iść! Porozmawiam z nią teraz o tym...

317

O tym, powiedziała. Nie o nim...

- Mademoiselle O'Shea, Etienne... - zaczął znowu Aszulay.

I tym razem przerwała mu, szorstko i bezwzględnie.

- To mój dom, Aszulay! Rób, co mówię!

Więc to tak, pomyślałam. Kiedy wpadnie w złość, odzywa się do niego tak samo jak do mnie.

Aszulay otworzył usta, może żeby zaprotestować, lecz zaraz znowu je zamknął. Chwycił długi pas fioletowej tkaniny, leżący na szezlongu, swój turban, i szybkim krokiem ruszył przez dziedziniec, furkocząc niebieską szatą. Brama zamknęła się za nim z donośnym trzaskiem.

- Falida, pobieraj naczynia i umyj je! - rozkazała Manon. - Pomóż jej, Badou!

Nie ruszyłam się z miejsca. Kiedy dzieci wyniosły naczynia i szklanki, Manon poklepała szezlong.

- Proszę usiąść obok mnie - powiedziała zaskakująco przyjaznym tonem i to przestraszyło mnie bardziej niż jej wcześniejsze grubiańskie zachowanie.

Patrzyłam na nią bez słowa.

- No, proszę... - uśmiechnęła się. - Niechże pani usiądzie tutaj obok mnie, żebym mogła powiedzieć pani, gdzie jest Etienne...

Przetknęłam ślinę i spełniłam jej polecenie. Ujęła moją dłoń.

-Taka drobna ręka... - pogładziła mój przegub. - Twoje dłonie mówią, że pracowałeś, ale niezbyt ciężko, prawda, Sidonie?

Oczywiście zwróciłam uwagę, że zaczęła mówić mi po imieniu i zrobiła to zupełnie naturalnie, jakby miała do tego prawo. Nagle chwyciła moją rękę obiema dłońmi i ścisnęła

318

moje palce. Próbowalam się wyrwać, ale nie chciała puścić. Zaskoczyła mnie jej siła i znowu pomyślałam, że muszę być bardzo ostrożna.

- Zawsze pracowałam - odparłam, z roztargnieniem przypominając sobie rozmaite domowe zajęcia, pranie, gotowanie i pielienie ogródka.

- Ale nie pracowałeś tak jak ja! Nie robiłaś tego, co ja, aby przetrwać.

Spojrzałam na nią czujnie. W innych okolicznościach pewnie nazwałabym jej ton zalotnym... Zaraz, co Etienne mówił mi o swoim dzieciństwie?

- Ale... Kiedy była pani dzieckiem i wychowywała się razem z braćmi... Etienne zawsze mówił, że jego rodzina cieszyła się różnymi przywilejami.

Manon milczała.

- No i ma pani ten dom - ciągnęłam. - Życie w takich warunkach nie jest chyba bardzo ciężkie...

Klasnęła językiem o podniebienie.

- Nie zawsze miałam ten luksusowy dom - powiedziała. Przesunęła palcami po odcisku na moim środkowym palcu

i dotknęła tego miejsca na dłoni, gdzie po wielu latach kontaktu z pędzlem skóra na dobre mi stwardniała. Długą chwilę głaskała je rytmicznie.

- Od czego to stwardnienie? - spytała.

- Od pędzla...

Pokręciła głową. Wciąż miała na twarzy ten budzący lęk uśmiech.

- Cała ta historia z każdą chwilą staje się coraz bardziej interesująca... - zamruczała.

- Słucham? O czym pani mówi? W milczeniu gładziła moją dłoń.

319

- Przecież widziałaś moje obrazy - powiedziała w końcu. Minęło parę sekund, zanim znaczenie jej słów dotarło do

mnie w całej pełni.

- W domu? Tamte obrazy? Ale jak to... To pani je namalowała? - Sama usłyszałam nutę zdziwienia w moim głosie.

- Nie wierzysz mi? - spytała z leniwym uśmiechem.

- Nie... To znaczy, tak, oczywiście, że pani wierzę! Chciałam tylko...

Umilkłam.

Kolejna tajemnica. Etienne dorastał u boku siostry, która malowała, i nie wspominał o tym ani jednym słowem, kiedy patrzył na moje obrazy i mówił, że bardzo niewiele wie o malarstwie.

- Gdzie nauczyła się pani tak malować? We Francji? Miała pani jakiegoś nauczyciela, profesora?

- We Francji, Sidonie? - Z gardła Manon wyrwało się dziwaczne skrzeknięcie, które chyba miało być śmiechem. - We Francji? - powtórzyła z fałszywym rozbawieniem. - Myślisz, że studiowałam we Francji?

- Ale Etienne... Etienne studiował tam medycynę. A Guillaume... Tak, myślałam, że pani też uczyła się we Francji...

Przerwałam, bo wyraz twarzy Manon uległ gwałtownej zmianie. Nie uśmiechała się już, przeciwnie, była rozwścieczona...

- Oczywiście, że nie studiowałam we Francji! - Ton jej głosu wskazywał, że uważa mnie za idiotkę.

Nagle znowu się uśmiechnęła. Zadrżałam.

- A teraz ty opowiedz mi o swoich obrazach - poleciła.

- Proszę, czy nie mogłybyśmy...

- Nalegam! Tak tu sobie miło rozmawiamy... Powiesz mi, co chcę wiedzieć, a wtedy ja powiem ci to, co tak bardzo chcesz usłyszeć.

320

Przygryzłam obolałą wewnętrzną stronę policzka.

- Nie maluję tak jak pani. Używam akwareli, maluję rośliny i ptaki.

Chwilę wpatrywała się we mnie z nieodgadnionym wyrazem oczu.

- Więc Etienne był zachwycony, że jego mała amerykańska myszka maluje ładne obrazki, tak? - zagadnęła drwiąco.

Nie jestem żadną myszką, miałam ochotę krzyknąć. Jak śmiesz?! Z trudem powstrzymałam wybuch gniewu.

-Tak, podobały mu się moje obrazki - odparłam spokojnie, świadoma, że nie mogę dopuścić, aby wpadła w jeszcze większą złość.

W każdej chwili mogła zamknąć się w sobie i kazać mi odejść, naturalnie bez żadnych odpowiedzi.

- Tak ci powiedział? Że podobają mu się twoje obrazeczki? Sądzisz, że lubił takie pozbawione pasji malarstwo? Jak myślisz, jak oceniał moje obrazy?

Potrząsnęłam głową.

- Nie wiem... I nie wiem, dlaczego jest pani na mnie taka zła! Pani brat był ze mną szczęśliwy, madame! Nie zależy pani na jego szczęściu?

Wciąż trzymając mnie za rękę, wciąż wpatrując się we mnie z przerażającą intensywnością, Manon rozchyliła wargi i tak bardzo zbliżyła swoją twarz do mojej, że przez chwilę wydawało mi się, że chce mnie pocałować. Odruchowo odwróciłam głowę, aby umknąć przed jej wargami, lecz wtedy ona przytknęła je do mojego ucha.

- Etienne'a już nie ma - szepnęła.

Może zresztą wcale nie był to szept, może to ja miałam trudności ze zrozumieniem jej słów.

Szarpnęłam się do tyłu, nie chcąc dłużej czuć jej oddechu na swoim policzku.

321

- Słucham? Co pani powiedziała? Jak to? Wyprostowała się. Rozluźniła uścisk, ale nie puściła mojej dłoni, a jej głos odzyskał normalne brzmienie.

- Powiedziałam, że Etienne'a już nie ma, Sidonie. Nie żyje. Jest pochowany na cmentarzu za kościołem des Saintes Martyrs, Świętych Męczenników.

Chociaż dzieliła nas pewna odległość, wyczułam w jej oddechu coś kwaśnego i jakby zgniłego, jakiś dziwny zapach, wydobywający się z głębi jej ciała. Zrobiło mi się niedobrze, z trudem przełknęłam ślinę.

- To niemożliwe, Manon!

Pierwszy raz użyłam jej imienia bez zastanowienia. Powoli pokręciłam głową, jakby ten ruch mógł wymazać jej słowa, przekreślić je raz na zawsze. Gwałtownym ruchem wyrwałam rękę z jej palców.

- To nieprawda! - krzyknęłam, chwytając ją za ramiona. - Nieprawda! Powiedz, że Etienne żyje!

Nie uśmiechała się już, patrzyła tylko na mnie podkreślonymi czernidłem oczami, wielkimi, ogromnymi jak spodki. Nie mogłam oderwać od nich wzroku. Nie mogłam złapać tchu. Uczucie słabości napływało potężnymi falami, kontury postaci Manon rozmywały się i bledły. Dusiałam się, zapatrzona w jej wszechwładne źrenice, a ona powoli kiwała głową, pieczętując moje cierpienie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI.

Nie pamiętam, jak wróciłam do hotelu de la Palmeraie. Moje zmysły nie działały jak należy i alejki, suki oraz plac postrzegałam przez mgiełkę kolorów i dźwięków. Idąc przez labirynt uliczek medyny, zasłaniałam chusteczką nos i usta. Jak długo trwała ta wędrówka? Czy pomyliłam drogę? Wiem tylko, że jechałam podskakującą na wybojach taksówką i w końcu znalazłam bezpieczne schronienie w swoim pokoju.

Położyłam się, wciąż przyciskając chusteczkę do twarzy. Etienne nie żyje, powtarzałam sobie w myślach. Nie żyje...

Pamięć uparcie podsuwała mi sceny z godzin po poronieniu i słowa, które rozbrzmiewały echem w mojej głowie.

Za oczami, w gardle i skroniach czułam obezwładniający ból, kiedy myślałam o straconym dziecku i o Etienne, który na zawsze odszedł z mojego życia. Jakąś częścią serca mocno wierzyłam, że jeśli go odnajdę, nadal będzie chciał być ze mną, ale nawet gdyby było inaczej i tak miałabym krzepiącą świadomość, że on żyje, że jest gdzieś w świecie. Może w głębi duszy byłam przekonana, że nawet jeśli mnie odrzuci, pewnego dnia otworzę drzwi mojego domu w Albany i zobaczę go, siedzącego w stojącym na podjeździe samochodzie. Jak za pierwszym razem.

Pamiętałam jego uśmiech, miałam przed oczami jego palce,

323

zamykające się wokół mojej dłoni. Nigdy więcej, myślałam. Już nigdy...

Leżałam na plecach, obejmując się ramionami i kołysałam się z boku na bok. W pewnej chwili z moich ust wyrwał się niski jęk, który po chwili przeszedł w zduszony szloch. W pokoju było ciemno i bardzo gorąco, przez okno wpadał odległy gwar z Dżemma el Fna.

Teraz bolała mnie nie tylko głowa, ale także klatka piersiowa i trudno mi było oddychać. W jaki sposób umarł? Czy wołał mnie, kiedy konał, czy umarł tak szybko, że żadne słowo nie zdążyło wydobyć się z jego ust?

Uświadomiłam sobie, że nigdy się nie dowiem, dlaczego mnie opuścił. Wciąż od nowa wracałam myślą do chwil, kiedy w Marsylii po wizycie lekarza zastanawiałam się, czy jechać dalej, do Marrakeszu, czy raczej wrócić do domu i ostatecznie postanowiłam dołożyć wszelkich starań, aby znaleźć odpowiedzi na dręczące mnie pytania.

I oto miałam już odpowiedź na jedno z pytań. Nadal nie wiedziałam, dlaczego Etienne mnie zostawił, ale otrzymałam jakąś odpowiedź, straszną i zupełnie niespodziewaną.

Co za niesprawiedliwość - najpierw dziecko, teraz Etienne.

Próbowałam oddychać wolniej, odegnąć przerażające uczucie, lecz dusiło mnie ogromne, narastające przerażenie i serce biło mi tak mocno i gwałtownie, że w końcu usiadłam na łóżku, z wysiłkiem łąpiąc powietrze. Może miałam jakiś atak? Może umrę tutaj, podobnie jak Etienne?

Nie umierasz, Sidonie! Nie umierasz... Przestań!

Chciałam otworzyć okno, wychylić się na zewnątrz i głęboko odetchnąć, lecz samo przejście przez pokój wymagałoby za dużo wysiłku. Położyłam się znowu i przycisnęłam obie dłonie do bolącej klatki piersiowej.

Myślałam o moim nienarodzonym dziecku -jakby wyglądało,

324

jak bym się czuła, trzymając je w ramionach. Nieoczekiwanie ujrzałam przed sobą zabawną buzię Badou, pełną miłości dla zimnej, okrutnej matki, którą dał mu los, poczułam jego ciepłą, ufną łapkę w swojej dłoni. Leżałam z zamkniętymi oczami, oddychając szybko i płytko. W końcu znowu usiadłam, jednym szarpnięciem rozdarłam suknię na piersiach i wyswobodziłam się z ubrania. Rozsznurowałam buty, rzuciłam je na podłogę i ściągnęłam pończochy. Syknęłam z bólu i zobaczyłam, że oba kolana mam zakrwawione, pończochy przykleiły się do nich. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób do tego doszło.

Naga, padłam na miękkie łóżko i zaniosłam się płaczem, nie dbając o to, czy może usłyszy mnie ktoś przechodzący szerokim, wyłożonym wspaniałym dywanem korytarzem.

Nie przypuszczałam, że uda mi się zasnąć, tymczasem ocknęłam się, czując ciepłe promienie porannego słońca na twarzy. Parę sekund leżałam nieruchomo, mrugając bezmyślnie w jasnym świetle, zaraz jednak wróciła pamięć wszystkich wydarzeń z poprzedniego dnia.

- Etienne nie żyje - powiedziałam głośno. - Etienne nie żyje. Nie żyje...

Głowa pulsowała mi bólem. Zrzuciłam przykrycie i ujrzałam swoje nagie ciało. Nigdy jeszcze nie spałam bez nocnej koszuli, nawet z Etienne'em.

Pomyślałam o ataku hysterii, który przeżyłam wieczorem. Czy rzeczywiście serce bolało mnie tak dotkliwie, że bałam się, czy nie pęknie, wypływając krew sparaliżowanymi rozpaczą komorami i tętnicą, i zabijając mnie w ułamku sekundy? Etienne uznałby mnie pewnie za idiotkę.

Etienne, zawsze taki spokojny i opanowany. Nie potrafiłam wyobrazić go sobie zdenerwowanego czy głęboko czymś

325

poruszonego. Nawet w czasie tamtej rozmowy, kiedy powiedziałam mu o dziecku, a on wydał mi się dziwnie obcy i kilkakrotnie nie mógł znaleźć odpowiednich angielskich słów, nie do końca stracił panowanie nad sobą. Przypomniałam sobie jednak chwilę w samochodzie, gdy twarz Etienne'a zdradziła jego uczucia i uświadomiła mi jego niepewność i lęk - dotarło do mnie wtedy, że pod chłodną maską kryje się kruchy, zamknięty w sobie człowiek. Jaką miał tajemnicę? Jaka część jego osobowości była podatna na zranienie i dlaczego chronił ją, uciekając przed uczuciami i ludźmi?

Cały dzień leżałam w łóżku, obserwując wędrujące po pokoju słońce. Nie poszłam się wykąpać, nic nie piłam i nie jadłam. Raz ktoś zapukał do drzwi, lecz ja zawołałam, że niczego mi nie potrzeba. Patrzyłam, jak cienie wydłużają się i powoli ciemnieją.

Kiedy słońce znowu zajrzało do pokoju przez okna, poczułam, że bardzo chce mi się pić. Miałam ochotę na świeży sok pomarańczowy. Podniosłam białą halkę z podłogi i włożyłam ją. Wstałam i skrzywiłam się z bólu - spojrzałam w dół i ujrzałam pokryte strupami kolana. Przypomniałam sobie, że były zakrwawione, gdy się rozbierałam; teraz wokół świeżych strupów rozpełzały się ciemne siniaki. Pociągnęłam za sznur od dzwonka, żeby wezwać kogoś z personelu.

Parę chwil później usłyszałam ciche pukanie do drzwi. Owinęłam się narzutą z łóżka i otworzyłam, chcąc polecić boyowi, by przyniósł mi dzbanek soku. Nie był to jednak żaden z pracujących w hotelu de la Palmeraie chłopców, ale sam monsieur Henri.

- Mademoiselle, mamy bardzo nieprzyjemną sytuację - oświadczył, wyraźnie zdenerwowany.

- Co się stało?

326

- Na dole, w holu... - zaczął i natychmiast przerwał, jakby nie był pewny, co powiedzieć.

- Tak, tak, monsieur, ale o co właściwie chodzi? Jestem bardzo zmęczona i chciałabym wrócić do łóżka.

- Na dole jest mężczyzna - wyjaśnił. - Mówi, że panią zna...

Nogi nagle ugięły się przede mną. Więc była to pomyłka albo jakiś straszny, makabryczny żart. Etienne wcale nie umarł! Żyje i czeka na mnie w holu!

- Monsieur Duverger?! - krzyknęłam, chwytając monsieur Henriego za ramię.

Leciutko odwrócił głowę i zdałam sobie sprawę, że uraziłam go tym gestem. Szybko cofnęłam rękę.

- Przepraszam! - powiedziałam. - Ale czy to on? Czy to Etienne Duverger?!

Monsieur Henri uniósł brodę, przez co jego nos także powędrował w górę.

- Zapewniam panią, mademoiselle, że nie jest to monsieur Duverger! Ten człowiek to Arab, mademoiselle. Arab z dzieckiem.

Zamrugałam.

- Arab?

- Tak, jeden z tych wędrujących po Saharze! Wyjaśniłem mu, że tu, w hotelu de la Palmeraie, nie mamy w zwyczaju wpuszczać nie Europejczyków do holu, a tym bardziej do pokoi na piętrach, nalegał jednak, żebym poinformowała panią o jego przybyciu... Był... - Monsieur Henri zawiesił głowę. - Był bardzo uparty! Wygląda na to, że coś pani przyniósł, coś do jedzenia.

Pochylił się w moją stronę i wtedy poczułam bijący od niego kwiatowy zapach. Chyba była to woda kolońska z nutą jaśminu.

327

- To po prostu niedopuszczalne! - Cofnął się, nie starając się nawet ukryć dezaprobaty. - Powiedziałem mu, że gdyby była pani głodna, na pewno zamówiłaby pani jakieś danie z naszego bogatego menu, lecz on nawet nie drgnął i pewnie nadal tam stoi, z tagine i tym dzieckiem! Chłopiec trzymał w ręku nawleczone na źdźbło trawy smażone w oleju racuchy i ten charakterystyczny odór natychmiast wypełnił cały hol. I chociaż na szczęście o tej porze na dół schodzi niewielu gości, naprawdę bardzo mi zależy, żeby oni obaj poszli sobie, zanim...

- Może pan przystać ich na górę - powiedziałam.

Monsieur Henri popatrzył na mnie rozszerzonymi oczami. Ogarnął spojrzeniem moje włosy i okrywającą ramiona narzutę. Wiedziałam, że tkanina nie zasłania mojego nagiego, stłuczonego kolana, ale nic mnie to nie obchodziło.

- Jest pani pewna, mademoiselle? Bezpieczeństwo naszych gości jest dla nas...

- Tak, jestem pewna - przerwałam mu. - Ja też jestem gościem tego hotelu i zapewniam pana, że nie ma żadnego powodu do niepokoju. A przy okazji, niech ktoś przyniesie mi dzbanek soku pomarańczowego, dobrze?

Nie poznawałam własnego głosu; wydawało mi się, że zamiast mnie mówi ktoś inny, ktoś, z kim nie ma żartów. Monsieur Henri głośno wciągnął powietrze przez nos.

- Jak pani sobie życzy, mademoiselle.

Odwrócił się na pięcie i poszedł korytarzem w kierunku schodów, wyprostowany tak sztywno, jakby zamiast kręgosłupa miał metalowy pręt.

Podniosłam pogniecioną sukienkę z podłogi i włożyłam ją. Wsunęłam bose stopy w niezasnurowane buty, nie miałam już jednak dość siły, żeby się uczesać.

Parę chwil później usłyszałam pukanie. Otworzyłam drzwi

328

i odsunęłam się na bok, żeby wpuścić do środka Aszulaya i Badou. Zgodnie ze słowami monsieur Henriego, Aszulay trzymał w rękach tagine, a Badou długą, elastyczną zieloną łodyżkę, na którą nanizanych było sześć aromatycznych, pokrytych cukrem beignets.

- Aszulay i Badou - powiedziałam, zupełnie jakby nie znali własnych imion. - Co... Dlaczego przyszliście?

Aszulay popatrzył na mnie uważnie, przytrzymując jedną ręką przykryty półmisek. Zdawałam sobie sprawę, że wyglądam strasznie, z zaczerwienionymi, opuchniętymi powiekami i wzburzonymi włosami. Odkleifał jeden kosmyk od wilgotnego od potu policzka.

- Przynieśliśmy ci parę beignets, Sidonie - oznajmił Badou. - Ale... Ale co stało się z twoimi oczami? Są...

Aszulay położył wolną rękę na głowie chłopca, który natychmiast umilkł.

- Pomyślałem, że może... - Aszulay przerwał, jakby nie był pewny, co powiedzieć. - Wczoraj Badou wspomniał, że... Że dzień wcześniej usłyszał pani krzyk, a gdy się obejrzał, zobaczył panią na ziemi... Podbiegł do pani, ale tylko patrzyła pani na niego bez słowa. Potem się pani podniosła, lecz zaraz straciła równowagę i znowu upadła. Nie wiedział, co robić, ale po chwili wyszła pani na ulicę. Zrozumiałem, że Manon bardzo panią zdenerwowała. Przykro mi z powodu tego, co musiała pani powiedzieć o Etiennie... Jak już pani mówiłem, Manon nie zawsze zachowuje się w najbardziej odpowiedni sposób.

W pokoju zapadła cisza. Krzyknęłam i upadłam? Teraz wiedziałam już, skąd wzięty się rany na moich kolanach. Utkwiłam wzrok w tagine.

- Dziękuję - powiedziałam. - Chyba powinnam spędzić trochę czasu w samotności, ale bardzo dziękuję, Aszulay. Tobie też dziękuję, Badou.

329

Aszulay skinął głową i ostrożnie postawił tagine na podłodze przy drzwiach. Pokrywka naczynia przesunęła się lekko i w powietrzu rozszedł się cudowny zapach jagnięciny, moreli i rozmarynu.

- Chodź, Badou! Daj mademoiselle O'Shea beignets i zostawmy ją samą!

Wzięłam wianek małych, smażonych w oleju ciasteczek, który podał mi Badou. Wyraźne ociąganie, z jakim to zrobił, uświadomiło mi, że miał nadzieję, że podzielę się z nim posiłkiem, a szczególnie tym smakołykiem. Spędziłam w Maroku niewiele czasu, zdałam sobie jednak sprawę, że postępuję całkowicie wbrew obowiązującej w tym kraju regule gościnności i moje zachowanie musi wydawać się szalenie nieuprzejme, nawet małemu dziecku.

Pomyślałam, że za chwilę mogłabym wrócić do łóżka, owinąć się narzutą i znowu pogрузić w myślach.

- Zaczekajcie - odezwałam się. Obaj odwrócili się do mnie.

- Nie, nie, musicie usiąść i zjeść coś ze mną! - Jakimś cudem zdobyłam się na słaby uśmiech.

W tym momencie za plecami moich gości pojawił się hotelowy chłopiec z karafką soku pomarańczowego i szklanką na srebrnej tacy. Przystanął i obrzucił Aszulaya i Badou trochę zbyt długim spojrzeniem.

- Proszę postawić sok na stole i przynieść jeszcze dwie szklanki - powiedziałam.

Kiwnął głową, spełnił moje polecenie i wyszedł.

- Wejdźcie i usiądźcie - zaprosiłam.

Podniosłam z podłogi tagine i przeniosłam na stół. Przez otwarte okno dobiegło nas dalekie, uparte porykiwanie osła. Aszulay i ja usiedliśmy na dwóch krzesłach, Badou na kolanach Aszulaya.

Zdjęłam pokrywkę z półmiska i mimo woli wciągnęłam w nozdrza smakowity zapach.

- Jedzcie, proszę! Ja... Nie wiem, czy zdołam coś przełknąć... Aszulay i Badou zanurzyli palce w potrawie i zabrali się

do jedzenia.

Siedziałam obok nich, czując, że nawet jeśli coś przełknę, natychmiast to zwrócę. Panująca w pokoju cisza i tym razem wprawiała mnie w zakłopotanie, lecz Aszulay i Badou wydawali się całkowicie tego nieświadomi.

Chłopiec wrócił z dwiema szklankami. Znowu uważnie popatrzył na Aszulaya, który lekko skinął mu głową. Chłopiec odpowiedział mu w ten sam sposób, z pełnym szacunku uśmiechem.

Badou w końcu nasycił się kuskusem i jagnięciną z morelami i pochłonął jeszcze dwa ciastka. Sięgnąłby po trzecie, gdyby Aszulay nie przytrzymał jego ręki.

- Wystarczy, Badou - rzekł. - Brzuch cię rozboli, pamiętasz, jak było ostatnim razem?

Mały posłusznie cofnął rączkę, ale jego oczy wciąż utkwione były w pozostałych ciastkach.

- Dzisiaj mam tylko parę godzin nieskomplikowanej pracy - powiedział Aszulay. - Dlatego mogę wziąć Badou ze sobą.

Z roztargnieniem kiwnęłam głową.

- Może miałyby pani ochotę przyłączyć się do nas?

- Nie! - odparłam szybko.

Nie wyobrażałam sobie, jak mogłabym wyjść na ruchliwą ulicę i przedzierać się wśród samochodów, koni, osłów oraz ludzi. Czy Aszulay nie zdawał sobie sprawy, co przeżywam?

- Monsieur Majorelle sprowadził nowe ptaki i pomyślałam, że może chciałaby pani je obejrzeć. - Aszulay mówił do mnie w podobny sposób jak do Badou, namawiając mnie i kusząc, jakbym była dzieckiem.

Rozgniewało mnie to. Przypomniałam sobie, że tak samo przemawiał do Manon, gdy starał się ją uspokoić.

- Powiedziałam już, że nie chcę! Nie mogę... Ja...

Łzy napłynęły mi do oczu i pośpiesznie odwróciłam głowę, żeby ich nie zobaczył.

- To dla pani trudne przeżycie, rozumiem! - Aszulay wstał. - Przykro mi, że przebyła pani tak daleką drogę tylko po to, aby doznać zawodu. Chodź, Badou! - Wyciągnął rękę do chłopca.

- Jego śmierć to coś znacznie więcej niż zawód - powiedziałam cicho.

Aszulay gwałtownie odwrócił głowę. -Jego śmierć? - powtórzył.

Spojrzałam na niego i wstrzymałam oddech, widząc wyraz jego twarzy.

-Tak,jego śmierć.

- Ależ... Mademoiselle O'Shea, Etienne żyje! Dlaczego mówi pani coś takiego?

Nie mogłam złapać tchu, nie potrafiłam skupić na nim wzroku. Wpatrywałam się w tagine, karafkę z sokiem, szklanki. Naczynia pulsowały, jakby płynęła w nich żywa krew.

- Przecież... - Poderwałam dłoń do ust, opuściłam ją na kolana i wreszcie spojrzałam na Aszulaya. - Manon... Manon powiedziała... - Przerwałam i z trudem przełknęłam ślinę. - Manon powiedziała mi, że Etienne nie żyje. Że został pochowany na tutejszym cmentarzu, koło kościoła pod wezwaniem Świętych Męczenników. Powiedziała mi, że nie żyje - powtórzyłam bezradnie.

Chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

- To nieprawda? - wyszeptalam wreszcie.

Gdy potrząsnął głową, z mojego gardła wyrwał się dźwięk,

332

jakiego nigdy nie słyszałam, ni to jęk, ni to śmiech. Znowu musiałam zasłonić usta, tym razem obiema dłońmi, żeby go stłumić.

- Naprawdę powiedziała pani, że Etienne nie żyje? -Aszulay zacisnął wargi.

- Tak... Muszę wiedzieć, co mu się stało, muszę! Jeśli żyje, to gdzie teraz jest?!

Aszulay długo milczał.

- To nie moja sprawa - odparł w końcu. - Musicie rozwiązać to sami, pani i Etienne, pani i Manon... Manon i Etienne... To nie moja sprawa - powtórzył. - Ale żeby Manon...

Nie dokończył. Wyciągnęłam rękę nad stołem i położyłam ją na jego przedramieniu, silnym i ciepłym pod niebieskim rękawem.

- Dlaczego? Dlaczego Manon zrobiła mi coś takiego, dlaczego tak mnie okłamała? Dlaczego nienawidzi mnie tak bardzo, że chce wygnać mnie z Marrakeszu i to w taki straszny sposób? Przecież nic jej nie zrobiłam! Dlaczego nie chce, żebym była z Etienne'em? Dlaczego aż tak daleko się posunęła? Skąd w niej tyle nienawiści do mnie?

Powtarzałam się, mówiłam za szybko. Wszystko to było zupełnie niezrozumiałe i niewiarygodne.

Aszulay spojrzał na Badou, a ja podążyłam za jego wzrokiem. Buzia chłopca była czujna, oczy bystre, inteligentne, pełne życia, ale i czegoś jeszcze. Zdawałam sobie sprawę, że Badou za dużo widział i słyszał, nie tylko dzisiaj, lecz przez całe swoje krótkie życie.

- Manon jest głęboko nieszczęśliwa - odezwał się Aszulay. - I tylko ona potrafiłaby wyjaśnić, dlaczego tak jest. Nie wiem, z jakiego powodu powiedziała pani coś takiego!

- Ale w takim razie jaka jest prawda? Gdzie jest Etienne?

333

Sam pan widzi, że Manon nie chce mi pomóc! Wydaje mi się, że... Wydaje mi się, że znajdujemy się w podobnej sytuacji, prawda? Ja jestem - byłam, jestem, sama już nie wiem - kochanką Etienne'a, ty kochankiem Manon.

- W podobnej sytuacji? Nie rozumiem, co ma pani na myśli. Tak czy inaczej, Etienne był tutaj, w Marrakeszu. Przez jakieś dwa tygodnie mieszkał u Manon, później zniknął. Zostawił Manon i wyjechał z Marrakeszu.

- Wrócił do Ameryki?

Czy to możliwe, że rozminęliśmy się w drodze przez Atlantyk? Czy Etienne szukał mnie w Albany? Wszystko to razem przypominało szekspirowski dramat, grecką tragedię.

- Nie. Powiedział, że zostanie w Maroku, bo teraz... Aszulay przerwał i znowu spojrzał na Badou. -To wszystko? Nie powie mi pan nic więcej?

- Może porozmawiamy o tym innym razem.

- Kiedy?

- Innym razem - powtórzył. Wziął Badou za rękę i wyszedł.

Pozostała część dnia minęła mi w dziwnym półmroku. Trochę leżałam, trochę siedziałam przy stole albo wyglądałam przez okno. Chciałam wrócić do domu Manon, stawić jej czoło, zażądać, aby powiedziała mi prawdę, ogarnęło mnie jednak głębokie znużenie, niemożność wykonania więcej niż kilku kroków. Nie rozumiałam emocji, które mną owładnęły. Zaledwie parę dni wcześniej, po pierwszym spotkaniu z Manon, byłam pełna nadziei, że uda mi się odnaleźć Etienne'a. Potem Manon powiedziała, że Etienne umarł, a ja załamalam się i wpadłam w rozpacz. Teraz... Teraz z ust Aszulaya, któremu rzecz jasna, ufałam bardziej niż Manon, usłyszałam, że Etienne żyje i przebywa gdzieś w Maroku.

334

Ani odrobinę nie zbliżyłam się do odszukania go i zrozumienia, dlaczego zrobił to, co zrobił - dlaczego porzucił mnie bez słowa. Mimo to coś uległo zmianie, równowaga uczuć została zachwiana. Opłakiwałam Etienne'a, przekonana o jego śmierci, lecz teraz moja miłość do niego jakby trochę wystygła. Coś zostało bezpowrotnie zniszczone. I odkrycie, że Etienne jednak żyje, wcale tego nie naprawiło.

Starałam się zrozumieć, co się ze mną stało. Włożyłam do ust parę kawałków zimnej jagnięciny i zlizyłam tłuszcz z palców. Wypiłam resztę soku. Przemyłam kolana, obejrzałam zadrapania i siniaki.

Potem zapadła ciemność. Znowu zdjęłam ubranie i całkiem naga wyciągnęłam się na miękkim łóżku, czując, jak gorące nocne powietrze pieści moją skórę.

Rano na resztkach jagnięciny i kuskus siedziały stada much. Wzięłam kąpiel i starannie upięłam włosy. Włożyłam czystą sukienkę, wyrzuciłam jedzenie, wyszłam na ulicę i taksówką pojechałam pod bramę medyny.

Nadszedł czas, abym zmierzyła się z Manon. Nie chciałam jej więcej widzieć, nie zamierzałam jednak pozwolić, aby cała ta historia skończyła się w taki sposób.

Nie mogłam dopuścić, by uznała, że pokonała mnie i wygoniła. Obiecałam sobie, że nigdzie się nie ruszę, dopóki nie dowiem się od niej, gdzie jest Etienne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY.

Kiedy tuż po dziewiątej dotarłam do domu Manon, Badou bawił się na dziedzińcu z rudym szczeniakiem o białych łapkach i jednym poszarpanym uchu.

- Bonjour, Badou - powiedziałam, gdy Falida wpuściła mnie i bez przekonania zabrała się do zmiatania podwórka miotłą ze zbyt krótkim kijem. - Gdzie twoja matka?

- Śpi - odparł, przytulając pieska do piersi.

Szczeniak natychmiast zaczął obgryzać palec Badou i chłopiec uśmiechnął się do niego z czułością, a potem podniósł wzrok na mnie.

- Popatrz na mojego psa, Sidonie! Przysiadłam na obramowaniu fontanny.

- Naprawdę jest twój? - spytałam. Badou potrząsnął głową.

- Non - przyznał ze smutkiem. - To pies Alego, który mieszka po drugiej stronie naszej uliczki. Ali czasami pozwala mi się z nim bawić. Chciałbym, żeby był mój... Bardzo chcę mieć psa!

Pomyślałam o Cinnabar i pocieszę, jaką mi przyniosła, chociaż kiedy pojawiła się w moim życiu, byłam dziesięć lat starsza od Badou.

336

- Rozumiem cię - odparłam. - Może kiedyś maman kupi ci pieska.

Jednak Badou znowu potrząsnął głową. Postawił psiaka na ziemi i podszedł do mnie.

- Maman nie chce kupić mi psa - oświadczył. - Mówi, że z psami są same kłopoty i żebym przestał nudzić.

W głosie Badou nie było nuty dziecięcego rozczarowania, którego przecież można byłoby się po nim spodziewać, wychwyciłam w nim natomiast dojrzały stoicyzm, naprawdę wzruszający u tak małego chłopca.

- Dobrze, że czasem możesz pobawić się z tym pieskiem - pocieszyłam go.

Szczeniak harcował wokół nas i podskakiwał, usiłując złapać ząbkami rękaw Badou.

- Sidonie, nie podoba mi się twój dar - odezwał się chłopiec, chwilowo ignorując swego pupila.

- Nie podoba ci się mój dom? - zdziwiłam się. Zaczynałam już poznawać podstawowe arabskie słowa.

- Tak. Jest za duży i mieszka w nim za dużo ludzi. I oni wcale cię nie kochają - dorzucił z powagą na koniec.

- Nie kochają mnie? Kto, Badou? - spytałam, zaskoczona jego przemową i smutnym wyrazem twarzy.

- Twoja rodzina, wszyscy ci ludzie w twoim wielkim domu! Oni w ogóle cię nie kochają!

- Och, Badou, to nie jest mój dom, to tylko hotel! -Wreszcie dotarło do mnie, o co mu chodzi, lecz jednocześnie uświadomiłam sobie, że słowo „hotel” jest mu obce. - Tak, to duży dom, ale nie mój... Zatrzymałam się tam na krótko i ci ludzie nie są moją rodziną!

- Więc kim są? Wzruszyłam ramionami.

337

- Nie znam ich. To obcy ludzie.

- Mieszkasz z obcymi ludźmi? - Otworzył szeroko oczy ze zdumienia. - Ale... Jak możesz mieszkać w obcym miejscu, bez rodziny? Nie czujesz się samotna?

Patrzyłam na niego w milczeniu. Kiedy nie odpowiedziałam, bo najzwyczajniej zabrakło mi słów, podszedł jeszcze bliżej i zajrzał mi w twarz.

- Gdzie jest twoja rodzina? - spytał. - Twoja matka i ojciec? I twoje dzieci?

Badou miał dopiero sześć lat, ale już rozumiał, jak ważna jest rodzina. I mimo chłodu bijącego od jego matki, mówił o miłości.

Może wyczytał coś z wyrazu mojej twarzy albo spojrzenia, nie wiem. Gdy znowu się odezwał, pojęłam, że to dziecko za dużo i za wcześnie dowiedziało się już o sprawach tego świata.

- Nie żyją?

Na to pytanie, z ust chłopca takiego jak Badou, nie można było odpowiedzieć przyjętymi w wielu społecznościach ogólnikami.

Powoli kiwnęłam głową.

- Tak. Wszyscy umarli.

Badou wspiął się na moje kolana i delikatnie przytulił swój policzek do mojego. Poczułam ciepło jego skóry i zapach kurzu w gęstych włosach. Z roztargnieniem pomyślałam, że przydałaby mu się kąpiel.

Nie byłam w stanie wykrztusić choćby jednego słowa, objęłam go więc mocno, wyczuwając pod palcami kości żebrów i wypukłości kręgow. Badou wygodnie usadowił się na moich kolanach, a rudy szczeniak wyciągnął się na boku u moich stóp, na gładkich, wygrzanych słońcem kamieniach. Czubek

różowego języka wystawał psiakowi z pyszczka, powieka zwróconego ku górze oka co jakiś czas mrugała leniwie,

338

odpędzając muchy. Falida zamiatała i rytmiczny szelest miotły działał jak kołysanka. Siedzieliśmy tak w plamach słońca na ocembrowaniu fontanny, jaz głową Badou pod brodą, i spokojnie czekaliśmy, aż Manon wreszcie się obudzi.

W końcu z otwartego okna na piętrze rozległ się zachrypnięty, niezadowolony głos Manon. Falida pobiegła na górę, ale zaraz wróciła i weszła do kuchni. Badou nie zszedł z moich kolan.

Parę chwil później usłyszeliśmy kroki na schodach. Wzięłam głęboki oddech, przygotowując się na spotkanie z Manon.

Nie była to jednak Manon. Mężczyzna o jasnobrązowych włosach niedbale przygładzonych z przodu i z policzkami ocienionymi świeżym zarostem wyglądał na równie zaskoczonego moim widokiem, jak ja jego. Był dość przystojny, miał na sobie dobrze skrojony, chociaż mocno pognieciony garnitur z kremowego lnu i trzymał w ręku kapelusz z szerokim rondem.

- Och, madame - przystanął w połowie wysokości schodów. - Dzień dobry.

- Dzień dobry - odparłam.

- Manon czeka na poranną herbatę - rzekł. - I chyba nie wie, że ma gościa. Czy mam...

- Nie - przerwałam mu.

W mojej głowie kłębiło się aż za dużo myśli. Nie ulegało wątpliwości, że ten mężczyzna spędził tu noc. Może zatem on był mężem Manon? Nie, przecież to niemożliwe... Zerknęłam na Badou. Kiedy nieznajomy zszedł na dół, chłopiec zeskoczył z moich kolan i teraz głaskał psa, odwrócony plecami do schodów. Jaką rolę odgrywał w tym wszystkim Aszulay?

- Zaczekam tu na nią - dodałam.

- Jak pani sobie życzy. - Ukłonił mi się lekko i wyszedł na ulicę, całkowicie ignorując Badou.

339

Kiedy brama zamknęła się, zadałam sobie pytanie, gdzie Badou i Falida spędzili noc, i co musieli znosić w tym domu.

Badou pobiegł na górę. Po chwili usłyszałam, jak jasnym, wysokim głosem mówi matce, że jestem na dziedzińcu.

- Czego ona znowu chce? - warknęła Manon.

- Nie wiem, maman - odparł. - Wiesz, jej tata i mama, i jej dzieci, wszyscy oni umarli.

W pokoju na piętrze coś zaszeleściło.

- Ona nie zasługuje na rodzinę - powiedziała Manon.

Jej słowa wstrząsnęły mną, nie z powodu otwartej wrogości wobec mnie, lecz okrucieństwa, które musiało uderzyć dziecko jak zaciśnięta pięść. Pomyślałam o łagodnej krągłości głowy Badou, wspartej o moje ramię. Szybko podniosłam się z cembrowiny.

- Manon! - zawołałam, przestraszona, że zaraz powie chłopcu coś jeszcze gorszego. - Muszę z tobą porozmawiać!

- Zaczekaj, aż będę gotowa! - odparła, takim samym poirytowanym głosem, jakim wydawała polecenia Badou i Falidzie.

I tym razem nie miałam innego wyboru, jak tylko znowu usiąść i czekać, aż Manon pojawi się na szczycie schodów.

Wreszcie zeszła do mnie powoli, dając mi odczuć, że wcale jej się nie śpieszy, ubrana w luźny, prawie przezroczysty kaftan. Wyraźnie widziałam smukłe, kuszące linie jej ciała, podkreślone blaskiem słońca przeświecającego przez cienką tkaninę. Piersi nadal miała jędrne, wysoko uniesione. Nie uczesała włosów, nie zmyła też rozmazanego czernidła wokół oczu. Jej wargi były obrzmiałe i chyba trochę posiniaczone.

Obserwowałam, jak schodzi po schodach wyniośle wyprostowana, z tą wystudiowaną nonszalancją, i z trudem powstrzymywałam się, aby nie podbiec, nie popchnąć jej z całej siły, tak, żeby upadła, nie szarpnąć ją za włosy i nie uderzyć.

340

Chciałam krzyknąć, że jest kłamczuchą i oszustką, która nie zasługuje na takiego cudownego synka ani na piękny dom. Że nie jest warta swojego kochanka, tego drugiego kochanka, rzecz jasna, Aszulaya, niezwykłego człowieka, który był taki dobry dla niej i Badou, i taki lojalny. Czy Aszulay wiedział, że Manon oszukuje nie tylko mnie, ale i jego?

Nic jednak nie zrobiłam i nic nie powiedziałam. Znowu usiadłam na cembrowinie fontanny, mocno zaciskając dłonie i usta.

Manon usadowiła się na szezlongu. Oстрым głosem przywołała Falidę, która natychmiast przybiegła, niosąc tacę z imbryczkiem i jedną szklanką, podpłomyki i miseczką czegoś ciemnego, co wyglądało na dżem. Postawiła tacę, a Badou na palcach zszedł po schodach i usiadł obok matki.

-Widziałas mojego mężczyznę, Sidonie? Czarującego Oliviera? Niezły, prawda?

Patrzyłam na nią bez słowa. Czego właściwie ode mnie chciała? Żebym pochwaliła zalety jej kolejnego kochanka?

- Marnie wyglądasz, Sidonie - zauważyła z nutą satysfakcji. - Błado i mizernie, niedobrze.

W kącikach jej ust czaił się uśmiech. Pociągnęła łyk herbaty, rozsmarowała łyżeczkę dżemu na podpłomyku i ugryzła.

Nie oczekiwałam, że czymś mnie poczęstuje, poruszyło mnie jednak, że nie zaproponowała też nic synkowi. Badou tylko przyglądał się, jak matka je i pije.

- A czego się spodziewałaś, po tym, co od ciebie usłyszałam? - Nawet nie starałam się ukryć gniewu. - Myślałaś, że nie odkryję twojego kłamstwa, Manon? Że uwierzę ci, spakuję walizki i ucieknę z Marrakeszu jak zbity pies?

Oczywiście tak właśnie bym zrobiła, gdyby Aszulay nie powiedział mi prawdy.

- Dlaczego prowadzisz ze mną tę okrutną grę? - zapytałam.

341

Manon powoli przeżuwała podstępny kłopot z dżemem. Przełknęła, napiła się herbaty.

- Musiałam przetrzymać w życiu wiele rzeczy - powiedziała. - Naprawdę wiele. Cierpienia, jakich doznałam, z całą pewnością przewyższają wszystko, co spotkało ciebie! - Wyzywająco uniosła podbródek, lecz nagle jej spojrzenie zatrzymało się na Badou. - Idź stąd! - rzuciła.

Potrząsnęłam głową. Nadal z całej siły zaciskałam dłonie, głównie dlatego, by nie rzucić się na nią i jej nie spoliczkować. Nigdy w życiu nikogo nie uderzyłam, lecz w tej chwili najzupełniej dosłownie zmagalam się z tym pragnieniem. Badou przeszedł przez dziedziniec i zniknął za bramą, cmokając na rudego szczeniaka.

-Twoje wcześniejsze przeżycia nie mają nic wspólnego z moją sprawą - rzekłam twardo. - Nic nie tłumaczy tego, jak strasznie mnie okłamałaś! Dlaczego nie mogłaś po prostu powiedzieć, że Etienne wyjechał z Marrakeszu, kiedy pierwszy raz tu przyszedłam? Czułaś przyjemność, gdy widziałaś, że cierpię...

Przerwałam. Nie chciałam myśleć o wyrazie jej twarzy, gdy zobaczyła, jak padam na ziemię i krzyczę z rozpaczą na wieść o śmierci Etienne'a.

Leniwie wzruszyła ramionami.

- Etienne i tak by się z tobą nie ożenił - powiedziała. -Nie, na pewno nie! Przyszło mi więc do głowy, że lepiej będzie, jeśli uznasz go za zmarłego. Wtedy nie miałabyś już żadnych podstaw, by dalej łudzić się nadzieją! Wróciłabyś do domu i porzuciła te głupie marzenia.

Nie udało jej się mnie nabrać. Wiedziała, że nigdy nie zrobiłaby nic, aby ułatwić mi życie. W stosunku do mnie na pewno nie stać jej było na dobre odruchy, na pewno nie powodowało nią zrozumienie czy jakaś spaczona mądrość.

342

- Skąd możesz wiedzieć, że nie ożeniłby się ze mną? Skąd wiesz, co czuł do mnie twój brat?

Byłam pewna, że nie rozmawiał z nią o mnie, w przeciwnym razie wiedziałaby, kim jestem, gdy się u niej zjawiłam.

Przez chwilę rozważałam, czy nie powiedzieć jej o dziecku, lecz szybko porzuciłam tę myśl.

- Etienne jest zbyt wielkim egoistą, aby z kimkolwiek się ożenić - oznajmiła.

- Nic o tym nie wiesz! Nie widziałaś go ze mną!

- Nie musiałam. Znam go na wylot, Sidonie.

- Znasz go wyłącznie jako brata! Nie widzimy wielu rzeczy u ludzi, z którymi łączą nas więzy krwi! Rodzeństwo to nie to samo co związek między mężczyzną i kobietą!

Przez twarz Manon przemknął jakiś cień, coś odmieniło ją na ułamek sekundy i natychmiast znikło.

- Poza tym nie poślubiłby cię, bo nie chciałby spłodzić dziecka - powiedziała, znowu tym wyzywającym, celowo drażniącym tonem.

Przełknęłam ślinę, zadowolona, że nie wspomniałam o swojej ciąży.

- Dlaczego tak uważasz?

Wyprostowała się z uśmiechem. W kąciку ust miała maleńką kroplę czerwonego dżemu, którą teraz szybko zlizwała ciemnoróżowym, spiczastym językiem.

- Majoun! - Nabrała na łyżeczkę jeszcze trochę dżemu z miseczki. - Lubisz majoun, Sidonie?

Patrzyła na mnie, z łyżeczką zawieszoną w powietrzu.

- Nie wiem, co to jest i nic mnie to nie obchodzi - odparłam.

- Czasami gardło mam podrażnione od dymu z kif - wyznała. - To są konopie uduszone z owocami, cukrem i przyprawami, po nich czuję się lepiej... - Zjadła dżem wprost

343

z łyżeczki, nie rozsmarowując go na podłogę. - Daję ten dżem Badou, żeby zasnął, kiedy zależy mi, żeby szybko zasnął i spał mocno.

Natychmiast pomyślałam o mężczyźnie, którego zabawiła tej nocy. Poczułam tak wielkie obrzydzenie do niej, że podniosłam się, gotowa natychmiast wyjść, nie zważając na nic.

- Przyszłam tu dzisiaj z nadzieją, że jednak powiesz mi, jak odszukać Etienne'a. Chciałam też odkryć przyczynę twojego zachowania wobec mnie, ale to już nieistotne! Powinnam była wiedzieć, że twoje postępowanie nie ma żadnego logicznego wyjaśnienia. Jesteś złą, zawistną kobietą, i tyle!

- Sądzisz, że obchodzi mnie twoja opinia? - prychnęła. - Nie wiesz, z czym musiałam się zmagać, bo sama miałaś łatwe i wygodne życie, miałaś dom i ogród, malowałaś obrazki dla przyjemności i zabicia czasu, i bawiłaś się z tym swoim starym kotem! Zawsze robiłaś tylko to, na co miałaś ochotę!

Miseczka była już pusta. Podniosła ją i, patrząc na mnie znad jej brzegu, delikatnie wylizała resztki mieszanki haszyszu i owoców.

Wpatrywałam się w nią, całkowicie zaskoczona. Nie mogła wiedzieć, że miałam dom i kota, nie mówiłam jej o tym... W rozmowie z Aszulayem wspomniałam o ogrodzie, ale nie o Cinnabar. O niej nie mówiłam ani Manon, ani jemu.

- Będziesz mogła krytykować moje zachowanie dopiero wtedy, kiedy naprawdę poznasz życie z dala od tego małego, bezpiecznego kręgu, w którym egzystujesz! - Manon wstała. - Okłamałam cię, bo

mogłam to zrobić! Bo sprawiło mi przyjemność, gdy patrzyłam, jak cierpisz i jaka jesteś słaba!
Pasujecie do siebie, ty i Etienne. Oboje jesteście słabi! Nawet nie powiedział ci o swojej chorobie, co?

- O swojej chorobie? - powtórzyłam bezmyślnie. Przecież to nie Etienne był chory, tylko jego ojciec.

344

Manon roześmiała się, głośno i wesoło.

- Etienne był zbyt słaby, aby wyznać ci prawdę, no i za bardzo się wstydził, żeby pokazać ci się takim, jaki był naprawdę! Tylko ja wiem o nim wszystko, wszystko, co złe! Tylko ja widziałam go, konającego z bólu i wstydu!

Usiadła, nalała sobie herbaty i powoli założyła nogę na nogę. Wypiła całą szklankę pachnącego miętą napoju i zawołała coś po arabsku. Falida wyniosła z domu sheesha i postawiła na ziemi przed Manon. Wyjęła filcową wkładkę, zapaliła tytoń, złożyła całe urządzenie i podała ustnik swojej pani.

- Nie zauważyłaś objawów? - Manon zbliżyła ustnik do warg.

Patrzyłam bezradnie, próbując doszukać się jakichś odpowiedzi w jej twarzy.

- Miał dopiero pierwsze oznaki choroby, ale czy naprawdę możesz powiedzieć sobie, że ich nie widziałaś? Ja dostrzegłam je od razu, natychmiast po jego powrocie do Marrakeszu! Zorientowałam się, co się dzieje. Choroba go dopadła, tak samo jak naszego ojca. Czy to możliwe, żebyś była tak tępa? Tak ślepa i niedomyślna?

Przypomniałam sobie Etienne w szpitalu, a potem u mnie w domu. Kiedy szliśmy gdzieś na kolację, kiedy prowadził auto, w moim łóżku. Pamięć podsunęła mi serię szybkich, pozornie mało ważnych obrazów - Etienne nagle z brzękiem upuszcza widelec albo nóż, potyka się o brzeg dywanu, na moment traci równowagę i zatacza się, jak pewnej nocy w sypialni, kiedy jego zachowanie wytłumaczyłam sobie zmęczeniem po długim dyżurze w szpitalu. Kiedy indziej mówiłam sobie, że pewnie wypił za dużo bourbona.

Pomyślałam o pustej buteleczce po lekarstwie, którą znalazłam w jego pokoju, o etykietce z nazwą środka, przyjmowanego przez chorych na padaczkę.

345

- Etienne odziedziczył po naszym ojcu dosłownie wszystko - podjęła Manon. - Ja nie dostałam nic, ale teraz bardzo mnie to cieszy, bo razem z dużym majątkiem Marcel Duverger zostawił synowi coś jeszcze.

Ostrożnie i powoli osunęłam się na stojący za mną stołek.

- Zostawił mu dziny, które nosił w swoim ciele. - Manon pokiwała głową. - Choroba, która go zabiła, zabije teraz Etienne'a. Ale jeszcze nie teraz, nie tak szybko! Najpierw Etienne będzie cierpiał, tak samo jak cierpiał nasz ojciec.

Uśmiechnęła się spokojnie, prawie ze wzruszeniem, jakby nagle z daleka dobiegły ją dźwięki znajomej i bliskiej sercu melodii.

- Czy czuję smutek na myśl, że mój ojciec cierpiał takie katusze? Nie. A dlaczego? Bo w ten sposób zapłacił za swoje postępowanie wobec mnie! - Uśmiech nagle przeistoczył się w grymas, w głosie zabrzmiała gorycz. - Ten dom... - Szerokim gestem ogarnęła dziedziniec. - Ten dom kupił dla mnie Etienne, tuż przed swoim wyjazdem do Ameryki! Czy to wystarczające zadośćuczynienie? W żadnym razie! Nic nie jest w stanie wyrównać rachunków. Cieszyłam się, kiedy ojciec umarł, a teraz cieszę się, że Etienne też będzie cierpiał! Niechże sobie bierze cały spadek, niech ma z niego pożytek aż do śmierci, aż skona, płacząc i robiąc pod siebie jak małe dziecko!

O czym ona mówiła? Czym były te dziny?

- Dżiny przechodzą z pokolenia na pokolenie - dodała. - Z rodziców na dzieci. Z ojca na syna.

A więc była to choroba dziedziczna. Manon mówiła o genetyce. Przypomniałam sobie zainteresowanie Etienne'a tą dziedziną medycyny.

Badou wrócił razem ze szczeniakiem. Znowu usiadł obok matki i wziął psiaka na kolana, trzymając go w pół pod przednimi łapami, jak dziecko. Krótkie łapki psa sterczały sztywno.

346

Badou ostrożnie wyciągnął rękę w stronę podpłomyka, który został na talerzu i zerknął na Manon, a gdy nie zareagowała, chwycił chleb, odłamał mały kawałek i podsunął szczeniakowi. Resztę szybko wepchnął sobie do ust.

- Ale jeśli Etienne przebywa teraz w Maroku, na pewno w końcu wróci do Marrakeszu! - powiedziałam. - Żeby zobaczyć się z tobą i Badou. - Spojrzałam na nią i na chłopca, jedyną rodzinę Etienne'a. - Kiedy można się go spodziewać, Manon? Jeżeli mówisz prawdę, tym bardziej muszę z nim porozmawiać!

Wzruszyła ramionami. Zaciągnęła się dymem z ustnika i lekko rozchyliła wargi, wypuszczając go w ciepłe powietrze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY.

Chodziłam po mieście przez parę godzin. Jeśli tym razem Manon powiedziała mi prawdę - że Etienne cierpi na chorobę, która ostatecznie poprzez cierpienia doprowadzi go do śmierci - to może wreszcie znalazłam odpowiedź na moje pytania.

Etienne zostawił mnie, ponieważ nie chciał dopuścić, abym poślubiła człowieka, który przez resztę życia miał przejść z pętlą na szyi, z każdym miesiącem i rokiem zaciskającą się coraz bardziej i bardziej.

Zostawił mnie, ponieważ kochał zbyt mocno, aby skazać ukochaną na taki los, nie zdawał sobie jednak sprawy z głębi mojego uczucia. Nie potrafiłam wyobrazić go sobie innym niż w czasie naszego ostatniego spotkania - silnego i kochającego - ale doskonale wiedziałam, że niezależnie od tego, jaką formę przybiorą dziny, o których mówiła Manon, poradzę sobie ze wszystkimi trudnościami. Kiedy

Etienne zacznie tracić siły, zaopiekuję się nim tak samo, jak wcześniej opiekowałam się mamą, pomyślałam.

Wróciłam do Szaria Zitun i zapukałam do bramy. Było wczesne popołudnie.

Wewnątrz trwała cisza. Zapukałam znowu i poruszyłam

348

klamką, ale brama była zamknięta. Otwartą dłonią uderzyłam w pokryte złocistą farbą drewno.

- Manon! - zawołałam. - Badou! Badou, jesteś tam? - Przysunęłam usta do szpary tuż nad kławką. - To ja, Sidonie! Mademoiselle O'Shea! Otwórz bramę, proszę!

Po długiej chwili skrobania i zgrzytów brama otworzyła się do środka.

- Maman powiedziała, żebym nikogo nie wpuszczał - oświadczył Badou.

- Ale to ja... Mogę wejść, tylko na chwilę?

Przyjrzał mi się uważnie, poważnie kiwnął głową i odsunął się na bok. Na dziedzińcu stała mała wanna z wodą, na której powierzchni pływała cała flota patyków. Badou zbliżył się do wanny i popchnął jeden z nich.

- Maman śpi? - spytałam. Potrzęsnałam głową.

- Jest w hammamie, poszła się wykąpać - odparł, nie patrząc na mnie.

- A Falida? Gdzie jest Falida?

- Na targu. Ma kupić coś do jedzenia. Spojrzałam na dom.

- Jesteś sam?

- Tak, jestem już duży... - Wyjął wszystkie patyki z wody i ułożył je w rzędach na kamiennych płytach. - Maman mówi, że jestem już duży i mogę sam się sobą zająć.

Chwilę milczałam.

- Tak, jesteś już duży, Badou - potwierdziłam. Czujnym wzrokiem badałam jego pełną skupienia buzię,

gdy bawił się patykami, i znowu widziałam Etienne'a. Tak, ten sam wyraz intensywnej koncentracji, to samo inteligentne czoło pod gęstymi włosami, ta sama długa, szczupła szyja. Znowu wyobraziłam sobie nasze dziecko.

349

- Jesteś smutna, Sidonie? - odezwał się Badou.

Pochłonięta myślami, nie zauważyłam, że przerwał układanie patyków i patrzy na mnie. Byłam zadowolona, że przestał zwracać się do mnie „mademoiselle”.

W pierwszej chwili chciałam zaprzeczyć i spróbować się uśmiechnąć, lecz nagle, podobnie jak wcześniej, uświadomiłam sobie, że nie mogę zdobyć się na nieszczerą wobec tego niezwykle poważnego dziecka.

- Tak, dzisiaj jestem trochę smutna. Skinął głową.

- Czasami ja też jestem smutny, Sidonie! Ale wtedy myślę o czymś chwilę i znowu robi mi się weselej.

Był taki poważny, taki dojrzały.

- A o czym myślisz, żeby zrobić ci się weselej?

- Kiedyś, dawno temu, mama upiekła cytrynowe ciasto. -Kąciki jego ust uniosły się w rodzącym się uśmiechu. - Och, było takie słodkie i żółciutkie! Wystarczy, że pomyślę o tym cieście i już jest mi wesoło! Maluję taki obraz w głowie: to ciasto na niebieskim niebie, obok słońca... Słońce i cytrynowe ciasto! Jak dwa słoneczka, albo dwa ciasta! Dwa to zawsze lepiej niż jedno, prawda? - Wstał. - Dawniej mama malowała obrazki specjalnie dla mnie. Poprosiłem ją, żeby namalowała dla mnie te dwa ciasta, ale nie namalowała. Chciałem powiesić sobie ten obrazek na ścianie nad łóżkiem, bo wtedy mógłbym patrzeć na niego, kiedy tylko bym zechciał, i zawsze byłbym szczęśliwy.

Nieoczekiwanie łzy napłynęły mi do oczu. Czy to normalne, aby sześciolatek rozumował i mówił w taki sposób? Nie wiedziałam...

- Sidonie? Teraz ty musisz pomyśleć o czymś, co sprawia ci przyjemność, i przegonić smutne myśli!

Uklękałam, krzywiąc się z bólu, bo strupy na zranionych kolanach pękały, objęłam go i przytuliłam.

350

- O czym myślisz? - spytał stłumionym głosem. Cofnął się odrobinę i popatrzył na mnie badawczo. - O czymś przyjemnym?

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Pod brodą czułam gęste włosy Badou i delikatny policzek. Spojrzałam w jego duże oczy. Były uważne, jak zwykle, i och, jakie bystre.

- Możesz pomyśleć o cytrynowym cieście, Sidonie - rzekł w końcu.

Uśmiechnął się, oswobodził z moich ramion i wrócił do układania patyków w rozmaite wzory.

Pół godziny później Manon wróciła do domu, niosąc dwa wiadra wypełnione różnymi kosmetykami i przyborami kosmetycznymi. Gdy mnie zobaczyła, rzuciła Badou wściekłe spojrzenie, a on natychmiast spuścił wzrok, wyraźnie wystraszony.

- Nie złość się na niego - powiedziałam. - Namówiłam go, żeby mnie wpuścił! - Manon postawiła wiadra na ziemi. - Ty też masz tę chorobę - spytałam.

- Nie - odparła.

Miałam nadzieję, że mówi prawdę, ze względu na Badou. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że coś tak niebezpiecznego i szkodliwego mogłoby mieszkać w jego drobnym, doskonałym ciele.

-Jakie to wzruszające, że tak troszczysz się o moje zdrowie! - rzuciła sarkastycznie.

Chwilę nie odpowiadałam.

- Chcę się tylko dowiedzieć, gdzie jest Etienne, albo kiedy wróci do Marrakeszu - powiedziałam. - Teraz tym bardziej powinnam uświadomić mu, że...

Przerwałam, nagle przypomniawszy sobie, że nie wolno mi mówić nic więcej tej kobiecie.

351

- Etienne nie tylko nie powiedział ci o swojej chorobie, ale także nie podzielił się z tobą swoimi marzeniami. A ze mną tak! Marzył, że zrobi karierę i zdobędzie sławę, chciał odkryć metodę, dzięki której można byłoby uniknąć przekazywania dżinów... - Nie odrywała wzroku od mojej twarzy. -I odkrył...

Umilkła.

- Jak to? - odezwałam się. - Co odkrył?

-Jedyną metodę zapobiegania chorobie. Naprawdę jedyną! Kiedy tu wrócił, był głęboko sfrustrowany.

- Nic dziwnego. Miał świadomość, jaka czeka go przyszłość...

- Tak, ale odkrył coś jeszcze. Powiedział mi, że poniósł klęskę.

- Klęskę?

- Powiedział mi o tobie. Wiem wszystko, Sidonie. Zamrugałam. Przypomniałam sobie, jak mówiła o moim

życiu w Albany, jak wymieniała fakty, których nie mogła znać. Więc Etienne rzeczywiście opowiadał jej o mnie. Oznaczało to, że od samego początku doskonale wiedziała, kim jestem. Ale w takim razie, dlaczego drażniła się ze mną jak kot z myszą? Dlaczego udawała, że nic o mnie nie wie? Miała taką niewinną minę, kiedy jej się przedstawiłam... Manon Maliki była niezwykle uzdolnioną aktorką, każde nasze spotkanie z nią utwierdzało mnie w tym przekonaniu.

- Powiedział mi o dziecku.

Odruchowo przyłożyłam rękę do brzucha, a jej oczy podążyły za moimi dłońmi.

- Skłamałaś, to jasne, żeby zmusić go do małżeństwa! Taki stary i zgrany trik, Sidonie! Cóż, nie można spodziewać się niczego dobrego po takiej kobiecie jak ty! - Znowu przywołała

352

na twarz ten rozleniwiony uśmiech, którego nienawidziłam. -Od razu się zorientowałam, że nie jesteś w ciąży... Głupia, jak byś mu to wytłumaczyła, gdybyś go znalazła? Wymyśliłabyś jeszcze jedno kłamstwo, tym razem o poronieniu?

Nie mogłam dopuścić, aby zrozumiała, jak głęboko ranią mnie jej słowa. Spojrzałam jej w oczy, walcząc z sobą o zachowanie równowagi.

- Chciałaś, żeby Etienne się z tobą ożenił, więc go okłamałaś, ale przy okazji wpakowałaś się w pułapkę, którą sama na niego zastawiłaś! Straciłaś Etienne'a z powodu tego kłamstwa! Przyjechał tutaj, bo ja tego chciałam! W przeciwieństwie do ciebie, umiem skłonić Etienne'a, aby robił to, czego sobie życzę. Sama odepchnęłaś go od siebie, moja droga! - Przerwała na moment i delikatnie pogładziła jedną brew środkowym palcem. - Wiesz, na czym polega jedyna metoda zatrzymania choroby? Etienne powiedział mi o tym, gdy wrócił do Marrakeszu! Aby dziny umarły, ludzie, którzy je posiadają, nie mogą płodzić dzieci! Wystarczy jednopokoleniowa przerwa, aby choroba wygasła. Tylko jedno pokolenie, Manon, powiedział mi. Tylko tyle.

Łagodne promienie słońca przedostawały się przez liście, oświetlając twarz Manon i obmywając ją falami blasku. Źrenice miała nienaturalnie rozszerzone, być może po kif albo majoun.

Nagle furtka otworzyła się i na dziedziniec weszła Falida, dźwigając płócienne torby w obu rękach i trzecią zawieszoną na plecach, tak ciężką, że dziewczyna zgięła się w pół.

Manon podeszła do niej i chwyciła jedną z toreb. Zajrzała do środka, poszperała w środku i zasypała Falidę gradem pytań po arabsku. Dziewczyna odpowiedziała słabym, przestraszonym głosem, a wtedy Manon wymierzyła jej mocny

353

cios w policzek. Falida upadła. Ustyszałam głucho uderzenie jej biodra i łokcia o kamień. Z torby na plecach wysypały się oliwki i pomarańcze. Badou rzucił się zbierać pomarańcze do dzellaby.

Falida nie płakała. Zdjęła torbę z szyi, pozbierała oliwki i wysypała je z powrotem do papierowej torebki. Jedna pomarańcza potoczyła mi się pod nogi. Schyliłam się, aby ją podnieść.

Manon odwróciła się do mnie z całkowicie spokojną twarzą, zupełnie jakby gwałtowna scena w ogóle nie miała miejsca.

- A więc, Sidonie, odepchnęłaś Etienne'a własnymi rękami! Myślał, że urodzisz dziecko, które może być obciążone dżinami, dlatego uciekł!

Rytmicznie uciskałam skórkę pomarańczy, przypominając sobie wyraz twarzy Etienne'a w chwili, gdy dowiedział się, że jestem w ciąży. Sądziłam, że jest w szoku, lecz teraz, po rewelacjach Manon, zrozumiałam, że musiał się przerazić.

Pomyślałam o dziecku, które powołaliśmy do życia, o połączeniu Etienne'a i Sidonie. Spróbowałam przełknąć ślinę, ale czułam się tak, jakbym usta i gardło miała wyłożone watą. Etienne wiedział, że dziecko może odziedziczyć gen odpowiedzialny za chorobę. On przecież odziedziczył go po swoim ojcu. Nasze dziecko widział jako jedną z aberracji przyrody, pomyłkę natury.

- Byłaś dla niego tylko rozrywką, sposobem na spędzenie czasu - odezwała się Manon. - Nie miał wobec ciebie żadnych poważnych zamiarów, sam mi mówił.

Minęło parę chwil, zanim opanowałam wzburzenie. Znowu spojrzałam na Badou, który dalej zbierał rozsypane produkty. Chłopiec podniósł na mnie wzrok, podszedł i wyjął pomarańczę z mojej dłoni.

354

- Etienne chciał ze mną być - powiedziałam. - A rezultat... Żadne z nas nie mogło przewidzieć, co się stanie! Naprawdę zaszczyłem w ciążę, ale poroniłam, zanim dotarłam do Tangeru. - Nie obchodziło mnie, czy mi uwierzy, czy nie. - Gdyby rzeczywiście nie chciał nawet myśleć o dzieciach, na pewno nie byłby ze mną. Przecież nikt go nie zmuszał. - Z rozpaczą usłyszałam, jak mój głos załamuje się w ostatnim zdaniu.

Manon lekceważąco machnęła ręką.

-To mężczyzna, Sidonie! Poczul się samotny, zatęsknił za kobietą i uległ impulsowi, to wszystko! Planował, że gdy skończy mu się kontrakt na pracę w szpitalu w Ameryce, podda się zabiegowi sterylizacji, który jego zdaniem powinien rozwiązać problem, ale pewnie zabrakło mu cierpliwości. Poza tym wiedział, że ty jesteś absolutnie niegroźna, naiwna, niedoświadczona i niezdolna stwarzać jakiegokolwiek trudności!

Etienne nie był człowiekiem, którego opisała. Zależało mu na mnie, kochał mnie i pragnął.

- Nie wierzę ci! - oświadczyłam. - Nie opowiadaj bzdur! Popatrzyła na mnie obojętnie.

- Mogę mówić, co chcę, Sidonie - powiedziała. - Mogę mówić, co chcę...

Długo stałyśmy naprzeciwko siebie. Dzieci zabrały torby z zakupami i weszły do domu. Wszystko wskazywało na to, że ja i Manon nie mamy już sobie nic do powiedzenia.

Wróciłam do hotelu de la Palmeraie. Podeszłam do okna i popatrzyłam na wysokie góry Atlas, wyraźnie rysujące się na tle błękitnego nieba. Muezini właśnie zaczęli nawoływać do modlitwy z minaretów w medynie. Powietrze pachniało kwiatami bzu i jacarandy.

Próbowałam przywołać z pamięci zapach skóry Etienne'a i jego nieczęsty, szeroki uśmiech. Starłam się przywołać

355

wspomnienia, fragmenty naszych rozmów, chwile przy stole, tuż przed snem i zaraz po przebudzeniu, wciąż widziałam jednak tylko jego twarz, gdy powiedziałam mu o dziecku i swoją myśl, że mam przed sobą zupełnie obcego człowieka.

Wiedziałam, że nie mogę polegać na „prawdach” Manon. Etienne starał się mnie chronić. Musiałam mu powiedzieć, że jestem wystarczająco silna, aby żyć z jego chorobą, że chcę wyjść za niego i stać u jego boku. Nie powinien obawiać się przyszłości.

Nie miałam już żadnego powodu, by wracać do Szaria Zitun. Skończyłam z Manon, nie chciałam dłużej słuchać jej kłamstw. Zrozumiałam, że nie dowiem się od niej niczego na temat powrotu Etienne'a. W Marrakeszu był tylko jeden człowiek, który mógł mi teraz pomóc.

Wzięłam caleche i pojechałam do Le Jardin Majorelle. Miałam nadzieję, że uda mi się zastać Aszulaya w pracy. Gdyby go nie było, postanowiłam zapytać monsieur Majorelle, kiedy znowu przyjdzie. Niedaleko wejścia zobaczyłam trzech mężczyzn w bieli, rozkopujących jeden z kwietników.

- Pardonnez moi! - zawołałam, słysząc desperację w swoim głosie.

Wszyscy trzej natychmiast się wyprostowali. W środku stał Aszulay.

- Aszulay - odezwałam się z ulgą, zupełnie jakbym szukała go od lat. - Aszulay - powtórzyłam.

Podeszłam bliżej. Wiedziałam, że mówię za głośno, nie potrafiłam jednak ściszyć głosu.

- Możemy porozmawiać? - spytałam. - Bardzo proszę, chodzi mi o Etienne'a. Muszę... Muszę...

Przerwałam i zamknęłam usta. Co musiałam zrobić? Pozostali dwaj mężczyźni przyglądali się, jak Aszulay przechodzi nad kopczykami czerwonej ziemi.

356

- Mademoiselle O'Shea, proszę usiąść tam, w cieniu - rzekł. - Niedługo skończę, proszę na mnie zaczekać.

Po pewnym czasie zostawił łopatę wbity we wzgórek ziemi i przyszedł do mnie. Podniosłam się z miejsca.

- Chciałam zapytać... Przerwał mi, unosząc jedną rękę.

- Nie będziemy rozmawiać tutaj - powiedział. Zdałam sobie sprawę, że zachowałam się niewłaściwie, nachodząc go w miejscu pracy.

- Mogę wyjść na chwilę, ale muszę jeszcze tu wrócić - dodał. - Pójdziemy do mojego domu.

Kiwnęłam głową i poszłam za nim przez park. Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby się zastanawiać, czy dobrze robię, idąc z nim do domu.

- Nie ujdzie pani daleko w tym upale - zauważył Aszulay.

Znowu przytaknęłam bez słowa. Zatrzymał caleche i wsiedliśmy do bryczki. Przez całą drogę wpatrywałam się w swoje buty, podniosłam wzrok dopiero, gdy woźnica zatrzymał dorożkę. Aszulay wysiadł i podał mi rękę.

Znaleźliśmy się w murach medyny, ale nie przeszliśmy przez plac Dżemma el Fna. Nie wiedziałam, dokąd idziemy wąskimi alejkami ani ile potrwa nasza wędrówka. Wreszcie Aszulay wyciągnął duży klucz z fałd tuniki i otworzył nim błękitną bramę. Ręce pokryte miał czerwonym błotem. Spojrzałam na jego twarz i zobaczyłam, że ziemię ma też na szyi i szczęce. Jego biały strój - tunika i luźne płócienne spodnie oraz turban, uniform, którego monsieur Majorelle wymagał od swoich pracowników - pokryty był cieniutką warstewką czerwonego pyłu.

- Przepraszam, że oderwałam cię od pracy! - odezwałam się. - Ale ja muszę... Muszę porozmawiać z kimś o Etienne, Aszulay! Chcę, żebyś powiedział mi wszystko, co wiesz! Manon mówi...

357

Przerwałam. Nie chciałam rozmawiać o moim dziecku. Może Aszulay i tak o nim wiedział, ale nie miałam najmniejszego zamiaru poruszać tego tematu.

Jakiś człowiek, który właśnie mijał bramę, popatrzył na mnie z zaciekawieniem. Aszulay ruchem głowy wskazał mi furtkę.

- Proszę wejść do środka.

I tym razem bez słowa ruszyłam za nim. Zauważyłam tylko, że przeszliśmy przez dziedziniec, a kiedy Aszulay przystanął, ja również przystanąłam.

Zdjął babouches i wykonał zapraszający gest. Zawahałam się, ponieważ wiedziałam już, że wejście do czyjegoś domu w butach uważane jest za oznakę złego wychowania. Spojrzałam na swoje czarne pantofle i z niechęcią pomyślałam o ich rozsznurowywaniu. Później musiałabym jeszcze przekuśtykać przez pokój, z trudem utrzymując równowagę bez pogrubionej podeszwy.

- Proszę - powiedział Aszulay.

Zorientowałam się, że nie oczekuje ode mnie zdjęcia butów. Gdy weszliśmy do pokoju, usiadłam na brzegu szezlongu, który mi wskazał. Zniknął, a ja zamknęłam oczy i ukryłam twarz w dłoniach.

Po paru chwilach usłyszałam cichy szelest tkaniny. Podniosłam głowę i ujrzałam starszą kobietę z tacą, na której stał imbryk i dwie szklanki. Kobieta postawiła tacę, napełniła jedną szklankę herbatą i podała mi ją.

- Shukran - szepnęłam, biorąc szklankę z jej ręki. - Dziękuję.

Napełniła drugą szklankę, postawiła ją na stoliku i wyszła. Wpatrywałam się w obie szklanki bez końca, w każdym razie tak mi się wydawało. W końcu do pokoju wrócił Aszulay; nadal miał na sobie to samo ubranie, umył jednak ręce i twarz,

358

i zdjął z głowy turban. Na płątku jego lewego ucha wisiła kropla wody, lśniąca jak brylant, włosy miał wilgotne i skręcone tuż nad kołnierzem.

- Czego chce się pani dowiedzieć o Etiennie? - spytał, biorąc szklankę z herbatą.

- Kiedy przyszedłeś do hotelu, wtedy gdy myślałam... Gdy Manon mnie okłamała... Powiedzieliś, że jeszcze o nim porozmawiamy, innym razem, tak powiedzieliś. Muszę poznać odpowiedzi na pewne pytania, teraz, od razu.

Aszulay patrzył na mnie uważnie. Jego długie palce utworzyły koszyczek wokół szklanki.

- Byłam jego... Mieliśmy się pobrać...

Dziwnie trudno było mi o tym mówić, czując spojrzenie jego uważnych błękitnych oczu na mojej twarzy.

- Wyjechał z Ameryki dość niespodziewanie.

Nie powiedziałam, że mnie zostawił, nie mogłam jednak oprzeć się wrażeniu, że Aszulay usłyszał te niewypowiedziane słowa i z największym trudem zapanowałałam nad chęcią spuszczenia głowy.

- Ten nagły wyjazd... Nie zdążyliśmy porozmawiać o...

o bardzo ważnych rzeczach... Przyjechałam więc tu, by go odnaleźć i zrozumieć.

Mój głos ciągle się załamywał. Dlaczego w obecności tego mężczyzny czułam się tak głęboko upokorzona? Nie zrobił przecież nic, co mogłoby wywołać takie wrażenie - patrzył tylko na mnie, spokojnie słuchał i nie ponaglał mnie. Wzięłam głęboki oddech, żeby się trochę uspokoić.

- Dopiero co rozmawiałam z Manon - podjęłam. Spodziewałam się, że jego twarz zmieni wyraz na dźwięk

imienia kochanki, ale Aszulay nie zareagował.

- Teraz wiem więcej. Dowiedziałam się o jego chorobie i sądzę, że znam powód jego wyjazdu. Tym bardziej muszę go

359

odszukać i powiedzieć mu... Po prostu muszę się z nim spotkać, to bardzo ważne dla jego przyszłości! Dla naszej przyszłości. Muszę wiedzieć, gdzie on jest.

Aszulay nadal patrzył na mnie uważnie. Nie umiałam rozszyfrować wyrazu jego twarzy, wyglądał jednak na zamyślonego, jakby się zastanawiał, co ma zrobić.

- Wiem, że możesz powiedzieć mi więcej niż Manon, bo ona nie chce. No, jest dla mnie oczywiste, że ukrywa coś przede mną.

Nie upił ani odrobinę ze szklanki, wciąż jednak trzymał ją w swojej dużej dłoni.

- Tajemnice Manon należą tylko do niej - odezwał się. - Niewiele mogę pani powiedzieć, potrafię jedynie opisać zachowanie Etienne'a, kiedy był tutaj. To, czego byłem świadkiem.

Skinęłam głową i lekko nachyliłam się nad stołem.

- Tak, tak, rozumiem! Opowiedz mi o tym, proszę! Utkwił wzrok nad moją głową, jakby nie chciał dłużej na

mnie patrzeć.

- Etienne mówił, że nie może spać, że nie spał od wielu nocy. Był bardzo niespokojny i widziałem, jak przyjmował tabletki z flakonika.

- Zawsze je brał - wtrąciłam zachęcająco.

- Ostatniego wieczoru wypił butelkę absyntu, całą, jedną szklankę po drugiej. Palił kif, zdecydowanie za długo. Potem wziął jeszcze więcej tabletek, ale mimo tego wszystkiego wcale się nie uspokoił. Chodził i siadał, chodził i siadał... Ręce mu drżały.

- Rozumiem, dlaczego tak się zachowywał - powiedziałam. - Myślał o chorobie. Etienne nie wiedział, ile czasu upłynie, zanim...

Przerwałam. Nie chciałam mówić Aszulayowi, że Etienne denerwował się także dlatego, że mnie zostawił.

360

- I później tak po prostu wyjechał? - zagadnęłam. - Na pewno wspomniat, dokąd się wybiera albo chociaż kiedy wróci. Siedzieliśmy w milczeniu.

- Mówił o Casablance i Rabacie - rzekł w końcu Aszulay. Pomyślałam o tych zatłoczonych miastach, o tym, jak

z Mustafą i Azizem przejeżdżałam przez Sale. Myślałam o tym, z jak wielkim trudem znalazłam Manon tutaj, w mniejszym mieście z francuską dzielnicą, gdzie mimo wszystko miałam pewne wsparcie w dużej społeczności Europejczyków, gdzie mogłam mówić w moim języku i codziennie wracać do bezpiecznego hotelu. Próbowałam wyobrazić sobie, jak poradzę sobie w Casablance czy Rabacie, szukając człowieka, którego nikt nie zna i którego może wcale tam nie ma.

Zasłoniłam oczy dłonią, porażona czystą niewykonalnością tego planu.

- To nie są miasta przyjazne dla samotnej kobiety, mademoiselle O'Shea - powiedział Aszulay, zupełnie jakby czytał w moich myślach. - Tutejsze czy obce, kobiety nie powinny chodzić po nich same.

Gdy przerwał, powoli opuściłam rękę.

- Etienne wróci do Marrakeszu.

- Tak? - zapytałam, spragniona zapewnień. - Więc co mam zrobić? Czekać? Ale kiedy wróci? - Wyprostowałam się. - Kiedy, Aszulay?

- Możliwe, że w przyszłym miesiącu, ze względu na Badou. Przyjedzie zobaczyć Badou.

- W przyszłym miesiącu - powtórzyłam.

- Prosił, żebym opiekował się Badou w czasie jego nieobecności. Ale ja... Ja zawsze opiekowałem się Badou.

- Ponieważ do Manon nie można mieć zaufania. Byłam pewna, że Aszulay zaprotestuje. Jako kochanek

Manon powinien stanąć w jej obronie, prawda?

361

Popołudniowe wezwanie do modlitwy już przebrzmiało, lecz Aszulay nie uklęknął i nie przycisnął czoła do podłogi. Przeciwnie, podniósł się z miejsca.

- Muszę wracać do pracy. Zrobiłem sobie za długą przerwę...

- Oczywiście, przepraszam! Dziękuję... Dziękuję, że porozmawiałeś ze mną o Etiennie! Teraz, gdy wiem na pewno, że wróci do Marrakeszu, mogę spokojnie czekać.

Aszulay lekko potrząsnął głową. Nie wiedziałam, o co mu chodzi i wołałam nie pytać.

- Wyprowadzę panią z medyny - powiedział i wsunął stopy w babouches.

Kiedy wyszliśmy z dziedzińca na ulicę, wreszcie uświadomiłam sobie, jak bardzo byłam pochłonięta własnymi sprawami, samolubna i bezmyślnie śmiała. Poszłam do Aszulaya do pracy i oderwałam go od zajęć, a on potraktował mnie bardzo wyrozumiale i zaprosił do swojego domu.

Przekroczyliśmy główną bramę, oddzielającą medynę od dzielnicy francuskiej i Aszulay lekko dotknął mojego ramienia.

- Chyba będzie lepiej, jeśli wróci pani do domu, mademoiselle.

- Tak, wezmę taksówkę i pojedę...

- Nie. Chodziło mi o pani ojczyznę. Powinna pani wrócić do Ameryki.

Zmarszczyłam brwi.

- Mówiłam ci już, że zaczekam tu na Etienne'a! Muszę go zobaczyć! Chcę... Chcę mu pomóc.

Aszulay zamknął oczy. Trwało to ułamek sekundy, pomyślałam nawet, że może mi się tylko tak wydawało.

- Mademoiselle O'Shea, widzę, że jest pani zdecydowaną kobietą, ale...

362

- Ale co?

Spojrzał na mnie tak, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale po chwili podniósł rękę i tuż obok nas zatrzymała się taksówka.

Aszulay odwrócił się i zniknął w tłumie.

Przez całą drogę do hotelu nie mogłam przestać myśleć o wyrazie jego twarzy w chwili, kiedy mówił mi, że powinnam wrócić do Ameryki.

Nie potrafiłam go odczytać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY.

Zdjęłam mniejszą walizkę z górnej półki w garderobie i zza podszewki wyciągnęłam paszport, powrotne bilety na statek (z otwartym terminem) oraz kopertę z resztką pieniędzy. Przeliczyłam poważnie uszczuplony plik banknotów i zrozumiałam, że przy obecnym stylu życia nie wystarczą mi na długo.

Usiadłam przy stole z pieniędzmi, paszportem i biletami, i znowu pomyślałam o oczach Aszulaya, tak skupionych, jakby swoim błękitem próbowały mnie o czymś przekonać.

Noc łagodnie rozwinęła skrzydła i przez otwarte okno do pokoju napływał przyjemny zapach róż i drzewek pomarańczowych. Był kwiecień, w Marrakeszu trwało lato. W Albany drzewa dopiero zaczynały się zielenić, a ziemia była jeszcze zbyt zmarznięta, aby przyjąć ziarna czy sadzonki nowych roślin. Niebo na pewno było szare, z chmur kapał deszcz, tylko wiatr niósł już zapach wiosny.

Przypomniałam sobie radę Aszulaya, żebym wracała do domu.

Wyobraziłam sobie, jak otwieram frontowe drzwi i wciągam w nozdrza witający mnie zapach pleśni, zagnieżdżonej w zbyt długo zamkniętych pomieszczeniach, jak idę do państwa Barlow i odbieram od nich Cinnabar. Pamiętałam czysty zapach jej sierści i miękki dotyk łapek.

364

Zobaczyłam siebie, jak nastawiam wodę na herbatę i głaszczę ocierającą się o nogi Cinnabar, jak wchodzę do pracowni i patrzę na wiszące na ścianach obrazy. Przypomniałam sobie obrazy Manon i bijącą z nich dziką wolność.

Ujrzałam, jak sama leżę w łóżku w tę pierwszą noc i patrzę na kształt plamy na suficie, która przybrała postać starej kobiety, jak następnego dnia rano idę do szwalni i pytam o pracę, a potem kupuję kilka produktów, żeby ugotować sobie prosty obiad. Jak wkładam gruby sweter, siadam na ganku i próbuję czytać, co jakiś czas podnosząc wzrok na przejeżdżające drogą auta, zostawiające za sobą chmurę kurzu, albo, jeśli pada deszcz, koleiny w błocie. Jak po pewnym czasie wchodzę do środka i stoję przy sztalugach.

Co bym namalowała?

Byłoby już lato... Wstawałabym wcześniej do pracy i wracała do domu zmęczona wykonywaniem wciąż tych samych, nużących czynności, które nie stawiałyby mi żadnych wyzwań. Zajmowałabym się ogrodem i może, raz czy dwa w ciągu lata, poprosiłabym pana Barlow, by zawiózł mnie do Pine Bush, gdzie mogłabym pochodzić wśród bagien, obserwować przyrodę i szukać błękitnych motyli.

Później pojawiłyby się pierwsze oznaki jesieni - klucz odlatujących gęsi na niebie, zwarzone przez przymrozek liście pomidorów. Usłyszałabym przeciągłe wycie północnych wichrów za oknami i donośny szum ulewy, przyginającej drzewa do ziemi. Kolejna wiosna, kolejne parne lato... Oczywiście były to tylko pory roku, obroty koła czasu, ani lepsze, ani gorsze niż w innych miejscach na świecie, ale nie tylko myśl o zjawiskach przyrody przyprawiała mnie o bolesny skurcz serca, kiedy tak siedziałam przy stole w hotelowym pokoju w Marrakeszu.

Lękiem przejmowała mnie myśl o powrocie do życia sprzed

365

pojawienia się w nim Etienne'a, sprzed podróży przez ocean i przybycia do tego dziwnego, intrygującego i często przerażającego kraju. Kraju, w którym zobaczyłam kolory i usłyszałam dźwięki, jakich wcześniej nawet sobie nie wyobrażałam, gdzie oddychałam zapachem nieznanymi roślin i wiatrów, gdzie na moim języku eksplodowały nowe smaki... Do życia sprzed rozdierającej rozpacz

po stracie dziecka, do życia pełnego tęsknoty za spokojną radością płynącą z trzymania w ramionach małego chłopca, zapachu jego włosów i ciepła drobnego ciała, ufnie przytulonego do mnie.

Doskonale wiedziałam, jaki kształt przyjmie moje życie po powrocie do Albany, nie tylko na następne miesiące i rok, ale na resztę życia. Miałam trzydzieści lat. Czy chciałam żyć w taki sam sposób przez następne trzydzieści lat albo więcej?

Wzięłam do ręki paszport w sztywnej, niepoddającej się dłoni okładce. Powrót do domu nie wymagałby ode mnie żadnego poświęcenia, ale także nie obiecywał żadnych nagród.

Nie chciałam tamtego samotnego życia. Znowu pomyślałam o dziwnym błysku w oczach Aszulaya, kiedy powiedziała mu, że chcę zostać, odnaleźć Etienne'a i pomóc mu w chorobie.

Jak mógł zrozumieć, co czuję?

Podeszłam do okna i popatrzyłam na ogród. Gwiazdy pulsowały na niebie, żywe i gorące, ciemność poza granicą hotelowych latarni pełna była hałasu - okrzyków po arabsku i w innych językach, bicia bębnów na placu i odgłosów domowych zwierząt. Z bliska słyszałam szelest skrzydeł nocnego ptaka, szybkie, „gumowe” uderzenia skrzydeł nietoperza, cichutkie bzyczenie insektów.

Czy miałam posłuchać Aszulaya i wrócić do domu? A może raczej zgodzić się z głosem serca i zostać tutaj, czekając na Etienne'a? Ostatecznie to tylko miesiąc... Miesiąc, zakładając,

366

że Etienne wróci w terminie przewidywanym przez Aszulaya.

Spróbowałam przywołać ciepło uśmiechu Etienne'a i głębię jego ciemnych oczu, ale tym razem okazało się to trudne. Twarz Etienne'a wydawała mi się dziwnie wyblakła, jakby oślepiające słońce Marrakeszu rozrzedziło jej kontury i przemyło ją dobrze nasączoną gąbką.

Przestraszyło mnie to. Nie chciałam myśleć o słowach Manon, nie chciałam rozważać, czy Etienne rzeczywiście jest bardzo słabym człowiekiem i czy zwyczajnie mnie wykorzystał.

Nie chciałam myśleć o Aszulayu i wyzierającej z jego oczu trosce, gdy mówił mi, że powinnam wracać do domu.

Żadne z nich dwojga, ani Manon, ani Aszulay, choć oczywiście z różnych przyczyn, nie chcieli, abym zaczekała na Etienne'a. A przecież musiałam na niego poczekać, prawda? Postanowiłam dowiedzieć, że oboje byli w błędzie, że Etienne jednak mnie kochał i potrzebował mnie tak samo jak ja jego.

Zdecydowałam, że zostanę. W jakiś sposób przezwyciężę wszystkie trudności.

- Inshallah! - szepnęłam w ciepłą i ciemną noc.

Następnego ranka poszłam do monsieur Henriego i poinformowałam go, że zamierzam wyprowadzić się z hotelu de la Palmeraie. Był dość dobrze wychowany, aby powstrzymać westchnienie ulgi, chociaż od dnia, gdy wpuściłam Aszulaya i Badou do swego pokoju, traktował mnie z narastającym chłodem.

- Opuszcza pani Marrakesz, mademoiselle O'Shea?

- Nie - odparłam. - Za parę godzin wrócę i ureguluję rachunek.

-Jak pani sobie życzy, mademoiselle.

Praktycznie nie spałam, aż do wschodu słońca przewracałam się

367

z boku na bok na łóżku. Kiedy pierwsze promienie wdarły się do pokoju, rozejrzałam się po eleganckim pokoju i wyobraziłam sobie następne kilka tygodni w tym samym miejscu. Popołudnia pod palmami na dziedzińcu, wśród innych cudzoziemców, którzy pili za dużo drinków i prowadzili rozmowy o zupełnie nieważnych rzeczach. Poza państwem Russell, którzy i tak wyjechali już z Marrakeszu, nikt nie zdobył się na przyjazny gest i nie zaproponował mi swego towarzystwa.

Pomyślałam o tym, jak potraktowano tu Aszulaya i Badou, gdy przyszli mnie pocieszyć, i o cicho szeptanych plotkach, które słyszałam, gdy po ich wizycie schodziłam na dół.

Nie było mnie stać na dalszy pobyt w tak luksusowym hotelu, ale też zupełnie nie pasowałam do tego miejsca.

Jeżeli miałam czekać w Marrakeszu na powrót Etienne'a, musiałam się wyprowadzić.

Wyszłam na ulicę i zarezerwowałam pokój w małym, skromnym hoteliku daleko od głównej ulicy La Ville Nouvelle, dość zaniedbanym i z pewnością nie bardzo czystym. Miałam dzielić łazienkę z innymi gośćmi, ale na parterze była też mała wspólna kuchnia, co oznaczało, że będę mogła coś sobie ugotować i nie płacić za wszystkie posiłki. Mój nowy hotel nie miał własnego ogrodu, nie wątpiłam jednak, że wytrzymam w nim do czasu powrotu Etienne'a.

Dwa dni po przeprowadzce wróciłam do Le Jardin Majorelle. Byłam zażenowana, że znowu szukam Aszulaya, ale przecież musiałam powiedzieć mu, że nie mieszkam już w hotelu de la Palmeraie. Wiedziałam, że Aszulay przekaże tę informację Etienne'owi, w przeciwieństwie do Manon, na którą w żadnym razie nie mogłam liczyć.

Tym razem spotkałam Aszulaya, gdy zmierzał do wyjścia po skończonej pracy.

368

- Mademoiselle O'Shea! - zawołał.

Nie potrafiłam określić wyrazu jego twarzy, ale zrobiło mi się przyjemnie. Czy Aszulay wyglądał na prawie uradowanego moim nieoczekiwanym pojawieniem się? Jeśli tak, to jego głos nie zdradzał zadowolenia.

- Więc nadal jest pani w Marrakeszu.

-Tak. - Przystanąłam w cieniu, pod grubymi gałęziami nieznanego drzewa i Aszulay zatrzymał się obok mnie. -Zmieniłam hotel i przyszedł ci o tym powiedzieć. Wiem, że przekażesz Etienne'owi, gdzie ma mnie szukać po powrocie. Mieszkam w hotelu Nord Africain na rue...

- Znam ten hotel - przerwał mi.

- Aha, to dobrze... Powiesz mu, kiedy wróci? -Tak.

- A... A jak się czuje Badou? Wszystko z nim w porządku? - spytałam.

Zaskoczyło mnie, że tak często myślałam o chłopcu od naszego ostatniego spotkania.

- Tak, wszystko u niego w porządku - odparł Aszulay. - Byłem wczoraj niedaleko Szaria Zitun i wstąpiłem, żeby go zobaczyć.

Zastanawiałam się, w jaki sposób Manon organizowała dzień, aby jej kochankowie nie wpadali na siebie w jej domu. Mogłam przypuszczać, że miała jeszcze innych mężczyzn poza Aszulayem i „tym Francuzem Olivierem”, tak o nim mówiła.

- Gdzie jest ojciec Badou, monsieur Maliki? - zapytałam nagle i zdziwiłam się, że te słowa wydobyły się z moich ust. - Czy nigdy nie widuje się z synem i nie pomaga w jego wychowaniu?

Aszulay lekko zmarszczył brwi.

- Nie ma „monsieur Maliki” - rzekł.

- Ale... Ale przecież Manon nosi to nazwisko!

369

- Manon to mademoiselle Maliki, nie madame.

- Mademoiselle? - Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że w mojej obecności nikt nigdy nie zwracał się do niej per „madame”.

To tylko ja przyjąłam z góry, że Manon jest mężatką.

-Jak to? Skoro nie jest zamężna, to dlaczego... Dlaczego nie nosi nazwiska Duverger?

Aszulay otarł twarz rękawem. Także i tym razem dostrzegłam smugi ziemi na jego dłoniach i przegubach, i cienką warstewkę czerwonego pyłu na ciemnej skórze.

- Aszulay, nie zadaję tych pytań z ciekawości czy chęci rozgrzebywania tajemnic... Staram się zrozumieć Manon, żeby łatwiej było mi zrozumieć Etienne'a! Manon jest jego siostrą, ale... Wszystko to razem jest jakieś dziwne! Coraz więcej rzeczy wydaje mi się zupełnie bez sensu. Nienawiść Manon do ich ojca, nawet jej złość na Etienne'a... Czy powodem jej gniewu jest tylko to, że po śmierci ojca nie dostała tego, co, jej zdaniem, słusznie jej się należało? Czy dlatego jest taka zgorzkniała i wiecznie niezadowolona?

- Jak to możliwe, że pani tego nie widzi, mademoiselle? -Aszulay sprawiał wrażenie rozdrażnionego moją dociekliwością.

Rozumiałam, że nie powinnam zadawać mu więcej pytań i odejść, ale nie chciałam tego zrobić. Chciałam z nim dalej rozmawiać.

- Naprawdę nie zdaje sobie pani sprawy, jak to naprawdę wygląda?

Ściągnęłam brwi.

- O czym ty mówisz? Aszulay pokręcił głową.

- Na pewno w pani kraju też zdarzają się takie sytuacje, bo wszędzie jest tak samo! Mężczyzna ma żonę, ale ona mu

370

w jakiś sposób nie wystarcza, więc bierze sobie inną kobietę. Rodzą się dzieci... Czekałam.

- Matka Manon, Rachida Maliki, była służącą w domu Marcela Duvergera. Monsieur Duverger i ona...

- Aszulay przerwał na moment. - Byli razem przez dłuższy czas. Manon mówiła mi, że monsieur Duverger przyjechał do Marrakeszu, a potem wrócił do Francji na parę lat przed przejściem władzy przez Francuzów, i Manon urodziła się właśnie w tym pierwszym okresie. Później, gdy Maroko stało się francuską kolonią, doktor Duverger sprowadził tu z Paryża swoją żonę, Etienne'a i Guillaume'a. Zamieszkali na stałe w Marrakeszu, ale Rachida Maliki nadal pracowała w domu doktora.

Aszulay nigdy wcześniej nie mówił tyle w mojej obecności... Uświadomiłam sobie, że wpatruję się w niego, że raz po raz spoglądam na jego usta. Nagle pomyślałam, że ma wrażliwe wargi. Jego doskonała znajomość francuskiego i lekki arabski akcent składały się na szczególny, prawie melodyjny rytm.

Stuknął się palcem w skroń.

- Często żona coś podejrzewa, ale gdyby madame Duverger wiedziała o Rachidzie, nie pozwoliłaby jej zostać na służbie w swoim domu. Madame była zresztą dobra dla Rachidy i nawet dla Manon.

- Znała Manon?

- Kiedy Manon była mała, opiekowała się nią babka, ale później matka często zabierała ją do wielkiego domu, do Duvergerów, żeby pomogła jej w pracy. Manon mówiła mi, że madame Duverger dawała jej drobne prezenty i ubrania, których sama już nie nosiła. Manon wiedziała, kto jest jej ojcem. W Marrakeszu, w medynie, wszyscy wiedzą, kto jest ojcem dziecka. Tutaj to żaden sekret. W dzielnicy francuskiej takie

371

sprawy bywają tajemnicą, ale nie w medynie. Gdy Manon pomagała matce, czasami bawiła się z Etienne'em i Guillaume'em, wiedziała jednak, że nie wolno jej powiedzieć im, że mają tego samego ojca, bo wtedy Rachida straciłaby pracę i rozmaite luksusowe dodatki, które dawał jej monsieur Duverger.

- Więc Etienne... Etienne nic nie wiedział, tak? Wyraz twarzy Aszulaya lekko się zmienił.

- Przez wiele lat nie wiedział, że Manon jest jego siostrą i po prostu uważał ją za córkę służącej. Jednak Manon ma ogromną siłę woli, wielką determinację. Wykształciła się praktycznie sama. Nauczyła się mówić po francusku jak rodowita Francuzka, była - i nadal jest, jak pani widziała - bardzo piękna, bardzo... - Ze zniecierpliwieniem potrząsnął głową i rzucił jakieś arabskie słowo. - Nie mogę przypomnieć sobie właściwego określenia. Chcę powiedzieć, że zawsze potrafiła przyciągać do siebie mężczyzn i budzić w nich pożądanie. Odkąd skończyła piętnaście lat, zawsze miała jakiegoś mężczyznę, który się nią opiekował.

Wiedziałam, jakiego określenia szukał - zmysłowa, pociągająca. Byłam świadkiem, jak flirtowała z Aszulayem i jak bardzo była świadoma swojej władzy nad mężczyznami. Czy Aszulay znał Manon od tak dawna? Czy znał ją już jako piętnastoletnią dziewczynę? Czy kochał ją przez te wszystkie lata?

- Manon nie nadaje się na uległą marokańską żonę, której cała egzystencja ogranicza się do domu, dziedzińca i dachu -podjął Aszulay. - Chciała wyjść za Francuza, mężczyznę, który traktowałby ją jak Francuzkę. I nawiązywała znajomości z Francuzami, miała ich wielu.

Od razu pomyślałam o wychodzącym z jej sypialni Olivierze.

- Tyle że żaden nie chciał się z nią ożenić, bo wszyscy wiedzieli,

372

kim jest: ani w pełni Arabką, ani Europejką. Manon nie jest wyjątkiem, w Maroku żyje dużo takich kobiet, ale większość z nich układa sobie normalne życie. Upadek Manon miał źródło w tym, że była również kobietą, która w pewnym okresie życia zbyt łatwo ulegała własnym pragnieniom i pragnieniom mężczyzn. Nie chciała być ani marokańską żoną, ani chikha, czyli konkubiną, co tutaj jest po prostu zwyczajem.

Tyle pytań, na które nie mogłam znaleźć odpowiedzi. Wszyscy oni razem tworzyli skomplikowaną sieć - Manon, Aszulay, Olivier. I Etienne...

- Manon szukała miłości - ciągnął Aszulay. - Była spragniona miłości, ciągle usiłowała ją schwytać i zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego to, co uważała za miłość, zawsze przeciekało jej między palcami.

Obserwowałam jego twarz. Czy kiedyś prosił Manon, aby za niego wyszła? Czy odrzuciła go, bo był Tuaregiem? Czy mimo to wciąż ją kochał?

- Ale... Kiedy Etienne odkrył, że Manon jest jego siostrą? -spytałam.

Aszulay wyszedł z cienia i popatrzył w słońce.

- Muszę iść - rzekł.

Nie ruszyłam się z miejsca. Pragnęłam, żeby został, ponieważ jego głos i historia, którą opowiadał, bez reszty mnie zafascynowały.

Spojrzał na mnie.

- Zapamiętałam wiadomość, którą mam przekazać Etienne'owi, mademoiselle O'Shea.

- Mam na imię Sidonie - powiedziałam, niepewna, dlaczego to robię.

Skinął głową. Chciałam, żeby wypowiedział moje imię, chciałam usłyszeć, jak brzmi w jego ustach, lecz on odwrócił się i odszedł.

373

Po przeprowadzce do hotelu Nord Africain dalej zdarzało się, że na widok jakiegoś mężczyzny, na przykład siedzącego w jednej z wielu kafejek w dzielnicy francuskiej, serce zaczynało mi mocniej bić, ponieważ brałam go za Etienne'a. Bywało też, że dostrzegałam dostojnie kroczącego ulicą Tuarega w błękitnej szacie i otwierałam usta, aby go zawołać, przekonana, że to Aszulay.

Czasami śniłam o Etiennie; były to niespokojne, nieprzyjemne sny, w których albo on gubił drogę, albo ja nie mogłam do niego dotrzeć. Śniłam, że odnajduję go, ale on mnie nie poznaje, albo oddala się ode mnie, chociaż biegnę za nim ze wszystkich sił. Kiedy indziej śniło mi się, że patrzę w lustro i nie poznaję własnej twarzy, której rysy stają się płynne i nagle się zmieniają.

Budziłam się z tych koszmarów i próbowałam się uspokoić, wspominając pełne miłości chwile, które dzieliliśmy w Albany, lecz coraz trudniej było mi przywołać je z pamięci.

Pewnego ranka, kiedy leżałam w łóżku i słuchałam porannego wezwania do modlitwy, wzięłam z nocnej szafki płytkę, którą Błękitny Człowiek dał mi na piste. Przesunęłam palcami po wyraźnych niebieskich i zielonych wzorach; płytka była przyjemnie gładka i chłodna. W jaki sposób rzemieślnik osiągnął taką głębię koloru?

Pomyślałam o dzikiej pasji, jaką emanowały olejne obrazy Manon, i spróbowałam porównać je z moimi wizerunkami przepięknych kwiatów i roślin o delikatnych kolorach, o ostrożnych, dokładnych pociągnięciach pędzla, jakich wymagało namalowanie głowy ptaka czy skrzydła motyla. Tak, malowałam zachwycające okazy fauny i flory, i starałam się jak najwierniej utrwalac je na papierze, ale czy moje obrazy

374

budziły we mnie jakiegokolwiek uczucia? Jaką część siebie wkładałam w dzieło tworzenia?

Znowu wyobraziłam sobie siebie w moim pokoju w Albany, trzymającą pędzel w ręku i próbującą uchwycić drobny, spokojny w wyrazie kształt. I nagle dotarło do mnie, że te obrazki nie należą już do mojego świata, do tego nowego, wciąż jeszcze niepojętego świata.

Wróciłam myślami do podróży z Mustafą i Azizem, do statków, które widziałam na Atlantyku, do żółtawej linii nieba nad horyzontem pod koniec dnia, do unoszących się nad falami mew. Myślałam o czujnych i wygodniałych psach, siedzących pod stołami rzeźników w wioskach, czekających na codzienne resztki jagnięcego i koziego mięsa, o palmach rosnących po obu stronach głównej ulicy La Ville Nouvelle, bogactwie kwiatów w ogrodach. Zamknęłam oczy i pod powiekami ujrzałam wibrujące marokańskie kolory - barwy tkanin, strojów, płytek, ścian, okiennic, drzwi, furtek i bram. Widziałam kolory prawie oślepiające w swej intensywności i tak delikatne i subtelne, że miałam ochotę wyciągnąć rękę i zamknąć je w dłoni, chociaż były ulotne jak obłoki.

Usiadłam.

Niespodziewanie zapragnęłam namalować to wszystko - statki, niebo, ptaki, i te wolne, jak mowy, i te uwięzione w klatkach kolorowe piękności, które widywałam na targowiskach. Chciałam malować wychudzone koty, mieszkające na ulicach Marrakeszu, a nawet odrąbane kozie głowy, które wzbudziły we mnie tak wielkie obrzydzenie. Chciałam przenieść na papier spokój i samotność mużulmańskiego cmentarza, labirynt suków z pięknie plecionymi koszami i zapierającymi dech w

piersiach wzorami dywanów, połyskujące szlachetne i półszlachetne kamienie, srebrne imbryki i farbowane na wszystkie kolory

375

babouches, bielone wapnem ściany, góry przypraw na Dżemma el Fna i cudowny błękit nieba nad Le Jardin Majorelle.

Nie wiedziałam, czy uda mi się stworzyć te obrazy pędzlem, czułam jednak, że muszę spróbować.

Poszłam do sklepu z materiałami dla malarzy, obok którego często przechodziłam i kupiłam akwarelowe farby, papier, sztalugi oraz pędzle rozmaitej wielkości. Zakupy pochłonęły następną część moich finansowych zasobów, lecz pragnienie malowania było tak silne, że nie byłam w stanie mu się oprzeć.

Wróciłam do hotelu, ustawiłam sztalugi przy oknie i resztę dnia poświęciłam na eksperymentowanie. Wszystkie pędzle idealnie pasowały do mojej dłoni, farby łączyłam pewnie, bez wahania.

Kiedy światło dnia zaczęło słabnąć, a kark i ramiona zupełnie mi zeszywniały, przerwałam i uważnie obejrzałam wszystko, co namalowałam.

Pomyślałam o akwarelach wiszących w holu luksusowego hotelu de la Palmerai i porównałam je z moimi.

W głowie zaświtała mi pewna myśl. Może zbyt śmiała, lecz chyba jednak zasługująca na uwagę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY.

Kilka dni później, usiłując uchwycić wyraz twarzy pewnej Marokanki, odłożyłam pędzel i podeszłam do lustra. Zastoniłam dolną część twarzy jedną z moich Inianych białych chusteczek. Ubrana w haik, z odsłoniętymi tylko ciemnymi oczami i brwiami, w ogóle nie wyróżniałabym się spośród innych kobiet na targowiskach.

Chociaż zdążyłam się już oswoić z Dżemma el Fna oraz kilkoma innymi targami, na terenie medyny nadal czułam się bardzo obco. Kuliłam się pod spojrzeniami tubylców, bałam się grupki dzieci wiecznie domagających się pieniędzy i słodyczy, a także rozwrzeszczanych kupców, próbujących na siłę wcisnąć mi rozmaite towary.

Wyszłam z hotelu, obejrzałam drogie jedwabne kaftany na wystawach sklepów w La Ville Nouvelle, a potem poszłam do medyny i znalazłam suk, gdzie identyczne stroje można było kupić za niewielki ułamek tamtej ceny. Wybrałam najprostszy kaftan, z perkalu w drobne czerwone kwiatki na żółtym tle. Kupiłam też długi i dość szeroki kawałek surowego białego płótna na haik oraz zastonę na twarz.

Po powrocie do hotelu przymierzyłam nowy strój. Długo patrzyłam w lustro, a potem przebrałam się w sukienkę i skończyłam obraz. Następnego dnia, ubrana jak Marokanka, wybrałam się

377

na Dżemma el Fna i niespiesznym krokiem przeszłam przez plac. Wcześniej zawsze śpieszyłam się, unikałam spojrzeń mężczyzn i starałam się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Tym razem było zupełnie inaczej - stałam się niewidzialna, a niewidzialności towarzyszyła swoboda. Nikt na mnie nie patrzył, ani Francuzi, ani Marokańczycy, mogłam chodzić, gdzie chciałam, obserwować ludzi i przysłuchiwać się ich rozmowom. Łatwiej było dowiedzieć się czegoś i zrozumieć różne rzeczy, kiedy wiedziałam, że nie rzucam się w oczy.

Przeszłam obok Mohammeda z jego małą małpką na ramieniu - nawet na mnie nie spojrzął. Przystanąłam, żeby popatrzeć na zaklinaczy węzów i odkryłam, że kiedy słońce jest w zenicie, węże reagują najgwałtowniej. Z daleka przyglądałam się, jak dzieci osaczają dwoje Europejczyków, którzy próbowali ratować się ucieczką, tak samo jak ja kiedyś. Jeden z małych chłopców wydał mi się podobny do Badou i nagle zalała mnie fala tęsknoty za synkiem Manon. Miałam nadzieję, że kiedy Etienne wróci, będę miała szansę zobaczyć jego siostrzeńca. Gdy Manon zrozumie, że Etienne'owi naprawdę na mnie zależy, będzie musiała mnie zaakceptować, pomyślałam. Nie polubi mnie, to pewne, ale będzie zmuszona pogodzić się z moją obecnością.

Pod koniec pierwszego tygodnia pobytu w małym hoteliku wzięłam dwie z moich akwareli i, ubrana w zieloną jedwabną suknię, udałam się do hotelu de la Palmeraie. Gdy monsieur Henri zobaczył mnie, zbliżającą się do biurka, jego rysy stężyły.

- Bonjour, monsieur - odezwałam się. - Jak się pan miewa?

- Doskonale... Doskonale, mademoiselle! Czym mogę pani służyć?

Dyskretnie sprawdził, czy mam ze sobą walizki.

- Chciałabym o czymś porozmawiać...

378

- Nie zamierza pani znowu się u nas zatrzymać?

- Nie. - Uśmiechnęłam się, usiłując zamaskować zdenerwowanie. - Nie, nie zamierzam ponownie zamieszkać w hotelu de la Palmeraie.

Wyjęłam akwarele z opakowania.

- Przyszłam z inną sprawą - ciągnęłam. - Skończyłam niedawno te obrazki i chciałam zapytać, czy nie byłby pan zainteresowany wystawieniem ich na sprzedaż razem z tamtymi, za odpowiedni procent, rzecz jasna.

Monsieur Henri uważnie obejrzał akwarele i podniósł wzrok na mnie.

- Mówi pani, że to pani dzieło, mademoiselle? Kiwnęłam głową.

- Zgodzi się pan chyba, że pasują do tych tutaj, prawda? - Znowu przywołałam na twarz trochę nienaturalny, sztywny uśmiech.

Chciałam sprawiać wrażenie konkretnej i zdecydowanej, nie okazywać nieuzasadnionej nadziei. Wołałam, żeby monsieur Henri nie odgadł, że jestem absolutnie zdesperowana. Jeżeli miałam zostać

w Marrakeszu i czekać na powrót Etienne'a, potrzebowałam pieniędzy, a to był jedyny sposób, w jaki mogłam je zdobyć.

Nie wyśmiał mojej propozycji. Lekko przekrzywił głowę i zmierzył mnie badawczym spojrzeniem.

- Decyzja nie zależy ode mnie - odparł powoli. - Mamy kupca na dzieła sztuki i biżuterię wystawiane w naszym hotelu.

- Jestem pewna, że mógłby pan wpłynąć na niego w odpowiedni sposób. Ktoś taki jak pan, z tak dobrym gustem...

Przełknęłam ślinę. Komplement najwyraźniej mu się spodobał, bo jego rysy rozluźnił uśmiech.

- Zobaczę, co uda mi się zrobić - rzekł. - Ostatnio sprzedaliśmy

379

parę obrazków, więc może odbiorcę zainteresowałby nowy twórca.

Fala ulgi, która mnie ogarnęła, była tak wielka, że minęła długa chwila, zanim zdobyłam się na odpowiedź. Nic nie było pewne, nie miałam żadnej gwarancji, że się uda, ale przynajmniej monsieur Henri nie odrzucił mojej oferty.

- Świetnie! - powiedziałam, starając się nie okazywać nadmiernego entuzjazmu. - Zostawię więc panu moje akwarele i za parę dni zajrzę, żeby się dowiedzieć, czy hotel zechce je przyjąć. Mam ich więcej, gdyby się spodobały. Skończyłam jeszcze dwa obrazki, a trzeci zaczęłam malować tego ranka.

- Dziękuję, mademoiselle... - Monsieur Henri lekko skłonił głowę.

Wyprostowałam się i posłałam mu szczerzy, pełen wdzięczności uśmiech. Wychodząc z holu, przypomniałam sobie jego słowa. „Nowy twórca”, powiedział... Ruszyłam przed siebie pewnym, rześkim krokiem, a gdy jakiś starszy mężczyzna spojrzał na mnie i uprzejmie uchylił kapelusza, uświadomiłam sobie, że nadal się uśmiecham.

Parę dni później byłam na targu ze srebrnymi wyrobami i oglądałam pierścionek, prosto oszlifowany topaz w delikatnej srebrnej oprawie. Rano byłam w hotelu de la Palmeraie i monsieur Henri poinformował mnie, że człowiekowi odpowiedzialnemu za przyjmowanie do hotelu przedmiotów artystycznych na sprzedaż przypadły do gustu moje akwarele. Postanowił przyjąć dwie, a jeśli spotkają się z zainteresowaniem, chciałby zamówić więcej.

Trzymałam pierścionek w wyciągniętej dłoni i podziwiałam grę światła na maleńkich oszlifowanych płaszczyznach, zastanawiając się, jak mogłabym połączyć kolory, aby oddać ten odcień. Oddawałam właśnie pierścionek właścicielowi

380

straganu, gdy usłyszałam znajomy głos. Odwróciłam się. Była to Falida. Na głowie miała dużą, spraną płócienną chustkę, na jej ramieniu wisiał pleciony kosz, a za rękę trzymała Badou.

Serce podskoczyło mi radośnie.

- Badou! - zawołałam.

Chłopiec rozejrzał się dookoła i dopiero wtedy zrozumiałam, że mnie nie poznał. Opuściłam brzeg mojego haik i powtórzyłam jego imię. Patrzył na mnie przez chwilę, a potem uwolnił rękę z uścisku Falidy, podbiegł do mnie i otoczył ramionami moje nogi. Ukłękłam i objęłam go. Wydał mi się bardzo chudziutki. Zbyt długie włosy wpadały mu do oczu i ciągle musiał odrzucać je do tyłu.

- Tak dawno cię nie widziałem, mademoiselle Sidonie! - powiedział, odsuwając się lekko i patrząc na mnie. - Wyglądasz jak zupełnie inna kobieta!

- Tęskniłam za tobą. - Uśmiechnęłam się.

Falida podeszła do nas. Na kości policzkowej miała ciemno fioletowy siniak, miejscami już żółknący. Serce ścisnęło mi się ze współczucia. Badou był niedożywiony i brudny, ale nic nie wskazywało, żeby Manon go biła. Przynajmniej na razie, pomyślałam.

- Robisz zakupy, Falida? - zagadnęłam. Potrząsnęła głową i lekko ściągnęła brwi.

- Dokąd się wybieracie?

Nie odpowiedziała, wzięła Badou za rękę.

- Zaczekajcie! - powiedziałam, kiedy zaczęli się oddalać. - Pójdę z wami!

Szli w kierunku przeciwnym do Szaria Zitun. Zaskoczyło mnie, jak wielką przyjemność sprawiło mi spotkanie kogoś znajomego w tym mieście pełnym obcych ludzi, nawet jeżeli znajomymi było tylko dwoje dzieci.

381

Falida wzruszyła ramionami, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że jest jej wszystko jedno, czy będę im towarzyszyć, czy nie. Szliśmy wąskimi alejkami, których jeszcze nie odkryłam. Po pewnym czasie dziewczyna pchnęła uchyloną furtkę. Musiałam się schylić, żeby przejść pod niskim kamiennym sklepieniem, a kiedy wyprostowałam się, zauważyłam, że jesteśmy poza granicami medyny. Za niskim, rozsypującym się murem rozciągał się marokański cmentarz. Na murze wisiała zniszczona tablica z napisem po arabsku i francusku: „Interdit aux non Muskmans”, „Osobom wyznania niemuzułmańskiego wstęp wzbroniony”.

Przystanąłam, lecz Falida wdrapała się na mur i wyciągnęła rękę, aby pomóc Badou przedostać się na drugą stronę. Poszli w głąb cmentarza między wzgórkami grobów. Nigdzie nie było drzew, kwiatów ani nagrobków, tylko kilka miejsc pochówku wyglądających na stosunkowo świeże miało przekrzywione tablice w głowach i u stóp. Wszędzie wałały się śmieci. Było to ponure, zaniedbane miejsce.

- Zaczekajcie! - zawołałam znowu i przesłam za nimi przez mur.

Nie podobało mi się, że Badou został tu przyprowadzony w niewiadomym celu.

Falida rozglądała się za czymś, przystawała przy grobach i przyglądała im się z bliska. Szłam za nimi, nie rozumiejąc, czego dziewczyna szuka. Badou nie odzywał się i mocno trzymał ją za rękę.

Nagle, przy jednym z płytszych grobów, Falida postawiła koszyk na ziemi, wyswobodziła dłoń z uścisku Badou i przykucnęła. Chłopiec przysunął się do mnie, a ja, wiedzona instynktem, wyciągnęłam dłoń spośród fałd białej tuniki i podałam mu ją, cały czas obserwując poczynania dziewczyny.

Kiedy zrozumiałam, co Falida robi, ogarnęło mnie przerażenie.

382

Na tym grobie ziemia była jeszcze luźna i służąca Manon zaczęła rozkopywać ją obiema rękami.

- Falida - odezwałam się, lecz ona nie zareagowała.

Odgarnęła jeszcze jedną warstwę ziemi, spod której wyrzały fragmenty gnijącego muślinowego całunu. Szybko odwróciłam Badou twarzą do siebie i przytrzymałam go za ramiona.

- Falida! - powiedziałam ostrzej. Przystała kopać i podniosła wzrok.

- Co ty robisz?

- Muszę przynieść mojej pani...

- Co musisz przynieść?

- Czego potrzebuje...

- Czego może potrzebować z cmentarza?!

Falida zanurzyła ręce w ziemi i zaczęła szukać czegoś, macając dookoła. Grudy ziemi przesunęły się i zobaczyłam zarys czaszki, osłoniętej muślinem i spoczywającej na boku. Przełknęłam ślinę i mocniej wtuliłam twarz Badou w swoją tunikę. Chciałam powstrzymać Falidę, która poruszała rękami ostrożnie, lecz celowo i ze zrozumieniem tego, co robi. Rozdarła stary całun, rozchyliła go palcami i, ku memu przerażeniu, wyciągnęła na wierzch zbiełałą, kruchą kość.

- Tylko ze starego grobu! - oznajmiła, podnosząc ją z uśmiechem. - Upał wypieka kości.

Włożyła okrągłąwą kość do koszyka. -Jeszcze jedna... - wymamrotała, znowu zagłębiając dłonie w ziemi.

- Czy złapie nas Aisha Quandisha? - spytał Badou, nie wychylając buzi z fałd haik.

Drżał na całym ciele. Dlaczego Falida przyprowadziła go w to okropne miejsce, dlaczego kazała mu obserwować swoje straszne praktyki? Czy Manon wiedziała, co Falida robi z jej synkiem, czy pozwalała jej na to?

383

- Nie złapie nas, jeśli będziesz grzecznym chłopcem! - odparła dziewczyna, ale pośpiesznie rozejrzała się dookoła rozszerzonymi ze strachu oczami.

Przyszło mi do głowy, że osoba, o której mówił Badou, to pewnie stróż cmentarza.

- Gdzie on jest, ten Aisha? - zagadnęłam.

- To ona. Kobieta, ale z nogami wielbłąda... Zły demon! Z oczami jak... - Falida przerwała. - Jak ogień! Przychodzi na groby w nocy i łapie ludzi. Lubi ludzi.

- Zabieram Badou do domu! - rzuciłam, nie mogąc dłużej znieść jego drżenia.

Chwytiłam Badou za rękę, ale kiedy zrobiłam krok nad wąskim grobem, Falida krzyknęła przeraźliwie. Zamarłam, z nogą uniesioną w powietrzu.

- Nie, nie, madame! - zachrypiała dziewczyna. - Nie robić kroku!

Postawiłam stopę na ziemi.

- Zrobi pani krok nad grobem i nie będzie miała dzieci - ostrzegła mnie i dla podkreślenia wagi problemu poklepała się po brzuchu.

Popatrzyłam na jej mizerną, posiniaczoną twarz.

Etienne i tak nie dopuści, żebyśmy mieli dzieci, pomyślałam. Dlaczego ta myśl pojawiła się w mojej głowie dopiero w tej chwili? Pewnie dlatego, że cała moja uwaga skupiona była wyłącznie na planach związanych z Etienne'em, jego chorobą i opieką nad nim. Teraz, na tym ponurym cmentarzu, Falida uzmysłowiła mi, że nigdy nie będę matką. Nigdy nie wezmę w ramiona własnego dziecka, nie będę patrzyła, jak dorasta i z każdym dniem zdobywa nowe doświadczenia. Zanim poznałam Etienne'a i zaszłam w ciążę, akceptowałam życie bez męża i dzieci jako wyrok losu i nie poddawałam się tęsknocie i pragnieniu, ale teraz dane mi było posmakować

384

macierzyństwa i chociaż trwało to tak krótko, trudno było mi odrzucić marzenia.

Stojąc nad rozkopanym grobem, patrzyłam na Falidę, która znowu zabrała się do kopania. Drobne palce Badou ciasno owinięły się wokół moich. Dłoń chłopca była wilgotna od potu.

Razem obeszliliśmy grób dookoła.

W tym momencie Falida wydała radosny okrzyk.

- Mam! - Uniosła w górę ząb z długim, rozdzielającym się na dwoje korzeniem.

Zrobiło mi się niedobrze.

- Ząb najlepszy! - wyznała Falida z zadowoleniem. - Teraz moja pani będzie ze mnie zadowolona!

Wróciliśmy do Szaria Zitun. Przystanęliśmy na chwilę w alejce stolarzy, gdzie kupiłam Badou małą drewnianą łódkę, żeby oderwać jego myśli od rzeczy, które dopiero co widział. Sama byłam przestraszona i wstrząśnięta, a cóż dopiero on, sześciolatek chłopiec.

Kiedy weszłam przez szafranową bramę razem z Falidą i Badou, Manon zerwała się z szezlonga z otwartymi ze zdziwienia ustami. Był z nią ten Francuz, Olivier, w płóciennych spodniach, ale bez marynarki, w białej koszuli z rękawami podwiniętymi do łokcia. Oboje zaciągali się dymem z sheesha,

na niskim stoliku stała otwarta butelka koniaku i dwie szklaneczki. Manon jak zwykle miała na sobie przepiękny kaftan z przezroczystą tuniką djina na wierzchu, jej włosy były starannie uczesane, makijaż perfekcyjnie nałożony.

Spod gniewnie ściągniętych brwi ogarnęła spojrzeniem moją tunikę, kiedy zatrzymałam się z ręką opartą na klamce furtki.

- Dlaczego jeszcze tu jesteś? - zapytała szorstko. - Co robisz w Marrakeszu?

385

Nie odpowiedziałam. Falida podała jej koszyk.

- Rzepka i ząb, pani - pochwaliła się. - Dobrze? - zagadnęła z nadzieją w głosie.

- Zanieś to do domu! - poleciła pośpiesznie Manon i niespokojnie zerknęła na mężczyznę.

Francuz podniósł się i wziął marynarkę.

- Nie musisz chyba jeszcze iść? - Manon położyła smukłą dłoń na jego ramieniu.

- Dzieci już wróciły... - Zaczął zapinać mankiety koszuli. - Poza tym masz gościa! - Wykonał krótki ruch brodą w moim kierunku.

- To nie jest żaden gość! - oburzyła się Manon. - A dzieci mogą zaraz gdzieś wysłać! Obiecuj, że zostaniesz jeszcze trochę, Olivier...

Ale Francuz potrząsnął głową. - I tak muszę już wracać do pracy!

- Kiedy znowu przyjdiesz, mon cher?

- Za tydzień, jak zwykle - odrzekł.

Odsunęłam się na bok, żeby mógł przejść. Manon ruszyła za nim i wsunęła rękę w jego dłoń.

- Dokończymy naszą rozmowę następnym razem, oui? -upewniła się.

Przystanął, popatrzył na nią i wierzchem dłoni lekko pogłaskał ją po policzku.

- Tak - odrzekł, z cieniem uśmiechu w kącikach ust. - Tak. Kiedy brama zamknęła się za Francuzem, Manon odwróciła się do mnie ze złością.

- Po co przyszłaś?! Przerwałaś nam ważną rozmowę! Nie ma żadnego powodu, żebyś tu nadal była. Tu, w moim domu i w ogóle w Marrakeszu! Tracisz tylko czas! - prychnęła. -

386

Allez! Idź sobie! Nie życzę sobie, żebyś tu przychodziła! Nie mamy sobie już nic do powiedzenia!

Badou przesunął nową łódką po ocembrowaniu fontanny, ale obserwował nas spod oka. Zauważyłam, że martwy ptak wciąż leży w baseniku fontanny, teraz już zupełnie zgniły, z wyjedzonymi oczami i spłaszczonym korpusem.

Manon odwróciła się na pięcie i weszła do domu, furkocząc kaftanem i tuniką.

Wyszłam na ulicę. Czego właściwie spodziewałam się, kiedy przyszłam do Szaria Zitun z Badou i Falidą?

Z drugiej strony ulicy dobiegały głośne pokrzykiwania -czterech chłopców grało w piłkę, kopiąc ją o ścianę. Badou wyszedł za mną, z łódką w ręku. Staął obok mnie i razem patrzyliśmy na chłopców. Dwóch było większych od Badou, jeden mniej więcej tego samego wzrostu i jeden nieco niższy. Ten ostatni trzymał się z tyłu, tylko od czasu do czasu próbując kopnąć piłkę.

- To twoi koledzy? - zagadnęłam. Badou spojrzał na mnie i potrząsnął głową.

- Znam tylko Alego. Ma sześć lat, tak jak ja... Mieszka tam. - Wskazał palcem bramę naprzeciwko.

- Może zagrasz z nimi, co?

- Maman mi nie pozwala, mówi, że to tylko zwyczajni Arabowie - wyjaśnił, nie odrywając wzroku od chłopców.

Przygryzłam dolną wargę.

- Maman mówi, że zamiast się z nimi bawić, powinienem raczej jej pomagać, bo syn zawsze musi pomagać matce.

Pomyślałam, że przecież spędza całe dni w domu i na dziedzińcu, pomagając Falidzie i spełniając polecenia matki. Nigdy nie widziałam go z innym dzieckiem z Szaria Zitun, nie widziałam też w jego rękach żadnych zabawek. Synek Manon

387

bawił się kawałkami sznurka i patykami, a teraz łódką, którą mu kupiłam. No i czasami Ali pozwalał mu pobawić się ze swoim rudym szczeniakiem.

- Ja jestem tym synem, który musi pomagać matce - wytłumaczył mi poważnie. - Przyjdiesz jeszcze do nas, mademoiselle Sidonie?

- Nie wiem. Może... Może kiedy wróci twój wujek Etienne, zobaczymy. Wiesz może, kiedy on ma wrócić? Albo czy był już u twojej mamy?

Starłam się nadać głosowi beztroskie brzmienie, ale wgłębi duszy wstydziłam się, że wypytuję dziecko. Może Etienne już tu był, lecz Aszulay nie wiedział o tym, pomyślałam.

- Nie - odparł Badou. - Muszę już wracać, bo mama będzie się gniewać.

- Dobrze, Badou.

Schyliłam się i mocno go uściskałam. Odpowiedział w ten sam sposób, zarzucając mi szczupłe ramionka na szyję.

Teraz codziennie nosiłam kaftany, haik i zasłonę na twarz i często wyprawiałam się na zakupy z płócienną torbą. Świeżymi oczyma obserwowałam cudzoziemki w dzielnicy francuskiej, popijające

drinki w kafejkach i palące papierosy. Przyglądałam im się na Dżemma el Fna, kiedy targowały cenę dywanów i imbryczków, najczęściej całkowicie ignorując żebraków, którzy wyciągali otwarte dłonie i domagali się jałmużny.

Zdałam sobie sprawę, jak bezbronne wydają się te kobiety - każdy może zajrzeć im w twarz i podejrzeć, co czują i myślą, ich ciała są aż nadto widoczne pod dopasowanymi strojami, ramiona i nogi odkryte tak dalece, że sprawiają wrażenie prawie nagich.

Chociaż w rzeczywistości minęło zaledwie parę tygodni, wydawało mi się, że bardzo dawno temu byłam jedną z nich,

388

wydaną na pastwę ludzkich spojrzeń i skazaną na pozorne bezpieczeństwo europejskiej enklawy. Nagle stało się dla mnie ważne, aby nie myśleć o sobie jako o jednej z tych kobiet, pochłoniętych wyłącznie własnymi pragnieniami.

Dokładnie miesiąc po tym, jak Aszulay powiedział mi, że Etienne może wróci do Marrakeszu, wczesnym rankiem przeliczyłam pieniądze. Gdybym żywiła się bardzo skromnie, mogłabym zostać tu jeszcze jakieś dwa tygodnie. Nie miałam już żadnych oszczędności. Żaden z moich obrazków nie został sprzedany - co parę dni zaglądałam do hotelu de la Palmeraie, żeby sprawdzić. Namalowałam następane trzy, a potem zabrakło mi papieru i farb.

Jednak Etienne mógł przyjechać lada dzień. Wtedy wszystko będzie dobrze, powtarzałam sobie.

Tego ranka jak zwykle podeszłam do podniszczonej lady w recepcji i zapytałam, czy nie ma dla mnie żadnych wiadomości. Mężczyzna, który najczęściej tam pracował (w sumie było ich trzech czy czterech), spojrzał na znajdujące się za jego plecami skrzynki na korespondencję i potrząsnął głową.

- Nie dzisiaj - odparł jak zazwyczaj.

- Dziękuję...

Już miałam odejść, gdy recepcjonista zatrzymał mnie ruchem ręki.

- Mademoiselle... - odezwał się, a jego policzki lekko poczerwieniały. - Wiem, że jest pani Amerykanką, ale inni goście... - przerwał. - Parę osób powiedziało mi, że zatrzymują się tutaj, ponieważ jest to hotel dla przyjeżdżających do Marrakeszu gości z Francji, Niemiec, Hiszpanii i Wielkiej Brytanii... I z Ameryki, tak jak pani.

Czekałam.

Na czoło mężczyzny wypełzły drobne krople potu.

- Bardzo panią przepraszam, mademoiselle, ale... Nie

389

powinna pani ubierać się jak muzułmanka, dopóki pani tu mieszka. To niepokoi innych gości! Niektórzy już się skarżyli, rozumie pani. Jeżeli nadal będzie się pani tak ubierać, będę zmuszony poprosić panią, aby się pani wyprowadziła.

- Rozumiem - odparłam.

Odwróciłam się i wyszłam prosto w gorące słońce.

I natychmiast zobaczyłam Aszulaya, który stał na ulicy przed hotelem w błękitnej szacie, z dolną częścią twarzy zasłoniętą końcem turbanu. Patrzył na coś w dole ulicy, więc zwrócony był do mnie profilem. Wzięłam głęboki oddech i ruszyłam w jego kierunku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY.

Podeszłam. Brakowało mi tchu, pewnie dlatego, że jego pojawienie się oznaczało wiadomości o Etiennie.

Usłyszał moje kroki i spojrzał na mnie, ale zaraz się odwrócił. Powiedziałam głośno jego imię i dopiero wtedy popatrzył na mnie jeszcze raz i rzucił coś po arabsku, z pytającą intonacją.

Gdy zsunęłam zasłonę z nosa i ust, cofnął się odrobinę, wyraźnie zaskoczony.

- Mademoiselle O'Shea - odezwał się stłumionym głosem. - Ale dlaczego...

- Masz dla mnie jakieś wiadomości? Wiesz coś o Etiennie? Przyjechał?

- Manon dostała list - powiedział, podobnie jak ja odsłaniając dół twarzy.

Zdążyłam już zapomnieć, że ma tak olśniewająco białe zęby. Jego skóra jeszcze pociemniała na skutek pracy w pełnym słońcu, a oczy wydawały się jeszcze bardziej błękitne.

Przysunęłam się bliżej.

- List od Etienne'a? Kiwnął głową.

- Przyszedł wczoraj...

391

Czekałam chwilę, ale z wyrazu jego twarzy odgadłam, co miał mi do powiedzenia.

- Przykro mi... Napisał, że nie może przyjechać w tym tygodniu. Może za parę tygodni, za miesiąc.

Z trudem przełknęłam ślinę. Parę tygodni, miesiąc... Nie mogłam zostać tak długo, nie miałam pieniędzy.

- Ale w takim razie - zaczęłam, ponieważ nagle przyszło mi do głowy pewne rozwiązanie. - Ze stempla może da się odczytać, w jakim jest mieście, zresztą chyba podał Manon adres, żeby mogła się z nim skontaktować. - Podniosłam na niego wzrok. - Wystarczy sprawdzić! Mogłabym do niego pojechać, wszystko jedno, gdzie jest! Nie muszę czekać na niego tutaj!

Aszulay obserwował mnie w milczeniu.

- Napisał, gdzie jest? Czy na kopercie...

- Nie pokazała mi listu, Sidonie. Powiedziała tylko, że na razie nie przyjedzie, dopiero za parę tygodni albo miesiąc.

- Więc pójdę do niej i zapytam! Albo nie, ty idź, tobie powie na pewno!

Potrząsnęła głową.

- Nie ma jej tu teraz - oświadczył.

Nagle powietrze wydało mi się zbyt duszne i gorące, a biały dysk słońca zupełnie mnie oślepił.

- Nie ma jej tutaj? - powtórzyłam. - Jak to?

- Wyjechała na wakacje. Na tydzień, może dwa, ze swoim... - przerwał na moment. - Ze swoim przyjacielem.

Nie miałam cienia wątpliwości, że Manon wyjechała z tym Francuzem, Olivierem. Aszulay też musiał o tym wiedzieć.

- Zabrała ze sobą Badou? - Utkwiłam wzrok w płycie w murze za jego plecami, ponieważ nie mogłam się zmusić, by patrzeć mu w oczy.

- Nie. Zostawiła go z Falidą.

392

- Przecież to jeszcze mała dziewczynka! - zawołałam. - Oboje są dziećmi.

- Falida ma jedenaście lat, za dwa czy trzy lata może już wyjść za mąż - odrzekł. - Będę zaglądał do nich co parę dni. Przyniosę im coś do jedzenia i dowiem się, czy wszystko u nich w porządku.

Skinęłam głowę i zasłoniłam twarz, żeby ochronić ją przed promieniami słońca. Nie dość, że wyjechała z innym, to jeszcze oczekiwała od Aszulaya, że zajmie się jej dzieckiem. Czy ta kobieta w ogóle nie miała sumienia? A co z Aszulayem? Może on nie był dość silny i zdecydowany?

Spojrzałam na niego. Znałam go jako prawego, pełnego godności człowieka. Jak mógł pozwolić, aby Manon tak bezwzględnie go wykorzystywała? Jak mógł trwać w związku z nią, skoro okazywała mu tak mało szacunku? Nie zasługiwał na takie traktowanie!

- Więc będziesz dalej czekała? - zagadnął dziwnym głosem. - Zostaniesz w Marrakeszu i będziesz czekała na niego, na Etienne'a, niezależnie, jak długo to potrwa?

Przełknęłam ślinę.

-Ja... - przerwałam, zbyt skrępowana, aby powiedzieć mu, że naprawdę nie wiem, skąd wezmę pieniądze na dalszy pobyt.-Tak...

-Wydaje mi się... Chyba nie powinnaś dłużej czekać, Sidonie! Może przyszedł czas, żebyś wróciła do swojego życia.

- Mojego życia?

Nadal nic nie rozumiał, ale przecież nie należało się temu dziwić. Skąd miał wiedzieć, że w Albany nie czeka na mnie żadne życie? Nagle rozgniewałam się na niego, przede wszystkim za to, że powiedział, iż nie powinnam dłużej czekać. Byłam wściekła na Manon, która celowo utrudniała mi odszukanie Etienne'a, a jeszcze bardziej byłam zła na samego Etienne'a.

393

Byłam spocona, zmęczona i głodna; od poprzedniego dnia nic nie jadłam.

- Ale ty możesz czekać, tak? - zapytałam zaczepnie i głośno.

Patrzyłam mu teraz prosto w oczy. Lekko potrząsnął głową.

- Czekać na co?

- Raczej na kogo! Na nią, na Manon! - W moim głosie zabrzmiała zjadliwa nuta. - Będziesz na nią czekał i spełniał jej rozkazy, podczas gdy ona pojechała gdzieś z innym mężczyzną?

Wzruszył ramionami.

- Tu chodzi o dziecko - odparł, chyba z pewnym zdziwieniem.

Nie usatysfakcjonowało mnie to.

- Wiem, że uważasz mnie za idiotkę, bo liczę, że Etienne do mnie wróci! - rzuciłam. - No, nie krępuj się, powiedz, co o mnie myślisz! Ja ze swej strony powiem ci, że mam cię za głupca, bo czekasz na Manon! Przecież ona tylko cię wykorzystuje! Jak możesz pozwalać, żeby tak cię traktowała?

Wcale nie chciałam mówić tego wszystkiego... Aszulay od początku był dla mnie dobry i wyrozumiały, więc co się ze mną działo? Dlaczego wtykałam nos w nie swoje sprawy, dlaczego wtrącałam się w jego związek z Manon?

Aszulay obrzucił mnie chłodnym spojrzeniem i lekko poruszył nosem.

- A jak ty możesz pozwalać, żeby Etienne tak cię traktował?

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Słowa Aszulaya ukłuły mnie do żywego. Jak możesz pozwalać, żeby Etienne tak cię traktował"... Nagle poczułam, że nie jestem w stanie dłużej na niego patrzeć i spuściłam głowę, jakbym chciała ukryć twarz

394

przed słońcem. Próbowałam go zawstydzić, tymczasem to on zawstydził mnie... Zobaczyłam siebie taką, jaką widział mnie Aszulay, w nieskończoność czekającą na mężczyznę, który... Zakręciło mi się w głowie. Słońce świeciło za mocno, w jego ostrym blasku wszystko było zbyt przejrzyste, zbyt jasne i oczywiste.

- Przepraszam... - powiedziałam, nie unosząc głowy. -Nie mam prawa cię pouczać, mówić ci, co masz robić! Przepraszam - powtórzyłam. -Jestem... Jestem trochę zdenerwowana. To ciągłe czekanie. Na dodatek teraz...

- Rozumiem - rzekł cicho.

Obrzuciłam go szybkim spojrzeniem. Naprawdę rozumiał? Jego głos brzmiał nieco oficjalnie.

-Jest coś jeszcze... - Zdawałam sobie sprawę, że zaraz odejdzie i nie wiadomo kiedy znowu go zobaczę.

Teraz dotarło do mnie, że jeśli chcę zostać w Marrakeszu, muszę znowu zmienić miejsce pobytu.

-Tak?

- Muszę znaleźć jakieś mieszkanie. Nie chcę dłużej mieszkać w hotelu! Pomyślałam, że może... Czy mógłbyś mi pomóc?

- Hotele w La Ville Nouvelle przeznaczone są dla cudzoziemców, dla ludzi takich jak ty - odrzekł. - Dlaczego nie chcesz tam dłużej mieszkać?

- Przestało mi to odpowiadać.

- Przestało ci to odpowiadać?

-W hotelu nie mogę nosić tego stroju, innym gościom i obsłudze wcale się to nie podoba. - Nie chciałam mówić mu, jak mało pieniędzy mi zostało.

- Ale przecież... W takim razie noś amerykańskie stroje! Dlaczego zaczęłaś się tak ubierać?

- Dzięki temu mogę swobodniej poruszać się po mieście! Aszulay pokręcił głową.

395

- Nie rozumiem. Na czym miałyby polegać moja pomoc? Było mi strasznie trudno ukrywać przed nim, jak naprawdę wygląda moja sytuacja.

- Chodzi o to, że nie stać mnie już na pobyt w jakimkolwiek hotelu we francuskiej dzielnicy - wyznałam w końcu. - Może jest jakieś inne rozwiązanie, może znasz jakieś inne, niedrogie miejsce. W murach medyny...

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

- Medyna to nie miejsce dla ciebie, tam mieszkają wyłącznie Marokańcy! Powinnaś przebywać wśród ludzi takich jak ty!

- Podoba mi się medyna - odparłam bez zastanowienia.

I natychmiast zrozumiałam, że mówię prawdę. Odkąd zaczęłam ubierać się jak miejscowe kobiety, dzięki czemu mogłam wtopić się w tłum, w medynie czułam się tak ożywiona i ciekawa świata jak nigdy wcześniej.

- W medynie nie ma hoteli - powiedział Aszulay. - Kiedy Marokańczycy z innych miejscowości przyjeżdżają do Marrakeszu, zatrzymują się u rodziny albo przyjaciół.

- Potrzebny mi tylko pokój! Jeden niewielki pokój, Aszulay!

- To niemożliwe. - Znowu potrząsnął głową.

- Niemożliwe? Jeden pokój? Staralabym się nikomu nie przeszkadzać, nie...

- Trzeba znać i rozumieć panujące tu zwyczaje! Kobieta, Nazarejka, samotna, w muzułmańskim domu, to wysoce niewłaściwe!

Nazarejka... Nazarejka, czyli chrześcijanka - tak Marokańczycy mówili o cudzoziemkach. Słyszałam już to określenie na sukach, ponieważ coraz więcej rozumiałam po arabsku.

Nie przyszło mi do głowy, że moja obecność mogłaby spowodować kłopoty w domu na terenie medyny.

396

- Inaczej nie będę mogła dłużej zostać w Maroku! I cały ten wysiłek, moja podróż tutaj i wszystko to razem, pójdzie na marne. Jestem już tak blisko, Aszulay! Wiem, że twoim zdaniem nie powinnam dłużej czekać, ale...

Staliśmy na środku ulicy, przed wejściem do hotelu. Ludzie omijali nas, nie zwracając najmniejszej uwagi na naszą obecność.

- Proszę - odezwałam się po chwili milczenia. - Nie mogę wrócić do domu, nie teraz! Jeszcze nie teraz! Spróbuj zrozumieć, jakie to dla mnie ważne. Czy ty nigdy...

Ugryzłam się w język. Chciałam zapytać, czy nigdy nie kochał tak mocno, że był gotowy zrobić wszystko dla tej osoby, ale uświadomiłam sobie, że byłoby to zbyt osobiste pytanie. Co właściwie wiedziałam o tym człowieku i jego uczuciach?

- Zobaczę, co da się zrobić, Sidonie - rzekł, wyglądał jednak na poważnie zatroskanego.

- Dziękuję! - Poczułam ogromną ulgę i impulsywnie dotknęłam wierzchu jego dłoni, pragnąc okazać mu swoją wdzięczność.

Popatrzył na swoją rękę i ja także spuściłam wzrok - moje palce wydawały się bardzo drobne na jego dłoni. Cofnęłam je pośpiesznie i wtedy Aszulay spojrział mi w oczy.

Szczerze żałowałam, że okazałam się tak śmiała. Było oczywiste, że wprawiłam Aszulaya w zażenowanie. Dopiero później przypomniałam sobie, że mówił mi po imieniu.

Dwa dni później Aszulay zaprowadził mnie do domu w Szaria Sura, którego gospodarz, mężczyzna z uschniętym ramieniem i wysoko podwiniętym rękawem dzellaby, bynajmniej nie wyglądał na

zachwyconego. Aszulay uprzedził mnie, że to jeszcze nic pewnego, ale ten człowiek, jego przyjaciel, może pozwoli mi zatrzymać się u siebie na krótki czas.

397

Był wczesny wieczór i staliśmy na dziedzińcu, ja z twarzą zastoniętą aż po oczy. Mężczyzna przyglądał mi się uważnie. Natychmiast utkwiłam wzrok w ziemi, świadoma, że nie mogę wydać mu się zbyt śmiała. Kiedy podniosłam głowę, przyjaciel Aszulaya potrząsał głową.

Aszulay powiedział coś do niego, tamten znowu zaprotestował. Chwilę spierali się cicho po arabsku. Uświadomiłam sobie, że targują się o cenę, jak na suku, tyle że tym razem wycena dotyczyła mnie.

Ton Aszulaya pozostał taki sam, spokojny i zdecydowany, i w końcu mężczyzna wyrzucił rękę w górę w geście pozorowanej rezygnacji. Aszulay podał mi tygodniową cenę za pokój i posiłki; był to maleńki ułamek sumy, którą płaciłam za jedną noc w tańszym hotelu. Gdy skinęłam głową, Aszulay chwycił walizki i wniósł je do domu. Sama niosłam w jednej ręce pleciony kosz z materiałami do malowania, a w drugiej sztalugi.

Szłam za Aszulayem. Po jasnym dziedzińcu wąski korytarz, w którym się znaleźliśmy, wydał mi się prawie zupełnie ciemny i przez moment czułam się jak jeden ze ślepców z Dżemmal el Fna. Weszłam po schodach za Aszulayem, ze wzrokiem wbitym w jego pięty w żółtych babouches. Schody były wąziutkie i strome, i prawa noga szybko rozboleła mnie od wysiłku, jakim było unoszenie jej wysoko na każdy stopień. Gdy dotarliśmy na górę, duży szary kot wyrósł przed nami jak spod ziemi i błyskawicznie zbiegł na parter.

Aszulay otworzył jakieś drzwi i postawił walizki na środku pokoju. Odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Odpowiada ci to? - zapytał.

Kiwnęłam głową. Nie miałam nawet czasu rozejrzeć się dookoła, wiedziałam jednak, że to jedyne wyjście. Powietrze w pokoju pachniało czymś przyjemnym, podobnym do świeżego drewna.

398

- Tak... Tak, jak najbardziej, Aszulay! Dziękuję!

- W domu mieszkają dwie żony. Podadzą ci herbatę i chleb rano, i ciepły posiłek koło południa i wieczorem. Na dole, obok kuchni, jest łazienka.

Znowu kiwnęłam głową.

- Musisz jednak pamiętać, że nie możesz poruszać się tu tak swobodnie jak w hotelu, ani wychodzić z domu bez męskiej eskorty. Mój przyjaciel wie, że nie jesteś mużłanką, ale jeśli chcesz tu mieszkać, musisz zachowywać się jak Marokanka, w przeciwnym razie przyprawisz go o utratę twarzy. Ma dwóch synów i jeden z nich będzie ci towarzyszył, kiedy zechcesz wyjść. Jeżeli ci pozwolą, możesz pomóc żonom w domowych zajęciach, sądzę jednak, że nie będą zadowolone z twojej obecności.

- Dlaczego? Nie jestem...

- Będą widziały w tobie rywalkę, może kandydatkę na nową żonę. Nie ma znaczenia, jak przedstawi im tę sytuację ich mąż, ponieważ i tak mu nie uwierzą. Jego druga żona umarła parę miesięcy temu i to jest jej pokój. Wiedzą, że mój przyjaciel rozgląda się za kolejną małżonką. Nie wchodzi im w drogę, chyba że zaproszą cię do swego towarzystwa... Darra marra kif defla - to powiedzenie arabskich żon znaczy, że pojawienie się nowej kobiety w domu jest doświadczeniem gorzkim jak oleander. Tutejsze kobiety potrafią wymyślić wiele sposobów, aby zapobiec kolejnemu małżeństwu swego męża. Jeśli mąż wejdzie do pomieszczenia, w którym będziesz razem z żonami, odwróć się twarzą do ściany, żeby nie mógł ci się przyjrzeć. Zgodził się, ponieważ jest mi winien przysługę, ale nie jest uszczęśliwiony, staraj się więc trzymać na uboczu i nie rzucać się w oczy członkom rodziny... - Aszulay na chwilę przerwał. - Udało mi się go przekonać, bo, jak sam zauważył, nie wyglądasz na cudzoziemkę. Dzięki temu będzie

399

mógł powiedzieć sąsiadom, że jesteś daleką kuzynką jego najmłodszej żony.

- Dziękuję. Dziękuję, że znalazłeś dla mnie ten pokój. I za to, że...

Chciałam powiedzieć coś więcej, ale umilkłam.

- Dziękuję! - powtórzyłam.

Stojąc z nim w tym małym, trochę mrocznym pokoiku, czułam się zupełnie inaczej, niż kiedy staliśmy naprzeciwko siebie na ulicy.

- Zobaczę cię jeszcze? - spytałam.

Nie potrafiłam oprzeć się wrażeniu, że to, co dla mnie zrobił, stworzyło dodatkową więź między nami. Że jestem dla niego kimś bliskim, może nawet przyjaciółką.

Popatrzył mi w oczy i otworzył usta, jakby zamierzał coś dodać, lecz nagle skinął głową, końcem turbanu zasłonił dół twarzy i wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi.

Pokój miał tak niski sufit, że kiedy wyprostowałam rękę nad głowę, mogłam przytknąć do niego rozpostartą dłoń. Ściany zbudowano z jakiejś chłodnej, twardej substancji. Gdy zbliżyłam twarz do miejsca, z którego odpadł kawałek tynku, zobaczyłam, że w środku jest warstwa czegoś w rodzaju stwardniałego błota. Odgadłam, że jest to ziemia, ponieważ masa była czerwona; sprawiała wrażenie solidnie wyrobionej, ubitej i wygładzonej, a następnie otynkowanej. Na podłodze leżało kilka małych dywaników z frędzlami; miały różne wzory i barwy, lecz mimo to wyglądały naprawdę pięknie. Podniosłam róg jednego i odsłoniłam podłogę z gładkich desek. Opuściłam dywanik na miejsce i po chwili, wiedzona instynktem, zdjęłam nie tylko buty, ale i pończochy. Dywaniki były stare, lecz nadal puszyste i miękkie, i z rozkoszą zanurzyłam w nich palce stóp. Obok materaca do spania znajdował się

400

mały ozdobny stolik, a pod przeciwległą ścianą stół z rzeźbionego drewna, który wydzieliał ten wyraźny, przyjemny zapach. Pomyślałam, że może jest to tuja, o której mówiła pani Russell, drzewo, które podobno rośnie w Essourii. Obok stołu o ścianę oparto wysokie lustro w ramie z barwnych kawałków szkła.

Wyjrzałam przez wąskie okno na dziedziniec. Powietrze było zupełnie nieruchome i do pokoju nie wpadał nawet najlżejszy powiew. Zdjęłam haik i kaftan i włożyłam przez głowę prostą płócienną tunikę.

Była to moja pierwsza noc w medynie, w malutkim pokoju o ścianach z ubitej ziemi, z pięknymi dywanami na podłodze i leśnym aromatem w powietrzu. Materac do spania przykryty był miękką narzutą w biało niebieskie pasy. Popatrzyłam na nią podejrzliwie - starałam się nie myśleć o nieszczęsnej żonie przyjaciela Aszulaya i nie zastanawiać się, czy właśnie tutaj umarła.

Rozpakowałam inne kaftany, które ostatnio kupiłam oraz kilka przyborów toaletowych. Wszystkie sukienki zostawiłam spakowane w walizkach, natomiast marokańskie stroje powiesiłam na wbitych w drzwi haczykach. Kosmetyki postawiłam na stole, a płytkę, którą dostałam od Błękitnego Człowieka na piste (jak ona się nazywała? Zellij?), położyłam na stołeczku przy łóżku. Złożone sztalugi umieściłam przy lustrze.

Usiadłam na szerokim parapecie, z jednej strony oparta plecami o ścianę, która musiała mieć co najmniej metr szerokości, a z drugiej - stopami. Upał przygasał i powietrze wreszcie stało się przyjemnie chłodniejsze.

Spojrzałam w dół, na powoli pogrążający się w mroku dziedziniec, na duże gliniane donice z palmami i innymi roślinami, na geometryczny wzór płyt. Docierał tu tylko daleki, przytłumiony szum ze skweru. Kot, rdzawy, jak dopiero teraz

401

zobaczyłam, przemknął ostrożnie przez dziedziniec i przystanął na chwilę obok jednej z donic. Pomyślałam o Cinnabar.

Obudziły mnie odgłosy budzącej się do życia ulicy. Spojrzałam na zegarek. Było zaledwie parę minut po siódmej, ale miejski gwar już ożył. Wstałam i wyjrzałam przez okno. Dziedziniec był pusty, lecz wąskie brukowane uliczki za bramą rozbrzmiewały stukotem kopyt i pokrzykiwaniami mężczyzn, poganiających zaprzężone do wózków osły. Usłyszałam dzwonek roweru, rytmiczne klaskanie w dłonie i dziecięce głosy, wyśpiewujące jakąś piosenkę. Śpiew i klaskanie najpierw przybrały na sile, a potem stopniowo przycichły, dzieci musiały zmierzać tędy do szkoły.

Powietrze wypełnił zapach świeżego chleba, gdzieś w pobliżu płakało niemowlę. Na parterze ktoś odchrząknął, zakasłał i kilka razy splunął. Wróciłam do łóżka i próbowałam zasnąć, ale okazało się to niemożliwe. Uświadomiłam sobie, że musiałam spać głębokim, spokojnym snem. Odkąd przyszedłam tu poprzedniego wieczoru, w ogóle nie myślałam o Etiennie.

Z dziedzińca dobiegł mnie męski głos. Znowu podeszłam do okna. Był to pan domu; mówił do kogoś, kogo nie widziałam i chwilę później wyszedł, zamykając za sobą furtkę. Zastoniłam twarz, zeszedłam na dół i znalazłam kuchnię. Przy stole krzątały się trzy kobiety -jedna w średnim wieku, druga młodsza, trzecia czarnoskóra, stara i pomarszczona. Wszystkie nosiły proste kaftany, przykryte barwnymi dfina. Twarze miały odstonięte. Na mój widok przerwały zajęcia i popatrzyły na mnie.

- As salam alejkum - odezwałam się.

Służąca wyduła wargi i odwróciła się, aby pomieszać w garnku, starsza żona znowu zaczęła głośno i z rozmachem kroić wielki kawał mięsa. Tylko trzecia, młodsza ode mnie, spojrzała mi w oczy.

402

- Slema - powiedziała.

Nie znałam tego słowa, ale brzmiało jak powitanie, więc z uśmiechem skinęłam głową. Wiedziałam, że mój uśmiech jest niewidoczny z powodu zasłony, miałam jednak nadzieję, iż z wyrazu oczu wyczyta wdzięczność. Młoda kobieta miała wytatuowany na czole wzór, złożony z drobniutkich kropek.

Skorzystałam z toalety i znowu przeszłam przez kuchnię; tym razem żadna z kobiet nawet na mnie nie zerknęła. Wyszłam na dziedziniec i usiadłam na drewnianej ławce. Po drugiej stronie pojawił się kot. Gdy strzeliłam palcami, miauknął cichuteńko, podszedł, obwąchał moją rękę i gdzieś pobiegł.

Po pewnym czasie młodsza żona przyniosła mi talerz z grubym podpłomykiem, miód, miękki biały ser i plaster jasnozielonego melona, a chwilę później miętową herbatę. Kiedy zostawiła mnie samą, zdjęłam z twarzy zasłonę i podniosłam ser do ust. Przypomniałam sobie ostrzeżenie Aszulaya - żony będą robić wszystko, co w ich mocy, aby przegnać inną kobietę. Pomyślałam o Falidzie, na polecenie swojej pani wykopującej kości i zęby z grobu, i o Manon, która opowiadała mi, jakie składniki dodaje do czernidła do oczu, aby mężczyźni szaleli z pożądania. Nie miałam wątpliwości, że Manon wykorzysta przyniesione przez Falidę ohydne zdobycze w jakimś magicznym rytuale, jak mówił Etienne.

Wspomnienie o Etienne wydawało mi się teraz bardzo odległe. Pamięć podsunęła mi obraz wieczoru przy kominku, gdy za oknami mojego domu w Albany wył i zawodził zimowy wiatr, a Etienne snuł opowieści o czarach i demonach z kraju wiecznie skąpanego w gorącym słońcu. Było to jak scena z przeczytanej przed laty książki.

Teraz byłam tutaj, na dziedzińcu marokańskiego domu, już gorącym mimo stosunkowo wczesnej pory, patrzyłam na trzymany w ręku kawałek sera i zastanawiałam się, czy podane mi

403

jedzenie zostało doprawione szczyptą sproszkowanej kości, zęba albo złowrogim zaklęciem. Z trochę niepewnym uśmiechem powiedziałam sobie, że staję się przesądna jak rdzenna Marokanka, wzięłam głęboki oddech i włożyłam ser do ust. Był kremowy, gładki jak śmietanka i przepyszny. Zjadłam wszystko, co było na talerzu, i wypić herbatę. Długo siedziałam na dziedzińcu, niepewna, co dalej robić. Świadomość, że nie mogę wyjść z domu, kiedy zechcę, była co najmniej dziwna. Ciekawe, czy kobiety, które żyły w ten sposób od przyjścia na świat aż do śmierci, też nękało uczucie klaustrofobicznego zamknięcia?

Gdy usłyszałam dobiegające z góry kobiece głosy, podniosłam głowę. Nic nie widziałam, rozróżniałam jednak trzy głosy, rozmawiające na wolnym powietrzu, chyba na dachu.

Zasłoniłam twarz i wspięłam się na sam szczyt domu. Z mrocznej i wąskiej klatki schodowej wyszłam prosto w jaskrawe słońce. Głosy umilkły. Dwie żony i służąca siedziały po turecku wokół górki złocistego ziarna.

Aszulay powiedział mi, żebym nie szukała ich towarzystwa, jeśli nie zostanę zaproszona, więc gdy wszystkie odwróciły ode mnie wzrok i znowu zajęły się pracą, odrzucając plewy i przekładając czyste ziarno na długi pas surowego płótna, usiadłam w drugim końcu dachu.

Nie zdjęłam zasłony - czułam się swobodniej i bezpieczniej, mając świadomość, że nie widzą malującej się na mojej twarzy niepewności. Co powiedział im o mnie ich mąż? I co myślały o samotnej kobiecie w kraju, gdzie kobieta bez mężczyzny znaczy tyle co nic? Na pewno czuły litość, może także niechęć albo obrzydzenie... Nie potrafiłam odgadnąć.

Siedziałam na brzegu dachu, z dala od nich. Po chwili znowu zaczęły rozmawiać, tyle że ciszej, i co jakiś czas zerkały na mnie. Obserwowałam je i patrzyłam na miasto. Ponad dachami

404

fruwały jaskółki. Szczerze żałowałam, że nie rozumiem, co mówią moje trzy sąsiadki. Wszędzie dookoła widziałam płaszczyzny dachów innych domów, niektóre wyższe, inne niższe. Tu i ówdzie wśród tych płaskich prostokątów wznosiły się ku niebu minarety, solidne, a jednak smukłe, w jakiś sposób kojarzące mi się z morskimi latarniami, które dziwnym zbiegiem okoliczności znalazły się w niewłaściwym miejscu.

Góry Atlas lśniły i migotały w słońcu; kiedy mrużyłam oczy, zdawało mi się, że mogłabym dotknąć ich wyciągniętą ręką.

Przypomniałam sobie, jak stałam na dachu hotelu w Tangerze i jak się wtedy czułam, ja, kobieta uwięziona między dwoma światami. Teraz, w kaftanie i zasłonie, ze skromnym dobytkiem w pokoju na piętrze tego domu, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że przekroczyłam jakąś granicę, nie do końca zresztą niewidzialną. Ten świat, w tej chwili, był tym, w którym znalazłam swoje miejsce.

Na wielu sąsiednich dachach widziałam kobiety i dzieci. Nigdzie nie było mężczyzn i zrozumiałam, że świat dachów jest dla Marokanek światem wolności. Tu wszystkie miały odsonięte twarze i mogły być sobą, nie tymi milczącymi, nierzucającymi się w oczy postaciami, które przemykały obok mnie w alejkach i uliczkach medyny. Tu śmiały się i pogodnie gawędziły, rozkładając uprane rzeczy, aby wyschły w słońcu, tu karmiły piersią swoje maleństwa i szyły. Jakaś kobieta głośno spierała się z młodszą - ich mimika, gestykulacja i zachowanie podpowiedziały mi, że to matka i córka. Drobną staruszką spała w słońcu na plecach, z otwartymi ustami. Małe dzieci bawiły się obok matek, wdrapywały się na nie i wpychały do buzi podpłomyki.

Po pewnym czasie kobiety na dachu chyba zapomniały o moim istnieniu. Śmiały się i kiwały głowami, silnymi dłońmi

405

szybko i pewnie przebierając ziarno. Nagle pozazdrościłam im wzajemnej bliskości i przyjaźni.

W domu przy Juniper Road unikałam nawiązywania przyjaźni czy choćby tylko bliższych znajomości, lecz tu, z zupełnie nieznanymi przyczyn, zapragnęłam być częścią tej małej grupki. Miałam ochotę rozgarniać złociste ziarno palcami i nawet jeśli nie rozumiałam rozmowy, po prostu słuchać, jak obce słowa spływają na mnie ze wszystkich stron i opadają na ramiona niczym lekki płaszcz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY.

Mieszkałam w domu w Szaria Sura już od trzech dni. Ani razu nie natknęłam się na pana domu, chociaż rano i wieczorem słyszałam jego głos i widziałam go przez wychodzące na dziedziniec okno. Często towarzyszyli mu dwaj chłopcy, czternasto czy piętnastoletni, z pewnością synowie, o których wspominał mi Aszulay. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że są bliźniakami - obaj byli tego samego wzrostu i budowy, wysocy i bardzo szczupli, ale szerocy w ramionach.

Starsza żona i służąca całkowicie mnie ignorowały, widziałam jednak, że młodsza żona była mną bardzo zaciekawiona. Porozumieć mogłyśmy się na niewiele sposobów, lecz doceniałam jej uśmiechy, które po pierwszym dniu posyłała mi coraz częściej. Powiedziała, że nazywa się Mena i roześmiała się, próbując wymówić moje imię. Miała wysoki, miły głos i okrągłą jasną twarz, co, jak zdążyłam się już zorientować, stanowiło ulubiony typ kobiecej urody w oczach Marokańczyków. Chyba nie miała więcej niż dwadzieścia lat.

Gdy wskazywałam rozmaite przedmioty, Mena wymieniała ich nazwy po arabsku. W krótkim czasie nauczyłam się wielu słów i prostych zwrotów. Próbowwała ze mną rozmawiać; mimo towarzystwa pozostałych dwóch kobiet sprawiała wrażenie samotnej.

407

Bez przerwy gawędziła. Pokazała mi, jak zrobić kuskus, ugniatając i zwilżając pszenicę i obtaczając ją w mące przed ugotowaniem na parze. Przyglądałam się, jak przygotowywała zupę zwaną harina, z soczewicą, grochem i jagnięciną. Kiedy pokazałam jej, że chcę pomóc przy innych potrawach, pokazała, jak grubo mam pokroić mięso i warzywa i jak je ugotować, czasami z lekkim zniecierpliwieniem chwytając mnie za rękę i demonstrując, że powinnam mieszać w garnku szybciej lub mocniej. Nie zwracała uwagi na pełne dezaprobaty spojrzenia starej służącej, lecz kiedy starsza żona Nawar wchodziła do kuchni, Mena natychmiast milkła.

Czwartego dnia ogarnął mnie płynący z beczynności niepokój. Nie mogłam dłużej wytrzymać w domu, na dachu ani na dziedzińcu i na migi pokazałam Menie, że chcę wyjść. Porozumiała się z Nawar, która skrzywiła się lekko, ale zawołała jednego z chłopców, Nadżiba, który po chwili przyszedł z pokoju na tyłach domu. Nawar powiedziała do niego parę zdań, wskazując mnie ruchem brody i wtedy Nadżib podszedł do bramy i stanął przy furtce. Włożyłam zasłonę i ruszyłam za nim krętymi uliczkami, ze wzrokiem utkwionym w jego bosych piętach. Kiedy podnosiłam głowę, rozpoznawałam niektóre ulice i zorientowałam się, że mijamy Szaria Zitun i zmierzamy w stronę suków. Zza rogu zobaczyłam niszę w murze, tę z kociętami, gdzie szukali schronienia Badou i Falida, gdy Manon kazała im wyjść z domu.

Kiedy dotarliśmy na targ, zrozumiałam, że Nadżib spodziewa się, że chcę coś kupić, poszłam więc przed nim, oglądając się kilkakrotnie, a on podążył za mną. Przez Dżemma el Fna przeszliśmy do dzielnicy francuskiej i przystanęliśmy przed hotelem de la Palmeraie. Gestem poleciłam Nadżibowi zaczekać,

a sama weszłam do środka, zdejmując haik oraz zasłonę. Chłopiec natychmiast odwrócił się do mnie plecami. Monsieur Henri od razu mnie dostrzegł i najpierw lekko zmarszczył brwi, widząc mnie w kaftanie, ale zaraz skinął mi głową.

- Ah, mademoiselle! - rzekł. - Tak, mam wspaniałe wiadomości! Oba pani obrazy zostały sprzedane i nabywcy wyrazili zainteresowanie następnymi! To młoda para, która właśnie urządza dom w Antibes na Lazurowym Wybrzeżu. Chcą kupić jeszcze co najmniej cztery obrazy w tym samym stylu.

Wypełniło mnie uczucie dziwnego ciepła. Choć nie potrafiłam określić, dlaczego wiadomość, że moje obrazy znalazły uznanie w oczach odbiorców wywołała we mnie takie wrażenie.

- Mówiła pani, że ma więcej obrazów. To małżeństwo wyjeżdża w przyszłym tygodniu i chcieliby wcześniej zobaczyć, co może im pani zaproponować.

Skinęłam głową.

- Tak, tak! - odparłam pośpiesznie. - Przyniosę je jutro!

- Doskonale! - Monsieur Henri odwrócił się i otworzył szufladę szafki za biurkiem. - O, proszę bardzo, to dla pani. Hotel pobrał pięćdziesiąt procent prowizji, jak zwykle, a szczegółowe rozliczenie transakcji znajduje się tutaj.

Wzięłam od niego kopertę i jeszcze raz kiwnęłam głową.

- Dziękuję, monsieur Henri! - Uśmiechnęłam się. - Dziękuję.

- W takim razie zobaczymy się jutro! - Odwrócił się, dając mi do zrozumienia, że nasza rozmowa dobiegła końca.

Wyszłam do Nadziba, jeszcze w holu wkładając zasłonę i haik, żeby nie wprawić go w zażenowanie. Nie mogłam się doczekać, kiedy zajrzę do koperty, rozdarłam więc ją szybko

i wyjęłam czek, opiewający na sumę przekraczającą moje najśmielsze oczekiwania. Długą chwilę w oszołomieniu wpatrywałam się w pasek papieru, przekonana, że źle przeczytałam kwotę, ale zaraz upewniłam się, że pomyłka nie wchodzi w grę. Fakt, że za dwa obrazy otrzymałam tyle pieniędzy, nappełnił mnie prawdziwą euforią.

Pierwszy raz zapłacono mi za coś, co zrobiłam.

Kiedy wsunęłam czek do koperty, Nadzib ruszył ulicą w stronę medyny, zawołałam go jednak i pokazałam, żeby szedł za mną. Weszłam do banku w pobliżu hotelu i powiedziałam, że chcę otworzyć konto. Urzędnik zmierzył mnie uważnym spojrzeniem.

- Musi pani przedstawić jakiś dowód tożsamości, mademoiselle - oświadczył.

Kiwnęłam głową.

- Przyjdę jutro z paszportem.

Wysłałam na ulicę i pozwoliłam Nadżibowi zaprowadzić się do Szaria Sura.

Gdy następnego dnia znowu wyraziłam chęć wyjścia z domu, Nawar obrzuciła mnie takim samym niechętnym wzrokiem, jak wczoraj, ale zawołała Nadżiba.

Najpierw poszłam do hotelu de la Palmeraie i zostawiłam cztery ukończone obrazy, potem wróciłam do banku i otworzyłam konto, wpłacając sumę ze sprzedaży, po odliczeniu pieniędzy na konieczne wydatki. Na końcu weszliśmy do sklepu z materiałami dla malarzy, gdzie kupiłam papier i farby. Pod wpływem impulsu zdecydowałam się też na pudło z farbami olejnymi w tubkach, kilka płócien na blejtramach i parę pędzli, myśląc o tym, że oleje pomogą mi osiągnąć większą głębię

410

obrazu. Była to dla mnie zupełnie nowa i nieznaną techniką, ale ogarnęła mnie wielka ochota, by spróbować w niej sił.

Wracałam powoli wśród zgiełku i burzy barw suków, przystając tu i tam, oglądając materiały, drewniane rzeźby oraz wyroby ze srebra. Nadżib zawsze stawał za mną i trzymał wszystkie moje zakupy, więc w nagrodę kupiłam mu dużą torbę nerkowców.

Bardzo chciałam jak najszybciej zabrać się do malowania olejami. Usiadłam przy sztalugach w swoim pokoju, ale natychmiast się zorientowałam, że nie ma w nim dość światła. Wyniosłam sztalugi na dziedziniec, ustawiłam na nich płótno i wycisnęłam trochę farb na paletę.

Mena wyszła z domu, przysunęła sobie taboret i usiadła. Kiedy patrzyła, jak spod mojego pędzla wyłania się obraz dziadzińca, jej zwykle blade policzki pokryły się rumieńcem, a oczy zabłyśły.

Odwrociłam się do niej z uśmiechem. Palcem kilka razy wskazałam jej twarz, a potem dotknęłam pędzlem płótna, lecz gdy zaczęłam malować jej postać, przytrzymała moją rękę i zdecydowanie potrząsnęła głową.

- La, la! - zawołała.

- Nie? - spytałam. - Dlaczego? Co się stało?

Żywo gestykułując, z wielkim wysiłkiem wytłumaczyła mi w końcu, że nie mogę jej namalować, ponieważ uwięziłabym jej duszę na płótnie.

Kiwnęłam głową i moim prostym arabskim zapytałam, czy mogę namalować mężczyznę.

Po chwili zastanowienia odparła, że mogłabym to zrobić. Duch mężczyzny jest dość silny, aby nie ulec takim więzom, rozumiałam z jej słów i gestów, nie należy jednak malować kobiety ani dziecka.

411

Siedziałyśmy w pełnej wzajemnego zrozumienia ciszy. Mena przyglądała się, jak maluję, gdy na dziedziniec wyszła Nawar. Przystanęła, podeszła bliżej i popatrzyła na obraz. Potem pokręciła głową, gniewnie zacisnęła wargi, zasypała Menę gradem słów i odeszła, powiewając fałdami kaftana.

Popatrzyłam za nią i przeniostałam wzrok na Menę, która prostymi zdaniami wyjaśniła, że nie wolno mi malować na dziedzińcu. Nawar uznała, że ściągnie to złe duchy na dom.

Następnego dnia siedziałam na dachu z Meną i Nawar, kiedy stara służąca zawołała coś z dziedzińca. Mena przechyliła się przez krawędź bariery i odpowiedziała jej, a potem spojrzała na mnie.

- Aszulay jest tutaj - rzekła po arabsku.

Zerwałam się na nogi, może trochę zbyt szybko, i ruszyłam w kierunku schodów.

- Sidonie! - zawołała za mną Mena.

Kiedy spojrzałam przez ramię, przyłożyła dłoń do ust i nosa, przypominając mi, abym zasłoniła twarz.

Kiwnęłam głową. Nie umiałam wyjaśnić jej, że nie jest to konieczne i szybko zesłam na dół.

Aszulay stał na dziedzińcu, trzymając Badou za rękę.

- Dzień dobry! - powiedziałam, odrobinę zadyszana z pośpiechu. - Etienne przyjechał do Marrakeszu?

Aszulay wzruszył jednym ramieniem i ten drobny ruch uzmysłowił mi, że moje pytanie trochę go zirytowało. -Nie.

- Czy... Czy chodzi o to, że muszę się stąd wyprowadzić? -Z trudem przełknęłam ślinę. - Dlatego przyszliście?

- Nie. Rozmawiałem z moim przyjacielem, możesz tu zostać.

412

Skinęłam głową ucieszona, lecz jednocześnie zaniepokojona, że od Etienne tak długo nie ma żadnych wiadomości. Powoli wypuściłam powietrze z płuc.

- Dziękuję! - W ostatniej chwili powstrzymałam się, aby nie położyć dłoni na jego ręce. - Jak się masz, Badou? -Uśmiechnęłam się do chłopca.

Odpowiedział mi uśmiechem. Z zadowoleniem spostrzegłam, że włosy ma przystrzyżone i lśniące, a jego dzellaba i płócienne spodnie są czyste.

- Idziemy oglądać żółwie - oznajmił.

- W parku - wyjaśnił Aszulay. - Wcześniej skończyłem dziś pracę i teraz zabieram tam Badou. Przechodziliśmy w pobliżu i pomyślałem, że może chciałabyś pójść z nami.

Powiedział to zupełnie neutralnym tonem, ale z lekkim wahaniem.

- Och... - zająknęłam się, mocno zaskoczona.

- Wybierzesz się z nami, Sidonie? - zapytał Badou. Nagle dotarło do mnie, jak bardzo chce mi się wyjść z domu. W ciągu tego tygodnia często myślałam o tym, jak wieloma restrykcjami obwarowane jest życie Nawar i Meny.

- Tak! - odpartam. - Pójdę tylko po moją zasłonę i haiki. Na schodach natknęłam się na Menę, która najwyraźniej

przysłuchiwała się naszej rozmowie, chociaż nie znała francuskiego. Na mój widok uniosła brwi, jakby chciała zapytać, co się dzieje.

Z trudem wyjąkałam parę arabskich słów. Gdy wymieniłam imię Aszulaya, Mena zacisnęła usta, podobnie jak Nawar, gdy była ze mnie niezadowolona.

W pokoju sięgnęłam po zasłonę, ale zanim ją włożyłam, chwilę patrzyłam na siebie w lustrze, a potem szybko przygładziłam brwi środkowym palcem, w sposób, który podpatrzyłam u Manon.

413

Zanim opuściliśmy medynę, przystanęliśmy, żeby kupić słodycze dla Badou. Aszulay wcisnął chłopcu parę centymów do ręki i mały podbiegł do straganu, gdzie piętrzyły się góry pokrojonej galaretki w cukrze pudrze, w kolorach przywodzących na myśl drogie kamienie.

- Idę popatrzeć na noże - rzekł Aszulay i podszedł do najbliższego stoiska.

Przyglądałam się, jak Badou samodzielnie dokonuje drobnego zakupu - dumnie uniosł głowę i podał kupcowi monety na wyciągniętej dłoni. Mężczyzna wziął monety, wsypał kwadratowe kawałki do papierowego rożka i podał go chłopcu, zagadując do niego i kiwając głową.

Badou wrócił do mnie i zerknął na Aszulaya, który próbował ostrze noża opuszką kciuka. Chłopiec wziął kawałek galaretki, wetknął ją sobie do ust i podsunął mi rożek.

- Ten sprzedawca kazał mi podzielić się słodyczami z tatą i mamą - uśmiechnął się. - Jest bardzo zabawny, prawda?

- Tak - odpowiedziałam uśmiechem, biorąc jeden z obtoczonych w cukrze kwadracików.

Do Le Jardin Majorelle pojechaliśmy wózkiem zaprzężonym w osiołka.

- Chodźmy nad jedną z większych sadzawek - powiedział Aszulay. - Tam są największe żółwie.

Poszliśmy nad sadzawkę i gdy Badou pobiegł na brzeg, położyłam haik na kamiennej ławce i zdjęłam zasłonę z twarzy.

Monsieur Majorelle minął nas, przywitał się z Aszulayem i nagle przystanął, patrząc na mnie.

- Bonjour, monsieur Majorelle - odezwałam się. - Może mnie pan pamięta, bo jakiś czas temu przedstawili mnie panu państwo Russell. Jestem mademoiselle O'Shea.

414

Przez twarz monsieur Majorelle przemknął wyraz zaskoczenia.

- A, tak, oczywiście! Widzę, że adaptuje się pani do tutejszego stylu życia. - Rzucił Aszulayowi pytające spojrzenie. - Do zobaczenia jutro, Aszulay! Przyszedł dziś transport nowych donic.

Badou przykucnął nad nieruchomą wodą, w której odbijało się niebo. Jego drobne ramiona były napięte, oczy utkwione w gładką, usianą wodnymi liliami powierzchnię. Aszulay powiedział do niego parę słów po arabsku i chłopiec poruszył palcami zanurzonymi w wodzie, zakłócając jej nienaturalny spokój. Prawie natychmiast ponad powierzchnię wysunęła się głowa żółwia, zaledwie parę centymetrów od dłoni Badou. Mały podskoczył z cichym okrzykiem, odwrócił się do nas i parsknął śmiechem.

- Une tortue! - rzekł wesoło. - Wystraszył mnie! - Znowu przykucnął i zanurzył rękę w wodzie. - Może jeszcze się pokaże.

Żółw zbliżył się, pewnie z nadzieją na coś do jedzenia i znowu uniósł okrągłą głowę. Tym razem otworzył pozbawiony zębów pyszczek i natychmiast zanurkował. Badou roześmiał się, zachwycony. Bez typowego dla niego poważnego wyrazu twarzy wyglądał jak zupełnie inny chłopiec.

- Pierwszy raz słyszę, jak się śmiejesz - zauważył Aszulay. Zastoniłam usta dłonią, nieświadoma, że roześmiałam się

razem z Badou.

Aszulay popatrzył na mnie uważnie.

- Dlaczego wyglądasz tak, jak gdybyś żałowała, że się śmiejesz? - spytał.

Nie bardzo wiedziałam, jak zareagować. - Nie wiem - odparłam.

415

Pomyślałam o dziecku i o Etiennie, i o wszystkim, co wydarzyło się w ostatnich miesiącach, i nagle uświadomiłam sobie, że od odejścia Etienne'a na pewno nie śmiałam się ani razu. Czyżbym uważała, że nie mam prawa do wesołości? Do szczęścia?

Popatrzyłam na Badou, który z zapałem rozchlapывał wodę czubkami palców. To właśnie dzięki niemu, na tę krótką chwilę w gorącym słońcu, zapomniałam o trudnych przeżyciach. Spojrzałam na Aszulaya. Nie patrzył na mnie, miałam jednak wrażenie, że myślał o mnie z litością.

Nie chciałam, żeby się nade mną litował. Podniosłam się z ławki i uklękłam obok Badou.

- Spróbujemy razem wywabić żółwia - powiedziałam i lekko wzburzyłam powierzchnię wody otwartą dłonią.

Kiedy wychodziliśmy z parku, Aszulay powiedział coś do Badou po arabsku. Chłopiec otworzył usta, a jego oczy zabłyśły.

- Tak, wujku Aszulay, tak! - zawołał. - Kiedy pojedziemy?

- Za tydzień, czyli za siedem dni. - Aszulay podniósł Badou i posadził go na wózk, który czekał na nas pod bramą.

Badou spojrzął na swoje palce i zaczął je liczyć, bezgłośnie poruszając wargami.

- Co parę miesięcy odwiedzam moją rodzinę - wyjaśnił Aszulay, odwracając się do mnie. - Badou lubi mi towarzyszyć i bawić się z dziećmi.

Jego rodzina...

- Masz dzieci? - wyjąkałam.

Byłam zaskoczona i w jakiś sposób nieprzyjemnie dotknięta. Dlaczego? Założyłam, że Aszulay nie ma żony ani dzieci, głównie dlatego, że gdy byłam u niego w domu, widziałam tam tylko starszą kobietę, która podała mi herbatę. Może zakładałam tak również ze względu na związek Aszulaya z Manon?

416

A może dlatego, że uznałam go za człowieka honoru, niezdolnego do romansu?

- Nie - odparł krótko.

Odwrócił się do Badou i zaczął rozmawiać z nim o żółwiach.

Zsiedliśmy z wózka, Aszulay i Badou odprowadzili mnie do Szaria Sura.

- Pojedziesz z nami na bied, Sidonie? - zapytał chłopiec.

- Nie - odparłam, przystając przy bramie. - Ale mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawił.

Odwróciłam się i zapukałam do furtki.

- Miałaś ochotę pojechać? - odezwał się Aszulay. Pomyślałam, że po prostu stara się być uprzejmy, lecz

oczywiście wynikało to z mojego podejścia do rzeczywistości. Amerykańskiego podejścia do rzeczywistości, niemającego kompletnie nic wspólnego z Aszulayem.

- Nie będzie nas w Marrakeszu dwa dni - dodał. Furtkę otworzył Nadżib.

Dwa dni. Dwa dni, a więc i nocleg...

- Są tam osobne pomieszczenia dla kobiet - rzekł Aszulay, najwyraźniej czytając w moich myślach.

Przypomniałam sobie noc na bied z Mustafą i Azizem - gwiazdy, cisza, dziki wielbłąd. Znowu wróciłam myślami do wcześniejszych słów Aszulaya. Odwiedzam moją rodzinę, powiedział. I jeszcze, że nie ma dzieci. Ale może ma tam żonę, pomyślałam. Może dwie, albo nawet trzy?

- Pojedziemy moją furgonetką, une camionette.

- Furgonetką? Masz furgonetkę?

Przytaknął. Zdziwiło mnie to, chociaż naprawdę nie wiem, z jakiego powodu. Oczami wyobraźni widziałam go, idącego przed siebie zakurzonym szlakiem, podobnie jak tamten

417

pierwszy Błękitny Człowiek. Albo może kołyszącego się na wielbłądzie...

- Dziwi cię to? Uśmiechnęłam się.

- Nie... Raczej nie.

- Więc jak? Masz ochotę jechać?

- Tak - odpowiedziałam. - Pojadę z wami, chyba że... Przerwałam. Chyba że wcześniej do Marrakeszu wróci

Etienne.

- Chyba że? - powtórzył pytająco. - Nic ważnego...

- W takim razie przyjadę po ciebie za siedem dni, po śniadaniu - rzekł.

- Przyniesiesz nam jutro jedzenie, wujku Aszulay? - zapytał Badou, zaglądając mu w twarz.

Aszulay położył rękę na głowie chłopca.

- Jutro bardzo długo pracuję, ale dzisiaj zostawiłem wam trochę produktów - odparł. - Falida ugotuje ci coś smacznego.

- Czy mamam niedługo wróci do domu?

- Niedługo - Aszulay kiwnął głową.

- Mogłabym wybrać się do Szaria Zitun i zajrzeć do Badou i Falidy - zaproponowałam ostrożnie.

- Tak! - ucieszył się Badou. - Przyjdź do mnie, Sidonie!

- Jak chcesz - rzekł Aszulay.

- Do zobaczenia jutro, Badou! - powiedziałam z uśmiechem.

Aszulay wziął chłopca za rękę, a ja weszłam na dziedziniec i zamknęłam za sobą furtkę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY.

Następnego dnia rano, niosąc koszyk z podpłomykami i rondelkiem z kefta, mieloną, pachnącą przyprawami jagnięciną, którą sama przygotowałam, w asyście Nadżiba wyruszyłam do Szaria Zitun. Gdy zapukałam do bramy, dochodziła jedenasta.

Nadżib oparł się o zewnętrzną ścianę - wiedziałam, że będzie na mnie czekał, niezależnie od tego, ile czasu spędzę w środku.

Musiałam zapukać dwa razy, zanim Falida podeszła do furtki i lękliwie zapytała, kto przyszedł. Kiedy odpowiedziałam, powoli otworzyła furtkę.

- Pani nie ma - oznajmiła, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Wiem, ale przyniosłam coś do jedzenia i chciałabym zobaczyć się z Badou.

Kiwnęła głową i wpuściła mnie na dziedziniec. Badou zbiegł po schodach. Znowu rzuciło mi się w oczy, że ma uczesane włosy i umytą buzię.

- Sidonie! - Zerknął na koszyk i przeniósł wzrok na moją twarz. - Popatrz! - Lekko wypchnął językiem przedni ząb. - Mój ząb tak śmiesznie się chwieje!

Uśmiechnęłam się i podeszłam bliżej.

419

- Niedługo wypadnie - powiedziałam. - I za jakiś czas wyrosnie ci tu nowy.

- Czy to boli?

- Nie... No, może odrobinę.

- To dobrze - oświadczył ufnie i znowu spojrzął na koszyk z żywnością.

- Lubisz kefta? - spytałam.

Kiwnął głową i wbiegł przede mną do domu. Poszłam za nim do kuchni i rozejrzałam się dookoła. Wewnątrz panował wzorowy ład i porządek.

- Doskonale wszystkim się zajmujesz, Falido - powiedziałam.

Dziewczyna otworzyła usta, wyraźnie zdziwiona pochwata, a po chwili uśmiechnęła się nieśmiało. Uśmiech całkowicie odmienił jej twarz - była bardzo chuda i miała ciemne sińce pod oczami, ale wyglądała naprawdę inaczej, prawie ładnie.

- Od wyjazdu mamam Falida codziennie mnie kąpie - poinformował mnie Badou...

- Widzę! - odparłam i uśmiechnęłam się do dziewczyny. Pochyliła głowę, zażenowana, ale i zadowolona. Nałożyłam jedzenie na talerze i wszyscy troje wyszliśmy

na dziedziniec. Usiadłam na szezlongu, natomiast Badou usadowił się na ziemi i postawił talerz na stoliku. Falida przystanęła przy drzwiach.

- Chodź! - powiedziałam. - Zjedz z nami! Pokręciła głową.

- Nie wolno mi.

Chwilę wpatrywałam się w jej zmizerowaną buzię.

- Dzisiaj ci wolno - oświadczyłam zdecydowanym tonem. Zbliżyła się nieśmiało i przysiadła na ziemi obok Badou. Przed odejściem obiecałam im, że następnego dnia znowu

ich odwiedzę.

420

Po powrocie do domu zastałam Menę na dziedzińcu. Poprzedniego wieczoru, kiedy wróciłam z parku z Aszulayem i Badou, prawie się do mnie nie odzywała, i pomyślałam, że może źle się czuje.

Rano jej nie widziałam, ale teraz, ledwo weszłam, wzięła parę babouches swojego męża z miejsca przy drzwiach, gdzie zwykle stały, i wskazała palcem najpierw pantofle, a potem mnie. W pierwszej chwili nie rozumiałam, o co jej chodzi, lecz ona wciąż wskazywała babouches, przytulała je do piersi i przenosiła wzrok na mnie.

- Rajul! - powiedziała w końcu.

Rajul, po arabsku „mężczyzna”. Mena pytała, gdzie jest mój mąż.

Gorączkowo zastanawiałam się, w jaki sposób jej to wyjaśnić, i w końcu kilka razy pokazałam palcem bramę. Tam, chciałam powiedzieć. Mężczyzna, który ma zostać moim mężem, jest gdzieś tam, w Maroku.

Z wyraźnie pytającą intonacją wypowiedziała imię Aszulaya.

Potrząsnęłam głową.

- Aszulay sadeeq - powiedziałam. Aszulay to przyjaciel.

Jednak Mena ściągnęła brwi i potrząsnęła głową.

- La, la!- zaprotestowała i dotknęła palcem swojej piersi. -Imraa, rajul - sadeeq, la!

Zrozumiałam bez trudu. Nie, nie! Kobieta i mężczyzna -przyjaciółmi, nie!

Zdawałam sobie sprawę, że w jej świecie rzeczywiście jest to niemożliwe. Tak, doskonale zdawałam sobie z tego sprawę, a jednak... Jak inaczej mogłam opisać Aszulaya?

- Sadeeq, Mena, naam! - Popatrzyłam na bramę, myśląc o Aszulayu.

421

To przyjaciel, Meno, tak!

Zastanawiałam się, co w tej chwili robi; wyobraziłam go sobie w Le Jardin Majorelle, lekko podnoszącego z ziemi ogromną glinianą donicę.

I natychmiast przypominałam sobie, że przecież powinnam myśleć o Etiennie, nie o Aszulayu.

Kiedy następnego dnia wczesnym przedpołudniem wybrałam się do Szaria Zitun, poleciłam Nadżibowi, żeby wziął moje nowe farby olejne i jedno płótno. Po drodze zatrzymałam się na sukach i kupiłam prostą francuską książeczkę dla dzieci dla Badou.

Falida zrobiła gulasz z kozłęciny i znowu wszyscy troje zjedliśmy razem. Po raz drugi uświadomiłam sobie, jak dobrze młoda dziewczyna zajmuje się domem i jak inna - i pod względem wyglądu, i zachowania - wydaje się pod nieobecność Manon.

Gdy razem z Badou oglądała książeczkę, głośno roześmiała się na widok jednego z obrazków i trąciła chłopcę łokciem; on odpowiedział tym samym i również parsknął śmiechem.

Wiedziałam, że Manon wróci lada dzień i nie mogłam znieść myśli, że znowu zacznie maltretować dziewczynę. Co mogłam zrobić? Nic! Tylko powiedzieć, co myślę o jej zachowaniu wobec Falidy, a to, rzecz jasna, mogło wyrzucić zupełnie odwrotny skutek.

Zajęłam się czytaniem książeczki, z Badou siedzącym na moich kolanach i Falidą u boku. Potem rozstawiłam sztalugi w cieniu jacarandy na dziedzińcu, umieściłam na nich płótno i poprosiłam Badou, żeby otworzył moje pudło z farbami. Mały ostrożnie postawił szkatułę na ziemi i z wyrazem skupienia na buzi otworzył ją, z szacunkiem unosząc wieko i odsłaniając wnętrze. Przyglądał się, jak wyjmowałam tubki i wyciskałam farby na paletę. Po chwili usiadł u moich stóp

422

i zajął się książeczką. Opierał czubek palca pod każdym prostym słowem, czekał, aż spojrzę w dół i wyraźnie je wypowiem, po czym dobitnie powtarzał. Po trzech takich rundach znał już całą książeczkę na pamięć.

Farby lśniły na płótnie. Oleje odkryły przede mną swoistą swobodę malowania - akwarele wymagały dużo większej delikatności i bardziej precyzyjnych pociągnięć pędzlem. Posługując się olejami, mogłam bez trudu ukryć każdy błąd. Dzięki temu miałam luźniejsze ramię i malowałam bardziej górną częścią ręki niż samą dłoń.

Kiedy rozległo się pukanie do bramy, podskoczyłam nerwowo.

- Badou, to Aszulay! - powiedziałam.

Chłopiec pobiegł otworzyć furtkę. Aszulay wszedł na dziedziniec z płóciennym workiem w ręku i spojrzał na mnie, stojącą przy sztalugach.

- Wiedziałem, że tu jesteś, bo pod bramą czeka Nadżib - rzekł. - Mam południową przerwę i przyniosłem jedzenie. - Podał worek Falidzie.

Kiwnęłam głową.

- Falida zrobiła koźlęcy gulasz i już jedliśmy! Jesteś głodny?

Gdy przytaknął, spojrzałam na Falidę, która natychmiast weszła do domu. Aszulay zbliżył się i stanął obok mnie.

Nagle cały mój spokój ulotnił się jak obłok dymu. Próbowałam namalować promienie słońca, przeświecające przez liście jacarandy, ale teraz zaczęło mi się wydawać, że moje wysiłki przyniosły bardzo amatorskie efekty.

- Malujesz - odezwał się.

- Tak. Przyniosłam przybory tutaj, bo w domu na Szaria Sura pierwsza żona nie życzy sobie, żebym malowała na dziedzińcu, a światło w moim pokoju sprzyja pracy tylko przez

423

parę godzin. Nie przywykłam jeszcze do malowania w tym upale ani...

Uświadomiłam sobie, że trajkoczę jak katarynka.

- Ani do posługiwania się olejami - podjęłam. - Zazwyczaj maluję akwarelami, w Albany nigdy nie używałam innych farb.-Zerknęłam na niego kątem oka. - To znaczy w domu. Ale kolory tutaj, w Maroku, są tak intensywne i żywe, przedmioty wymagają nadania im większej głębi i wyrazistości... Nie potrafię osiągnąć takiego efektu akwarelami. Naturalnie, malowanie farbami olejnymi to zupełnie inna technika, której jeszcze nie opanowałam, nie, daleko mi do tego! Na pewno zajmie mi to trochę czasu.-Odłożyłam pędzel i wytarłam dłonie w kaftan. - Ręce mam wilgotne od potu i pędzel trochę się ślizga.

- Czy w tej części Ameryki, gdzie mieszkasz, bywa aż tak gorąco? - zapytał. - Albany... Gdzie to jest?

- Niedaleko Nowego Jorku. W stanie Nowy Jork. Aszulay skinął głową.

- Statua Wolności - powiedział. " Uśmiechnęłam się.

- Lata bywają tam bardzo upalne i wilgotne, ale nie tak gorące jak tu - odparłam. - Zimy są długie i mroźne, pada śnieg, za dużo śniegu... Jest okropnie zimno, wszystko jest białe i jakby nietykalne. - Spojrzałam na swoją próbę uwiecznienia na płótnie marokańskiego słońca. - Chodzi mi o to, że... Że tutaj jest zawsze ciepło i jasno, nie tak jak w moim kraju.

- Tęsknisz za nim? Za swoim domem w Albany, niedaleko Nowego Jorku? - Aszulay patrzył nie na mnie, lecz na płótno.

Nie odpowiedziałam. Czy tęskniłam?

- Lubię poznawać nowe miejsca - powiedział. - Jestem ciekawy.

Pomyślałam, że to coś więcej niż ciekawość. Aszulay był dociekliwy. Ciekawość wiąże się z biernością, tymczasem

424

Aszulay pod żadnym względem nie był bierny. Nagle uświadomiłam sobie, że wiem, jak to wyrazić - Aszulay nie patrzy na świat, on go ogląda. Drobną różnicą, ale jakże istotną.

- Zawsze dziwiło mnie, że...

Przerwał. Czekałam. Czy szukał odpowiedniego francuskiego słowa? W zamyśleniu ściągnął brwi i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w płótno.

Wtedy usłyszałam ten dźwięk i zrozumiałam, dlaczego umilkł. Słodki śpiew ptaka, dźwięczny tryl spośród grubych gałęzi ocieniającego nas drzewa. Aszulay nie patrzył w górę, szukając wzrokiem twórcy tej pięknej melodii, lecz na płótno, chyba nieświadomie, bo wydawało się, że cała jego uwaga skupiona jest na ptasiej pieśni.

Otworzyłam usta. Przez głowę przemknęła mi myśl, że może powinnam zadać jakieś normalne w takiej sytuacji pytanie, na przykład jaki ptak wydaje takie cudowne dźwięki.

Śpiew umilkł, a ja zamknęłam usta. Aszulay drgnął i odezwał się znowu, zupełnie jakby ta króciutka pauza nie miała miejsca.

- Zawsze mnie dziwiło, że istnieją zwierzęta, chociażby właśnie w Ameryce, które żyją w śniegu - dokończył.

Jestem prawie pewna, że to właśnie w tym momencie, gdy patrzyłam na tego wysokiego Błękitnego Człowieka o twarzy lśniącej od potu, o nabrzmiałych od ciężkiej pracy mięśniach przedramion, który przerwał rozmowę, aby z szacunkiem i w skupieniu posłuchać pieśni ptaka, właśnie w tym momencie poczułam, jak coś w moim sercu pęka niczym skorupa dojrzałego owocu. Nie było to bolesne czy przykre, nie, raczej rozlewało się jak powolna i wyraźna fala.

Falida przyniosła talerz z gulaszem dla Aszulaya, a on usiadł na taborecie. Jadł i patrzył jak malując.

425

Kilka godzin później wróciłam na Szaria Sura i weszłam na dach. Mena siedziała tam z jakąś kobietą. Trzymała na kolanach mniej więcej roczne dziecko, podczas gdy tamta karmiła niemowlę. Na mój widok przerwały rozmowę i przywitały mnie zwyczajowym *slema*, pozdrowieniem przeznaczonym dla niemuzułmanów, oznaczającym życzenie szczęścia w życiu na ziemi. Odwzajemniłam pozdrowienie i przeszłam na drugą stronę dachu. Spoglądałam na medynę, jak zwykle, ale przysłuchiwałam się rozmowie Meny i jej przyjaciółki. Zrozumiałam parę zdań i zorientowałam się, że rozmawiają o teściowej tamtej kobiety. Później mówiły coś o naczyniu z oberżynami i o chorym ośle. Gdy starsze dziecko rozplakało się nagle, spojrzałam na małą grupkę. Mena roześmiała się i przytuliła malucha, kołysząc go w ramionach, a po chwili wetknęła mu do ust kawałek podplomyka. Jej twarz miała łagodny, czuły wyraz. Nie wiedziałam, jak długo jest zamężna ani dlaczego nie ma jeszcze dzieci. Druga kobieta rzuciła jakąś uwagę, wskazując dziecko ruchem głowy, a Mena odpowiedziała.

Tak, osią ich życia była troska o rodzinę. I może właśnie dlatego nie należałam do ich świata. Byłam cudzoziemką, lecz w gruncie rzeczy nie to było ważne. Liczyła się treść życia i z tego powodu kobiety takie jak Mena czy jej przyjaciółka nie mogły widzieć we mnie istoty podobnej do nich.

Zalała mnie potężna fala smutku, świeżego i przerażającego. Przypomniałam sobie uczucie osamotnienia po śmierci ojca, a potem pojawienie się Etienne'a. Etienne... Razem przeżywalismy najbardziej intymny akt, jaki może połączyć kobietę i mężczyznę, a jednak między nami zawsze była pustka. Etienne nigdy nie zaufał mi w pełni, nigdy nie oddał się bez reszty. Teraz znałam już jego starannie skrywany sekret - była nim choroba.

Patrząc na ssące pierś dziecko, pomyślałam o trudnej do

426

wyjaśnienia radości, jaka ogarnęła mnie na wieść, że jestem w ciąży.

Z najwyższym trudem powstrzymałam łzy, których przyczyną było także i to, że wreszcie uświadomiłam sobie, iż z własnej woli stałam się zaabsorbowana sobą, niewrażliwa na otoczenie, ukryta w ochronnej skorupie. Moje życie zostało ukształtowane przez polio, to prawda, ale również przeze mnie samą. Nagle przed oczami stanęło mi wszystko, co straciłam - lepsze wykształcenie, przyjaźnie i znajomości, przynależność do Kościoła i wspólnoty wiernych, możliwość pomagania innym. Pogłębienie umiejętności malarskich, może nauka malowania. Poznanie mężczyzny, z którym mogłabym dzielić życie.

Zawstydziałam się własnego przekonania, że to, co niesłusznie brałam za dumę i poczucie godności, kazało mi zaakceptować samotną, w gruncie rzeczy pozbawioną większego sensu egzystencję.

Kiedy dziecko dość niezdarnie zeszło z kolan Meny i popatrzyło na mnie z zaciekawieniem, uśmiechnęłam się do niego i pomyślałam o Badou. Badou w żaden sposób nie przyczynił się do wyroku losu, który obdarzył go matką pozbawioną naturalnego instynktu opiekuńczego. Pomyślałam o tym, jak Manon niedbale odrzucała chłopca i jego potrzebę posiadania przyjaciół czy choćby szczeniaka - na razie te potrzeby były małe, ponieważ Badou był małym dzieckiem, ale będą przecież rosnąć razem z nim. A kiedy Badou nauczy się sam dbać o siebie, Manon, zajęta swymi kochankami i nawykami, będzie poświęcać mu jeszcze mniej uwagi, jeśli to w ogóle możliwe.

Jeśli chodzi o Aszulaya, to było jasne, że zależy mu na Badou, lecz jak długo będzie w stanie znosić Manon i jej kaprysy? Co stanie się z Badou, jeśli Aszulay na dobre zniknie z ich życia?

427

Przez chwilę wróciłam myślami do chłopca, pachnącego świeżym pieczywem, które dopiero co jadł, z rozchwievanym zębem z przodu. Do momentu, kiedy Aszulay wrócił do pracy, a ja spakowałam farby do szkatuły i przypomniałam Badou, że niedługo razem z Aszulayem wyruszymy na dwudniową wyprawę.

- A Falida? - Zerknął na młodziutką służącą. - Będzie ci nas brakowało, Falido?

- Falido? - odwróciłam się do niej. - Gdzie jest twoja rodzina?

Potrząsnęła głową.

- Moja matka służyła u jednej pani. Kiedy miałam dziewięć lat, mama umarła i poszłam na ulicę. Pani zobaczyła mnie i powiedziała, że jeżeli zostanę w Szaria Sura i będę dla niej pracować, da mi jedzenie.

- Nie masz nikogo? Znowu przeczący ruch głowy.

- Maman Alego zawsze jest dla niej miła - odezwał się Badou.

Falida przytaknęła.

- Bardzo miła pani - oświadczyła. - Raz dała mi coś do jedzenia.

Szybko sięgnęłam po torebkę.

- Chodźcie ze mną! - powiedziałam. - Pójdziemy z Nadżibem na targ, co wy na to? Kupimy coś pysznego, może jakieś słodycze? Chciałabyś dostać nową chustę, Falido?

Patrzyła na mnie długą chwilę i spuściła głowę.

- Tak - szepnęła.

- Jesteś bardzo dobra, Sidonie, zupełnie jak maman Alego! - pochwalił mnie poważnie Badou.

Objęłam go i mocno przytuliłam.

428

Jednocześnie rozumiałam, że Badou mnie potrzebuje. I Falida także.

Wyciągnęłam się na plecach na dachu. Powietrze było przejrzyste jak kryształ, niebo cudownie błękitne. Świecące mi prosto w twarz słońce napełniało mnie dziwnym, powoli narastającym, czystym ciepłem. Znowu pomyślałam o Badou i Falidzie, i ta myśl poruszyła jakąś strunę w głębi mojego serca. W pierwszej chwili nie uświadomiłam sobie, co to takiego.

Było to poczucie celowości działania i istnienia. Wreszcie miałam konkretny cel, wreszcie chciałam coś zrobić dla innych.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY.

Następnego dnia Mena przyszła do mnie i kilka razy powtórzyła jedno zdanie po arabsku. Zrozumiałam poszczególne frazy - dzisiaj, hammamu, pójdiesz ze mną.

Mieszkałam w Szaria Sura już dwa tygodnie i chociaż regularnie myłam się ciepłą wodą w wannie w swoim pokoju, marzyłam o porządnej kąpieli. Wiedziałam, że Marokańczycy, i mężczyźni, i kobiety, co tydzień chodzą do hammam, publicznej łaźni, nie miałam jednak pojęcia, jak to wygląda w praktyce.

Gdy skinęłam głową, Mena wręczyła mi dwa blaszane wiadra, sama też takie wzięła. W środku znajdowało się kilka szorstkich ściereczek, które nazywała kese, przeznaczonych do szorowania skóry, i parę dużych, zwiniętych w rulony kawałków płótna, yońż, do narzucenia na ramiona po kąpieli. Wiedziałam, że muzułmanie wierzą, że patrzenie na nagie ciało drugiej osoby jest grzechem, założyłam więc, że cały czas mamy być owinięte wfota i odetchnęłam z ulgą. Nie miałam wątpliwości, że łaźnie są podzielone na część dla kobiet i dla mężczyzn, lecz i tak trudno było mi wyobrazić sobie, jak zniosę ten publiczny rytuał.

W wiadrach zauważyłam jeszcze kawałki grubego, mięsistego płótna, na pewno do wycierania się. Mena podsunęła

430

mi do powąchania pojemnik wypełniony gęstą czarną mazią. W powietrzu natychmiast rozszedł się aromat oliwy i róż, co zupełnie mnie zaskoczyło. Mena wytłumaczyła, że substancji tej używa się do mycia.

Wyruszyliśmy przez medynę za idącym przodem Nadżibem, niosąc wiadra z przyborami kąpielowymi. Po mniej więcej dziesięciu minutach zatrzymaliśmy się przed nieoznaczonym wejściem. Wdrapałyśmy się po kamiennych schodach o wydeptanych przez całe pokolenia stopniach i stanęłyśmy przed częściowo ukrytymi drzwiami, tak wąskimi, że kiedy weszłam za Meną do środka, moje wiadra zabrzęczały donośnie, uderzając o framugę z obu stron. Wewnątrz panował półmrok, gorące, wilgotne powietrze pachniało eukaliptusem. Po krótkiej chwili podeszła do nas kobieta w prostym białym kaftanie, bez zasłony na twarzy. Mena dała jej dwie monety, a wtedy tamta odwróciła się i zawołała kogoś. Do pomieszczenia weszły dwie inne kobiety, z ręcznikami fota

zawiazanymi na piersi i opadajacymi do polowy tydek; wlosy mialy ukryte pod bialymi chusteczkami, mocno skreczonymi na czubku glowy.

- Tayeba - powiedziala Mena.

Zrozumialam, ze musza to byc pomocnice albo asyistentki. Posllysmy za nimi przez przypominajaca miodowy plaster platanine mrocznych, wykladanych kafelkami pokoi. Tu i owdzie na scianach migotaly lampy, tworzac atmosfere tajemniczego, odmiennego swiata. Na plytach gromadzily sie krople wody, zewszad dobiegaly odglosy kapania i pluskania, a powietrze bylo tak wilgotne, ze co chwila musialam wycierac obficie zroszony nos.

Minelysmy wejscie do pomieszczenia, z ktorego buchnela fala goraca. Zajrzalam do srodka, ale zobaczylam tylko otoczone mglistą poswiatą postaci, podsycajace ogien suchymi palmowymi liściami.

431

Zaraz potem znalazlysmy sie w sali pelnej drewnianych szafeczek, z ktorych czesc byla pusta, a w innych lezaly kobiece stroje. Mena od razu zaczela sie rozbierac, zdejmujac najpierw haik, pozniej dfina i wreszcie kaftan. Ubranie ukladala w jednej w pustych szafek. Miala na sobie jeszcze cos w rodzaju dlugiej bialej halki, a pod spodem koszulke z dlugimi rekawami i grube szerokie spodnie, podobne do pantalonow, obszyte u dołu koronką. Nie wiedzialam, ze Marokanki nosza az tyle warstw ubrania i zaczalam sie zastanawiac, jak znosza upal. Mena odwrócila sie do mnie tyłem i zaslonila sie rącznikami fota, aby sie całkiem rozebrać. Zrobitam to samo co ona, wiazac fota na piersi jak tayeabas, ktore na nas czekaly.

Pozniej znowu ruszylysmy za kobietami, niosac nasze wiadra. Weszlysmy do duzej, wypełnionej paraą sali, z umieszczonymi na przeciwległej ścianie cysternami. Bylo tu duzo kobiet, siedzacych na kamiennej posadzce, myjacych sie szorstkimi ściereczkami albo poddajacych sie temu zabiegowi, wykonywanemu przez pomocnice. Zupelnie male dzieci, nagie i mokre, raczkowaly, probowaly chodzic lub chlapaly sie na mokrej podlodze. Zauwazylam zupelne maleństwo, siedzace w wiadrze, gaworzace i usmiechniete, najwyrazniej zachwyczone, ze matka co jakis czas polewa je wodą. Moja tayeba gestem kazala mi stanac obok jednej z cystern, wyjela mi wiadro z reki, napełnila je i oblala mnie wodą. Gwaltownie wstrzymalam oddech, poniewaz nie spodziewalam sie, ze woda jest az tak ciepla. Tayeba powtorzyla te operacje kilka razy. Cala ociekalam wodą. Wtedy jeszcze raz napełnila wiadro goracą wodą i podeszla do wolnego miejsca pod przeciwną ścianą. Podłoga w sali opadala w kierunku cystern i cala woda gromadzila sie w wazkim rowku bezposrednio pod nia. Tayeba polecila, zebym usiadla na posadzce. Skore miałam śliską od wody i pary. Kiedy usiadlam, tayeba zaczela myc mnie szorstką kese, która wyjela

432

z mojego wiadra. Raz po raz wstrzymywalam oddech, bo bylo to dosyc bolesne. Szorowala i tarla, podnoszac moje ramiona, jakbym byla malym dzieckiem i przyginajac mi glowe do klatki piersiowej, zebym dokladnie wyszorowac kark. Robila to tak dlugo, az zobaczylam warstwy martwego naskorka, szarymi wolkami schodzace z moich ramion i nog, a skora mocno sie zaczerwienila. Caly czas splukiwala mnie wodą - szorowala i splukiwala, szorowala i splukiwala, co jakis czas napełniajac wiadro. Wreszcie usiadla naprzeciwko mnie, chwycila moja lewa stopę i oparla ja sobie na kolanach. Spozród fałd tuniki wyjela podobny do cegly kamien i zabrala sie do pocierania nim mojej podeszwy.

Kiedy skończyła, sięgnęła po prawą nogę i przyłożyła ją do lewej. Chwilę przyglądała im się uważnie, a potem zaczęła pocierać podeszwę prawej, tym razem już nie tak mocno i intensywnie. Po paru sekundach przerwała, spojrzała na mnie i powiedziała coś pytającym tonem. Mogłam jedynie zgadywać, że pyta, czy krótsza noga mnie boli. Gdy potrząsnęłam głową, nachyliła się nad nią i zaczęła trzeć mocniej.

W pomieszczeniu panował gęsty półmrok - na ścianach migotało tylko kilka małych lampek - i z trudem rozróżniałam inne postaci, widziałam jednak, jak kobieta obok mnie nakłada sobie jakąś piankową substancję na skórę pod pachami, a później szybko ją zmywa. Zorientowałam się, że ten kosmetyczny środek w jakiś sposób usuwał owłosienie.

W końcu moja tayeba nabrała garść czarnego mydła o zapachu oliwy i płatków różanych, które przyniosłam ze sobą, i posmarowała nim moją skórę. Miało konsystencję ogrzanego, lecz gęstego masła. Zamknęłam oczy, całkowicie się odprężając i delektując dotykiem jej dłoni, które masowały mnie i wsuwały się pod fota, aby namaścić mydłem uda. Tayeba kilka razy myła mnie i spłukiwała, od stóp do głów. Kiedy dokładnie spłukała

433

wszelkie ślady mydła, przykucnęła za mną. Poczułam jej dłonie na moich mokrych włosach; zaczęła masować i mocno pocierać skórę głowy. Uniosłam rękę i zorientowałam się, że głowę pokrytą mam ziarnistą, podobną do gliny mazią. Przytknęłam palce do nosa - maź pachniała lawendą i różą. Gdy tayeba dokładnie wypłukała włosy, podała mi oba wiadra, zaprowadziła do sąsiedniego pomieszczenia i tam mnie zostawiła.

To pomieszczenie było równie gorące jak pierwsze, ale mniej zaparowane. Owinięte w fota kobiety siedziały tu na podłodze, rozmawiając i śmiejąc się cicho. Zrozumiałam, że hammamie to coś więcej niż rytualna łaźnia - było to miejsce w pewien sposób podobne do dachów domów, gdyż i tu kobiety mogły być naprawdę sobą. W tej kulturze, gdzie mężczyźni i kobiety poruszali się w odrębnych strefach, i gdzie zgodnie z powszechnym oczekiwaniem kobiety poza domem miały tylko wtapiać się w tło, tu, w hammamie, mogły zaznać wolności i poczucia koleżeństwa. Znalazłam wolne miejsce pod ścianą, rozłożyłam na nagrzanym kamiennej posadzce ręcznik i usiadłam. Odgarnęłam do tyłu mokre włosy, wyprostowałam nogi i rozejrzałam się dookoła.

Kolory skóry spoczywających kobiet nosiły odcienie od aż jasnej poprzez karmelową i jasnobrązową po ciemną jak kawa. Widziałam głębokie blizny, dziwne narośle, znamiona, myszki i przeżarte egzemą placki. Wszystkie ciała nosiły piętna pozostawione na nich przez życie. Spojrzałam na własne ciało i nagle, chyba po raz pierwszy, pomyślałam, że podoba mi się ciepły odcień mojej skóry. Dostrzegłam także, że była jędrna, gładka i wolna od przebarwień, a przecież wcześniej nigdy nie widziałam jej piękna. Zawsze uważałam, że jest zbyt ciemna i zupełnie nieatrakcyjna w porównaniu z kremowo białą i alabastrową skórą wielu innych mieszkających w Albany kobiet, które odziedziczyły cechy fizyczne po saksońskich praszczurach.

434

Pogładziłam swoje udo, zadziwiona jego jedwabistą gładkością po zabiegu intensywnego szorowania, a potem przesunęłam dłońmi wzdłuż ramion, zatrzymując je dłużej powyżej łokci.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi, mimo mojej krótszej nogi i nierównego stąpania. Byłam po prostu jeszcze jedną kobietą w falującym morzu istot tej samej płci, jeszcze jedną kobietą, której ciało stanowiło dowód, że żyła i zostawiła za sobą wiele doświadczeń.

Z lekkiej mgiełki wyłoniła się Mena i usiadła obok mnie. Uśmiechnęłam się do niej, a ona odwzajemniła uśmiech. Popatrzyła na moje nogi, wskazała palcem prawą i powiedziała coś. Nie miałam pojęcia, jak wyjaśnić jej, że przeszłam polio, skleciłam więc tylko kulawe zdanie po arabsku: „Kiedy jestem dzieckiem, bardzo chora”. Mena skinęła głową, odwróciła się do mnie tyłem, uniosła włosy i pokazała głęboką, nierówną bliznę na karku. Zrozumiałam słowo „ojciec”, Mena powtarzała jednak drugie, którego nie znałam, nie rozumiałam więc, co jej się przydarzyło.

Po chwili wykonała gest kołysania dziecka, unosząc ramiona na wysokość piersi i kiwając głową. Bez trudu odgadłam, że pyta, czy mam dzieci. Spojrzałam jej prosto w oczy i, z zupełnie niezrozumiałego powodu, skinęłam głową, kładąc dłonie na brzuchu, a potem wskazując palcem do góry.

Miałam nadzieję, że zrozumie, co chciałam jej przekazać i nie zawiodłam się. Powtórzyła moje gesty i podniosła trzy palce.

Trzy? Trzy razy poroniła czy straciła troje już narodzonych dzieci? Przecież była taka młoda! Instynktownie przykryłam jej dłonie swoimi i uściśnęłam je lekko. Kiedy zacisnęła palce na moich rękach, tży gwałtownie napłynęły mi do oczu i rozplakałam się.

435

Przeżyłam moją stratę sama, nie dzieliłam się nią dotąd z nikim. Tylko w rozmowie z Manon chłodno oznajmiłam, że straciłam dziecko, którego istnieniu zaprzeczała. Teraz, w obecności Meny, chociaż nie mogłam użyć słów, aby opisać swój smutek, tamte chwile ożyły. Wiedziałam, że Mena rozumie moje uczucia, jak ja rozumiałam, co musiała przejść. Patrzyła na mnie pełnymi też oczami i powoli kiwała głową, wciąż ściskając moje dłonie.

Dotarło do mnie, że stałam się jej bliska i nagle sama także poczułam, że Mena nie jest dla mnie kimś obcym. Pomyślałam o niemłodym mężczyźnie z uschniętym ramieniem, jej mężu, który przychodził do niej w nocy, o dniach, które spędzała pod czujnym spojrzeniem surowej Nawar, cieszącej się władzą pierwszej małżonki i na pewno niechętnie nastawionej do pięknej młodszej żony.

Gdzie była rodzina Meny? Czy kochała męża, czy po prostu została mu sprzedana? Skąd wzięła się głęboka, paskudna blizna na jej karku? Dlaczego straciła troje dzieci? Czy zdoła urodzić inne? Po paru chwilach Mena puściła moje dłonie i delikatnie poklepała mnie po ramieniu.

Otarłam twarz brzegiem fota. Siedziałyśmy obok siebie, dotykając się ramionami. Po płaczu ogarnął mnie głęboki spokój. Jakie to dziwne, pomyślałam, że przeżyłam pół świata, aby znaleźć jedyną przyjaciółkę w moim życiu, i że tą przyjaciółką jest młoda Marokanka, trzecia żona...

Z mojej piersi wyrwało się głębokie westchnienie. Od dnia, kiedy powiedziałam Etienne'owi o dziecku, bez przerwy żyłam w poczuciu niepewności i zagrożenia, lecz teraz wreszcie wracałam do równowagi.

Przyszło mi do głowy, że to nowe uczucie, uczucie ulgi i uwolnienia od niepokoju, narodziło się w chwili, gdy przyglądałam się, jak Aszulay słucha śpiewu ptaka, a także później,

gdy leżałam na dachu w słońcu, myśląc o Badou i Falidzie, ich buziach pełnych radości z moich prezentów - jeszcze jednej książeczki dla Badou i chustki na głowę dla Falidy. Pomyślałam o Aszulayu, kiedy patrzył, jak śmiałam się w Le Jardin Majorelle, i bieli jego zębów na tle ciemnej twarzy. Jeszcze raz przywołałam z pamięci wyraz jego twarzy, gdy słuchał ptasich trylów na dziedzińcu domu w Szaria Zitun. Ogarnęła mnie przyjemna senność, podciągnęłam więc kolana pod brodę, oparłam na nich ramiona i głowę, i zamknęłam oczy. Chyba zasnęłam. Po jakimś czasie usłyszałam głos Meny i uniosłam głowę. Pokazała mi, żebym poszła z nią do drzwi prowadzących na korytarz. Uznałam, że wracamy do sali, w której zostawiłyśmy ubrania, ale znalazłyśmy się w innym pomieszczeniu. Tu jedna kobieta leżała na podłodze lub siedziała po turecku, podczas gdy inne masowały ją, ugniatając ciało tak, jak się ugniata ciasto na chleb.

Mena gestem zachęciła mnie, żebym wyciągnęła się na brzuchu. My też będziemy masować się na zmianę.

W pierwszej chwili chciałam potrząsnąć głową i powiedzieć: „La, la, simkran!”, „Nie, nie, dziękuję!”, ale nie zrobiłam tego. Taka była naturalna i od dawna przestrzegana kolejność zabiegów w hammamie - najpierw ścieranie naskórka i mycie, potem pefen pary pokój, w którym można się zrelaksować i wreszcie masaż. Położyłam się na brzuchu na ręczniku, z głową na złożonych z przodu ramionach, a Mena uklękła obok mnie i od razu zaczęła ugniatać moje barki.

Spodziewałam się, że będę zakłopotana, albo przynajmniej zaniepokojona dotykiem dłoni innej kobiety, ale w hammamie wszystko to było najzupełniej naturalne.

Znowu zamknęłam oczy. Ile to czasu minęło od chwili, kiedy ostatni raz czułam pieśczośliwy dotyk ciepłych dłoni? Ponad cztery miesiące, licząc od lutowego poranka, gdy powiedziałam Etienne'owi

o dziecku. Usiłowałam przypomnieć sobie, jak Etienne i ja tuliliśmy się do siebie, starałam się odtworzyć w myśli jego pieśczołoty. Czując, jak silne, sprawne dłonie Meny masują przez fota moje czyste, wilgotne plecy, a później biodra, pośladki, uda, łydki i stopy, zanurzyłam się w pełnym rozleniwienia półśnie. Myślałam o dłoniach Etienne'a i jego ciele na moim, pozwalając wyobraźni tworzyć przesycone namiętnością sceny.

Kiedy Mena dotknęła mojego ramienia, zrozumiałam, że teraz powinnam się odwzajemnić i otworzyłam oczy, powoli wracając do pachnącego ciepła hammamu. Uklękłam obok Meny i zaczęłam rytmicznie ugniatać jej barki, i w tej chwili zdałam sobie sprawę, że wcale nie myślałam o Etiennie. Dłonie i ciało, które sobie wyobrażałam, miały leciuteńki odcień błękitu.

W końcu wróciliśmy do szatni, wysuszyły się i ubrały, a potem, niosąc wiadra z mokrymi ściereczkami i ręcznikami, wyruszyliśmy w drogę powrotną do Szaria Sura, oczywiście w asyście Nadżiba.

Gdy w milczeniu szłyśmy ulicami, uzmysłowiłam sobie, że jestem bardziej niż kiedykolwiek świadoma swego ciała, wilgotnego, czystego i swobodnego pod kaftanem. Miałam wrażenie, że wszystkie moje nerwy zostały przebudzone i chociaż oddychałam w normalnym tempie, serce biło mi chyba trochę szybciej niż zwykle.

Nie mogłam sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek czuła się tak dobrze; nie znałam uczucia, które ogarnęło mnie w hammamie.

Nie mogłam też przestać myśleć o najzupełniej nieoczekiwanych fantazjach na temat Aszulaya, które mnie tam nawiedziły, i zaczęłam sobie wmawiać, że były one tylko reakcją na

438

sytuację i zmysłową atmosferę panującą w łaźni. Z całą pewnością nie były niczym więcej, usiłowałam przekonać samą siebie.

Po południu postanowiłam zajrzeć do Badou i Falidy, wzięłam więc Nadziba, albo może jego brata bliźniaka, ponieważ w żaden sposób nie potrafiłam ich rozróżnić, i poszłam do Szaria Zitun. Zapukałam do bramy i krzyknęłam, że to ja, z uśmiechem czekając na pojawienie się Falidy lub Badou.

Jednak furtkę otworzyła Manon.

Na sekundę wstrzymałam oddech; naturalnie wiedziałam, że siostra Etienne'a może w każdej chwili wrócić, ale wbrew zdrowemu rozsądkowi nie spodziewałam się, że ją zobaczę.

- Czego chcesz? - zapytała. Podniosłam kosz, który oparłam na ziemi.

- Przyniosłam coś do jedzenia dla Badou - powiedziałam, świadoma, że lepiej będzie nie wspominać o Falidzie.

- Nie musisz karmić mojego dziecka! - rzuciła. - Sama jestem w stanie zapewnić mu wyżywienie!

- Wiem... Przyszłam tylko dlatego, że wyjechałaś, a Aszulay...

Przerwałam. Wiedziałam, że powinnam jak najmniej mówić o Aszulayu, zresztą ta złota zasada dotyczyła właściwie wszystkiego. I nie powinnam wierzyć żadnym jej słowom ani czynom.

- A więc zaprzyjaźniłaś się z Aszulayem, tak? - zapytała, przyglądając mi się uważnie.

Wciąż stałam w progu.

- Skoro już jesteś, nie będę dłużej niepokoić się, co dzieje się z Badou.

- Nie masz żadnego powodu ani prawa niepokoić się, co

439

dzieje się z moim dzieckiem! - oświadczyła. - Wejdz, nie lubię, kiedy sąsiedzi gapią się na mnie.

Rozejrzałam się po pustej ulicy i weszłam do środka. Manon zamknęła furtkę i zaryglowała ją.

- Gdzie Badou? - spytałam.

Na dziedzińcu i w domu panowała martwa cisza.

- Wysłałam go z Falidą na targ. Co przyniostaś? Wyjęła mi koszyk z rąk, uniosła serwetkę i zajrzała do słoja

pełnego kuskus z duszonymi warzywami.

- Gotujesz teraz marokańskie potrawy? - wycodziła.

- Pójdę już... Nie potrzebujesz mojego jedzenia, jak sama powiedziałaś.

Sięgnęłam po koszyk, lecz Manon nie wypuściła go z rąk.

- Badou mówił mi, że wybierasz się na wieś razem z nim i z Aszulayem - rzekła obojętnym głosem. - Dlaczego chcesz jechać? Nie ma tam nic poza Berberami i ich wielbłądami! Kurz i brud, i tyle! Mnie nikt nie zaciągnąłby tam nawet siłą...

Nie zareagowałam.

-Wiesz, że on ma żonę. - Uśmiechnęła się złośliwie i przygniotła moje palce kciukiem.

Drgnęłam nerwowo. Może wmówiłam sobie, że Aszulay nie jest żonaty. Nie myślałam o nim jako o mężu innej kobiety, kiedy zaledwie parę godzin wcześniej snułam fantazje na jego temat w hammamie...

Manon kłamała, podobnie jak wcześniej, gdy powiedziała, że Etienne nie żyje.

- Naprawdę? - odezwałam się. - Byłam u niego w domu i nie widziałam tam żony.

Nie miałam zamiaru wspominać, że byłam w domu Aszulaya, zirytował mnie jednak jej ton i wyraźne oczekiwanie na moją reakcję. Głos i wyraz twarzy Manon mówiły wyraźnie,

440

że wie, iż nie jest mi obojętne, czy Aszulay ma żonę czy nie, i że podejrzewa, jakie wizje pojawiają się w mojej głowie.

Teraz jej uśmiech zniknął, a nacisk kciuka przybrał na sile.

- Byłaś u niego w domu - powtórzyła. Spojrzałam na nią, ale nie spróbowałam się uwolnić. - Nie widziałam tam żadnej żony - powiedziałam dobitnie.

- Co tam robiłaś? -To moja sprawa!

Nagle się wyprostowałam. Zrozumiałam, że ja również mogę ją zirytować. Mogłam stawić czoło tej kobiecie! Niebyła w stanie zranić mnie swoją gadaniną...

- Oczywiście, że jej nie widziałeś! Żona Aszulaya nie mieszka w mieście!

Co właściwie powiedział mi Aszulay? Usiłowałam przypomnieć sobie naszą rozmowę i jego zaproszenie na wyprawę z nim i z Badou. „Co kilka miesięcy odwiedzam swoją rodzinę”. Wyszarpnęłam dłoń spod kciuka Manon.

- I co z tego? Co z tego, że Aszulay ma żonę?

-To zwyczajna dziewczyna ze wsi! - prychnęła z pogardą. - Zupełnie do niego nie pasuje! Prostaczka z plemienia nomadów, dobrze chociaż, że zna swoje miejsce! Najlepiej czuje się wśród swoich kóz.

- Naprawdę? - Lekko uniosłam brwi, udając brak zainteresowania.

- Nadal chcesz tam jechać? Chcesz patrzeć na Aszulaya z żoną?

- Niby dlaczego miałyby mi to przeszkadzać? - spytałam, zaniepokojona potyczką, którą toczyłyśmy.

Manon robiła wszystko, aby rozbudzić we mnie zazdrość.

441

Nagle poczułam, że w żadnym razie nie chcę ciągnąć tej rozmowy. Może jednak nie powinnam jechać z Aszulayem? Ale to oznaczałoby zwycięstwo Manon.

- Dlaczego tak jej nie lubisz? - zapytałam spokojnie. Naturalnie dobrze wiedziałam, dlaczego Manon w taki

sposób mówi o żonie Aszulaya. To ona była zazdrosna o tamtą kobietę. No i o mnie, ponieważ Aszulay poświęcił mi trochę uwagi.

Miała przecież Olivera, prawda? I Aszulaya także, niezależnie od tego, czy miał żonę, czy nie. Czy to jej nie wystarczało?

Lekko pociągnęłam kabłąk kosza i Manon wreszcie go puściła.

- Pójdę już. - Odwróciłam się do furtki.

- Och, Sidonie, zaczekaj, proszę! - zawołała Manon, bardzo uprzejmym i miłym głosem, jakiego wcześniej nigdy u niej nie słyszałam. - Chciałam ci coś podarować. Poczekaj, zaraz wrócę!

Było to mocno podejrzanе, ponieważ Manon nigdy się tak wobec mnie nie zachowywała, ale ciekawość wzięła górę nad nieufnością. Manon pobiegła po schodach na piętro i chwilę później wróciła, niosąc coś w ręce.

-To pióro i kałamarz - oznajmiła. - Prawdziwy antyk, komplet, którym posługiwali się dawni skrybowie.

Wyciągnęła ku mnie dłoń z owalnym srebrnym pojemniczkiem w kształcie jajka, pokrytym grawerowanymi wzorami.

- Popatrz, jest i pióro!

Pociągnęła za jeden koniec pojemnika i wyjęła długi metalowy patyczek. Na jego czubku lśniło coś ciemnego, pewnie atrament. Manon wykonała taki ruch, jakby chciała położyć pióro na mojej prawej dłoni, lecz stalówka ukłuła mnie, zostawiając

442

małeńką ranekę. Odruchowo szarpnęłam rękę ku sobie, na mojej skórze pojawiła się kropelka krwi.

- Och, strasznie przepraszam! - zawołała Manon. Polizała palce i przytknęła je do ranki. Trzymając moją

rękę, wymamrotała coś szybko i bardzo cicho. Po plecach przebiegł mi dreszcz.

- Co powiedziałaś? - Wyrwałam jej rękę i wytarłam dłoń o haik.

Jej spojrzenie wydało mi się czujne, nabrzmięte ukrytym znaczeniem.

- Że jestem okropnie niezgrabna - odparła.

Wiedziałam, że kłamie. Jej oczy lśniły zadowoleniem, prawie się śmiały. Spojrzałam na pióro i kałamarz, które wciąż trzymała w dłoni.

- Nie chcę ich!

Odwrociłam się, odryglowałam furtkę i wyszłam, nie zamykając jej i nie oglądając się za siebie.

Rozchorowałam się w czasie kolacji. Mąż obu kobiet i synowie zostali już obsłużeni. Siedziałam teraz na poduszkach przy niskim stoliku w salonie, razem z Meną. Nawar była jeszcze w kuchni i czekałyśmy na nią. Patrzyłam na ustawione na blacie naczynia i nagle cały obraz zaczął rozmywać się przed moimi oczami. Zabolęła mnie ręka, więc spojrzałam w dół.

Dłoń miałam spuchniętą, a brzegi małej ranki przybrały ciemnoczerwony kolor. Czułam, że muszę się położyć. Usiłowałam wstać, odpychając się lewą ręką od stołu. Mena zadała mi jakieś pytanie, lecz miałam wrażenie, że jej głos dobiega z ogromnej odległości.

-Chora... - powiedziałam po arabsku, najzupełniej niepotrzebnie.

Mena wstała i podeszła do mnie. Na twarz wystąpił mi pot, otarłam więc czoło wierzchem prawej dłoni. Mena ujęła

443

mnie za przegub i przyjrzała się ranie. Zrozumiałam, że pyta, co to takiego.

Teraz dygotałam jak w febrze. Jakie to miało znaczenie, skąd ta rana. Musiałam się położyć, spróbowałam więc wyrwać rękę, ale Mena trzymała ją mocno. Znowu zadała to samo pytanie.

Jak mogłam wyjaśnić jej, co się stało. Dysponowałam przecież tak ograniczonym zasobem arabskich słów.

- Kobieta - powiedziałam słabo. - Zraniła mnie.

- Sikeenf - spytała Mena.

Pokręciłam głową, ponieważ nie rozumiałam, co mówi. Drugą ręką podniosła ze stołu nóż.

- Sikeenf? - powtórzyła, wskazując moją dłoń. Zaprzeczyłam i zdrową dłonią wykonałam ruch imitujący

pisanie. Gorączkowo zastanawiałam się, jak lepiej wytłumaczyć, że mam na myśli pióro i dlaczego Mena robi tyle zamieszania wokół tak mało istotnej sprawy, kiedy ja czuję się taka chora.

- Qalam?- rzuciła szybko. Tym razem kiwnęłam głową.

- Tak, qalam, pióro... Ukłuła mnie piórem... - wymamrotałam, zdając sobie sprawę, że Mena nie rozumie francuskiego.

Znowu próbowałam uwolnić rękę, ale Mena nie wypuściła jej z uścisku. Zawołała Nawar i służącą, które po chwili przyszły z kuchni, i powiedziała coś szybko, pokazując im moją dłoń.

Staruszka wydała rozpaczliwy jęk i ukryła twarz w fartuchu. Oczy Nawar rozszerzyły się, a z jej ust popłynął strumień arabskich słów, może modlitwy.

Mena znowu powiedziała coś do mnie, raz po raz powtarzając jakiś wyraz, a potem odwróciła się do Nawar i w środku dłuższej frazy usłyszałam imię Aszulaya.

444

W pokoju było za gorąco i za jasno. Głos Meny i modlitwa Nawar mieszały się z pojękiwaniem starej służącej i wszystkie te dźwięki przerodziły się w pozbawione sensu, szatańskie wrzaski. Podłoga zafalowała pod moimi stopami i poszybowała w górę, w niewyjaśniony sposób zbliżając się do mojego policzka.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI.

Ostry, mocny zapach parzył mnie w nozdrza, odwróciłam więc głowę w drugą stronę. Czoło zabolęło mnie przy tym ruchu i otworzyłam oczy, lecz w pierwszej chwili zobaczyłam tylko rozmyte kontury różnych przedmiotów. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że leżę na szezlongu w głównym pokoju, a Mena wachluje mnie małą, dymiącą torebką.

- Bismillah rahman rahim - powtarzała raz po raz.

Zajrzała mi w oczy i powiedziała coś innego. Z całego zdania zrozumiałam tylko słowo „dżin”.

Chciałam potrząsnąć głową i wyjaśnić jej, że to nie dżin, nie zły duch, tylko pewnie coś, co zjadłam w ciągu dnia i co mi zaszkodziło. Chciałam, żeby przestała wymachiwać mi przed twarzą tą dymiącą sakiewką, ale nie przychodziło mi do głowy żadne arabskie słowo poza la, nie.

I wtedy zobaczyłam Aszulaya. Pojawił się za plecami Meny i powiedział coś do niej. Mena ściągnęła chustkę tak nisko na twarz, że zupełnie ją zasłaniała. Odpowiedziała kilkoma krótkimi zdaniami, które wyrzucała z siebie szybko, jedno po drugim, i znowu ujęła przegub mojej prawej dłoni.

Aszulay powiedział jedno zdanie i Mena wyszła.

Przykucnął obok mnie.

- Mena mówi, że jakaś zła kobieta zastosowała przeciwko tobie czary.

Próbowałam się uśmiechnąć, słysząc ten absurd, ale wciąż miałam wrażenie, że unoszę się w dziwnie zgęstniałym powietrzu, jak w przykrym śnie. Czy Aszulay naprawdę był przy mnie, czy tylko go sobie wyobraziłam, jak wcześniej w hammamie?

- Nie, to tylko... Żle się czuję, nic więcej... Może coś zjadłam... - Mój głos odpłynął gdzieś w przestrzeń.

Wziął mnie za rękę, jego cudownie chłodne palce zamknęły się wokół mojego przegubu. Twarz mi płonęła, a jeden policzek pulsował bólem, przycisnęłam więc do niego wierzch dłoni Aszulaya i zamknęłam oczy, porażona nieoczekiwaną ulgą. Dotknęłam jego skóry wargami i wciągnęłam powietrze, próbując poczuć zapach błękitu.

- Co z twoją twarzą, Sidonie?

Głos Aszulaya był cichy i łagodny. Nie cofnął dłoni.

Otworzyłam oczy i nagle ujrzałam jego twarz z bliska i bardzo wyraźnie. Uświadomiłam sobie, co robię i że wcale nie śnię. Puściłam jego rękę i przesunęłam palcami po bliźnie, lecz po chwili zorientowałam się, że Aszulay patrzy na mój drugi policzek. Kiedy go dotknęłam, poczułam opuchliznę.

- Zemdlałam - powiedziałam, mocno zażenowana. - Musiałam uderzyć policzkiem o ziemię. Przepraszam, że cię tu ściągnęli. - Spróbowałam usiąść, ale byłam zbyt słaba. - Jutro wrócę do siebie, muszę się tylko przespać.

- Kim jest ta kobieta, o której mówiłaś Menie? - Aszulay pomógł mi się położyć.

- Manon... Poszłam sprawdzić, czy z Badou i Falidą wszystko w porządku, ale nie było ich w domu... Zastałam Manon...

- I? Co ci się stało w rękę?

Z mojego gardła wydobył się cichy dźwięk, trochę jakbym starała się rozeźmiać.

- Nic, naprawdę. Manon chciała mi coś podarować, nie mam pojęcia, dlaczego. Nie lubi mnie, prawda?

Aszulay siedział nieruchomo, w milczeniu.

- To było stare pióro z kałamarzem. Dała mi je i czubek pióra lekko mnie ukłuł, to wszystko.

Wyraz jego twarzy zmienił się, prawie niedostrzegalnie, ale jednak.

- Może powinienem zabrać cię do szpitala w dzielnicy francuskiej - odezwał się.

- Co? Nie... Mam w pokoju jakąś maść, chyba pomoże... Zęby mi szczękały. Jeszcze chwilę wcześniej było mi gorąco, teraz dygotałam z zimna.

Aszulay odwrócił głowę i zawołał coś, a potem znowu podniósł moją dłoń i przyjrzał jej się uważnie. Zobaczyłam, że jeszcze bardziej spuchła. Usiłowałam zgiąć palce, ale nie mogłam.

Sponad ramienia Aszulaya wyjrzała twarz starej służącej. Powiedział coś do niej i wyszła.

- Przyniesie ci koc. Kazałem jej też posłać jednego z chłopców po coś do mojego domu. Potrzeba ci czegoś więcej niż błogosławieństw i palonych ziół... -Jego wzrok zatrzymał się

na mojej piersi. - Czy amuletów... - dodał.

Spojrzałam na mały przedmiot, który trzymał w dłoni -koło i oko na złotym łańcuszku. Amulet należał do Meny, zauważyłam go, kiedy rozbierała się w hammamie. Musiała włożyć mi go na szyję, kiedy straciłam przytomność.

Aszulay puścił amulet i wstał. Służąca znowu się pojawiła i podała mu koc, mamrocząc coś pod nosem. Wziął go od niej i otulił mnie miękką tkaniną.

Zapadałam w niespokojną drzemkę i budziłam się, świadoma,

448

że Aszulay wciąż siedzi obok mnie na niskim stołeczku. Po jakimś czasie uniósł moją dłoń. Trudno było mi otworzyć oczy, ale zdobyłam się na wysiłek i zobaczyłam jego głowę, pochyloną nad moją ręką. Trzymał coś między kciukiem i wskazującym palcem. Nagle poczułam głębokie ukłucie i szarpnęłam dłoń ku sobie, lecz Aszulay mocno ją trzymał. Jęknęłam, bo grzebał w ranie czymś gorącym i ostrym.

Zamruczał coś po arabsku, kojąco i spokojnie, jakby mówił, że zaraz będzie po wszystkim, albo że przeprasza, że zadaje mi ból.

Wstrzymałam oddech.

Wreszcie uniósł głowę, a ja wydałam cichy okrzyk ulgi, bo ból ustał.

- Mam to - powiedział.

Nie rozumiałam, o co mu chodzi i wcale mnie to nie obchodziło.

Rana zapiekła mnie gwałtownie. Znowu wciągnęłam powietrze i dźwignęłam głowę z pościeli, żeby zobaczyć, co się dzieje. Aszulay polewał dłoń jakimś płynem, pachnącym środkiem dezynfekcyjnym.

- Boli - szepnęłam. Kiwnął głową.

- Wiem, zaraz przestanie. - Owinął mi rękę czystą gazą. -Wypij to, dobrze? - Przytknął do moich ust szklanekę.

Poczułam słodki smak, który nie stłumił wyraźnej goryczy.

- Zmniejszy ból i gorączkę - wyjaśnił Aszulay.

Wypiłam wszystko i opadłam na poduszkę. Ręka pulsowała ostrym bólem. Aszulay siedział przy mnie w milczeniu i po pewnym czasie - nie wiem, jak długim - uświadomiłam sobie, że ból odpłynął, a mnie powoli ogarnia senny spokój.

- Już nie boli - wymamrotałam.

- To dobrze. - Poglaskał moje czoło.

449

Wiedziałam, że zasypiam.

- Myślałam dzisiaj o twoich dłoniach - szepnęłam. -Whammamie...

Zapadłam w głęboki sen.

Kiedy się obudziłam następnego ranka, przez parę chwil leżałam z otwartymi oczami w ciepłym półmroku, zastanawiając się, dlaczego nie jestem na górze, w swoim pokoju. Potem uniosłam rękę i zobaczyłam gazowy opatrunek.

Mena weszła do pokoju ze szklanką herbaty. Powoli usiadłam.

- Kayfal haal? - spytała, podając mi szklankę. Wzięłam ją ostrożnie obiema dłońmi, uważając na tę chorą.

- Czuję się dobrze - odpowiedziałam po arabsku na jej pytanie.

Naprawdę czułam się dobrze - nie miałam już gorączki, a ręka była tylko trochę obolała i sztywna.

Pomyślałam o pochylonym nad moją dłońią Aszulayu.

- Aszulay? Jest tutaj?

- La. - Mena potrząsnęła głową.

Mniej więcej po godzinie poczułam się na tyle silna, żeby pójść do swojego pokoju, przebrać się i uczesać. Byłam jednak wciąż osłabiona i niepewnie poruszałam zabandażowaną ręką. Siniak na policzku przybrał ciemny odcień fioleto, ale bolał tylko przy dotyku.

Kiedy Aszulay przyszedł, siedziałam na dziedzińcu. Patrzyłam na niego z onieśmieleniem - ile wydarzeń ostatniego wieczoru ^naprawdę miało miejsce, a ile istniało tylko w mojej głowie? Wspomnienia mieszały się z myślami o Aszulayu, które nawiedzały mnie w hammamie.

450

Uśmiechnął się do mnie, a ja odpowiedziałam uśmiechem.

- Wyglądasz o wiele lepiej! - Pokiwał głową. - Siedziałem przy tobie do świtu, ale gdy zobaczyłem, że gorączka opadła i obrzęk zniknął, poszedłem do domu.

Przykucnął przede mną, ujął dłoń i delikatnie odwinął gazę.

- Tak, popatrz... Teraz już wszystko będzie dobrze! Trucizna przestała działać.

- Trucizna? - Spojrzałam na swoje palce, oparte na dłoni Aszulaya.

Moja ręka wróciła do normalnej wielkości, rana wydawała się niewinnie mała. Nagle przypomniałam sobie, jak poprzedniej nocy przycisnęłam wargi do jego dłoni. Na szczęście wiedział, że mam wysoką gorączkę i nie mogę odpowiadać za swoje czyny.

Znowu owinął moją dłoń gazą.

- Nie zdejmuj dzisiaj opatrunku, rana powinna być czysta - powiedział. - Do jutra pewnie się zagoi, przynajmniej częściowo.

- Trucizna? - powtórzyłam. - Jaka trucizna? Podniósł się i odwrócił wzrok.

- Wyjąłem z rany małą drzazgę, kawałek kości. Niektóre stare pióra miały czubki wykonane z zaostrej kości.

Pomyślałam o Falidzie na cmentarzu, o jej przerażającym poszukiwaniu rzeczy, których potrzebowała Manon. Zadrżałam, zupełnie jakby gorączka z poprzedniej nocy nagle wróciła.

- Ale dlaczego kawałek starej kości miałby wywołać infekcję?

Spojrzał na mnie.

- Sama stara kość nie, ale... Może... Może jeśli ktoś zanurzył ją w jakiejś substancji... - przerwał. - Nie jestem pewny...

451

- A gdybyś jej nie wyjął? Gdyby Mena nie posłała po ciebie?

- Za dwa dni jadę z Badou na wieś - powiedział, w oczywisty sposób zmieniając temat. - Nadal chcesz wybrać się z nami?

Nie chciał odpowiedzieć na moje pytania. Skinęłam głową, świadoma, że nie powinnam dłużej drążyć tego tematu. Nie mogłam zapytać go, czy wierzy, tak jak ja, że Manon z rozmysłem próbowała wyrządzić mi krzywdę. Kiedy dowiedziała się, że chcę wyjechać z miasta z Aszulayem i jej synem, postanowiła mnie powstrzymać.

Manon ani przez chwilę nie zamierzała dać mi pióra i kałamarza w prezencie. Zraniła mnie celowo.

Nie chciałam jej więcej widzieć, już nigdy.

Nie chciałam też myśleć o Badou i Falidzie, zdanych na łaskę i niełaskę kobiety zdolnej do tak wielkiego zła.

Dwa dni później Aszulay przyjechał do Szaria Sura razem z Badou. Chłopiec czekał na ulicy. Układałam właśnie haik na głowie, gdy Aszulay wypowiedział moje imię w taki sposób, że znieruchomiałam z płóciennym okryciem w ręku.

- Tak? - odezwałam się.

Aszulay wyglądał dziwnie, chyba był trochę skrępowany albo niepewny. Nigdy nie widziałam u niego takiego wyrazu twarzy.

- Na pewno chcesz z nami jechać? Kiwnęłam głową.

- Tak. Czemu pytasz?

- U Manon... - przerwał i chwilę milczał. - Kiedy przyjechałem po Badou...

- Nie! - powiedziałam. Umilkł.

452

Wyobraziłam sobie rozmowę, którą odbyli. Aszulay na pewno zarzucił Manon, że próbowała mnie skrzywdzić i na pewno się pokłócili. Teraz powtórzyłby mi, co powiedziała, albo może próbowałby jakoś wytłumaczyć jej postępek. Nie miałam cienia wątpliwości, że Manon zapytała, czy jadę z nim i Badou. Spodziewała się, że zaprzeczy i powie, że jestem chora. Nie chciała, żebym spędzała czas z Aszulayem, była o mnie zazdrosna, to oczywiste. A kiedy usłyszała, że jednak jadę... W najciemniejszym zakamarku mojego serca zapłonęła iskierka satysfakcji na myśl o jej wściekłości, gdy dotarło do niej, że mimo wszystko nie zdołała mi zaszkodzić. Pragnęłam, aby doszła do wniosku, że jestem silniejsza od niej.

- Wszystko mi jedno, co wydarzyło się u Manon - podjęłam. - Nie chcę tego wiedzieć! Wolę zostawić za sobą wszystkie myśli o Manon i Szaria Zitun! Tylko na te dwa dni, dobrze? Proszę, nie mów mi nic o niej.

Patrzył na mnie długo, z takim wyrazem twarzy, jakby spierał się sam ze sobą, a potem, prawie niechętnie, skinął głową. Zamknęliśmy za sobą bramę i wszyscy troje ruszyliśmy wąskimi uliczkami medyny, których jeszcze nie zdążyłam odkryć. Czułam się bardzo dobrze. Niosłam płócienną torbę, natomiast Aszulay dźwigał na ramieniu dwa duże parciane worki.

Prześliśmy zadaszony suk, przeszliśmy pod wysokim łukiem w murze medyny i niespodziewanie znaleźliśmy się w zupełnie innym miejscu. Wszyscy nosili tu trochę inne stroje, a wiele kobiet, choć w udrapowanych na głowach szalach, miało niezastłonięte twarze. Budynki były wyższe i węższe, panele drzwi bogato zdobione.

- Gdzie jesteśmy, Aszulay? - spytałam.

- W Mellah - odparł. - W dzielnicy żydowskiej ... - Spojrzył na mnie. - Słyszałaś o marokańskich Żydach?

Potrząsnęłam głową. Etienne nigdy nie wspominał mi o Żydach.

- Melh znaczy „sól”. Po krwawych walkach, jakie w starożytnych czasach toczyły się w Marrakeszu, Żydom powierzono zadanie konserwowania w soli głów wrogów, które później zgodnie ze zwyczajem wystawiano na murach.

Ściągnęłam brwi i pomyślałam o genezie nazwy „Dżemma el Fna”.

- Dziś Żydzi, a zwłaszcza Żydówki, odgrywają ważną rolę w życiu bogatych Marokanek. Świadczą wiele usług dla kobiet, które nie mogą wychodzić z domu, przynoszą im materiały w najlepszym gatunku, szyją stroje, dostarczają próbki biżuterii. Są mile widziane w haremach.

Rozejrzałam się po tym mieście wewnątrz miasta. Wszędzie dookoła rozbrzmiewał inny język. Kiedy przeszliśmy przez otwartą bramę, zobaczyliśmy wielu małych chłopców, siedzących ramię w ramię na drewnianych ławkach, ustawionych na jednym z dziedzińców. Wszyscy trzymali małe książeczki i kołysali się w przód i w tył, nierównym chórem recytując jakiś tekst.

- Popatrz, wujku, l'ecole! - Badou pociągnął nas za ręce, żebyśmy przystanęli. - Ci chłopcy są w szkole!

Aszulay nie zwolnił kroku. Kiedy ja także poszłam dalej, Badou puścił moją dłoń i podbiegł do niego.

- Niedługo ja też pójdę do szkoły, prawda, wujku? Aszulay nie odpowiedział, chociaż Badou wpatrywał się

w niego wyczekująco.

- Dlaczego Badou nie chodzi do szkoły? - zapytałam. - Chyba jest już dość duży.

Chłopcy których czasami widywałam na uliczkach medyny, maszerujący trójkami lub czwórkami, trzymanymi za ręce przez starszych braci, z pewnością nie byli starsi od Badou.

Niektóre dzieci w żydowskiej szkole, którą przed chwilą minęliśmy, wyglądali nawet na młodszych.

Aszulay lekko potrząsnął głową i zrozumiałam, że nie należy ciągnąć tego tematu.

- Chodźmy tędy! - rzekł, skręcając w ciemną, wąską alejkę. - Zostawiłem furgonetkę pod murami Mellah.

Pokonaliśmy kilka mrocznych przejść i Aszulay otworzył szerokie podwójne drzwi. Na niewielkim podwórku stał samochód ze skrzynią z tyłu. Był zakurzony i powgniatany, podobnie jak wszystkie, które widziałam w Maroku; najwyraźniej nie oszczędzano go podczas jazdy.

Aszulay otworzył drzwiczki i wrzucił worki na osłonięty grubym płótnem tył furgonetki. Obeszłam samochód dookoła, przesuwając palcami po zderzakach.

- Co to za marka? - zagadnęłam. - Nie znam jej. Aszulay spojrzał na mnie ponad maską.

- Fiat la Camionette z tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku.

- Ach, fiat... Nigdy nie widziałam furgonetki fiata, chociaż czytałam o nich. My mieliśmy... - przerwałam.

Jeszcze chwila i zaczęłabym opowiadać mu o naszym rolls roysie.

- Miałam samochód - dokończyłam.

- Czy w Ameryce wszyscy mają samochody?

- Och, nie! - odparłam. - Nie wszyscy.

- Chodź, Badou! - rzekł Aszulay. - Wskakuj do środka! Chłopiec wgramolił się do kabiny, uklęknął na siedzeniu

kierowcy, chwycił kierownicę obiema rękami i zaczął gwałtownie kręcić nią w prawo i w lewo.

- Spójrz na mnie, Sidonie, spójrz! - Uśmiechnął się szeroko. - Prowadzę samochód!

Lewa górna jedyńska wisiała mu dosłownie na włosku.

455

Uśmiechnęłam się i położyłam torbę na podłodze. Gdy Aszulay wsiadł, Badou przesunął się w moją stronę.

Aszulay zasłonił końcem turbana nos i usta i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zakastał, zakrzuszył się, ryknął i fiat ożył.

Zatrzymaliśmy się na obrzeżach Marrakeszu. Aszulay podszedł do jakiegoś straganu i po chwili wrócił z klatką, w której zamknięte były cztery kurczaki. Postawił klatkę z tyłu furgonetki, w części odgradzonej od kabiny płócienną zasłoną. Kurczęta natychmiast zaniósł się głośnym gdakaniem.

Kiedy wyjechaliśmy już z miasta i znaleźliśmy się na piste, zapytałam Aszulaya, jak długo potrwa podróż do jego rodzinnego domu.

- Pięć godzin, jeżeli nie będziemy mieli żadnych problemów - odparł przytłumionym przez turban głosem. - Jedziemy na południowy wschód, do doliny Urika. To niecałe siedemdziesiąt kilometrów od Marrakeszu, ale po piste trudno się jedzie.

Obserwowałam go przez chwilę, ubawiona widokiem Błękitnego Człowieka z Sahary prowadzącego podskakującą na wybojach furgonetkę, a nie wielbłąda.

- Moja rodzina mieszka tam w małej wiosce - dodał.

Popołudnie było niebieskie, czerwone i białe, niebo przejrzyste i szeroko rozpięte nad naszymi głowami, ziemia wokół nas rdzawa, a w oddali przykryte śnieżnymi czapami wyniosłe góry.

Aszulay odstąpił twarz i niskim, głębokim głosem zaczął śpiewać arabską pieśń, a Badou klaskał rytmicznie i włączał się do refrenu,.

Co pomyślałby o mnie Etienne, gdyby mnie teraz zobaczył? Nie byłam już tą samą kobietą, którą poznał w Albany.

Z drugiej strony, on także nie był mężczyzną, którego, jak sądziłam, znałam...

Nie chciałam myśleć o Etiennie, zaczęłam więc klaskać razem z Badou. Kiedy siedziałam w furgonetce Aszulaya, przez głowę przemknęła mi myśl, że może powinnam czuć się mała i nieważna w otoczeniu tej niezwyklej przyrody, a jednak wcale się tak nie czułam. Ogrom niebosłonu i gór napełniał mnie zupełnie przeciwnym uczuciem.

Drogi były, jak stwierdził Aszulay, niełatwe i chyba jeszcze bardziej zdradliwe od tych, które przebyłam z Mustafą i Azizem. Tu pokonywaliśmy ostre zakręty i połacie kamienistego gruntu, typowe dla podnóży Atlasu. Musieliśmy przedzierać się między osłami, końmi i wielbłądami. Podskakiwaliśmy i chwialiśmy się, Badou obijał się między nami, a czasami śmialiśmy się głośno, kiedy natrafiliśmy na szczególnie duży głaz i siła uderzenia wyrzucała nas w górę.

Po jakichś trzech godzinach zatrzymaliśmy się w zagajniku wysokich pierzastych drzew. Był tu płytki, wartki strumyk, wypływający ze skalnego usypiska. Na brzegu klęczeli kobieta i mężczyzna, zapewne z plemienia Berberów, ponieważ ona miała odkrytą twarz, i napełniali wodą skórzane bukłaki. Dwa osły z ogromnymi słomianymi koszami na grzbietach przestępowały niecierpliwie z jednej krótkiej nogi na drugą i ryczały głośno, dopóki właściciele nie przyprowadzili ich nad strumień, żeby mogły się napić.

Troje małych dzieci - dziewczynka i dwóch chłopców, jeden najwyżej dwuletni - ze śmiechem pluskało się w płytkiej wodzie. Kiedy pomagałam Badou wysiąść z furgonetki, zauważyłam, że przygląda im się uważnie. Haik i zastonę zostawiłam w kabinie.

Wzięłam Badou za rękę i poszliśmy na brzeg strumienia,

gdzie przykucnęliśmy, nabraliśmy wody w złożone dłonie i zaspokoiliśmy pragnienie. Moką dłonią obmyłam buzię Badou, zakurzoną po długiej jeździe. Kątem oka dostrzegłam, że Aszulay wspina się na niewielkie wzniesienie i znika za nim. Usadoviłam się z Badou nad wodą i wyjęłam z torby chleb, ser i orzechy. Gdy jedliśmy, Badou nie spuszczał oczu z trojga dzieci.

Nagle jedno z nich, starszy chłopiec, mniej więcej w wieku Badou, podbiegł do nas i odezwał się po arabsku. Badou potrząsnął głową. Chłopiec wrócił do osiołków, sięgnął do jednego kosza i wyciągnął pomarańczę. Podszedł do Badou, przykucnął przed nim i obrał owoc, a gdy skończył, przedzielił go na pół i podał jedną część Badou.

Badou spojrział na pomarańczę i przeniósł wzrok na mnie.

- Weź! - Uśmiechnęłam się. - I podziękuj.

Badou wziął owoc i wymamrotał coś do chłopca. Włożyłam kilka orzechów do ręki Badou i wskazałam naszego nowego znajomego. Badou dał mu orzechy, a ten wcisnął je sobie wszystkie do buzi i mówił coś, plując dookoła orzechami. Badou znowu potrząsnął głową i chłopak odbiegł do swojego rodzeństwa.

- Nie chcesz się z nimi bawić? - spytałam, wiedząc, że właśnie o to chodziło tamtemu chłopcu.

Badou pokręcił głową. Nie zjadł swojej połówki pomarańczy; trzymał ją w zaciśniętej dłoni i spomiędzy palców kapał mu sok.

Dzieci zbierały kamyki na brzegu strumienia, rzucały je wysoko w górę i patrzyły, jak spadają do wody, wzbudzając fontanny drobnych kropelek. Badou wstał. Zjadł owoc po jednej części i podniósł kamień, który leżał u jego stóp. Zaczął naśladować dzieci - podrzucił kamyk i przyglądał się, jak spada do strumyka. Po chwili powtórzył całą operację, zbliżając

458

się do tamtych trojga. Serce zabiło mi mocniej. Bardzo chciałam, aby Badou przestał się bać, aby przyłączył się do dzieci i bawił jak zwyczajny chłopiec.

W końcu wszedł do wody po kolana i stanął obok dzieci, rzucając kamyki razem z nimi. Podniosłam się, zadowolona, i ruszyłam brzegiem strumienia, co jakiś czas schylając się po gładkie mokre kamienie, lśniące w słońcu. Obejrzałam się na Badou i zobaczyłam, że wciąż stoi w wodzie, teraz jednak jego spojrzenie utkwione było w najmłodszym dziecku. Mały zostawił starszego brata i siostrę i wrócił do matki. Chodził za nią wszędzie, trzymając się rąbka jej tuniki.

Zaczęłam się zastanawiać, gdzie zniknął Aszulay.

Badou znowu zajął się rzucaniem kamyków, ale po chwili matka zawołała tamte dzieci na posiłek. Badou poszukał mnie wzrokiem i z uśmiechem ruszył ku mnie środkiem strumienia, dla zabawy wypychając językiem ruszający się ząb. Kiedy stanął przede mną, schyliłam się i mocno go uściskałam. Byłam dumna z jego małego aktu odwagi. Buzia Badou pachniała pomarańczą.

- Pomóż mi szukać ładnych kamyków - powiedziałam.

Nie posłuchał mnie. Gdy powoli ruszyłam dalej, poszedł za mną, mocno trzymając się brzegu mojej tuniki.

Trochę później usiedliśmy w cieniu pod drzewami. Rodzina skończyła posiłek i ojciec drzemał w słońcu. Matka siedziała oparta o pień drzewa, trzymając najmniejsze dziecko, które zasnęło na jej ramieniu. Dwoje starszych usiadło po turecku naprzeciwko siebie i zajęło się układaniem kopczyków z drobnutkich kamyków. Osiołki skubały suche rośliny wokół skał. Słychać było tylko cichy plusk płynącej wody, szelest długich, wąskich liści drzew, poruszanych lekkim wiatrem i chrzęst trawy, miażdżonej zębami osłów.

459

Badou wyciągnął się na ziemi i oparł głowę na moich kolanach. Kiedy powieki mu opadły, zobaczyłam cień jego długich rzęs na policzkach.

I tak znalazł nas Aszulay.

- Śpi - odezwałam się cicho, dotykając głowy Badou. - Masz ochotę coś zjeść?

Potrząsnął głową.

- Musimy niedługo jechać, bo późno dotrzemy na miejsce - rzekł, podnosząc wzrok ku niebu.

Sprawił wrażenie roztargnionego i w jakiś sposób odległego. Ochlapał wodą twarz i szyję i zmoczył włosy, które lśniły granatową czernią, wspaniale gęste, usiane malutkimi kroplami. Usiadł obok nas.

- Pytałaś, dlaczego Badou nie chodzi do szkoły... - Popatrzył na chłopca. - Nie chodzi, bo nie ma takiej możliwości...

- Dlaczego?

- Matka nie wychowała go w wierze muzułmańskiej. Jest niewierzący, więc nie może przekroczyć progu meczetu ani madrasy, szkoły, żeby poznawać Koran. Nie może też zostać uczniem jednej z prywatnych francuskich szkół w La Ville Nouvelle, ponieważ Manon nie jest Francuzką czystej krwi. Dlatego nie ma miejsca, gdzie Badou mógłby się uczyć.

- Ale... - zająknęłam się, zupełnie zaskoczona. - Przecież Manon na pewno zależy, żeby zdobył wykształcenie! Dlaczego przynajmniej nie uczy go sama? Jest inteligentną kobietą, nawet jeżeli brak jej innych zalet.

Nie chciałam, aby mój sarkazm był aż tak czytelny, ale marnie się starałam. Zawsze, zawsze miałam świadomość, że Aszulay musi być w niej zakochany, mimo całego jej okrucieństwa i dwulicowości.

Aszulay popatrzył na mnie w milczeniu, położył rękę na ramieniu Badou i potrząsnął nim łagodnie.

460

- Jedziemy dalej - powiedział.

Badou sennie dźwignął się na nogi i we troje wróciliśmy do samochodu.

Za wzniesieniem, za którym wcześniej zniknął Aszulay, znajdował się cmentarz. Skąd się tu wziął, pośrodku bied, w tej pustce? Niskie spiczaste kamienie na łagodnym zbocz przypominały nierówne rzędy połamanych zębów. Chciałam zapytać Aszulaya o jego żonę. Czułam, że z każdą chwilą ogarnia mnie coraz większy niepokój. Co ona sobie o mnie pomyśli, kiedy przyjadę do wioski z jej mężem i dzieckiem innej kobiety?

Nagle pożałowałam, że w ogóle wybrałam się w tę podróż. Powinnam była posłuchać cichego głosu instynktu, który odezwał się we mnie u Manon, gdy oświadczyła, że Aszulay ma żonę.

- Jeszcze niecała godzina i będziemy na miejscu - oznajmił Aszulay.

Kiwnęłam głową i utkwiałam wzrok w bocznej szybie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI.

- Dolina Urika - powiedział Aszulay, gdy trochę później jechaliśmy przez ogrody i działki uprawnej ziemi.

Widziałam daktylowe gaje, oddychałam powietrzem przesyconym oszałamiającym zapachem mięty i oleandra. Rozpoznałam drzewa morelowe, drzewa granatu i figowe; dolina była żyzna i zielona. Zbocza otaczały z dwóch stron rozciągające się w dole pola, a zielone rośliny łagodnie falowały, poruszone lekkim wiatrem. Na zboczach wzgórz schodzących od Wysokiego Atlasu roilo się od lepianek z ubitej czerwonej gliny i słomy, które Aszulay nazywał pisę. Wszędzie na wijącym się szlaku w pobliżu niewielkich osad spotykało się kobiety, dźwigające na plecach worki, węzłki lub wiązki chrustu, często z niemowlętami w chustach na biodrze lub u piersi. Co chwila musiałam przełykać ślinę i coraz bardziej bolała mnie głowa. Przytknęłam dłoń do czoła i Aszulay spojrzał na mnie ze zrozumieniem.

- To wysokość - rzekł. - Napij się wody.

Wyjęłam bukłak z koziej skóry zza siedzenia i napiłam się. Podałam go potem Badou i Aszulayowi, lecz Aszulay potrząsnął głową.

Dolina się zwężała i łagodnie wznosiła ku wzgórzom. Nagle szlak piste skończył się i Aszulay zatrzymał samochód. Gdy wysiedliśmy,

462

usłyszałam głośny szum wody. Aszulay wziął worki i zarzucił na jedno ramię, na drugim oparł klatkę z rozgdakanyimi kurczakami. Gestem kazał mi zabrać moją torbę.

- Nie musisz wkładać tu haik ani zasłony - powiedział. Zostawiłam je w furgonetce i w samym kaftanie ruszyłam

za Aszulayem w kierunku szumiącej wody, trzymając Badou za rękę. Po paru chwilach natknęliśmy się na połączenie siedmiu wąskich wodospadów, spływających po skałach ku położonej niżej wiosce. Zaczęliśmy powoli schodzić ścieżką, wydeptaną kopytami zwierząt i ludzkimi stopami.

Od razu się zorientowałam, że nie zdołam utrzymać równowagi i podniosłam leżący z boku ścieżki długi, mocny kij. Czerwone babouches Badou na gładkich skórzanych podeszwach ślizgały się na kamienistym szlaku i chłopiec co chwila przystawał, chwytając mnie za kaftan. Aszulay obejrzał się na nas; sam zdjął babouches i rzucił je w dół, daleko przed siebie, i teraz szedł boso.

- Zaczekajcie! - zawołał i szybko zbiegł po zboczu. Postawił klatkę z kurczętami i worki, schylił się, wziął

w palce szczyptę ziemi i położył ją sobie na języku. Przyglądałam mu się z zaciekawieniem. Nie miałam pojęcia, dlaczego je piasek, ale poruszyło mnie to symboliczne, a jednocześnie całkiem dosłowne podkreślenie związku z tą czerwoną ziemią. Aszulay wspiął się do nas i jedną ręką uniósł Badou, który mocno objął go za szyję, a drugą wyciągnął do mnie. Chwyciłam ją i powoli zesliśmy po stromiźnie. Moja dłoń bez trudu mieściła się w cieplej i suchej dłoni Aszulaya. Czułam, że skórę mam wilgotną ze zdenerwowania, powodem były nie tylko kłopoty z utrzymaniem równowagi, lecz także niepewność, co czeka mnie w wiosce.

Na dole Aszulay puścił moją rękę, postawił Badou na ziemi i znowu podniósł worki oraz klatkę.

463

Wioska, położona częściowo na zboczu wzgórza, składała się z domów pięt z płaskimi dachami. Ponieważ wzgórze i wczepione w nie domy były tego samego rdzawego koloru, całość natychmiast skojarzyła mi się z typową dla kameleonów zdolnością do adaptacji.

Pod wzgórzem stał krąg namiotów z tkanego włosia, których w pierwszej chwili w ogóle nie zauważyłam, ponieważ, podobnie jak wioska, w ogóle nie odcinały się od gruntu. W pyle leżały wsparte na kolanach wielbłądy, jak zwykle wyniosłe zapatrzone gdzieś przed siebie. Osły ryczały donośnie, piały koguty.

Do domów prowadziło kilka ścieżek. Schodząca w dół grupka dzieci powitała Aszulaya wesołymi okrzykami. Obserwowałam zachowanie Badou - podobnie jak nad strumieniem, mały trzymał się blisko mnie i nie zdradzał chęci przyłączenia się do rówieśników. Szliśmy w górę między domami i ludzie wychodzili na zewnątrz, wołając coś do Aszulaya, który co chwila stawił na ziemi bagaże, aby przywitać się z mężczyznami rytualnym trzykrotnym pocałunkiem w policzek. Wszyscy przyglądali mi się z wyraźnym zaciekawieniem, co mocno mnie krępowało. Kobiety nosiły długie, skromne suknie, a jednak podobne były do stada barwnych ptaków - ich suknie zdobiły hafty na dole, wokół dekoltu i brzegów rękawów. Czasami spod materiału błyskała srebrna biżuteria. Niektóre kobiety spinały suknie na ramionach mosiężnymi albo srebrnymi broszami, które widywałam na targu, i stąd wiedziałam, że nazywają się fibulae. Na głowach kobiet pyszniły się drapowane szale, głównie czarne, zawsze haftowane w barwne kwiaty. Wszystkie chodziły boszo, a ich stopy i ręce zdobione były henną.

Staralam się nie przyglądać im zbyt natrętnie, lecz naprawdę trudno było oderwać od nich oczy. Niektóre miały namalowane

464

na twarzy szafranowe pasy i niebieskie wzory, wytatuowane na podbródkach lub czołach. Przypomniałam sobie tatuaże Meny i pomyślałam, że ona także pochodzi z gór. W tej wiosce tatuaże było znakiem dwóch przecinających się u góry linii, inne kobiety nosiły linię łączącą dolną wargę z podbródkiem i odchodzące od niej gałęzie; podstawą większości był jakiś kształt geometryczny. Domyślałam się, że stanowią nie tylko ozdobę, ale także dowód przynależności plemiennej.

Szliśmy dalej łagodnie biegnącymi w górę ścieżkami, aż w końcu Aszulay zatrzymał się przed domem, postawił na ziemi klatkę oraz worki, i coś zawołał. Z domu wyszła starsza kobieta i dwie młodsze. Młodsze miały na sobie haftowane suknie, szale i biżuterię, zgodnie z obyczajem kobiet wioski, natomiast starsza prostą, niezdobioną, ciemnoniebieską szatę i szal w podobnym odcieniu. Żadna nie nosiła tatuaży.

Aszulay uściskał starszą kobietę, spojrzał na mnie i powiedział coś do niej. Nie mówił po arabsku, nie zrozumiałam więc ani słowa.

- Ma mamam - rzekł.

Skinęłam głowę. Byłam bardzo zdenerwowana, nie wiedziałam, czy powinnam się uśmiechnąć. Matka Aszulaya przyjrzała mi się z zaciekawieniem i zadała jakieś pytanie. Odpowiedział krótko i ruchem ręki wskazał Badou. Jego słowa najwyraźniej usatysfakcjonowały kobietę, ponieważ kilka razy powtórzyła jakiś zwrot takim tonem, jakby mówiła: „Ach tak, rozumiem”.

Sięgnęłam do torby i wyjęłam mały kościany imbryczek do herbaty. Poznałam już marokańskie zwyczaje na tyle, aby wiedzieć, że przychodząc w odwiedziny, trzeba przynieść gospodarzom prezent. Podałam matce Aszulaya imbryczek, a ona z uwagą go obejrzała i poważnie kiwnęła głową.

465

- To moje siostry. - Aszulay wskazał dwie młodsze kobiety, chyba dwudziestoparoletnie. - Rabia i Zohra...

Sądziłam, że jedna z nich jest jego żoną.

- Istni Sidonie - przedstawiłam się. - As salam alejkum - dodałam z szacunkiem.

Nie wiedziałam, czy rozumieją arabskie pozdrowienie, ale obie zaraz mi odpowiedziały, cichymi i trochę onieśmielonymi głosami.

- Alejkum as salam...

Każdej z nich podarowałam małe malowane gliniane naczynie.

Badou stał obok mnie; kobiety nie zwracały na niego uwagi.

Wszystkie trzy łączyło wyraźne podobieństwo - szczupłe, ciemne twarze o wysokich kościach policzkowych, ciemne błyszczące oczy, obrysowane czarną kreską, i mocne białe zęby. Zohra, młodsza siostra, miała w lewym policzku dołek, który dodawał uroku jej uśmiechowi. Zofitych fałd sukni Rabii wychylało głowę malutkie dziecko - przyglądało się Badou oczami tak błękitnymi jak oczy Aszulaya.

- Dziecko, Badou! - powiedziałam, zupełnie jakby sam nie widział maleństwa.

Cóż, byłam spięta, nie do końca pewna, jak się zachować, a teraz wreszcie mogłam skupić na czymś uwagę.

- To chłopiec czy dziewczynka, jak myślisz? - zagadnęłam.

Wzruszył ramionami. Wyczułam, że on również jest zdenerwowany, chociaż przyjeżdżał tu już wcześniej. Matka Aszulaya poklepała go po ramieniu i coś powiedziała. Dopiero teraz na buzi Badou pojawił się uśmiech.

- Mój siostrzeniec ma na imię Izri - odezwał się Aszulay, odpowiadając na moje pytanie. - Ma osiem miesięcy i jest czwartym dzieckiem Rabii. Zohra ma dwie córki.

466

Otworzył jeden z worków i wyjął kilka złożonych w bele materiałów i dwa srebrne naszyjniki z bursztynem, które wręczył siostrze. Z drugiego worka wydobył duży mosiężny garnek i podał go matce. Wszystkie kobiety obejrzały otrzymane podarunki, kiwając głowami i uśmiechając się do Aszulaya.

Później przeniosły wzrok na mnie i matka Aszulaya powiedziała coś łagodnym tonem.

- Moja matka serdecznie cię wita - przetłumaczył Aszulay. - Cała wioska przygotowuje specjalny posiłek na cześć innych gości, tych w namiotach na dole. Pochodzą z odległej wsi i przybyli w odwiedziny do swoich krewnych, którzy teraz mieszkają tutaj. Przyjechaliśmy w dobrym momencie.

- Shukran - odparłam, patrząc na matkę Aszulaya. - Dziękuję.

I tym razem nie wiedziałam, czy mnie zrozumie, ale nie mogłam przecież milczeć. Cały czas zastanawiałam się, kiedy poznam żonę Aszulaya. Te kobiety - jego matka i siostry - przyjęły moją obecność z dziwnym spokojem.

- Ludzie mówią tu narzeczem tamazight, to Berberowie z plemienia Amazigh. Z matką porozumiewam się naszym starym językiem Sahary, tamashek, językiem Tuaregów. Tutejsi rozumieją tylko podstawowe arabskie zwroty, bo żyją odizolowani od świata i nie widują wielu obcych.

Stałam obok Aszulaya, ścisnęłam w rękę płócienną torbę i myślałam, że jestem nie tylko osobą obcą, ale przede wszystkim cudzoziemką.

- To trochę skomplikowane, ale nie przejmuj się. Nauczyłem Zohrę podstaw francuskiego, moja młodsza siostra uczy się szybko i chętnie.

Uśmiechnął się do młodszej kobiety i powiedział parę zdań, niewątpliwie powtarzając jej swoją pochwałę, ponieważ poderwała dłonie do policzków, jakby chciała zasłonić rumieniec

467

i żartobliwie trzepnęła go po ramieniu. Widziałam jasno, że ludzie z wioski traktują się bardziej nieformalnie i swobodnie niż mieszkańcy marokańskich miast, których widziałam w czasie podróży.

Matka Aszulaya poklepała mnie po dłoni podobnym gestem, jakim wcześniej dodała Badou pewności siebie. Uśmiechnęłam się do niej.

Podczas spaceru po wiosce towarzyszyła nam grupka dzieci. Wszystkie domy były tu takie same, z niewielkimi budynekami obok, w których pewnie hodowano zwierzęta i przechowywano zapasy. Chłopcy biegli przodem, a dziewczynki trzymały się blisko nas - zerknęły na mnie z wielkim zainteresowaniem, lecz natychmiast odwracały głowy, gdy napotkały moje spojrzenie. W końcu zostawiły nas i zaczęły się bawić w berka między domami, pokrzykując i śmiejąc się. Psy przyskakiwały im do kolan i ujadły z podnieceniem, stado czarnych kóz za płotem z ciernistych gałęzi meczało leniwie. Na brzegu rzeczki, utworzonej przez wodospady, które minęliśmy, kilka kobiet prało ubrania, bijąc nimi i trąc o skały, natomiast inne napełniały bukłaki wodą.

- Tutaj dorastałeś? - zapytałam Aszulaya, kiedy przystanęliśmy, żeby popatrzeć na bawiące się dzieci.

- Nie - odparł. - Nie mieszkaliśmy w wiosce. Jako Błękitni Ludzie żyliśmy po drugiej stronie Wysokiego Atlasu, za przełęczą Tizin Tichka, w południowo zachodniej części Sahary, niedaleko granicy z Mauretanią. Kobiety mieszkwały w namiotach, a mężczyźni wędrowali po całej Saharze i zajmowali się handlem.

- Dlaczego twoja rodzina teraz mieszka tutaj?

- Kiedy miałem dwanaście lat, umarł mój ojciec. Kobiecie z plemienia nomadów niezwykle trudno jest poradzić sobie

468

bez mężczyzny, to prawie niemożliwe. Jest zdana na łaskę i niełaskę innych nomadów, a w trudnych czasach staje się to jeszcze większym wyzwaniem. Samotna kobieta nie cieszy się szacunkiem, podobnie jak w całym Maroku.

Wiedziałam, że nie ma na myśli mojej sytuacji, lecz mimo wszystko jego słowa wzbudziły we mnie świeżą niepewność, jak jestem tu postrzegana.

-Tak więc moja matka, ja i moje siostry, które wtedy były małe, przyjechaliśmy tutaj. Nie było nam łatwo - byłem głową rodziny, ale miałem dopiero dwanaście lat... - Przerwał, niewątpliwie wracając myślami do tamtego okresu. - Minęło sporo czasu, zanim zostaliśmy tu zaakceptowani.

Rozejrzał się dookoła.

- Tak czy inaczej, było to dla nas lepsze miejsce niż pustynia - podjął. - No i później, gdy wyjechałem, zawsze wiedziałem, gdzie one są, i mogłem przywozić im potrzebne rzeczy, kiedy tylko mogłem to zrobić... Gdyby były na pustyni, nie miałbym pojęcia, gdzie ich szukać; nomadzi często nie widują swoich najbliższych całymi latami, czasami mijają się w drodze, nawet o tym nie wiedząc. Niewykluczone, że na zawsze stracilibyśmy się z oczu.

Spróbowałam wyobrazić go sobie jako dziecko. Czy był podobny do dzieci nomadów, które widziałam wcześniej tego dnia, ze zmatowiałymi włosami, w poszarpanym ubraniu, z kolanami i łokciami pokrytymi strupami po zabawach i bójkach, pozornie beztruskich, wesołych i rozbawionych? Jak wyglądała jego transformacja, przeistoczenie z chłopca, który mieszkał w namiocie z koziego włosia i podróżował w karawanie na grzbiecie wielbłąda, nie chodził do żadnych szkół poza szkołą życia, w męczyznę, którym był teraz, doskonale władającego francuskim i zachowującego się jak Europejczyk?

Popatrzyłam na Badou, jak zwykle trzymającego się blisko

469

mnie. Chociaż w Marrakeszu wydawało mi się, że w zasadzie niczym nie różni się od innych dzieci miasta, tu jego inność podkreślały lśniące włosy, czysta dżellaba i spodnie oraz barwne babouches z błyszczącej skóry.

Ale jego buzi brakowało wesołości dzieci Berberów. Badou miał wyraźną ochotę przyłączyć się do zabawy, lecz obawy i niepewność wciąż brały w nim górę.

Aszulay zawołał coś i zaraz podeszła do niego jedna ze starszych dziewczynek, mniej więcej ośmioletnia. Gdy Aszulay mówił do niej, trzymała głowę odwróconą w bok, aby nie patrzeć wprost na mnie. Wzięła Badou za rękę i poprowadziła go w kierunku innych dzieci. Chłopiec z początku szedł trochę sztywno, ale gdy zagadała do niego, podniósł na nią rozszerzone ciekawością oczy.

- Czy twój język... Tama... Przepraszam, zapomniałam, jak się nazywa.

- Tamashek.

-Właśnie... I ten drugi język, ten, którym mówią tutejsi... Czy dzieci uczą się tych języków w waszych szkołach? Aszulay spojrział na mnie i uśmiechnął się lekko.

- Berberowie nie mają szkół - odrzekł. - A tych języków używa się tylko w mowie, nie mają systemu znaków pisanych.

-Więc... Więc musiałeś nauczyć się arabskiego, kiedy przyjechałeś do Marrakeszu, tak?

- Znałem już arabski z karawanowych tras. Musieliśmy umieć handlować z wieloma plemionami.

- Czy Badou rozumie, co mówią inne dzieci? - zapytałam, patrząc na idącego u boku dziewczynki chłopca.

Aszulay potrząsnął głową.

- Zbyt rzadko tu przyjeżdżamy. Na szczęście dzieci wszędzie są takie same i potrafią porozumiewać się na wiele sposobów.

470

Dziewczynka podeszła z Badou do psa, który leżał na boku w cieniu domu. Zwierzę uniosło głowę i gdy mała nachyliła się nad nim, warknęło groźnie. Dziewczynka nie zwróciła na to najmniejszej uwagi, a kiedy się wyprostowała, zobaczyłam, że trzyma na ręce malutkiego szczeniaczka. Delikatnie podała go Badou. Suka usiadła i obserwowała ich czujnie.

Badou popatrzył na szczeniaka i potarł policzkiem płową sierść. Przytrzymał psiaka ramieniem i ułożył go wygodnie, głaszcząc drugą ręką i drapiąc za uchem. Dziewczynka zdecydowanie pokręciła głową, powiedziała coś i wskazała sukę, a potem wyjęła szczeniaka z ramion Badou i oddała go matce, która podejrzliwie obwąchała dziecko i, najwyraźniej usatysfakcjonowana, znowu wyciągnęła się na miękkiej ziemi, dając szczeniakom dostęp do sutka.

Dziewczynka ujęła rękę Badou i razem zbliżyli się do dzieci. Widziałam, jak na buzi Badou pojawia się ostrożny, nieśmiały uśmiech; po chwili chłopiec przyłączył się do zabawy, rzucając kamykami do narysowanych na ziemi koncentrycznych kręgów.

- Teraz już będzie dobrze - odezwał się Aszulay. - Przyjeżdżamy tu tylko raz na parę miesięcy, więc zapomina, jak bawić się z innymi dziećmi.

Pamiętałam, z jakimi oporami Badou przyłączył się do dzieci nomadów nad strumieniem i jak przyglądał się grającym w piłkę na ulicy chłopcom, z którymi matka zabroniła mu się bawić.

Zohra podeszła do nas i powiedziała coś do Aszulaya, który spojrział na mnie.

- Zohra chciałaby zrobić ci ozdobne malunki henną, jeśli się zgodzisz - powiedział.

Popatrzyłam na swoje opalone dłonie.

- To gest przyjaźni - dodał Aszulay. - I akceptacji.

Natychmiast zawstydziałam się tej chwili wahania.

- Naam - powiedziałam, patrząc na Zohrę. - Tak.

U stóp wioski, w środku utworzonego z namiotów kręgu, płonęło ognisko, nad którym wisiał olbrzymi, bulgocący garnek. Niziutka staruszka o twarzy porysowanej tysiącem zmarszczek i wilgotnej od potu, stała zjedną ręką wspartą na biodrze, drugą regularnie mieszając w garnku kijem prawie tak wysokim jak ona sama.

Inne kobiety zebrały się wokół nas, siedzących u wejścia do jednego z namiotów; Aszulay poszedł wypić herbatę z mężczyznami. Wszystkie kobiety siedziały z wdzięcznie skrzyżowanymi nogami. Nie mogłam przyjąć takiej pozycji z powodu sztywnej prawej nogi, musiałam więc wyprostować ją przed sobą.

- Zdejmij! - powiedziała Zohra po francusku. Zmarszczyłam brwi, nie rozumiejąc, o co jej chodzi, a ona dotknęła sznurowadeł moich butów.

- Zdejmij - powtórzyła. - Pomaluję stopy henną. Potrząsnęłam głową.

- Nie mogę chodzić bez buta - powiedziałam.

Kiedy spojrzała na mnie ze zdziwieniem, postukałam palcem w grubą podeszwę prawego buta, podciągnęłam kaftan do kolana i pokazałam jej niesprawną nogę. Zohra ze zrozumieniem kiwnęła głową.

- Możesz pomalować mi dłonie. - Wyciągnęłam ku niej rękę.

Uśmiechnęła się, rozwinęła zwinięty w rulonik płócienny pasek i wyjęła z niego cienki, ostro zakończony patyczek. Ujęła moje dłonie, odwracając je spodem do góry, oglądała uważnie i mówiła coś cicho do innych kobiet. Z tonu głosów wyczytałam, że rozważają, jakie wzory byłyby najlepsze.
Dwie

małe dziewczynki obserwowały całą scenę, tuląc się do Zohry, a kiedy jedna próbowała wspiąć się jej na plecy, inna kobieta ją odsunęła. Zorientowałam się, że były to córki Zohry.

Wreszcie Zohra sięgnęła po patyczek i kobiety umilkły. Któraś postawiła przed nią gliniany pojemniczek z zieloną pastą i Zohra zanurzyła w niej koniec patyka. Mocno trzymając, dłonią do góry, moją prawą rękę na wysokości swoich piersi, pochyliła się nad nią, kreśliła linie, moczyła patyk w farbie, powoli i starannie pokrywając moją skórę skomplikowanym wzorem złożonym ze spirali. Czubek patyczka leciutko przesunął się po skórze, jego dotyk przypominał muśnięcia motyli skrzydeł. Pasta była przyjemnie chłodna. Gdy Zohra skończyła malować spód dłoni i palce, odwróciła moją rękę i zajęła się wierzchem, tworząc zupełnie inny wzór. Szybko odczułam zmęczenie mięśni ręki, ponieważ musiałam trzymać ją nieruchomo, z rozsuniętymi palcami. Kiedy zaczęła lekko drżeć, jedna z kobiet delikatnie podtrzymała mój przegub.

Zohra skończyła z prawą ręką i przeszła do lewej, tym razem malując motywy w odwrotnym porządku tak, że spód jednej dłoni i wierzch drugiej wyglądały tak samo.

Gdy obie dłonie były już gotowe, Zohra poleciła mi jeszcze chwilę trzymać ręce wyciągnięte przed siebie. Jakaś kobieta przyniosła poczerńiałe płaskie naczynie, wypełnione rozżarzonymi węglami i Zohra pokazała mi, żebym wysuszyła nad nim wilgotną jeszcze farbę.

Potem wzięła dwie dziewczynki za ręce i zostawiła mnie, wciąż siedzącą na ziemi z kilkoma kobietami, które spokojnie rozmawiały i haftowały. Rozboliła mnie prawa noga, więc spróbowałam ułożyć ją na ziemi pod innym kątem. Wokół ogniska gromadziło się coraz więcej kobiet; na zmianę mieszały w wielkim garnku i ustawiały na węglach z brzegu mniejsze naczynia. Ręce miałam teraz gorące, lecz nadal trzymałam je

473

nad naczyniem. W powietrzu rozchodził się smakowity aromat pieczonego mięsa. Uświadomiłam sobie, że jestem głodna. Miałam nadzieję, że Badou dobrze bawi się z dziećmi.

W końcu Zohra wróciła z garnkiem pełnym ciepłej wody. Gestem kazała mi wstać i wtedy ogarnęło mnie zażenowanie - z powodu nogi nie mogłam dźwignąć się z ziemi, nie podpierając się obiema rękami, a w żadnym razie nie chciałam zepsuć namalowanych wzorów. Jedna z kobiet powiedziała coś do drugiej, stanęła za moimi plecami, wsunęła mi dłonie pod pachy i dość bezceremonialnie podciągnęła mnie do góry. Skrzywiłam się, zawstydzona swoją bezradnością, lecz kobieta uśmiechnęła się do mnie serdecznie, mówiąc coś przyjaznym tonem.

Pasta na moich rękach szczyrniała, a gdy Zohra ostrożnie zmyła ją ciepłą wodą, ujrzałam wzory na skórze, ciemno rdzawe i delikatne. Wyciągnęłam ręce przed siebie, odwracając je w jedną i drugą stronę, przyglądając im się z podziwem.

- Cest magnifique, Zohra! - powiedziałam. Uśmiechnęła się z dumą i gestem zaprosiła mnie do jedzenia.

- Manger, manger - zachęciła.

Mieszkańcy wioski i goście gromadzili się już wokół ogniska. Badou przyszedł ze starszą dziewczynką, która wcześniej mu towarzyszyła i usiadł obok mnie. Zohra z dwiema córeczkami zajęła miejsce z drugiej strony. Nie widziałam Aszulaya. Pomyślałam, że pewnie jest z żoną.

Jedna ze starszych kobiet energicznie zamieszała w garnku i dużym metalowym hakiem wyciągnęła z niego sporą kocią głowę. Przypomniałam sobie głowy, które widziałam na Dżemma el Fna - byłam pewna, że nie będę w stanie tknąć zawartości garnka.

Małe dziewczynki zaczęły podawać wśród zebranych miseczki

474

z ciepłą wodą. Myliłmy ręce, wycierając je w płócienne ręczniki, którymi dziewczynki obwiązane były w pasie.

Patrzyłam, jak kobiety wyjmują z garnka kolejne głowy i układają je na dużych mosiężnych tacach, a następnie obierają je z mięsa. W końcu w czaszkach nie zostały nawet gałki oczne. Kobiety przyprawiały parujące, jasnożółte pasemka mięsa czymś, co wyglądało na mieszankę soli i mielonej papryki, i podawały potrawkę na mniejszych talerzach, z gotowaną soczewicą i ryżem. Wzięłam swój talerz; widziałam dzieci, jedzące z talerzy matek, więc chwyciłam parę kawałeczków mięsa, podmuchałam na nie, jak robiły to inne kobiety, i wsunęłam do ust Badou. Przeżuł je posłusznie, a potem znowu otworzył buzię, zupełnie jak pisklak. Opartam sobie talerz na kolanach, pokazałam mu, żeby sam brał jedzenie i wreszcie, po głębokim oddechu, sama wzięłam kawałek mięsa do ust. Było słone i trochę łykowate, ale całkiem smaczne, o przyjemnym aromacie, niepodobne do żadnej innej znanej mi potrawy. Badou i ja zjedliśmy całe mięso, ryż i soczewicę z naszego talerza i zgodnie z marokańskim zwyczajem zakończyliśmy posiłek słodką miętową herbatą. Słońce szybko zniknęło za górami, niebo pociemniało, powietrze się ochłodziło, a ogień strzelił wyżej, jaśniejszy i gorętszy.

Nie zauważyłam, kiedy wrócił Aszulay, ale gdy kobiety zaczęły zbierać opróżnione talerze, ujrzałam go, siedzącego z innymi mężczyznami. Podobnie jak oni, trzymał w ręku długi instrument, który wyglądał jak flet albo fujarka.

Jego widok szczerze mnie ucieszył.

Ogarnęłam wzrokiem siedzące wokół mnie kobiety. Na pewno myślały o rytmie pór roku i o tym, jaki mają wpływ na ich życie, czy będzie susza, czy może za dużo deszczu, czy hodowane przez nie zwierzęta będą zdrowe. Wszystkie nosiły w sobie lęk, czy będą miały z czego wykarmić dzieci, czy nie

475

będą musiały słuchać, jak ich maleństwa płaczą z głodu albo patrzeć, jak umierają na proste choroby.

Myślałam, że chciałabym być taka jak one, silna i sprawna.

Myślałam o drodze, którą przebyłam, i o decyzjach, jakie podjęłam.

Badou podniósł się, pobiegł do Aszulaya i usiadł obok niego. Któryś mężczyzna zaczął wybijać równy, wolny rytm na glinianym bębnie w kształcie klepsydry, u góry obciążniętym czymś, co wyglądało na pokrytą olejem skórę. Inni klaskali w dłonie, to przyspieszając, to zwalniając rytm. Po chwili Aszulay i inni przytknęli instrumenty do ust i zagrali piękną, smutną melodię.

Patrzyłam na swoje ręce, gdy i ja zaczęłam klaskać. Wyglądały pięknie, jakbym włożyła ciemnoróżowe koronkowe rękawiczki. Klaskałam i klaskałam, poruszając ramionami w rytm melodii, żałując, że nie znam słów, które śpiewała cała wioska. Ich głosy, niektóre harmonijne i mocne, inne niepewne i fałszujące, wznosiły się w niebo, na którym powoli zapalały się miliony gwiazd. Iskry z ogniska ulatywały w ciemność.

Aszulay przyłożył ustnik fletu do warg Badou, zachęcając go, żeby spróbował. Policzki chłopca wyduły się, a Aszulay pomógł mu zatykać palcami otwory w instrumencie, aby wydobyć z niego odpowiednie dźwięki.

Muzyka ucichła i kobiety znowu podały herbatę. Wszyscy dookoła mnie rozmawiali. Badou zostawił Aszulaya i wrócił na miejsce obok mnie, opierając głowę o moje ramię. Chwilę później rozległo się bicie w bęben, najpierw z jednej strony, potem z drugiej. Jeden z mężczyzn ogrzał bęben nad ogniem, co na pewno miało zmienić brzmienie uderzeń. Inni ponownie sięgnęli po flety i podnieśli je do ust. Tym razem z instrumentów popłynęła nie wolna i smutna, lecz żywa, rytmiczna

476

muzyka. Niektórzy podnieśli się z ziemi, jak Aszulay, którego czoło i dolna część twarzy zasłonięte były fałdami ciemnoniebieskiego turbanu.

Mężczyźni zaczęli tańczyć, okręcając się wokół własnej osi, wprawiając szaty w wirowy ruch. Kobiety i dzieci przyglądały im się, klaszcząc i wydając rozmaite dźwięki, nucąc i mrużąc, wibrując językami i uderzając nimi o podniebienie. Mężczyźni nie przerywali tańca; ogień strzelał wysoko w górę, gwiazdy na niebie mrugały.

Zamknęłam oczy, pozwalając, by obmyła mnie fala dźwięków. Tak samo czułam się tamtego dnia, gdy wracałam z hammamu; miałam wrażenie, że moje ciało nie należy do mnie, że jest lekkie i zwinne, nieobciążone solidnymi butami o grubych podeszwach. Miałam ochotę wstać i zawirować razem z Berberami, czułam w sobie rytm i zaczęłam kołysać się w tę i z powrotem, wydając ustami własne dźwięki i głośno klaszcząc.

Podniosłam powieki. Wszystkich pochłonęła radość tej nocy, muzyki i tańca, mnie również.

Nagle spojrzałam na samą siebie tak, jakbym wyzwoliła się ze swego ciała i oddaliła od ziemi; zobaczyłam kobietę w marokańskim stroju, jedzącą dary tej ziemi, siedzącą przy ogniu pod niebem Afryki Północnej i klaszczącą w pomalowane henną dłonie. Rozumiałam, co to znaczy kochać i optakiwać stratę tych, którzy najwięcej dla mnie znaczyli, przeżywać radość i ból.

Rozumiałam, czym jest życie, czy to w Albany, czy w Afryce.

Znowu zamknęłam oczy, uniosłam twarz ku niebu i oddałam się radości.

Kiedy rozejrzałam się dookoła, obok Aszulaya siedziała kobieta, której wcześniej nie widziałam. Aszulay patrzył na jej pokrytą tatuażami twarz, mówił coś do niej z powagą i kiwał

477

głową, a ona odpowiadała. Jej słowa wyraźnie go rozbawiły, bo odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, radośnie, pełną piersią. Nigdy takim go nie widziałam.

Kobieta była młoda i atrakcyjna w śmiały, typowy dla nomadów sposób, z włosami zaplecionymi w luźne warkocze, kilkoma srebrnymi naszyjnikami na tle ciemnej skóry i bransoletami na smukłych przegubach. Śmiała się razem z Aszulayem, wzięła od niego flet i przytknęła do ust. Obserwowałam ich ponad ogniem, patrząc, jak płomienie rzucają migotliwe cienie na ich twarze. A więc to była ona, żona Aszulaya.

Nagle ogarnęło mnie dziwne uczucie przygnębienia i zagubienia. Nie mogłam na nich patrzeć, lecz jednocześnie nie potrafiłam oderwać od nich wzroku.

Cudowne wrażenia ulotniły się w jednej chwili, piękny wieczór został nieodwracalnie zepsuty.

Całym sercem żałowałam, że to nie ja siedzę u boku Aszulaya, że to nie ja śmieję się z nim tak jak ona. Nigdy nie powiedziałam mu nic dowcipnego czy interesującego. Przy mnie musiał być poważny, musiał mi pomagać. Musiał się o mnie troszczyć, jak troszczył się o Badou.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY.

Badou, podobnie jak inne mniejsze dzieci, zasnął, zwinięty w kłębek u mego boku. Zohra wzięła na ręce śpiącą córeczkę i pokazała mi, żebym za nią poszła. Wstałam i podniosłam Badou, który był zupełnie bezwładny i zaskakująco ciężki. Ruszyłam za Zohrą powoli, bo trudno było mi iść po nierównym gruncie z dzieckiem w ramionach. Niebo lśniło gwiazdami, księżyc w nowiu leżał na grzbiecie nad horyzontem.

Zohra przystanęła nagle i palcem wskazała mi niewielką konstelację, podobną do latawca z ogonem. Powiedziała coś w języku tamazight, a gdy bezradnie potrząsnęłam głową, na moment zamknęła oczy, jakby próbowała się skoncentrować.

- La croix... - powiedziała, unosząc powieki.

- Krzyż?

Przytaknęła. Zupełnie niespodziewanie przypomniałam sobie przepowiednię Mohammeda i jego małpki Hasi. Mohammed sypał banałami o tym, że znajdę coś pod Krzyżem Południa, w każdym razie wtedy tak mi się wydawało. Byłam przekonana, że tę samą historię opowiada każdej cudzoziemce, która okaże się na tyle głupia, by dać mu jedno czy dwa sou, lecz teraz, stojąc pod pulsującym gwiazdami niebem, zapragnęłam przywołać z pamięci jego słowa. Mohammed mówił, że pod Krzyżem Południa zrozumie, że to, czego szukam,

479

może przybrać inny kształt, i że może wcale tego nie rozpoznam. Mówił też coś o dżinach...

Badou poruszył się lekko. Przygarnęłam go mocniej, wciąż patrząc na Krzyż Południa. Jego ciało, nawet w chłodnym powietrzu wieczoru, było cudownie ciepłe i pachniało ziemią. Przypomniałam sobie, jak Aszulay wziął do ust szczyptę pyłu.

Oderwałam wzrok od nieba i popatrzyłam na Badou. Jego boscie nogi oblepione były wyschniętym błotem, na buzi malował się wyraz spokojnego zadowolenia. Gdzie podziały się jego babouches? Odwrócił głowę, wtulając nos w moje ramię.

Zohra podniosła zasłonę, zwisającą u wejścia do namiotu, w którym na rozłożonych skórkach i dywanach spały dzieci. Kilkoro kasłało; powietrze wewnątrz było trochę duszne, rozgrzane ciepłem

bijącym od tyłu ciał. W kącie siedziała otulona szalem starsza kobieta, najwyraźniej czuwająca nad snem dzieci. Zohra położyła córeczkę, pokazała mi, żebym zrobiła to samo z Badou, i starannie otuliła dzieci narzutą. Badou zamruczał coś przez sen. Pochyliłam się nad nim i usłyszałam mieszankę słów francuskich i arabskich. Zrozumiałam tylko jedno - le chien, pies. Potem Badou umilkł, oddychając głęboko i równomiernie.

Wróciłam z Zohrą do ogniska. Powietrze znacznie się ochłodziło i zadrżałam, zakładając ramiona na piersi. Kiedy usiadłam, delektując się bijącym od ognia ciepłem, znowu zobaczyłam Aszulaya, tym razem pogrążonego w rozmowie z jakimś mężczyzną. Tamta kobieta zniknęła i chociaż dobrze wiedziałam, że Aszulay pójdzie do niej później, fakt, że nie odszedł razem z nią poprawił moje samopoczucie.

Nie miałam pojęcia, co właściwie się ze mną dzieje.

Aszulay zdjął turban i w migotliwym blasku ognia dostrzegłam, że jego czoło i boki twarzy naznaczone są ciemniejszym odcieniem; skóra, rozgrzana w tańcu, ściągnęła trochę barwnika

480

z tkaniny turbanu. Zapragnęłam odetchnąć zapachem jego twarzy. Wiedziałam, że poczułabym aromat dymu z płonącego drewna oraz indygo.

Nagle pomyślałam, że Aszulay zawsze będzie połączeniem tego, jaki był dawniej i jaki jest teraz. Będzie właśnie taki, niezależnie od tego, czy mówi pięknym, nieco oficjalnym francuskim, arabskim czy złożonym narzeczem tamazight, czy ubrany w biały strój kopie ziemię w parku monsieur Majorelle, czy w błękitnej szacie prowadzi furgonetkę przez piste. Zawsze będzie jak dwie strony jednej monety, różne, a jednak nierozdzielne.

Kiedy chwilę później Zohra znowu się podniosła, wzięłam swoją torbę i ruszyłam za nią. Niosła małą pochodnię, bo mimo światła księżycy i powodzi gwiazd trudno było zobaczyć coś w ciemności. Po paru krokach przystanęła, odwróciła się i wyciągnęła do mnie rękę. Chwyciłam ją z wdzięcznością i razem okrążyłyśmy ognisko. Kiedy mijałyśmy mężczyzn, Aszulay podniósł głowę i spojrzał na mnie.

Popatrzyłam na niego i coś w jego twarzy sprawiło, że rozchyliłam wargi, jakby zabrakło mi powietrza. Aszulay nie odwrócił wzroku, a w jego oczach nie było tej roztańczonej wesołości, z jaką wtórował śmiechem swojej żonie. Było to coś innego, głębokiego i hipnotyzującego. Zakręciło mi się w głowie, zupełnie jakby gorączka sprzed paru dni niespodziewanie znowu mnie zaatakowała. Potknęłam się o korzeń i Zohra podtrzymała mnie, w ostatniej chwili ratując przed upadkiem. Niezwykła chwila minęła i ruszyłam dalej, nie mając odwagi odwrócić się, aby jeszcze raz spojrzeć na Aszulaya.

Parę minut później z ciemności przed nami wyłonił się jakiś kształt, a gdy Zohra schyliła głowę, poszłam za jej przykładem. Weszłyśmy do jednego z namiotów. W migotliwym świetle

481

zapalanej pochodni zobaczyłam ciemne stosy skór, przykryte wełnianymi kocami. Na niektórych spoczywały nieruchome postaci, lecz z odległego kąta dobiegały dziewczęce szepty i chichoty. Najwyraźniej był to namiot dla niezamężnych kobiet. Zohra podprowadziła mnie do jednego ze stosów skór i wyszła. Ścisnęłam w rękę torbę, w którą starannie spakowałam się w Marrakeszu,

czułam jednak, że jest zdecydowanie za zimno, żeby przebierać się w lekką nocną koszulę, więc tylko zdjęłam buty i w kaftanie wśliznęłam się pod koc. Rozchichotane dziewczęta już umilkły, wokół siebie słyszałam tylko głębokie oddechy. Młoda kobieta obok mnie przysunęła się bliżej, prawie wtulając plecy w moją pierś. Tę otwartą akceptację dla fizycznej bliskości widziałam wszędzie w Maroku - mężczyźni tłoczyli się na targach i placach, Mena, Nawar i stara służąca siadały blisko siebie na dachu, nawet w czasie pracy stykając się ramionami lub biodrami. Przypomniałam sobie, jak kobiety w hammamie myły się nawzajem i masowały. Kto wie, może ta bliskość i ciepło zapewniały im poczucie przynależności. Nawet mały Badou chciał być blisko drogich mu ludzi i bezustannie wdrapywał się na kolana matki, Aszulaya czy moje.

My, Amerykanie i Europejczycy, zachowujemy się zupełnie inaczej. Nie podoba się nam, kiedy inni przekraczają granice naszej osobistej przestrzeni, przepraszamy się nawzajem za przypadkowy dotyk.

Leżąc w gęstej, ciepłej ciemności, słuchałam przyciszonych głosów mężczyzn siedzących przy ognisku i odległego meczenia kóz. Moja sąsiadka przytuliła się do mnie mocniej. Pachniała olejem do smażenia, potem i czymś jeszcze, jakąś trudną do zidentyfikowania przyprawą.

Próbowałam uspokoić swój umysł, ale w głowie kłębiły mi się myśli i doznania z minionego wieczoru. Nie mogłam przestać myśleć

482

o spojrzeniu, jakim obrzucił mnie Aszulay. Oczami wyobraźni widziałam, jak wchodzi do jednej z lepianek, unosi koc albo kozią skórę i kładzie się obok żony. Wyobrażałam sobie, jak ona odwraca się twarzą do niego i jak on otacza ją ramionami. Zastoniłam oczy ramieniem, jakby to miało mi pomóc w przegnaniu tych obrazów.

Teraz z zakamarków pamięci wypełzły inne wizje, te, w których główną rolę odgrywał Etienne. Ujrzałam go w moim łóżku, w domu przy Juniper Road. Miałam w życiu tylko jednego mężczyznę, i to przez tak krótki czas. Usiłowałam przypomnieć sobie dotyk jego ciała i nagle zrobiło mi się za gorąco. Byłam samotną kobietą, opętaną pragnieniami.

Starałam się ułożyć wygodniej na twardym pościeliu i przywołać sen, który dałby mi schronienie przed nieoczekiwanymi rozbudzonymi potrzebami ciała.

Etienne... Co czułam do niego teraz, wiedząc to, czego się dowiedziałam? Jak wyglądałoby moje życie, gdyby został w Albany i ożenił się ze mną? Gdybym nie straciła dziecka i nadal miała zostać matką?

Jakie byłoby moje życie, gdybym nie przyjechała do Maroka?

Ale... Czy już nie zależało mi, żeby Etienne się ze mną ożenił? Kiedy Etienne wróci do Marrakeszu i przekonam go, że wiadomość o jego chorobie nie odmieniła mojej miłości do niego, na pewno zgodzi się mnie poślubić...

Usiłowałam przypomnieć sobie, jak się czułam, kochając się z Etienne'em, lecz moje myśli wciąż krążyły wokół Aszulaya i jego żony.

Jak by to było, gdybym kochała się z Aszulayem. Gdybym czuła na sobie jego wrażliwe usta, jego silne dłonie.

Nie mogłam zasnąć. Wstałam, ściągnęłam z pośnania gruby koc, narzuciłam go na ramiona i wyszłam w noc.

483

Ogień przygasł, lecz węgiel jeszcze się żarzył. Bez strzelających płomieni i światła pochodni wyraźniej widać było rozsiane na niebie gwiazdy. Byłam boso, więc oddaliłam się tylko parę kroków od namiotu, bojąc się, że mogę się zgubić. Powietrze chłodziło moje ciało, oddychałam głęboko. I wtedy dostrzegłam samotną postać, siedzącą przy ognisku.

Czy tylko wmówiłam sobie, że jest to Aszulay, czy naprawdę go zobaczyłam? Siedział tam, gdzie ostatnio go widziałam, ale przecież to nic nie znaczyło. Czy tylko wyobraziłam sobie, że poznaję te szerokie ramiona, tę długość włosów? Mężczyzna otulił się kocem i ułożył przy ognisku.

Wróciłam do namiotu, trochę spokojniejsza i pogodniejsza. Źle, że czułam radość na myśl, iż Aszulay może nie chciał być z żoną, ale jednak ją czułam.

Tak, czułam radość...

Obudziłam się w nocy, zeszywniała i zziębnięta. Na zewnątrz namiotu słyszałam ciche posapywanie jakiegoś zwierzęcia, może wielbłąda, kozy albo psa. Możliwe, że właśnie ten odgłos mnie obudził. Zadrżałam i zacisnęłam zęby, żeby powstrzymać szczykanie. Chciało mi się siusiać, trochę z zimna, a trochę dlatego, że miałam pęcherz pełny herbaty, nie mogłam się jednak zdobyć, żeby wysunąć się spod ciepłego koca i wyjść z namiotu, żeby przykucnąć gdzieś na zewnątrz. Przysunęłam się bliżej do leżącej obok dziewczyny w poszukiwaniu ciepła; jej nierówny oddech ucichł, usiadła i zakasłała. Nagle, tak nieoczekiwanie, że nie zdążyłam się nawet zdziwić, poczułam powiew powietrza, zapach zwierzęcej sierści i jakiś ciężar na sobie. Natychmiast zrobiło mi się cieplej. Rozległ się szelest, dziewczyna przytuliła się do mnie i znowu zaczęła rytmicznie oddychać.

Później, już rozgrzaną i rozluźnioną, obudził mnie łopot

484

odwijanej na bok tkaniny u wejścia, i jasne światło poranka wdzierające się do namiotu. Mój koc przykryty był ogromną kozią skórą; mojej sąsiadki już nie było, czułam jednak wielką wdzięczność, że przykryła mnie, gdy poczuła, że trzęsę się z zimna.

Przed namiotem kobiety siedziały wokół wielkiego żeliwnego czajnika i blaszanego rondla, nalewając do niego świeżą wodę i obmywając nią twarze. Zrobiłam to samo. Później jedna z kobiet wyjęła małe lusterko i podała mi je. Podziękowałam uśmiechem, przejrzałam się i potrząsnęłam głową, zaskoczona swoim nieporządnym wyglądem. Rabia uklęknęła za moimi plecami, rozczesła mi włosy i palcami szybkimi jak jaskółki w locie splotła je w jeden długi warkocz, obwiązując go czymś u dołu. Sięgnęłam ręką do tyłu, przerzuciłam warkocz przez ramię i zobaczyłam przytrzymujące go pasemko koziej sierści.

Rabia przykłęknęła teraz przede mną i uniosła w górę długi, cienki patyczek, wskazując najpierw swoje oczy, a potem moje. Czernidło. Chciała podkreślić mi oczy kreską. Nigdy się nie malowałam, ale skinęłam głową.

Przytrzymała mój podbródek lewą ręką, a trzymanym w prawej patyczkiem obrysowała oczy. Kiedy skończyła, z uśmiechem pokiwała głową.

Poszłam za nią ścieżką do domu, w którym mieszkała razem z mężem, matką, siostrą, jej mężem oraz dziećmi. Gdy weszłam do pozbawionej okien izby, zamrugałam nerwowo, ponieważ wpadające przez drzwi światło tylko trochę rozpraszało panujący wewnątrz mrok. W powietrzu unosił się zapach mięsa, a w rondelku na ogniu coś się smażyło.

Po chwili byłam już w stanie rozróżnić dywany o pięknych berberyjskich motywach, przykrywające ściany i podłogę, i leżący

485

w kącie stos, który w nocy służył pewnie mieszkańcom jako poślanie. Na jednym z dywanów rozpoznałam ten sam wzór, którym ozdobione były moje dłonie. Na środku izby znajdowało się obłożone kamieniami palenisko i sporządzony z cynowej rury komin, wychodzący przez dach. Mężczyźni najwyraźniej już wyszli, bo w domu były tylko matka Aszulaya, Zohra oraz kilkoro dzieci w różnym wieku. Matka Aszulaya siedziała w kucki na podłodze nad paroma garnkami i mieszała patykiem zawartość jednego z nich.

Badou podbiegł do mnie i objął mnie mocno w pasie. Wcześniej nie zauważyłam go w grupie dzieci, biegających w tę i z powrotem po niewielkim pomieszczeniu. Włosy sterczały mu we wszystkie strony, a buzia wysmarowana była czymś gęstym, chyba miodem. Znowu miał na nogach czerwone babouches.

- Bonjour, Badou! Dobrze spałeś?

Nie odpowiedział, ale wyciągnął do mnie otwartą dłoń, mocno przybrudzoną, na której leżał ząb.

- Badou! - zawołałam, unosząc brwi.

Uśmiechnął się od ucha do ucha, demonstrując małą lukę w uzębieniu.

- Schowaj go, żebym mógł pokazać Falidzie. - Podał mi ząb, a ja czym prędzej włożyłam go na samo dno torby.

Jedna z dziewczynek wzięła Badou za rękę i wyprowadziła na zewnątrz. Poszedł z nią bez wahania. Był jak odmieniony. Spojrzałam na Zohrę.

- Bonjour - powiedziałam.

Roześmiała się radośnie, odwzajemniła powitanie i pokazała mi, żebym usiadła. Zajęłam miejsce na pięknym dywanie, a Zohra podała mi gliniany talerz. Zjadłam pikantną, mocno przyprawioną kiełbasę i smażone placki z ziarnistej mąki. Wszystko było przepyszne.

486

Kiedy skończyłam, usłyszałam głos Aszulaya, wypowiadający moje imię. Obejrzałam się i zobaczyłam go w wejściu do namiotu. Nie potrafiłam wykrztusić ani słowa. Nie mogłam pozwolić, aby wyczytał z

mojej twarzy, o czym myślałam w nocy. Nie mogłam zdradzić moich wizji dotyczących nas dwojga, razem...

Nie uśmiechnął się. Zauważyłam, że przygląda się moim obrysowanym czarną kreską oczom.

- Idę popatrzeć na zbiory - odezwał się. - zabiorę ze sobą Badou, a później pojedziemy.

Mogłam tylko skinąć głową.

Następne kilka godzin spędziłam z Zohrą i jej córeczkami. Małe dziewczynki z początku były onieśmiałe, ale po pewnym czasie zaczęły do mnie zagadywać. Raz po raz pytająco spoglądałam na Zohrę, lecz ona nie potrafiła przetłumaczyć, co do mnie mówią. Poszliśmy nad rzekę. Zohra niosła na głowie kosz z praniem. Patrzyłam, jak razem z dziećmi pierze ubrania na skałkach. zaproponowałam pomoc, ale Zohra potrząsnęła głową. Piorąc, gawędziła z innymi kobietami, natomiast ja po prostu siedziałam na kamieniu i patrzyłam na schodzące tarasami ku dolinie wzgórza.

Światło było kryształowo czyste, spowijało falistą zielenią wzgórz migotliwą, przejrzystą mgiełką. Tu i ówdzie widać było chodzących po polach mężczyzn; znajdowali się zbyt daleko, aby dało się ich rozróżnić, wiedziałam jednak, że Aszulay jest wśród nich. Cała scena miała w sobie coś magicznego i doskonale rozumiałam, że mieszkańcy wioski żyją w rzeczywistości zupełnie odmiennej od tej, jaką znałam dotąd.

Wróciliśmy do domu, rozłożywszy wcześniej pranie na skałach, żeby wyschło. Matka Aszulaya siedziała w słońcu, oparta o ścianę domu, zajęta przebieraniem oliwek. Kiedy

487

nas zobaczyła, wstała i weszła do środka, a po chwili wróciła z pięknym szalem o brzegach wspaniale zdobionych haftem z motywem winorośli i barwnych kwiatów. Podała mi go na wyciągniętych dłoniach.

Popatrzyłam na szal i delikatnie przesunęłam ręką po wzorach.

- Bardzo piękny - powiedziałam.

Zdawałam sobie sprawę, że mnie nie rozumiała, liczyłam jednak, że mój uśmiech i gesty są wystarczająco czytelne.

- Pour vous... - przetłumaczyła Zohra. V Cadeau... Podarunek, dla mnie. Odmowa byłaby równoznaczna

z obelgą, wzięłam więc szal z rąk starszej kobiety, przytuliłam do piersi i uśmiechnęłam się. Potem narzuciłam go na głowę i ramiona, a matka Aszulaya skinęła głową, wyraźnie zadowolona.

Z domu wyszedł Aszulay. Przystanął, popatrzył na mnie i skinął głową tak samo jak matka, z leciuteńkim uśmiechem. Ten cień uśmiechu na jego twarzy przepełnił mnie dziwnym uczuciem, natychmiast powiedziałam sobie, że nie mogę myśleć o jego ustach.

Aszulay był żonaty, chociaż nie przedstawił mnie swojej żonie, młodej kobiecie o smukłych dłoniach, która poprzedniego wieczoru siedziała obok niego przy ognisku. W nocy wyobrażałam sobie ich rozplamione namiętnością ciała, splecione w jedno pod kocami i zwierzęcymi skórami, prawie słyszałam jego szept, sączony do jej ucha.

I dotyk jego ramion, kiedy później mnie obejmował. Nie, kiedy obejmował ją, napomniałam się z rozpaczą. Kiedy obejmował ją, swoją żonę, nie mnie.

To nie on siedział samotnie przy ognisku. Na pewno nie on.

Odwróciłam się, żeby nie patrzeć na jego uśmiech.

488

- Aszulay?

Opuściliśmy wioskę i już od godziny jechaliśmy w kierunku Marrakeszu, w zupełnym milczeniu. Od naszego przybycia do wioski coś zmieniło się między nami. Wyraz twarzy, z jakim patrzył na mnie przy ognisku, z jakim rano przyglądał się moim podkreślonym czarną kreską oczom, kiedy stałam okryta szalem, który podarowała mi jego matka... Wiedziałam, wiedziałam z całą pewnością, że nie tylko ja odczułam tę zmianę. Swobodna rozmowa, jaką prowadziliśmy w drodze do wioski, wydawała mi się teraz niemożliwa. Chciałam coś powiedzieć, ale nie wiedziałam co. Pragnęłam, żeby on coś powiedział, tyle że nie wiedziałam, co chcę usłyszeć.

Badou usadowił się z tyłu furgonetki, w części oddzielonej od nas płócienną zasłonką. Pakując się na podróż, zabrałam kilka nowych francuskich książeczek z obrazkami i dałam je chłopcu, który teraz powoli przewracał kartki jednej z nich, w skupieniu oglądając obrazki.

Słyszając swoje imię, Aszulay spojrzał na mnie uważnie.

Nie mogłam dłużej milczeć.

-Twoja żona... Widziałam ją przy ognisku, obok ciebie. Jest bardzo ładna.

Jakiś cień przemknął przez jego twarz, całkowicie zmieniając jej wyraz. Mocno zacisnął zęby i nagle przestraszyłam się, że popełniłam poważny nietakt.

- Przepraszam - odezwałam się szybko. - Czy... Czy powiedziałam coś złego?

Oderwał wzrok od piste i znowu zmierzył mnie baczny spojrzeniem.

-Ta kobieta... To jedna z kobiet z wioski, nie moja żona. Znam ją od lat... -Jego gardło zadrgało, widziałam, jak przełknął ślinę. - Nie mam żony.

Otworzyłam usta ze zdumienia.

489

- Ale przecież Manon... Manon powiedziała mi, że masz żonę! Powiedziała mi, że twoja żona mieszka w wiosce.

Aszulay długo milczał.

- Manon lubi bawić się słowami - rzekł w końcu. Było to dziwne zdanie. Nie rozumiałam go.

- Ach, tak...

Wyglądało na to, że nie ma już nic więcej do powiedzenia, więc znowu jechaliśmy w milczeniu. Uczucie, którego doświadczyłam poprzedniej nocy, było zazdrością. Nie byłam z tego dumna, ale nie mogłam zaprzeczyć jego istnieniu. Dlaczego więc teraz, kiedy Aszulay opisał tamtą jako jedną z kobiet z wioski i powiedział, że nie ma żony, nie czułam czegoś przynajmniej zbliżonego do zadowolenia? Moja reakcja była zupełnie odwrotna - odpowiedź Aszulaya zaniepokoiła mnie, ponieważ jego twarz, głos, ręce sztywno zaciśnięte na kierownicy, wszystko to mówiło mi, że jest coś jeszcze i że w jakiś sposób sprawiłam mu ból.

Zjechał na bok i wyłączył silnik, a potem wysiadł z furgonetki i odpiął pasy, mocujące na dachu jeden z dużych metalowych kanistrów na paliwo. Za pomocą dużego lejka nalał benzyny do baku. Kiedy wrócił do kabiny, otaczał go ostry, charakterystyczny zapach.

- Niedobrze, że wyjechaliśmy tak późno - powiedział. - Światło wcześniej dziś znika, to przez pył.

Kiwnęłam głową.

- Miałem dzieci - rzekł nagle. - Dwoje.

Słowo „miałem” sprawiło, że powietrze w kabinie furgonetki w jednej chwili stało się potwornie duszne. Miałam wrażenie, że Aszulay wyssał cały tlen. Utkwiłam wzrok w brzegu koca, na którym siedziałam i zaczęłam bawić się luźną nitką.

- Przyszła gorączka. Zabiła moje dzieci i żonę, Ilianę... Umarło wtedy dużo ludzi, także pierwszy synek Rabii.

490

Nagle przypomniałam sobie jego zniknięcie nad strumieniem, gdzie zatrzymaliśmy się przed dotarciem do doliny Urika, i cmentarz, który minęliśmy.

-Twoja żona i dzieci... - Zaczęłam. - Są pochowani na tym cmentarzu, niedaleko którego zatrzymaliśmy się wczoraj, prawda?

Skinął głową, zasłonił końcem turbana dolną część twarzy i włączył silnik. Ruszyliśmy dalej piste.

Pomyślałam o Manon, z zadowolonym uśmiechem mówiącej mi, że Aszulay ma żonę. Spojrzałam na niego, ale nie powiedział już nic więcej.

W ciągu pół godziny niebo przybrało dziwny, jasnożółty kolor. Słońce znikło i zerwał się wiatr, tak silny, że Aszulay musiał bardzo mocno trzymać kierownicę, aby utrzymać samochód na szlaku. Nagle linia oddzielająca niebo od ziemi rozmyła się i wszystko stało się ogromną ścianą piachu. Mimo tego Aszulay wiedział, w którą stronę jechać. Wyobraziłam go sobie wśród piaskowych burz na pustyni, myślałam o tym, że jego wycucie kierunku stanowi część instynktu nomadów, część genetycznego spadku po przodkach.

Myślałam też o spadku, jaki otrzymał po ojcu Etienne.

Kiedy rozszalała się wichura, pozamykaliśmy okna, lecz wiatr mimo wszystko wdzierał się do kabiny szparami, niosąc piaszczysty pył. W końcu Aszulay zjechał ostro na bok i wyłączył silnik.

Badou ukląkł za nami, wpatrzony w przednią szybę. Wiatr świstał wokół samochodu tak mocno, że fiat lekko się kołysał.

Nie widzieliśmy nic, naprawdę nic.

- Nie podoba mi się to, wujku Aszulayu! - Kąciki ust Badou zjechały w dół. - Czy to dziny?

491

W oczach chłopca zabłyśły łzy. Pierwszy raz widziałam go płaczącego.

- Pożrą nas? - spytał drżącym głosem. Odwróciłam się i delikatnie osuszyłam jego policzki.

- Skądże znowu! - powiedział Aszulay. - To tylko wiatr! Musimy poczekać, aż się uspokoi, bo w ogóle nie widać piste!

- Ale... - Badou przechylił się nad oparciem i szepnął coś Aszulayowi do ucha.

- Badou musi wyjść. - Aszulay oparł dłoń na klamce. - Ja z nim pójdę - powiedziałam, ponieważ sama byłam

w podobnej sytuacji.

- Nie, wiatr jest zbyt silny! Ja...

- Proszę, pozwól mi z nim wyjść - przerwałam mu. Aszulay kiwnął głową, zrozumiałwszy, dlaczego nalegam,

a Badou przeszedł zza siedzenia na moje kolana.

- Nie odrywaj ręki od furgonetki! - rzekł Aszulay, gdy po dłuższej chwili udało nam się otworzyć drzwi i wysiąść.

Badou natychmiast odwrócił się przodem do samochodu i podwinął dżellabę.

- Pójdę do tyłu! - powiedziałam mu prosto do ucha.

Trzymając się jedną ręką furgonetki, zrobiłam kilka kroków i zatrzymałam się, walcząc z wiatrem. Wszystko razem trwało pewnie z minutę, może dwie, ale kiedy wróciłam do drzwi, Badou nie było. Otworzyłam drzwi i wdrapałam się na siedzenie, odgarniając włosy do tyłu i trąc oczy.

- Gdzie Badou? - spytał Aszulay.

- Jak to, gdzie Badou? - Ukląkłam na siedzeniu i odsunęłam zasłonkę, ale Aszulay już otwierał drzwi. - Zostawiłam go tylko na moment. Myślałam, że wsiadł...

- Nie wychodź! - krzyknął Aszulay.

- Zaczekaj...

492

-Nie wychodź! - powtórzył, przekrzykując wiatr i trzasnął drzwiami.

Siedziałam jak sparaliżowana, ze wzrokiem utkwionym w przedniej szybie. Próbowałam przekonać samą siebie, że Badou jest z przodu furgonetki, że po prostu nie mógł odejść dalej. Albo może nie dostrzegłam go, kiedy wracałam od tyłu. Na pewno przykucnął przy kole, na pewno Aszulay zaraz go znajdzie.

Jednak Aszulay wciąż nie wracał. Serce waliło mi w piersi jak oszalałe. Jak mogłam go zostawić, nawet na chwilę?! Potępiłam Manon za brak troskliwości, a sama zachowałam się jeszcze gorzej! Zasłoniłam usta dłonią, zamknęłam oczy i zaczęłam się kołysać w przód i w tył.

- Niech go znajdzie, niech go znajdzie, niech go znajdzie - powtarzałam szeptem.

Wciąż ich nie było.

Wkabinie robiło się coraz ciemniej. Szlochałam, modliłam się, waliłam głową w boczną szybę. Byłam idiotką, bezmyślną, pozbawioną wyobraźni babą! Czy Badou miał jakiegokolwiek szansę przeżyć na tym wietrze, czy też pył zadusił go od razu? A Aszulay? Widziałam, jak chodził dookoła samochodu i nawoływał Badou, wichura wyrывała imię małego z jego ust. Dopiero co powiedział mi, że stracił dwoje własnych dzieci, a teraz...

Nie mogłam tego znieść. Oparłam dłoń na drzwiach. Postanowiłam wysiąść i poszukać Badou. To ja byłam winna i ja powinnam go znaleźć. Już chciałam chwycić za klamkę, ale przypomniałam sobie polecenie Aszulaya, żebym została w samochodzie. Zdawałam sobie sprawę, że miał słuszość. Gdybym wysiadła i zaczęła błąkać się dookoła furgonetki, okazałabym się jeszcze większą idiotką.

493

Podniosłam zegarek do oczu, ponieważ prawie nic nie widziałam. Próbowałam przypomnieć sobie, o której opuściliśmy wioskę i jak długo jechaliśmy. Jak długo czekałam teraz na powrót Aszulaya i Badou? Czas nie miał przecież żadnego znaczenia. Wiedziałam tylko, że czekam już za długo, za długo, za długo...

Aszulay nie znalazł Badou.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY Piąty.

Straciłam wszelką nadzieję. Siedziałam nieruchomo w lekko kołyszącej się kabinie i patrzyłam na rozciągającą się za przednią szybą nicość.

Bałam się znowu spojrzeć na zegarek, ale w końcu nie wytrzymałam napięcia. Od wyjścia Aszulaya minęła już prawie godzina.

Znowu ukryłam twarz w dłoniach i się rozplakałam.

I wtedy drzwi otworzyły się nagle. Aszulay wepchnął Badou do środka, wskoczył za nim i zamknął drzwi.

Chwyciłam Badou i ściągnęłam turban Aszulaya z twarzy, szyi i klatki piersiowej chłopca. Zajrzałam w jego drobną buzię. Patrzył na mnie szeroko rozwartymi oczami, na policzkach miał wyschnięte ścieżki piasku.

- Zgubiłem się, Sidonie. Nie trzymałem się samochodu.

- Wiem, Badou - zaszlochałam, z całej siły przytulając go do piersi.

- Próbowałem go znaleźć.

- Wiem, wiem! Teraz jesteś już bezpieczny, już wszystko dobrze.

Ponad głową Badou spojrzałam na Aszulaya. Bałam się tego, co zobaczę - wiedziałam, że musiał uznać mnie za wyjątkowo głupią osobę i że pewnie jest na mnie wściekły.

495

Na twarzy Aszulaya nie malowało się nic poza straszliwym zmęczeniem. Oczy miał zamknięte, głowę odchyloną do tyłu. Jego włosy i brwi były tak oblepione piaskiem, że wydawały się rude. Piasek dostał mu się nawet do nosa.

- Czy... Czy wszystko w porządku? - wyjąkałam głosem zachrypniętym od łez.

- Daj mu wody - rzekł cicho.

Przesunęłam Badou trochę na bok, żeby sięgnąć za siedzenie. Wyjęłam korek i przytknęłam bukłak do ust chłopca. Pił chciwie, aż woda pociekła mu po szyi. Gdy nasycił pragnienie, podałam bukłak Aszulayowi, lecz jego oczy wciąż były zamknięte. Przysunęłam się bliżej i napoiłam go. Pił, nie podnosząc powiek.

Gdy uniósł rękę, żeby odsunąć bukłak, polałam wodą koniec jego turbanu i przemyłam mu oczy, starając się zdjąć z nich jak najwięcej pyłu. Wyjął mokrą tkaninę z moich rąk i sam wytarł sobie twarz. Dopiero wtedy otworzył oczy.

- Przepraszam - wyszeptałam. Chwilę nie odpowiadał.

- Znalazłem go niedaleko od furgonetki, ale bałem się, że się zgubimy, nie mogłem ryzykować. Wczołgaliśmy się pod mały występ ziemi, chyba nawianej przez wiatr. Czekaliśmy, aż w końcu wiatr zmienił kierunek na tyle, że zobaczyłem samochód. - Spojrzał na Badou. - Zrobiłem z ciebie małego Błękitnego Człowieka, co?

Badou kiwnął głową i zszedł z moich kolan, żeby przytulić się do boku Aszulaya, który natychmiast objął go ramieniem.

Czas mijał. W pewnej chwili Aszulay zaczął nucić, wciąż trzymając Badou przy sobie. Była to spokojna, smutna melodia, bardzo podobna do tej, którą w wiosce grał na flecie; wiedziałam już, że nosi nazwę rekka.

Myślałam o tym, że pewnie tulił tak swoje dzieci, nucąc im

496

kołysanki. Odwróciłam głowę i utkwiłam wzrok w wirującym za oknem piasku i pyle, czując, że jestem świadkiem czegoś zbyt osobistego.

Gdy przestał nucić, popatrzyłam na niego. Badou zasnął, z głową na jego piersi.

- Czy wiatr niedługo ucichnie?

- Nie wiem, ale spędzimy tu noc. Nawet jeśli wiatr ustanie, jest zbyt ciemno, aby bezpiecznie jechać po piste. Większa część szlaku będzie kompletnie zasypana.

Kiwnęłam głową. W kabinie było już prawie ciemno. Aszulay wyjął zza siedzenia pudełko zapatek i świeczkę, zapalił ją i wetknął w mały otwór w desce rozdzielczej.

Siedzieliśmy w łagodnym, migoczącym świetle.

-Aszulay... - zaczęłam. - Bardzo cię przepraszam. Nie wiem, jak...

-Jest już po wszystkim - przerwał mi. - Nic mu się nie stało, tylko się wystraszył.

-Ja też. - Usiłowałam opanować drżenie warg. - Nawet nie umiem ci powiedzieć, jak się bałam.

-Ten kraj potrafi być strasznym miejscem - powiedział. Znam wszystkie jego sztuczki, bo to moja ojczyzna, ale nie oczekuję tego samego od tych, którzy się tu nie urodzili.

Starał się wyjaśnić mi, że rozumiem, i byłam mu za to wdzięczna. Wzięłam głęboki oddech i wyciągnęłam do niego rękę.

- Dziękuję - szepnęłam.

Spojrzał na moją pomalowaną henną dłoń, ujął ją i popatrzył mi w oczy. Pomyślałam o spojrzeniach, które wymieniliśmy poprzedniego wieczoru, i musiałam pochylić głowę, ponieważ nie miałam odwagi patrzeć mu prosto w twarz. Widziałam nasze złączone dłonie i kciuk Aszulaya, gładzący moją skórę i delikatnie dotykający zagojonej rany.

497

W końcu podniosłam głowę. Nadal na mnie patrzył. W migotliwej poświacie linia jego wysokiej kości policzkowej wyglądała jak wyrzeźbiona dłutem. Miałam ochotę jej dotknąć. Pochylił się ku mnie, spojrzał jednak na Badou.

- Śpi - szepnęłam.

Aszulay wyprostował się i poczułam głębokie rozczarowanie.

- Może opowiesz mi coś, żeby czas szybciej nam płynął - odezwał się cicho, mocniej zaciskając palce wokół mojej dłoni. - Jakąś historię o Ameryce. O kobiecie z Ameryki.

Trudno było mi oddychać. Potrząsnęłam głową.

- Najpierw ty... Opowiedz mi o sobie.

- Nie mam dużo do opowiadania.

- Żeby czas szybciej nam płynął... - powtórzyłam jego słowa. - Najpierw twoja historia, potem moja.

Wolną ręką pogładził włosy Badou.

- Kiedy miałem trzynaście lat, monsieur Duverger kupił mnie, żebym pracował dla matki Manon - rzekł.

Wstrzymałam oddech.

- Byłeś niewolnikiem?

- Nie... Nie jestem niewolnikiem, jestem Tuaregiem, przecież wiesz.

- Więc... Więc jak to... Kupił cię? Aszulay wzruszył ramionami.

- Dzieci z wioski często przyjeżdżają pracować do miasta - rzekł. - Dzieci z bied potrafią ciężko pracować, nie narzekają i mało mówią.

- Nie widzę wielkiej różnicy między taką pracą a niewolnictwem!

- Z innych części Afryki od dawna sprowadzano niewolników do Maroka. Gdy wyruszyliśmy z karawaną z moim ojcem, czasami przewoziliśmy sól, czasami złoto, bursztyn

498

i strusie pióra, a kiedy indziej czarnych niewolników z Mali i Mauretanii, ale to nie to samo, co sytuacja młodych Marokańczyków ze wsi. Rodzina dostaje uzgodnioną sumę i dzieci idą na służbę w jakimś domu. Dostają małą pensję i kilka razy w roku mogą odwiedzić swoją rodzinę, jeżeli wiedzą gdzie ona przebywa. Mogą też spotkać się z krewnymi, którzy akurat przyjechali do miasta. Kiedy takie dziecko osiąga pewien wiek, może odejść, jeśli chce. Niektóre wracają wtedy na bied, albo podejmują inną pracę w mieście, lecz niektóre zostają i dalej pracują dla tej samej rodziny. Zdarza się również, że ta rodzina staje im się bliższa niż własna.

Wiatr wciąż kołysał furgonetką, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, jednak teraz, gdy siedziałam z Aszulayem przy świeczce i czułam, że trzyma mnie za rękę, działało to nawet uspokajająco. Badou posapywał przez sen.

- Mówiłem ci, że mój ojciec umarł, kiedy jeszcze żyliśmy jak nomadzi - ciągnął Aszulay. - Jako dwunastolatek byłem jeszcze za mały, żeby samodzielnie wyruszać z karawaną przez pustynię, a nie chciałem przyłączać się do innej grupy nomadów, ponieważ wiedziałem, że dorośli mężczyźni nie będą mnie szanować. Dlatego z własnej woli sprzedałem nasze wielbłądy i powiedziałem matce, że chcę pracować w Marrakeszu. Nie chciała się zgodzić, ale ja zdawałem sobie sprawę, że w ten sposób

od razu dostanie za mnie pewną kwotę, a i później będę mógł pomóc jej w utrzymaniu moich sióstr. No i wiedziałem, że w wiosce będą bezpieczne.

- Dzieci sprzedaje się Francuzom czy Marokańczykom?

- I jednym, i drugim, chociaż Francuzi rzadziej przyjmują na służbę dzieci nomadów, z powodu języka i różnic kulturowych. Ale to nie było złe życie, Sidonie! Ciężko pracujemy na pustyni i w bied, i w mieście także. Praca to praca, tyle że w mieście zawsze mamy co jeść. W moim wcześniejszym życiu

499

nie zawsze było tak dobrze. Kiedy wielbłądy zdychały albo kozy nie dawały mleka, bywaliśmy głodni.

Pomyślałam o chłopcu z hotelu de la Palmeraie, który przyniósł sok pomarańczowy do mojego pokoju, kiedy przyszli Aszulay i Badou. Patrzył na Aszulaya tak, jakby dobrze go znał. Pomyślałam o wielu chłopcach i młodzieńcach, których widziałam pracujących na sukach, ciągnących wózki, dźwigających ciężary przez zatłoczone uliczki medyny lub prowadzących taksówki czy dorożki w dzielnicy francuskiej. Brałam ich za synów Marokańczyków, którzy byli właścicielami tych drobnych przedsiębiorstw, ale teraz uświadomiłam sobie, że może oni także, podobnie jak Aszulay, zostali sprzedani do pracy.

- Tak więc monsieur Duverger kupił mnie dla matki Manon. Chciał, żeby życie Rachidy było lżejsze i podarował mnie jej. Wykonywałam wszystkie ciężkie prace w domu. Manon była o rok młodsza ode mnie i zaprzyjaźniliśmy się. Była dla mnie dobra. - Manon? Manon była dla ciebie dobra?

Wiatr powoli przycichał. Blask świecy rzucał ruchliwe cienie na twarz Aszulaya.

- Nauczyła mnie mówić po francusku, pisać i czytać. Nie wiem, gdzie i jak sama zdobyła te umiejętności. Była córką Arabki, więc nie było dla niej miejsca w żadnej szkole, ale wiesz, jaka ona jest inteligentna.

Aszulay przerwał. Na pewno wyczytał z mojej twarzy oczywistą niechęć do Manon.

- Mów dalej - powiedziałam.

- Zaprzyjaźniliśmy się od pierwszego dnia, a z czasem staliśmy się dla siebie kimś więcej niż przyjaciółmi.

Więc trwało to od tak dawna, od czasu, kiedy byli jeszcze niemal dziećmi. Tyle lat byli kochankami.

500

-Traktowaliśmy się jak brat i siostra - podjął Aszulay. Kiedy z mojego gardła wyrwał się cichy dźwięk, rzucił mi pytające spojrzenie.

- Jak brat i siostra? Kiwnął głową.

-Opiekowaliśmy się sobą nawzajem, troszczyliśmy się o siebie. Oboje byliśmy samotni. Ja tęskniłem za rodziną, a ona... Nie wiem, za czym tęskniła, ale zawsze czuła się samotna, zawsze...

- Ale... Chcesz powiedzieć... -Co?

Nerwowo zwilżyłam wargi.

-Przez cały czas sądziłam, że... Wydawało mi się, że ty i Manon... Że jesteście kochankami.

Patrzył na mnie długą chwilę.

- Manon? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Co innego mogłam pomyśleć? Jak inaczej miałam rozumieć wasz związek? Poza tym Manon... Widziałam przecież, jak zachowuje się w twojej obecności.

- To jest silniejsze od niej. Zawsze zachowuje się tak w obecności mężczyzny, to u niej nawyk. Ale... Naprawdę myślisz, że Manon jest kobietą, z którą mógłbym być? - spytał, wciąż patrząc na mnie uważnie.

Musiałam spuścić wzrok.

Chciałam powiedzieć: „Nie, nie chciałam myśleć, że pragniesz Manon. Nienawidziłam myśli, że uczyniłeś ją swoją kochanką, że związałeś się z tą podstępna, złą kobietą, ponieważ przewyższasz ją pod każdym względem”, ale siedziałam bez słowa, wpatrzona w Badou, próbując spokojnie oddychać.

- Pomagałem jej w przeszłości, z powodu tego, co razem przeżyliśmy, a teraz... Teraz pomagam jej z powodu tego małego. Jedyna więź, jaka teraz łączy mnie z Manon, to Badou.

501

Puścił moją rękę, zdjął babouches z nóg chłopca i ujął w dłonie jego drobne bosc stopy.

- Tak poznałem Etienne'a i Guillaume'a - ciągnął. - Czasami chodziłem z Manon do domu Duvergerów. Nie zauważali mnie, zupełnie jakby moje istnienie nie miało żadnego znaczenia, zawsze widzieli we mnie tylko chłopca ze wsi, który wykonuje ciężkie prace dla matki Manon, ale ja obserwowałem ich i dowiedziałem się, jacy są.

Starałam się wyobrazić sobie młodego Aszulaya jako służącego, przyglądającego się zamożnym francuskim chłopcom, żyjącym w dostatku i luksusie. Widziałam go jako trochę starszego Badou o mądrych, przenikliwych oczach i poważnym wyrazie twarzy.

Nagle zrobiło mi się wstyd za Etienne'a, za to, jak musiał traktować, czy raczej ignorować Aszulaya. Etienne miał wszystko, Aszulay nic. A jednak teraz... Który z nich miał więcej?

- Kiedy wszyscy podrośliśmy, Manon nie mogła przestać mówić o Etienne i Guillaume. Złościła się na nich, straciła do nich sympatię, bo mieli to, czego jej brakowało. Chciała mieć takie życie jak oni. Gdy wyjechali do Paryża, błagała monsieur Duvergera, żeby ją także wysłał do dobrej szkoły, w której mogłaby uczyć się malować. Mówiła mi, że błagała go na kolanach, ale odmówił. Był gotowy dawać jej matce pieniądze na dom, na jedzenie i na służącego, ale nie chciał dać ani jednego sou więcej na potrzeby Manon. Powiedział jej, że i tak ma wygodne życie, że już dużo od niego dostała. Powiedział, że jego synowie zajmują inne miejsce w jego sercu, a ona inne i że musi się z tym pogodzić. Jednak Manon nie chciała tego przyjąć. Akceptowanie rzeczy, które jej się nie podobają, nie leży w jej naturze.

Oczywiście, pomyślałam.

502

- Później sytuacja Manon znacznie się pogorszyła - jej matka umarła, a monsieur Duverger był coraz bardziej chory i zagubiony. Przestał dawać jej pieniądze i sprzedał dom, który kupił dla Rachidy. Manon była już wtedy młodą kobietą; musiała znaleźć pracę. Zaczęła pracować jako służąca u jakichś Francuzów, tak samo jak wcześniej jej matka. Była wiecznie zła i rozgoryczona, była... Nie mogę przypomnieć sobie odpowiedniego francuskiego słowa. Nie mogła przestać myśleć o Etiennie i Guillaume, ciągle mówiła o nich i powtarzała, jak niesprawiedliwe jest to, co ją spotkało.

- Wpadła w obsesję?

- Tak, wpadła w obsesję. Mówiła, że chce, aby synowie monsieur Duvergera cierpieli tak jak ona, ale co mogła zrobić? Obaj mieszkali teraz głównie w Paryżu. Guillaume przyjechał do Maroka któregoś lata i właśnie wtedy utopił się w morzu w Essourii. Etienne wrócił do Marrakeszu na pogrzeb brata, ale po kilku dniach znowu wyjechał. Rok później przyjechał na pogrzeb matki, która umarła nagle na serce. W następnym roku umarł monsieur Duverger i Etienne przyjechał do domu ostatni raz. Było to ponad siedem lat temu. Manon poszła na pogrzeb i spotkała Etienne'a.

- A później?

- Wszystkie te lata zrobiły z Manon twardą, złą kobietę. Oczywiście nigdy nie miała serca jak anioł i zawsze myślała przede wszystkim o sobie. Zawsze była też piękna i postugiwała się swoją urodą jak bronią wobec mężczyzn.

Kiwnęłam głową. Łatwo było mi wyobrazić sobie młodą, zachwycającą Manon, doskonale świadomą władzy, jaką ma nad mężczyznami. Piękną, ale zgorzkniałą. Wiedziałam, że gorycz, którą demonstrowała, tkwiła w niej bardzo głęboko.

- Zobaczyła Etienne'a na pogrzebie jego ojca - powtórzyłam. - Co było dalej?

503

Aszulay milczał długą chwilę.

- Później Etienne wyjechał do Ameryki - rzekł w końcu. Ciszę, która zapadła w kabinie, zakłócał tylko cichy oddech Badou.

- Cest tout. To wszystko.

Czułam, że to nie wszystko. Było coś, co Aszulay zatrzymał dla siebie.

- Czy to wtedy Manon powiedziała mi, że jest jego przyrodnią siostrą? - zapytałam. - Nie było już przecież żadnego powodu, aby dalej to przed nim taić. Jej matka nie żyła, podobnie jak cała rodzina Etienne'a. Czy powiedziała mi o tym, żeby go zranić, żeby umniejszyć ojca w oczach syna?

Wyobraziłam sobie Manon, gniewnie i triumfalnie szepczącą Etienne do ucha wiadomość, że mieli wspólnego ojca.

- Reszta tej historii, część dotycząca Etienne'a, należy do Manon - powiedział Aszulay. - Ja nie mogę jej opowiedzieć.

- Ale ty nadal przyjaźniłeś się z Manon?

- Długo się nie widzieliśmy. Kiedy jej matka umarła i Manon przeniosła się do domu Francuzów, u których pracowała, wyjechałem z Maroka.

- Wyjechałeś? Dokąd?

- Trochę podróżowałem po świecie. Byłem młody i silny. Starłem się żyć oszczędnie i wysyłałem pieniądze matce. Najpierw pojechałem do Algierii, potem do Mauretanii i Mali. W tamtym okresie lubiłem jeździć z miejsca na miejsce, bo przecież w głębi serca jestem wędrowcem. - Uśmiechnął się.

Spojrzałam na świecę i jej odbicie w przedniej szybie.

- Wreszcie pojechałem do Hiszpanii.

- Do Hiszpanii? - Odwróciłam się do niego.

- Tak. Najpierw mieszkałem w Maladze, potem w Sewilli i w Barcelonie. Bez trudu nauczyłem się hiszpańskiego, bo jest podobny do francuskiego. Kiedy mieszkałem w Barcelonie,

504

często przejeżdżałem przez granicę do Francji. Był to dobry okres w moim życiu - poznawałem świat i ludzi. Umówiłem się z przyjacielem, który mieszkał w Marrakeszu, że będę przysyłał mu pieniądze, a on przekaze je mojej matce i siostrze. W Hiszpanii dobrze zarabiałem, w Maroku musiałbym pracować wiele lat, żeby tyle odłożyć. No i nie miałem żadnych problemów ze znalezieniem pracy.

Tak, śmiało mógł uchodzić za Hiszpana, z tymi gęstymi czarnymi włosami, wąskim nosem, mocnymi białymi zębami i ogorzałą skórą... Ciekawe, jak wyglądał w europejskim ubraniu, pomyślałam.

Coraz jaśniej i wyraźniej widziałam, kim był.

- Jak długo tam mieszkałeś?

- Pięć lat - odparł po chwili milczenia.

- To długo! Nie chciałeś zostać w Hiszpanii na stałe? Wyciągnął rękę i przesunął palcami nad czubkiem płomienia.

- Dwa lata siedziałem w więzieniu w Barcelonie. Nie odpowiedziałam.

- Byłem uparty i porywczy. Wdałem się w bójkę z grupą mężczyzn i jeden z nich został bardzo poważnie ranny. - Aszulay wciąż obserwował swoją dłoń nad płomieniem świecy. - Nie wiem, kto wymierzył mu najmocniejsze ciosy, nikt z nas nie wiedział. Była to bezsensowna walka, taka, w którą czasami wdają się młodzi mężczyźni, gdy tracą panowanie nad sobą. Tak czy inaczej, wszyscy trafiliśmy do więzienia z powodu obrażeń, jakie odniósł tamten człowiek...

- Na dwa lata - szepnęłam.

- W więzieniu człowiek ma czas zastanowić się nad swoim życiem. Kiedy siedziałem w celi, ciągle wyobrażałem sobie, jak wracam do Maroka. Myślałem, że jeżeli dożyję tego powrotu, znowu zamieszkać na pustyni, w namiocie, aby jeździć

505

z karawanami. Na pustyni życie jest proste, mówiłem sobie. Po tym, czego doświadczyłem w więzieniu, pragnąłem tylko takiego prostego życia. Moja matka nie wiedziała, co się ze mną działo, ani ona, ani nikt inny. Nie mogłem znieść myśli, że może ciągle mnie opłakuje i miałem straszne wyrzuty sumienia, że zmarnowałem te dwa lata.

- Więc kiedy cię wypuścili, wróciłeś na pustynię? Kiwnął głową.

- Najpierw pojechałem do wioski, zobaczyłem się z matką, siostrami i ich rodzinami, a potem na Saharę, tak jak sobie obiecałem.

- Ale... - powiedziałam, ponieważ usłyszałam to „ale” w jego głosie.

- Wróciłem z Hiszpanii bez pieniędzy. Nie było mnie stać na zakup własnych wielbłądów, a praca dla innego przewodnika karawan okazała się dla mnie trudna. Oczywiście, nic nie było takie, jak w okresie mojego dzieciństwa, kiedy podróżowałem z ojcem. Za bardzo się zmieniłem. Po jednej długiej i pełnej gorzkich rozczarowań wyprawie do Timbaktu wróciłem do wioski. Pragnąłem znaleźć swoje miejsce na ziemi, osiąść gdzieś na stałe. Poślubiłem Ilianę i w ciągu trzech lat urodziło nam się dwoje dzieci, syn i córka.

Przerwał nagle, jakby zabrakło mu tchu. Czekałam. Aszulay odchrząknął.

- Kochałem moją żonę i dzieci, ale znowu czułem to samo, co wtedy, gdy próbowałem zacząć nowe życie na pustyni. Zbyt długo byłem z dala od mojej ziemi. Poznałem życie wielkich miast, za dużo widziałem. Ze wszystkich sił starałem się zaakceptować pracę w polu, u boku innych mężczyzn, ale nie byłem częścią takiego życia. Nie chodziło o pracę, bo nie ma takiej, która byłaby dla mnie za ciężka, ale o poczucie izolacji. Nasza dolina to piękne miejsce, a ludzie są przyjaźnie nastawieni,

506

ale wszystko to w jakiś niezrozumiały sposób przypominało mi więzienie. Czasami wydawało mi się, że góry są jak więzienny mur. Nie widziałem nic ponad nimi, ograniczały mi widok. Rozmawiałem z Ilianą o przeprowadzce do Marrakeszu, lecz ona zawsze mieszkała w dolinie Urika i myśl o wyjeździe budziła w niej przerażenie. Poddałem się więc i próbowałem jakoś zorganizować nasze życie w ciągu tych kilku lat, ale później... - Znowu na chwilę przerwał. - Po śmierci Iliany i dzieci nie widziałem żadnego sensu w dalszym pobycie w wiosce. I tak nigdy nie znalazłbym tam już szczęścia. Siedzieliśmy w milczeniu, słuchając wiatru, teraz tylko cicho pogwizdującego za oknami.

- Wróciłem do Marrakeszu i znalazłem pracę. Oczywiście znowu spotkałem Manon i dowiedziałem się, jakie życie wybrała. Odeszła od francuskiej rodziny, dla której pracowała, i żyła z tego, co dawali jej mężczyźni.

Potrafiłam wyobrazić sobie, jak widział Manon w tamtym momencie jej życia. Kobiety wychodzą za mąż albo zostają konkubinami, czyli prostytutkami, nie mają trzeciej możliwości. Nie istnieje określenie dla takiej kobiety jak Manon.

- Jednak ona także nie znalazła szczęścia - ciągnął. - Oboje byliśmy wtedy nieszczęśliwi, ale ja przeżywałem rozpacz po stracie najbliższych i wiedziałem, że pewnego dnia ten wielki smutek minie albo przynajmniej przygaśnie.

Trudno było mi patrzeć na Aszulaya. Nigdy nie widziałam u niego takiego wyrazu twarzy - zawsze była otwarta i szczerą, ale teraz wydała mi się aż za bardzo wrażliwa i podatna na zranienie.

- Nieszczęście Manon było innego rodzaju, ponieważ wyływało z gniewu. Uważała, że pozbawiono ją możliwości wygodnego, szczęśliwego życia, a nie wiedziała, jak sama mogłaby je sobie zapewnić. Tak długo kurczowo trzymała

507

się dawnej urazy i przekonania, że nie dostała tego, co słusznie jej się należało, aż rozgoryczenie i złość uczyniły z niej kalekę.

Aszulay nieświadomie użył słowa „kaleka”; najwyraźniej nie postrzegał mnie w taki sposób i nie wiedział, że to, co mówi, nie pozostawia mnie obojętną i zmusza do refleksji nad własnym życiem, również pełnym rozgoryczenia.

- Kiedy urodziła Badou, a było to wydarzenie, którego ani się nie spodziewała, ani chyba nie chciała, Coś się w niej zmieniło.

- A ojciec Badou?

Aszulay oderwał wzrok od płomienia i spojrzał na mnie. -Tak?

- Manon nie była z nim szczęśliwa? - zapytałam. Potrząsnął głową.

- Wydawało mi się, że po przyjściu na świat Badou Manon stała się jeszcze bardziej zdesperowana. Nie była już młoda i została samotną matką. Macierzyństwo okazało się dla niej trudnym doświadczeniem. Manon zaledwie toleruje Badou, ale nie robi mu krzywdy.

Patrząc na łagodnie unoszącą się i opadającą pierś Badou, pomyślałam o Falidzie i jej siniakach.

- Ignoruje go - sprostowałam. - Czasami chodzi głodny i brudny!

Nie podobało mi się, że Aszulay broni Manon i jej podejścia do Badou.

- Moim zdaniem Manon nie jest zdolna do miłości, jaką kobieta w naturalny sposób powinna darzyć dziecko - powiedział. - Mówiłem ci już, że czegoś jej brak. Kiedy pomyślę, jak moja... i

Znowu przerwał. Nie miałam cienia wątpliwości, że wspomina swoją żonę i dzieci. Wciąż trzymał małe stopy chłopca

508

w dużych dłoniach; patrzyłam, jak ostrożnie i delikatnie gładzi dziecięce nóżki.

Z pewnością Badou przynajmniej trochę wypełniał ogromną lukę, jaka powstała w życiu Aszulaya po stracie dzieci.

Wiatr zmienił kierunek, podstępnie wpadł do kabiny przez wążutką szparę u góry bocznego okna i zdmuchnął płomień świecy.

- A teraz ty - rzekł Aszulay. -Ja?

Nic nie widziałam w ciemności.

- Teraz czas na twoją historię. Opowiedziałem ci moją, teraz ty opowiedz swoją...

- Ale... Ale w mojej historii nie ma nic interesującego. Zupełnie nic, w porównaniu z twoją.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo ja... Moje życie... Moje życie było takie małe... Usłyszałam szelest i siedzenie między nami zapadło się

lekko, kiedy Aszulay położył na nim Badou. Moje dłonie dotknęły włosów chłopca. Delikatnie uniosłam jego głowę i oparłam ją sobie na kolanach. Aszulay pewnie nadal trzymał jego stopy, więc ciało Badou tworzyło coś w rodzaju mostu między nami. Naciągnęłam leżący na siedzeniu koc na ramiona Badou.

- Żadne życie nie jest małe - powiedział cicho Aszulay. - Życie ptaka jest tak samo ważne jak życie króla, tyle że po prostu inne.

Nie tyle zobaczyłam, ile poczułam twarz Aszulaya tuż obok mojej. Ostrożnie wyciągnęłam ręce i dotknęłam palcami jego kości policzkowych, a potem jego wargi odnalazły moje.

Badou poruszył się i oderwaliśmy się od siebie.

- Opowiedz mi swoją historię - szepnął Aszulay. Po chwili milczenia zaczęłam opowiadać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY.

Budziłam się powoli. Kark zupełnie mi zeszywniał, ponieważ spałam z głową wtuloną w kąt kabiny. Pokręciłam głowę kilka razy w jedną i drugą stronę, wyglądając przez przednią szybę. Wiatr ucichł i poranek był bardzo spokojny.

Aszulay i Badou siedzieli w kucki przy małym ognisku; na stosiku płonących gałązek stał poczerńiały blaszany garnek.

Wysiadłam z furgonetki, świadoma nowej intymności, jaka stała się udziałem moim i Aszulaya. Nie chodziło o pocałunek, ale o szczegóły życia, o których opowiedzieliśmy sobie w czasie tej długiej nocy.

- Zjedliśmy już śniadanie - powiedział Aszulay, patrząc, jak zbliżam się do ogniska. - Siadaj i jedz.

Mówił takim samym tonem jak zwykle, lecz jego spojrzenie mówiło coś innego.

- Miałeś zapasy jedzenia w samochodzie? - zapytałam z uśmiechem.

Próbowałam usiąść na ziemi, niezgrabnie z powodu nogi, ale Aszulay wskazał mi duży kamień, już przykryty kocem. Podeszłam do zaimprovizowanego siedzenia, wdzięczna za troskę.

- Marokańczycy nigdy nie ufają pogodzie! - Uśmiechnął się tak, jakbyśmy wcześniej żartowali na ten temat.

510

Przypomniałam sobie, jak Mustafa i Aziz wozili zapasy w bagażniku citroena. Aszulay końcem turbanu owinął ucho garnka, uniósł go i przelał zawartość do blaszanej puszki, w której znajdowała się mięta z cukrem. Później postawił puszkę przede mną.

- Badou, podaj Sidonie chleb.

Badou podał mi gruby krążek podpłomyka, który trzymał na kolanach. Oderwałam kawałek i zanurzyłam go w herbacie, żeby zmięknął. Zjadłam cały, nagle głodna jak wilk, a kiedy przełknęłam ostatni kęs, herbata była już letnia.

Badou bawił się kamykami, układając z nich stos i burząc go. Gdy spojrzał na mnie, uśmiechnęłam się do niego i dopiłam herbatę.

- Nie jest ci gorąco w stopy, Sidonie? - spytał. Pomyślałam o Zohrze, która zdradzała podobną ciekawość.

- Czasami - odparłam.

- Dlaczego zawsze wkładasz takie wielkie buty? Dlaczego nie nosisz babouches?

- Muszę nosić takie buty, bo ta noga - dotknęłam kolana - nie mogłaby poruszać się jak należy. Potrzebuję grubszej podeszwy, ponieważ jedną nogę mam krótszą.

Badou kiwnął głową, uważnie przyglądając się moim butom.

- Brahmin, chłopiec, który mieszka przy naszej ulicy, też ma krótszą nogę, ale mimo to potrafi szybko biegać i kopać piłkę. - Badou przekrzywił głowę na bok. - Wyglądasz jak maman - oświadczył nieoczekiwanie.

- Naprawdę? - Uniosłam brwi, usiłując ukryć, że jego stwierdzenie mocno zbiło mnie z tropu.

Manon była przecież zmysłowo piękna.

- Oui - rzekł poważnie. - Wyglądasz jak maman. Wujku Aszulay, Sidonie wygląda teraz jak maman, prawda?

511

Aszulay zasypywał ognisko ziemią. Spojrzał na mnie, ale nie mogłam się zorientować, co myśli.

- Chodźcie! - zawołał. - Możemy już jechać!

Kiedy Badou wgramolił się na siedzenie z tyłu furgonetki, a Aszulay usiadł za kierownicą, przystanąłam z ręką opartą o drzwi.

-Aszulay, czy mogłabym... - zaczęłam niepewnie. - Czy mogłabym poprowadzić samochód do Marrakeszu?

-Ale... Opowiadałaś mi o wypadku, o twoim ojcu. Mówiłaś...

- Wiem, ale dzisiaj czuję się inaczej - powiedziałam. - Dziś mam wrażenie, że przyszedł czas, żebym znowu usiadła za kierownicą.

- Przebaczyłaś sobie - rzekł.

Czy miał rację? Czy chciałam prowadzić samochód - nie tylko sama, jak podczas tych kilku szalonych chwil na pisto, kiedy pognałam przed siebie citroenem Mustafy, ale z Aszulayem i Badou - ponieważ nie przygniatał mnie już ten nieznośny ciężar poczucia winy? Pomyślałam o moim ojcu i pierwszy raz nie poczułam głębokiego bólu. Więc może Aszulay miał rację, może rzeczywiście odnalazłam spokój.

- Furgonetka to nie to samo co samochód osobowy - odezwał się Aszulay, kiedy długo nie odpowiadałam. - Poza tym, jak mówiłem ci wczoraj wieczorem, szlaki będą miejscami zasypane piaskiem. Nie będzie ci łatwo.

- Może nie, ale spróbuję! Przecież pomożesz mi, gdybym miała trudności! - Uniosłam podbródek i uśmiechnęłam się do niego.

Wysiadł, obszedł furgonetkę i stanął obok mnie.

- Cóż, wygląda na to, że pojedę przez bied samochodem prowadzonym przez Amerykankę - rzekł, trochę niepewnie, a trochę chyba z zadowoleniem.

512

Uśmiechnął się do mnie, schylił głowę i wsunął się do kabiny po stronie pasażera.

- Tak czy inaczej, na pewno będzie to ciekawe i dobre doświadczenie! Co ty na to, Badou? Podoba ci się, że Sidonie zawiezie nas do Marrakeszu? Możemy usadowić się wygodnie i pozwolić jej wykonać całą ciężką robotę.

- Oui - przytaknął poważnie chłopiec. - Sidonie poradzi sobie z tym zadaniem!

Usiadłam za kierownicą i oparłam stopy na pedałach. Przekręciłam kluczyk w stacyjce, a gdy silnik z rykiem obudził się do życia, zerknęłam na Aszulaya i uśmiechnęłam się. Odpowiedział uśmiechem.

Do Marrakeszu dotarliśmy tuż po południu i zostawiliśmy furgonetkę w garażu na obrzeżach miasta. Jazda była naprawdę trudna, lecz jakoś dałam sobie radę, tylko raz zjeżdżając z pisto i natychmiast bez większych problemów wracając na wąski szlak. Pozwoliłam Badou trąbić klaksonem w ciszy bied i chłopiec dosłownie pękał ze śmiechu, rozbawiony donośnym dźwiękiem.

Przeszliśmy przez medynę pieszo, ale zamiast od razu zaprowadzić mnie do Szaria Sura, Aszulay poprowadził nas inną alejką, a potem jeszcze inną, i kiedy wreszcie zatrzymaliśmy się i wyjął duży klucz pomiędzy fałd błękitnej szaty, zorientowałam się, że jesteśmy pod jego domem.

Gdy otworzył bramę, starsza kobieta, która ostatnim razem podała mi herbatę, podniosła się z klęczek ze ścierką w rękę. Kaftan miała podwiązany pasem, żeby nie utrudniał jej pracy. Aszulay odezwał się do niej po arabsku, a ona kiwnęła głową, obciągnęła kaftan i weszła do domu. Aszulay poszedł za nią.

Trzymając Badou za rękę, rozejrzałam się dookoła. Kiedy byłam tu poprzednio, zależało mi tylko na tym, żeby dowiedzieć

513

się czegoś na temat Etienne'a i w ogóle nie zwróciłam uwagi na wygląd domu Aszulaya. Teraz było inaczej - chciałam zobaczyć i obejrzeć wszystko. Dziedziniec był piękny, z posadzką złożoną z małych płytek w odcieniach złota i błękitu. Zewnętrzna ściana budynku również pokryta była płytkami, złocistymi, zielonymi i czerwonymi. W małych niszach, też wyłożonych płytkami, tkwiły świece. Wejście do domu było łukowate, z cienką białą zasłoną. W kilku miejscach stały malowane donice, trochę podobne do tych w parku monsieur Majorelle'a; w dużych rosły niskie drzewka, a w mniejszych kwiaty i pnącza...

Na jednej ze ścian wisało długie lustro, na sąsiedniej gruba tkanina z abstrakcyjnym wzorem w subtelnych kolorach ziemi i intensywnych żółci.

Teraz, świeżo po powrocie z uczonej górskiego zbocza wioski z lepianek, wyraźnie widziałam różnicę między życiem Aszulaya tutaj, w Marrakeszu, a tym, które najprawdopodobniej wiódłby w dolinie Urika.

Badou puścił moją dłoń i zaczął biegać po dziedzińcu. Zdjęłam haik i zasłonę w chwili, gdy Aszulay wyniósł z domu dużą blaszaną miednicę, taką, w jakiej służąca z Szaria Sura prała ubrania. Napełnił ją wodą ze stojącej w rogu cysterny i powiedział coś do Badou po arabsku. Nagle przerwał.

- Przepraszam - uśmiechnął się lekko. - Czasami po pobycie w bied zapominałam mówić enfrançais.

- Nie szkodzi. Coraz więcej rozumiem po arabsku! Teraz powiedziałaś Badou, że cuchnie jak mały psiak i musi się umyć. Mena jest dobrą nauczycielką!

Aszulay nachylił się nad miednicę i umył twarz, szyję oraz ręce kostką mydła. Ochlapał wodą włosy i przeczesał je palcami, podciągnął rękawy tuniki i umył ręce do łokci, a potem wylał wodę do płytkiego dołka pod cysterną i znowu napełnił miednicę.

514

- Chodź, Badou! - zawołał.

Pomógł chłopcu zdjąć dzellabę, płócienne spodnie i babouches, ujął go pod pachy i wsadził do miednicy. Badou uśmiechnął się radośnie.

- Woda jest nagrzana od słońca - rzekł Aszulay, namydloną miękką ściereczką zmywając warstwę brudu ze skóry małego. - Zamknij oczy... - polecił, zabierając się do mycia jego włosów.

Popatrzyłam na usiany słonecznymi plamami dziedziniec oraz na piękne płytki i nagle zapragnęłam ich dotknąć stopami. Rozsupłałam sznurowadła butów, zdjęłam je i ściągnęłam pończochy. Płytki okazały się ciepłe i przyjemnie gładkie, tak jak przewidywałam, idealnie czyste po myciu, które służąca skończyła w chwili naszego powrotu. Powoli obeszłam dziedziniec dookoła, świadoma, że mocno utykam bez buta z grubą podeszwą, ale nie dbałam o to. Z rozkoszą przesuwając bosymi stopami po płytkach. Od czasu choroby nigdy nie chodziłam boso, choć wcześniej często biegałam latem boso po podwórku.

Aszulay i Badou nie zwracali na mnie uwagi, pochłonięci kąpielą. Nagle ujrzałam swoje odbicie w długim lustrze. Widziałam całą sylwetkę. W ostatnich trzech dniach słońce i wiatr przyciemniły mi skórę, a włosy, starannie zaplecione przez siostrę Aszulaya, po wichurze i spędzonej w furgonetce nocy luźno opadały na ramiona. Oczy, obwiedzione trochę rozmazaną kreską, przykuwały spojrzenie, większe niż kiedykolwiek. Na kaftan zarzucony miałam haftowany szal, który dostałam od matki Aszulaya. Przyjrzałam się sobie uważnie i wreszcie zrozumiałam, co miał na myśli Badou - z tej odległości rzeczywiście przypominałam Manon. Miałyśmy podobny owal twarzy, tak samo szeroko rozstawione oczy i wijące się włosy. Wcześniej w ogóle tego nie zauważyłam.

515

- Wzory płytek są cudowne - odezwałam się, przenosząc wzrok z lustra na Aszulaya.

Płytki na dziedzińcu Manon i w domu Meny były zwyczajne - ładne, ale nie tak oryginalne i w mniej ciekawych, bardziej stonowanych barwach.

-Jest wiele tradycyjnych wzorów zellij, czyli płytek - rzekł Aszulay.

Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. Jego oczy na moment zatrzymały się na moich stopach i w tej króciutkiej chwili poczułam się tak, jakbym obnażyła przed nim piersi. Gwałtownie wstrzymałam oddech. Świadomość, że Aszulay widział moje stopy, miała dla mnie dziwnie erotyczne zabarwienie.

Nigdy nie pozwoliłam, aby Etienne je zobaczył. Nasz romans trwał od jesieni do zimy, więc zawsze nosiłam pończochy. Kiedy szliśmy do łóżka, trzymałam bosc stopy pod kołdrą, a zanim wstałam, znowu naciągałam pończochy.

Przypomniałam sobie, jak poprzedniej nocy Aszulay trzymał w dłoniach stopy Badou.

- Co to za wzór? - zapytałam, odwracając się pośpiesznie i wskazując czarno białe płytki.

- Kurze zęby - odparł. Badou parsknął śmiechem.

- Kury nie mają zębów, wujku Aszulay! - A te okrągłe? - Uśmiechnęłam się. Aszulay znowu oderwał wzrok od chłopca.

- Małe tamburyny, a te rządki między nimi to podzielone ły.

- Co znaczy słowo „podzielone”? - zagadnął Badou. Aszulay nie odpowiedział.

- To znaczy, że z jednej rzeczy robi się dwie - wyjaśniłam. Myślałam o Aszulayu i o tym, że widziałam obie strony

jego osobowości - człowieka z pustyni i z miasta.

516

Badou drżał już z chłodu w kąpieli. Aszulay szybko wyciągnął go z miednicy, starannie owijając flanelowym ręcznikiem, wycierając do sucha i rozczesując palcami jego mokre włosy. Wytrzeptał dzellabę i spodnie chłopca, i przetarł babouches wilgotnym brzegiem flaneli. Przyglądając się, jak wkłada pantofle na nogi chłopca, potrafiłam wyobrazić sobie, jak zajmował się własnymi dziećmi.

- Teraz wyglądasz doskonale i mamam na pewno nie będzie się gniewać - powiedział.

Badou kiwnął głową. Nie uśmiechał się już.

- Czy mógłbym zostać tu dłużej, wujku, w twoim domu? - spytał. - Nie chcę nigdzie iść. Sidonie też może zostać.

- Musisz wrócić do mamam, Badou. No i oczywiście musimy odprowadzić Sidonie do domu.

Do domu... Wiedziałam, że chodziło mu tylko o dosłowne znaczenie tego słowa, ale jednak dało mi ono do myślenia. Czy teraz moim domem był niski pokoik pod afrykańskimi gwiazdami?

Aszulay wylał wodę i napełnił miednicę po raz trzeci.

- Chodź - powiedział do mnie. Patrzyłam na niego bez słowa.

- Woda jest przyjemnie ciepła - dodał. - Miło ci będzie zamoczyć stopy, zobaczysz.

Podeszłam bliżej. Jedną ręką podwinęłam kaftan, drugą oparłam na ramieniu Aszulaya i weszłam do miednicy. Woda była ciepła, tak jak mówił. Poruszyłam palcami stóp i uśmiechnęłam się do niego. Przyniósł niski stołeczek i gestem kazał mi usiąść. Kiedy sięgnął po mydło, ostrożnie unióś moją prawą stopę i umył ją do kostki, a potem to samo zrobił z lewą. Jego ramię było silne i twarde.

Pomógł mi wyjść z miednicy, przykucnął przede mną i starannie wytarł moje nogi.

517

- Przynieś pończochy i buty Sidonie! - polecił Badou. Kiedy chłopiec zrobił, co mu kazał, Aszulay włożył mi

pończochy i buty i zasznurował je. Przez cały ten czas patrzyłam na jego pochyloną głowę. Chciałam wyciągnąć rękę i dotknąć jego włosów, uszu, karku.

Nie rozplotłam palców obu dłoni, dopóki nie skończył.

Przechodziliśmy przez mały, ruchliwy suk niedaleko Szaria Sura. Szłam obok Aszulaya, a Badou biegł parę kroków przed nami. Czułam, jak błękitny rękaw Aszulaya co jakiś czas ociera się o moją dłoń. Podniosłam na niego wzrok. Czego od niego oczekiwałam? Wiedziałam, że czuje to samo, co ja, że pragnie mnie tak samo, jak ja jego.

-W tym tygodniu muszę skończyć trzy obrazy - odezwałam się w końcu, przerywając przyjemną ciszę.
- Zniosłam jeden ze swoich olejów do hotelu i powiedzieli mi, że go przyjmą. Chcą też więcej akwareli...

Uśmiechnęłam się do Aszulaya, lecz on milczał i patrzył prosto przed siebie, zupełnie jakby jego uwagę pochłaniało coś innego.

- Aszulay?

Kiedy nie odwrócił się do mnie, podążyłam za jego spojrzeniem.

Ciemnowłosy mężczyzna, o chudych, przygarbionych ramionach pod płócienną marynarką, skrzył się za róg tuż przed nami. Zdążyłam zobaczyć tylko jego blady profil, ale już wiedziałam. Tym razem naprawdę wiedziałam. To był Etienne.

Przystanąłam na ułamek sekundy, upuściłam torbę na ziemię i zaczęłam przepychać się przez tłum na placu. Ale za rogiem ujrzałam przed sobą szeroką ulicę ze straganami po obu stronach, pełną ludzi i zwierząt.

- Etienne! - krzyknęłam i zdarłam zasłonę z twarzy, żeby mój głos zabrzmiał wyraźniej. - Etienne!

518

Kilka głów odwróciło się w moją stronę, ale Etienne zniknął. Przedzierałam się przez tłum, wołając jego imię, lecz mój głos ginął w gwarze i hałasie. Zdyszana i spocona, w końcu zatrzymałam się na środku ulicy. Oparłam ręce na biodrach, szukając go wzrokiem w morzu kłębiących się wokół mnie ludzi. Od ulicy odchodziło co najmniej kilkanaście alejek i Etienne mógł skryć się w którąkolwiek z nich.

Aszulay dotknął mojego ramienia. Podniosłam głowę.

- To był Etienne - powiedziałam. - Widziałeś go, wiem, że tak było! Etienne jest tutaj, w Marrakeszu!

Odciągnął mnie na bok. Przystanęliśmy pod jakąś zamkniętą bramą, w miejscu, gdzie hałas nie był tak intensywny. Sięgnął między fałdy swojej szaty i wyjął kilka monet.

- Badou, idź i kup chleb, bardzo proszę - rzekł. - Najlepiej z tamtego straganu.

Badou wziął pieniądze i pobiegł.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwał się Aszulay.

Z roztargnieniem zauważyłam, że przez ramię przewiesił sobie moją torbę. Kiwnęłam głową, pochłonięta myślami o Etiennie. Etienne był tutaj, w Marrakeszu...

- Kiedy przyjechałem po ciebie, przed podróżą na wieś... -Zawahał się. - Powinienem być ci o tym powiedzieć, chociaż prosiłaś, żebyśmy tego nie robili. Sidonie, popatrz na mnie. Popatrz na mnie, proszę.

Nadal wpatrywałam się w ulicę.

- O czym powinieneś być mi powiedzieć? - Odwróciłam się twarzą do niego.

- U Manon, kiedy przyszedłem po Badou tuż przed wyjazdem... - Aszulay spojrzął na czekającego na chleb chłopca. - Etienne tam był.

Ostatnie trzy słowa wypowiedział bardzo szybko, w pośpiechu. Otworzyłam usta, lecz zaraz znowu je zamknęłam.

519

- Powinienem być ci o tym powiedzieć - powtórzył. - Nie chciałaś, żebym mówił o Manon i Szaria Zitun, ale o tym powinienem być ci powiedzieć.

Oparłam się o bramę.

- Etienne jest u Manon? - spytałam. Aszulay skinął głową.

- Nic ci nie powiedziałem, bo... Czekałam, nie odrywając oczu od jego ust.

- Bo chciałem, żebyś pojechała z nami na bied - dokończył. - Ze mną. Wiedziałem, że jeśli powiem ci o powrocie Etienne'a, to nie pojedziesz. I... I coś jeszcze...

- Co jeszcze? - zapytałam, kiedy jego milczenie trwało i trwało.

- Nie chciałem, żebyś sama poszła zobaczyć się z Manon i Etienne'a. Nie chciałem wyjeżdżać z Marrakeszu, wiedząc, że...

- Wiedząc, że co?

Badou podbiegł do nas, ściskając pod pachą duży okrągły podpłomyk. Spojrzałam na chłopca, który powiódł czujnym wzrokiem po naszych twarzach.

- Czy on wie? - Zwróciłam się do Aszulaya. - Czy Etienne wie, że tu jestem?

Przytaknął skinieniem głowy.

- Ale nie wie, gdzie jestem. - Sama usłyszałam, że zabrzmiało to raczej jak stwierdzenie niż pytanie.

Znowu potwierdził.

- Nie powiedziałaś mu! Milczał.

- Ale przecież... Przecież skoro wie, że jestem w Marrakeszu, to na pewno pytał cię, albo Manon, co się ze mną dzieje. I gdzie mieszkam. Czy w ciągu tych ostatnich kilku dni nie próbował mnie odszukać?

520

Aszulay nie odpowiedział. Jeszcze nigdy nie widziałam go w tak dziwnym stanie ducha.

- Aszulay, czy Etienne mnie szukał?

- Nie wiem, Sidonie. - Wziął głęboki oddech. - Mówię prawdę, nie wiem.

- Chodźmy już, wujku! - odezwał się Badou. - Mam chleb dla mamam.

- Trzeba mi było powiedzieć. - Patrzyłam na Aszulaya, nie zwracając uwagi na Badou. - Pojechałam z tobą, a przecież dobrze wiedziałeś, że to ze względu na Etienne'a wciąż jestem w Marrakeszu! Zdradziłeś mnie, Aszulay!

- Nie, nie zdradziłem cię. - Jego głos był cichy, a na twarzy malował się smutek, może nawet cierpienie.
- Ja... Ja tylko chciałem cię chronić.

Szarpnęłam moją torbę. Aszulay zsunął ją z ramienia.

- Chronić mnie? - rzuciłam głośniejszym głosem, niż było to konieczne. - Przed czym?

Chwytiłam torbę, odwróciłam się na pięcie i poszłam w kierunku Szaria Sura.

Zamknęłam za sobą drzwi pokoju i wyciągnęłam się na łóżku. Etienne był w Marrakeszu, mogłam spotkać się z nim za godzinę, jeśli tego chciałam. Tylko dlaczego myślałam o tym z uczuciem bardziej zbliżonym do przerażenia niż radosnej ekscytacji? Przed chwilą powiedziałam Aszulayowi, że to dla Etienne'a przyjechałam do Marrakeszu. To na spotkanie z Etienneem tak długo czekałam. Dlaczego tak rozgniewałam się na Aszulaya? Czy rzeczywiście był to gniew, czy coś innego?

Wstałam i podeszłam do lustra.

Znowu wyraźnie zobaczyłam swoje podobieństwo do Manon.

521

Teraz wszystko było inaczej, wszystko się zmieniło... Wszystko było tak skomplikowane. To, co wydarzyło się między mną i Aszulajem...

Nie mogłam iść do Szaria Zitun, jeszcze nie teraz. Potrzebowałam trochę więcej czasu, jeszcze jedną noc, żeby przygotować się na spotkanie z Etienneem.

Ale nie mogłam zasnąć. Moje myśli krążyły wokół pocałunku Aszulaya i dotyku jego dłoni na moich stopach, wokół Etienne'a i tego, co zamierzam mu powiedzieć. A także tego, co on mi powie.

Całą noc przewracałam się z boku na bok i wreszcie z ulgą usłyszałam wezwanie na poranną modlitwę. Umyłam się w pokoju i dokładnie wypłukałam włosy. Włożyłam najlepszą sukienkę, tę z zielonego jedwabiu, wyszczotkowałam wilgotne włosy i upięłam je tak jak zwykle, a potem uważnie przyjrzałam się swemu odbiciu.

Sukienka wyglądała fatalnie - była wymięta i źle na mnie leżała. Miałam oliwkową cerę, więc trudno byłoby nazwać mnie bladą, ale byłam mizerna, zupełnie jakbym dopiero wracała do zdrowia po ciężkiej chorobie, a ściągnięte do tyłu włosy nadawały mojej twarzy zbyt surowy, kanciasty wygląd.

Usiadłam na łóżku. Powoli wyjęłam spinki i pozwoliłam gęstym falom włosów opaść na ramiona. Zdjęłam zieloną sukienkę i włożyłam kaftan. Wzięłam zasłonę i haik i zeszałam na dół. Poprosiłam Menę o czernidło i podkreśliłam oczy. Na koniec zawołałam Nadżiba i udałam się w drogę do Szaria Zitun.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY.

Długo wpatrywałam się w hamkę na bramie koloru szafranu. W końcu zamknęłam oczy i zapukałam.

Po chwili usłyszałam głos Falidy, która pytała, kto przyszedł.

- Mademoiselle O'Shea - odparłam cicho. Otworzyła furtkę. Stałam nieruchomo, niezdolna zmusić się do wykonania choćby kroku.

- Mademoiselle? - odezwała się z wahaniem Falida. - Wejdzie pani?

Kiwnęłam głową, wzięłam głęboki oddech i weszłam na dziedziniec. Z domu dobiegała głośnie rozmowa, nie mogłam jednak zrozumieć, czego dotyczyła. Badou siedział na najniższym stopniu zewnętrznych schodów.

- Bonjour, Sidonie - powiedział.

Nie zerwał się i nie podbiegł do mnie, chociaż zwykle tak się zachowywał.

- Bonjour, Badou. Falido, czy monsieur Duverger jest w domu?

Skinęła głową.

- Powiedz mu, że przyszła mademoiselle O'Shea, bardzo proszę.

Falida weszła do środka i rozmowa ucichła jak nożem uciął.

523

Stałam tak, drżąc na całym ciele i nagle go zobaczyłam. Etienne. Mój Etienne. Moją pierwszą reakcją był szok - Etienne wydawał się o wiele szczuplejszy, niż zapamiętałam, ostra linia jego ramion, na którą zwróciłam uwagę już poprzedniego dnia, jeszcze bardziej rzucała się w oczy. Mimo to twarz miał dziwnie obrzmiałą i bardzo bladą. Nie byłam pewna, czy zawsze był taki blady, czy to może ja przywykłam do ciemniejszej barwy skóry.

Patrzył na mnie w milczeniu.

Usiłowałam przypomnieć sobie, że go kocham, lecz widząc go w takim stanie, z tak nieobecnym spojrzeniem, wcale nie czułam miłości. Czułam nienawiść. Myślałam o wszystkim, co przeszłam, o tym, jak go szukałam i jak musiałam stawić czoło Manon. I jak na niego czekałam.

Nie przypuszczałam, że tak będzie. Wyobrażałam sobie, że Etienne wyciągnie do mnie ramiona, a ja rzucę się w nie z uniesieniem, albo że oboje będziemy ronić łzy wzruszenia i radości. Och, stworzyłam tyle wizji, tyle obrazów.

Tymczasem staliśmy bez ruchu, patrząc na siebie w milczeniu.

Etienne postąpił kilka kroków w moją stronę. W dłoni trzymał szklanekę i nawet z tej odległości poczułam zapach alkoholu. Przez głowę przemknęła mi chłodna myśl, że może twarz ma tak opuchniętą, bo za dużo pije.

- Sidonie? - odezwał się, marszcząc brwi. Natychmiast przypominałam sobie koszmary, które często dręczyły mnie we śnie - oto stoję przed Etienne'em, a on mnie nie poznaje.

Jak we śnie ściągnęłam haik i zasłonę.

- Tak - odparłam.

Sądziłam, że głos będzie mi się trząść, ale brzmiał pewnie i spokojnie.

524

- Tak, to ja - powtórzyłam. - Nie poznajesz mnie? Jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Wyglądasz... Jesteś inna...

- Podobnie jak i ty.

- Manon mówiła mi, że jesteś w Marrakeszu. Nie mogłem w to uwierzyć! Przebyłaś tak daleką drogę.

Jego wzrok przesunął się w dół po moim ciele, zakrytym luźnym kaftanem. Manon z pewnością poinformowała go, że straciłam dziecko.

- Ale... - zająknął się. - Ale jak... I...

Nie zapytał, dlaczego, ale ja wyraźnie usłyszałam to pytanie.

-Tak, przebyłam daleką drogę. I straciłam dziecko, w Marsylii, jeśli Manon nie wszystko ci powiedziała. I jeśli jesteś ciekawy, oczywiście.

Powiedziałam to z łatwością, zupełnie bez emocji. Wiedziałam, że Etienne odetchnął z ulgą.

Zdobył się na smętny wyraz twarzy.

- Bardzo mi przykro. Musiałaś przeżyć straszne chwile. Żałuję, że nie było mnie tam przy tobie.

Wcale nie było mu przykro, wcale nie żałował. Tylko tak mówił. Zawsze wiedział, co powiedzieć, gdy spotykaliśmy się w Albany. Ta świadomość poruszyła we mnie coś surowego i twardego, coś, co mogło być jednym z tych marokańskich dżinów. Podbiegłam i uderzyłam go w twarz, z całej siły, z jednej i drugiej strony. Szklanka wypadła mu z ręki, uderzyła o płytki i rozprysła się na tysiąc kawałków.

- Nie jest ci przykro! - rzuciłam głośno. - Nie kłam i nie patrz na mnie z tym fałszywym smutkiem!

Usłyszałam coś jak szelest tkaniny za moimi plecami i ciche kroki bosych stóp. Badou albo Falida, pomyślałam, ale był to zapewne cień moich wewnętrznych odniesień.

525

Etienne cofnął się, trzymając dłoń na policzku. Na dolnej wardze miał parę kropel krwi - uderzyłam go na tyle mocno, że zęby skaleczyły miękką tkankę.

- Należało mi się. - Powoli potrząsnął głową. - Ale nie wiesz wszystkiego, Sidonie...

- Wiem, że uciekłeś ode mnie parę dni po tym, jak wyznałam, że jestem w ciąży! Wyjechałeś z Albany i nawet nie pofatygowałeś się, żeby zatelefonować albo napisać parę słów, cokolwiek! I tylko to się liczy!

- Więc przyjechałaś z tak daleka, żeby mi to powiedzieć? - Nagle dziwnie przechylił się na bok, ale złapał równowagę i ciężko opadł na stołek. - I żeby mnie spoliczkować?

- Nie! Przyjechałam tu do ciebie, bo... Nagle w drzwiach stanęła Manon.

- Bo nie mogłaś wytrzymać! - oznajmiła i przeniosła na mnie zjadliwe spojrzenie. - Popatrz tylko, jak się zachowujesz! Jak to określają w Ameryce? Jak zdradzona żona, tak?

Spojrzała na coś za moimi plecami.

- Na co się tak gapicie? - warknęła.

Odwrociłam się i zobaczyłam skulonego obok Falidy Badou. Dziewczyna obejmowała go, jakby chciała go osłonić.

- Wynocha! - zawołała Manon.

Falida złapała Badou za rękę i wybiegli, zostawiając za sobą otwartą furtkę.

- Wiem, że jesteś chory - odezwałam się z trudem. - Od Manon. Co ci jest? Co to za dżiny, o których mówiła?

- Nie mogę dłużej pracować jako lekarz. - Etienne uniósł jedną rękę i popatrzył na nią tak, jakby była jego wrogiem. - Nie mogę sobie ufać, nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za czyjeś życie. - Teraz spojrzał na mnie z wyraźnym, niekłamany cierpieniem. - Mogę tylko doradzać, a i to nie

526

potrwa długo. Widziałem, co stało się z moim ojcem. Teraz mnie czeka to samo. Pląsawica Huntingtona.

Ta nazwa nic mi nie mówiła. Zrobiłam krok w jego stronę.

- Przykro mi, że jesteś chory, ale powinieneś być mi powiedzieć! Nie musiałeś ode mnie uciekać, zrozumiiałabym.

- Zrozumiałabym, zrozumiałabym! - powtórzyła Manon, przedrzeźniając mnie nienaturalnie wysokim głosem, w którym wyraźnie brzmiała wroga, mroczna nuta.

- Możemy pójść gdzieś indziej? - spytałam, spoglądając najpierw na nią, a potem znowu na Etienne'a. - W jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać w cztery oczy? O nas, o czasie, który wspólnie spędziliśmy w Albany?

- Tamten czas minął, Sidonie! My dwoje w Albany... Tamten czas minął bezpowrotnie.

Nie chciałam, żeby Manon dalej nas słuchała, żeby była świadkiem tego, co mieliśmy sobie do powiedzenia.

- Manon, proszę cię - odezwałam się zachrypniętym głosem. - Wejdz do domu. Nie możesz zostawić nas samych, chociaż na chwilę?

- Etienne? - Popatrzyła na niego przeciągle. - Chcesz, żebym sobie poszła?

Spojrzał na nią.

- Tak byłoby chyba lepiej.

Dlaczego traktował ją z taką delikatnością i troską? Przecież nasze życie nie miało z nią nic wspólnego!

Weszła do domu, cicho szeleszcząc kaftanem. Kiedy zniknęła, usiadłam naprzeciwko Etienne'a, po drugiej stronie niskiego stolika, na którym stała mosiężna taca z fajką wodną Manon.

- Wydaje mi się, że rozumiem, co tobą kierowało - powiedziałam. - Nie wiedziałam, co się stało, dopóki Manon nie

527

powiedziała mi o twojej chorobie, przekazywanej z ojca na dzieci. Tej...

- Płąsawicy Huntingtona - dokończył cicho. - Tak się nazywa. Atakuje dorosłych, zwykle po trzydziestce, dlatego rodzic często nie zdaje sobie sprawy, że jest chory i że przekazał chorobę już narodzonym dzieciom. Szansa zachorowania wynosi pięćdziesiąt procent.

Siedzieliśmy w milczeniu. Na szarych jak popiół policzkach Etienne'a wyraźnie widać było ślady moich uderzeń.

- Podstawowe objawy to paranoja, depresja, problemy z zachowaniem równowagi i koordynacją ruchów - ciągnął. - Niewyraźna mowa, napady drgawek, demencja, a w końcu...

Ukrył twarz w dłoniach. Wpatrywałam się w czubek jego głowy, jak poprzedniego dnia w czubek głowy Aszulaya. Nagle zalała mnie fala wielkiej litości.

- Tak mi przykro, Etienne. Teraz już wiem, dlaczego mnie zostawiłeś! Nie chciałeś, żebym patrzyła, jak cierpisz. Uważałeś, że to nie jest życie dla żony, dla naszego dziecka. Ale przecież ludzie, którzy naprawdę się kochają, troszczą się o siebie i wspierają się nawzajem, niezależnie od wszystkiego.

Unióś głowę i spojrzał na mnie. Oczy miał ciemne, pozbawione głębi. Nie miałam pojęcia, o czym myśli. Czy jego twarz zawsze była taka zamknięta?

- Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego wyjechałeś tak bez słowa, dlaczego nawet nie spróbowałeś wyjaśnić mi, co się dzieje.

Mówiłam opanowanym głosem, logicznie i spokojnie. Etienne spuścił wzrok.

- Zachowałem się jak tchórz - rzekł.

Przytaknęłam skinieniem głowy, prawie zachęcająco. Co chciałam usłyszeć?

528

- Okazałem ci tak wielki brak szacunku. Wiem o tym, Sidonie, ale...

Ale co? Powiedz, że zrobiłeś to z myślą o mnie, pomyślałam. Z miłości do mnie. I nagle zdałam sobie sprawę, że przypisuję mu niewłaściwe motywy. Etienne nie był człowiekiem honoru. Przed chwilą sam przyznał się do tchórzostwa.

- Odbylałam całą tę daleką podróż do Afryki Północnej, żeby cię odnaleźć - odezwałam się. - Tak bardzo wtedy w ciebie wierzyłam. W nas oboje. Musiałam cię odszukać, musiałam zrozumieć.

Przerwałam. Jego twarz nadal była zamknięta, obojętna. Miałam ochotę znowu go spoliczkować. Dłonie mnie piekły. Mocno zacisnęłam palce.

- To najlepszy dowód, jak bardzo cię wtedy kochałam. - Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że użyłam czasu przeszłego. - Czy to wszystko było dla ciebie tylko zabawą? - spytałam, przypominając sobie słowa Manon. - Czy tylko spędzałeś ze mną czas, a ja okazałam się tak naiwna i ślepa, że uwierzyłam, że zależy ci na mnie tak jak mnie na tobie?

- Sidonie... - zaczął z wahaniem. - Kiedy cię poznałem... Pociągałaś mnie. Pozwoliłaś mi zapomnieć o chorobie. Byłaś dla mnie dobra. Na krótko przed naszym pierwszym spotkaniem dowiedziałem się, że przegrałem, że padłem ofiarą genetycznej gry. Wiedziałem, co mnie czeka i nie chciałem o tym myśleć. Chciałem tylko... Byłem gotowy wiele zrobić, aby o tym zapomnieć, przynajmniej na krótko... - przerwał.

- Aby coś odwróciło twoją uwagę od choroby. - Nie poznałam własnego głosu.

Znowu powtarzałam słowa Manon.

- Naturalnie, było dokładnie tak, jak ci mówiłam! - Manon znowu ukazała się w drzwiach. - On nigdy cię nie kochał, nie widzisz tego, co oczywiste?

529

Podeszła do Etienne'a. Spojrzałam najpierw na nią, później na niego.

- Tego, co oczywiste? - powtórzyłam. Etienne odwrócił się do niej.

- Manon, nie w taki sposób - powiedział i znowu popatrzył na mnie. - Gdybym wiedział, że jesteś w Marrakeszu, przyszedłbym do ciebie! Nie miałem pojęcia, że tu jesteś, Sidonie! Chciałem porozmawiać z tobą w cztery oczy, nie...

Manon roześmiała się ironicznie.

- Och, Etienne, na miłość boską, powiedz jej prawdę! - Gdy położyła rękę na jego ramieniu, jej palce o długich, pomalowanych paznokciach, wbiły się w jego rękaw, zupełnie jak szpony. - Nie bój się, że tego nie zniesie! Może i wygląda na kruchą i wrażliwą, ale tak naprawdę jest twarda jak stal! Powiedz jej prawdę, albo sama to zrobię.

Oparła się o niego i pocałowała. Był to długi pocałunek, prosto w usta.

Patrzyłam na nich szeroko otwartymi oczami, zbyt wstrząśnięta, żeby jakoś zareagować.

Etienne oderwał się od niej i przycisnął drżącą dłoń do czoła. Wyszedł przez otwartą furtkę na ulicę i nawet się nie obejrzał. Siedziałam nieruchomo, nie mogąc wydobyć głosu z gardła.

- No, cóż... - odezwała się Manon. - Teraz już wiesz. - Lekko cmoknęła wargami. - Biedaczek, jest taki słaby. I nie ma to nic wspólnego z jego chorobą! Zawsze taki był.

- O czym wiem? Co ty mówisz? - wykrztusiłam. Może tylko wyobraziłam sobie ten pocałunek...

- Etienne przeżywa naprawdę trudne chwile. - Usiadła obok mnie, zapaliła fajkę i zaciągnęła się.

Poczułam zapach kif.

- Próbuje pogodzić się z prawdą, ale niestety nie potrafi

530

zaakceptować, że zrobił to, przed czym tak bardzo się wzdragał i bronił - dodała.

Nie mogłam oderwać wzroku od jej ssących ustnik fajki warg. Pocałowała Etienne'a wcale nie jak siostra.

- Tak, tak. Z uporem powtarzał, że nie pozwoli, aby jego dżiny przeszły dalej, że nie przyczyni się do rozszerzenia zasięgu choroby.

Otworzyłam usta. Wszystko wydawało mi się dziwne i niezrozumiałe.

- Ale... Przecież Etienne wie, że dziecka już nie ma. - Mój głos dobiegał do mnie z ogromnej odległości.

Manon wzruszyła ramionami, jakby ten fakt był jej zupełnie obojętny.

- Ależ jest! - powiedziała, wyjmując na moment fajkę. Bezradnie potrząsnęłam głową.

-Jak to?

Położyła ustnik na stole, zatrzymała dym i dopiero po chwili wypuściła go, bardzo, bardzo powoli.

- Badou jest dzieckiem Etienne - oświadczyła.

Czas mijał. Siedziałam, wpatrując się w nią jak zaczarowana. W końcu znowu sięgnęła po fajkę.

- Postarałam się, żeby mnie zapragnął, to wszystko. Po pogrzebie ojca, kiedy jeszcze uważał mnie tylko za córkę służącej, poprosiłam, żeby pomógł mi w jakiejś drobnej, nieistotnej sprawie. Miało to napęlić go poczuciem władzy i siły, przekonać, że jestem słabą kobietą, która nie poradzi sobie bez pomocy mężczyzny. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie, brzydsko i złośliwie. - Pozornie przypadkowy dotyk, zbyt długa wymiana spojrzeń... Dla mnie była to zabawa. - Zaciągnęła się dymem i przymknęła powieki. - Wszystko to razem było takie proste, Sidonie! Naprawdę niewiele musiałam zrobić,

531

żeby rzucić go na kolana. - Strzeliła palcami. - Przypominało to łapanie ryby na tłustego, soczystego robaka. Gdy zobaczyłam go na pogrzebie, pomyślałam, że wreszcie ukarzę go tak, jak na to zasłużył.

Rozbudziłam w nim pożądanie, pozwoliłam, aby mnie dotknął i posmakował, a potem... Koniec! - Znowu strzeliła palcami. - Odpychałam go, doprowadzałam do szaleństwa. Przeciwczyłam to na innych mężczyznach. Z przyjemnością przyglądałam się, jak wiją się na haczyku, a potem puszczałam ich wolno, ale oni nie umieli już pływać tak jak wcześniej. Byli okaleczeni, zatruci pożądaniem.

Jej twarz jaśniała złowrogim uśmiechem. Pomyślałam o rzepce kolanowej i zębie z cementarza. I o tym, jak zraniła mnie zatrutą drzazgą kości.

- Kazałam mu czekać, naturalnie. Sprawiałam, że pożądał mnie do utraty zmysłów i wreszcie skapitulował, doskonale wiedząc, że wróci po więcej. I wrócił. Tak, ciągle wracał. Nigdy nie miał takiej kobiety jak ja, nie mógł się mną nasycić.

Starłam się nie myśleć o tym, jak Etienne wciąż do mnie wracał. Czy w naszym związku był ten ogień, ta wszechogarniająca namiętność, o jakiej mówiła Manon?

- Z naszym ojcem i moją matką było pewnie tak samo. Nasz ojciec był nią kompletnie zafascynowany, nie mógł uwolnić się od uroku, jaki na niego rzuciła. Pisywał do niej miłosne wyznania, znalazłam je po jej śmierci. Przeczytałam o tym, jak uwielbiał ją brać, podczas gdy w sąsiednim pokoju jego żona oddawała się lekturze albo przyjmowała gości. Szczególną przyjemność znajdował w świadomości, że jego żona jest w pobliżu, że w każdej chwili może ich przyłapać. Tajemnica dodatkowo go podniecała. Okazało się, że Etienne jest bardzo podobny do ojca - często zachęcałam go, żeby brał mnie w miejscach, gdzie ktoś mógł nas zobaczyć. To groziło Etienne upokorzeniem, więc tym bardziej nie mógł mi się oprzeć.

532

- Przestań - szepnęłam, z trudem przełykając ślinę.

Od szkicowanych przez nią wizji robiło mi się niedobrze.

- Kiedy zostaliśmy kochankami, kazałam mu kupić dla mnie ten dom i spisać akt własności na moje imię. Zmusiłam go do podpisania legalnego dokumentu, zgodnie z którym co miesiąc miał wypłacać mi określoną sumę, co miesiąc, zawsze. Zawsze - powtórzyła z lubością. - Miał łożyć na moje utrzymanie do końca życia. Oczywiście w tamtym okresie pozwoliłam mu myśleć, że go kocham, że pragnę tylko jego i że zawsze będziemy razem. Że żaden inny mężczyzna nie umie zadowolić mnie tak jak on. Dał się nabrać, na wszystko! Obiecał mi, że zostanie w Marrakeszu i będzie pracował jako lekarz w La Ville Nouvelle. Uzgodniliśmy, że nie będziemy mieli dzieci. Nie oświadczył mi się, skądże znowu! On, wielki francuski lekarz, miałby poślubić nisko urodzoną Marokankę, zwykłą służącą? Co to, to nie! Miałam być jego konkubina, nikim więcej. Sądzę, że w głębi serca Etienne uważa, że żadna kobieta nie jest warta zostać jego żoną. Kobieta dla towarzystwa, dla seksu - oui. Dla wspólnego, małżeńskiego życia - non.

A ja się spodziewałam, że Etienne ożeni się ze mną...

- Jednak kiedy już dostałam dom i poczułam się bezpieczna, powiedziałam mu. Gdy wiedziałam, że bez przerwy o mnie myśli, że jego pożądanie jest jak choroba, powiedziałam mu. Poczekałam na odpowiedni moment, kiedy jego twarz była tuż nad moją, a on sam głęboko zanurzony we mnie.

- Manon, proszę - wyszeptałam.

Dlaczego nie wstałam i nie wyszłam? Dlaczego wciąż siedziałam naprzeciwko niej, zupełnie jakby na mnie także rzuciła urok? Dlaczego słuchałam tej obleśnej historii?

- Patrzyliśmy sobie prosto w twarz, jego oczy były pełne pożądania i miłości, i wtedy mu powiedziałam. Jestem twoją siostrą...

533

Musiałam powtórzyć, bo nie rozumiał, co mówię. - Na jej ustach znowu pojawił się przerażający, zwycięski uśmiech. - Gdy powiedziałam to trzeci raz, oderwał się ode mnie tak gwałtownie, jakby moje ciało płonęło, jakbym nagle pozbawiła go powietrza. Etienne, jak to Etienne, zapytał, jaki mam dowód i wtedy pokazałam mu listy, które moja matka dostawała od naszego ojca.

Ogarnęły mnie mdłości. Oczami wyobraźni widziałam jej uśmiechniętą twarz, widziałam też Etienne'a, przerażonego i wstrząśniętego. Etienne, który zawsze kontrolował sytuację i znał odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania, który zawsze umiał znaleźć odpowiednie słowa...

- Zwymiotował na podłogę, na moich oczach. Szalał z wściekłości i szlochał, a potem uciekł. To dlatego wyjechał do Ameryki. Nie mógł dłużej żyć w Marrakeszu, a nawet po tej stronie oceanu, wiedząc, że jestem tak blisko i jednocześnie tak daleko, poza jego zasięgiem...

- Manon... - Potrząsnęłam głową, nie potrafiąc znaleźć słów.-Manon...

- Bez trudu dowiedziałam się, dokąd pojechał. Zawsze miałam wielu wpływowych przyjaciół wśród mieszkających tu Francuzów... Kiedy zdałam sobie sprawę, że jestem w ciąży - zwykła wpadka, jak u ciebie, prawda? - zaczęłam się zastanawiać, czy nie pozbyć się dziecka. Mogłam to zrobić, bo przecież sporo wiem o tych sprawach i nie byłoby to pierwsze, które wskrobałam. - Patrzyła mi prosto w oczy. - Jednak coś szepnęło mi, że lepiej będzie zatrzymać to dziecko, że można potraktować je jako coś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej. W ciągu następnych lat regularnie pisywałam do Etienne'a, przedstawiałam swoją sytuację i przekazywałam mu wiadomości o dziecku, ale nie wytaczałam żadnych oskarżeń, broń

534

Boże! Nie odpisał ani razu. Niestety, w zeszłym roku moje potrzeby zaczęły rosnać, więc napisałam, że przepraszam go za to, że go wykorzystałam, że się zmieniałam i pragnę wszystko naprawić. I że chciałabym mu coś wyznać, coś tak ważnego, że mogę zrobić to tylko twarzą w twarz. Naturalnie podejrzewał, o co chodzi i w końcu, po moich naleganiach, ale również po to, aby przed tobą uciec, wrócił do Marrakeszu.

Lekko przekrzywiła głowę i spojrzała na mnie z prawie kokieterijnym uśmiechem.

- Zastanawiałaś się, co Etienne, tak wykształcony, inteligentny i obyty w świecie mężczyzna, ujrzał w kobiecie takiej jak ty, Sidonie?

- Co takiego? O czym ty mówisz? Popatrzyła na mnie z niezmierną pogardą.

- Ty idiotko! Naprawdę tego nie widzisz? Etienne nigdy nie przestał o mnie marzyć, nigdy nie przestał mnie pragnąć. To mnie kocha, nie ciebie! Naprawdę nie widzisz w lustrze tego, co ja? Nie zdajesz sobie sprawy, że dostrzegł w tobie coś, co przypominało mu mnie? Mnie, kobietę, którą kocha?

Nawet to, że nieźle malujesz. - Wzruszyła ramionami. - Wybrał cień, ponieważ nie mógł mieć jasnego światła! W jego oczach byłeś tylko słabym odbiciem tej, którą kochał całym sercem, ale której nie mógł mieć. Nawiązał znajomość z tobą wyłącznie dlatego, że pod względem fizycznym jesteś do mnie trochę podobna. No i dlatego, bo wiedział, że uwiedzie cię bez najmniejszego trudu. Mnie nigdy nie udało mu się uwieść i posiąść, ale ciebie... Rozumiesz, o co mi chodzi, prawda? Za każdym razem, gdy trzymał cię w ramionach i kochał się z tobą, marzył o mnie, zamykał oczy i przywoływał mój obraz. Nic dla niego nie znaczyłaś, zupełnie nic!

Gwałtownie wstałam, zrzucając mosiężną tacę, która

535

z brzękiem uderzyła o posadzkę. W cichnącym echu wciąż słyszałam słowa Manon. Miałam wrażenie, że padłam ofiarą jakiegoś akustycznego zwierciadła, i że odbicia tych słów zachodzą jedno na drugie, dławiąc mnie powoli, lecz skutecznie. Nic dla niego nie znaczyłaś, zupełnie nic...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY.

Siedziałam na łóżku i patrzyłam na swoje odbicie w lustrze pod przeciwległą ścianą. Byłam wyczerpana. Po wszystkich tych miesiącach, wypełnionych czekaniem i nadzieją, wreszcie nadszedł koniec.

To, co usłyszałam z ust Manon, bynajmniej nie było niewyobrażalne. Gdybym nie widziała Etienne'a z Manon, gdybym nie była świadkiem jego niezdolności stawienia jej czoła, mogłabym jej nie uwierzyć, ale widziałam to sama, na własne oczy.

Gdy rozległo się wezwanie do popołudniowej modlitwy, spojrzałam w stronę okna i wzięłam do ręki zellij. Pomyślałam o Aszulayu, przypomniałam sobie jego dotyk, gdy mył mi nogi.

Powiedział, żebym nie czekała na Etienne'a w Marrakeszu. Po wspólnej wyprawie w bied wyznał, że nie chciał, abym sama poszła na spotkanie z Etienneem w Szaria Zitun. Znał prawdę o nim i Manon i obawiał się, że doznam ciężkiego szoku. Martwił się o mnie.

Byłam wstrząśnięta, to prawda, ale nie powalona na kolana. Kiedy zobaczyłam Etienne'a, spojrzałam na niego jak na obcego człowieka. Stał się obcym, którego parę miesięcy temu widziałam w mojej sypialni w Albany. Nie byłam jednak pewna, czy to on się zmienił, czy raczej ja.

537

Bo przecież nie byłam już tamtą kobietą z Juniper Road.

Przyjechałam do Marrakeszu, żeby odnaleźć Etienne'a. Znalazłam go i zrozumiałam, dlaczego mnie porzucił. Powód był prosty - nigdy mnie nie kochał.

Nie wiedziałam o nim zbyt wiele, w gruncie rzeczy w ogóle go nie znałam. Odkrył przede mną jedynie to, co uznał za stosowne. Krótki okres, który spędziliśmy razem, był ułudą, dziełem mojej fantazji. Być może to, co wzięłam za miłość, również było częścią tego wytworzonego obrazu.

Historia stara jak świat, jedna z tych, które każda kobieta potrafi odczytać i ocenić, naturalnie z zewnątrz. Jakże trudno jest jednak dostrzec prawdę kobiecie dobrowolnie uwięzionej w środku takiej historii, zniewolonej wszystkimi zmyśleniami, marzeniami i nadziejami. A teraz wszystko się skończyło, bo okazało się, że historia ma bardzo realne zakończenie.

Znowu byłam sama, choć już inaczej niż przed spotkaniem z Etienne'em, zanim poznałam mężczyznę i myślałam o własnym dziecku.

Podeszłam do stołu i popatrzyłam na mój ostatni obraz, przedstawiający drzewo jacaranda na dziedzińcu domu w Szaria Zitun. Pomyślałam o Badou, o chwili, gdy z dumą i szacunkiem otwierał moje pudło z farbami, i nagle poderwałam do piersi dłoń zaciśniętą w pięść.

Badou. Czy jako dziecko Etienne nosił w małym, idealnie proporcjonalnym ciele gen przerażającej choroby? Zastoniłam ręką usta, myśląc o bijącym z ciała tego chłopca ciepło, przypominałam sobie straszny, nieznośny lęk w czasie burzy piaskowej, gdy byłam przekonana, że więcej go nie zobaczę. I pełną radości ulgę, gdy Aszulay wrzucił go do samochodu.

Przypominałam sobie tamtą noc, spędzoną w furgonetce z Aszulayem, i wszystko, co czułam.

I słowa Mohammeda, drobnego oszusta z małpką, tego

538

z Dżemma el Fna, który powiedział mi, że to, czego szukam, znajdę pod Krzyżem Południa. Okazało się, że rzeczywiście coś znalazłam.

Pomyślałam o mojej powoli rodzącej się przyjaźni z Meną. O pragnieniu chronienia Falidy przed złem. O rączce Badou w mojej dłoni.

I znowu o Aszulayu...

Najlepsze, co mogłam zrobić, to wrócić do Albany i upamiętnić moją wyprawę farbami, ale nawet tam, nawet w samym środku mroźnej zimy, nie potrafiłabym malować Maroka z perspektywy turystki, zwykłej obserwatorki. Już dawno przestałam być obserwatorką i stałam się częścią tutejszego życia.

To nie jest twój świat, powiedziałam sobie. Tak czy inaczej, to nie jest twój świat.

Cest tout. To wszystko. Historia dobiegła końca.

Nie mogłam nic przełknąć. Mena spytała, czy nie jestem chora.

- Nie, ale jestem smutna - odparłam po arabsku. - Niedługo wracam do domu.

- Dlaczego? Nie podoba ci się Szaria Sura? Nawar niemiło się do ciebie odezwał?

Potrząsnęłam głową i lekko wzruszyłam ramionami. Nie potrafiłam wytłumaczyć jej tego wszystkiego moim prymitywnym arabskim, byłoby to zbyt męczące.

Mena zwilżyła wargi językiem i przez jej twarz przemknął cień strachu.

- Mój mąż? Skrzywdził cię?

- Nie, nie! W ogóle go nie widuję! Odetchnęła z ulgą.

- A co z Aszulayem? - zapytała. - Wydaje mi się, że to dobry człowiek.

- Naam - odparłam. -Tak...

539

- Nie wszyscy mężczyźni są dobrzy. - Nieświadomie podniosła rękę i dotknęła swojego karku.

Pomyślałam o jej bliźnie. O Manon, całującej Etienne'a.

Leżałam na łóżku w ciemności, jeszcze w kaftanie, kiedy usłyszałam dobiegające z dziedzińca głosy mężczyzn. Rozpoznałam głos męża Meny, a potem... Głos Aszulaya. Zerwałam się i szybko, och, jak szybko, podeszłam do okna.

Był tam. Siedział i pił z nimi herbatę. Rozmawiali spokojnie, jak przyjaciele. Dopili herbatę i mąż Meny oraz jego synowie wstali.

Aszulay powiedział coś i gospodarz domu spojrzał w górę. Cofnęłam się pośpiesznie, ale po chwili rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Jest tu Aszulay - powiedziała Mena. - Chce się z tobą widzieć. Zasłoń twarz, Sidonie, mój mąż jest w domu!

Spełniłam jej polecenie. Zeszła na dół tylnymi schodami, tymi, z których korzystały kobiety, kiedy chciały uniknąć przechodzenia przez dziedziniec, gdy na dziedzińcu był obcy mężczyzna.

Aszulay wstał, kiedy do niego podeszłam.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. -Tak.

- Widziałaś się z Etienne'em. Byłem dziś w Szaria Zitun i Manon powiedziała mi, że byłaś tam wcześniej. Powiedziała mi...

Spojrzałam na niego.

- Teraz rozumiesz, dlaczego od razu nie wyjawiałem wszystkiego o Etienne? - podjął. - Dlaczego chciałem cię chronić? Wiedziałem, że i tak poznasz prawdę, bo Manon z pewnością zrobi wszystko, aby tak się stało, ale chciałem... Przepraszam cię. Byłem egoistą. Zależało mi, żebyś miała chociaż parę dni... Chciałem...

540

Usiadłam na ławce. Aszulay także usiadł. Milczeliśmy.

- Rozumiem - odezwałam się w końcu. - To nie było dobre popołudnie.

Nagle pomyślałam o Badou. Widział, jak spoliczkowałam Etienne'a, słyszał, jak na niego krzyczałam. Ukryłam twarz w dłoniach, wyobrażając sobie przerażenie na jego buzi, gdy schronił się w ramionach Falidy, lęk ich obojga, gdy wybiegli na ulicę.

Teraz na pewno uważali mnie za niewiele lepszą od Manon, za kobietę, która wrzeszczy i bije.

- Sidonie? Opuściłam ręce.

- Myślałam o Badou - powiedziałam. - Biedne dziecko.

- Nie ma łatwego życia. - Aszulay kiwnął głową. - Ale dużo tutejszych dzieci... W wielu miejscach... Badou ma dach nad głową i jedzenie... Staralem się, aby nie było mu zbyt ciężko.

- Cieszę się, że ma ciebie - odparłam. - Nie mogę znieść myśli, że będzie dorastał obok Manon. - Ściągnęłam zasłonę z twarzy, nie dbając, co pomyśli sobie mąż Meny. - A najgorsze jest to, co może go czekać w przyszłości.

- Co takiego?

- Ta straszna choroba, płaszawica Huntingtona. Wiem, że Manon nic to nie obchodzi. Na pewno sądzi, że gdy Badou dorośnie i pojawią się pierwsze symptomy, jej już nie będzie na świecie.

- Nie rozumiem. - Aszulay ściągnął brwi. Popatrzyłam na niego ze zdziwieniem.

- Czego nie rozumiesz?

- Manon nie ma tej choroby, więc dlaczego Badou? -Ale... Ale przecież Etienne... Etienne jest chory.

- Tak, Etienne jest jego wujem, ale chorobę dziedziczy się

541

w prostej linii, po rodzicach, prawda? W ten sposób tłumaczyła mi to Manon. Pokręciłam głową.

- Naprawdę nie wiesz, Aszulay? Manon nie powiedziała ci, że Badou jest dzieckiem Etienne'a?

Wyprostował się.

- Manon nie jest pewna, kto jest ojcem Badou! Przełknęłam ślinę.

- Ależ wie! Powiedziała mi, że to Etienne, że Badou jest owocem ich związku! Powiedziała to dziś po południu!

Aszulay podniósł się i szybkim krokiem obszedł dziedziniec dookoła, zupełnie jakby usiłował pohamować wybuch gniewu. Potem wrócił i znowu usiadł naprzeciwko mnie. Potrząsnął głową i utkwiał wzrok w ścianie za moimi plecami. Znałam go wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że próbuje się opanować. W końcu spojrzał mi prosto w oczy.

- Manon była z Etienneem, zanim wyjechał do Ameryki, tak. Miała jednak wtedy romans z dwoma innymi mężczyznami, w tym samym czasie - z pewnym Żydem z Fezu i Hiszpanem z Tangeru. Badou przyszedł na świat dziesięć miesięcy po wyjeździe Etienne'a. Jego ojcem jest albo Żyd, albo Hiszpan.

Słyszałam ciche gruchanie gołębia, siedzącego na wysokim murze za Aszulayem. -Ale... Znowu potrząsnął głową.

- Sidonie, Manon powie wszystko, jeśli sądzi, że dzięki temu osiągnie swój cel! Usłyszałaś od niej wiele kłamstw i wciąż jej wierzysz?

- Swój cel?

-Jej celem jest zranienie cię do głębi. Już pierwszego dnia, gdy cię ujrzałem i zobaczyłem, jak Manon cię traktuje, zorientowałem się, do czego zmierza. Początkowo była o ciebie

542

zazdrosna z powodu Etienne'a, ale z czasem to uczucie zaczęło się nasilać, ponieważ skupiałaś na sobie uwagę nie tylko Badou, ale...

- Była o mnie zazdrosna z powodu Etienne'a - powtórzyłam cicho, kiedy zamilkł. - Niby dlaczego?

- Przestraszyła się, że może jednak jej brat naprawdę cię kocha. Nie zależy jej na nim, ale nie może znieść myśli, że mógłby obdarzyć miłością kogoś innego. Zawsze pragnęła, by adorował ją i tylko ją. - Oparł się o ścianę. - Manon taka już jest, chyba zdążyłaś się zorientować.

Nie mogłam oderwać oczu od jego ust.

- Nie potrafi znieść sytuacji, w których pojawia się na drugim planie, bo mówi, że zawsze tak się czuła, gdy dorastała. Dlatego teraz... Teraz musi być najważniejszą kobietą w życiu każdego mężczyzny, z którym się spotyka. Nie chce żadnych rywalek, nawet takich, z którymi musiałaby walczyć o uczucia syna. - Przerwał na chwilę. - Nie chce nikim się z tobą dzielić, naprawdę nikim, oto najlepszy dowód. - Wychylił się do przodu, ujął moją rękę i kciukiem musnął maleńki ślad na dłoni. - Pomyśl tylko, co ci zrobiła, gdy się dowiedziała, że chcę spędzić z tobą trochę czasu. Jak cię skrzywdziła.

Aszulay powiedział, że Manon się obawia, że Etienne jednak mnie kocha. Wciąż wracałam do tej myśli.

- Etienne jest bardzo słabym człowiekiem - zaczęłam, starając się, by w moim głosie nie było niechęci, którą czułam. -Gdyby rzeczywiście mnie kochał, nie zostawiłby mnie w taki sposób, więc Manon niepotrzebnie się boi.

Rudy kot ostrożnie wszedł na dziedziniec, przystanął i wbił wzrok w kępkę krzewów, nerwowo poruszając ogonem.

- Powiedziała Etienne'owi, że Badou jest jego synem, żeby wyciągnąć od niego więcej pieniędzy, prawda?

Aszulay kiwnął głową.

543

- Tak sędzę. Zależało jej, żeby dawał więcej, oczywiście ze względu na Badou. Myślę jednak, że początkowo zamierzała tylko odwołać się do sumienia Etienne'a i poprosić go o pieniądze jako wuja Badou.

Przypomniałam sobie, jak bez wahania wyznała, że nie usunęła dziecka wyłącznie dlatego, że stanowiło gwarancję spokojnej przyszłości.

- I dopiero kiedy Etienne powiedział jej o tobie - byłem przy tym - o kobiecie z Ameryki, która nosi jego dziecko, Manon wpadła w furję - ciągnął. - Etienne oświadczył, że nie wie, co ma zrobić, że nie potrafi poradzić sobie z tą sytuacją i wtedy Manon powiedziała mu, że Badou jest jego dzieckiem. Uwierzył jej, podobnie jak ty; nie przyszło mu do głowy, że mogłaby kłamać w tak ważnej kwestii. Nie miał pojęcia, że podczas ich romansu Manon utrzymywała stosunki z innymi mężczyznami, no i nie znał daty urodzenia Badou. Słyszałem, co mówiła Manon, i wiedziałem, co robi.

W głosie Aszulaya zabrzmiała nuta oburzenia.

-Manon nie chciała grać drugich skrzypiec, nie chciała znowu ustąpić miejsca tobie, Sidonie. Nie chciała, żeby myślał o tobie, a wiedziała, że tak właśnie jest... Wcześniej, kiedy usłyszała, że nosisz dziecko Etienne'a, zazdrość wzięła w niej górę nad wszelkimi innymi uczuciami i popchnęła ją do tego kłamstwa. Manon musiała dowieść, że jest od ciebie lepsza.

Otworzyłam usta ze zdziwienia.

- Czy to możliwe, aby przez zazdrość i brak poczucia bezpieczeństwa zdobyła się na zakłamanie życia swojego i Badou?

- Kiedy powiedziała to Etienne'owi, byłem na nią wściekły. Chciałem sprzeciwić się jej, wyjaśnić mu, że to kłamstwo, ale wszystko potoczyło się tak szybko. Etienne zerwał się na równe nogi i krzyknął, że jego celem jest powstrzymanie choroby, nie przekazywanie jej następnemu pokoleniu. Uświadomił sobie,

544

że zrobił to nie raz, ale dwa razy, bo spłodził twoje dziecko i Badou. Był błędy jak ściana i trząsał się na całym ciele. Chwyciłem go za ramię i chciałem zatrzymać, lecz wybiegł w noc.

Z łatwością mogłam wyobrazić sobie tę scenę.

- Pokłóciłem się z Manon i powiedziałem jej, że musi wyznać prawdę, ale ona powtarzała tylko, że Etienne zasługuje na upokorzenie i ból. Że nigdy nie musiał niczego się wstydzic i dopiero teraz się dowie, co ona czuła, kiedy ich ojciec odwrócił się do niej plecami. - Aszulay przerwał na chwilę. - Manon i Etienne myślą głównie o sobie, Sidonie, to jest ich cecha wspólna.

Wiedziałam, że ma rację.

- Tak czy inaczej, siedziałem tam całą noc - ciągnął. - Czekałem na powrót Etienne'a, chociaż Manon nie kryła złości. Robiła wiele rzeczy, których nie akceptowałem, ale na to po prostu nie mogłem pozwolić. Etienne nie jest wzorem cnót, lecz nie zasługuje na jeszcze większe cierpienie. Zamierzałem powiedzieć mu, że Badou nie jest jego synem.

Mocno splótł palce. Widziałam żyły, wyraźnie rysujące się po zewnętrznej stronie jego dłoni. Były to ręce, które umiały mocno trzymać łopatę i z niezwykłą delikatnością obejmować dziecko.

- Ale Etienne już nie wrócił. Zostawił u Manon ubrania, książki, nawet okulary. Kilka tygodni później Manon dostała od niego list, w którym pisał, że miał czas zastanowić się nad wszystkim i chce przyjąć odpowiedzialność za dziecko. Mówiłem ci o tym liście. Oświadczył, że co parę miesięcy będzie przyjeżdżał zobaczyć się z małym, w ten sposób zyska też pewność, że chłopcu niczego nie brak.

Skinęłam głową. Manon myślała, że zwyciężyła, ponieważ mogła nadal prosić Etienne'a o co tylko chciała, a on dawałby

545

jej pieniądze, z czystego poczucia winy. Siedzieliśmy w milczeniu. Ciszę przerywało tylko gruchanie gołębia. - I co? Powiedziałaś mu?

- Nie. Kiedy przyszedłem po Badou przed naszym wyjazdem z miasta, Etienne już tam był, jak ci mówiłem, ale nie był to dobry moment. Badou czekał na mnie i Manon dosłownie wypchnęła nas za bramę. Poza tym Etienne powiedział, że zamierza zostać w Marrakeszu na dłużej, uznałem więc, że porozmawiam z nim po powrocie z bied. I poszedłem tam dzisiaj, ale dowiedziałem się od Manon, że go nie ma. Manon już wie, co planuję zrobić, i za wszelką cenę postara się mi przeszkodzić. Oznajmiła, że nie jestem już mile widziany w jej domu.

Czy Etienne rzeczywiście był jeszcze w Marrakeszu? Przez głowę przemknęła mi myśl, że może znowu uciekł i wyjechał do Ameryki, jak wtedy, gdy dowiedział się, że kobieta, którą kocha, jest jego przyrodnią siostrą. I jak w pośpiechu wrócił do Maroka, kiedy powiedziałam mu, że jestem w ciąży. I jak wyjechał do innego miasta, gdy Manon poinformowała go, że Badou jest jego dzieckiem. Etienne nie umiał rozwiązywać trudnych sytuacji i nawet nie próbował szukać wyjścia; gdy napotykał problemy, po prostu uciekał.

- Mogę tylko mieć nadzieję, że kiedyś jeszcze go zobaczę i powiem mu prawdę, ale nie będzie to łatwe. Manon już o to zadba.

Na dziedzińcu znowu zapanowała cisza. - I co teraz, Sidonie? - zapytał.

- Teraz?

- Co teraz zrobisz?

-Ja... Nic mnie już tutaj nie trzyma.

Spojrzałam na niego z nadzieją, że wypowie słowa, które

546

chciałam usłyszeć. „Zostań, Sidonie. Pragnę, żebyś została tu ze mną...”.

Długo się nie odzywał i nie patrzył na mnie. Widziałam, jak jego jabłko Adama poruszyło się, gdy przełknął ślinę.

- Rozumiem - rzekł. - Ten kraj jest zupełnie inny od tego, który znasz i do którego przywykłaś. Potrzebujesz wolności, a tu byłabyś więźniem.

- Więźniem?

W końcu znowu na mnie spojrział.

- Kobiety żyją tu inaczej niż w Ameryce, Hiszpanii czy Francji. Inaczej niż we wszystkich krajach, gdzie ktoś taki jak ty może robić to, na co ma ochotę.

Chciałam zapytać go, co dla niego znaczy określenie „ktoś taki jak ty”. Pomyślałam o moim życiu w Albany. Czy tam byłam wolna?

- Nie czułam się tu jak więzień - odparłam. - Tak, z początku było mi trudno, ponieważ się bałam. Częściowo pewnie dlatego, że byłam sama i przyjechałam z misją, co do której w głębi duszy od początku musiałam mieć wątpliwości, chociaż z uporem wmawiałam sobie, że wcale tak nie jest. Jednak odkąd poznałam... Odkąd stałam się częścią Marrakeszu, odkąd zamieszkałam tutaj, w medynie, może i nie byłam jeszcze do końca przekonana, co powinnam zrobić, ale zyskałam pewność co do swoich uczuć. Nawet moje obrazy stały się inne - są żywe, a wcześniej nie było w nich życia.

- Ale sama mówisz, że powód twojego przyjazdu do Marrakeszu nie ma już znaczenia.

- Tak. Etienne nic już dla mnie nie znaczy.

Spuściłam wzrok i utkwiałam spojrzenie w płytkach posadzki. Czy Aszulay nie wiedział, co chciałam usłyszeć z jego ust? Czy nie zaprosił mnie do parku i do wioski, w której

547

mieszkała jego rodzina? Czy nie troszczył się o mnie, gdy dowiedział się, że Etienne wrócił do Marrakeszu? Przed chwilą powiedział, że Manon była o mnie zazdrosna, ponieważ zorientowała się, że on o mnie myśli.

Czy to możliwe, abym źle zrozumiała jego intencje? A tamte dwa dni, które razem spędziliśmy w biedzie? Wyraz jego twarzy, gdy na mnie patrzył? Tamte godziny podczas burzy piaskowej, kiedy opowiadaliśmy sobie o swoim życiu? Sposób, w jaki dotykał moich stóp... Jego usta na moich wargach...

A jednak nie poprosił, żebym została.

Czy aż tak bardzo się pomyliłam?

- Może... Może zostanę jeszcze trochę, żeby dokończyć ostatni obraz dla hotelu. - Zmusiłam się, by na niego popatrzeć.

Skinął głową.

Całym sercem pragnęłam, aby powiedział coś jeszcze, ale milczał. Wstał i ruszył w stronę bramy. Podniosłam się szybko, poszłam za nim i położyłam rękę na jego ramieniu.

- Czy to nasze pożegnanie, Aszulay? Nie zobaczymy się więcej?

Z trudem wymawiałam słowa. Nie potrafiłam się z nim pożegnać. Nie mogłam.

Spojrzał na mnie pociemniałymi oczami, które przecież zwykle były tak jasne.

- Czy takie jest twoje życzenie? - zapytał.

Przestań być taki uprzejmy, chciałam krzyknąć. Żadne inne określenie jego zachowania nie przychodziło mi do głowy. Potrząsnęłam głową.

- Nie... Nie chcę się z tobą żegnać. Nawet nie drgnął.

- Czy sądzisz, że... Że naprawdę mogłabyś żyć w takim miejscu, Sidonie? Żyć, normalnie żyć, na stałe, nie na chwilę.

548

Nie spacerować po sukach, nie śnić na jawie w ogrodach, ale żyć... - Przerwał na moment. - Wychowywać dzieci... I znosić różnice między tymi dwoma światami...

Nie byłam w stanie się odezwać. Zadał mi zbyt wiele pytań, ale nie to, jakie chciałam usłyszeć.

- Potrafisz wyobrazić sobie to życie? - spytał.

Jego słowa znowu obudziły we mnie uczucie zagubienia. W milczeniu patrzyłam mu w oczy.

Wreszcie otworzyłam usta. Tak, chciałam powiedzieć. Tak, tak, wyobrażam sobie to życie, życie z tobą.

Jednak Aszulay mnie uprzedził.

- Nie znasz odpowiedzi - rzekł. - Rozumiem więcej, niż sądzisz.

Odwrócił się, wyszedł na ulicę i cicho zamknął za sobą furtkę.

Usiadłam na ławce, niepewna, co właściwie się wydarzyło. Ruda kotka podeszła do mnie, pierwszy raz, i zaczęła ocierać się o nogi. Później wskoczyła na ławkę obok mnie i ułożyła się wygodnie, mierząc mnie czujnym spojrzeniem.

Słuchałam jej gardłowego, niskiego mrużenia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY.

W ciągu następnych kilku dni kończyłam obraz i jak powiedziałam Aszulayowi, dostarczyłam płótno do hotelu. Odebrałam też od monsieur Henriego należność za te, które już zostały sprzedane.

- Pani prace stały się popularne w niezwykle krótkim czasie, mademoiselle - powiedział. - Właściciel galerii przy rue de la Fontaine wspominał mi, że chciałby z panią porozmawiać. - Wręczył mi wizytówkę. - Może pani skontaktować się z nim, kiedy znajdzie pani wolną chwilę.

Siedziałam w chłodnym holu, wpatrując się w kopertę i wizytówkę. Czy wolno mi było myśleć, że w Albany również zdołam utrzymać się ze sprzedaży obrazów? Czy tam także znajdę chętnych na swoje prace?

Nie mogłam jednak myśleć o Albany i Juniper Road.

Bez pośpiechu wróciłam do medyny, jak zawsze w asyście Nadżiba. Kiedy mijaliśmy Szaria Zitun, instynktownie zerknęłam w kierunku niszy w ścianie.

Od tamtego dnia, kiedy zobaczyłam Badou i Falidę, chowających się w cieniu razem z kociećkami, ani razu nie widziałam ich w tym miejscu, teraz jednak dostrzegłam niewyraźny zarys jakiejś postaci.

Podeszłam bliżej. Była to Falida. Na kolanach trzymała szarego kotka.

550

Gdy zawołałam ją po imieniu, podskoczyła. Podniosła na mnie oczy, zbyt duże w szczuplutkiej, mizernej twarzy. Wyglądała na zupełnie zagubioną.

- Co się stało, Falido?

Jej oczy zalśniły łzami. Nigdy wcześniej nie widziałam, by płakała, chociaż Manon stale ją maltretowała.

- Znowu mieszkam na ulicy, mademoiselle - powiedziała.

- Manon cię wyrzuciła?

- Wszyscy odeszli.

- Odeszli? Jak to?

- Moja pani i ten mężczyzna. Odeszli. I Badou... Nie chcę mieszkać na ulicy, jestem już za duża! Niedobrze, kiedy dziewczyna żyje na ulicy! Na pewno spotka mnie coś złego. Boję się, mademoiselle!

Uniosła kotka i wtuliła twarz w jego sierść, jakby chciała ukryć przede mną łzy, jej wąskie ramiona dygotały, wstrząsane szlochem.

Schyliłam się i położyłam rękę na jej ramieniu.

- Falido, powiedz mi, co się stało!

Podniosła głowę. Wargi miała suche i spękane. Kiedy i co ostatnio jadła?

- Moja pani i ci mężczyźni... Pokłócili się...

- Etienne? Manon pokłóciła się z monsieur Duvergerem?

- Z nimi wszystkimi, mademoiselle. Z monsieur Olivierem, Aszulayem i monsieur Etienneem... Ciągłe się z nimi kłóciła. Badou był bardzo smutny. Bał się. Płakał i płakał.

Przygryzłam wargi, nagle równie suche jak Falidy.

-Ale... Dokąd odeszli? I kto? Manon, Etienne i Badou? Przeprowadzili się gdzieś?

Falida potrząsnęła głową.

-Ten drugi, monsieur Olivier. Powiedział, że zabierze moją panią, ale nie Badou. Nie chciał Badou. Pani powiedziała,

551

że zostawi Badou monsieur Etienne'owi, ale Aszulay porozmawiał z monsieur Etienne'em i wtedy monsieur Etienne pokłócił się z moją panią, odszedł i już nie wrócił. Moja pani... Och, tak się rozłościła... Badou i ja schowaliśmy się. Baliśmy się. Pani bije nas, kiedy jest zła... Schowaliśmy się tutaj, ale potem przysłała noc i nie wiedziałam, co robić. Badou był głodny i ciągle płakał. Zaprowadziłam go z powrotem do mojej pani. Dała mi kartkę i torbę z rzeczami Badou. Kazała zabrać go do Aszulaya i dać kartkę Aszulayowi.

- I... I zrobiłaś to? - Kiwnęła głową.

- Aszulaya nie było w domu. Zostawiłam Badou ze służącą. Kazała mi odejść.

Falida znowu wtuliła twarz w futerko kociaka. Na jej policzkach znowu zabłyśły łzy.

- Kiedy to było? - spytałam.

- Już dwie noce jestem na ulicy - odparła.

-Wiesz, na jak długo tym razem wyjechała Manon? Z monsieur Olivierem? Potrząsnęła głową.

- Chodź ze mną - powiedziałam.

Wsunęła kotka w dziurę w murze i wstała. Wzięłam ją za rękę.

Poszliśmy do domu w Szaria Sura. Dałam Falidzie podplotyk, kurczaka i kuskus, nie zważając na gniewne spojrzenia Nawar. Kazałam służącej zagrzać wodę i kiedy Falida zjadła, pozwoliłam jej wykapać się w moim pokoju i dałam jeden z moich kaftanów. Gdy do niej zajrzałam, spała, oddychając powoli i głęboko, jak człowiek kompletnie wyczerpany. Kiedy zrobiło się ciemno, położyłam się obok niej na materacu i zamknęłam oczy.

552

Obudziłam się w nocy. Falida spała, przytulona do mnie. Otoczyłam ją ramieniem i znowu zapadłam w sen.

Rano rozczesałam jej włosy, zaplotłam je w dwa długie warkoczki i usiadłyśmy do śniadania. Podobnie jak poprzedniego dnia, milczała i wpatrywała się w podłogę. Zauważyłam, że mój kaftan wcale nie jest na nią za długi. Falida była już prawie mojego wzrostu. Kiedy skończyłyśmy jeść, zawołałam Nadżiba.

- Zaprowadzisz mnie do domu Aszulaya? - spytałam. Nie byłam pewna, czy trafię tam z Szaria Sura.

Skinęła głową i w asyście Nadżiba ruszyliśmy przez medinę. W końcu rozpoznałam uliczkę Aszulaya, podeszłam do jego bramy i zapukałam.

Furtkę otworzył Aszulay. Badou stał obok niego.

- Falida! - zawołał Badou i uśmiechnął się do mnie. - Rusza mi się drugi ząb, Sidonie! - Przytknął palec do dolnej jedyńki.

Falida uklęknęła i objęła go. Uściskał ją mocno i cofnął się, mówiąc coś szybko, z wyraźnym podnieceniem.

- Szukaliśmy cię wczoraj, Falido! I wiesz co? Wujek Aszulay powiedział, że kiedy następnym razem pojedziemy w bied, będę mógł przywieźć sobie stamtąd szczeniaczka! I nauczymy go przynosić patyk, tak jak robi pies Alego! Możesz nam pomagać, Falido, prawda, wujku?

- Tak. - Aszulay patrzył na mnie, nie na dzieci.

Miał na sobie prostą ciemnoniebieską dzellabę. Nie uśmiechał się.

- Zabierz Falidę do domu i poczęstuj ją melonem, którego przygotowaliśmy na lunch, Badou.

Przyglądałam się, jak dzieci idą przez dziedziniec. Ręce lekko mi drżały. Nie wiedziałam, czy zdołam spojrzeć Aszulayowi w oczy, nie wiedziałam, co powiedzieć.

553

- Biedactwa - odezwałam się wreszcie, wciąż stojąc w bramie. - Co się stało? Falida mówiła, że Manon wyjechała z Olivierem.

- Sidonie... - W głosie Aszulaya brzmiała tak dziwna nuta, że musiałam podnieść wzrok. - Nie wiedziałem, czy...

Przerwał. Jego twarz była nieruchoma, bardzo poważna. I taka piękna. Pragnęłam jej dotknąć.

Spojrzał na Nadżiba, który wciąż stał za mną.

- Możesz chwilę zostać? - zapytał. - Nie chcę rozmawiać z tobą na ulicy.

Wyraz jego twarzy wciąż był niemożliwy do rozszyfrowania. Gdy kiwnęłam głową, mięsień w jego policzku zadrgał nerwowo.

Aszulay powiedział coś do Nadżiba i chłopak odszedł. Aszulay wziął mnie za ramię i wprowadził do środka, zamykając furtkę. Nagle zakreśliło mi się w głowie. Oparłam się o bramę.

- Powiedziałem Etienne'owi prawdę - rzekł Aszulay. - Poszedłem tam następnego dnia po naszej rozmowie w Szaria Sura i powiedziałem mu, że Badou nie jest jego dzieckiem.

Czekałam, nie spuszczać wzroku z twarzy Aszulaya.

- Odetchnął z ulgą, rzecz jasna. Powiedział, że zamierza natychmiast wyjechać. Nie był szczególnie zainteresowany losem chłopca, nawet jako jego wuj. Uprzedził mnie, że już nie wróci do Marrakeszu.

Nadal milczałam.

- Zapytał mnie... Prosił, żeby przekazać ci, że cię przeprosza. Za ból, który ci sprawił. Życzył ci wszystkiego dobrego i wyraził nadzieję, że kiedyś może mu wybaczysz.

Spuściłam oczy. Nie miałam pojęcia, co czuję. Nie chciałam rozmawiać z nim o Etiennie. Staliśmy w milczeniu.

- A Manon? - odezwałam się w końcu, kiedy znowu mogłam na niego spojrzeć.

554

- Manon wreszcie ma to, czego zawsze chciała. Zostawiła mi list. Dom ma być sprzedany, załatwiła już wszystkie formalności. Zamieszka we Francji, razem z Olivierem. Nie wiem, jak długo Olivier pozostanie pod jej urokiem, ale jeżeli okaże się taki jak inni mężczyźni Manon, szybko znużą go jej nastroje i żądania. Po jakimś czasie ona straci nad nim władzę...

- I wtedy wróci?

Aszulay wzruszył ramionami.

- Któż to może wiedzieć? Nie bardzo ma do czego wracać. Bez domu, bez syna, bez przyjaciół. Nawet ja nie mogę dłużej nazywać Manon swoją przyjaciółką, nie po jej ostatnich postępkach. Nie będzie miała... Jak to się mówi, kiedy ktoś nie może już wrócić do domu?

Nie odpowiedziałam na jego pytanie.

- A Badou? Manon tak po prostu go zostawiła? Spojrzał przez ramię na dom.

- Napisała, że skoro tak bardzo leży mi na sercu przyszłość jej dziecka, że aż zniweczyłem jej plan przekazania Badou pod opiekę Etienne'a, to teraz sam mogę się nim zająć. Badou nie przedstawia już żadnej konkretnej wartości w oczach Manon, więc pozbyła się go, jak wcześniej wielu innych osób w swoim życiu.

Stał przede mną i patrzył na mnie uważnie. Nagle podszedł bliżej i położył dłoń na moim policzku, zakrywając starą bliznę.

- Ale oczywiście to nie jest dla mnie żaden kłopot. Kocham Badou.

Usiłowałam coś powiedzieć, ale dotyk jego ręki i jego bliskość zupełnie mnie zdekoncentrowały. Czułam ciepło jego palców i zastanawiałam się, czy zostawią lekki błękitny ślad na mojej skórze.

555

- Dwa razy byłem w domu w Szaria Sura i pytałem o ciebie - rzekł. - I dwa razy powiedziano mi, że cię nie ma.

- Mena nic mi...

- Oni wszyscy uważają, że zachowujemy się niepoprawnie, ty i ja, Sidonie. Patrzą na nas z dezaprobatą.

Przez jego twarz przemknął prawie niedostrzegalny uśmiech.

Wciąż czekałam.

- Jestem uczciwym człowiekiem - powiedział. - Tuaregowie żyją zgodnie z prostym kodeksem uczciwości i odwagi.

- Wiem - szepnęłam.

- Tamtego wieczoru, kiedy powiedziałem ci, że rozumiem więcej, niż myślisz, byłem wobec ciebie uczciwy. Naprawdę rozumiem, czego pragniesz. Wiem, że chcesz zostać. I od tamtej nocy, kiedy Manon cię zraniła i kiedy przytuliłaś usta do mojej dłoni, i kiedy powiedziałaś, że myślałaś o moich dłoniach... Od tamtej nocy nie potrafiłem już ukrywać przed sobą własnych uczuć. Jesteś inna od kobiet, które znałem, Sidonie.

Patrzyłam na jego wargi.

- Boisz się, przyjmujesz lęk do wiadomości i idziesz dalej. Ale ty także budzisz we mnie lęk, Sidonie. Od dawna nie czułem nic podobnego i miałem mnóstwo wątpliwości. Bałem się, że jeśli poproszę cię, żebyś ze mną została...

Przerwał.

- Czego się bałeś? - spytałam, chyba szeptem.

- Myślałem, że będzie łatwiej, jeśli odmówisz. Bo bałem się, że jeżeli się zgodzisz, to po pewnym czasie przestaniesz być szczęśliwa i zechcesz wrócić do swojego dawnego życia. Nawet jeśli będziesz dalej malować i będziesz miała Badou i Falidę, i... I nasze własne dzieci. Bałem się, że nie wystarczy ci to, co mogę ci dać. Żyliśmy w tak różnych światach.

556

Podeszłam bliżej. Poczułam słodki zapach melona na jego wargach.

- Widzę moje życie tutaj, z tobą - powiedziałam.

Jakiś ptak zaniósł się radosnym trelem w gałęziach nad naszymi głowami.

- Naprawdę je widzisz? I to ci wystarczy? - zapytał cicho, patrząc mi prosto w oczy.

Zaczekałam, aż ptak skończy swoją pieśń.

- Tak - odparłam. - To mi wystarczy! Inshallah, pomyślałam. Inshallah.

* * *

PODZIĘKOWANIA.

Pisząc historię Sidonie, czerpałam wiadomości i inspirację z wielu książek. *Women of Marrakesh* (Kobiety Marrakeszu): opis życia żony lekarza w Marrakeszu lat trzydziestych, pióra Leonory Peets. Elizabeth Warnock Fernea napisała *The Streets of Marrakesh* (Ulice Marrakeszu) po dłuższym pobycie w Marrakeszu wraz z rodziną w latach siedemdziesiątych. Te dwa bezpośrednie źródła były dla mnie szczególnie użyteczne. Lepiej zrozumieć ten kraj pomogła mi także mała, prześlicznie wydana książka *In Morocco* (W Maroku) Edith Wharton, napisana w 1919 roku, po podróży pisarki przez Maroko, której celem było opracowanie pierwszego przewodnika po angielsku. Niezwykle ważna okazała się też książka Cynthii J. Becker, *Amazigh Arts In Morocco: Women Shaping Berber Identity* (Sztuka Amazighów w Maroku: Kobiety nadają kształt tożsamości Berberów).

Opierałam się też na informacjach znalezionych w *The Voices of Marrakesh* (Głosy Marrakeszu) Eliasa Canettiego, *Morocco That Was* (Maroko takie, jakie było) Waltera Harrisa, *A Year In Morocco* (Rok w Maroku) Petera Mayne'a, *Caliphs House* (Dom kalifa) Tahira Shaha, *The Conquest of Morocco* (Podbój Maroka) Douglasa Porcha oraz *A Narrative of Travels In Spain and Morocco in 1848* (Opis podróży po Hiszpanii

558

i Maroku w 1848 roku) Davida Urquharta. Powieść Paula Bowlesa, *The Sheltering Sky* (Niebo jako schronienie) dostarczyła mi natchnienia i wielu wiadomości. Udało mi się znaleźć mnóstwo wspaniałych książek i albumów z ilustracjami przedstawiającymi architekturę Maroka i piękno riadów, dawnych domów wewnątrz medyny, z dziedzińcami wykładanymi płytkami i z ogrodami. Pozwoliły mi one lepiej docenić wielką urodę i egzotykę tego magicznego kraju.

Z całego serca dziękuję mojej córce Brennie, która dwukrotnie towarzyszyła mi w przygodach w Maroku - jej obecność sprawiła, że te przeżycia stały się jeszcze bardziej ekscytujące i warte zapamiętania. Muszę też podziękować moim własnym Błękitnym Ludziom - Habibowi, Alemu i Omarowi. Habib wiozł nas samochodem z Marrakeszu przez góry Wysokiego Atlasu aż na krawędź Sahary, puszczając nam w czasie długiej i dzikiej podróży przez hamady Atlasu płyty Santany, Leonarda Cohena i przepiękną muzykę arabską. Ali i Omar prowadzili nasze wielbłądy i przejechali z nami samochodem przez erg (wydmy) oraz płaszczyzny piasku i żwiru (regs) Sahary do obozu nomadów pod gwiazdami, gdzie odszukaliśmy Krzyż Południa. W szczególny sposób dziękuję Alemu za jego wiedzę o życiu na pustyni oraz wspaniałe opowieści o jego matce, która wyszła za mąż za nomadkę jako jedenastoletnia dziewczynka. Omar zabawiał nas piosenkami, grą na bębnach i tańcem, nauczył nas też klaskania w dłonie, które często stanowi akompaniament pustynnych pieśni. Dziękuję nieznannej kobiecie z plemienia Berberów, która pomalowała nasze dłonie i stopy henną, a także zawsze śpieszącemu nam z pomocą personelowi hotelu Les Jardins de la Koutoubia w Marrakeszu.

Po tej stronie świata dziękuję mojej starszej córce Zalie i synowi Kittowi, za ich wielką wyrozumiałość i umiejętność

559

słuchania, no i za to, że zawsze potrafią mnie rozśmieszyć. Dziękuję mojej szwagierce Carole Bernicchia Freeman, za to, że czuwała nad moim francuskim. I bardzo, bardzo dziękuję Paulowi, który tak cudownie ubarwił surową, czarno białą rzeczywistość pisania.

Dziękuję mojej agentce, Sarah Heller, za wszystko - od dyskusji na temat wątków powieści po kolacje i drinki z okazji ponurych i wesołych. Dziękuję mojej londyńskiej redaktorce Sherise Hobbs z Headline, za trafne sugestie, delikatne wskazywanie właściwego kierunku oraz cierpliwość.

Serdeczne podziękowania należą się też Peterowi Newsomowi z Headline oraz Kim i całemu zespołowi z McArthur and Company w Toronto.

Na koniec bardzo dziękuję wszystkim moim krewnym i przyjaciołom, którzy okazali mi ogromne wsparcie podczas pisania tej książki, w dość burzliwym, lecz ekscytującym okresie mojego życia.